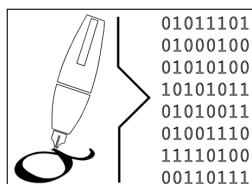


ROBIN COOK

DOPYSZCZALNE RYZYKO

Przełożyła: Marta Lewandowska



Tytuł oryginału:

Acceptable Risk

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1995 r.

*Dla Jean -
„gwiazdy przewodniej”*

Diabeł przybierać umie postać miłą...

William Shakespeare, *Hamlet*
(Z przekładu Macieja Słomczyńskiego)

PROLOG

SOBOTA, 6 LUTEGO 1692

Ponaglana przenikliwym zimnem, Mercy Griggs śmignęła klacz batem przez zad. Koń przyśpieszył i sanie pomknęły lekko po ubitym śniegu. Mercy wtuliła się w wysoki kołnierz swojej foczej szuby i splotła dłonie w mufce, daremnie próbując ukryć się przed lodowatym powietrzem.

Dzień był bezwietrzny, przejrzysty, blady. Słońce musiało się przedzierać ze swojego dorocznego wygnania na południową trajektorię, by oświetlić śnieżny pejzaż zamknięty w żelaznym uścisku okrutnej zimy Nowej Anglii. Już w południe od pni bezlistnych drzew wyciągały się ku północy długie liliowe cienie. Zastygłe kłęby dymu wisiały nieruchomo nad kominami porozrzucanych z rzadka farm, jakby zamarzły na lodowato błękitnym polarnym niebie.

Mercy była w drodze już prawie pół godziny. Ze swojego domu u stóp Leach Hill na Royal Side wyruszyła Ipswich Road na południe. Przejechała mosty na Frost Fish River, Crane River i Cow House River i właśnie dotarła do Northfields, dzielnicy miasta Salem. Od środka miasta dzieliło ją już tylko niespełna dwa i pół kilometra.

Ale Mercy nie jechała do miasta. Gdy minęła farmę Jacoba, zobaczyła cel swojej podróży. Był to dom Ronalda Stewarta, zamożnego kupca i armatora. W ten dzień tak mroźny od własnego ciepłego kominka odciągnęła Mercy sąsiadka troska ze sporą przymieszką ciekawości. Obejście Stewartów stało się bowiem od pewnego czasu kolebką niezmiernie interesujących plotek.

Mercy zatrzymała klacz przed domostwem i zlustrowała je wzrokiem. Świadczyło bez wątpienia o kupieckich zdolnościach pana Stewarta. Była to imponująca wieloszczytowa budowla oszalowana brązowymi deskami i pokryta najwyższej jakości dachówką. Liczne okna szklily się rombami importowanych szyb. Największe jednak wrażenie robiły misterne ornamenty zwieszające się z rogów wysuniętego nad parter pierwszego piętra. Ogólnie rzecz biorąc taki dom byłby bardziej na miejscu w środku miasta niż tu, w wiejskim otoczeniu.

Mercy czekała, pewna, że dzwonki na końskiej uprzęży zaanonsowały jej przybycie. Z prawej strony przed frontem budynku stały już jedno sanie zaprę-

żone w konia, z czego należało wnosić, że wcześniej przybył inny gość. Koń był przykryty derką. Z jego nozdrzy co chwila wzbijały się kłęby pary, które natychmiast znikwały w suchym jak pieprz powietrzu.

Mercy nie musiała czekać długo. Niemal od razu drzwi się otworzyły i w progu pojawiła się dwudziestosiemioletnia kruczowłosa i zielonooka kobieta, znana jej jako Elizabeth Stewart. W ramionach piastowała muszkiet. Zza jej spódnicy po obu stronach wyglądały ciekawe dziecięce twarze; w taką pogodę niespodziewane wizyty towarzyskie w pozbawionych bliskiego sąsiedztwa domach były rzeczą niecodzienną.

— Mercy Griggs — zawołała przyjezdna. — Żona doktora Williama Griggsa. Przybywam z życzeniami dobrego dnia.

— Jakże się cieszę — odrzyknęła w odpowiedzi Elizabeth. — Wejdz, pani, i napij się gorącego cydru, aby wygnać mróz z kości.

Oparła muszkiet o framugę i poleciła najstarszemu synowi, dziewięcioletniemu Jonathanowi, by przywiązał i nakrył konia pani Griggs.

Mercy z dużą przyjemnością weszła do domu i w ślad za Elizabeth skierowała się do świetlicy. Odkładając muszkiet, Elizabeth napotkała jej wzrok.

— To przyzwyczajenie z dzieciństwa w dziczy Andover — wyjaśniła. — Każdej godziny musieliśmy wypatrywać, czy nie nadciągają Indianie.

— Rozumiem odparła Mercy, choć widok kobiety z muszkietem w ręku był dla niej niezwykłym doświadczeniem. Zawahała się chwilę w progu kuchni, obserwując scenę domową, która przypominała raczej szkołę. Było tam ponad pół tuzina dzieciaków.

Wielki ogień trzaskający na palenisku promieniował upragnionym ciepłem. Pomieszczenie spowijała mieszanina smakowitych zapachów: część pochodziła z zawieszzonego nad ogniem kociołka, w którym bulgotał gulasz wieprzowy, część z ogromnej miski ze stygnącym puddingiem kukurydzianym, ale najsilniejszy aromat płynął z przypominającego ul pieca chlebowego za paleniskiem. W jego wnętrzu ciemniały złotobrazowe bochenki.

— Ufam w Bogu, że nie jestem zawadą — podjęła Mercy.

— Na niebiosa, skądże — odparła Elizabeth biorąc od niej szubę i wskazując jej krzesło ze skórzanym oparciem w pobliżu pieca. — To upragnione wybawienie od zachcianek tych niesfornych dzieciaków. Ale zastałaś mnie przy pieczeniu i muszę wyjąć chleb.

Pośpiesznie dźwignęła łoapatę piekarską o długim stylisku, szybkimi zręcznymi pociągnięciami wyjęła osiem bochenków chleba i złożyła je po kolei do ostygnięcia na długim stole, który zajmował cały środek kuchni.

Mercy przyglądała się jej pracy, odnotowując w myślach, jak przystojna z niej kobieta z tymi kształtnymi policzkami, porcelanową cerą i smukłą figurą. Po tym, jak umiejętnie obchodziła się z chlebem, podsyciła ogień i poprawiła kociołek na haku, widać było, że nawykła do zajęć kuchennych. A jednak Mercy wyczuwała

w osobie Elizabeth coś niepokojącego. Nie było w niej tej niezbędnej chrześcijańskiej uległości i pokory. Prawdę powiedziawszy wręcz promieniowała żwawością i śmiałością nie licującymi z położeniem purytańskiej niewiasty, której mąż przebywa daleko w Europie. Mercy zaczęła podejrzewać, że krążące o niej pogłoski to nie tylko paplanina próżniaków.

— Twój chleb ma niespotykany ostry aromat — zauważyła, pochyliwszy się nad stygnącymi bochenkami.

— To żytni chleb — wyjaśniła Elizabeth szykując następnych osiem bochenków, które miały powędrować do pieca.

— Żytni? — zdziwiła się Mercy.

Żytni chleb jadali tylko najubożsi farmerzy z bagnistych okolic.

— Wychowałam się na żytnim chlebie. I bardzo lubię jego ostry smak. Ale pewno dziwisz się, dlaczego piekę go aż tyle. Przyczyna jest ta, że umyśliłam sobie zachęcić wszystkich mieszkańców wsi, żeby wykorzystywali żyto i oszczędzali zapasy pszenicy. Jak wiesz, zimna wiosna i lato, a teraz ta straszna zima zaszkodziły zbiorom.

— Szlachetny zamysł — powiedziała Mercy. — Ale o takiej sprawie powinni raczej radzić mężczyźni na miejskim zgromadzeniu.

Serdeczny śmiech Elizabeth zaszokował ją. Zauważywszy wyraz twarzy Mercy, wytłumaczyła się:

— Mężczyźni nie myślą o takich praktycznych rzeczach. Bardziej zaprzęta ich spór między wsią a miastem. Ale jest jeszcze coś prócz lichych zbiorów. My, kobiety, musimy myśleć o ofiarach indiańskich napaści. To już jednak czwarty rok wojny króla Wilhelma i końca nie widać.

— Rola kobiety w domu. . . — zaczęła Mercy, ale w obliczu zuchwałości Elizabeth zapomniała języka w gębie.

— Zachęcałam ludzi, żeby przyjmowali uciekinierów do swoich domów — ciągnęła Elizabeth, wycierając umączoną rękę w kuchenny fartuch. — My wzięliśmy dwoje dzieci ocalałych z najazdu na Casco, w Maine, od którego w maju minął rok.

Elizabeth ostro zawołała na dzieci, żeby przerwały zabawę i przyszły przywitać się z żoną doktora.

Najpierw przedstawiła dwunastoletnią Rebecę Sheaff i dziewięcioletnią Mary Roots. Obie zostały okrutnie osierocone w czasie najazdu na Casco, ale teraz wydawały się zdrowe i szczęśliwe. Potem trzynastoletnią Joannę, córkę RONALDA z pierwszego małżeństwa. Następnie przyszła kolej na jej własne dzieci: dziesięcioletnią Sarah, dziewięcioletniego Jonathana i trzyletniego Daniela. Na koniec Elizabeth zaprezentowała dwunastoletnią Ann Putnam, jedenastoletnią Abigail Williams i dziewięcioletnią Betty Parris, które przybyły w odwiedziny ze wsi Salem.

Gdy dzieci posłusznie złożyły gościowi uszanowanie, pozwolono im wrócić

do zabawy, do której, jak zauważyła Mercy, służyło im kilka szklanek z wodą i świeże jajka.

— Dziwi mnie, że widzę tu wiejskie dzieci — stwierdziła.

— Powiedziałam moim, żeby je zaprosiły. To ich koleżanki ze szkoły. Sądziałam, że lepiej będzie, jeśli moje dzieci nie będą się uczyć w mieście, gdzie pełno hołoty i łotrów wszelkiej maści.

— Rozumiem.

— Gdy będą wracać do domów, dam im żytni chleb. — Elizabeth uśmiechnęła się swawolnie. — To bardziej skuteczne niż wszelkie nauki.

Mercy skinęła głową, ale nie odezwała się. Ta kobieta trochę ją peszyła.

— Czy nie zechciałabyś także wziąć bochenka? — spytała Elizabeth.

— Och, nie, dziękuję — odparła Mercy. — Mój mąż, doktor, nigdy by nie tknął żytniego chleba. Jest dla niego za ordynarny.

Gdy Elizabeth znów zajęła się drugim wypiekami, oczy Mercy błądziły po kuchni. Zauważyła świeży krąg sera prosto spod prasy i dzban cydru na przypiecku, a potem spostrzegła coś o wiele bardziej uderzającego. Na okiennym parapecie niczym na wystawie ułożone były rzędem lalki z malowanego drewna w starannie uszytych strojach reprezentujących różne postacie. Był kupiec, kowal, gospodyni, kołodziej, a nawet lekarz. Ten ostatni ubrany był na czarno i miał wykrochmalony kołnierz z koronki.

Mercy wstała i podeszła do okna. Wzięła lalkę w stroju lekarza. W jej piersi tkwiła duża igła.

— Co to za figurki? — spytała z ledwo skrywanym niepokojem.

— Lalki, które robię dla sierot — wyjaśniła Elizabeth nie odrywając wzroku od swojego zajęcia. Każdy bochenek smarowała po wierzchu masłem i wkładała do pieca. — Moja zmarła matka, niech spoczywa w pokoju, nauczyła mnie, jak je robić.

— A czemu ten nieszczęśnik ma igłę wetkniętą w serce?

— Kostium nie jest jeszcze skończony. Stale gubię igły, a są przecież takie drogie.

Mercy odłożyła lalkę i odruchowo wytarła ręce. Wszystko, co nasuwało myśl o magii i wiedzy tajemnej, wprawiało ją w popłoch. Zostawiła lalki i zwróciła się do dzieci. Obserwowała je chwilę, po czym spytała Elizabeth, co one robią.

— To sztuczka, której nauczyła mnie matka. — Elizabeth wsunęła do pieca ostatni bochenek chleba. — To zabawa w przepowiadanie przyszłości z kształtów, które pokażą się w wodzie, jeśli wbić do niej biało jaja.

— Każ im natychmiast przestać — poprosiła Mercy w popłochu.

Elizabeth podniosła głowę i zmierzyła swego gościa wzrokiem.

— Ale dlaczego? — spytała.

— To biała magia.

— To nieszkodliwa rozrywka. Po prostu niewinne zajęcie dla dzieci, gdy zima taka jak ta uwięzi je w domu. Moja siostra i ja robiłyśmy to wiele razy, próbując poznać zawody naszych przyszłych mężów — Elizabeth zaśmiała się. — Oczywiście nigdy się nie dowiedziałam, że poślubię armatora i przeprowadzę się do Salem. Myślałam, że zostanę żoną biednego wieśniaka.

— Z białej magii rodzi się czarna magia — odparła Mercy. — A czarna magia jest wstrętna Bogu. To dzieło szatana.

— Ani mojej siostrze, ani mnie nigdy ta zabawa nie zaszkodziła. Ani matce, jeśli już o tym mowa.

— Twoja matka nie żyje — przerwała surowo Mercy.

— Tak, ale...

— To czary — ciągnęła Mercy. Krew zabarwiła jej policzki. — Nie ma czarów nieszkodliwych. Przypomnij sobie, jakie mamy złe czasy. Wojna, zaledwie przed rokiem ospa w Bostonie. Nie dalej jak w ostatni dzień pański wielebny Parris mówił w kazaniu, że wszystkie te straszliwe nieszczęścia pochodzą stąd, iż ludzie nie dochowują przymierza z Bogiem i dopuszczają się zaniedbań w obowiązkach religijnych.

— Nie wydaje mi się, żeby taka dziecięca zabawa mogła naruszać przymierze — odparła Elizabeth. — A poza tym my nie zaniedbujemy obowiązków religijnych.

— Ale uprawianie magii narusza je z całą pewnością. Tak samo jak tolerancja wobec kwaków.

Elizabeth lekceważąco machnęła ręką.

— Takich spraw mój umysł nie ogarnia. Nie wiem, co mogłabym mieć przeciwko kwakrom. To spokojni, ciężko pracujący ludzie.

— Nie wolno wygłaszać takich opinii — napomniała ją Mercy. — Wielebny Increase Mather powiedział, że kwakrzy zostali omamieni przez diabła. Powinnaś przeczytać książkę wielebnego Cottona Mathera *Zadziwiająca rządzenia Opatrzności wobec czarów i opętania*. Mogę ci ją pożyczyć. Mój mąż zdobył ją w Bostonie. Wielebny Mather powiada, że niedole, które nas spotykają, są niechybną oznaką woli szatana, by przywrócić naszą Ziemię Obiecana, Nową Anglię, swoim dzieciom, czerwonoskórnym.

Elizabeth na chwilę skierowała uwagę na dzieci i zawołała, by się uciszyły. Ich krzyki stawały się bowiem coraz nieznośniejsze. Ale prawdę mówiąc skarciła je bardziej po to, by przerwać kazanie Mercy, niż żeby uspokoić ich gorączkową paplaninę. Zwróciła wzrok z powrotem na Mercy i powiedziała, że będzie jej niezmiernie wdzięczna za pożyczenie książki.

— Skoro już mówimy o sprawach kościoła — zaczęła znowu Mercy — czy twój mąż rozważał przyłączenie się do naszej gminy? Jako właściciel posiadłości we wsi Salem mógłby to uczynić i byłby przyjęty z radością.

— Nie wiem — odparła Elizabeth. — Nigdy o tym nie mówiliśmy.

— Potrzebujemy sprzymierzeńców. Rodzina Porterów i ich przyjaciele odmawiają płacenia swojego udziału w poborach wielbnego Parrisa. Kiedy twój mąż powróci?

— Wiosną.

— Po co popłynął do Europy? — indagowała Mercy.

— Budują tam dla niego nowy rodzaj statku. Nazywa się fregatą. Ma on być szybki i dobry do obrony przed francuskimi korsarzami i karaibskimi piratami.

Sprawdziwszy dłońmi stygnące bochenki, Elizabeth zawołała dzieci na posiłek. Gdy zjawiły się przy stole, spytała, czy mają chęć na świeży, jeszcze ciepły chleb. Choć jej własne dzieci kręciły nosem, Ann Putnam, Abigail Williams i Betty Parris były chętne. Elizabeth podniosła klapę drzwi zapadnych w podłodze w kącie kuchni i posłała Sarah na dół po masło.

Konstrukcja ta zaintrygowała Mercy.

— To wynalazek Ronalda — wyjaśniła Elizabeth. — Otwiera się tak jak pokrywa luku na statku i pozwala dostać się do piwnicy wprost z izby.

Gdy dzieci zostały obdzielone porcjami gulaszu wieprzowego, a te, które chciały, także grubymi pajdami chleba, Elizabeth nalała Mercy i sobie po kubku gorącego cydru. Aby uciec przed dziecięcym gwarem, przenieśli się z nim do salonu.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła Mercy. Jej wzrok błyskawicznie powędrował ku okazałym rozmiarów portretowi Elizabeth, który wisiał nad gzymssem kominka. Jego niesamowity realizm wzbudził w niej lęk, szczególnie promienne zielone oczy. Stała jak przyrośnięta na środku pokoju, gdy tymczasem Elizabeth sprawnie podsyciła ogień, z którego zostały już tylko żarzące się węgle.

— Twoja suknia jest bardzo wycięta — przemówiła Mercy. — I głowę masz odkrytą.

— Mnie też ten obraz z początku przyprawiał o zmieszanie — przyznała Elizabeth. Podniosła się przed kominka i postawiła dwa krzesła naprzeciwko buzującego teraz ognia. — To był pomysł Ronalda. Jemu się podoba. Już się tak do niego przyzwyczaiłam, że ledwo go zauważam.

— Nader papistowski — prychnęła szyderczo Mercy. Przeszawiła krzesło, żeby nie mieć obrazu w zasięgu wzroku. Pociągnęła łyk ciepłego cydru i spróbowała uporządkować myśli. Wizyta nie przebiegała zgodnie z jej wyobrażeniami. Charakter Elizabeth zbijał Mercy z tropu. Jeszcze nawet nie poruszyła tematu, który był właściwym powodem jej przybycia. Odchrząknęła. — Słyszałam pewną plotkę — zaczęła. — Jestem pewna, że nie może w niej być krztyny prawdy. Słyszałam, że powzięłaś chęć, by kupić Posiadłość Northfields.

— To nie żadna plotka — odrzekła żywo Elizabeth. — Tak się stanie. Będziemy mieć grunty po obu stronach Wooleston River. Ta ziemia rozciąga się aż do wsi Salem, gdzie graniczy z posiadłościami Ronalda.

— Ależ tę ziemię mieli zamiar kupić Putnamowie — oburzyła się Mercy. —

To dla nich ważne. Dla swoich przedsięwzięć, szczególnie ślusarstwa, potrzebują dostępu do wody. Wstrzymuje ich jedynie brak odpowiednich funduszy, na które muszą czekać do następnych żniw. Twój upór bardzo ich rozgniewa i na pewno postarają się wstrzymać sprzedaż.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

— Ja mam pieniądze już teraz. Chcę mieć tę ziemię. Mamy zamiar zbudować na niej nowy dom, żebyśmy mogli przyjąć pod dach więcej sierot. — Jej twarz pojaśniała, a oczy błyszczały ożywieniem. — Daniel Andrew zgodził się go zaprojektować i wybudować. To będzie potężna budowla z cegły, taka jak domy w Londynie.

Mercy nie wierzyła własnym uszom. Duma i chciwość Elizabeth nie miały granic. Z trudem przełknęła następną łyk cydru.

— Czy wiesz, że Daniel Andrew jest ożeniony z Sarah Porter? — spytała.

— Owszem — odparła Elizabeth. — Gościliśmy ich oboje przed wyjazdem Ronalda.

— Jak to się dzieje, jeśli wolno spytać, że masz dostęp do tak ogromnych sum?

— Wojna stwarza duże potrzeby. Kompanii Ronalda wiodło się ostatnio nadzwyczaj dobrze.

— Czerpie zyski z cudzych nieszczęść — oznajmiła Mercy sentencjonalnie.

— Ronald mówi raczej, że swoimi dostawami dopomaga ludziom w okrutnej potrzebie.

Mercy chwilę wpatrywała się w świetliste zielone oczy Elizabeth. Była podwójnie wstrząśnięta, że ta najwidoczniej nie ma pojęcia o swoich przestępstwach. W istocie, Elizabeth uśmiechnęła się bezwstydnie i wytrzymała wzrok Mercy, z zadowoleniem sącząc cydr.

— Słyszałam pogłoski — rzekła wreszcie Mercy — ale nie mogłam w to uwierzyć. Takie przedsięwzięcia nie przystoją kobiecie, której mąż jest daleko. To wbrew woli boskiej. Muszę cię ostrzec. Ludzie we wsi gadają. Powiadają, że ty, córka wieśniaka, zapominasz, gdzie twoje miejsce.

— Zawsze pozostanę córką swego ojca — odparła Elizabeth. — Ale teraz jestem także żoną kupca.

Zanim Mercy zdążyła odpowiedzieć, z kuchni dobiegł je straszliwy rumor i krzyki. Ten nagły hałas sprawił, że obie kobiety w panice zerwały się na równe nogi. Elizabeth rzuciła się w tę stronę, zgarniając po drodze muszkiet. Mercy podążała tuż za nią.

Stół leżał przewrócony na bok. Drewniane miski po gulaszu były porzucane na podłodze. Ann Putnam miotała się chwiejnym krokiem po pokoju, co chwila zderzając się ze sprzętami, drąc na sobie suknie i jęcząc, że coś ją gryzie. Pozostałe dzieci w skrajnym przerażeniu skuliły się pod przeciwległą ścianą.

Porzuciwszy muszkiet, Elizabeth pośpieszyła do Ann i chwyciła ją za ramiona.

— Co ci jest, dziecko? Co cię gryzie?

Na chwilę Ann znieruchomiała. Oczy nabrały szklanego wyrazu i jakby gdzieś odbiegły.

— Ann! — zawołała Elizabeth. — Co się z tobą dzieje? Ann otworzyła usta, z których powoli, aż do podstawy, wysunął się język. Całym ciałem dziewczynki wstrząsnęły płasawicze drgawki. Elizabeth próbowała ją przytrzymać, ale Ann walczyła ze zdumiewającą siłą. Nagle dziewczynka chwyciła się za gardło.

— Nie mogę oddychać — zachrypiała. — Pomocy! Duszę się.

— Zabierzmy ją na górę — krzyknęła Elizabeth do Mercy. Razem, na poły dźwigając, na poły wlokąc zaciągnęły wijącą się dziewczynkę na pierwsze piętro. Ledwo zdążyły położyć ją na łóżku, gdy znów dostała drgawek.

— Opętana — zawyrokowała Mercy. — Najlepiej będzie wezwać mego męża, lekarza.

— Błagam! Szybko!

Schodząc po schodach, Mercy w niedowierzaniu kręciła głową. Już otrząsnęła się z początkowego szoku. To nieszczęście jej nie zaskoczyło. Przyczyna była jasna.

To były czary. Elizabeth wpuściła pod swój dach diabła.

WTOREK, 12 LIPCA 1692

Ronald Stewart otworzył drzwi kajuty i wyszedł na pokład, na zimne poranne powietrze. Ubrany był w najlepsze bryczesy, szkarłatny kaftan z nakrochmalonym rurkowanym kołnierzem, a nawet upudrowaną perukę. Nie posiadał się z podniecenia. Okrążyli już Naugus Point, za Marblehead, i wzięli kurs prosto na miasto Salem. Już teraz nad dziobem statku widać było Turner's Wharf.

— Nie zwijajmy żagli aż do ostatniej chwili — zawołał Ronald do kapitana Allena, który stał za sterem. — Chcę, żeby ludzie zobaczyli, jak szybki jest ten okręt.

— Aye, aye, panie — odkrzyknął kapitan Allen.

Ronald oparł potężne, muskularne ciało o górną część burty. Morska bryza pieściła jego zbrązowiałą twarz i wicherzyła jasne jak piasek włosy. Radośnie spoglądał na znajome widoki. Jak dobrze wracać do domu. A jednak jego szczęście mącił cień niepokoju. Nie było go prawie sześć miesięcy, dwa miesiące dłużej, niż przewidywał, i nie dostał w tym czasie nawet jednego listu. Tak jakby Szwecja była na końcu świata. Ciekaw był, czy do Elizabeth dotarł któryś z jego listów. Gwarancji nie było, nie znalazł bowiem żadnego statku, który by płynął bezpośrednio do kolonii, a choćby do Londynu.

— Już czas — zawołał kapitan Allen, gdy zbliżyli się do ziemi. — Inaczej statek wyskoczy z wody na przystań i nie zatrzyma się aż na Essex Street.

— Wydaj rozkazy — krzyknął Ronald.

Na komendę kapitana marynarze śmignęli w górę i nie minęło kilka minut, jak ogromne płachty żagli zostały ściągnięte i uwiązane do masztów. Statek zwolnił. W odległości około stu metrów od nabrzeża Ronald spostrzegł małą łódkę wiosłową szybko zmierzającą w ich kierunku. Gdy się zbliżyła, w mężczyźnie stojącym na dziobie poznał swojego pisarza, Chestera Proctera. Ronald zamachał do niego wesoło, ale Chester nie odwzajemnił jego gestu.

— Witaj! — krzyknął Ronald, gdy łódka znalazła się w zasięgu głosu.

Chester milczał. Łódka podpłynęła jeszcze bliżej i Ronald zobaczył, że twarz pisarza jest ściągnięta, a usta zaciśnięte. Jego radosne podniecenie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu. Stało się coś złego.

— Trzeba, byś jak najszybciej przybył na ląd — zawołał Chester, gdy tylko łódź stanęła nieruchomo u boku wielkiego statku.

Z pokładu spuszczone drabinę i po krótkiej naradzie z kapitanem Ronald zszedł do łódki. Gdy tylko usiadł na rufie, odbili. Chester zajął miejsce obok niego. Dwaj marynarze w śródookręciu pochylili grzbiety nad wiosłami.

— Co się stało? — zaczął Ronald bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Najbardziej przerażała go myśl, że Indianie mogli napaść na dom. Gdy odjeżdżał, zapuszczali się nawet do Andover.

— W Salem dzieją się straszliwe rzeczy — odpowiedział Chester. Był wyraźnie zmęczony i zdenerwowany. — Opatrzność w ostatniej chwili sprowadziła cię do domu. Trwożyliśmy się wielce, że przybędziesz za późno.

— Moje dzieci? — spytał Ronald przerażony.

— Nie, to nie dzieci. Są zdrowe i krzepkie. Chodzi o twoją małżonkę, Elizabeth. Przebywa w więzieniu już od wielu miesięcy.

— O co jest oskarżona?

— O czary. Wybacz, że jestem heroldem złych wieści. Została skazana przez specjalny trybunał, a jej egzekucję wyznaczono na następny wtorek.

— To jakieś brednie! — ryknął Ronald. — Moja żona nie jest żadną czarownicą!

— To wiem — odparł Chester. — Ale od lutego miasto ogarnęło szaleństwo polowania na czarownice. Oskarżonych jest prawie setka. Jedną już stracono. Bridget Bishop. Dziesiątego czerwca.

— Znałem ją — przyznał Ronald. — Miała gospodę na Ipswich Road. Ognista kobieta. Ale żeby była czarownicą? Wydaje mi się to nieprawdopodobne. Co spowodowało tę panikę?

— Napady konwulsji. Niektóre kobiety, a głównie młode dziewczęta, zostały dotknięte pozałowania godnym obłędem.

— Widziałeś te napady?

— O, tak. Całe miasto je widziało podczas przesłuchań. To przerażający widok. Opętane wyją z męki i odchodzą od zmysłów. Na przemian to ślepną, to

głuchną, to tracą mowę, to znów wszystko naraz. Miotają się gorzej od kwakrów i wrzeszczą, że gryzą je niewidzialne stworzenia. Wywalają języki i wyglądają, jakby się dusiły. A co najstraszniejsze, kończyny wyginają im się w stawach, że mało nie pękają.

Myśli Ronalda wirowały w zamęcie. Taki obrót spraw był dla niego całkowitym zaskoczeniem. Pod promieniami porannego słońca pot wystąpił mu na czoło. Ze złością zerwał z głowy perukę i rzucił ją na dno łódki. Zastanawiał się, co ma począć.

— Powóz czeka — Chester przerwał ciężkie milczenie, gdy podpływali do nabrzeża. — Sądziłem, że zechcesz udać się prosto do więzienia.

— Tak — odparł krótko Ronald.

Wysiedli z łodzi i pośpiesznie ruszyli na ulicę. Wspięli się do powozu, a Chester ujął lejce. Śmignięty batem koń ruszył. Powóz podskakiwał na kocich łbach. Milczeli.

— Jak stwierdzono, że przyczyną tych napadów są czary? — odezwał się wreszcie Ronald, gdy wjechali na Essex Street.

— Doktor Griggs tak powiedział. Potem wielebny Parris ze wsi, a potem wszyscy, nawet sędziowie.

— Skąd taka pewność?

— Przesłuchania wykazały to w sposób niezbity. Wszyscy widzieli, jak oskarżone torturują opętane i jak cierpienia opętanych ustępują w mgnieniu oka pod dotknięciem oskarżonych.

— Ale nie musiały ich dotykać, żeby torturować?

— Niegodziwości dopuszczały się duchy oskarżonych — wyjaśnił Chester. — A duchy te widoczne są tylko dla opętanych. Dlatego opętane mogły złożyć świadectwo przeciw oskarżonym.

— I takie świadectwo złożył ktoś przeciwko mojej żonie?

— Właśnie. Ann Putnam, córka Thomasa Putnama ze wsi Salem.

— Znam Thomasa Putnama. Mały swarliwy człowieczek.

— Ann Putnam jako pierwsza uległa opętaniu — ciągnął Chester z wahaniem w głosie. — W twoim domu. Pierwszy napad zdarzył się w twojej kuchennej izbie na początku lutego. Po dziś dzień pozostaje opętana, tak samo jak jej matka.

— A moje dzieci? — spytał Ronald. — One też są opętane?

— Twoje dzieci zostały oszczędzone.

— Dzięki ci, Panie — rzekł Ronald.

Znów zapadło milczenie. Skręcili w Prison Lane. Chester zatrzymał powóz przed bramą więzienia. Ronald polecił mu czekać i zeskoczył na ziemię.

Z bijącym sercem odszukał strażnika, Williama Dountona. Zastał go w niechlujnej kancelarii, jak jadł świeży kukurydziany chleb prosto z piekarni. Był to otyły mężczyzna ze strzechą brudnych włosów i czerwonym guzowatym nosem,

znany sadysta, który znajdował radość w dręczeniu swoich więźniów. Ronald gardził nim.

William najwyraźniej nie ucieszył się na jego widok. Zerwał się na równe nogi i skulił za krzesłem.

— Nikomu nie wolno odwiedzać skazanych — wychrypiał ustami pełnymi chleba. — Taki jest rozkaz sędziego Hathorne'a.

Ledwo panując nad sobą, Ronald wyciągnął rękę i złapał wełnianą koszulę Williama. Przyciągnął go do siebie, tak że miał jego twarz zaledwie o parę centymetrów od swojej.

— Jeśli skrzywdziłeś moją żonę, odpowiesz mi za to — warknął.

— To nie moja wina. To władze. Muszę słuchać rozkazów.

— Zaprowadź mnie do niej — rzucił Ronald.

— Ale...

William nie zdążył powiedzieć nic więcej. Ronald wzmocnił uścisk wokół jego gardła. Gdy William zagulgotał, rozluźnił pięść. Strażnik zaczął kastać, ale wydobył klucze. Ronald puścił go i postąpił za nim.

— Złożę raport — oświadczył William otwierając masywne dębowe drzwi.

— Nie ma potrzeby — odparł Ronald. — Gdy tylko stąd wyjdę, pojedę prosto do sędziego i sam mu o tym powiem.

Przeszedłszy przez dębowe drzwi, mijali celę za celą. Wszystkie były pełne. Więźniowie szklistymi oczami wpatrywali się w Ronalda. Niektórych rozpoznawał, ale szedł dalej bez słowa. Więzienie spowijała ciężka cisza. Ronald musiał zakryć nos chustką przed smrodem.

William zatrzymał się u szczytu kamiennych schodów i zapalił świecę w kaganku. Otworzył kolejne dębowe drzwi i obaj zstąpili w najgorsze kręgi więzienia. Panował tam dławiący odór. Piwnica składała się z dwóch dużych pomieszczeń. Granitowe ściany były wilgotne. Więźniów było bardzo wielu; wszyscy, przykuci do murów lub do podłogi, dźwigali kajdany na rękach, na nogach, niektórzy i tu, i tu. Aby nadażyć za Williamem, Ronald musiał przekraczać leżących. Zdawało się, że nie zmieściłby się tam już ani jeden człowiek więcej.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Ronald.

William stanął i odwrócił się do niego.

Ronald przykucnął. Rozpoznał pewną kobietę, którą znał jako bardzo nabożną.

— Rebecca Nurse? — spytał. — Na Boga, co ty tu robisz?

Rebecca z wolna potrząsnęła głową.

— Bóg jeden to wie — wyrzekła z trudem.

Ronald wstał. Ledwo trzymał się na nogach. Miasto widocznie oszalało.

— Tam — William wskazał odległy kąt piwnicy. — Kończmy już.

Ronald szedł za nim. Litość i żal sprawiły, że na chwilę zapomniał o gniewie. Wreszcie William zatrzymał się i Ronald spojrzął na podłogę. W świetle świecy

z trudem rozpoznał swoją żonę. Ciało Elizabeth pokrywała gruba warstwa nieczystości. Zbyt duże i ciężkie kajdany ledwo pozwalały jej strząsać robactwo, które bez przeszkód roilo się w półmroku piwnicy.

Ronald wziął od Williama świecę i pochylił się. Mimo swego stanu Elizabeth uśmiechnęła się do niego.

— Cieszę się, że wróciłeś — przemówiła słabo. — Teraz nie muszę się już martwić o dzieci. Czy zdrowe?

Ronald z trudem przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach.

— Przyjechałem do więzienia prosto ze statku. Jeszcze ich nie widziałem.

— Jedź do nich, proszę. Będą uszczęśliwione. Lękam się, że są niespokojne.

— Będę dbał o nie — obiecał Ronald. — Ale najpierw muszę się zająć uwolnieniem ciebie.

— Może... Skąd taka długa zwłoka?

— Wyekwipowanie statku zajęło więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Nowość konstrukcji sprawiła nam wiele trudu.

— Wysłałam do ciebie tyle listów.

— Nie dostałem ani jednego.

— Cóż, w każdym razie jesteś — stwierdziła Elizabeth.

Ronald wstał.

— Wrócę — obiecał.

Drżał na całym ciele; z lęku i troski niemal odchodził od zmysłów. Dał znak Williamowi i wspólnie wrócili do kancelarii.

— Spełniam tylko swoje obowiązki — powiedział bojaźliwie William.

Nie umiał odgadnąć stanu ducha Ronalda.

— Pokaż mi dokumenty — zażądał Ronald.

William wzruszył ramionami i zaczął grzebać w bałaganie na stole. W końcu podał Ronaldowi nakaz aresztowania i nakaz egzekucji Elizabeth. Ronald przeczytał i oddał. Wyciągnął z sakiewki kilka monet.

— Chcę, byś przeniósł Elizabeth i poprawił jej położenie.

William skwapliwie pochwycił monety.

— Dzięki ci, szlachetny panie — powiedział. Monety zniknęły w kieszeni jego bryczesów. — Ale przenieść jej nie mogę. Skazani na karę główną zawsze trzymani są na samym dole. Nie mogę też zdjąć jej kajdanów, jako że są one wymienione w nakazie aresztowania jako środek zapobiegawczy, by duch jej nie opuścił ciała. Mogę jednak poprawić jej stan zgodnie z twoim wspaniałomyślnym życzeniem.

— Zrób, co tylko możesz — rzekł Ronald.

Na dworze wsiadał do powozu wolniej niż zwykle. Nogi się pod nim ugiwały.

— Do domu sędziego Corwina — rzucił.

Chester pognął konia. Pragnął spytać o Elizabeth, lecz nie śmiał. Rozpacz Ronalda była aż nadto widoczna.

Jechali w milczeniu. Gdy dotarli do zbiegu Essex i Washington Street, Ronald wysiadł z powozu.

— Czekać — polecił krótko.

Zabębnił w drzwi, a gdy się otworzyły, doznał ulgi na widok stojącego w progu swego starego przyjaciela, Jonathana Corwina. Ów poznał Ronalda i rozdrażnienie na jego twarzy ustąpiło miejsca współczującej trosce. Niezwłocznie wprowadził Ronalda do salonu. Poprosił też żonę, która w kącie przędła len, by pozwoliła im rozmawiać w cztery oczy.

— Jest mi niezmiernie przykro — przemówił, gdy tylko zostali sami. — Niewesołe to przywitanie dla znużonego wędrowca.

— Błagam, mów, co mi trzeba robić — poprosił słabo Ronald.

— Obawiam się, że nie wiem, co mam ci powiedzieć — zaczął Jonathan. — Czasy są burzliwe. Miastem owładnął duch niezgody, wrogości, a być może także oszukańczych iluzji. Sam już nie wiem, co myśleć. Ostatnio pozwana została moja teściowa, Margaret Thatcher. Ona nie jest żadną czarownicą. To każe mi powątpiewać w prawdziwość oskarżeń opętanych dziewcząt i rzetelność ich pobudek.

— Pobudki tych dziewcząt nie są w tej chwili moją główną troską — przerwał Ronald. — Chcę wiedzieć, co mogę zrobić dla mojej ukochanej żony, która cierpi nieopisanie brutalne traktowanie.

— Lękam się, że niewiele da się zrobić — Jonathan westchnął głęboko. — Twoja żona została skazana przez specjalny Wyższy Sąd Karny, który rozpatrywał wszystkie sprawy o czary.

— Przecież przed chwilą sam powiedziałeś, że wątpisz w prawdziwość oskarżycielek.

— Tak — zgodził się Jonathan. — Ale twoja żona nie została skazana na podstawie zeznań dziewcząt ani też na podstawie objawienia się złego ducha przed sądem. Jej proces był krótki, krótszy od innych, krótszy nawet niż Bridget Bishop. Wina jej była dla wszystkich oczywista; istnieje na to materialny, niepodważalny dowód. Nie mogło być żadnych wątpliwości.

— I ty sądzisz, że moja żona jest czarownicą? — spytał Ronald z niedowierzaniem.

— Tak, niestety. Przykro mi. Pojmuję, że ciężko człowiekowi pogodzić się z taką prawdą.

Ronald wpatrywał się w twarz przyjaciela, próbując zebrać myśli w obliczu tych nowych i zaskakujących wieści. Zawsze wysoko cenił sobie jego opinię.

— Ale przecież musi być coś, co dałoby się jeszcze zrobić. Choćby odwlec egzekucję, żebym miał czas poznać tę prawdę.

Jonathan położył rękę na ramieniu przyjaciela.

— Ja jako miejscowy sędzia nie mogę zrobić nic. Powinieneś udać się do domu i roztoczyć opiekę nad dziećmi.

— Nie poddam się tak łatwo.

— W takim razie mogę jedynie doradzić, abyś jechał do Bostonu i rozmówił się z Samuelem Sewallem. Wiem, że byliście razem w Kolegium Harvarda. Przyjaźniliście się. Może on, przy swoich znajomościach w Urzędzie Gubernatora Kolonii, mógłby ci coś podszeptać. Na pewno nie będzie obojętny; jest on jednym z sędziów Wyższego Sądu Karnego i dzielił się ze mną wątpliwościami w związku z całą sprawą, podobnie jak Nathaniel Saltonstall, który nawet złożył swój urząd.

Ronald podziękował i pośpieszył do powozu. Powiedział Chesterowi o swoich zamiarach i wkrótce otrzymał osiodłanego konia. Nie minęła godzina, jak ruszył w prawie trzydziestokilometrową podróż. Jechał przez Cambridge, przebył Charles River po Wielkim Moście i zbliżał się do Bostonu drogą na Roxberre, od południowego zachodu.

Jadąc wąskim pasmem półwyspu Shawmut, odczuwał coraz większy niepokój. Dręczyło go pytanie, co robi, jeśli Samuel nie zechce lub nie będzie mógł mu pomóc. Nic nie przychodziło mu do głowy. To była naprawdę ostatnia szansa.

Gdy przekraczał ceglane fortyfikacje bramy miejskiej, jego wzrok mimowolnie powędrował ku szubienicy, z której zwisał świeży trup. Na to bezlitosne przypomnienie dreszcz przebiegł mu po plecach. Natychmiast popędził konia.

Ale południowy zgiełk Bostonu, który liczył ponad osiemset domostw i ponad sześć tysięcy mieszkańców, opóźnił tempo podróży. Była już prawie pierwsza, gdy Ronald zajechał do domu Samuela na południowym krańcu miasta. Zsiadł z konia i uwiązał go do palisady.

Zastał Samuela w salonie palącego długą fajkę, jak zwykle po południowym posiłku. Zauważył, że w ostatnich latach przyjaciel wyraźnie nabrał ciała i dostojności i w najmniejszym stopniu nie przypomina już młodego zawiadziaki, z którym w latach szkolnych ślizgał się po Charles River.

Samuel ucieszył się na widok Ronalda, ale powitał go z pewną powściągliwością. Domyślił się celu jego odwiedzin, zanim jeszcze Ronald wspomniał o tragicznym położeniu Elizabeth. Potwierdził to, co powiedział Jonathan Corwin; wi-na Elizabeth została niezbitnie ustalona. Ronald zgarbił się na krześle i odetchnął głęboko, próbując powstrzymać łzy. Nie wiedział, co począć. Poprosił gospodarza o kufel piwa. Gdy Samuel powrócił niosąc trunek, Ronald zdołał odzyskać panowanie nad sobą. Pociągnawszy długi haust, spytał Samuela o charakter dowodu, który został użyty przeciwko jego żonie.

— Wzdragam się rzec ci o tym — powiedział Samuel.

— Dlaczegoż to? — Widoczne zmieszanie przyjaciela podsycało ciekawość Ronalda. Nie przyszło mu do głowy, żeby spytać Jonathana, co to za dowód. — Mam przecież prawo wiedzieć.

— W istocie — odparł Samuel, jednak wciąż z wahaniem.

— Powiedz, proszę. Ufam, że dzięki temu zrozumieję tę nieszczęsną sprawę.

— Najlepiej będzie, jeśli odwiedzimy mojego serdecznego druha, wielebnego Cottona Mathera. — Samuel wstał. — Ma on lepsze rozeznanie w tym, co się tyczy niewidzialnego świata. Będzie umiał ci doradzić.

— Chylę czoła przed twoim osądem — rzekł Ronald podnosząc się.

Powozem Samuela pojechali prosto do Old North Church. Od posługaczki dowiedzieli się, że wielebny Mather jest w swoim domu, na rogu Middle Street i Prince Street. Jako że było to bardzo blisko, poszli tam piechotą. Poza tym wygodniej im było zostawić powóz na placu przed kościołem.

Na pukanie Samuela drzwi otworzyła młodziutka pokojówka, która wprowadziła ich do salonu. Wielebny Mather pojawił się z najwyższym pośpiechem i powitał ich wylewnie. Samuel wyjaśnił cel ich odwiedzin.

— Pojmuję.

Wielebny Mather wskazał im krzesła. Wszyscy usiedli.

Ronald przyglądał się duchownemu. Poznał go już kiedyś. Był od nich młodszy; skończył Kolegium Harvarda w 1678 roku, siedem lat po nich. Mimo to zaczął już zdradzać pewne cechy, które Ronald zauważył przedtem u Samuela, i to z tych samych przyczyn. Przybył na wadze. Nos miał czerwony i z lekka powiększony, a twarz nabrała ciastowatej konsystencji. Ale oczy lśniły mu inteligencją i płomienną stanowczością.

— Całym sercem jestem z tobą w twoich strapieniach — zwrócił się do Ronalda. — Nam, śmiertelnym, trudno nieraz pojąć wyroki Pańskie. Głęboko smuci mnie nie tylko twoja tragedia, ale i wszystkie wydarzenia w Salem. Ludnością zawładnął duch niepokoju i zamętu i lękam się, że ster spraw może łącno wymknąć się nam z rąk.

— W tej chwili przede wszystkim obchodzi mnie los mojej żony — odparł Ronald.

Nie przyszedł tu na kazanie.

— Tak też być powinno — przytaknął wielebny Mather. — Ale ważne jest, byś rozumiał, że my, to jest duchowieństwo i władze świeckie, musimy myśleć o całej wspólnoty. Spodziewałem się, że szatan zechce wkraść się między nas. W tej diabelskiej sprawie jedynym pocieszeniem może być to, że dzięki twojej żonie wiemy, gdzie uderzył.

— Chcę się zapoznać z dowodem użytym przeciwko mojej żonie.

— Owszem, pokażę ci go. Pod warunkiem że nikomu nie wyjawisz jego natury. Lękamy się bowiem, że jego ujawnienie mogłoby wywołać jeszcze większe wzburzenie i jeszcze bardziej rozpalić głowy w Salem.

— A jeśli zechcę odwołać się od wyroku?

— Nie zechcesz, gdy zobaczysz ten dowód. Co do tego możesz mi zaufać. Czy mam twoje słowo?

— Masz je — rzekł Ronald. — Pod warunkiem że nie odmawia mi się prawa do apelacji.

Wszyscy trzej wstali. Wielebny Mather poprowadził ich do piwnicy. Zapalił kaganek i zaczęli schodzić po kondygnacji kamiennych schodów.

— Omawiałem tę rzecz szczegółowo z moim ojcem, Increase'em Matherem — mówił wielebny Mather przez ramię. — Jesteśmy zgodni co do tego, że jako namacalny dowód istnienia niewidzialnego świata ma ona nieocenioną wagę dla przyszłych pokoleń. Dlatego też uważamy, że właściwym dlań miejscem jest Kolegium Harvarda. Jak ci wiadomo, mój ojciec jest obecnie jego urzędującym rektorem.

Ronald nie odpowiedział. Chwilowo nie był zdolny roztrząsać kwestii akademickich.

— Zarówno ja jak i mój ojciec uważamy też, że w procesach czarownic Salem zanadto polegało się na dowodach natury jedynie duchowej — ciągnął wielebny Mather. Zeszli już na sam dół. Ronald i Samuel czekali, aż ich przewodnik zapali lichtarze na ścianach. Ten, przemieszczając się po piwnicy, mówił nieprzerwanie: — Niepokoiśmy się ogromnie, że z tej przyczyny mogły zostać wciągnięte w otchłań zupełnie niewinne osoby.

Ronald już chciał mu przerwać. Nie miał teraz cierpliwości do wysłuchiwanie jego ogólnych refleksji, ale Samuel uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu.

— Dowód Elizabeth jest realny. Taki pragnęlibyśmy mieć w każdej sprawie — mówił dalej wielebny Mather, dając Ronaldowi i Samuelowi znak, by podeszli do dużej zaryglowanej szafy — Ale mógłby też stać się zarzewiem straszliwych wydarzeń. Dlatego to spowodowałem, że po jej procesie został zabrany z Salem i przewieziony tutaj. Nigdy nie widziałem wyraźniejszej oznaki potęgi szatana i jego zbrodniczej mocy.

— Błagam waszą wielebność — przerwał w końcu Ronald. — Chciałbym co rychlej powrócić do Salem. Niech tylko ujrzę, co to jest, a zaraz ruszam w drogę.

— Cierpliwości, mój dobry człowieku — pouczył go wielebny Mather, wyciągając klucz z kieszeni kaftana. — Dowód ów jest tego rodzaju, że musisz być przygotowany. Jest doprawdy przerażający. Z tej to przyczyny, zgodnie z moją opinią, proces twojej żony odbywał się za zamkniętymi drzwiami, a wszyscy sędziowie przysięgli na honor, że będą milczeć. Nie chodziło mi o to, by pozbawić ją prawa do uczciwego procesu, ale by zapobiec publicznej hysterii, która jedynie umocniłaby pozycję szatana.

— Jestem przygotowany — rzekł Ronald z wyczuwalnym zniecierpliwieniem.

— Chrystus Odkupiciel niechaj będzie z tobą. — Wielebny Mather wsunął klucz w dziurkę. — Zbierz siły.

Otworzył zamek. Następnie obiema rękami rozłożył na oścież drzwi szafy i odstąpił, by Ronald mógł zobaczyć jej zawartość.

Ronaldowi zabrakło tchu, a oczy omal nie wyszły mu z orbit. Zdjęty zgrozą, w niedowierzaniu odruchowo zasłonił usta dłonią. Z trudem przełknął ślinę.

Próbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Odchrząknął.

— Dość! — wykrztusił wreszcie i odwrócił oczy.

Wielebny Mather zamknął i zaryglował szafę.

— Czy jest pewne, że to dzieło Elizabeth? — spytał Ronald.

— Nie ma cienia wątpliwości — zabrał głos Samuel. — Nie tylko zostało zajęte przez szeryfa w twojej posiadłości, ale i sama Elizabeth z własnej i nieprzymuszonej woli przyznała się do odpowiedzialności.

— Wielki Boże — rzekł Ronald. — To robota szatana. A przecież serce mi mówi, że Elizabeth nie jest czarownicą.

— Niełatwo człowiekowi uwierzyć, że jego własna żona zawarła przymierze z diabłem — rzekł znów Samuel. — Lecz to, co widziałeś, wraz ze świadectwem kilku opętanych dziewcząt, które zeznały, że duch Elizabeth je torturował, to dowód nieodparty, Przykro mi, przyjacielu, ale Elizabeth jest czarownicą.

— Ciężko mi na sercu — jęknął Ronald.

Samuel i Cotton Mather wymienili porozumiewawcze, współczujące spojrzenia. Samuel zrobił gest w stronę schodów.

— Może porozmawiamy w salonie — odezwał się wielebny Mather — Sądzę, że każdemu z nas dobrze by zrobił kufel piwa.

Gdy już zasiedli wygodnie i zażyli ochłody, wielebny Mather podjął temat:

— To czas próby dla nas wszystkich. I nikt nie może się przed tym brzemieniem uchylić. Teraz, gdy już wiemy, że szatan upodobał sobie Salem, musimy z Bożą pomocą wytropić w naszej wspólnocie i zniszczyć jego sługi i ich popleczników, a przy tym bronić niewinnych i pobożnych, których on tak bardzo nienawidzi.

— Niestety, nie mogę być pomocny — odparł Ronald. — Jestem zbyt oszołomiony i przybity. Ciągle nie mogę uwierzyć, że Elizabeth jest czarownicą. Trzeba mi czasu. Musi być przecież jakiś sposób, żeby uzyskać dla niej odroczenie, choćby tylko o miesiąc.

— Odroczenia może udzielić tylko gubernator Phips — powiedział Samuel. — Ale prośby na nic się nie zdadzą. Musiałby istnieć jakiś wiarygodny powód.

Między trzema mężczyznami zaległa cisza. Jedyne odgłosy miasta napływały przez otwarte okno.

— Może ja znalazłbym taki powód — odezwał się nagle wielebny Mather.

Twarz Ronalda rozświecił promyk nadziei. Samuel wydawał się zbity z tropu.

— Sądzę, że udałoby mi się uzasadnić przed gubernatorem potrzebę odroczenia egzekucji. Ale wszystko zależy od spełnienia jednego warunku: pełnego współdziałania Elizabeth. Musi odwrócić się od księcia ciemności.

— Zapewniam, że będzie współdziałać — obiecał Ronald. — Co powinna zrobić?

— Po pierwsze, musi wyznać swoją winę przed gminą w zborze w Salem. W swoim wyznaniu musi wyrzec się wszelkich związków z diabłem. Po drugie,

musi wyjawić, kto jeszcze we wspólnocie zawarł szatański pakt. To byłaby wielka przysługa. Bowiem nieprzerwana męka opętanych kobiet świadczy, iż słudzy złego są jeszcze na wolności.

Ronald porwał się z miejsca.

— Nakłonię ją do tego jeszcze dziś — oświadczył podniecony. — Błagam, niezwłocznie pomów z gubernatorem.

— Zaczekam na odpowiedź Elizabeth. Nie będę turbował jego ekscelencji nie mając jej słowa, że przyjmuje warunki.

— Będziesz je miał — rzekł Ronald. — Najpóźniej do jutra rana.

— Jedź z Bogiem — odpowiedział wielebny Mather.

W drodze do powozu Samuel z trudem dotrzymywał Ronaldowi kroku.

— Oszczędziłbyś prawie godzinę, gdybyś popłynął promem do Noddle Island — poradził mu, gdy jechali przez miasto po Ronaldowego konia.

— Płynę zatem promem — odparł Ronald. Rzeczywiście, droga powrotna zajęła mu nieporównanie mniej czasu niż jazda do Bostonu. Wczesnym popołudniem zajechał na Prison Lane i osadził konia przed więzieniem. Zwierzę było niemiłosiernie zgonione. Z nozdrzy kipiały mu bańki piany.

Ronald był równie wyczerpany i pokryty brudem. Jego czoło przecinały pionowe bruzdy, które wyźłobiły w kurzu strużki potu. Był zmęczony także psychicznie, a poza tym głodny jak wilk i spragniony. Ale nie myślał teraz o własnych potrzebach. Promyk nadziei dla Elizabeth gnał go naprzód.

Wpadł do kancelarii więziennej. Ku jego rozczarowaniu nie było w niej nikogo. Zaczął bębnić pięściami w dębowe drzwi prowadzące do cel. Uchyliły się z trzaskiem i wyjrzała zza nich nalana twarz Williama Dountona.

Chcę się widzieć z żoną — rzucił Ronald bez tchu. — Teraz jest pora jedzenia — odparł William. — Przyjdź, Panie, za godzinę.

W odpowiedzi Ronald otworzył drzwi potężnym kopniakiem. William zatonął się do tyłu. Z jego wiadra chlusnęła na podłogę cienka owsianka.

— Chcę ją widzieć teraz! — warknął Ronald.

— Sędziowie się o tym dowiedzą — zagroził William, ale odstawił wiadro i poprowadził Ronalda do piwnicy.

Po paru minutach Ronald przysiadł obok Elizabeth. Delikatnie potrząsnął ją za ramię. Zamrugła oczami i natychmiast spytała o dzieci.

— Jeszcze ich nie widziałem — powiedział Ronald. — Ale mam dobre nowiny. Rozmawiałem z Samuelem Sewallem i wielebnym Cottonem Matherem. Powiadają, że możemy uzyskać odroczenie.

— Bogu niech będą dzięki. — Oczy Elizabeth rozbłyły w świetle kaganka.

— Ale musisz się przyznać. I musisz wskazać innych, którzy zawarli pakt z diabłem.

— Do czego mam się przyznać?

— Do czarów — odparł Ronald ze złością.

Zmęczenie i zdenerwowanie naruszyły powłokę opanowania pod którą zwykle skrywał uczucia.

— Nie mogę się przyznać.

— A to czemu? — spytał ostro Ronald.

— Bo nie jestem czarownicą.

Przez chwilę Ronald bez słowa wpatrywał się w żonę, zaciskając pięści z rozpacz i bezsily.

— Nie mogę zaprzecić się samej siebie — przerwała nabrzmiałą napięciem ciszą Elizabeth. — Nie przyznam się do czarostwa.

Wyczerpany, doprowadzony do ostateczności, Ronald zapłonął gniewem. Trzasnął pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. Przysunął twarz tuż do jej twarzy.

— Przyznasz się — warknął. — Ja ci rozkazuję.

— Czy powiedziano ci, kochany mężu, o użytym przeciwko mnie dowodzie? — spytała Elizabeth bynajmniej nie przestraszona wybuchem Ronalda.

Ronald wyprostował się i rzucił szybkie spojrzenie na Williama, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Polecił mu, by się cofnął. William poszedł więc po swoje wiadro i zaczął obchodzić ze strawą piwnicę.

— Widziałem ten dowód — powiedział Ronald, gdy William nie mógł ich już usłyszeć. — Wielebny Mather trzyma go u siebie w domu.

— Musiałam widocznie zgrzeszyć jakimś pogwałceniem woli Boga — ciągnęła Elizabeth. — Do tego mogłabym się przyznać, gdybym wiedziała, co to było. Ale czarownicą nie jestem i z pewnością nie dręczyłam żadnej z tych dziewcząt, które świadczyły przeciwko mnie.

— Przyznaj się tylko teraz, tylko żeby uzyskać odroczenie — błagał Ronald. — Chcę ratować twoje życie.

— Nie mogę ratować życia, gubiąc duszę. Jeśli zaprę się siebie, oddam się w ręce diabła. I nie znam też żadnych innych czarownic, a nie mogę pozywać niewinnych, żeby ocalić siebie.

— Musisz się przyznać — krzyknął Ronald. — Jeśli się nie przyznasz, to ja się ciebie wyprę!

— Postapiesz, jak ci sumienie dyktuje. Ja nie przyznam się do czarostwa.

— Błagam — Ronald zmienił taktykę. — Dla dzieci.

— Musimy ufać Bogu.

— On nas opuścił — jęknął Ronald.

Łzy złościły sobie drogę w grubej warstwie kurzu na jego twarzy. Elizabeth z trudem dźwignęła zakutą w kajdany rękę i położyła mu na ramieniu.

— Nie trać ducha, drogi mężu. Nieodgadnione są wyroki Pańskie.

Ronalda opuściły resztki opanowania. Zerwał się na równe nogi i wypadł z więzienia.

WTOREK, 19 LIPCA 1692

Ronald niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Stał na Prison Lane, naprzeciwko więzienia. Czoło pod szerokim rondem kapelusza miał zlane potem. Dzień był gorący, mglisty, parny, a duszną atmosferę wzmagająca jeszcze nadnaturalna cisza, która spowijała miasto, choć na ulicach zgromadził się oczekujący tłum. Milczały nawet mewy. Wszyscy czekali na wóz.

Myśli Ronalda sparaliżowała mieszanina trwogi, rozpacz i paniki. Nie mógł pojąć, czym on albo Elizabeth ściągnęła na siebie tę katastrofę. Na rozkaz sądu zabroniono mu wstępu do więzienia od poprzedniego dnia, kiedy to po raz ostatni próbował namówić Elizabeth do współdziałania. Ale żadne błagania, zaklęcia ani groźby nie były w stanie złamać jej postanowienia. Nie przyzna się.

Z osłoniętego murami dziedzińca dobiegł go metaliczny turkot żelaznych obręczy kół. Niemal natychmiast ukazał się wóz. W jego tyle stało pięć ciasno przytulonych do siebie kobiet. Za wozem szedł William Downton, szeroko uśmiechnięty wobec bliskiego już wydania więźniarek w ręce kata.

Z tłumu gapiów zerwały się nagle wiwaty, zapoczątkowując wręcz karnawałowy nastrój. Dzieci z gwałtowną energią rzuciły się do swoich zwykłych zabawek, dorośli śmiali się i klepali po plecach. Jak zazwyczaj dzień egzekucji był dla mieszkańców dniem świątecznym, dniem zabawy. Lecz nie dla Ronalda oraz rodzin i przyjaciół innych ofiar.

Uprowadzony przez wielebnego Mathera, Ronald nie zdziwił się ani nie odzyskał nadziei, widząc, że wśród tych pięciu nie ma Elizabeth. Za radą pastora Elizabeth miała być stracona jako ostatnia, gdy tłum nasyci się już krwią pierwszych pięciu ofiar. Chodziło o to, by jak najmniej rzucała się w oczy, zwłaszcza tym, którzy widzieli bądź słyszeli o dowodzie jej winy.

Wóz przejechał tuż obok Ronalda, tak że mógł spojrzeć w twarze skazanych. Wszystkie więźniarki wyglądały na zrozpaczone i złamane brutalnym traktowaniem i bliskim strasliwym końcem. Ronald rozpoznał tylko dwie: Rebeccę Nurse i Sarah Good. Obie były ze wsi Salem. Inne pochodziły z okolicznych miast. Patrząc na Rebeccę Nurse, której pobożność wszak dobrze znał, przypomniał sobie posępną przestrożę wielebnego Mathera, że sprawa czarownic w Salem może łatwo wymknąć się władzom z rąk.

Wóz dotarł do Essex Street i skręcił na zachód. Tłum popłynął za nim. Wśród ciżby wyróżniał się wielebny Cotton Mather, jedyny człowiek na koniu.

Niemal pół godziny później Ronald znów usłyszał z więziennego podwórca metaliczną zapowiedź. Pojawił się drugi wóz. Z tyłu z pochyloną głową siedziała Elizabeth. Jej kajdany były tak ciężkie, że nie mogła stać. Wóz przetoczył się tuż obok Ronalda, ale ona nie podniosła na niego oczu ani też on do niej nie przemówił. Żadne nie znalazło słów.

Ronald ruszył w pewnej odległości za wozem. Zdawało mu się chwilami, że

to jakiś koszmarny sen. Szarpały nim sprzeczne uczucia. Pragnął uciec i ukryć się przed światem, a zarazem pragnął też być do końca z Elizabeth.

Na zachodnim krańcu Salem, po przejeździe przez Town Bridge, wóz skręcił z głównego gościńca i zaczął wspinać się na wzgórze, gdzie dokonywano straceń. Droga wiła się w górę wśród ciernistych krzewów, aż przeszła w niegościnnie skalisty szczyt, gdzie rosło zaledwie kilka dębów i akacji. Wóz dołączył do pierwszego, pustego już, i stanął.

Ocierając brwi z potu Ronald wystąpił. Przed sobą ujrzał hałaśliwy tłum skupiony wokół jednego z większych dębów. Cotton Mather, wciąż na koniu, trzymał się na uboczu. U stóp drzewa stały skazane. Sprowadzony z Bostonu kat w czarnym kapturze przerzucił sznur przez grubą gałąź. Jeden koniec przywiązał do pnia u samej podstawy drzewa, a na drugim zrobił pętlę i założył ją przez głowę Sarah Good, która z trudem utrzymywała równowagę na szczeblach opartej o drzewo drabiny.

Ronald zobaczył, że do skazanej zbliża się wielebny Noyes z miasta Salem. W rękach ścisnął Biblię.

— Przyznaj się, czarownico! — krzyknął.

— Taka ja czarownica jak ty czarownik! — odkrzyknęła mu w odpowiedzi Sarah.

Przeklinała jeszcze pastora, ale Ronald nie dosłyszał jej słów, bo z tłumy zerwały się okrzyki, a ktoś głośniejszy od innych wrzasnął na kata, by czynił swoją powinność. Kat posłusznie pchnął Sarah Good i ciało jej spadło z drabiny.

Tłum wiwatował i ryczał: „Giń, wiedźmo!” Sarah chwilę walczyła z dławiącą ją liną. Jej twarz zrobiła się fioletowa, potem czarna. Gdy drgawki ustały, kat przystąpił do kolejnej egzekucji.

Z każdą następną ofiarą entuzjazm przygasiał. Gdy ostatnia z piątki została zepchnięta z drabiny i kat zabrał się do odcinania ciał, tłum stracił zainteresowanie widowiskiem. Choć nieliczni gapie poszli jeszcze zobaczyć, jak zwłoki wrzuca się do płytkiego wspólnego grobu w skalistej ziemi, większość ruszyła już z powrotem w kierunku miasta, by tam dalej świętować.

Wtedy dopiero katu przekazano Elizabeth. Jej kajdany były tak ciężkie, że musiał ją podtrzymywać, bo nie mogła o własnych siłach podejść do drabiny.

Ronald przełknął ślinę. Nogi się pod nim ugięły. Chciał wykrzyknąć swój gniew. Chciał błagać o litość. Ale nie zrobił nic. Nie mógł się poruszyć.

Podjechał do niego wielebny Mather.

— To wola Boga — powiedział.

Walczył z koniem, który spłoszył się wyczuwszy udrękę Ronalda. Ronald nie odrywał oczu od Elizabeth. Pragnął rzucić się naprzód i zabić kata.

— Musisz pamiętać o uczynku Elizabeth, o jej własnym dziele — napomniał go wielebny Mather. — Powinieneś dziękować Panu, że śmierć pokrzyżowała szatański plan zniszczenia naszego Syjonu. Pamiętaj, że widziałeś dowód na własne

oczy.

Ronald zmusił się, by skinać głowę. Z trudem walczył ze łzami. Widział do-
wód. Było to bez wątpienia dzieło szatana.

— Ale dlaczego? — krzyknął nagle. — Dlaczego właśnie Elizabeth?

Na krótką chwilę Elizabeth podniosła wzrok i napotkała jego oczy. Jej war-
gi drgnęły, jakby chciała przemówić, ale zanim zdążyła, kat pchnął. Inaczej niż
przy poprzednich ofiarach, tym razem zrobił luźniejszą pętlę. Ciało spadło z dra-
biny z jednym tylko gwałtownym śmiertelnym targnięciem na końcu swej drogi.
W przeciwieństwie do poprzedniczek Elizabeth nie szarpała się i twarz jej nie
poczerniała.

Ronald zatopił twarz w dłoniach i zapłakał.

ROZDZIAŁ 1

WTOREK, 12 LIPCA 1994

Wychodząc przez bramkę obrotową ze stacji metra na Harvard Square w Cambridge w stanie Massachusetts, Kimberly Stewart rzuciła okiem na zegarek. Do dziewiętnastej miała jeszcze trochę czasu. Wiedziała, że się nie spóźni, no, najwyżej parę minut, a mimo to szła pośpiesznie. Przeszła przez tłum na placu i prawie biegiem pokonała krótki odcinek Massachusetts Avenue do skrzyżowania w prawo, w Holyoke Street.

Przed budynkiem, w którym mieścił się Hasty Pudding, zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu. Przy okazji przyjrzała mu się. Ten harwardzki klub знаła tylko o tyle, że słyszała o dorocznych nagrodach, które przyznawał aktorom i aktorkom. Jak większość budynków Uniwersytetu Harvarda zbudowany był z cegły z białym obramowaniem. Nigdy nie była w środku, choć prowadzono tu również ogólnie dostępną restaurację pod nazwą Na Pięterku. To miała być jej pierwsza wizyta.

Oddychając już prawie normalnie, Kim otworzyła drzwi i weszła. Przed sobą zobaczyła kilka kondygnacji stromych schodów. Zanim dotarła do kierownika sali, była już znowu lekko zdyszana. Spytała o toaletę.

Zmagając się z gęstymi kruczoczarnymi włosami, które jak zwykle odmawiały podporządkowania się jej woli, Kim tłumaczyła sobie, że nie ma się czym denerwować. W końcu Stanton Lewis to rodzina. Tyle tylko że nigdy nie dzwonił w ostatniej chwili, żeby jej powiedzieć, że „musi się z nią spotkać” i że „to pilne”.

Zrezygnowała z dalszej walki z włosami i uznała, że może już stawić czoło kierownikowi sali. Tym razem powiedziała, że jest umówiona z państwem Lewi-sami.

— Prawie wszyscy już są — poinformowała ją hostessa.

Podążając za nią przez główną salę Kim czuła, że jej niepokój podskoczył o jeden stopień. Nie podobało jej się to „wszyscy”. Kto jeszcze ma być na tym obiedzie?

Hostessa poprowadziła Kim na pełen gości osłonięty kratą taras. Stanton i jego żona Candice siedzieli przy czteroosobowym stoliku w rogu.

— Przepraszam za spóźnienie — zaczęła Kim, gdy znalazła się przy nich.

— Nie spóźniłaś się ani o sekundę — odparł Stanton.

Zerwał się na równe nogi i zamknął Kim w demonstracyjnym długim uścisku, od którego aż się wygięła. Zarazem jej twarz przybrała kolor jaskrawej czerwieni. Miała nieprzyjemne wrażenie, że cały taras im się przygląda. Zdoławszy się wy-swobodzić, umknęła na krzesło, które przytrzymała dla niej hostessa, i spróbowała zapaść się w siedzenie.

Przy Stantonie zawsze czuła się nieswojo i zawsze miała wrażenie, że zanadto rzuca się w oczy. Choć byli kuzynami, Kim czuła się jego towarzyską antytezą. Sama była raczej nieśmiała, czasem nawet niezręczna, natomiast on — po prostu chodząca pewność siebie: swobodny, asertywny, ofensywny światowiec. Zbudowany jak zawodowy narciarz, wysoki, wyprostowany, górował nad wszystkimi jak przystało wytrawnemu przedsiębiorcy. Nawet jego żona, Candice, mimo swojego skromnego uśmiechu pogłębiała w niej poczucie towarzyskiej niewydolności.

Kim odważyła się szybko rozejrzeć, przy czym nieumyślnie zderzyła się z hostessą, która usiłowała rozłożyć jej serwetkę na kolanach. Obie przeprosiły jednocześnie.

— Rozluźnij się, kuzynko — powiedział Stanton, gdy hostessa się oddaliła. Przechylił się nad stolikiem i nalał Kim białego wina. — Znowu jesteś napięta jak struna w mandolinie.

— Nie mów mi, żebym się rozluźniła, bo to mnie jeszcze bardziej denerwuje — odparła Kim. Pociągnęła łyk wina.

— Dziwny z ciebie okaz — oświadczył żartobliwie Stanton. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu się zawsze tak cholernie kontrolujesz. Na przykład teraz, siedzisz w gronie rodzinnym, w sali pełnej ludzi, których nigdy więcej nie zobaczysz. Rozepnij ten gorset.

— Próżno by szukać gorsetu w mojej garderobie — zażartowała Kim. Mimo wszystko poczuła się nieco swobodniej. — Wcale mnie nie dziwi, że nie rozumiesz. Jesteś tak niesamowicie pewny siebie, że nie potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, jak można się czuć inaczej.

— Daj mi szansę, to może zrozumiem. Wyzywam cię, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego na przykład czujesz się nieswojo teraz i tutaj. Wielki Boże, kobieto, ręce ci się trzęsą!

Kim odstawiła kieliszek i ukryła ręce pod stolikiem.

— To przez ten pośpiech. Po twoim telefonie ledwo miałam czas wziąć prysznic, a co dopiero znaleźć coś do ubrania. W dodatku, skoro już musisz wiedzieć, do szafu mnie doprowadzają te kosmyki. — Na ślepo starała się poprawić włosy nad czołem.

— Twoja sukienka jest prześliczna — wtrąciła się Candice.

— Bez wątplenia — dodał Stanton. — Wyglądasz fantastycznie, Kimberly.

— Nie trzeba być szczególnie bystrym, by wiedzieć, że wymuszone komple-menty są nieodmiennie fałszywe — zaśmiała się Kim.

— Brednie — stwierdził Stanton. — Cały dowcip polega na tym, że jesteś piękną, pociągającą kobietą, a zachowujesz się, jakbyś nie miała o tym pojęcia, co, muszę powiedzieć, właściwie nawet dodaje ci uroku. Ile masz lat, dwadzieścia pięć?

— Dwadzieścia siedem.

Kim znowu upiła trochę wina.

— Dwadzieścia siedem lat i z każdym rokiem piękniejsza. — Stanton uśmiechnął się szelmowsko. — Masz rysy, za które niejedna kobieta oddałaby duszę diabłu, skórę jak pupa niemowlęcia i figurę baletnicy, nie mówiąc już o tych szmaragdowych oczach, które zelektryzowałyby nawet grecki posąg.

— Prawda jest nieco inna. Budowa mojej twarzoczaszki niczym się nie wyróżnia, jakkolwiek nie jest zła. Moja skóra ma tę właściwość, że nigdy się nie opala, a „figura baletnicy” to, jak rozumiem, sympatyczniejsza forma stwierdzenia, że mogłabym mieć więcej ciała.

— Jesteś dla siebie niesprawiedliwa — powiedziała Candice.

— Najlepiej zmienmy temat — zaproponowała Kim. — Takie rozmowy nie działają na mnie odprężająco. Prawdę mówiąc, czuję się jeszcze bardziej nieswojo.

— Najmocniej przepraszam za wszystkie moje szczerze komplementy. — Szelmowski uśmiech powrócił na twarz Stantona. — O czym wolałabyś porozmawiać?

— Może o tym, do czego była ci nagle tak niezbędna moja obecność na obiedzie?

— Potrzebuję twojej pomocy. — Stanton nachylił się ku niej poufale.

— Mojej? — zdziwiła się Kim. — Ty, wielki finansista? Czy to jakiś dowcip?

— Wręcz przeciwnie. Za kilka miesięcy będę oferował do sprzedaży pierwsze akcje jednej z moich firm biotechnologicznych o nazwie Genetrix.

— Nie inwestuję — odparła Kim. — Zwróciłeś się do niewłaściwej krewnej. Teraz Stanton się roześmiał.

— Nie chodzi o pieniądze. Nie, potrzebuję całkiem innego rodzaju pomocy. Tak się złożyło, że rozmawiałem dzisiaj z ciocią Joyce i...

— O, nie! — przerwała nerwowo Kim. — I cóż moja matka znowu powiedziała?

— Wspomniała tylko, że właśnie zerwałam ze swoim chłopakiem.

Kim pobladła. Uczucie skrępowania błyskawicznie powróciło.

— Że też matka nie może powściągnąć swojego plotkarskiego języka — powiedziała poirytowana.

— Joyce nie zdradziła żadnych sensacyjnych szczegółów — tłumaczył Stanton.

— To niczego nie zmienia. Zawsze rozpowiadała o moich i Briana osobistych sprawach na prawo i lewo.

— Powiedziała tylko, że Kinnard nie był dla ciebie. Akurat w tym się z nią zgadzam, skoro wiecznie ci się urywa z kumplami, a to na narty, a to na ryby.

— I to mają nie być szczegóły — jęknęła Kim. — Poza tym przesadziła. Ryby to coś nowego. Narty są raz do roku.

— Szczerze mówiąc nie słuchałem zbyt uważnie — przyznał się Stanton. — W każdym razie dopóki nie spytała, czy nie znam kogoś bardziej odpowiedniego.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła Kim z rosnącym rozdrażnieniem. — Nie wierzę własnym uszom. Czy to znaczy, że matka chciała, żebyś mnie wyswatał?

— Jak dotąd nie była to moja najmocniejsza strona. — Na twarz Stanton'a wypłynął uśmiech samozadowolenia. — Ale nagle doznałem olśnienia. Odkładając słuchawkę wiedziałem już, kogo mam ci przedstawić.

— Nie mów mi tylko, że po to mnie tu dzisiaj ściągnąłeś — Kim wpadła w popłoch. Czuła, jak przyspiesza jej tętno. — Za nic w świecie bym nie przyszła, gdybym się domyślała. . .

— Uspokój się. Czemu się tak trzęsiesz? Zobaczysz, że będzie bardzo fajnie. Zaufaj mi.

— To za wcześnie.

— Nigdy nie jest za wcześnie. Moje motto brzmi: Dzień dzisiejszy to wczorajsze jutro.

— Jesteś niemożliwy, Stanton. Nie czuję się na siłach poznawać nikogo nowego. Poza tym wyglądam jak strach na wróble.

— Już ci mówiłem, że wyglądasz szafowo. Wierz mi, Edward Armstrong runie ci do stóp jak mur berliński. Jedno spojrzenie tych szmaragdowych oczu i będzie miał nogi jak z waty.

— Nie bądź śmieszny — ofuknęła go Kim.

— Od razu muszę się przyznać, że mam w tym swój cel — ciągnął Stanton. — Odkąd zajmuję się interesami, stale próbuję pozyskać Edwarda dla którejś z moich firm biotechnologicznych. Teraz gdy Genetrix wchodzi na rynek, chwila jest wprost wymarzona. Wpadłem na pomysł, żeby go z sobą związać poznając go z tobą, Kim. Wtedy może zdołam go skłonić, żeby dał się włączyć do grupy doradców naukowych Genetrixu. Jego nazwisko na prospekcie emisji oznacza o dobre cztery albo i pięć milionów wyższą cenę wywoławczą. W ten sposób mogę i z niego zrobić milionera.

Kim chwilę milczała, zajęta jedynie winem. Była całkowicie wytrącona z równowagi. Stanton nie tylko postawił ją w krępującej sytuacji, ale wręcz wykorzystał. Jednak nie okazała, jak bardzo ją to rozgniewało. Zawsze miała trudności z okazywaniem swoich uczuć w takich jak ta sytuacjach konfrontacji. Stanton zaś zdumiał ją jak zwykle; manipulator i egoista, a przy tym rozbijając szczerzy.

— Może Edward Armstrong nie chce być milionerem — powiedziała po dłuższej pauzie.

— Nonsens. Każdy chce być milionerem.

— Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale nie wszyscy myślą tak samo jak ty.
— Edward Armstrong to bardzo sympatyczny pan — odezwała się Candice.
— To brzmi podejrzanie, jak męski odpowiednik powiedzenia kobiecie, że ma ciekawą osobowość.

Stanton zachichotał.

— Wiesz co, kuzynko, może i brak ci piątej klepki, ale poczucie humoru to masz.

Chciałam przez to powiedzieć — podjęła Candice — że Edward jest człowiekiem delikatnym. Według mnie to ważne. Z początku byłam przeciwna temu pomysłowi, ale potem pomyślałam, jak by to było miło, gdybyś nawiązała znajomość z kimś naprawdę dobrze wychowanym. O ile wiem, twój związek z Kinnardem był dosyć burzliwy. Uważam, że zasługujesz na coś lepszego.

Kim była zdumiona. Candice nic przecież nie wiedziała o Kinnardzie. Ale nie zaoponowała. Powiedziała tylko:

— Mieliśmy problemy, lecz wina była nie tylko po stronie Kinnarda.

Omiotła oczami drzwi. Tętno jej galopowało. Żałowała, że nie potrafi po prostu wstać i wyjść. Ale nie potrafiła. Taka już była, choć w tej chwili szczerze nad tym ubolewała.

— Powiedzieć o Edwardzie, że jest delikatny, to mało — zaczął znowu Stanton. — Edward to geniusz.

— Och, świetnie! — rzuciła Kim sarkastycznie. — Pan Armstrong uzna mnie więc nie tylko za nieatrakcyjną, ale i za nudną. Nie błyszczę specjalnie w rozmowach z geniuszami.

— Zaufaj mi. Dogadacie się na pewno. Macie wspólne tematy. Edward skończył medycynę. Byliśmy kolegami z roku. Często pracowaliśmy w jednej grupie ćwiczeniowej, dopóki na trzecim roku nie wziął urlopu, żeby robić doktorat z biochemii.

— Pracuje jako lekarz?

— Nie, to naukowiec. Zajmuje się biochemią mózgu. Bogate pole do popisu, zwłaszcza ostatnio, a Edward jest na nim wschodzącą gwiazdą, prawdziwą znakomitością, którą Harvard zdołał wykraść Stanfordowi. Ale o wilku mowa.

Kim obróciła się na krześle i zobaczyła, że do ich stolika zbliża się wysoki, barczysty mężczyzna. W jego wyglądzie było jednak coś chłopięcego. Kim wiedziała, że skoro był na roku ze Stantonem, musi mieć koło czterdziestki, ale wyglądał znacznie młodziej. Miał proste jasne włosy koloru piasku i szeroką, gładką, opaloną twarz. Kim zawsze wyobrażała sobie, że prawdziwy naukowiec powinien być blady. Szedł nieco zgarbiony, jakby się obawiał, że zahaczy głową o sufit.

Stanton natychmiast zerwał się na równe nogi i porwał Edwarda w niedźwiedzi uścisk z takim samym entuzjazmem, jaki okazał Kim. Parę razy walnął go z rozmachem po plecach, jak to czują się w obowiązku robić niektórzy mężczyźni.

Przez jedną ulotną chwilę Kim zrobiło się żal Edwarda. Widać było, że przesadnie wylewne powitanie Stantoną krępuje go tak samo, jak krępowało ją.

Stanton dokonał szybkiej prezentacji, Edward uściskał dłonie pań, po czym wszyscy usiedli. Kim zauważyła, że rękę ma wilgotną, a uścisk trochę niepewny; zupełnie jak ona. Zauważyła też, że zacina się lekko i co chwila nerwowym gestem odgarnia włosy z czoła.

— Strasznie przepraszam za spóźnienie — zaczął. Troszeczkę niewyraźnie wymawiał „s”.

— Jesteście ulepieni z jednej gliny — stwierdził Stanton. — Ta tutaj moja cudowna, utalentowana, ponętna kuzynka pięć minut temu powiedziała to samo.

Kim poczuła, że twarz jej oblewa rumieniec. Zapowiadał się męczący wieczór. Na Stantoną nie ma rady.

— Rozluźnij się, Ed — ciągnął ten nalewając Edwardowi wina. — Nie spóźniłeś się. Powiedziałem „około siódmej”. Jesteś bez zarzutu.

— Miałem na myśli to, że wszyscy już na mnie czekaliście — wyjaśnił Edward. Uśmiechnął się nieśmiało i uniósł w górę kieliszek jakby w toastie.

— Dobry pomysł — podchwycił Stanton i porwał swój kieliszek. — Pozwólcie, że zaproponuję toast. Wypijmy najpierw zdrowie mojej ukochanej kuzynki, Kimberly Stewart. Jest ona bez dwóch zdań najlepszą pielęgniarką, jaką może się poszczycić intensywna terapia w MGH. — Wszyscy wyczekująco podnieśli kieliszki, a Stanton skierował wzrok na Edwarda. — Gdyby ci się kiedyś zatkał odpływ w okolicach prostaty, wal prosto do Kimberly. W zakładaniu cewnika nie ma sobie równych!

— Stanton, proszę! — zaprotestowała Kim.

— Dobrze, dobrze — Stanton wyciągnął przed siebie lewą rękę, jakby uciuszając audytorium. — Wróćmy do mojego toastu na cześć Kimberly Stewart. Nie wywiązałem się należycie ze swego obowiązku, gdybym nie zwrócił uwagi zebranych na jej szlachetną genealogię, która sięga niemalże czasów Mayflower. Po mieczu naturalnie. Po kądzieli zaledwie do wojny o niepodległość; dodam, że przedstawicielem tej gorszej gałęzi rodziny jestem ja.

— Już dosyć, Stanton — przerwała Kim. Czowała się w najwyższym stopniu upokorzona.

— Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął Stanton ze swadą doświadczonego mówcy bankietowego. — Pierwszy absolwent Harvardu w rodzinie Kimberly uzyskał dyplom w tysiąc sześćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Był to sir Ronald Stewart, założyciel Maritime, Ltd., jak również obecnej dynastii Stewartów. A najbardziej interesujące jest to, że pra-pra — osiem razy „pra” — babka Kimberly została powieszona w Salem jako czarownica. Niech mi kto powie, że jest coś bardziej amerykańskiego!

— Wiesz co, Stanton, czasem potrafisz być prawdziwym draniem. — Przez chwilę złość wzięła górę nad zażenowaniem Kim. — To nie jest temat do publicz-

nego omawiania.

— A czemuż to nie, u diabła? — spytał Stanton ze śmiechem. Spoglądając w stronę Edwarda wyjaśnił: — Stewartowie mają śmieszne przeświadczenie, że ta starodawna historia rzuca cień na ich nazwisko.

— Ludzie mają prawo do różnych odczuć, nawet jeśli tobie wydają się one śmieszne — oświadczyła zapalczywie Kim. — Poza tym osobą najbardziej na tym punkcie przeczuloną jest moja matka, a twoja ciotka, z domu Lewis. Ojciec nigdy nie powiedział mi na ten temat ani słowa.

— Dobra, dobra — Stanton machnął ręką. — Ja osobiście uważam, że to fascynująca historia. Szkoda, że mnie się tak nie poszczęściło; to zupełnie jakby się miało przodka na Mayflower albo na łodzi, którą Waszyngton przepływał Delaware.

— Uważam, że powinniśmy zmienić temat — powiedziała Kim.

— Słusznie — przytaknął ugodowo Stanton. On jeden ciągle jeszcze trzymał w górze kieliszek. To był długi toast. — Przejdźmy zatem do Edwarda Armstronga. Wnieśmy zdrowie najniezwyklejszego, najpracowitszego, najbardziej twórczego i błyskotliwego neurochemika na świecie, nie, we wszechświecie! Wnieśmy zdrowie człowieka, który zaczynał na ulicach Brooklynu, o własnych siłach zdobywał wykształcenie i w swojej dziedzinie wspiął się na szczyt. Zdrowie tego, który już powinien załatwiać sobie rezerwację na lot do Sztokholmu po odbiór Nagrody Nobla, jako że ma ją w kieszeni za swoje badania nad neurotransmiterami, pamięcią i mechaniką kwantową.

Stanton wyciągnął kieliszek przed siebie i wszyscy poszli jego śladem. Szkło brzęknęło; wypili. Odstawiając kieliszek na stół, Kim ukradkiem zerknęła na Edwarda. Widziała jasno jak na dłoni, że jest tak samo speszony i nieśmiały jak ona.

Stanton głośno postawił swój kieliszek i przystąpił do napełniania go na nowo. Rzucił okiem na pozostałe i wstawił butelkę do kubelka z lodem.

— No więc poznaliście się. Teraz macie się w sobie zakochać, wziąć ślub i mieć kupę rozkosznych dzieciaków. Za umożliwienie wam tego owocnego spotkania ja ze swojej strony nie chcę nic poza zgodą Edwarda na przystąpienie do rady naukowej Genetrixu.

Stanton wybuchnął hucznym śmiechem nie przejmując się wcale, że nikt mu nie wtóruje. Uspokoiwszy się wreszcie, zawołał: — No dobrze, gdzie, u diabła, jest kelner? Czas coś zjeść!

Przed restauracją towarzystwo przystanąło.

— Moglibyśmy przejść się spacerkiem za róg i zjeść lody u Herrella — zaproponował Stanton.

— Nie zmieszczę już ani kęsa — odparła Kim.

— Ani ja — dodał Edward.

— Nie jadam deserów — oświadczyła Candice.

— W takim razie kogo podwieźć? — spytał Stanton. — Nasz samochód jest dwa kroki stąd, w garażu Holyoke Center.

— Ja mam bardzo dobry dojazd metrem — podziękowała Kim.

— A ja mieszkam bardzo blisko — powiedział Edward.

— No to zostawiam was własnemu losowi — stwierdził Stanton. I pożegnawszy Edwarda obietnicą, że wkrótce się z nim skontaktuje, ujął Candice pod rękę i ruszyli w kierunku garażu.

— Mogę cię odprowadzić do metra? — spytał Edward.

— Będę ci wdzięczna.

Szli obok siebie. Kim czuła, że Edward chce jej coś powiedzieć. Tuż przed zakretem przemówił:

— To był bardzo sympatyczny wieczór. — Przy „b” trochę się zaciął. — Co byś powiedziała na mały spacer po Harvard Square, zanim wrócisz do domu?

— Świetnie — zgodziła się. — Będzie mi bardzo miło.

Ramię w ramię wędrowali po tym skomplikowanym zbiegu Massachusetts Avenue, JFK Drive, części Harvard Street, Elliot Street i Brattle Street. Nie był to właściwie plac, lecz kompleks podwórek i placyków o nieregularnych zarysach. W letnie noce miejsce to przeradza się w tętniący życiem jakby średniowieczny uliczny teatrzyk żonglerów, muzyków, recytatorów poezji, iluzjonistów i akrobatów.

Była ciepła, jedwabista, letnia noc. Wysoko w ciemnym niebie szczebiotał kozodój. Mimo blasku świateł miasta widać było nawet kilka gwiazd. Kim i Edward obeszlili cały plac, zatrzymując się na krótko na obrzeżu tłumku zgromadzonego przed każdym ulicznym artystą. Mimo że oboje mieli złe przecucia co do tego wieczoru, w końcu jednak dobrze się bawili.

— Cieszę się z tego dzisiejszego wyjścia — powiedziała Kim.

— Ja też — odparł Edward.

Usiedli na niskim betonowym murku. Na lewo od nich jakaś kobieta śpiewała płaczliwą balladę. Na prawo żwawa grupa peruwiańskich Indian grała na ludowych fletniach Pana.

— Stanton jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju — powiedziała Kim.

— Nie wiedziałem, kiedy mam się bardziej wstydzić przy tym jego zachowaniu.

Kim się roześmiała. Ona też czuła się tak samo nieswojo, gdy Stanton wygłaszał toast na cześć Edwarda, jak wtedy gdy wznosił jej zdrowie

— A najbardziej zadziwia mnie w nim to — podjęła — że przy swoim manipulatorstwie potrafi być tak czarujący.

— Tak, to bardzo dziwne. Ja nie potrafiłbym się tak zachować, nawet gdybym tysiąc lat trenował. Prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że jestem dla niego tylko

tłem. Zazdrościłem mu, chciałem mieć choć połowę jego tupetu. Ja sam w towarzystwie do dziś jestem nieśmiały, a właściwie trzeba powiedzieć, że drętwy.

— Tak samo jest ze mną — przyznała Kim. — Zawsze chciałam być bardziej pewna siebie. Ale jakoś mi to nie wychodzi. W sytuacjach towarzyskich nigdy nic mądrego nie przychodzi mi do głowy w porę. Pięć minut potem już wiem, co trzeba było powiedzieć, ale niestety za późno.

— Jesteśmy z jednej gliny, jak to powiedział Stanton. Cały problem w tym, że on zna nasze słabości i doskonale wie, jak nam dopiec. Cierpię katusze za każdym razem, kiedy on wyjeżdża z tymi bzdurami na temat Nagrody Nobla.

— Przepraszam w imieniu rodziny. Przynajmniej, trzeba mu to przyznać, nie jest skąpy.

— Jak blisko jesteście spokrewnieni?

— Jesteśmy rzeczywiście kuzynami. Moja matka jest siostrą ojca Stanton.

— Ja też przepraszam. Nie powinienem źle o nim mówić. Byliśmy na jednym roku w szkole medycznej; ja pomagałem mu na ćwiczeniach, a on mnie na imprezach. Stanowiliśmy całkiem niezły duet. Przyjaźnimy się od tamtych czasów.

— Czemu z nim nie współpracujesz w jego finansowych przedsięwzięciach?

— Jakoś nigdy mnie to nie interesowało. Lubię pracę naukową, w której dąży się do poznania dla samego poznania. To nie znaczy, że jestem przeciwny praktycznym zastosowaniom nauki. Po prostu to mnie tak nie pociąga. Poza tym pod pewnymi względami nauka i praktyka stoją ze sobą w sprzeczności, szczególnie jeśli chodzi o wymóg tajności w produkcji. Wolny przepływ informacji to dla nauki życiodajna krew, ich utajnianie to zguba.

— Stanton mówi, że mógłby cię zrobić milionerem.

Edward roześmiał się.

— I cóż by mi to dało? Robię to, co lubię: jestem pracownikiem naukowym i nauczycielem akademickim. Zastryk miliona dolarów tylko by mi skomplikował życie i narobił wrogów. Odpowiada mi to, co mam.

— Próbowалаm to podpowiedzieć Stantonowi, ale on nie słuchał. Jest taki uparty.

— Ale pełen wdzięku i zabawny. Oczywiście grubo przesadził mówiąc o mnie w tym swoim toaście-rzece. Ale co z tobą? Czy korzenie twojej rodziny naprawdę sięgają siedemnastego wieku?

— Akurat ta część jest prawdziwa.

— To fascynujące. To robi wrażenie. Ja miałbym dużo szczęścia, gdyby udało mi się prześledzić genealogię mojej rodziny dwa pokolenia wstecz, a w dodatku rezultaty byłyby prawdopodobnie raczej kompromitujące.

— Uważam, że większe wrażenie robi ktoś, kto bez żadnej pomocy zdobywa wykształcenie i wybija się w trudnej dziedzinie. To twoja własna zasługa. Ja po prostu urodziłam się Stewartówną. Z mojej strony nie wymagało to żadnego wysiłku.

— A co z tą historią o czarownicy z Salem? — spytał Edward. — To też prawda?

— Tak, prawda — przyznała Kim. — Ale to dla mnie trochę drażliwy temat.

— Strasznie przepraszam — Edward znowu się zająknął. — Nie gniewaj się, proszę. Wprawdzie nie bardzo rozumiem, czym się przejmujesz, ale nie powinienem być o tym wspominać.

— Teraz znowu mnie jest przykro, że wprawiłam cię w zakłopotanie. — Kim potrząsnęła głową. — Rzeczywiście jakoś głupio reaguję na wzmiankę o czarownicach z Salem i prawdę powiedziawszy nawet nie wiem dlaczego. To pewnie przez matkę. Ona mi wbiła do głowy, że to jest coś, o czym się nie mówi. Wiem, że uważa to za rodzinną hańbę.

— Ależ to było ponad trzysta lat temu — zdziwił się Edward.

— Masz rację — Kim wzruszyła ramionami. — To bez sensu.

— Znasz dobrze tę historię?

— W ogólnych zarysach. Chyba tak jak każdy w Ameryce.

— Tak się dziwnie składa, że ja wiem trochę więcej niż większość ludzi. W Harvard University Press wyszła na ten temat książka pióra dwóch bardzo utalentowanych historyków, pod tytułem *Salem opętane*. Zdobyła jakąś nagrodę historyczną i jeden z moich studentów namawiał mnie, żebym ją przeczytał. Więc przeczytałem i naprawdę mnie zaintrygowała. Chętnie ci ją pożyczę.

— Będzie mi bardzo miło — odparła Kim wyłącznie przez grzeczność.

— Poważnie — powiedział Edward. — Na pewno ci się spodoba i być może zmieni twoje podejście do całej tej historii. Jej aspekty społeczno-polityczno-religijne są naprawdę fascynujące. Dowiedziałem się zaskakujących rzeczy. Na przykład, czy wiesz, że w kilka lat po procesach niektórzy przysięgli, a nawet niektórzy sędziowie publicznie się pokajali i prosili o wybaczenie, ponieważ zdali sobie sprawę, że stracono niewinne osoby?

— Naprawdę? — spytała Kim nadal jedynie przez grzeczność.

— Ale nie to najbardziej przykuło moją uwagę. Wiesz, jak to jest, gdy jedna książka prowadzi cię do drugiej. Tak i ja przeczytałem następną książkę, *Trucizny przeszłości* i znalazłem w niej niebywale interesującą, szczególnie dla badacza układu nerwowego, teorię. Mówi ona, że przynajmniej część dziewcząt, które cierpiały na dziwaczne „napady” i oskarżały kobiety z Salem o czary, były w rzeczywistości ofiarami zatrucia. Winowajczynią miała być ergotamina, produkt sporyszu. Ten grzyb o łacińskiej nazwie *Claviceps purpurea* rośnie na zbożu, a zwłaszcza na życie.

Mimo wpojonej jej obojętności dla tematu Edward zdołał zaciekawić Kim.

— Zatrucie ergotaminą? — spytała. — Jakie są jego skutki?

— Ho, hooo! — Edward wzniosł oczy w górę. — Pamiętasz piosenkę Beatlesów *Lucy in the Sky with Diamonds*? No więc właśnie coś w tym rodzaju, po-

nieważ ergotamina zawiera amid kwasu lizergowego, który jest głównym składnikiem LSD.

— To znaczy, że doświadczały halucynacji i omamów?

— Otóż to. Przedawkowanie ergotaminy powoduje albo martwicę tkanek, która może być śmiertelna, albo napady drgawek i urojeń. U dziewcząt z Salem wystąpiła postać drgawkowo-urojeniowa, z przewagą urojeń.

— To bardzo ciekawa teoria. Może nawet zainteresowałyby moją matkę i zmieniła jej nastawienie do naszej przodkini. W końcu w takich okolicznościach trudno kogoś obwiniać.

— O to mi właśnie chodziło. A jednocześnie pomyślałem, że to nie musi być wszystko. Ergotamina mogła być iskrą, która wzniciła płomień, ale potem inne mechanizmy spowodowały, że ogień rozszerzył się w prawdziwy pożar. Z tego, co czytałem, wynika, że różni ludzie z przyczyn ekonomicznych i społecznych wykorzystywali tę sytuację, nawet niekoniecznie świadomie.

— Naprawdę zaostrzyłeś moją ciekawość. Teraz wręcz wstydzę się, że nigdy nie chciało mi się przeczytać na ten temat niczego poza paroma linijkami z podręcznika w liceum. Powinam się wstydić, tym bardziej że posiadłość mojej straconej przodkini ciągle jest własnością naszej rodziny. Prawdę mówiąc wskutek drobnego nieporozumienia między moim ojcem a świętej pamięci dziadkiem odziedziczyliśmy ją właśnie ja i mój brat.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Edward — Chcesz powiedzieć, że twoja rodzina ma tę posiadłość od trzystu lat?

— No, nie całą. Pierwotnie obejmowała ona oprócz tego, co należy do Salem, także część dzisiejszego Beverly, Danvers i Peabody. Nawet majątek w Salem został nieźle okrojony. Niemniej to ciągle spory kawał ziemi. Nie wiem, ile hektarów, ale niemało.

— To i tak niezwykle. Moje jedyne dziedzictwo to sztuczna szczeka ojca i kilka jego masonskich rekwizytów. Myśl, że możesz przechadzać się po ziemi, po której stąpali twoi siedemnastowieczni przodkowie, rozpala moją wyobraźnię. Sądziłem, że tego typu doświadczenia są jedynie udziałem europejskiej arystokracji.

— Nie tylko mogę przechadzać się po ich ziemi, ale mogę nawet wejść do ich domu. Stary dom ciągle jeszcze istnieje.

— Teraz to już sobie ze mnie żartujesz. Nie jestem aż tak łatwowierny.

— Wcale nie żartuję. To nie taka niezwykła rzecz. W Salem i okolicach przetrwało wiele siedemnastowiecznych domów, także tych, które należały do innych straconych czarownic, na przykład Rebecki Nurse.

— Nie miałem o tym pojęcia.

— Powinieneś kiedyś odwiedzić Salem.

— W jakim stanie jest dom?

— Chyba zupełnie niezłym. Nie byłam w nim od wieków, a w każdym razie od czasów dzieciństwa. Ale jak na dom zbudowany ponad trzysta dwadzieścia lat

temu wygląda dobrze. Kupił go Ronald Stewart. To właśnie jego żona, Elizabeth, została stracona.

— Pamiętam jego imię z toastu Stantona. To był pierwszy absolwent Harvardu w dziejach rodu Stewartów.

— O tym nie wiedziałam.

— Co ty i twój brat zamierzacie zrobić z posiadłością?

— Na razie nic. Przynajmniej dopóki Brian nie wróci z Anglii. Kieruje tam rodzinnym przedsiębiorstwem żeglugowym. Wróci gdzieś za rok i wtedy się zobaczy. Póki co, ta posiadłość przysparza nam niestety więcej kłopotu niż pożytku, zważywszy podatki i koszty utrzymania.

— Czy twój dziadek tam mieszkał?

— Wielki Boże, skądże! W starym domu od lat nikt nie mieszkał. Ronald Stewart kupił potężny szmat ziemi graniczący z jego pierwotnym majątkiem i zbudował większy dom, a tamten stary przeznaczył dla dzierżawców czy tam służby. Ten większy dom był wielokrotnie burzony i przebudowywany, ostatni raz na początku naszego stulecia. Właśnie w nim mieszkał mój dziadek. A właściwie słuszniej byłoby powiedzieć, że się po nim obijał. To wielkie domiszcze, po którym hulają przeciągi.

— Założę się, że ma wartość historyczną.

— Instytut Peabody-Essex w Salem i Towarzystwo Ochrony Zabytków Nowej Anglii w Bostonie już wyrażały chęć kupna. Ale moja matka jest temu przeciwna. Przypuszczam, że obawia się wyciągnięcia tej historii z czarownicami.

— Szkoda — powiedział Edward. Znowu się zająknął.

Kim rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie. Udawał, że przygląda się peruwiańskim muzykom, ale był wyraźnie niespokojny.

— Co ci jest? — spytała. Czuła jego napięcie.

— Nic — odparł Edward z wymuszoną swobodą. Wahał się chwilę, po czym powiedział: — Przepraszam, wiem, że nie powinienem o to pytać, i jeśli ci to z jakichkolwiek względów nie odpowiada, to mi po prostu powiedz. To znaczy, ja zrozumieć.

— Ale o co chodzi? — spytała lekko spłoszona.

— Wiesz, to z powodu tych wszystkich książek, o których ci opowiadałem — tłumaczył Edward. — To znaczy, chodzi mi o to, że bardzo chciałbym zobaczyć ten stary dom. Wiem, że to wielka śmiałość prosić cię o to.

— Ależ pokażę ci go z największą przyjemnością — powiedziała Kim z ulgą. — Mam w tym tygodniu wolną sobotę. Moglibyśmy wtedy tam podjechać, jeśli ci to odpowiada. Wezmę klucze od naszego prawnika.

— Czy to nie będzie za duża fatyga?

— Skądże znowu.

— Sobota bardzo mi odpowiada. Czy mógłbym ci się odwdziżyć zaproszeniem na kolację w piątek?

— Przyjmuję — uśmiechnęła się Kim. — Ale teraz chyba już pojadę do domu. Ranna zmiana w szpitalu zaczyna się okrutnie wcześniej.

Oboje zsunęli się z murku i powędrowali w stronę wejścia do metra.

— Gdzie mieszkasz? — spytał Edward.

— W Beacon Hill.

— Słyszałem, że to sympatyczne miejsce.

— Wygodne ze względu na szpital. A mieszkanie jest fantastyczne. Niestety mam je tylko do września. Muszę się wyprowadzić, bo moja współmieszkanka wychodzi za mąż, a to ona je wynajmuje.

— Ja mam podobny problem. Mieszkam w pięknym apartamencie na drugim piętrze prywatnego domu, ale właściciele spodziewają się dziecka i potrzebują miejsca. Więc i ja muszę się wynieść od pierwszego września.

— Współczuję.

— Nie jest tak źle. Od lat miałem zamiar się przeprowadzić, tylko ciągle to odkładałem.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko stąd. Można dojść piechotą. — Zawahał się, po czym dodał: — Miałabyś może ochotę wpaść?

— Chyba innym razem — powiedziała Kim. — Jak już mówiłam, wcześniej zacznę dzień.

Stanęli przy wejściu do metra. Kim odwróciła się i spojrzała prosto w jasno-niebieskie oczy Edwarda. Podobał jej się ich wyraz. Była w nich wrażliwość.

— Chciałam ci pogratulować, że poprosiłeś mnie o możliwość zwiedzenia starego domu — powiedziała. — Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe, a wiem to stąd, że dla mnie byłoby to równie trudne. Ja prawdopodobnie w ogóle bym się na to nie zdobyła.

Edward zaczerwienił się. Potem zachichotał.

— Z całą pewnością nie jestem Stantonem Lewisem. Prawdę powiedziawszy raczej fujara.

— Myślę, że pod tym względem mamy ze sobą coś wspólnego — stwierdziła Kim. — A poza tym uważam, że o wiele lepiej sobie radzisz w towarzystwie, niż jesteś skłonny przyznać.

— To tylko twoja zasługa. Przy tobie czuję się swobodnie, a to już coś znaczy, zważywszy że dopiero się poznaliśmy.

— I ja też mam takie wrażenie — odparła Kim.

Uścisnęli sobie ręce i chwilę tak trwali. Potem Kim odwróciła się i pobiegła do metra.

ROZDZIAŁ 2

SOBOTA, 16 LIPCA 1994

Edward zaparkował na Beacon Street naprzeciwko Boston Common i wbiegł na portiernię budynku, w którym mieszkała Kim. Zadzwoił, starając się jednocześnie uważać, czy nie nadchodzi parkingowy, żeby pobrać opłatę. Znał ich z gorzkiego doświadczenia.

— Przepraszam, że kazałam ci czekać — powitała go Kim, która właśnie nadeszła. Miała na sobie szorty w kolorze khaki i zwykły biały T-shirt. Gęste ciemne włosy związała w koński ogon.

— To ja przepraszam, że się spóźniłem — odparł Edward. I on także, zgodnie z umową, ubrany był swobodnie. — Musiałem wstąpić do pracowni.

Przez krótką chwilę oboje wpatrywali się w siebie, po czym wybuchnęli śmiechem.

— Jesteśmy niemożliwi — przyznała Kim.

— To jest silniejsze ode mnie — zachichotał Edward. — Ciągłe przepraszam. Nawet kiedy nie ma żadnej potrzeby. To śmieszne. Ale wiesz co? Nigdy dotąd sobie tego nie uświadamiałem. Dopiero kiedy ty zwróciłaś na to uwagę wczoraj przy kolacji.

— Zauważyłam to tylko dlatego, że sama to robię. Myślałam o tym potem, jak mnie odwozłeś. Sądzę, że to się bierze z przesadnego poczucia odpowiedzialności.

— Bardzo możliwe. Kiedy wszedłem w wiek dojrzewania, ciągle mi się zdawało, że jeśli coś nie wyszło albo ktoś jest smutny, to jest to moja wina.

— Te podobieństwa są naprawdę niesamowite — zadumała się Kim.

Wsiadli do saaba Edwarda i wyjechali z miasta kierując się na północ. Poranek był jasny, powietrze przejrzyste i chociaż było jeszcze wcześniej, słońce już dawało odczuć swoją letnią moc. Kim opuściła szybę i beztrąsko wystawiła rękę.

— To jakby miniwakacje.

— Zwłaszcza dla mnie — odparł Edward. — Wstyd powiedzieć, ale zazwyczaj każdy dzień spędzam w pracowni.

— Weekendy też?

— Siedem dni w tygodniu — przyznał się Edward. — Niedzielę poznaję na ogół po tym, że ludzi jest mniej. Zdaje się, że jestem strasznie nudnym facetem!

— Ja bym powiedziała, że oddanym swojej pracy. I bardzo wytwornym. Kwiaty, które mi codziennie przysyłasz, są przepiękne, ale nie jestem przyzwyczajona do takiej galanterii. Z pewnością na to nie zasługuję.

— Och, to drobiazg — powiedział Edward.

Czuła, że jest skrępowany. Kilka razy pod rząd odgarnął włosy z czoła.

— Dla mnie to nie drobiazg — odparła. — Jeszcze raz dziękuję.

— Czy nie miałaś żadnych problemów ze zdobyciem kluczy do starego domu? — spytał Edward chcąc zmienić temat.

— Nie, najmniejszych — Kim potrząsnęła głową. — Poszłam po nie wczoraj, zaraz po pracy.

Jechali na północ drogą dziewięćdziesiąt trzy, po czym skręcili na wschód, w sto dwadzieścia osiem. Nie było dużego ruchu.

— Wczorajsza kolacja była bardzo miła — podjął Edward.

— Dla mnie też. Dziękuję ci. Ale dziś uprzytomniłam sobie, że powinnam cię przeprosić; zupełnie zdominowałam rozmowę. Za dużo mówiłam o sobie i o swojej rodzinie.

— No i znowu przepraszasz.

Kim żartobliwie zatkała sobie usta.

— Obawiam się, że mój przypadek jest beznadziejny — zaśmiała się.

— Poza tym — Edward też się śmiał — to ja powinienem przeprosić. To ja przecież bezlitośnie bombardowałam cię pytaniami i w dodatku chyba trochę zbyt osobistymi.

— Nie czułam się w najmniejszym stopniu dotknięta. Mam tylko nadzieję, że nie odstraszyłam cię opowiadaniem o napadach lęków, które miałam na pierwszym roku college'u.

— Och, no wiesz! Wszyscy to mają, szczególnie ci z wybujałym poczuciem obowiązku, jak na przykład lekarze. Ja też potwornie panikowałam przed każdym testem, chociaż nigdy nie miałem żadnych problemów ze stopniami.

— Moje były chyba nieco cięższe niż przeciętnie. Przez pewien czas nawet bałam się prowadzić samochód, z obawy że zamknięcie w ciasnym pomieszczeniu wyzwoli atak.

— Brałaś coś na to?

— Xanax, ale krótko.

— Próbowалаś Prozacu?

Kim odwróciła się, żeby mu się przyjrzeć.

— Nigdy! Po co miałabym brać Prozac?

— Przed chwilą powiedziałaś, że cierpiałaś z powodu lęków i nieśmiałości. Prozac pomógłby ci na jedno i drugie.

— Prozacu nigdy mi nie zalecano. A nawet gdyby, to i tak bym go nie brała. Nie uważam, żeby drobne mankamenty osobowości, jak nieśmiałość, należało leczyć lekami. Leki powinny być zarezerwowane dla poważnych problemów, a nie banalnych trudności życia codziennego.

— Przepraszam — powiedział Edward. — Nie chciałem cię urazić.

— Nie uraziłeś mnie. Ale rzeczywiście moja opinia na ten temat jest zdecydowana. Jako pielęgniarka widuję zbyt wiele ludzi, którzy biorą za dużo leków. Firmy farmaceutyczne wmówiły nam, że na wszystko jest pigułka.

— W zasadzie zgadzam się z tobą. Ale badania nad układem nerwowym pozwoliły mi zrozumieć, że zachowanie i nastrój są uwarunkowane biochemicznie, i to zmieniło moje nastawienie do bezpiecznych leków psychotropowych.

— Co masz na myśli mówiąc o lekach bezpiecznych?

— Leki mające nieznaczne działania uboczne albo zupełnie ich pozbawione.

— Wszystkie leki mają działania uboczne.

— Tak, chyba tak. Ale niektóre są minimalne i w zestawieniu z potencjalnymi korzyściami stanowią z pewnością dopuszczalne ryzyko.

— To chyba sedno sporu filozoficznego.

— Właśnie mi się coś przypomniało. Te dwie książki, które obiecałem ci pozyczyć.

Edward sięgnął na tylne siedzenie, wziął książki i położył je Kim na kolanach. Kim przekartkowała je, narzekając żartobliwie, że nie ma w nich obrazków. Edward roześmiał się.

— Szukałem nazwiska twojej przodkini w części dotyczącej procesów czarownic w Salem. Ale w indeksie nie było Elizabeth Stewart. Jesteś pewna, że została stracona? Autorzy bardzo solidnie zbadali te sprawy.

— O ile mi wiadomo, to prawda. — Kim otworzyła *Salem opętane* na indeksie i przejrzała hasła na „S”. Ostatnie brzmiało Stoughton, William”. Nie było nazwiska Stewart. Po około półgodzinnej jeździe dotarli do Salem. Ich trasa prowadziła obok Domu Czarownicy. Edward natychmiast się nim zainteresował i zatrzymał się na poboczu.

— Co to za budynek?

— Nosi nazwę Domu Czarownicy. To jedna z głównych miejscowych atrakcji turystycznych.

— Naprawdę pochodzi z siedemnastego wieku, czy to coś w rodzaju Disneylandu?

— Nie, to autentyk. I nawet stoi na swoim dawnym miejscu. Bo jest w pobliżu jeszcze jeden siedemnastowieczny budynek, ale ten został przeniesiony na teren kompleksu muzealnego z innego miejsca.

— Klawy — stwierdził Edward oczarowany.

Dom wyglądał jak z bajki. Niezwykła była jego konstrukcja, z drugą kondygnacją wyrastającą nad pierwszą, i romboidalne szyby.

— Nie mów „klawy”, bo to cię postarza — zaśmiała się Kim. — Powiedz raczej, że jest odlotowy.

— Dobrze — przytaknął zgodnie Edward. — Niech będzie odlotowy.

— Jest też zadziwiająco podobny do starego domu w rodzinnym majątku Stewartów. Ale nie jest to ściśle biorąc dom czarownicy, bo żadna czarownica w nim nie mieszkała. Należał do Jonathana Corwina. To był jeden z sędziów, którzy prowadzili przesłuchania wstępne.

— Pamiętam jego nazwisko z *Salem opętanego*. Kiedy się widzi autentyczne miejsca wydarzeń, historia zdaje się ożywać — rzekł Edward. Potem odwrócił się do Kim. — Jak daleko jest stąd do majątku Stewartów?

— Niedaleko. Co najwyżej dziesięć minut.

— Jadłaś już śniadanie?

— Tylko owoce i sok.

— Może wstąpilibyśmy na kawę i pączka?

— Całkiem dobry pomysł.

Jako że był wczesny ranek i hurmy turystów jeszcze się nie zjawily, nie mieli kłopotów z zaparkowaniem w pobliżu Urzędu Gminy. Po drugiej stronie ulicy był barek. Wzięli kawę na wynos i ruszyli na spacer po centrum miasta, zaglądając do Muzeum Czarownic i innych atrakcji turystycznych. Uderzyło ich, jak wiele sklepów i straganów sprzedaje pamiątki związane z procesami czarownic.

— Procesy zrodziły całą gałąź lokalnego przemysłu — zauważył Edward. — Jak na mój gust to trochę zbyt nachalna eksploatacja tematu.

— Rzeczywiście trywializuje tragedię ofiar, ale zarazem sprawia, że pamięć o nich trwa. Ta historia wszystkich fascynuje.

Weszli do centrum obsługi turystów i Kim stanęła oko w oko z całą biblioteką książek i broszur o procesach.

— Nie miałam pojęcia, że aż tyle o tym napisano — powiedziała do Edwarda. Po kilku minutach wertowania kupiła parę pozycji. Jak wyjaśniła Edwardowi, gdy już ją jakiś

temat zainteresuje, zatapia się weń po uszy.

Wróciwszy do samochodu, wyjechali North Street, jeszcze raz minęli Dom Czarownicy i skręcili w prawo na Orne Road. Gdy przejeżdżali obok cmentarza Greenlawn, Kim wspomniała, że kiedyś także i on był częścią posiadłości Stewartów.

Skierowała Edwarda w prawo na zniszczoną szosę. Samochód tak podskakiwał na wybojach, że Edward musiał walczyć z kierownicą. Nie było jak ominąć dziur.

— Jesteś pewna, że to właściwa droga? — powątpiewał.

— Absolutnie — zapewniła Kim.

Po kilku zakrętach dojechali do potężnej bramy z kutego żelaza. Zawieszona była na masywnych słupach z grubo ciosanych granitowych bloków. Wysokie

żelazne ogrodzenie najeżone ostrymi szpikulcami ginęło w gęstym lesie po obu stronach drogi.

— To to? — spytał Edward.

— Tak, to — odpowiedziała Kim. Wskoczyła z samochodu.

— Całkiem okazałe — zawołał do niej Edward, gdy walczyła z ciężką kłódką. — I niespecjalnie zachęcające.

— Taki był styl epoki — odrzyknęła Kim. — Ludzie, którzy mieli pieniądze, kreowali się na możnowładców. — Uporawszy się z kłódką pchnęła bramę. Zawiasy głośno zaskrzypiały.

Kim wróciła do samochodu. Przejechali przez bramę i po kilku dalszych zakrętach wyjechali na szeroką, porośniętą trawą równinę. Edward znów się zatrzymał.

— Dobry Boże — rzekł. — Teraz rozumiem, co miałaś na myśli mówiąc o możnowładcach.

Nad ogromną połacią pola górowała potężna wielokondygnacyjna kamienna budowla z wieżyczkami, blankami i machikułami. Pokryty łupkiem dach upstrzony był wymyślnymi ozdobami i zwieńczonymi kwiatonami oknami mansardowymi. Ze wszystkich jego części niczym chwasty wyrastały kominy.

— Ciekawa mieszanina stylów — zauważył Edward. — Trochę średniowieczny, trochę francuski zamek, a trochę dwór z czasów Tudorów. Niesamowite.

— W rodzinie zawsze nazywaliśmy go zamkiem — wyjaśniła Kim.

— To zrozumiałe. Kiedy określiłaś go jako wielkie domiszcze, po którym hulają przeciągi, nie miałem pojęcia, że to coś aż takiego. Jego miejsce jest w Newport.

— Na Północnym Wybrzeżu w Bostonie jest jeszcze sporo takich wielkich starych domostw. Oczywiście niektóre zostały zburzone. Inne zaadaptowano na domy mieszkalne, ale w tej chwili nie ma na nie rynku. Rozumiesz, dlaczego dla mnie i mojego brata to trochę kula u nogi.

— A gdzie jest stary dom? — spytał Edward.

Kim wyciągnęła rękę w prawo. W dali z trudem dostrzegł ciemnobrazowy budynek wtulony w brzozy zagajnik.

— A ta kamienna budowla na lewo?

— To był kiedyś młyn. Ale już ze dwieście lat temu przerobiono go na stajnię. Edward roześmiał się.

— To naprawdę niesamowite, jak ty swobodnie o tym mówisz. Dla mnie wszystko, co ma ponad pięćdziesiąt lat, to już zabytek.

Zapalił silnik i ruszył, ale zaraz znowu stanął, tuż obok kamiennego polnego murku obrośniętego chwastami.

— A to co? — spytał wskazując murek.

— To jest stary rodzinny cmentarz.

— Żartujesz! Możemy rzucić okiem?

— Oczywiście.

Wysiedli z samochodu i przeprawili się przez murek. Furtka, gęsto zarośnięta krzakami jeżyn, była nie do przebycia.

— Wygląda na to, że wiele nagrobków zostało zniszczonych — powiedział Edward. — I to całkiem niedawno. — Podniósł z ziemi kawałek potrzaskanego marmuru.

— Wandale — odparła Kim. — Niewiele można na to poradzić, skoro posiadłość jest nie zamieszкана.

— Szkoda. — Edward spojrział na datę. Tysiąc osiemset czterdzieści trzy. Było również nazwisko: Nathaniel Stewart.

— Jeszcze do połowy ubiegłego wieku był używany — wyjaśniła Kim.

Powoli ruszyli przez zarośnięty cmentarz. Im dalej się zapuszczali, tym skromniejsze stawały się nagrobki i tym były starsze.

— Czy Ronald Stewart też tu leży? — spytał Edward.

— Tak. — Kim poprowadziła go do prostego okrągłego kamienia z wrytą w nim czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Pod spodem był napis: „Tu spoczywa ciało Ronalda Stewarta, syna Johna i Lydii Stewart. Żył lat 81, zgaśł 1 X 1734”.

— Osiemdziesiąt jeden lat — zauważył Edward. — Zdrowy gość. Żeby dożyć tak sędziwego wieku, musiał być na tyle mądry, żeby się trzymać z daleka od doktorów. W tamtych czasach, kiedy medycyna opierała się na krwiouпустach i straszliwie prymitywnej farmakopei, kontakt z lekarzem zagrażał życiu tak samo jak większość chorób.

Obok Ronalda spoczywała Rebecca Stewart. Napis na grobie mówił, że była jego żoną.

— Zapewne ożenił się po raz drugi — stwierdziła Kim.

— Czy Elizabeth też jest tu pochowana?

— Nie wiem. Nikt nigdy nie pokazywał mi jej grobu.

— Jesteś pewna, że ta cała Elizabeth w ogóle istniała?

— Myślę, że tak. Ale głowy bym za to nie dała.

— Poszukajmy jej — zaproponował Edward. — Jeśli jest, to pewnie gdzieś w pobliżu.

Poszli każde w inną stronę. Kilka minut szukali w milczeniu.

— Edward! — zawołała nagle Kim.

— Znalazłaś ją?

— W pewnym sensie.

Edward podszedł do niej. Stała nad nagrobkiem podobnym do grobu Ronalda. Należał do Jonathana Stewarta, syna Ronalda i Elizabeth.

— Przynajmniej wiemy, że istniała — stwierdziła Kim.

Szukali jeszcze pół godziny, ale nie znaleźli grobu Elizabeth. W końcu dali za wygraną i wrócili do samochodu. Po kilku minutach zajęchali przed starym domem

i wysiedli.

— A jednak nie żartowałaś mówiąc, że wygląda jak Dom Czarownicy — przyznał Edward. — Ma taki sam masywny centralny komin, taki sam spadziasty spiczasty dach, taki sam szalunek z listew i takie same romboidalne szyby. A najniezwyklejszy jest ten wykusz. Ciekaw jestem, czemu tak wtedy budowano.

— Nie jestem pewna, czy to w ogóle ktoś wie. Zabytkowy dom Johna Warda w kompleksie muzealnym Peabody-Essex ma identyczną konstrukcję.

— Te ornamenty pod wykuszem są znacznie bardziej dekoracyjne niż na Domu Czarownicy.

— Tak, ten, kto je robił, miał iskrę Bożą — zgodziła się Kim.

— To uroczy dom. O wiele bardziej stylowy niż zamek. Powoli obchodzili wiekową budowlę, zwracając sobie nawzajem uwagę na detale. Z tyłu Edward wskazał mniejszy wolno stojący budynek i spytał, czy jest równie stary jak dom.

— Chyba tak — odparła Kim. — Podobno to było pomieszczenie dla zwierząt.

— Ministajnia — skomentował Edward.

Doszli z powrotem do wejścia. Kim musiała wypróbować wiele kluczy, zanim znalazła właściwy. Przy otwieraniu drzwi zazgrzytały tak samo jak brama.

— Zupełnie jakby dom był nawiedzony — zauważył Edward.

— Lepiej nie mów takich rzeczy.

— Chyba nie powiesz mi, że wierzysz w duchy.

— Powiedzmy, że czuję przed nimi respekt — odpowiedziała Kim śmiejąc się. — Ty masz pierwszeństwo.

Edward przestąpił próg i znalazł się w niewielkim frontowym holu. Tuż przed sobą miał kręcone schody, których wylot ginał gdzieś w górze. Po obu stronach były drzwi. Te z prawej prowadziły do kuchni, a z lewej do salonu.

— Dokąd najpierw? — spytał Edward.

— Ty jesteś gościem.

— W takim razie obejrzymy najpierw salon.

W salonie najbardziej zwracał uwagę okazały, szeroki na dwa metry kominek. Stało tam też trochę mebli w stylu kolonialnym, walały się narzędzia ogrodnicze i inne. Najciekawszym sprzętem było łoże pod baldachimem. Zachowały się nawet fragmenty oryginalnej włóczkowej kotary.

Edward podszedł do kominka i zajrzał w górę do przewodu kominowego.

— Czynny — powiedział.

Potem przyjrzał się ścianie nad gzymssem. Cofnął się nieco i przypatrzył się jeszcze raz.

— Widzisz ten blejszy prostokąt? — spytał.

Kim stanęła przy nim na środku pokoju i spojrzała na ścianę.

— Widzę. Wygląda to, jakby kiedyś wisiał tam obraz.

— To samo sobie pomyślałem. — Edward poślinił czubek palca i spróbował zatrzeć obrys. Bez skutku. — Musiał tam wisieć ładnych parę lat, skoro sadze tak

zaciemniły ścianę dookoła.

Wyszli z salonu i wspięli się po schodach. Na piętrze nad holem znajdował się mały gabinet. Nad salonem i kuchnią były sypialnie, każda z własnym kominem. Jedynymi w nich meblami były łóżka i kołowrotek.

Wrócili na parter i weszli do kuchni. Zaskoczyły ich rozmiary kuchennego pieca. Edward ocenił, że musi mieć przynajmniej trzy metry szerokości. Po lewej stronie znajdowało się palenisko, a po prawej piec chlebowy. Na przypiecku stały nawet stare garnki, patelnie i kociołki.

— Możesz sobie wyobrazić gotowanie na czymś takim? — spytał Edward.

— Za skarby świata. Mam dostatecznie dużo trudności z nowoczesną kuchnią.

— Kobiety w tamtych czasach musiały być ekspertami w podtrzymywaniu ognia. — Edward zerknął do pieca. — Ciekawe, w jaki sposób oceniały temperaturę. Przy pieczeniu chleba to podstawowa sprawa.

Przeszli przez drzwi do przyległej części domu. Edward zdziwił się widząc w niej drugą kuchnię.

— Tej chyba używali latem — wyjaśniła Kim. — W ciepłą pogodę na pewno za gorąco było palić w tym ogromnym piecu.

— Słusznie.

Wrócili do części głównej. Edward stanął na środku kuchni i przygryzł dolną wargę. Kim obserwowała go. Widać było, że się nad czymś namyśla.

— Co ci chodzi po głowie? — spytała.

— Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, żeby tu zamieszkać?

— No nie, raczej nie — odparła. — To by było jak mieszkanie na kempingu.

— Nie sugeruję, żebyś mieszkała w takich warunkach, jakie są tu teraz. Ale nietrudno byłoby je zmienić.

— To znaczy żeby zaadaptować ten dom? Szkoda byłoby zatracić jego zabytkowy charakter.

— Zgadzam się z tobą całkowicie. Ale to wcale nie byłoby konieczne. Mogłabyś urządzić nowoczesną kuchnię i łazienkę w przybudówce, która przecież i tak jest elementem dodatkowym. Nie musiałabyś burzyć integralności głównej części.

— Tak uważasz? — Kim rozejrzała się wokół. Dom był bez wątpienia pełen uroku i na pewno bardzo przyjemnie byłoby go urządzać.

— Poza tym — ciągnął Edward — i tak musisz się wyprowadzić ze swojego obecnego mieszkania. Szkoda żeby taki dom stał pusty. Prędzej czy później naprawdę zniszczą go wandalę.

Jeszcze raz obeszli dom, przyglądając mu się pod kątem możliwości przystosowania go do zamieszkania. Edward entuzjasmował się coraz bardziej, a i Kim stopniowo zapalała się do pomysłu.

— Co za wspaniała okazja, żeby włączyć się w nurt tradycji. Ja bym się nie wahał nawet sekundy.

— Muszę się z tym przespać — powiedziała w końcu Kim. — To kuszący pomysł, ale nie mogę nic postanowić bez porozumienia z bratem. Tak czy owak, jesteśmy współwłaścicielami.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju. — Edward po raz trzeci rozglądał się po kuchni. — Gdzie oni przechowywali jedzenie?

— Przypuszczam, że w piwnicy.

— Zdawało mi się, że nie ma tu piwnicy. Kiedy chodziliśmy wokół domu, specjalnie szukałem jakiegoś wejścia, ale nic takiego nie zauważyłem. Nie widziałem też żadnych schodów, które by prowadziły w dół.

Kim przeszła za długi stół na kozłach i odsunęła na bok grubą sizalową matę.

— Tu jest wejście — powiedziała. Schyliła się, włożyła palec w otwór w podłodze i pociągnęła za klapę. W ciemność piwnicy prowadziła drabina. — Pamiętam to aż za dobrze. Kiedy byliśmy mali, brat straszył mnie, że zamknie mnie w piwnicy. Ta kłapa go fascynowała.

— Milutki braciszek — rzekł Edward. — Nic dziwnego, że masz klaustrofobię. Każdy by się przestraszył.

Schylił się i zajrzał do piwnicy, ale widoczny był tylko jej niewielki kawałek.

— Naprawdę wcale nie zamierzał tego zrobić. Po prostu się Przekomarzał. Przyszliśmy tu wtedy bez pozwolenia, więc ja i tak byłem dostatecznie wylekniowana, a wiesz, jak dzieci lubią się nawzajem straszyć.

— W samochodzie mam latarkę. Przyniosę ją.

Wróciwszy ze światłem, Edward zaczął schodzić po drabinie. Na samym dole zadarł głowę i spytał Kim, czy nie schodzi.

— A muszę? — spytała półzartem.

Ale zeszła i stanęła obok niego.

— Zięb, wilgoć i stęchlizna — stwierdził Edward.

— Słusznie — przytaknęła Kim. — A więc co tu jeszcze robimy?

Piwnica była nieduża. Zajmowała tylko przestrzeń pod kuchnią. Ściany wyłożone były płaskimi kamieniami połączonymi niewielką ilością zaprawy. Podłoga brudna. Pod tylną ścianą stał rząd skrzyń o częściowo drewnianych, częściowo kamiennych bokach. Edward podszedł i oświetlił wnętrza kilku z nich. Kim trzymała się tuż obok niego.

— Miałas rację — powiedział. — Tu właśnie trzymali jedzenie.

— Jak myślisz, co to było?

— Jabłka, kukurydza, pszenica, żyto i tym podobne. A może i nabiał. Połcie boczku przechowywano wiszące, najprawdopodobniej w przybudówce.

— Ciekawe — mruknęła Kim bez entuzjazmu. — Czy już się napatrzyłeś?

Edward oparł się o jedną ze skrzyń i zdrapał nieco wżartego w nią brudu. Roztarł go między palcami.

— Wilgotny — orzekł. — Żaden ze mnie botanik, ale założyłbym się, że to idealne podłoże dla *Claviceps purpurea*.

Zaintrygowana, Kim spytała, czy dałoby się tego dowieść.

— Zapewne — Edward wzruszył ramionami. — Zależy, czy udałoby się znaleźć przetrwalniki *Claviceps*. Gdybyśmy wzięli próbki, mógłbym poprosić znajomego botanika, żeby rzucił na nie okiem.

— Wydaje mi się, że w zamku znalazłyby się jakieś pojemniki — podsunęła Kim.

— Spróbujmy.

Opuścili stary dom i ruszyli do zamku. Szli pieszo, bo dzień był piękny. Trawa sięgała im do kolan. Wokół nich śmigały koniki polne i inne sympatyczne owady.

— Co jakiś czas zza drzew połyskuje woda — zauważył Edward.

— To rzeka Danvers. W dawnych czasach pola dochodziły aż do jej brzegu.

Im bliżej mieli do zamku, tym większe wrażenie wywierał on na Edwardzie.

— Jeszcze większy, niż mi się w pierwszej chwili zdawało. Słowo daje, jest nawet fosa.

— Słyszałam, że był wzorowany na francuskim Chambord — wyjaśniła Kim.

— Jest zbudowany na planie litery U; w jednym skrzydle są pomieszczenia dla gości, w drugim dla służby.

Przeszli przez most przerzucony nad suchą fosą. Gdy Edward podziwiał gotyckie detale ozdobnych drzwi, Kim, podobnie jak w starym domu, zmagła się z kluczami. Na kółku wisiał ich z tuzin. W końcu udało jej się znaleźć właściwy.

Minęli hol wyłożony dębową boazerią i przeszli pod łukiem do wielkiego salonu. Było to monumentalne pomieszczenie z podwieszonym sufitem i gotyckimi kominkami na dwóch przeciwległych ścianach. Naprzeciwko wejścia, między oknami wielkości katedralnych, wyrastał szeroki rząd schodów. Witrażowe okno z różowego szkła na ich szczycie napełniało pokój niezwykle bladożółtawym światłem.

Edward wydał z siebie ni to śmiech, ni to jęk grozy.

— Nie do wiary! Nie miałem pojęcia, że jest tak wyposażony.

— Niczego tu nie ruszono — odparła Kim.

— Kiedy zmarł twój dziadek? To wewnątrz wygląda, jakby jego mieszkańcy wyjechali na dłuższe wakacje gdzieś w latach dwudziestych.

— Umarł zeszłej wiosny. Ale był ekscentrykiem, szczególnie od śmierci żony, już prawie czterdzieści lat temu. Wątpię, czy zmienił cokolwiek w tym domu.

Edward zwiedzał pokój, a jego oczy błędziły po obfитоści mebli, obrazach w złożonych ramach i najróżniejszych elementach dekoracyjnych. Była tu nawet średniowieczna zbroja. Wskazując ją spytał, czy to autentyk. Kim wzruszyła ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia.

Edward podszedł do okna i pomacał zasłonę.

— W życiu nie widziałem tylu draperii. Jest tu tego pewnie z półtora kilometra bieżącego.

— Są bardzo stare — powiedziała Kim. — To adamaszek.

— Czy mogę obejrzeć inne części domu?

— Czuj się jak u siebie — Kim wykonała zapraszający gest.

Z salonu Edward przeszedł do ciemnej, wyłożonej boazerią biblioteki. Znajdowało się w niej półpiętro, na które wchodziło się okrągłymi schodami z kutego żelaza. Do wysokich półek można się było dostać z drabiny, która jeździła na specjalnych szynach. Wszystkie książki oprawione były w skórę.

— To jest właśnie mój ideał biblioteki. Tutaj mógłbym naprawdę postudiować.

Z biblioteki udał się do oficjalnej jadalni. Podobnie jak wielki salon miała podwieszony sufit i kominki z dwóch stron. Ale inaczej niż tamto pomieszczenie, zdobiły ją liczne flagi herbowe zwisające z przymocowanych do ścian drzewc.

— Z historycznego punktu widzenia ten dom jest prawie tak samo interesujący jak stary — oznajmił Edward. — To istne muzeum.

— Z historycznego punktu widzenia najbardziej interesujące są piwnica i poddasze — odparła Kim. — Wszędzie tam pełno papierów.

— Gazet?

— Jest też trochę gazet. Ale większość to listy i dokumenty.

— Rzućmy na to okiem.

Wspięli się po głównych schodach na wysokość drugiego piętra, jako że w większości pomieszczeń na parterze była antresola. Stamtąd mieli jeszcze do pokonania dwa piętra, zanim dotarli na poddasze. Kim musiała niezłe naszarpać się z drzwiami, nim je otworzyła. Od lat nikt się tam nie wdzierał.

Poddasze było ogromne. Z wyjątkiem wieżyczek zajmowało całą powierzchnię litery U, która stanowiła plan zamku. Każda wieżyczka była jeszcze o jedną kondygnację wyższa niż reszta budowli i miała własne stożkowato wysklepione poddasze. W części głównej sufit był, tak jak i dach, spadzisty. Dzięki licznym oknom mansardowym było tu dość widno.

Kim i Edward wędrowali środkiem. Po obu stronach mijali niezliczone szafki kartoteczne, komody, kufry i pudła. Od czasu do czasu Kim przystawała i pokazywała Edwardowi ich zawartość: rejestry, albumy, skoroszyty, dokumenty, listy, fotografie, książki, gazety i stare magazyny. Był to prawdziwy skarbiec pamiątek.

— Te papiery zapełniłyby pewnie kilka wagonów kolejowych — podsumował Edward. — Jak daleko sięgają w przeszłość?

— Aż do samego Ronalda Stewarta. To on założył firmę. Większość z tego to materiały dotyczące interesów, ale nie tylko. Jest też korespondencja prywatna. W dzieciństwie parę razy zakradliśmy się tu z bratem i prześcigaliśmy się, kto znajdzie starszą datę. Tylko że właściwie nie było nam wolno i kiedy dziadek nas przyłapał, był wściekły.

— Czy w piwnicy też jest tego tyle?

— Jeśli nie więcej. Chodź, pokażę ci. Piwnicę tak czy owak warto zobaczyć. Wyjątkowo harmonizuje z wyglądem całego domu.

Tą samą drogą, którą przyszedli, wrócili do klatki schodowej i schodami do jadalni. Otworzywszy ciężkie dębowe drzwi na potężnych zawiasach z kutego żelaza, zeszli po granitowych schodach do piwnicy. Edward natychmiast pojął, co Kim miała na myśli mówiąc, że harmonizuje z wyglądem domu. Przypominała średniowieczny loch. Była wyłożona kamieniami. Oświetlenie stanowiły kinkiety w kształcie pochodni. Ściany pojedynczych boksów, które mogłyby z powodzeniem służyć za cele, obudowane były półkami na wino. Do każdego pomieszczenia prowadziły żelazne drzwi opatrzone zasuwami.

— Ktoś tu wykazał się poczuciem humoru — zauważył Edward, gdy szli długim głównym korytarzem. — Brakuje tylko narzędzi tortur.

— Mnie i brata nie śmieszyło to w najmniejszym stopniu. Dziadek nie musiał nas straszyć zniechęcającymi opowieściami. Nie mieliśmy absolutnie zamiaru się tu kręcić. Ta piwnica nas przerażała.

— I wszystkie te kufry, i tak dalej, są pełne papierów? Tak jak na strychu?

— Co do jednego — odparła Kim.

Edward przystanął i pchnął drzwi najbliższej „celi”. Wszedł do środka. Półki były w większości puste. Komody, szafki kartoteczne i kufry stały upchnięte pod ścianami. Podniósł jedną butelkę.

— Wielki Boże! — rzekł. — Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt sześć! To może być cenne.

Kim prychnęła pogardliwie przez zaciśnięte wargi.

— Wątpię. Korek jest na pewno uszkodzony. Od połowy wieku nikt się tym nie zajmował.

Edward odłożył zakurzoną butelkę na miejsce i na chybił trafił otworzył szufladę pierwszej z brzegu komody. Wyjął kartkę papieru. Był to dokument celny z dziewiętnastego wieku. Wyciągnął inny — To z kolei był konosament z osiemnastego wieku.

— Odnoszę wrażenie, że nie ma tu przesadnego porządku.

— Racja, niestety. Właściwie nie ma tu w ogóle porządku. Za każdym razem, kiedy ktoś w rodzinie budował nowy dom, te wszystkie papiery przenoszono, potem znowu wracały i tak w kółko. Przez wieki zupełnie się pomieszały.

Na poparcie swoich słów Kim otworzyła szafkę i wyciągnęła z niej nowy dokument. To był następny konosament. Podała go Edwardowi i podpowiedziała, żeby spojrzął na datę.

— A niech mnie — powiedział. — Tysiąc sześćset osiemdziesiąt dziewięć. Trzy lata przed tym idiotyzmem z czarownicami.

— To dowód, że mówię prawdę. Obejrzelismy tylko trzy dokumenty i każdy był z innej epoki.

— Zdaje mi się, że to podpis Ronalda — Edward pokazał go Kim, która przytaknęła.

— Mam pewien pomysł — rzekła. — Obudziłeś we mnie zainteresowanie sprawą czarownic, a szczególnie moją przodkinią Elizabeth. Może z tych wszystkich papierów mogłabym się o niej czegoś dowiedzieć.

— Na przykład dlaczego nie jest pochowana w rodzinnym grobie i tak dalej?

— Tak, tego i jeszcze innych rzeczy. Coraz bardziej mnie intryguje ta tajemnicza atmosfera wokół jej postaci. Nawet nie wiemy, czy naprawdę została stracona. Jak sam zauważyłeś, w tej książce, którą mi dałeś, jej nazwisko nie figuruje. Dostać to zagadkowe.

Edward rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu, w którym stali.

— To nie będzie łatwe, zważywszy ogrom materiału. I może się okazać kompletną stratą czasu. Większość tych dokumentów dotyczy interesów.

— Na pewno ambitne zadanie — stwierdziła Kim, coraz bardziej zapalona do swego pomysłu. Jeszcze raz zerknęła do szuflady, w której znalazła siedemnastowieczny konosament, chcąc sprawdzić, czy nie ma tam czegoś bardziej współczesnego. — Myślę, że to mi się spodoba. Będzie dla mnie czymś w rodzaju ćwiczenia w samopoznaniu albo, jak sam powiedziałeś w związku z domem, okazja, żeby włączyć się w nurt rodzinnej tradycji.

Gdy Kim szperała w szafce, Edward wyszedł z boksu i zapuścił się głębiej. Ciągle miał przy sobie latarkę i coraz częściej musiał sobie nią przyświecać. Część żarówek w kinkietach była przepalona. Wetknął głowę do ostatniego boksu i omiół go latarką. Smuga światła przebiegła po takich samych jak wszędzie komodach, kufrach i pudłach, po czym zatrzymała się na obrazie, który stał oparty o ścianę tyłem do wierzchu.

Mając w pamięci obrazy, które widział na górze, Edward zainteresował się, czym ten zasłużył sobie na takie złe potraktowanie. Nie bez trudu przedarł się do niego, odchylił go od ściany i oświetlił zakurzoną olejną powierzchnię. Okazało się, że jest to portret młodej kobiety.

Wydobywszy obraz z jego sromotnego wygnania, Edward dźwignął go nad głowę i wyniósł z boksu. Na głównym korytarzu znów oparł go o ścianę. Był to rzeczywiście namalowany dość prymitywną techniką portret młodej kobiety, wbrew stylowi epoki mocno wydekoltowanej.

Czubkiem palca starł kurz z małej cynowej płytki u jego podstawy i skierował na nią światło latarki. Potem pochwycił obraz i zaniósł go do boksu, w którym Kim ciągle zajęta była swymi poszukiwaniami.

— Rzuć no okiem na to — powiedział. Oparł obraz o komodę i oświetlił płytkę.

Kim odwróciła się i spojrzała na portret. Wyczuwając ożywienie Edwarda, powiodła wzrokiem za smugą światła i przeczytała napis na płytce.

— Wielkie nieba! — zawołała. — To Elizabeth!

Radośnie podnieceni odkryciem, wynieśli obraz po schodach do wielkiego salonu, gdzie mieli odpowiednie oświetlenie. Oparłszy go o ścianę, odstąpili, by

mu się dobrze przyjrzeć.

— To wprost niesamowite, jak bardzo ona jest podobna do ciebie — zauważył Edward. — Zwłaszcza te zielone oczy.

— Może i kolor ten sam, ale Elizabeth jest o wiele piękniejsza i z pewnością hojniej wyposażona przez naturę — zaproponowała Kim.

— Piękno to rzecz gustu. Osobiście uważam, że jest wręcz odwrotnie.

Kim nie mogła oderwać oczu od wizerunku swojej niestawnej przodkini.

— Jest pewne podobieństwo — zgodziła się. — Mamy takie same włosy, a nawet zarys twarzy.

— Mogłybyście być siostrami — przytaknął Edward. — Taki obraz to atrakcja. Czemu u licha leżał ukryty w samym końcu piwnicy? Jest o wiele ciekawszy niż większość malowideł, które wiszą w domu.

— Tak, to dziwne. Dziadek musiał o nim wiedzieć, nie sądzę, żeby to było przeoczenie. Nie sądzę też, żeby taki ekscentryk jak on do tego stopnia liczył się z uczuciami innych, szczególnie mojej matki. Nigdy się nie lubili.

— Wydaje mi się, że jego wymiary odpowiadają zarysom tej jasnej plamy nad kominkiem, którą widzieliśmy w starym domu. Może byśmy sprawdzili, tak dla hecy? — zaproponował Edward.

Podniósł obraz, ale zanim zrobił krok naprzód, Kim przypomniała mu o pojemnikach, po które tu przyszli. Edward podziękował i odstawił go. Poszli do kuchni. W kredensie Kim znalazła trzy plastikowe pudełka z nakrywkami.

Zabrawszy obraz z salonu, ruszyli z powrotem do starego domu. Kim chciała nieść go sama. Nie był ciężki. Całą oprawę stanowiła wąska prosta czarna rama.

— Znalezienie tego obrazu wpawiło mnie w dziwny, ale dobry nastrój — powiedziała po drodze. — To tak, jakbym spotkała dawno zaginionego członka rodziny.

— Muszę przyznać, że to nie lada zbieg okoliczności. Szczególnie że właśnie z jej powodu tu przyjechaliśmy.

Nagle Kim stanęła. Wyciągnęła obraz przed siebie wpatrując się w twarz Elizabeth.

— Co się stało? — spytał Edward.

— Myślałam o podobieństwach między nami i nagle przypomniało mi się, jaki spotkał ją los. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, że ktoś zostaje oskarżony o czary, osadzony i stracony.

Oczami duszy Kim widziała siebie, jak staje przed zwisającą z drzewa pętlą. Za chwilę umrze. Wzdrygnęła się. Poczowała dotknięcie sznura na szyi i aż podskoczyła.

— Źle się czujesz? — Edward położył jej dłoń na ramieniu.

Kim potrząsnęła głową i odetchnęła głęboko.

— Miałam okropną wizję — powiedziała. — Wyobraziłam sobie, jak by to było, gdybym to ja została skazana na powieszenie.

— Weź no te pudełka — polecił Edward. — Ja poniosę obraz.
Wymienili się bagażem i poszli dalej.

— To pewnie przez ten upał — Edward podjął próbę rozładowania atmosfery.

— A może po prostu zgłodniałaś. Twoja wyobraźnia przekroczyła normę.

— Znalezienie tego obrazu naprawdę zrobiło na mnie wrażenie — przyznała Kim brnąc w wysokiej trawie. — Czuję się, jakby Elizabeth ponad wiekami próbowała mi coś przekazać, może żebym oczyściła jej imię.

Edward rzucił jej uważne spojrzenie.

— Żartujesz?

— Nie. Sam mówiłeś, że to nie lada zbieg okoliczności. A ja sędzę, że to coś więcej. Chodzi mi o to, że im dłużej myślę o tym wydarzeniu, tym bardziej wydaje mi się zdumiewające. To nie może być przypadek. Coś musi się za tym kryć.

— Czy to chwilowy napad, czy zawsze jesteś przesadna?

— Nie wiem. Po prostu staram się zrozumieć.

— Wierzysz w postrzeganie pozazmysłowe albo telepatię?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. A ty? Edward roześmiał się.

— Odwracasz pytania zupełnie jak psychiatra. No cóż, nie wierzę w siły nadprzyrodzone. Jestem naukowcem. Wierzę w to, co się da udowodnić i odtworzyć na drodze doświadczalnej. Nie jestem religijny. Nie jestem też przesadny, a uważam, choć pewno uznasz to za cynizm, że jedno ma ścisły związek z drugim.

— Ja też nie jestem specjalnie religijna. Ale rzeczywiście w jakiś bliżej nie określony sposób chyba wierzę w siły nadprzyrodzone.

Doszli do starego domu. Kim przytrzymała drzwi, a Edward wniósł obraz do salonu. Przyłożył go do płamy nad kominkiem. Pasował idealnie.

— Dobrze odgadliśmy, gdzie wisiał — stwierdził. Postawił obraz na gzymsie kominka.

— I będzie tam wisiał znowu, już moja w tym głowa — oświadczyła Kim. — Elizabeth zasługuje na to, żeby wrócić do swojego domu.

— Czy to znaczy, że postanowiłaś się nim zająć?

— Może. Ale najpierw muszę się porozumieć z rodziną, przede wszystkim z bratem.

— Ja uważam, że to świetny pomysł. — Edward wziął od niej plastikowe pudełka i powiedział, że idzie do piwnicy po próbki. W drzwiach salonu przystanął. — Jeśli znajdę *Claviceps purpurea* — zauważył ze zgryźliwym uśmiechem — to wiem jedno: ten wynik pozbawi historię czarownic z Salem jej nadprzyrodzonego czaru.

Kim nie odpowiedziała. Była jakby zahipnotyzowana przez portret Elizabeth i zatopiona w myślach. Edward wzruszył ramionami. Wyszedł do kuchni i zanurzył się w chłodną, wilgotną ciemność piwnicy.

ROZDZIAŁ 3

PONIEDZIAŁEK, 18 LIPCA 1994

W pracowni Edwarda Armstronga w harwardzkim kompleksie medycznym na Longfellow Avenue jak zwykle wrzała gorączkowa praca. Ludzie w białych fartuchach biegali wśród najnowocześniejszego sprzętu niczym na planie filmu science fiction. Sprawiało to wrażenie zupełnego chaosu. Ale tylko na nie wtajemniczonych. Oświeceni wiedzą, że uprawianie nauki na szczytach to ciągły gorączkowy ruch.

Tu wszystko opierało się na Edwardzie, choć nie był on jedynym naukowcem pracującym w ciągu laboratoriów zwanym żartobliwie lennem Armstronga. Jego powszechnie podziwiany geniusz, sława jako chemika, niekwestionowana pozycja w środowisku badaczy centralnego układu nerwowego sprawiały, że liczba ubiegających się o staż, etat, doktorat u niego znacznie przewyższała możliwości lokalowe, budżetowe i organizacyjne pracowni. Toteż do Edwarda trafiali tylko najlepsi, najzdolniejsi pracownicy i studenci.

Inni profesorowie twierdzili, że Edward po prostu kocha się poświęcać. Nie dość, że pod jego kierunkiem najwięcej studentów robiło dyplom, to jeszcze upierał się przy prowadzeniu podstawowego kursu chemii, nawet latem. Był jedynym profesorem zwyczajnym, który uczył na pierwszych latach. Tłumaczył, że czuje się w obowiązku kształtować młode umysły jak tylko się da najwcześniej.

Właśnie wygłosiwszy jeden ze swoich sławnych wykładów, bocznymi drzwiami wkroczył na swoje terytorium. Studenci z miejsca go obstąpili, niczym zwierzęta karmiciela w ogrodzie zoologicznym. Wszyscy pracowali nad różnymi cząstkowymi zadaniami, fragmentami wielkiego zamierzenia Edwarda, aby wyjaśnić mechanizm pamięci krótkotrwałej i długotrwałej. Każdy miał jakiś problem lub pytanie, na które Edward błyskawicznie odpowiadał, odsyłając ich kolejno z powrotem do stanowisk i do pracy.

Udzieliwszy ostatniej odpowiedzi, Edward udał się do swojego biurka. Nie miał osobnego gabinetu; w jego pojęciu byłoby to karygodnym marnotrawstwem tak potrzebnego miejsca. Wystarczał mu kąt, gdzie stało kilka krzeseł, terminal komputera i szafa. Towarzyszyła mu Eleanor Youngman, która robiła tu habilita-

cję i od czterech lat była jego najbliższą współpracowniczką.

— Masz gościa — powiedziała, gdy znaleźli się przy biurku Edwarda. — Czeka w sekretariacie wydziału.

Edward rzucił na biurko materiały i zamienił tweedową marynarkę na biały fartuch.

— Nie mam czasu na gości.

— Obawiam się, że tego jednego będziesz musiał przyjąć.

Edward rzucił okiem na swoją asystentkę. Jej twarz drgała, jakby Eleanor z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Była to żywa, inteligentna jasnowłosa dziewczyna z Oxnard w Kalifornii. Wyglądała na zawodniczkę surfingową. Tymczasem zrobiła doktorat z biochemii w Berkeley w wiośnianym wieku dwudziestu trzech lat. Dla Edwarda była niezastąpiona, nie tylko z powodu inteligencji, ale także niezwykłego oddania. Czczyła go, przekonana, że to właśnie on dokona epokowego skoku w nauce o neuroprzekaznikach i ich roli dla procesów emocjonalnych oraz pamięci.

— Któż to taki, na Boga?

— Stanton Lewis. Za każdym razem kiedy tu przychodzi, doprowadza mnie do rozpaczki. Tym razem namawiał mnie, żebym zainwestowała w nowy periodyk chemiczny o nazwie „Związki” z rozkładówką przedstawiającą cząsteczkę miesiąca. Nie potrafię zgadnąć, kiedy mówi poważnie.

— Nigdy — odparł Edward. — Flirtuje z tobą.

Szybko przejrzał pocztę. Żadnej rewolucji.

— Mielicie jakieś problemy w pracowni? — spytał Eleanor.

— Niestety tak. Ten nowy układ do micelarnej elektrokinetycznej chromatografii włócnikowej znowu ma humory. Mam wezwać serwis?

— Najpierw ja rzucę na to okiem. Przyślij mi Stantona. Spróbuję się uporać z oboma problemami naraz.

Przypiął sobie do klapy fartucha dozymetr promieniowania rentgenowskiego i lawirując między stanowiskami ruszył do działu chromatografii. Tam zaczął się bawić z komputerem, który sterował aparaturą. Coś rzeczywiście było nie tak.

Pochłonięty pracą, nie usłyszał nadchodzącego Stantona. Zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero, gdy ten klepnął go w plecy.

— Cześć, stary! — powitał go Stanton. — Mam dla ciebie niespodziankę, która wszystko inne odsunie w cień.

Wręczył mu poręczną broszurę w plastikowej okładce.

— Co to jest?

— Coś, na co czekałeś: prospekt emisji Genetrixu — odparł Stanton.

Edward pozwolił sobie na śmieszek i pokręcił głową.

— Jesteś niemożliwy.

Odłożył prospekt i ponownie skierował całą uwagę na komputer.

— Jak ci się udała randka z siostrą Kim? — spytał Stanton.

— Było mi bardzo miło poznać twoją kuzynkę. To fantastyczna dziewczyna.
— No to jak, dzieci, przespaliście się już ze sobą?
Edward odwrócił się.
— Nie wydaje mi się, żeby to pytanie było na miejscu.
— Mój Boże — rzekł Stanton z szerokim uśmiechem. — Jacyśmy to drażliwi. W wolnym przekładzie znaczy to, że zaskoczyłeś, inaczej nie byłbyś taki przeczulony.
— Uważam, że wyciągasz przedwczesne wnioski — odparł zacinając się Edward.
— Och, daj spokój. Znam cię aż nadto dobrze. Taki sam byłeś na studiach. W nauce, w laboratorium jesteś istny Napoleon. Jak tylko w grę wchodzi kobieta, mięknie jak spaghetti. Nie rozumiem tego. Ale tak czy owak, przyznaj się. Zaskoczyłeś, co?
— Kim jest wspaniała. Przyznaję, byliśmy w piątek na kolacji.
— Doskonale. To tak, jakbyście się przespali. To mi wystarczy.
— Jesteś beznadziejnie głupi.
— Naprawdę — ciągnął radośnie Stanton. — Chodziło mi o to, żeby zrobić cię moim dłużnikiem, i udało się. Teraz ty, drogi przyjacielu, musisz mi się odplącić czytając ten prospekt. — Podniósł broszurę ze stołu, na który niedbale rzucił ją Edward, i wręczył mu ją z powrotem.
Edward jęknął. Wiedział, że mu się podłożył.
— Dobra. Przeczytam to świństwo.
— Świetnie. Musisz dowiedzieć się czegoś o firmie, ponieważ mam zamiar zaproponować ci siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie plus udziały za przystąpienie do rady naukowej.
— Nie mam czasu chodzić na żadne durne zebrania.
— A kto cię prosi, żebyś chodził na zebrania? Potrzebne mi tylko twoje nazwisko na ofercie.
— Ale dlaczego? Przecież biologia molekularna i biotechnologia to nie moja działka.
— Chryste! Jak można być tak naiwnym? Jesteś znakomitością w świecie nauki. Nieważne, że nie masz bladego pojęcia o biologii molekularnej. Liczy się twoje nazwisko.
— Nie powiedziałbym, że nie mam bladego pojęcia o biologii molekularnej — odparł Edward poirytowany.
— Już nie bądź taki niedotykański — rzekł Stanton. Wskazał maszynę, nad którą Edward się trudził. — Co to za diabeł?
— To urządzenie do elektroforezy włósniczkowej.
— I co to draństwo robi?
— To stosunkowo nowa technika rozdziału. Używamy tego do izolowania i identyfikacji poszczególnych składników rozmaitych związków.

Stanton zabębnił palcami w plastikową obudowę jednostki centralnej.

— A co w tym takiego nowego?

— Nie jest całkiem nowa. Zasada jest właściwie ta sama co w konwencjonalnej elektroforezie, tylko dzięki mikroskopijnemu przekrojowi włósniczek odpada konieczność użycia czynnika antykonwekcyjnego, ponieważ ciepło jest idealnie rozpraszane.

Stanton podniósł rękę w żartobliwym geście obrony.

— Wystarczy. Poddaję się. Jestem pod wrażeniem. Powiedz mi tylko, czy to działa.

— Działa znakomicie — odpowiedział Edward. Spojrzał znowu na maszynę. — W każdym razie przeważnie działa znakomicie. Akurat teraz coś jest nie w porządku.

— Czy wtyczka jest włączona do kontaktu?

Edward spiorunował go wzrokiem.

— Chciałem ci tylko pomóc — zażartował Stanton. Edward podniósł pokrywę i przyjrzał się wirówkom. Natychmiast zauważył, że jedna z zamykanych próbek blokuje ich ruch.

— Czyż to nie jest przyjemne? — powiedział. — Ten dreszcz emocji, gdy się stawia prawidłową diagnozę.

Skorygował położenie próbki. Wirówka natychmiast ruszyła. Edward zamknął pokrywę.

— Więc mogę liczyć, że przeczytasz prospekt — podjął Stanton. — I zastanowisz się nad moją propozycją.

— Denerwuje mnie myśl, że mam brać pieniądze za nic.

— Ale dlaczego? Jeśli gwiazdy sportu mogą podpisywać umowy z producentami trampek, to dlaczego naukowcy nie mogą robić czegoś podobnego?

— Pomyślę — obiecał Edward.

— O nic więcej nie proszę. Zadzwoń do mnie, jak już przeczytasz. Mówię ci, mogę ci dać nieźle zarobić.

— Przyjechałeś samochodem?

— Nie, przyszedłem z Concord pieszo — odparł Stanton. — Oczywiście, że samochodem. Co za niezręczna próba zmiany tematu!

— Mógłbyś mnie podwieźć na główny kampus Harvardu?

Pięć minut później Edward wsunął się na miejsce pasażera w mercedesie 500 SEL należącym do Stanton. Parkował na Huntington Avenue niedaleko Biblioteki Medycznej. Stanton zapalił silnik i zawrócił. Okrążyli Fenway i pojechali Storrow Drive.

— Chciałbym cię o coś zapytać — przerwał dłuższą chwilę milczenia Edward. — Tamtego wieczoru przy kolacji wspomniałeś o przodkini Kim, Elizabeth Stewart. Czy wiesz na pewno, że została powieszona jako czarownica, czy to po prostu rodzinna plotka, tak długo powtarzana, że w końcu wszyscy w nią uwierzyli?

— Przysiąc bym nie mógł. Tak słyszałem i przyjąłem za dobrą monetę.

— Nie napotkałem jej nazwiska w żadnych dostępnych źródłach dotyczących tej sprawy. A nie ma ich wcale tak mało.

— Ja słyszałem o tym od ciotki. Według niej Stewartowie od niepamiętnych czasów trzymali to w tajemnicy. Że niby nie o takiej sławie marzyli dla opromienienia nazwiska.

— No dobrze, dajmy na to, że tak było. Ale jakie u diabła znaczenie miałyby to teraz? Zrozumiałbym, gdyby chodziło o poprzednie pokolenie, ale przecież minęło trzysta lat.

Stanton wzruszył ramionami.

— To mnie przekracza. W ogóle nie powinienem być o tym wspominać. Jeśli ciotka dowie się, że sobie z tego pokpiwam, zażąda mojej głowy.

— Nawet Kim z początku niechętnie o tym mówiła.

— To pewnie przez matkę, to znaczy moją ciotkę. Ona zawsze miała bzika na punkcie reputacji i innych tego typu towarzyskich balastów. To wzorowa dama.

— Kim pokazała mi majątek rodzinny. Byliśmy nawet w domu, w którym kiedyś jakoby mieszkała Elizabeth.

Stanton rzucił okiem na Edwarda. Pokręcił głową z podziwem.

— No, no! Szybko działasz, ty lamparcie.

— Niech cię nie ponosi twoja rynsztokowa wyobraźnia. To była zupełnie niewinna wycieczka. Bardzo ciekawa i obudziła w Kim zainteresowanie osobą Elizabeth.

— Nie sądzę, żeby jej matce się to spodobało — stwierdził Stanton.

— Może dzięki mnie zrewidują swój stosunek do sprawy. — Edward otworzył torbę, którą trzymał na kolanach, i podniósł w górę jedno z plastikowych pudełek, które przywiózł z Salem. Wyjaśnił Stantonowi, co ono zawiera.

— Musisz być naprawdę zakochany — skomentował Stanton. — Inaczej nie poświęciłbyś tyle czasu i trudu.

— Mam taką koncepcję, że gdybym zdołał udowodnić, iż u źródła opętania w Salem leżało zatrucie ergotaminą, zdjęłoby to do reszty odium ciężące na osobach, które czują się związane z tą sprawą, myślę tu zwłaszcza o Stewartach.

— Nadal twierdzę, że musisz być zakochany. To zbyt teoretyczne uzasadnienie dla takiego zaangażowania. Ja nie mogę cię skłonić, żebyś mi użyczył nazwiska, mimo że kuszę cię perspektywą grubszej forsy.

Edward westchnął.

— No dobrze. W takim razie chyba muszę powiedzieć, że jako badacza układu nerwowego kusi mnie możliwość udowodnienia, że całą aferę Salem spowodował związek halucynogeny.

— To mogę zrozumieć. Historia czarownic z Salem ma uniwersalny wymiar. Nie trzeba być badaczem układu nerwowego.

— Kapitalista filozofem — zaśmiał się Edward. — Pięć minut temu uznałbym to za oksymoron. Co rozumiesz przez ten uniwersalny wymiar?

— Ta sprawa ma jakiś diaboliczny urok. Ludzie lubią takie rzeczy. Na przykład egipskie piramidy. To coś więcej niż zwykłe stopy kamieni. To okno na świat nadprzyrodzony.

— Trudno mi się z tym zgodzić. — Edward odłożył swoją próbkę. — Jako naukowiec poszukuję wyłącznie wyjaśnienia naukowego.

— Och, chrzaniś — odparł Stanton.

Wysadził Edwarda na Divinity Avenue w Cambridge. Zanim Edward zamknął drzwi, jeszcze raz zdążył mu przypomnieć o prospekcie Genetrixu.

Edward przeszedł wzdłuż Divinity Hall i wszedł do pomieszczeń wydziału biologii. Od sekretarki otrzymał wskazówki, jak trafić do pracowni Kevina Scrantona. Zastał swojego chudego, brodatego kolegę w jego gabinecie. Chodzili razem do Wesleyan, ale po powrocie Edwarda na Harvard jeszcze się nie widzieli.

Pierwsze dziesięć minut upłynęło im na wspomnianiu dawnych czasów. Dopiero później Edward przeszedł do właściwego celu swojej wizyty. Na rogu biurka Kevina postawił trzy plastikowe pudełka.

— Chciałbym, żebyś poszukał w tych próbkach *Claviceps purpurea*.

Kevin wziął jedno pudełko i zdjął nakrywkę.

— A mogę wiedzieć, na co ci to? — Ujął w dwa palce szczyptę brudu.

— Nigdy byś nie zgadł. — Edward opowiedział mu, skąd pochodzą te próbki oraz o swojej teorii dotyczącej czarownic z Salem. Nie podał jednak nazwiska Stewartów uważając, że winien jest Kim dyskrecję.

— Intrygująca sprawa — stwierdził Kevin, gdy Edward zakończył swoją opowieść.

Wstał i zabrał się do przygotowywania preparatu.

— Pomyślałem, że byłby z tego fajny artykułik dla *Science* albo *Nature*. Oczywiście pod warunkiem, że znajdziemy zarodniki *Claviceps*.

Kevin wsunął preparat pod mikroskop i zaczął oglądać próbkę.

— No cóż, jest tu masa zarodników, ale to oczywiście jeszcze nic niezwykłego.

— W jaki sposób najlepiej stwierdzić, czy jest wśród nich *Claviceps*?

— Jest kilka sposobów. Jak szybko chciałbyś mieć odpowiedź?

— Jak najszybciej.

— DNA trochę potrwa. W każdej próbce jest pewno od trzech do pięciu tysięcy różnych gatunków. Poza tym decydującym dowodem byłoby wyhodowanie *Claviceps*. Rzecz w tym, że nie jest to łatwe. Ale spróbuję.

Edward wstał.

— Z góry dziękuję za wszystko.

Wolną chwilę Kim wykorzystała, żeby się trochę ogarnąć. podniosła rękę w gumowej rękawiczce na tyle wysoko, by nagim przedramieniem odsunąć włosy z czoła. Był to typowy pracowity dzień na chirurgicznym oddziale intensywnej terapii, satysfakcjonujący, choć wyczerpujący. Była już zmęczona i z niecierpliwością wyczekiwała końca swojej zmiany za dwadzieścia minut. Na nieszczęście chwila relaksu została zakłócona. Na oddziale zjawił się Kinnard Monihan z pacjentem.

Kim i inne chwilowo wolne pielęgniarki wspólnie zajęły się przyjęciem. Kinnard i anestezjolog, który z nim przyszedł, pomagali jak mogli.

Podczas pracy Kim i Kinnard unikali swojego wzroku. Ale Kim dotkliwie odczuwała jego bliskość, szczególnie gdy sytuacja zmuszała ich, by stali tuż obok siebie. Kinnard był wysokim silnym dwudziestoosmioletnim mężczyzną o ostrych, kanciastych rysach. Poruszał się żwawo, lekko podrygując, w czym przypominał raczej boksera na treningu niż lekarza w połowie specjalizacji z chirurgii.

Gdy skończyli z pacjentem, Kim chciała umknąć do centralki, gdy poczuła rękę na ramieniu. Odwróciła się i napotkała ciemne, palące oczy Kinnarda.

— Chyba nie jesteś ciągle wściekła? — zagadnął.

Nie miał żadnych zahamowań przed rozpoczęciem rozmowy na drażliwy temat osobisty na środku oddziału szpitalnego.

Kim targnęła fala niepokoju. Uciekła z oczami. W jej duszy kłębiły się sprzeczne uczucia.

— Cóż to, czyżbyś nie zamierzała ze mną w ogóle rozmawiać? — spytał Kinnard. — Nie przesadzasz trochę z tymi zranionymi uczuciami?

— Ostrzegalam cię. — Kim zdołała wydobyć głos. — Mówiłam, że jeśli się uprzesz przy swojej wyprawie wędkarskiej, mimo że mieliśmy jechać do Martha's Vineyard, nie będzie już między nami tak, jak było.

— Nie umawialiśmy się na sto procent. I nie mogłem przewidzieć, że doktor Markey zaproponuje mi, żebym wziął udział w wycieczce.

— Jeśli się nie umawialiśmy, to po co załatwiałam sobie wolny dzień? I czemu dzwoniłam do przyjaciół rodziców z prośbą, żebyśmy mogli przenocować w ich domku?

— Rozmawialiśmy o tym tylko raz.

— Dwa. I za drugim razem powiedziałam ci o domku.

— Posłuchaj, ta wycieczka była dla mnie ważna. Markey jest człowiekiem numer dwa na oddziale. Może i zaszło małe nieporozumienie, ale to jeszcze nie powód, żeby robić tyle szumu.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie czujesz nawet cienia skruchy — powiedziała Kim.

Twarz jej poczerwieniała.

— Dlaczego miałbym przepraszać, skoro nie zrobiłem nic złego?

— A więc dobrze — stwierdziła Kim.

Ruszyła w stronę centralki, ale Kinnard znów ją zatrzymał.

— Przykro mi, że jesteś zdenerwowana. Myślałem, że do tej pory już się uspokoiłaś. Może porozmawiamy o tym jeszcze w sobotę wieczorem. Nie mam dyżuru. Moglibyśmy pójść na kolację i na jakieś przedstawienie.

— Żałuję, ale mam już inne plany — odparła Kim.

Nie była to prawda; poczuła ucisk w żołądku. Nienawidziła kłótni i wiedziała, że nie jest w tym dobra. Każdy konflikt od razu wywoływał u niej bóle brzucha.

Kinnardowi opadła szczęka.

— Ach tak! — Oczy mu się zwęziły.

Kim przełknęła ślinę. Widać było, że jest wściekły.

— W tę grę mogą grać dwie osoby — ostrzegł. — Myślałem już o kimś, z kim mógłbym się umówić. Teraz mam okazję.

— O kim? — W tej samej sekundzie Kim pożałowała swego pytania.

Kinnard uśmiechnął się złośliwie i odszedł.

W obawie że straci panowanie nad sobą, Kim wycofała się do magazynu, gdzie nikogo nie było. Cała się trzęsła. Po kilku głębokich wdechach poczuła, że odzyskuje równowagę i może wrócić do pracy. Miała właśnie wyjść na oddział, gdy drzwi się otworzyły i wkroczyła Marsha Kingsley, jej współmieszkanka.

— Przypadkiem słyszałam waszą rozmowę — powiedziała.

Była to drobna, pełna temperamentu kobietka z grzywą kasztanowatych włosów, które do pracy upinała w kok. Nie tylko mieszkała, ale i pracowała razem z Kim.

— Co za gnojek — stwierdziła. Lepiej niż ktokolwiek inny znała historię związku Kim z Kinnardem. — Nie dawaj mu się wyprowadzać z równowagi, wstrętnemu egoiście.

Nagle pojawienie się Marshy zburzyło samokontrolę Kim.

— Nienawidzę kłótni — powiedziała przez łyzy.

— Uważam, że zachowałeś się wspaniale. — Marsha podała jej chusteczkę.

— Nawet nie przeprosi. — Kim wytarła oczy.

— Gruboskórny cham — oświadczyła lojalnie Marsha.

— Nie wiem, na czym polega mój błąd. Jeszcze niedawno zdawało mi się, że jesteście dobraną parą.

.- Ty nie popełniłaś żadnego błędu. To jego wina. Jest zbyt samolubny. Porównaj tylko jego zachowanie i Edwarda. Edward codziennie przysyła ci kwiaty.

— Nie potrzebuję codziennie kwiatów.

— Oczywiście, że nie. Liczą się intencje. Kinnard w ogóle nie bierze pod uwagę twoich uczuć. Zaslugujesz na coś lepszego.

— Sama nie wiem. — Kim wytarła nos. — Ale jedno jest pewne. Muszę coś zmienić w swoim życiu. Zastanawiam się nad przeprowadzką do Salem. Planuję zaadaptować stary dom w majątku rodzinnym, który odziedziczyłam razem z bratem.

— To świetny pomysł. Dobrze by ci zrobiła zmiana otoczenia, zwłaszcza że Kinnard też mieszka na Beacon Hill.

— To właśnie miałam na myśli. Wybieram się tam zaraz po pracy. A może pojechałabyś ze mną? W twoim towarzystwie byłoby mi przyjemniej i może podsunęłabyś mi jakieś pomysły co do urządzenia domu.

— Przełożmy to na później — poprosiła Marsha. — Dzisiaj jestem już umówiona.

Po pracy i po odprawie Kim wyszła ze szpitala, wsiadła do samochodu i wyjechała z miasta. Ruch był niewielki, jechało się szybko, zwłaszcza gdy przejechała Tobin Bridge. Pierwszy postój zrobiła w domu rodziców na przesmyku Marblehead.

— Jest tu kto? — zawołała wchodząc.

Dom w stylu francuskiego zamku był pięknie położony tuż nad oceanem. Pod pewnymi względami przypominał siedzibę rodową w Salem, był jednak mniejszy i bardziej gustowny.

— Jestem na werandzie, kochanie — dobiegła ją z daleka odpowiedź Joyce.

Długim korytarzem biegnącym przez środek domu Kim dotarła do pomieszczenia, w którym jej matka spędzała większość czasu. Oszklona z trzech stron weranda frontem zwrócona była na południe, na wypielegnowany, porośnięty trawą taras, natomiast od wschodu rozciągał się z niej zapierający dech w piersiach widok na ocean.

— Jesteś jeszcze w mundurku — zauważyła Joyce.

Jej ton wyrażał dezaprobatę czytelną tylko dla córki.

— Jadę prosto z pracy. Chciałam uniknąć tłoku.

— Mam nadzieję, że nie przyniosłaś ze sobą żadnych zarazków. Tego tylko brakuje, żebym się znowu rozchorowała.

— Nie pracuję w oddziale chorób zakaźnych. U nas jest chyba mniej bakterii niż tutaj.

— Co ty opowiadasz — ofuknęła ją Joyce.

Nie były do siebie podobne. Kim rysami twarzy i włosami przypominała ojca. Joyce miała twarz szeroką, głęboko osadzone oczy, lekko orli nos. Dawniej brunetka, była już prawie siwa. Nigdy nie ufarbowała włosów. Cerę nawet teraz, niemal w środku lata, miała białą jak marmur.

— A ty, jak widzę, ciągle w szlafroku — zauważyła Kim.

Usiadła na kanapie ustawionej prostopadle do szezlonga matki.

— Po co mam się ubierać? Poza tym nie czuję się dobrze.

— Rozumiem, że taty nie ma w domu — stwierdziła Kim.

Ten schemat znała od lat.

— Twój ojciec wyjechał wczoraj w krótką służbową podróż do Londynu.

— Przykro mi.

— Nie ma powodu. Kiedy jest w domu, i tak nie zwraca na mnie uwagi. Chciałaś się z nim zobaczyć?

— Miałam nadzieję, że go zastanę.

— Wróci w czwartek — rzekła Joyce. — Jeśli mu to będzie na rękę.

Ten męczyński ton Kim znała aż za dobrze.

— Czy Grace Traters też pojechała? — spytała.

Grace Traters była osobistą asystentką ojca, jedną z długiego szeregu osobistych asystentek.

— Oczywiście, że Grace pojechała — odparła Joyce ze złością. — Bez Grace John nie potrafi zawiązać sobie butów.

— Jeśli cię to denerwuje, to czemu się zgadzasz, mammo?

— Nie mam na to żadnego wpływu.

Kim ugryzła się w język. Ogarnęło ją przygnębienie. Z jednej strony współczuła matce, że musi to znosić, a z drugiej ta poza cierpiętnicy ją drażniła. Ojciec zawsze miał romanse, mniej czy bardziej jawne. Tak było, odkąd sięgała pamięcią.

Zmieniając temat spytała o Elizabeth Stewart.

Okulary do czytania spadły Joyce z czubka nosa, gdzie dotychczas niepewnie tkwiły, i uderzając o dekolt zawisły na łańcuszku, który miała na szyi.

— Cóż za dziwne pytanie — powiedziała. — Czemuż to tak nagle się nią zainteresowałaś?

— Natrafiłam na jej portret w piwnicy dziadka. Zrobił na mnie spore wrażenie, zwłaszcza to, że mamy takie same oczy. Zdałam sobie sprawę, że bardzo mało o niej wiem. Naprawdę została powieszona jako czarownica?

— Wolałabym o tym nie mówić.

— Mammo, na miłość boską! Dlaczego?

— To jest po prostu temat tabu.

— Powinnaś o tym przypomnieć swojemu bratankowi Stantonowi. Poruszył go ostatnio w towarzystwie podczas kolacji.

— Możesz być pewna, że mu przypomnę. To niedopuszczalne i on o tym dobrze wie.

— Jak coś może być tabu po tylu latach?

— Nawet po tylu latach to nie jest powód do dumy. To obrzydliwa historia.

— Czytałam wczoraj trochę o procesach czarownic w Salem. Bardzo dużo na ten temat napisano. Ale nigdzie nie ma wzmianki o Elizabeth Stewart. Zaczynam się zastanawiać, czy ona naprawdę miała w tym jakiś udział.

— Z tego co wiem, miała. I dajmy już temu spokój. Jak to się stało, że natrafiłaś na ten portret?

— Byłam w zamku. W zeszłą sobotę pojechałam odwiedzić majątek. Mam taki pomysł, żeby zaadaptować stary dom i zamieszkać w nim.

— Na miłość boską, a to czemu? Jest strasznie mały.

— Mógłby być uroczy. I jest większy niż moje obecne mieszkanie. Poza tym chcę się wyprowadzić z Bostonu.

— Żeby się nadawał do zamieszkania, trzeba będzie w niego włożyć masę pracy.

— Między innymi dlatego chciałam porozmawiać z ojcem. Ale oczywiście go nie ma. Muszę stwierdzić, że ilekroć go potrzebuję, nigdy go nie ma.

— W takiej sprawie on ci nic nie pomoże. Powinnaś porozmawiać z George'em Harrisem i Markiem Stevenssem. To przedsiębiorca budowlany i architekt. Oni odnawiali nasz dom i zrobili to tak, że nie mogłoby być lepiej. Pracują zawsze razem i mają biuro w Salem, dla ciebie bardzo wygodnie. No a następną osobą, z którą powinnaś porozmawiać, jest twój brat.

— To się rozumie samo przez się — powiedziała Kim.

— Zadzwoń do niego stąd — poleciła Joyce. — Ja tymczasem pójdę po telefon tego przedsiębiorcy i architekta. Joyce zsunęła się z szeszlona i zniknęła. Kim położyła sobie telefon na kolanach, uśmiechając się do siebie. Matka nigdy nie przestawała jej zadziwiać. W jednej chwili uosobienie beczynności, zaabsorbowana jedynie własną osobą, w następnej burza aktywności, całkowicie pochłonięta cudzymi sprawami. Intuicja mówiła jej, na czym polega problem: matka miała za mało zajęć. W przeciwieństwie do swoich przyjaciółek nigdy nie włączyła się w żadną działalność społeczną.

Dzwoniąc Kim spojrzała na zegarek i próbowała zgadnąć, która godzina może być teraz w Londynie. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Jej brat nie miał zwyczaju sypiać normalnie. Niczym nocne zwierzę do świtu pracował, a w dzień uciął sobie drzemki.

Brian odebrał telefon po pierwszym dzwonku. Po krótkiej wymianie powitań Kim przedstawiła mu swój zamysł. Reakcja Briana była bezwarunkowo pozytywna, wręcz zachęcał ją, żeby jak najszybciej wprowadziła plan w życie. Uważał, że w majątku powinien ktoś mieszkać. Zapytał tylko o zamek i jego umeblowanie.

— Zamku nie mam zamiaru ruszać. Do tego zabierzemy się, kiedy ty wrócisz.

— W porządku — stwierdził Brian.

— Gdzie jest ojciec?

— John zatrzymał się w Ritzu.

— A Grace?

— Nie pytaj — odparł Brian. — Wracają we czwartek.

Kim właśnie żegnała się z Brianem, kiedy wróciła Joyce i bez słów wręczyła

jej kawałek papieru z lokalnym numerem telefonu. Jak tylko Kim odłożyła słuchawkę, powiedziała jej, żeby zadzwoniła pod ten numer.

— Kogo mam prosić? — spytała Kim telefonując.

— Marka Stevensa. Spodziewa się ciebie. Zadzwoniłam do niego przez drugą linię, kiedy ty rozmawiałaś z Brianem.

Ingerencja matki wprawiła Kim w lekkie rozdrażnienie, ale nic nie powiedziała. Wiedziała, że Joyce chce jak najlepiej. Zaraz jednak przypomniała sobie czasy szkolne, kiedy to musiała walczyć z matką, żeby nie pisała za nią wypracowań.

Rozmowa z Markiem Stevensem była krótka. Poinformowany przez Joyce, że Kim jest w pobliżu, zaproponował, żeby spotkali się w majątku za pół godziny. Powiedział, że jeśli ma jej mądrze doradzić, musi zobaczyć posiadłość. Kim się zgodziła.

— Jeśli rzeczywiście zdecydujesz się odnawiać ten stary dom, to przynajmniej będziesz w dobrych rękach — stwierdziła Joyce po skończonej rozmowie.

— Muszę już iść. — Kim wstała.

Choć starała się nad tym zapanować, uczucie rozdrażnienia w stosunku do matki powróciło. Denerwowały ją ciągle ingerencje i brak poszanowania jej prywatności. Przypomniała sobie, że matka powiedziała Stantonowi o zerwaniu z Kinnardem i prosiła, żeby znalazł dla niej nowego partnera.

— Odprowadzę cię — rzekła Joyce.

— Nie trzeba, mamę.

— Ale ja chcę.

Szły długim korytarzem.

— Kiedy będziesz rozmawiać z ojcem na temat starego domu — podjęła Joyce — radzę ci nie wspominać o Elizabeth Stewart. To go tylko rozzłości.

— Dlaczego miałoby go to rozzłościć? — spytała oschle Kim.

— Nie denerwuj się. Chodzi mi tylko o to, żeby uniknąć kłótni w rodzinie.

— Ależ to śmieszne — rzuciła Kim. — Zupełnie tego nie rozumiem.

— Wiem o niej tylko tyle, że pochodziła z biednej wiejskiej rodziny z Andover. Nie była nawet oficjalnym członkiem Kościoła.

— Tak jakby to miało dziś jakieś znaczenie. Czy to nie ironia losu? Zaledwie w kilka miesięcy po tamtej aferze sędziowie i przysięgli przyznali, że stracono niewinnych ludzi, i okazali publiczną skruchę. A my, trzysta lat później, nie możemy nawet porozmawiać o naszej antenatce. To przecież bez sensu. Dlaczego jej nazwiska nie ma w żadnej książce?

— Najwidoczniej dlatego, że rodzina sobie tego nie życzyła. Przypuszczam, że nie uważali jej za niewinną. Dlatego też całą sprawę powinno się zostawić w spokoju.

— Według mnie to kupa bzdur — oświadczyła Kim.

Wsiadła do samochodu i wyjechała z przesmyku Marblehead. Dopiero kiedy dotarła do Marblehead właściwego, zmusiła się, żeby zwolnić. Pod wpływem

nie w pełni dla niej jasnego niepokoju i wzburzenia jechała o wiele za szybko. Mijając Dom Czarownicy w Salem była już w stanie ubrać swoje myśli w słowa i przyznała sama przed sobą, że jej zainteresowanie osobą Elizabeth i procesami czarownic wyraźnie wzrosło pomimo ostrzeżeń matki, a może właśnie z ich powodu. Dojechała do bramy majątku rodzinnego. Na poboczu parkował już chevrolet bronco. Gdy wysiadła z samochodu trzymając w ręku klucze, z chevroleta także wyszło dwóch mężczyzn. Jeden krępy, muskularny, jakby codziennie dźwigał ciężary. Drugi tęgi, a właściwie już otyły, zdyszany, jakby nawet wygramolenie się z samochodu stanowiło dla niego problem.

Tęgi przedstawił się jako Mark Stevens, a muskularny jako George Harris. Uścisnęli sobie dłonie.

Kim otworzyła bramę i z powrotem wsiadła do samochodu. Pojechali do starego domu. Na miejscu wszyscy wysiedli jednocześnie.

— Bajeczny — zachwycił się Mark Stevens.

Dom go urzekł.

— Podoba się panu? — spytała Kim, uradowana taką reakcją.

— Szalenie — odparł Mark.

Najpierw obeszli go z zewnątrz. Kim opowiedziała o pomyśle, żeby urządzić nowoczesną kuchnię i łazienkę w przybudówce, a główną część domu pozostawić w zasadniczo nie zmienionej postaci.

— Trzeba będzie zainstalować ogrzewanie i klimatyzację — stwierdził Mark. — Ale z tym nie powinno być kłopotów.

Weszli do środka. Kim pokazała im cały dom, nawet piwnicę. Szczególne wrażenie zrobił na nich sposób łączenia głównych belek i legarów.

— Solidny, porządny budynek — orzekł Mark.

— Czy trudno będzie go odnowić? — spytała Kim.

— Żaden problem. — Mark spojrzął na George'a, który potakująco skinął głową.

— To będzie uroczy dom. Jestem nim oczarowany.

— Czy da się to zrobić bez naruszenia jego historycznego charakteru?

— Jak najbardziej — zapewnił ją Mark. — Wszystkie przewody, rury i urządzenia elektryczne można ukryć. Będą całkiem niewidoczne.

— Zrobimy głęboki wykop, żeby przeprowadzić wszystko co trzeba pod fundamentami. Radziłbym tylko piwnicę wylać cementem.

— Dałoby się to skończyć na pierwszego września? — dopytywała się Kim.

Mark spojrzął na George'a. Ten skinął głową. Powiedział, że nie widzi przeszkód.

— Mam pewną propozycję — dodał Mark. — Duża łazienka rzeczywiście powinna być w przybudówce, tak jak pani sugerowała. Ale moglibyśmy też, nie naruszając charakteru wnętrza, urządzić jedną malutką, wspólną dla dwóch sypialni na piętrze. Myślę, że to byłoby wygodne rozwiązanie.

— Dobry pomysł. Kiedy mogliby panowie zacząć?

— Jak najszybciej — odpowiedział George. — Właściwie, jeśli mamy zdążyć na pierwszego września, to jutro.

— Zrobiliśmy duże zlecenie dla pani ojca — rzekł Mark. — Proponuję te same warunki, na jakich pracujemy zwykle. Płaci nam pani za czas i materiały plus marża.

— Decyduję się — oświadczyła Kim z niezwykłą u niej determinacją. — Zapal panów rozproszył resztki moich wątpliwości. Co musimy zrobić na początek?

— Możemy zacząć na mocy umowy ustnej — powiedział Mark. — Tymczasem przygotowujemy pisemny kontrakt, który podpiszemy później.

— Świetnie. — Kim wyciągnęła rękę i uścisnęła dłonie obu mężczyźn.

— Musimy tu jeszcze trochę zostać, żeby wszystko wymierzyć — uprzedził Mark.

— Proszę się czuć jak u siebie — odparła Kim. — Co do rzeczy, które trzeba będzie wynieść z budynku, to można je przechować w garażu przy dużym domu. Jest otwarty.

— A co z bramą? — spytał George.

— Skoro zaczynają panowie zaraz, zostawimy ją otwartą.

Gdy obaj mężczyźni zajęli się pomiarami, Kim wyszła na zewnątrz. Z odległości kilkunastu metrów przyjrzała się domowi i uznała, że naprawdę jest uroczy. Natychmiast wyobraziła sobie, jaka to będzie przyjemność urządzić go, i zaczęła rozważać, na jaki kolor pomaluje sypialnię. Takie myśli podsycaly jej entuzjazm dla projektu, a wraz z nim w jej świadomości ożyło znów imię Elizabeth. Raptem zaczęła się zastanawiać, co czuła Elizabeth, gdy po raz pierwszy zobaczyła ten dom i kiedy się do niego wprowadzała. Ciekawe, czy była równie podekscytowana.

Zawróciwszy do środka, powiedziała Markowi i George'owi, że gdyby jej potrzebowali, będzie w dużym domu.

— Myślę, że na razie będziemy mieli co robić — odparł — Ale jutro będę musiał się z panią porozumieć. Może mi pani dać swój telefon?

Kim podała im numery do domu i do pracy. Potem pojechała do zamku. Myśl o Elizabeth obudziła w niej chęć poszperania w starych papierach.

Otworzyła frontowe drzwi i zostawiła je uchylone na wypadek, gdyby Mark albo George jej szukali. Chwilę wahała się między poddaszem a piwnicą. Mając w pamięci siedemnastowieczny konosament, który znalazła w piwnicy w sobotę, zdecydowała się tam wrócić.

Przemierzyła wielki salon, przecięła jadalnię i otworzyła ciężkie dębowe drzwi. Gdy zaczęła schodzić po granitowych stopniach, usłyszała, jak drzwi zamknęły się za nią z głuchym szcęknięciem.

Przystanęła. Nagle uprzytomniła sobie, że być tu, w wielkim starym domu, sa-
mej to zupełnie co innego niż z Edwardem. Z oddali dochodziły ją zgrzyty i trza-

ski; wiekowe domostwo protestowało przeciwko narastającemu upałowi. Kim odwróciła się i spojrzała w górę, zdjeta irracjonalnym lękiem, że jakimś cudem drzwi się zatrzasnęły, zamykając ją w pułapce. — Nie bądź śmieszna — powiedziała do siebie na głos.

Mimo to nie mogła się otrząsnąć ze strachu. W końcu wdrapała się z powrotem po schodach. Oparła się o drzwi, które, co było do przewidzenia, ustąpiły. Puściła je, a one zamknęły się znowu.

Besztając się za wybujałą wyobraźnię, zeszła w głąb piwnicy. Podśpiewywała ulubioną melodię, ale jej opanowanie było tylko maską. Mimo wszelkich wysiłków sceneria ją przerażała. Powietrze w potężnym domu wydawało się ciężkie, aż trudno było oddychać. I, jak już zauważyła wcześniej, wcale nie panowała w nim cisza.

Kim zmuszała się, żeby odpędzać niespokojne myśli. Ciągłe podśpiewując tę samą piosenkę weszła do boks, w którym znalazła siedemnastowieczny konosament. W sobotę przeszukała tylko tę jedną szufladę, a teraz zabrała się za resztę szafki.

Szybko zdała sobie sprawę, jak trudnym zadaniem będzie uporządkowanie archiwum Stewartów. Miała do czynienia z jedną tylko szafką spośród mnóstwa. Każda szuflada była całkowicie zapełniona. Mozolnie przedzierała się przez dokument za dokumentem. Wiele napisanych było odręcznie i niektóre z trudem dawały się odcyfrować. Na innych nie było daty. Na domiar złego kinkiety w kształcie pochodni dawały światło o wiele za słabe do takiej pracy. Na następną wyprawę do piwnicy Kim postanowiła przynieść dodatkowe źródło światła.

Przejrzawszy zaledwie jedną szufladę, dała za wygraną. Większość dokumentów opatrzonych datą pochodziła z końca osiemnastego wieku. W nadziei że w tym chaosie jest jednak jakaś metoda, zaczęła na chybił trafił otwierać rozmaite szuflady i wyciągać z nich po parę dokumentów na próbę w poszukiwaniu czegoś znacznie starszego. W górnej szufladzie biurka tuż przy drzwiach dokonała swego pierwszego odkrycia.

Początkowo jej uwagę przyciągnęły podniszczone konosamenty z siedemnastego wieku, nieco starsze niż ten, który pokazała w sobotę Edwardowi. Potem znalazła cały ich pakiet przewiązany sznurkiem. Choć były napisane odręcznie, to jednak ładnym i starannym pismem i każdy opatrzony był datą. Dotyczyły głównie futer, drewna, ryb, rumu, cukru i zboża. W środku paczuszki znajdowała się koperta zaadresowana do Ronalda Stewarta. Tym razem pismo było inne; nieporadne i z błędami.

Kim wyniosła kopertę do holu, do lepszego oświetlenia. Wysunęła i rozprostowała list. Widniała na nim data 21 czerwca 1680. Niełatwo go było odczytać.

Wielmożny Panie

List twój doszedł mnie w tych dniach. Radziliśmy długo o twoim upodobaniu dla naszej kochanej córki Elizabeth ktura jest dziewczę rezolutne. Jeśli taka wola Boga dostaniesz ją w zameście ale musisz dać mi pracę a rodzinę moją osadzić w mieście Salem. Pszez groźbę najazdu Indian żyjemy tu w Andover w wielkim strachu i Niepokoju. Twuj pokorny sługa

James Flanagan

Kim z wolna wsunęła kartkę z powrotem do koperty. Była oszołomiona, wręcz wstrząśnięta. Nie uważała się za feministkę, ale ten list uraził ją do żywego i sprawił, że niemal się nią poczuła. Elizabeth była więc przedmiotem transakcji jak zwykły sprzęt. Jej współczucie dla antenatki, które od jakiegoś czasu stale rosło, teraz sięgnęło zenitu.

Wróciwszy do boks, Kim odłożyła list na blat biurka, w którym go znalazła, i zaczęła dokładnie przeszukiwać szufladę. Zapomniała o czasie i o świecie zewnętrznym. Oglądała dokładnie każdy kawałek papieru. Znalazła wprawdzie jeszcze kilka konosamentów, ale ani jednego listu. Niezrażona, zabrała się za następną szufladę. Wtedy właśnie z góry doleciał ją odgłos nie pozostawiający wątpliwości; były to ludzkie kroki.

Kim zamarła. Nieokreślony lęk, jakiego doznała, gdy schodziła do piwnicy, powrócił z pełną siłą. Teraz jednak podsycala go nie tylko niesamowita sceneria ogromnego pustego domostwa. Dołączyło się także poczucie winy z powodu wtargnięcia w zakazaną domenę burzliwej przeszłości.

Wyobraźnia zaczęła pracować i słysząc kroki tuż nad swoją głową, Kim oczami duszy widziała już jakieś przerażające widmo. Przyszło jej nawet na myśl, że to jej zmarły dziadek przyszedł szukać zemsty za ten zuchwały i arogancki zamach na pilnie strzeżone tajemnice.

Kroki oddaliły się i wtopiły w jęklive zgrzyty i trzaski starego domu. Kim targały dwa sprzeczne pragnienia: uciekać na ślepo z piwnicy lub też ukryć się między szafkami. Niezdolna podjąć decyzji, nie zrobiła niczego. Podkraśla się tylko cichcem do drzwi boks i zerknęła zza framugi w stronę granitowych schodów. W tej samej chwili usłyszała, jak drzwi piwnicy otwierają się ze szczękiem. Nie widziała ich, ale była pewna, że to właśnie to.

Sparaliżowana strachem, patrzyła bezradnie, jak u wylotu schodów pojawiają się czarne buty i spodnie i nieubłagane schodzą coraz niżej. W połowie drogi

stały. Postać pochyliła się i w polu widzenia Kim znalazła się oświetlona od tyłu twarz o nieczytelnych rysach.

— Kim? — zawołał Edward. — Jesteś tam?

Pierwszą reakcją Kim był głęboki wydech. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Oparła się o ścianę, bo nogi jej drżały, i odkrzyknęła do Edwarda, aby dać mu znać, gdzie jest. Za chwilę jego barczysta sylwetka wypełniła framugę.

— Przestraszyłeś mnie — powiedziała Kim starając się, aby to brzmiało jak najspokojniej.

Teraz, kiedy już wiedziała, że to Edward, niezmiernie się wstydziła swojej niepoohamowanej paniki.

— Bardzo cię przepraszam — odpowiedział zacinając się Edward. — Nie chciałem.

— Czemu nie zawołałeś od razu?

— Wołałem. Nawet kilka razy. Najpierw jak tylko przeszedłem przez próg, a potem w salonie. Widocznie piwnica ma izolację.

— Widocznie. A w ogóle skąd się tu wziąłeś? Wcale się ciebie nie spodziewałam.

— Próbowałem złapać cię w domu. Marsha powiedziała mi, że pojechałeś tutaj i że chcesz odnawiać dom. Pod wpływem impulsu zdecydowałem się także przyjechać. Czuję się za ciebie odpowiedzialny; w końcu to ja podsunąłem ci ten pomysł.

— To ładnie z twojej strony — odparła Kim.

Serce nadal waliło jej jak szalone.

— Naprawdę bardzo mi przykro, że cię nastraszyłem.

— Nic nie szkodzi. To moja wina, że dałam się ponieść głupiej wyobraźni. Kiedy usłyszałam kroki, pomyślałam, że to duch.

Edward zrobił straszną minę i rozczapierzył palce jak szpony. Kim żartobliwie uderzyła go w ramię i powiedziała, że to nie jest śmieszne. Oboje czuli ulgę. Początkowe napięcie ulotniło się.

— A więc rozpoczęłaś śledztwo w sprawie Elizabeth Stewart — zauważył Edward. Obrzucił spojrzeniem otwartą szufladę. — Znalazłaś coś?

— A wiesz, że tak — Kim podeszła do biurka i podała Edwardowi list Jamesa Flanagana do Ronalda Stewarta.

Edward ostrożnie wyjął list z koperty. Podniósł go do światła. Odczytanie go zajęło mu tyleż czasu co i Kim.

— Najazdy Indian na Andover! — skomentował. — Możesz sobie to wyobrazić? Życie było wtedy naprawdę zupełnie inne.

Skończył list i oddał go Kim.

— Fascynujące — oświadczył.

— Nie robi na tobie przykrego wrażenia?

— Nie powiedziałbym — odparł Edward. — A powinien?

— Na mnie robi. Biedna Elizabeth miała jeszcze mniejszy wpływ na swój tragiczny los, niż mi się zdawało. Dla własnego ojca była towarem w transakcji handlowej. To okropne.

— Myślę, że wyciągasz pochopne wnioski. W siedemnastym wieku nie istniało pojęcie możliwości życiowych w takim sensie, w jakim my o tym myślimy. Życie było wtedy twardsze. Ludzie nie bawili się w subtelności. Musieli się jednoczyć, po prostu żeby przeżyć. Interes jednostki nie liczył się tak bardzo.

— To nie usprawiedliwia handlu życiem własnej córki. Zupełnie jakby była krową albo kawałkiem ziemi.

— Mimo wszystko uważani, że twoja interpretacja jest trochę przesadna. To, że James i Ronald zawarli między sobą układ, nie znaczy jeszcze, że Elizabeth nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Poza tym musisz wziąć pod uwagę, że dla niej świadomość, iż zapewnia byt swojej rodzinie, mogła być źródłem wielkiej satysfakcji i spokoju.

— No, może — powiedziała Kim. — Rzecz w tym, że dziś wiadomo, co ją w rezultacie spotkało.

— Przecież nadal nie wiesz na pewno, czy została powieszona — przypomniał Edward.

— To prawda. Ale ten list wskazuje na pewien powód, dla którego mogła być narażona na oskarżenie o czary. Z tego, co czytałam, w czasach purytanów uważano, że pozycja życiowa dana jest człowiekowi raz na zawsze, a jeśli ktoś ją zmieniał, stawał się automatycznie podejrzany o nieposzanowanie woli boskiej. Nagłe wyniesienie Elizabeth, córki biednego wieśniaka, do godności żony bogatego jak na tamte czasy kupca z pewnością zalicza się do tej kategorii zjawisk.

— Narażenie a oskarżenie to dwie różne rzeczy. Ja mam wątpliwości, ponieważ nie znalazłem jej nazwiska w żadnym opracowaniu.

— Moja matka jest zdania, że ten brak wzmianek o Elizabeth to rezultat usilnych starań rodziny. Sugerowała nawet, że to dowodzi, iż rodzina uważała ją za winną.

— O, to coś nowego. Ale ma sens. W siedemnastym wieku ludzie wierzyli w czary. Może Elizabeth uprawiała magię?

— Zaraz, zaraz. Sugerujesz, że Elizabeth była czarownicą? Ja uważam, że się czymś ludziom narażiła, na przykład zmianą statusu społecznego, ale z pewnością nie, że wierzyła w swoją moc czarnoksięską.

— Powiedziałem tylko, że może uprawiała magię. W dawnych czasach różniano białą magię i czarną magię. Biała służyła dobrym sprawom, na przykład leczeniu ludzi albo zwierząt. Natomiast czarnej magii zawsze przyświecały złe intencje. Ale na pewno w tamtej epoce mogło być kwestią dyskusyjną, czy jakiś wywar albo urok to biała czy czarna magia.

— Cóż, może i masz rację. — Kim zastanawiała się chwilę, po czym potrząsnęła głową. — A jednak ja w to nie wierzę. Moja intuicja mówi mi co innego. Mam przeczucie, że Elizabeth była osobą absolutnie niewinną, która wpadła w tragiczną pułapkę na skutek jakiejś zdradzieckiej intrygi losu. Nie wiem, na czym ona polegała, ale musiała być straszliwa, a fakt, że następne pokolenia tak podle obeszły się z jej pamięcią, jeszcze tę niesprawiedliwość pogłębia. — Kim rozejrzała się po szafkach, biurkach i pudłach. — Pytanie tylko, czy w tym morzu dokumentów znajduje się wyjaśnienie, co to było.

— Sądzę, że znalezienie prywatnego listu może być znamienne. Skoro jest jeden, czemu nie miałyby ich być więcej. A najprędzej znajdziesz wyjaśnienie właśnie w osobistej korespondencji.

— Szkoda tylko, że w tych papierach nie ma żadnego porządku chronologicznego.

— No a co ze starym domem? — spytał Edward. — Podjęłaś już jakąś decyzję?

— Tak. Chodźmy, to ci opowiem.

Zostawili samochód Edwarda pod zamkiem i wrócili do starego domu autem Kim. Oprowadzając Edwarda, Kim z wielkim zapałem opowiadała o swoich planach, wspominając także, że zamierza pójść za jego radą i umieścić nowoczesne wygody w przybudówce. Nowością był pomysł urządzenia małej łazienki wspólnej dla dwóch sypialni na piętrze.

— To będzie nadzwyczajny dom — powiedział Edward, gdy wyszli z budynku. — Zazdroszczę ci.

— Jestem szalenie podniecona. A najbardziej cieszę się na dekorowanie wnętrza. Myślę, że we wrześniu wezmę urlop wypoczynkowy, a nawet trochę bezpłatnego, żeby móc się temu w pełni poświęcić.

— Zrobisz to sama?

— Oczywiście.

— Jestem pełen podziwu. Ja bym na pewno nie potrafił.

Wsiadli do samochodu. Kim przez chwilę nie włączała silnika. Przez przednią szybę mieli widok na dom.

— Właściwie to chciałam być projektantką wnętrza — powiedziała zamyślona.

— Poważnie?

— To moja zmarnowana szansa. Zawsze najbardziej interesowałam się różnymi dziedzinami sztuki i modą, zwłaszcza w liceum. W tamtych czasach byłam rzeczywiście dziwnym typem „artystki”, która nie bardzo umiała znaleźć sobie miejsce w grupie.

— Ja też nigdy nie należałam do żadnej grupy — stwierdził Edward.

Kim zapaliła silnik i wykręciła. Ruszyli z powrotem do zamku.

— No i dlaczego nie zostałam projektantką wnętrza? — spytał Edward.

— Rodzice mi wyperswadowali. A głównie ojciec.

— Nie bardzo rozumiem. W piątek na kolacji mówiłaś, że nigdy nie miałaś specjalnie bliskiego kontaktu z ojcem.

— Kontaktu nie miałam, ale mimo to byłam bardzo pod jego wpływem. Zawsze mi się wydawało, że to z mojej winy nasze są takie chłodne. Więc ciągle się wysilałam, żeby go zadowolić, do tego stopnia, że nawet dla niego zostałam pielęgniarką. Chciał, żebym była albo pielęgniarką, albo nauczycielką, bo uważał, że to solidne zawody. Oczywiście projektowanie wnętrz to według niego nie jest solidny zawód.

— Ojcowie potrafią odcisnąć silne piętno na osobowości dzieci. Ja też miałem podobną obsesyjną potrzebę zadowolenia ojca. Dopiero teraz widzę, jaki to był idiotyzm. Nie powinienem był się nim przejmować. Ale wtedy to był dla mnie problem, że ojciec wyśmiewał się z mojego jąkania i braku talentów sportowych. Przypuszczam, że był mną rozczarowany.

Dojechali do zamku. Kim zatrzymała się obok samochodu Edwarda. Edward już prawie wysiadł, ale nagle cofnął się na swoje siedzenie.

— Jadłaś obiad?

Kim przecząco pokręciła głową.

— Ja też nie. Może pojechalibyśmy do Salem i poszukali jakiejś sympatycznej restauracji?

— Czemu nie?

Wyjechali z majątku i skierowali się w stronę miasta. Kim pierwsza przerwała milczenie.

— Sądzę, że moje trudności towarzyskie w college'u wynikały bezpośrednio z problemów z rodzicami. Myślisz, że tak samo było z tobą?

— Bez wątpienia — odparł Edward.

— To niesamowite, jak ważną rzeczą jest wiara w siebie — ciągnęła Kim. — I trochę przerażające, jak łatwo ją w dziecku podkopać.

— Nawet i w dorosłym — odparł Edward. — A gdy już jest zachwiana, zaraz odbija się to na zachowaniu, co znów podkopuje wiarę w siebie. Cały problem w tym, że w ten sposób może dojść do powstania autonomicznego, zdeterminowanego biochemicznie mechanizmu. Jest to argument na korzyść leków: pozwalają przerwać błędne koło.

— Czyżbyśmy znowu mówili o Prozacu?

— Pośrednio. U niektórych pacjentów Prozac bardzo poprawia samoocenę.

— Czy gdyby był osiągalny w czasach, kiedy chodziłaś do college'u, brałabyś go?

— Niewykluczone — przyznał Edward. — To mogłoby zdecydowanie zmienić moje perspektywy.

Kim rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Uśmiechał się. Odniosła wrażenie, że właśnie powiedział jej coś bardzo osobistego.

— Nie musisz odpowiadać — zaczęła — i może nie powinnam o to pytać, ale czy w ogóle brałeś kiedyś Prozac?

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby ci powiedzieć. Owszem, brałem przez pewien czas, parę lat temu. Po śmierci ojca miałem depresję. Nie spodziewałem się, że tak zareaguję, zważywszy na historię naszych stosunków. Znajomy zasugerował, żebym wypróbował Prozac, i tak też zrobiłem.

— Pomógł ci wydobyć się z depresji?

— Jak najbardziej. Nie natychmiast, ale stopniowo tak. A co najciekawsze, nadspodziewanie dodał mi asertywności. Wcale tego nie oczekiwałem, więc to nie mógł być efekt placebo. Bardzo dobrze się z tym czułem.

— Zauważyłeś jakieś działania uboczne?

— Kilka. Ale to nie było nic strasznego i z pewnością łatwiejsze do zniesienia niż depresja.

— Ciekawe — powiedziała szczerze Kim.

— Mam nadzieję, że mimo twojego farmakologicznego purytanizmu moje wyznanie nie wprawiło cię w popłoch?

— Nie bądź niemądry. Przeciwnie, podziwiam twoją otwartość. Poza tym jakie mam prawo, żeby cię osądzać? Co prawda nigdy nie brałam Prozacu, ale w college'u przeszłam psychoterapię. A więc jeden do jednego.

Edward roześmiał się.

— Słusznie! Oboje jesteśmy stuknięci!

Trafili na małą popularną w okolicy restaurację, gdzie podawano świeże ryby. Była zatłoczona, musieli więc siedzieć na stołkach przy barze. Zjedli po kawałku pieczonego wątlusza i popili lodowatym piwem. Na deser był pudding według starego indiańskiego przepisu i lody.

Po barowym zgietku w drodze powrotnej oboje rozkoszowali się ciszą. Ale gdy przejechali bramę, Kim zauważyła, że Edward staje się nerwowy. Kręcił się niespokojnie i co chwila odgarniał włosy z czoła.

— Coś się stało? — spytała.

— Nie — odparł, ale przy tym znowu się zająknął.

Kim zatrzymała się obok jego samochodu. Wcisnęła hamulec bezpieczeństwa, ale nie zgasiła silnika. Czekala widząc, że Edwarda coś męczy.

W końcu Edward wypalił:

— Czy kiedy wrócimy do miasta, nie zechciałabyś mnie odwiedzić w moim mieszkaniu?

Zaproszenie postawiło Kim w kłopotliwym położeniu. Miała świadomość, że z jego strony wymagało to wielkiej odwagi i nie chciała, żeby się poczuł odrzucony. Z drugiej strony musiała myśleć o pacjentach, z którymi będzie miała do czynienia rano. W końcu zwyciężył profesjonalizm.

— Przykro mi, ale już trochę na to za późno. Ten dzień mnie wykończył; jestem na nogach od szóstej rano. — I chcąc rozładować atmosferę dodała: —

Poza tym jutro szkoła, a ja jeszcze nie odrobiłam lekcji.

— Moglibyśmy położyć się wcześniej — nalegał Edward. — Dopiero minęła dziewiąta.

Kim poczuła zarazem zdziwienie i zażenowanie.

— Dla mnie to chyba odrobinę za szybkie tempo — powiedziała. — Czuję się przy tobie bardzo swobodnie, ale nie chcę się śpieszyć.

— Naturalnie — odparł Edward. — Jak z tego widać, ja też czuję się przy tobie bardzo swobodnie.

— Naprawdę lubię się z tobą spotykać. I jeśli ci to z niczym nie koliduje, mam wolny piątek i sobotę.

— W takim razie co powiesz na kolację w czwartek? Rozumiem, że następnego dnia nie ma szkoły.

Kim roześmiała się.

— Będzie mi bardzo miło. Postaram się mieć już odrobione lekcje.

ROZDZIAŁ 4

PIĄTEK, 22 LIPCA 1994

Kim zamrugała powiekami i otworzyła oczy. W pierwszej chwili była zdezorientowana. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Przez żaluzje, których widok wydawał jej się obcy, sączyło się światło wczesnego poranka. Zwróciwszy głowę w bok, zobaczyła śpiącego Edwarda i w nagłym błysku powróciła jej świadomość.

Podciągnęła prześcieradło aż po szyję. Czowała się skrępowana i niezadowolona z siebie.

— Ty hipokrytko — powiedziała do siebie po cichu. Dobrze pamiętała, jak zaledwie parę dni wcześniej mówiła Edwardowi, że nie chce się śpieszyć, a oto budzi się w jego łóżku. Jeszcze nigdy w żadnej znajomości nie przeszła tak szybko do etapu podobnej intymności.

Najciszej jak tylko mogła spróbowała wyśliznąć się z łóżka z zamiarem ubrania się, zanim Edward się obudzi. Ale nie było jej to dane. Pies Edwarda, mały, biały, o dość paskudnym usposobieniu terier Jack Russel zawarczał i obnażył zęby. Miał na imię Bufor. Spał w nogach łóżka.

Edward usiadł i zgonił psa. Z jękiem opadł z powrotem na poduszkę.

— Która godzina? — spytał. Zamknął oczy.

— Minęła szósta — odparła Kim. Dlaczego obudziłaś się tak wcześnie?

— Z przyzwyczajenia. Normalnie wstaję o tej porze. Przecież położyliśmy się prawie o pierwszej. Dla mnie to bez znaczenia. Przepraszam. Nie powinnam zostać.

Edward otworzył oczy i przyjrzał się Kim.

— Czujesz się nieswojo?

Kim skinęła głową.

— Przepraszam. Nie powinienem był cię namawiać.

— To nie twoja wina.

— Ale ty chciałaś iść. To przeze mnie.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, po czym oboje się uśmiechnęli.

— To się zaczyna robić ciut monotonne — zachichotała Kim. — Znowu prześcigamy się w przeprosinach.

— Byłoby to śmieszne, gdyby nie było żałosne — dodał Edward. — Myślałby kto, że powinniśmy już zrobić postępy.

Kim przysunęła się do niego i opletli się ramionami. Chwilę trwali w ciszy, rozkoszując się uściskiem. Milczenie przerwał Edward.

— Jeszcze ciągle czujesz się nieswojo?

— Nie. Czasem pomaga samo wypowiedzenie czegoś na głos.

Później, gdy Edward brał prysznic, Kim zadzwoniła do swojej współmieszkanicy, Marshy, która wkrótce powinna była wyjść do pracy. Marsha ucieszyła się telefonem i wyraziła umiarkowane niezadowolenie, że Kim nie zjawiała się ani nie zadzwoniła poprzedniego dnia.

— Powinam była zadzwonić — przyznała Kim.

— Rozumiem, że wieczór się udał — stwierdziła Marsha z pewną rezerwą.

— Było bardzo przyjemnie. Tylko że zrobiło się tak późno i bałam się, że cię obudzę. Czy mogłabyś dać Shebie coś do jedzenia? — poprosiła chcąc zmienić temat. Ale Marsha za dobrze ją знаła.

— Kot już nakarmiony. Jedyne nowina to ta, że dzwonił twój ojciec. Prosił, żebyś oddzwoniła, jak tylko będziesz miała okazję.

— Mój ojciec? — zdumiała się Kim. — Nigdy do mnie nie dzwoni.

— Mnie nie musisz mówić. Mieszkam z tobą od lat, ale po raz pierwszy słyszałam jego głos przez telefon.

Gdy Edward wyszedł z łazienki i ubrał się, zaskoczył Kim propozycją wspólnego śniadania na Harvard Square. Kim spodziewała się, że będzie chciał pojechać prosto do pracowni.

— Wstałem dwie godziny wcześniej niż zwykle. Pracownia może poczekać. A ponieważ to był mój najmilszy wieczór w tym roku, chciałbym go jeszcze trochę przedłużyć.

Kim z uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję i ze wszystkich sił uściskała. Musiała się przy tym wspiąć na czubki palców. Edward odwzajemnił jej się z równą wylewnością.

Pojechali samochodem Kim, ponieważ trzeba go było zabrać spod domu Edwarda, gdzie zaparkowała nielegalnie. Na placu Edward zabrał ją do studenckiego lokaliku, gdzie zafundowali sobie jajecznicę na boczku i kawę.

— Jakie masz na dzisiaj plany? — spytał Edward.

Musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć wrzawę. Na uniwersytecie sesja letnia była już w pełnym rozkwicie.

— Jadę do Salem. Remont domu już się zaczął, więc chcę sprawdzić, jak idzie praca. — Kim nazywała swoją przyszłą siedzibę domem w odróżnieniu od zamku.

— Kiedy masz zamiar wrócić?

— Wczesnym wieczorem.

— Może spotkamy się około ósmej w Harvest Bar?

— Umowa stoi — zgodziła się Kim.

Po śniadaniu Edward poprosił ją, żeby go podrzuciła na wydział biologii.

— Nie chcesz wrócić do domu po samochód?

— Nie, dzięki — odparł Edward. — Na kampusie i tak nie będzie gdzie zaparkować. Najczęściej jeżdżę do pracy kolejką i wysiadam przy kompleksie medycznym. To jedna z zalet mieszkania na odległość spaceru od placu.

Wysiadł na rogu Kirkland Street i Divinity Avenue. Stał na chodniku i machał jej, dopóki nie zniknęła z pola widzenia. Miał świadomość, że jest zakochany, i czuł się z tym cudownie. Chciało mu się śpiewać. Szczególną radością napawała go rodząca się wiara, że i Kim podziela jego uczucie. Oby tylko to trwało. Pomyślał o kwiatach, które wysyłał jej każdego dnia, i zastanowił się, czy to nie jest zbyt natrętne. Sęk w tym, że nie miał w takich sprawach większego doświadczenia.

Wchodząc na wydział biologii zerknął na zegarek; dochodziła ósma. Zmartwił się, że będzie musiał czekać na Kevina Scrantona. Ale jego obawy były nieuzasadnione. Kevin już był.

— Cieszę się, że wpadłeś — powiedział Kevin. — Miałem dziś do ciebie dzwonić.

— Znalazłeś *Claviceps purpurea*? — spytał Edward z nadzieją w głosie.

— Pudło — odparł Kevin. — Nie ma *Claviceps*.

— Cholera! — zaklął Edward. Opadł na krzesło. Rozczarowanie legło mu na żołądku nieprzyjemnym mdlącym ciężarem. Stawiał na pozytywny wynik, a liczył na to zwłaszcza z powodu Kim. Pragnął ofiarować jej dar nauki, który pozwoli oczyścić z niesławny imię Elizabeth.

— Nie bądź taki ponury — rzekł Kevin. — Nie ma *Clavicep*, ale jest mnóstwo innych pleśni. Jedna z tych, które wyrosły morfologicznie przypomina *Claviceps purpurea*, ale jest to gatunek dotąd nie znany.

— Poważnie? — Edward rozjaśnił się na myśl, że przynajmniej dokonali jakiegoś odkrycia.

— Oczywiście nie ma w tym nic takiego nadzwyczajnego — ciągnął Kevin, a Edwardowi znów wydłużyła się mina. — Znamy obecnie jakieś pięćdziesiąt tysięcy gatunków grzybów. Natomiast szacuje się, że istnieje ich około stu tysięcy do ćwierć miliona.

— Chcesz więc powiedzieć, że to nie jest epokowe odkrycie — stwierdził zgryźliwie Edward.

— Nie chcę się wypowiadać na temat jego wartości. Ale ciebie ta pleśń może zainteresować. Należy do workowców, jak *Claviceps*, i tak samo jak *Claviceps* tworzy przetrwalniki.

Kevin sięgnął na biurko i wsypał Edwardowi na dłoń kilka drobnych ciemnych ziarenek. Edward zbadał je palcem wskazującym. Wyglądały trochę jak czarny

ryż.

— Może byś mi przypomniał, co to są te przetrwalniki.

— To wegetatywna spoczynkowa postać niektórych grzybów — wyjaśnił Kevin. — Coś innego niż zwykły jednokomórkowy zarodnik. Przetrwalniki są wielokomórkowe, zawierają też nici grzybni albo strzępki oraz zapasy pożywienia.

— Dlaczego sądzisz, że mnie to zainteresuje? — spytał Edward.

Nasionka rzeczywiście przypominały sporysz. Podsunął sobie jedno pod nos; było bezwonne.

— Bo to właśnie przetrwalniki *Claviceps* zawierają aktywne alkaloidy, między innymi ergotaminę — odpowiedział Kevin.

— O! — Edward wyprostował się i pomacał przetrwalnik ze zwiększonym zaciekawieniem. — Jakie są szanse, że ten mały drań zawiera takie same alkaloidy jak *Claviceps*?

— Oto jest podstawowe pytanie. Osobiście uważam, że szanse są duże. Nie tak wiele grzybów wytwarza przetrwalniki. Ten nowy gatunek jest na pewno w jakiś sposób spokrewniony z *Claviceps purpurea*.

— Może go wypróbujemy? — zaproponował Edward.

— Co u diabła masz na myśli? — Kevin obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

— Moglibyśmy zrobić z tych maluchów koktajl i skosztować. — Mam nadzieję, że żartujesz.

— Wcale nie. Jestem ciekaw, czy ta nowa pleśń wytwarza alkaloidy o działaniu halucynogennym. Najłatwiej to sprawdzić próbując samemu.

— Chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Mykotoksyny miewają niezwykle silne działanie, o czym mogłyby zaświadczyć ofiary zatruc sporyszem. Nauka stale odkrywa nowe odmiany. To byłoby straszne ryzyko.

— Gdzie twoja żyłka awanturnicza? — dogryzł mu żartobliwie Edward. Wstał. — Czy mogę przeprowadzić mój mały eksperyment w twoim laboratorium?

— Nie jestem pewien, czy powinienem brać w tym udział. Ty mówisz poważnie, prawda?

— Jak najpoważniej.

Kevin zaprowadził Edwarda do pracowni i spytał go, co mu będzie potrzebne. Edward poprosił o mózdzierz albo coś w tym rodzaju, wodę destylowaną, słaby roztwór kwasu do strącenia alkaloidu, bibułę filtracyjną, litrową kolbę oraz mili-litrową pipetę.

— To czyste szaleństwo — burczał Kevin gromadząc wszystkie te rzeczy.

Edward rozpoczął pracę od zmiążdżenia przetrwalników, które następnie przepłukał wodą destylowaną i za pomocą słabego kwasu wytrącił niewielką ilość białego osadu. Przepuściwszy mieszaninę przez bibułę filtracyjną, wyizolował kilka

drobin białej substancji. Kevin przyglądał się jego poczynaniom z niedowierzaniem połączonym z zaciekawieniem.

— Chyba nie zamierzasz tego po prostu zjeść? — spytał z narastającym przestraszeniem.

— Och, przestań — powiedział Edward. — Nie jestem aż tak głupi.

— A już myślałem.

— Posłuchaj. Interesuje mnie ewentualne działanie halucynogenne. Jeśli to coś je ma, to ujawni się nawet w minimalnej dawce, Poniżej jednego mikrograma.

Edward nabrał odrobinę strątu na koniec szpatułki i wrzucił ją do litra wody destylowanej. Zaczął energicznie potrząsać kolbą.

— Moglibyśmy się chrzanić z tym świństwem przez pół roku i dalej nie wiedzieć, czy daje halucynacje — ciągnął. — W końcu i tak potrzebny byłby ludzki mózg. Mój jest do wykorzystania już teraz. Gdy chodzi o naukę, jestem człowiekiem czynu.

— A jeśli to jest nefrotoksyczne? — spytał Kevin.

Mina Edwarda wyrażała niedowierzanie i irytację.

— W tej dawce? Do diabła, nie jest! Rozcieńczenie jest grubo ponad dziesięć razy większe od dolnej granicy przedziału toksyczności jadu kiełbasianego, najsilniejszej trucizny, jaką zna ludzkość. W dodatku nie tylko tej substancji jest mniej niż mikrogram, ale stanowi ona mieszaninę różnych związków, a zatem stężenie każdego z nich z osobna jest jeszcze niższe.

Poprosił Kevina, żeby podał mu pipetę. Kevin zrobił to z ociąganiem.

— Jesteś pewien, że nie chcesz się przyłączyć? — zagadnął Edward. — Możesz stracić okazję uczestnictwa w nader interesującym odkryciu naukowym. — Zaśmiał się i zaczął napełniać cieniutką pipetę.

— Dziękuję, nie — odparł Kevin. — Mam ze swoimi cewkami nerkowymi bardzo korzystną umowę, że nie będziemy sobie dokuczać.

— Twoje zdrowie. — Edward wznosił pipetę i chwilę trzymał ją w górze, po czym upuścił sobie jeden mililitr roztworu na koniec języka. Wziął do ust łyk wody, popłukał i połknął.

— I co? — spytał nerwowo Kevin po chwili milczenia.

— Ciut, ciut gorzkawe. — Edward kilka razy otworzył i zamknął usta, żeby lepiej poczuć smak.

— I nic więcej?

— Zaczyna mi się odrobinę kręcić w głowie.

— W głowie to ci się pokręciło, zanim zacząłeś — odparł Kevin.

— Przyznaję, że temu małemu doświadczeniu brak naukowej kontroli — zachichotał Edward. — Wszystko, co czuję, może być efektem placebo.

— Naprawdę nie powinienem był przykładać do tego ręki. Muszę nalegać, żebyś jeszcze dzisiaj zbadał sobie moc i kreatyninę.

— Ohoho! — przerwał Edward. — Coś się dzieje!

— Boże! Co?

— Widzę fale kolorów, które przybierają ameboidalne kształty i poruszają się wokół mnie jakby w jakimś wielkim kalejdoskopie.

— Masz ci los! — jęknął Kevin. Wlepił wzrok w twarz Edwarda, która nabrała nieobecnego, natchnionego wyrazu.

— Teraz słyszę dźwięki, jakby syntezatora. I trochę zaschło mi w ustach. Jest coś nowego: mam parestezje w rękach, jakby coś mnie gryzło albo szczypało. Dziwaczne uczucie.

— Może kogoś wezwać? — dopytywał się Kevin.

Ku jego zdziwieniu Edward pochwyił go za ramiona i trzymał z niezwykłą siłą.

— Mam wrażenie, że pokój się porusza. I jakbym się lekko dławił.

— Dzwonię po pomoc — oświadczył Kevin.

Jego własne tętno galopowało. Spojrzał w stronę telefonu, ale Edward jeszcze wzmocnił uścisk.

— Wszystko w porządku. Kolory znikają. To już przechodzi.

Zamknął oczy, ale trwał nieporuszony. Ciągle jeszcze trzymał się Kevina.

Wreszcie otworzył oczy i westchnął.

— Uaa! — powiedział. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ściska Kevina za ramiona. Puścił go, odetchnął głęboko i wygładził jego marynarkę. — Myślę, że odpowiedź już mamy.

— To był idiotyzm! — warknął Kevin. — Przeraziłeś mnie śmiertelnie. Już miałem wzywać pogotowie.

— Uspokój się. Nic takiego się nie stało. Niepotrzebnie wyłazisz ze skóry z powodu sześćdziesięciosekundowej reakcji psychodelicznej.

Kevin pokazał mu zegar.

— To nie było sześćdziesiąt sekund. Raczej dwadzieścia minut.

Edward podniósł wzrok na zegar.

— Czy to nie ciekawe? Nawet poczucie czasu uległo zniekształceniu.

— Ale tak ogólnie dobrze się czujesz?

— W porządku! — oświadczył z naciskiem Edward. — Właściwie nawet lepiej niż w porządku. Czuję się... — urwał, próbując ubrać w słowa swoje wewnętrzne doznania. — Czuję się rześki, energiczny, jak po wypoczynku. I umysł mam wyjątkowo jasny, jakby wyostrzony. Mógłbym wręcz powiedzieć, że odczuwam lekką euforię, ale to może być tylko radość z pozytywnego rezultatu; dowiedliśmy właśnie, że ten nowy grzyb wytwarza substancję halucynogenną.

— Nie bądźmy tacy hojni z tym „my”. Ty dowiodłeś, nie ja. Odmawiam przypisywania sobie jakiegokolwiek zasługi dla tego wariactwa.

— Ciekawe, czy te alkaloidy są takie same jak w *Claviceps* — zastanawiał się Edward. — Nie miałem nawet cienia zaburzeń krążenia obwodowego, jak przy ergotaminie.

— Obiecuj mi przynajmniej, że po południu sprawdzisz sobie z i kreatyninę — poprosił Kevin. — Nawet jeśli ty się nie denerwujesz, to ja tak.

— Dobrze, jeśli to ci ma spędzać sen z powiek. Sprawdzę. Na razie chciałbym więcej tych przetrwalników. Czy to możliwe?

— Możliwe, bo udało mi się określić warunki środowiskowe jakich ten grzyb potrzebuje do wzrostu, ale nie mogę ci obiecać, że będzie tego dużo. Nie zawsze udaje się zmusić grzyb, żeby wytworzył przetrwalniki.

— Zrób co się da. Pamiętaj, że najprawdopodobniej będzie z tego niezły artykuł.

Edward popędził na kampus, żeby złapać autobus do centrum medycznego. Nie mógł być bardziej zadowolony. I nie mógł się doczekać, aż powie Kim, że teoria zatrucia jako przyczyny opętania w Salem nie zginęła i ma się dobrze.

Kim nie mogła się wprost doczekać, żeby zobaczyć, jak postępują prace w małym, ale jeszcze bardziej była ciekawa, po co dzwonił do niej ojciec. Ponieważ było jeszcze dość wcześnie, by mogła go złapać w domu przed wyjazdem do biura, zahaczyła o Marblehead.

W domu rodziców skierowała się prosto do kuchni. Tak jak przewidywała, zastała Johna przy długiej porannej kawie ze swoim przydziałem gazet. Był to wysoki i mocno zbudowany mężczyzna, w czasach harwardzkich, jak powiadano, tęgą sportowiec. Jego głowę wieńczyła gęsta grzywa włosów, niegdyś tak ciemnych i lśniących jak Kim. Z biegiem lat nabrały wytwornej siwizny, nadając mu stereotypowo paternalistyczny wygląd.

— Dzień dobry, Kimmy — rzucił nie odrywając oczu od gazety.

Kim sama się obsłużyła i nalała sobie pienistej cappuccino z ekspresu.

— Jak tam się sprawuje ten twój samochód? — spytał John. Gazeta głośno zaszeleściła, gdy przewrócił stronę. — Mam nadzieję, że oddajesz go regularnie do przeglądu, tak jak ci mówiłem.

Kim nie odpowiedziała. Przywykła, że ojciec ciągle traktuje ją jak małą dziewczynkę, ale trochę ją to złościło. Stale ją instruował, jak ma sobie organizować życie. Im była starsza, tym częściej myślała, że kto jak kto, ale on nie powinien nikomu udzielać rad, zważywszy na to, co zrobił z własnym życiem i małżeństwem.

— Słyszałam, że wczoraj do mnie dzwoniłeś — powiedziała.

Usiadła przy oknie we wnęce z widokiem na ocean.

John nieco zniżył gazetę.

— W istocie — rzekł. — Joyce wspomniała mi, że zainteresowałaś się Elizabeth Stewart i wypytywałaś o nią. To mnie dziwi. Dzwoniłem, żeby zapytać, dlaczego uznałaś za stosowne tak zdenerwować matkę.

— Nie miałam zamiaru jej denerwować. Rzeczywiście Elizabeth mnie zainteresowała i chciałam się dowiedzieć podstawowych faktów. Na przykład czy naprawdę została powieszona za czary, czy to tylko plotka.

— Naprawdę została powieszona. Mogę cię o tym zapewnić. Mogę cię także zapewnić, że rodzinę kosztowało wiele wysiłku, żeby to ukryć. W tej sytuacji uważam, że najlepiej zrobisz, jeśli przestaniesz się tym zajmować.

— I po co te sekrety po trzystu latach? To przecież nie ma sensu.

— Nie ma to żadnego znaczenia, czy widzisz w tym jakiś sens czy nie. I wtedy, i dziś jest to wstydliva sprawa.

— Chcesz powiedzieć, że ciebie to obchodzi, tato? Ty się tego wstydzisz?

— No, nie, niespecjalnie — przyznał John. — Chodzi o matkę. Ona się tym przejmuję, więc nie powinnaś robić sobie z tego rozrywki. Nie powinniśmy dokładać jej zmartwień.

Kim ugryzła się w język. Biorąc pod uwagę okoliczności, trudno było się powstrzymać, żeby nie powiedzieć ojcu czegoś obraźliwego. Ale zamiast tego przyznała, że Elizabeth nie tylko ją interesuje, ale także budzi jej współczucie.

— A to z jakiego powodu, na miłość boską? — spytał John rozdrażniony.

— Znalazłam jej portret upchnięty w samym końcu piwnicy dziadka. Patrząc na nią uświadomiłam sobie, że to był żywy człowiek. Miała nawet oczy tego samego koloru co ja. I przypomniałam sobie, jaki spotkał ją los. Na pewno nie zasłużyła na szubienicę. Trudno jej nie współczuć.

— Rzeczywiście, był taki obraz. Co robiłaś w piwnicy?

— Nic szczególnego. Po prostu się rozglądałam. Dziwnie się złożyło, że znalazłam ten portret, bo akurat ostatnio trochę czytałam o procesach czarownic w Salem. I to, czego się dowiedziałam, jeszcze zwiększyło moje współczucie. W krótkim czasie po tragedii przyszła fala skruchy i pokuty. Już wtedy dla wszystkich stało się jasne, że zginęły niewinne osoby.

— Nie wszystkie były niewinne — stwierdził John.

— O tym samym napomknęła matka. Co Elizabeth mogła takiego zrobić, że uważasz ją za winną?

— Nie próbuj wywierać na mnie presji. Nie znam szczegółów, ale wiem od mojego ojca, że to miało coś wspólnego z siłami nadprzyrodzonymi.

— To znaczy?

— Powiedziałem przed chwilą, moja panno, że nie znam szczegółów — rzucił gniewnie John. — Starczy tych pytań.

„A teraz idź do swojego pokoju”, dodała w myślach Kim Ciekawe, czy ojciec kiedykolwiek zauważy, że jest już dorosła, i zacznie ją traktować stosownie do wieku.

— Posłuchaj, Kimmy — przemówił John bardziej ugodowym, ojcowskim tonem. — Radzę ci dla twojego własnego dobra nie grzebać się w przeszłości. Narobisz sobie tylko kłopotów.

— Z całym szacunkiem, ojciec — odpowiedziała Kim. — Wyjaśnij mi łaskawie, jaki wpływ może mieć ta sprawa na moje tak zwane dobro?

John na chwilę zamilkł.

— Pozwól, że ci powiem, co o tym sędzę — ciągnęła Kim z nietypową dla niej stanowczością. — Wierzę, że udział Elizabeth w aferze z czarownicami mógł być rzeczą wstydliwą w czasach, kiedy to miało miejsce. Wierzę, że kiedyś taki fakt mógł być uważany za fatalny dla interesów, skoro to właśnie jej mąż, Ronald, założył Maritime Limited, która żywiła wiele pokoleń Stewartów nie wyłączając naszego. Ale to, że takie uprzedzenie przetrwało do dziś, jest absurdalne i haniebne. W końcu to nasza antenatka; gdyby jej nie

było, nie byłoby także żadnego z nas. Już choćby z tego powodu dziwię się, że przez tyle lat nikt nie zakwestionował tego śmiesznego automatyzmu, tak samo bezmyślnego jak odruch kolanowy.

— Jeśli ze swojego egoistycznego punktu widzenia nie potrafisz tego zrozumieć — odpowiedział poirytowany John — to przynajmniej mogłabyś liczyć się z matką. Dla niej to jest rzecz wstydliva, a przyczyna nie ma żadnego znaczenia. Jest i tyle. Więc jeśli potrzebny ci jakiś powód, żeby zostawić w spokoju dziedzictwo Elizabeth, to niech ci wystarczy ten. Nie wykłuwaj tym oczu matce.

Kim podniosła do ust swoje zimne już cappuccino i pociągnęła łyk. Poddała się. Próby porozumienia się z ojcem nigdy nie były owocne. Udawały się tylko rozmowy jednostronne; to znaczy gdy on mówił jej, co ma robić i jak ma to robić. Tak, jakby myliła mu się rola ojca z rolą instruktora.

— Matka wspominała też, że masz pewne zamiary co do starego domu — podjął John. Milczenie Kim uznał za potwierdzenie, że w sprawie Elizabeth przemówił jej do rozumu i że zaakceptowała jego radę. — Co konkretnie chcesz zrobić?

Kim powiedziała, że chce go odnowić i zamieszkać w nim. Gdy opowiadała, John z powrotem zagłębił się w gazety. Na zakończenie miał tylko jedno pytanie; dotyczyło ono zamku i pamiątek po jego ojcu.

— Z zamkiem nic nie będziemy robić, dopóki nie wróci Brian.

— To dobrze — odparł John i przewrócił stronę *Wall Street Journal*.

— A propos matki, gdzie ona jest? — spytała Kim.

— Na górze. Źle się czuje i nie chce nikogo widzieć.

Kilka minut później Kim opuściła dom rodzinny w smutnym i nieprzyjemnym nastroju, na który składały się przemieszane ze sobą uczucia żalu, gniewu i wstrętu. Wsiadając do samochodu i zapalając silnik powiedziała sobie, że małżeństwo rodziców jest dla niej czymś nienawistnym. Poprzysięgła też sobie, że nigdy nie pozwoli się złapać w taką pułapkę.

Na wstecznym biegu wyjechała z podjazdu i skierowała się do Salem. W drodze przypomniawszy sobie, że mimo odrazy, jaką budziły w niej stosunki między rodzicami, sama nie jest wolna od ryzyka odtwarzania analogicznej sytuacji w swoich związkach. To był jeden z powodów, dla których tak gwałtownie zareagowała na sportową eskapadę Kinnarda w czasie, który miał spędzić z nią.

Raptem uśmiechnęła się. Ponure myśli przesłoniło wspomnienie kwiatów od

Edwarda, które przychodziły co dzień. Z jednej strony trochę ją to żenowało, a z drugiej stanowiło miły dowód jego troskliwości i serdeczności. Jednego mogła być pewna: Edward nie jest kobieciarzem. W jej przekonaniu kobieciarz musiałby mieć więcej pewności siebie i skłonności do rywalizacji, tak jak ojciec albo, skoro już o tym mowa, jak Kinnard.

Jakkolwiek przygnębiająca, rozmowa z ojcem odniosła skutek wprost przeciwny jego intencjom: jeszcze podsycała jej zainteresowanie Elizabeth Stewart. Toteż przejeżdżając przez Salem, Kim zboczyła na parking Urzędu Gminy.

Zostawiła samochód i poszła pieszo do Instytutu Peabody-Essex, stowarzyszenia historyczno-kulturalnego, które zajmowało kilka zaadaptowanych starych budynków w centrum miasta. Jednym z jego celów było gromadzenie i przechowywanie dokumentów związanych z Salem i okolicami, między innymi tych, które dotyczyły procesów czarownic.

Recepcjonistka pobrała od niej opłatę i skierowała do biblioteki. Wchodziło się do niej po kilku schodkach naprzeciwko recepcji, przez ciężkie, oszklone drzwi. Pomieszczenia te pochodziły z początków dziewiętnastego wieku. Były wysoko sklepione, zdobiły je dekoracyjne gzymsy i listwy z ciemnego drewna. W największym pokoju znajdował się marmurowy kominek i świeczniki oraz rzeźbione dębowe stoły i krzesła. Wszystko spowijała typowa biblioteczna cisza i zapach starych książek.

Sympatyczna i uczynna bibliotekarka nazwiskiem Grace Meehan natychmiast pośpieszyła Kim z pomocą. Była to starsza, siwa pani o miłej twarzy. Pokazała Kim, jak szukać różnego rodzaju materiałów związanych ze sprawą czarownic z Salem, takich jak oskarżenia, skargi, nakazy zatrzymania, zeznania, protokoły śledztwa, protokoły przesłuchań sądowych, nakazy aresztowania i nakazy egzekucji. Wszystkie były starannie skatalogowane w jednym ze staroświeckich katalogów biblioteki.

Ogrom tak łatwo dostępnego materiału zdumiał i uradował Kim. Nic dziwnego, że o prześladowaniach czarownic w Salem napisano tyle książek. Ten instytut był prawdziwym rajem dla badacza.

Gdy bibliotekarka zostawiła ją samą, Kim rzuciła się na katalog. W wielkim podnieceniu zaczęła od wyszukiwania nazwiska Elizabeth Stewart. Była pewna, że znajdzie o niej taką czy inną wzmiankę. Tymczasem spotkało ją rozczarowanie. Nie było Elizabeth Stewart. W ogóle nikogo nazwiskiem Stewart.

Kim podeszła do biurka bibliotekarki i zadała jej konkretne pytanie o Elizabeth Stewart.

— Nazwisko nic mi nie mówi — odpowiedziała Grace. — Czy pani wie, jaki był związek tej osoby z procesami?

— O ile wiem, była jedną z oskarżonych. Została powieszona.

— Niemożliwe — odparła Grace bez chwili wahania. — Mogę powiedzieć, że jestem ekspertem od istniejących dokumentów tej sprawy. Nigdy nie napo-

tkąłam nazwiska Elizabeth Stewart, ani wśród świadków, ani tym bardziej wśród dwudziestu ofiar. Kto pani powiedział, że była oskarżona?

— To dosyć długa historia — powiedziała wymijająco Kim.

— No, ale tak czy inaczej na pewno nieprawdziwa. To temat zbyt dokładnie zbadany i przez zbyt wielu ludzi, żeby przegapić jedną z ofiar.

— Rozumiem. — Kim nie dyskutowała. Podziękowała bibliotekarce i wróciła do katalogów.

Dała sobie spokój z dokumentami związanymi z procesami i przerzuciła się na inny ważny dział: genealogię rodzin zamieszkujących okręg Essex.

Tym razem trafiła na prawdziwą kopalnię informacji o Stewartach. Zajmowały prawie całą szufladę. Po około półgodzinie Kim znalazła krótką wzmiankę o Elizabeth Stewart. Urodzona czwartego maja 1665, córka Jamesa Flanagana, zmarła dziewiętnastego lipca 1692, żona RONALDA STEWARTA. Przyczyny zgonu nie podano. Kim szybko obliczyła, że w chwili śmierci Elizabeth miała dwadzieścia siedem lat!

Kim podniosła głowę i nie widzącymi oczami wpatrzyła się w okno. Poczuli, że gęsia skórka unosi jej meszek na karku. Ona też ma dwadzieścia siedem lat i urodziła się w maju. Co prawda nie czwartego, tylko szóstego, ale i tak data bardzo bliska urodzin Elizabeth. Przypomniała sobie fizyczne podobieństwa, które ujawnił portret. A teraz ma zamiar wprowadzić się do domu, w którym kiedyś mieszkała Elizabeth. Czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności? Czy to nie znaczy, że ktoś stara się coś jej powiedzieć?

— Przepraszam. — Jej sen na jawie przerwał głos Grace Meehan. — Skopio- wałam dla pani listę osób, które zostały powieszzone za czary. Są też daty egzekucji, także jaki to był dzień tygodnia, miejsce zamieszkania każdej z tych osób, przynależność kościelna i wiek. Jak pani widzi są to pełne dane — i nie ma tu Elizabeth Stewart.

Kim jeszcze raz jej podziękowała i wzięła kartkę. Gdy bibliotekarka odeszła, dla porządku raz rzuciła na nią okiem i już miała ją odłożyć, gdy nagle zauważyła datę: dziewiętnasty lipca, 1692, wtorek. Tego dnia powieszono pięć osób. Jeszcze raz spojrzała na datę śmierci Elizabeth. To był ten sam dzień. Kim rozumiała, że ta zgodność dat jeszcze nie stanowi dowodu, iż Elizabeth także zginęła na szubienicy. Ale nawet jeśli to był przypadek, to jednak wymowny.

Następnie Kim uświadomiła sobie coś jeszcze. Wróciwszy myślą ubiegłego wtorku, przypomniała sobie, że to był dziewiętnasty lipca. Jeszcze raz spojrzała na kartkę, którą dała jej Grace Meenan. W 1692 i w 1994 dni tygodnia miały te same daty. Czy to jeszcze jeden zbieg okoliczności, który ma ją zmusić do zastanowienia?

Kim wróciła do genealogii. Odszukała RONALDA STEWARTA i wkrótce dowiedziała się, że Elizabeth nie była jego pierwszą żoną. W 1677 roku Ronald poślubił Hannah Hutchinson, z którą miał córkę Joannę, urodzoną w 1678. Ale Hannah

zmarła w styczniu 1679. Przyczyny śmierci nie podano. Ronald w 1682, w wieku trzydziestu dziewięciu lat poślubił Elizabeth Flanagan, z którą miał córkę Sarah urodzoną w 1682 i synów: Jonathana urodzonego w 1683 i Daniela urodzonego w 1689. W końcu w 1692 ożenił się z młodszą siostrą Elizabeth, Rebeccą Flanagan, z którą z kolei miał córkę Rachel urodzoną w 1693.

Kim opuściła księgę i znów wlepiła wzrok w przestrzeń, próbując uporządkować myśli. W jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Zastanowiła się, jakim właściwie człowiekiem był Ronald. Jeszcze raz sprawdziła, że zaledwie w dwa lata po śmierci Hannah ożenił się z Elizabeth. Potem, po śmierci Elizabeth, poślubił jej siostrę jeszcze tego samego roku!

Poczuli się nieswojo. Znała wszak romansowe inklinacje ojca. Pomyślała, że być może Ronald miał podobne skłonności, o znacznie bardziej katastrofalnych skutkach. Przyszło jej do głowy, że mógł mieć romans z Elizabeth, gdy był żonaty z Hannah, i romans z Rebeccą w czasie trwania małżeństwa z Elizabeth. Tak czy inaczej Elizabeth na pewno zmarła w niecodziennych okolicznościach. Kim zadumała się, czy taki sam los spotkał Hannah.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się cicho sama z siebie. Widocznie ogląda za dużo oper mydlanych, skoro jej wyobraźnia błądzi w tak melodramatyczny i nieuzasadniony sposób.

Spędziwszy kilka kolejnych minut na studiowaniu drzewa genealogicznego Stewartów, Kim dowiedziała się dwóch następnych ważnych rzeczy. Po pierwsze stwierdziła z całą pewnością, że pochodzi od RONALDA i Elizabeth, a dokładnie od ich syna Jonathana. Po drugie, że imię Elizabeth nigdy więcej nie pojawiło się w trzystuletniej historii rodziny. W tylu pokoleniach to nie mógł być przypadek. Kim zdumiała siła niesławy, jaką Elizabeth okryła swoje imię, i paliła ją ciekawość, co ona mogła zrobić takiego, co by usprawiedliwiało ten bojkot.

Wychodząc z instytutu, jeszcze na schodach miała zamiar wrócić do samochodu i pojechać prosto do majątku. Ale na samym dole zawahała się. Przelotna wątpliwość, która ją nawiedziła w związku z charakterem RONALDA, i podejrzenie, że mógł grać nieczysto, nasunęły jej nowy pomysł. Zawróciła do instytutu i spytała o drogę do sądu okręgowego.

Budynek sądu znajdował się na Federal Street, niedaleko Domu Czarownicy. Był to gmach w surowym neogreckim stylu, o przytłaczającym frontonie i masywnych doryckich kolumnach. Kim weszła i poprosiła o wskazówki, jak się dostać do archiwum.

Nie miała pojęcia, czy cokolwiek znajdzie. Nie wiedziała nawet, czy akta przechowuje się aż tak długo, a jeśli jeszcze istnieją, czy udostępnia się je osobom z zewnątrz. Niemniej zjawiła się przy odpowiednim stanowisku i oświadczyła, że chce się zapoznać z aktami sądowymi RONALDA STEWARTA, o ile takie są. Dodała, że chodzi jej o RONALDA STEWARTA urodzonego w roku 1653.

Urzędniczka była senną kobietą w trudnym do określenia wieku. Jeśli nawet

żądanie Kim ją zdziwiło, to nie okazała tego. Jedyłą jej reakcją było kliknięcie w klawiaturę komputera. Chwilę spoglądała w monitor, po czym wyszła z pokoju. Nie odezwała się ani słowem. Kim domyśliła się, że urzędnicy miejscy mają już serdecznie dosyć wypytywania o tamte czasy.

Przestąpiła z nogi na nogę i spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej, a ona jeszcze nawet nie dotarła do majątku.

Po chwili pojawiła się urzędniczka z niewielkim skoroszytem. Podała go Kim.

— Nie wolno tego wnosić na zewnątrz — powiedziała. Wskazała jej plastikowe krzesło i stół pod przeciwległą ścianą. — Może pani usiąść tutaj.

Kim wzięła skoroszyt, usiadła na wskazanym miejscu i zaczęła przerzucać zawartość. Było tego dużo. Wszystko napisane w miarę czytelnym odręcznym pismem.

W pierwszej chwili zdawało jej się, że dokumenty dotyczą wyłącznie powodztw cywilnych Ronalda w stosunku do dłużników. Ale potem napotkała kilka bardziej interesujących, na przykład jeden związany z zakwestionowanym testamentem.

Kim przeczytała go dokładnie. Było to orzeczenie na korzyść Ronalda w sprawie o obalenie testamentu wniesionej przez Jacoba Cheevera. Z lektury Kim dowiedziała się, że Jacob był synem Hannah z pierwszego małżeństwa i że Hannah była sporo starsza od Ronalda. Jacob zeznał, że Ronald podstępem nakłonił matkę do zmiany testamentu, pozbawiając go w ten sposób prawowitego dziedzictwa. Najwyraźniej sędziowie nie byli zgodni. Koniec końców jednak Ronald odziedziczył kilka tysięcy funtów, pokaźną w tamtych czasach fortunę.

Kim zdumiała się, że życie w siedemnastym wieku było zupełnie inne, niż sobie wyobrażała. Dotąd żywiła złudzenie, że było mniej skomplikowane, przynajmniej pod względem prawnym. Lektura zasiała w niej wątpliwości. Dała jej też znowu do myślenia nad charakterem Ronalda.

Następny dokument był jeszcze dziwniejszy. Była to umowa zawarta 11 lutego 1681 roku między Ronaldem Stewartem a Elizabeth Flanagan. Została spisana i podpisana przed ich ślubem, tak jak współczesne intercyzy przedmałżeńskie. Nie dotyczyła jednak bezpośrednio pieniędzy ani innej własności. Gwarantowała jedynie Elizabeth po ślubie prawo do posiadania dóbr materialnych oraz zawierania transakcji we własnym imieniu.

Kim przeczytała ją w całości. Na końcu znajdowało się wyjaśnienie, napisane osobiście przez Ronalda. Kim poznała wyjątkowo ładne pismo, które widziała na konosamentach w zamku. Ronald pisał: „Jest moją wolą, by kiedy przedsięwzięcia kupieckie spowodują moją długą nieobecność w mieście Salem i Maritime, Ltd, moja narzeczona Elizabeth Flanagan mogła legalnie i bez przeszkód zarządzać naszymi wspólnymi sprawami”.

Kim przeczytała wszystko jeszcze raz, chcąc mieć pewność, że dobrze rozumie. Ten dokument ją zadziwił. To, że był konieczny, aby Elizabeth mogła podpi-

sywać umowy, przypomniało jej, jaka była rola kobiety w czasach purytańskich. Ich prawa były bardzo ograniczone. Ten sam wniosek wyciągnęła z lektury listu ojca Elizabeth do Ronalda na temat jej zamążpójścia.

Kim odłożyła na bok kontrakt przedmałżeński i zajęła się pozostałymi dokumentami. Po kilku następnych powództwach przeciwko dłużnikom natrafiła na coś naprawdę ciekawego. Była to petycja Ronalda o warunkowe zdjęcie sekwestru. Nosiło datę 26 lipca 1692, równy tydzień po śmierci Elizabeth.

Kim nie miała pojęcia, co to jest warunkowe zdjęcie sekwestru, ale szybko się domyśliła. Ronald pisał: „W imię Boga pokornie błagam sąd, by przywrócił w moje posiadanie rozstrzygający dowód zajęty w moim majątku przez szeryfa George’a Corwina, a użyty przeciwko mojej umiłowanej małżonce Elizabeth w procesie o czarostwo w Wyższym Sądzie Karnym 20 czerwca 1692”.

Do podania przypięte było datowane 3 sierpnia 1692 postanowienie, podpisane przez sędziego Johna Hathorne’a, odrzucające prośbę. W uzasadnieniu sędzia napisał: „Sąd doradza Ronaldowi Stewartowi, by przedłożył powyższą prośbę Jego Ekscelencji Gubernatorowi Zjednoczonego Królestwa, jako że dekretem gubernatorskim rzeczony dowód został zabrany z depozytu w okręgu Essex, a powierzony w depozyt okręgowi Suffolk”.

Z jednej strony Kim to ucieszyło. Znalazła w końcu udokumentowane potwierdzenie, że dramat Elizabeth wydarzył się naprawdę była sądzona i ewidentnie została skazana. Zarazem jednak Kim była zawiedziona, że nigdzie nie wspomniano, jaki charakter miał ów „rozstrzygający dowód”. Jeszcze raz przeczytała petycję i odpowiedź sędziego, w nadziei że po prostu to przeoczyła. Ale niczego nie przeoczyła. Natura dowodu nie została ujawniona.

Kim kilka minut nie ruszała się od stołu, starając się wyobrazić sobie, co to mogło być. Ale nie potrafiła nic wymyślić poza tym, że to musiało być coś związanego z wiedzą tajemną, a i to chyba pod wpływem mętnej sugestii ojca. Nagle wpadła na pomysł. Jeszcze raz rzuciła okiem na petycję i spisała sobie datę procesu. Z notatką w ręku wróciła do urzędniczki.

— Chciałabym zobaczyć protokół posiedzenia Wyższego Sądu Karnego z dwudziestego czerwca tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Urzędniczka najzwyczajniej w świecie roześmiała jej się w twarz. Powtórzyła jej prośbę i znowu wybuchnęła śmiechem. Zmieszana, Kim spytała, co w tym śmiesznego.

— Każdy by chciał — skomentowała urzędniczka. Jej sposób mówienia był taki, jakby pochodziła z najzapadlejszego zakątka Maine. — Cały kłopot w tym, że takiego protokołu nie ma. Chciałabym, żeby był, ale nie ma. Nie ma żadnych protokołów Wyższego Sądu Karnego z żadnego procesu o czary. Zachowały się strzępki zeznań i świadectw, ale same protokoły przepadły jak kamień w wodę.

— Co za pech — zmartwiła się Kim. — Może więc dowiem się od pani czegoś innego. Czy nie wie pani przypadkiem, co dokładnie oznacza termin „rozstrzyga-

jący dowód”?

— Ja tam nie jestem prawnik — odparła urzędniczka. — Ale niech pani zaczeka. Zapytam.

Zniknęła w głębi biura. Po chwili pojawiła się w towarzystwie tęgiej kobiety w nieco za dużych okularach na krótkim płaskim nosie.

— Pani pytała o definicję pojęcia „dowodu rozstrzygającego”? — poinformowała się.

Kim skinęła głową.

— No cóż, to określenie właściwie mówi samo za siebie. To znaczy, że jest to dowód nie do obalenia. Innymi słowy, jego autentyczność jest niepodważalna i istnieje tylko jedna możliwa interpretacja.

— Tak właśnie myślałam.

Kim podziękowała obu kobietom i wróciła do swoich materiałów. Na stojącej w kącie kopiarce skopiowała petycję i odpowiedź, potem włożyła dokumenty do kopert i oddała urzędniczce.

Wreszcie wyruszyła w drogę do majątku. Czowała się trochę nie w porządku, ponieważ powiedziała Markowi Stevensowi, że przyjedzie rano, a tymczasem zbliżało się południe. Gdy wzięła ostatni zakręt i wyjechała spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, zobaczyła przy domu tłum ciężarówek i furgonetek. Była tam też duża koparka i sterty świeżo wykopanej ziemi.

Kim zatrzymała się i wysiadła. Południowy upał i kurz były trudne do zniesienia, a rozkopana ziemia pachniała wilgocią. Zamknęła samochód i osłaniając twarz przed słońcem powiodła wzrokiem za rowem, który biegł przez pole w stronę zamku. W tej chwili otworzyły się drzwi domu i w progu stanął George Harris. Czoło zraszał mu pot.

— Dobrze, że pani jest. Próbowałem panią złapać.

— Coś nie w porządku?

— Tak jakby — odparł George wymijająco. — Najlepiej niech pani sama zobaczy.

Dał jej znak, żeby szła za nim, i poszli w stronę koparki.

— Musieliśmy przerwać pracę — poinformował ją po drodze.

— Dlaczego? — spytała Kim.

George nie odpowiedział. Gestem zachęcił ją tylko, żeby podeszła do rowu.

Starając się nie podchodzić za blisko, w obawie że brzeg się obsunie, Kim wyciągnęła głowę i zajrzała. Zaskoczyła ją głębokość wykopu, według jej oceny ze trzy metry. Z gładkich ścian jak miniaturowe miotły sterczały korzenie. George wskazał jej miejsce, gdzie — kilkanaście metrów od domu — wykop nagle się urywał. Przy samym dnie Kim zobaczyła wystający z ziemi uszkodzony biegun drewnianej skrzyni.

— Dlatego właśnie musieliśmy przerwać — wyjaśnił George.

— Co to jest? — spytała Kim.

— Obawiam się, że trumna.

— Rany boskie!

— Znaleźliśmy też tablicę. To stara rzecz. — George dał jej znak, żeby podeszła do końca wykopu. Po drugiej stronie sterty wykopanej ziemi płasko na trawie leżała brudna płyta z białego marmuru. — Nie była postawiona — stwierdził George. — Położono ją płasko i z czasem zakryła ją ziemia.

Pochylił się i otrzepał płytę z wyschniętej już ziemi.

Kim gwałtownie nabrała powietrza.

— Boże, toż to Elizabeth! — wyjąkała.

Potrząsnęła głową. Stanowczo za dużo tych zbiegów okoliczności.

— Krewna? — zainteresował się George.

— Tak.

Kim dokładnie oglądała płytę. Była podobna do płyty Ronalda. I, tak jak nagrobek Ronalda, zawierała jedynie najważniejsze informacje: datę urodzin Elizabeth i datę jej śmierci.

— Przypuszczała pani, że ten grób może tu być?

W jego głosie nie było wyrzutu, tylko ciekawość.

— Ani przez sekundę — odparła Kim.

Dopiero niedawno dowiedziała się, że Elizabeth nie leży na rodzinnym cmentarzu.

— Jak pani uważa, co mamy teraz zrobić? Żeby naruszyć grób, trzeba mieć specjalne zezwolenie.

— Nie możecie panowie po prostu go ominąć? — spytała Kim.

— Chyba tak. Moglibyśmy trochę poszerzyć wykop tylko w tym miejscu. Czy mamy szukać następnych?

— Nie sądzę. Elizabeth to przypadek szczególny.

— Proszę mi nie mieć za złe tej uwagi, ale wygląda pani trochę blade. Dobrze się pani czuje?

— Dziękuję, tak — odpowiedziała Kim. — Jestem tylko poruszona. Zdaje się, że robię się przesadna.

— Tak jak my. A zwłaszcza operator koparki. Pozwoli pani, że pójde go tu ściągnąć. Musimy położyć instalacje, zanim podłoga piwnicy zostanie wylana.

George zniknął we wnętrzu domu. Kim zaryzykowała i podeszła do brzegu wykopu. Zerknęła na odsłonięty róg trumny Elizabeth. Jak po trzystu z górą latach w ziemi drewno było w nadspodziewanie dobrym stanie. Nawet w miejscu, gdzie uszkodziła je koparka, nie wyglądało na zbutwiałe.

Kim nie miała pojęcia, co myśleć o tym zaskakującym odkryciu. Najpierw portret, teraz grób. Coraz trudniej było uwierzyć, że to tylko przypadkowe znaleziska.

Nagle uwagę jej zwrócił odgłos nadjeżdżającego samochodu.

Znów osłoniła oczy przed południowym słońcem i obserwowała dziwnie znajomy pojazd, który wzbijając pióropusz kurzu zbliżał się wiejską drogą przez pole. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna, dopóki nie zatrzymał się kawałek przed nią. Wtedy dopiero uprzytomniła sobie, czemu wydał jej się znajomy. To był samochód Kinnarda.

Nieco zmieszana, podeszła do auta i zajrzała do środka.

— Co za niespodzianka — powitała go. — Jak to się stało, że nie jesteś w szpitalu?

— Od czasu do czasu wypuszczają mnie na wybieg — zaśmiał się Kinnard.

— Skąd się wzięłeś w Salem? I skąd wiesz, że ja tu jestem?

— Od Marshy. Wpadłem na nią dziś rano na OIOM-ie. Powiedziałem jej, że jadę do Salem szukać mieszkania, ponieważ przechodzę tu na staż na sierpień i wrzesień, a nie mam najmniejszego zamiaru przez dwa miesiące mieszkać w szpitalu. Pamiętasz? Mówiłem ci o tym stażu w Salem.

— Widocznie wyleciało mi z głowy.

— Mówiłem ci już kilka miesięcy temu.

— Możliwe.

Kim nie chciała dać się wciągnąć w sprzeczkę. I tak czuła się niezręcznie.

— Dobrze wyglądasz — zauważył Kinnard. — Randki z doktorem Edwardem Armstrongiem najwyraźniej ci służą.

— Skąd wiesz, z kim się spotykam?

— Szpitalne plotki. Skoro wybrałaś naukową znakomitość, nie dziw się, że to się rozchodzi. Trzeba trafu, że ja znam faceta. Kiedy przez pewien czas zajmowałem się nauką, po drugim roku studiów, pracowałem właśnie u niego.

Kim poczuła, że się rumieni. Była niezadowolona, że jej reakcja tak się manifestuje, ale nic nie mogła na to poradzić. Kinnard najwyraźniej starał się jej dokuczyć i jak zwykle świetnie mu się udawało.

— Edward jest bardzo bystry w sprawach naukowych, ale trochę rozlazły i jakiś dziwaczny. No... może jestem niesprawiedliwy. Może powinienem powiedzieć „ekscentryczny”.

— Według mnie jest delikatny i opiekuńczy.

— Wyobrażam sobie — Kinnard wzniosł oczy w górę. — Słyszałem o tych codziennych kwiatach. Osobiście uważam, że to idiotyzm. Facet musi być kompletnie pozbawiony pewności siebie, żeby posuwać się do takiej przesady.

Kim okryła się szkarłatem. To na pewno Marsha powiedziała mu o kwiatach. Z jednej strony matka, z drugiej koleżanka. Wygląda na to, że nie jest jej dane mieć jakiegokolwiek sekretu.

— Ale Edward Armstrong przynajmniej nie zdenerwuje cię wyjazdami na narty — dodał Kinnard. — Ma taką koordynację ruchów, że nawet schody stanowią dla niego wyzwanie.

— To dziecinne zagranie — przemówiła lodowato Kim, kiedy odzyskała głos.
— Szczerze mówiąc uważam, że ci z tym nie do twarzy. Myślałam, że jesteś dojrzały.

— Mniejsza z tym — zaśmiał się cynicznie Kinnard. — I tak już przeniosłem się, że tak powiem, na zieleńsze łąki. Ja też rozkwitam w nowym związku.

— Gratuluję — odparła sarkastycznie Kim.

Kinnard wychylił się przez okno, tak że widział, jak koparka podjęła pracę.

— Marsha mówiła, że odnawiasz ten dom. Czy poczciwy doktor Armstrong zamieszka tu z tobą?

Kim już chciała zaprzeczyć, ale ugryzła się w język. Zamiast tego powiedziała:

— Zastanawiamy się nad tym. Jeszcze się nie zdecydowaliśmy.

— Tak czy inaczej baw się dobrze — podsumował Kinnard ironicznie. — Dużo szczęścia na nowej drodze życia.

Włączył wsteczny, wycofał gwałtownie, aż samochodem zarzuciło, po czym zmienił bieg i docisnął gaz do dechy. W tumanie kurzu, ziemi i drobnych kamyczków pognął przez pole i zniknął za drzewami.

W pierwszej chwili Kim tylko zasłoniła się przed gradem kamyczków. Gdy niebezpieczeństwo minęło, patrzyła za samochodem, aż był już zupełnie niewidoczny. Choć od pierwszej chwili zdawała sobie sprawę, że jego celem było wyprowadzenie jej z równowagi, nie umiała temu zapobiec. Przez chwilę czuła się kompletnie wyczerpana emocjonalnie. Dopiero gdy doszła z powrotem do wykopu, który został tymczasem znacznie poszerzony i odsłaniał trumnę Elizabeth, zaczęła się uspokajać. W porównaniu z problemami, przed którymi stanęła Elizabeth mając tyle samo lat co ona teraz, jej własne problemy wydały jej się trywialne.

Kim wzięła się w garść i przystąpiła do pracy. Popołudnie minęło szybko, w większości na omawianiu szczegółów urządzenia kuchni i łazienki z Markiem Stevenssem. To zajęcie sprawiło jej najwyższą przyjemność. Po raz pierwszy w życiu aktywnie tworzyła swoją przestrzeń życiową. Zastanawiała się, jak mogła pozwolić się tak łatwo wykołować w sprawie wyboru zawodu.

O wpół do ósmej Mark Stevens i George Harris byli już wykończeni, ale Kim właśnie złapała drugi oddech. Musieli powiedzieć jej wprost, że już ledwo patrzą na oczy. Dopiero wtedy przyznała, że i ona musi wracać do miasta. Odprowadzili ją do samochodu podziękowali za przybycie i zapewnili, że wszystko pójdzie szybko.

Dojechawszy do Cambridge, Kim nawet nie próbowała szukać miejsca do parkowania na ulicy. Pojechała prosto do garażu a stamtąd poszła pieszo do Harvest Bar. W barze jak zwykle w piątek wieczorem aż się przelewało. Kim rozglądała się za Edwardem, ale nie od razu go znalazła. Musiała przecisnąć się przez tłum gęsto oblepiający kontuar. W końcu zobaczyła go przy stoliku z drugiej strony baru z kieliszkiem chardonnaya. Gdy ją ujrzał, oczy mu zabłyśły, zerwał się na

równe nogi i podsunął jej krzesło. Kim odnotowała w myślach, że Kinnard nie zadałby sobie tej fatygi.

— Zdaje się, że dobrze by ci zrobił kieliszek białego wina — zauważył.

Kim skinęła głową. Od razu poznała, że Edward jest albo podekscytowany, albo onieśmielony. Zacinał się bardziej niż zwykle. Obserwowała go, gdy przywoływał kelnerkę i zamawiał dwa kieliszki wina. Potem spojrzął na nią.

— Jak minął dzień?

— Pracowicie. A tobie?

— Wspaniale! — wykrzyknął podniecony. — Mam dobre wiadomości. Z próbek pobranych w piwnicy Elizabeth wyrósł grzyb o własnościach halucynogennych. Myślę, że rozwiązaliśmy zagadkę, co spowodowało, a przynajmniej dało pierwszy impuls do polowania na czarownice w Salem. Nie wiemy jeszcze tylko, czy to ergotamina czy jakaś zupełnie nowa substancja.

I Edward opowiedział jej o wszystkim, co zaszło w pracowni Kevina Scrantona.

Pierwszą reakcją Kim było niedowierzanie i niepokój.

— Zażyłeś to nie wiedząc, co to jest? To przecież chyba niebezpieczne?

— Mówisz jak Kevin — roześmiał się Edward. — Jestem osaczony przez zastępczych rodziców. Nie, to nie było niebezpieczne. Dawka była zbyt mała. Ale już samo to wskazuje, jak silne jest działanie halucynogenne tego nowego grzyba.

— Mnie się to wydaje lekkomyślnością — utrzymywała Kim

— Nic podobnego. Zrobiłem sobie nawet po południu badanie moczu i kreatyniny, specjalnie dla Kevina. Jedno i drugie było w normie. Czuję się świetnie, wierz mi. Właściwie nawet lepiej niż świetnie. Jestem w euforii. Z początku miałem nadzieję, że ten grzyb produkuje taką samą mieszaninę alkaloidów jak *Claviceps*, co dowiodłoby słuszności teorii o roli ergotaminy w tej sprawie. Teraz z kolei mam nadzieję, że wytwarza jednak własne alkaloidy.

— Co to właściwie są alkaloidy? Znam ten termin, ale za diabła nie potrafiłabym go zdefiniować.

— To duża grupa związków pochodzenia roślinnego zawierających azot. Nazwa jest ci znana, bo wiele z nich to bardzo rozpowszechnione substancje, jak kofeina, morfina, nikotyna. Jak się na pewno domyślasz, większość jest wykorzystywana w farmakologii.

— Więc skoro są na tyle pospolite, to czemu znalezienie jeszcze jednego tak cię podekscytowało?

— Bo już udowodniłem, że jakikolwiek by to był alkaloid, ma własności psychotropowe. Odkrycie nowego specyfiku o działaniu halucynogennym może otworzyć najrozszybsze drzwi do poznania mechanizmów funkcjonowania mózgu. Wszystkie one przypominają i naśladują jego neuroprzekazniki.

— Kiedy się dowiesz, czy naprawdę odkryłeś nowy alkaloid?

— Niedługo — odparł Edward. — A teraz ty mi opowiedz, co porabiałaś.

Kim nabrała dużo powietrza. Opowiedziała mu wszystko, co się zdarzyło tego dnia w porządku chronologicznym, poczynając od rozmowy z ojcem, a skończywszy na zaprojektowaniu nowej kuchni i łazienki.

— Uaa! Rzeczywiście miałaś pracowity dzień. To wprost nie do wiary, że znalazłaś grób Elizabeth. Mówisz, że trumna była w dobrym stanie?

— Przynajmniej ten fragment, który widziałam. Leżała bardzo głęboko, prawie trzy metry pod ziemią. Jeden koniec sterczał ze ściany wykopu. Koparka go uszkodziła.

— Czy to odkrycie cię jakoś zaniepokoiło? — spytał Edward.

— W pewien sposób. — Kim zaśmiała się nerwowym, niewesołym śmiechem. — Dziwnie się czuję, gdy pomyślę, że dopiero co znaleźliśmy ten portret, a teraz grób. Odnoszę wrażenie, jakby Elizabeth starała się coś mi przekazać.

— Ohoho! Zdaje się, że znowu masz napad wiary w przesady.

Mimo poważnego nastroju Kim roześmiała się.

— Przyznaj się — drażnił się z nią Edward — czy boisz się czarnych kotów przebiegających drogę? Albo przechodzić pod drabiną, albo trzynastki?

Zawahała się. Bywała z lekka przesadna, ale nigdy tego specjalnie nie analizowała.

— A więc jesteś przesadna! — triumfował. — A teraz zastanów się chwilę. W siedemnastym wieku można by cię było za to posądzić o czary, ponieważ są to wierzenia magiczne.

— W porządku, mądra głowo. Może i jestem trochę przesadna. Ale w tej sprawie jest za dużo zbiegów okoliczności. Nawet kalendarz się zgadza: dni tygodnia noszą w tym roku takie same daty jak w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim. Sprawdziłam też, że Elizabeth w chwili śmierci miała tyle lat co ja teraz. A jeśli ci to jeszcze nie wystarczy, nasze daty urodzenia dzielą tylko dwa dni, a więc jesteśmy spod tego samego znaku Zodiaku.

— Co miałyby z tego wynikać?

— Potrafisz jakoś wyjaśnić te zbiegi okoliczności?

— Oczywiście. Czysty przypadek. Znasz to stare powiedzenie: że gdyby się miało nieskończenie wiele małp i nieskończenie wiele maszyn do pisania, to w końcu powstałby *Hamlet*.

— Poddaję się. — Kim zachichotała i pociągnęła łyk wina.

— Przykro mi, ale jestem zanadto naukowcem.

— Powiem ci jeszcze coś — dodała Kim. — Życie w tamtych czasach nie było tak proste, jak by się wydawało. Ronald był trzy razy żonaty. Pierwsza żona zmarła pozostawiając mu znaczny majątek. Testament na jego rzecz próbował bez powodzenia obalić jego pasierb. Po kilku latach Ronald poślubił Elizabeth. Po jej śmierci ożenił się jeszcze w tym samym roku z jej siostrą.

— No i co z tego?

— Tobie nie wydaje się to podejrzanę?

— Nie — odpowiedział Edward. — Pamiętaj, że w tamtych czasach życie było brutalne. Ronald miał małe dzieci, które trzeba było wychować. Zresztą małżeństwo ze szwagierką nie jest czymś niezwykłym.

— Ja nie byłabym taka pewna. We mnie ten fakt zrodził mnóstwo wątpliwości.

Rozmowę przerwała kelnerka, która przyszła powiedzieć, że ich stół jest gotowy. Dla Kim była to przyjemna niespodzianka. Nie przypuszczała, że będzie także kolacja. Konała z głodu.

Wyszli za kelnerką na taras i zasiedli pod drzewami, w koronach których ukryte były maleńkie białe światełka. Po upale dnia powietrze znacznie się już ochłodziło: temperatura była idealna, nie było wiatru i świeca na stole paliła się równym płomieniem.

W czasie oczekiwania na posiłek Kim pokazała Edwardowi kopię petycji Ronalda. Edward przeczytał ją z wielkim zainteresowaniem. Gdy skończył, pogratulował Kim jej osiągnięć detektywistycznych. Przyznał, że udowodniła udział Elizabeth w sprawie czarownic z Salem. Kim opowiedziała mu o sugestii ojca, że Elizabeth prawdopodobnie miała do czynienia z wiedzą tajemną.

— To samo ja ci mówiłem — przypomniał jej Edward.

— A więc jesteś zdania, że ten rozstrzygający dowód jest jakoś związany z magią?

— Chyba co do tego nie może być wątpliwości.

— Ja też tak myślę. Ale czy masz jakiś konkretny pomysł?

— Za mało wiem o czarach, żeby być użytecznym.

— Może książka? — rozważała Kim. — Albo coś, co ona sama napisała?

— Niewykluczone — powiedział Edward. — Przypuszczam, że mógł to być również jakiś rysunek. W każdym razie coś graficznego.

— A może lalka? — podsunęła Kim.

— Dobry pomysł! — podchwycił Edward. Zamilkł na chwilę. — Już wiem, co to było!

— Co? — spytała w podnieceniu Kim.

— Miotła! — odparł i roześmiał się.

— Daj spokój! — skarciła go Kim, ale sama też się uśmiechnęła. — Ja mówię poważnie.

Edward przeprosił. Potem zaczął jej wyjaśniać, w jaki sposób miotła stała się atrybutem czarownicy: jak w średniowieczu smarowano kij maściami nasycenymi środkami halucynogennymi. Powiedział, że używano go podczas rytuałów satanistycznych do wywoływania psychodelicznych przeżyć przez pocieranie go o miejsca intymne.

— Wystarczy — przerwała Kim. — Mniej więcej sobie wyobrażam.

Na stół wjechało jedzenie. Przez chwilę nie rozmawiali. Gdy kelnerka odeszła, Edward przemówił pierwszy.

— Sęk w tym, że jest tyle różnych możliwości i nie ma sposobu, by się dowiedzieć, czym był ten dowód, dopóki nie natrafimy na jakiś opis. A może trzeba poszukać w archiwum sądowym?

— Już na to wpadłam. Ale powiedziano mi, że nie zachowały się żadne akta Wyższego Sądu Karnego.

— Fatalnie. To znaczy, że pozostają ci tylko te beznadziejne sterty papierów w zamku.

— Właśnie — przytaknęła Kim bez entuzjazmu. — A w dodatku nie ma żadnej gwarancji, że tam się coś znajdzie.

W trakcie posiłku rozmowa zesłała na bardziej przyziemne tory. Dopiero kiedy kończyli deser, Edward znów zagadnął Kim o grób Elizabeth.

— W jakim stanie zachowało się ciało? — chciał wiedzieć.

— Nie widziałam ciała — odpowiedziała Kim lekko zaszokowana tym pytaniem. — Trumna nie była otwarta. Koparka po prostu zawadziła o jej koniec i trochę go naruszyła.

— Może powinniśmy ją otworzyć — powiedział Edward. — Strasznie bym chciał mieć próbkę, oczywiście jeśli jest tam coś rozpoznawalnego, z czego można wziąć próbkę. Gdybyśmy znaleźli jakieś pozostałości tego alkaloidu, czy cokolwiek to jest, co produkuje nasz grzyb, mielibyśmy ostateczny dowód na to, że to właśnie on był diabłem z Salem.

— Dziwię się, że możesz coś takiego proponować. W żadnym wypadku nie mam zamiaru zakłócać spoczynku Elizabeth.

— No i znowu robisz się przesadna. Chyba rozumiesz, że to tak, jakbyś była przeciwna sekcjom.

— To nie jest to samo. Ona już została pochowana.

— Przecież praktykuje się ekshumacje — argumentował Edward.

— Może masz rację — przyznała ociągając się Kim.

— Chciałbym pojechać tam jutro razem z tobą. Moglibyśmy oboje rzucić na nią okiem.

— Do ekshumacji potrzebne jest zezwolenie.

— Koparka już odwaliała większość roboty — odparł Edward. — Rzućmy na to okiem i wtedy zdecydujemy.

Edward zapłacił rachunek. Kim podziękowała, ale powiedziała, że następną kolację stawia ona. Edward odparł, że w każdym razie mogą się o to pospierać.

Na dworze przed restauracją na chwilę zapanowało milczenie. Edward zaprosił Kim do siebie, ale ona się wymawiała. Przypomniała mu, jak niezręcznie czuła się rano. Tymczasowo stanęło na tym, że wpadną do Edwarda, żeby przedyskutować sprawę.

Później, siedząc wygodnie na kanapie Edwarda, Kim spytała go, czy pamięta studenta nazwiskiem Kinnard Monihan, który pracował u niego cztery czy pięć lat temu.

— Kinnard Monihan — zastanowił się Edward. Zamknął oczy, żeby się lepiej skoncentrować. — Przez moją pracownię przewijało się wielu studentów. Ale tak, pamiętam go. Jeśli sobie dobrze przypominam, przerzucił się na specjalizację z chirurgii.

— Tak, to on. Dobrze go pamiętasz?

— Pamiętam, że byłem zawiedziony, kiedy się dowiedziałem o tej decyzji. Zdolny był z niego chłopak. Spodziewałem się, że poświęci się pracy naukowej. Czemu pytasz?

— Spotykałam się z nim parę lat — wyjaśniła Kim i już miała zrelacjonować incydent w majątku, gdy Edward jej przerwał.

— Byliście kochankami?

— Można to tak określić — odpowiedziała z wahaniem.

Od razu zauważyła, że Edward się zdenerwował. Było to wręcz jaskrawo widoczne. Jego zachowanie i sposób mówienia uległy gwałtownej przemianie. Dobre pół godziny trwało pocieszanie i przekonywanie, zanim zaczął się uspokajać i zrozumiał, że jej związek z Kinnardem to już przeszłość. Kim nawet przeprosiła, że w ogóle o nim wspomniała.

Chcąc zmienić temat, zapytała Edwarda, czy rozglądał się już za nowym mieszkaniem. Edward przyznał, że jeszcze nie znalazł sposobności. Ostrzegła go, że do września już niedaleko.

Wieczór mijał szybko i ani ona, ani Edward nie podjęli kwestii, czy ma zostać na noc. Brak decyzji to też decyzja. Została. Później, gdy leżeli obok siebie w łóżku, Kim wróciła myślami do tego, co powiedziała Kinnardowi o swoich rzekomych planach zamieszkania z Edwardem. Wprawdzie kierowała się wtedy jedynie chęcią dokuczenia Kinnardowi, ale teraz zaczęła się poważnie nad tym zastanawiać. Pomysł był kuszący. Jej związek z Edwardem rozkwitał. Tymczasem stary dom był bardziej niż przestronny i leżał na zupełnym odludziu. Mogłaby się tam czuć samotna.

ROZDZIAŁ 5

SOBOTA, 23 LIPCA 1994

Kim budziła się powoli. Zanim jeszcze otworzyła oczy, usłyszała głos Edwarda. Z początku wkomponowała go w sen, ale po chwili, gdy zaczęła jej wracać świadomość, zdała sobie sprawę, że dobiegał z drugiego pokoju.

Z niejakim trudem uniosła powieki. Najpierw sprawdziła, że Edwarda istotnie nie ma w łóżku, potem zerknęła na zegarek. Była piąta czterdzieści pięć.

Ułożyła się z powrotem na poduszce i, zaniepokojona, że coś jest nie w porządku, zaczęła nasłuchiwać. Nie potrafiła jednak odróżnić słów Edwarda, nie mniej z brzmienia jego głosu domyślała się, że jest w radosnym nastroju.

Po kilku minutach Edward wrócił. Miał na sobie szlafrok. Gdy skradał się na palcach do łazienki, Kim powiedziała mu, że nie śpi. Zmienił więc kierunek, podszedł i przysiadł na brzegu łóżka.

— Mam wspaniałe nowiny — wyszeptał.

— Nie śpię — powtórzyła Kim. — Możesz mówić normalnie.

— Właśnie rozmawiałem z Eleanor.

— Za piętnaście szósta rano? — wyraziła wątpliwość Kim. — Któż to, u licha, jest Eleanor?

— Moja doktorantka. A przy tym moja prawa ręka w pracowni.

— Trochę wcześniej jak na służbowe rozmowy — zauważyła Kim. Mimo woli pomyślała o Grace Traters, oficjalnie asystentce ojca.

— Ona się nie kładła — wyjaśnił Edward. — Wczoraj wieczorem Kevin przysłał więcej przetrwalników tego nowego grzyba. Eleanor została w pracowni, żeby opracować materiał i z grubsza porobić badania spektrofotometryczne. Wygląda na to, że to nie są te same alkaloidy co w *Claviceps purpurea*. Chyba mamy do czynienia z trzema zupełnie nie znanymi alkaloidami.

— Gratuluję — powiedziała Kim.

O tej porze nie była w stanie wymyślić nic innego.

— Najbardziej podniecające jest to, że wiadomo już, iż co najmniej jeden z nich wpływa na psychikę. Do diabła, może nawet wszystkie trzy! — Z entuzjazmem zatarł ręce, jakby w tej sekundzie miał zamiar zabrać się do pracy. —

Nie umiem ci wprost powiedzieć, jakie to może być ważne — ciągnął. — Całkiem prawdopodobne, że jesteśmy na tropie nowego leku, a może całej rodziny leków. Nawet jeśli okażą się nieprzydatne klinicznie, to z całą pewnością będą wartościowe dla samej nauki.

— Cieszę się. — Kim potarła powieki; miała ochotę iść do łazienki i umyć zęby.

— To niesamowite, jak często odkrycia farmakologiczne bywają dziełem przypadku. Pomyśl tylko: znaleźć nowy lek dzięki procesom czarownic w Salem. To nawet lepsze niż historia odkrycia Prozacu.

— Też przypadkiem?

— Właściwie tak — zaśmiał się Edward. — Główny odkrywca zabawiał się antyhistaminikami i w eksperymentalny sposób mierzył ich wpływ na wydzielanie pewnego neuroprzekaźnika, noradrenaliny. Przypadkowo wpadł na Prozac, który nie należy do środków antyhistaminowych i wpływa na wydzielanie innego neuroprzekaźnika, serotoniny, dwięście razy silniej niż noradrenaliny.

— Zdumiewające — powiedziała Kim, choć prawdę mówiąc nie słuchała.

Przed poranną kawą jej umysł nie był przygotowany na takie zawiłości.

— Nie mogę się już doczekać, żeby zacząć pracę nad tymi alkaloidami — dodał Edward.

— Może wolisz nie jechać do Salem? — spytała Kim.

— Nie! — odparł bez wahania. — Chcę zobaczyć grób. Chodź! koro już nie śpisz, to ruszamy! — Przez kołdrę żartobliwie pociągnął ją za nogę.

Po prysznicu, wysuszeniu włosów i zrobieniu makijażu Kim z Edwardem opuściła jego mieszkanie i udali się na następne tłuste, ale smakowite śniadanie na Harvard Square. Po posiłku zatrzymali się w jednej z licznych na placu księgarni. Podczas śniadania rozmawiali między innymi o purytanizmie. Oboje uświadomili sobie, jak mało na ten temat wiedzą, więc kupili kilka pożytecznych książek. Dobrze po dziewiątej znaleźli się na drodze do North Shore.

Prowadziła Kim, ponieważ tym razem także woleli nie zostawiać jej samochodu na przeznaczonym tylko dla mieszkańców parkingu przed domem Edwarda. Prawie nie było ruchu, toteż jechali szybko i znaleźli się w Salem tuż przed dziesiątą. Obrali tę samą trasę co przed tygodniem; znowu mijali Dom Czarownicy.

Edward chwycił Kim za ramię.

— Byłaś kiedyś w Domu Czarownicy? — spytał.

— Dawno temu. Dlaczego? Chciałbyś go zobaczyć?

— Nie śmiej się ze mnie, ale tak. Moglibyśmy poświęcić na to kilka minut?

— No pewnie. — Kim skręciła w Federal Street i zatrzymała się obok sądu. Gdy cofnęli się do Domu Czarownicy, okazało się, że muszą poczekać. Otwierano go dopiero o dziesiątej. Nie byli też jedynymi chętnymi do zwiedzania. Pod starym budynkiem zgromadziło się już parę rodzin i par.

— To niesamowite, jak czarownice z Salem wciąż fascynują ludzi — zauważyła Kim. — Ciekawa jestem, czy ktoś z nich kiedykolwiek się zastanowił, dlaczego.

— Twój kuzyn Stanton użył wyrażenia „diaboliczny urok”.

— Cały Stanton.

— Według niego pociągające w tej sprawie jest to, że jest ona jakby oknem na świat nadprzyrodzony — dodał Edward. — Akurat z tym się zgadzam. Większość ludzi jest nieco przesądna i historia o czarownicach działa im na wyobraźnię.

— I ja tak sądzę. Ale obawiam się też, że w tej fascynacji jest coś perwersyjnego. Przecież tu chodzi o śmierć ludzi. Poza tym sądzę, że nieprzypadkowo o wiele więcej było czarownic niż czarowników. To też kwestia przesądów związanych z płcią.

— No, no, tylko nie zaczynaj propagandy feministycznej. Kobiety były bardziej narażone na posądzenie o czary ze względu na ich rolę w ówczesnym społeczeństwie. O wiele więcej od mężczyzn miały do czynienia z narodzinami i śmiercią, zdrowiem i chorobą, a przecież te właśnie aspekty życia okryte są największą tajemniczością, mają w sobie najwięcej magii. Ludzie po prostu nie umieli sobie inaczej wytłumaczyć rzeczy, których nie pojmowali.

— Myślę, że oboje mamy rację. Zgadzam się z tobą, ale jestem ciągle pod wrażeniem małego odkrycia, jakie zrobiłam przy okazji poszukiwań: że kobiety w czasach Elizabeth były pozbawione praw. Mężczyźni odgrywali się na nich za swoje lęki. To przecież mizogynizm.

W tej chwili otworzyły się drzwi Domu Czarownicy. Powitała ich młoda kobieta w kostiumie z epoki. Kim i Edward dopiero teraz zorientowali się, że to będzie zwiedzanie z przewodnikiem. Wszyscy zgromadzili się w salonie i czekali na początek objaśnień.

— Myślałem, że będziemy mogli pozwiedzać sami — szepnął Edward.

— Ja też — odszepnęła Kim.

Młoda kobieta opisała wystrój wnętrza, nie pomijając szkatułki na Biblię, która w czasach purytańskich była niezbędnym elementem wyposażenia domu.

— To mnie przestaje interesować — szepnął znowu Edward. — Może pójdziemy?

— Nie mam nic przeciwko temu — zgodziła się Kim.

Wyszli. Na ulicy Edward obejrzał się i jeszcze raz obrzucił budynek wzrokiem.

— Właściwie chciałem wejść do środka po to, żeby zobaczyć, w jakim stopniu to wnętrze przypomina twój dom. To niesłychane. Wygląda tak, jakby je budowano według tego samego planu.

— Cóż, sam powiedziałeś, że indywidualność w tamtych czasach nie była w cenie — zauważyła Kim.

Wskoczyli do samochodu i szybko przebyli resztę drogi do majątku. Pierwszą rzeczą, na którą Edward zwrócił uwagę, był wykop. Jego długość go zaskoczyła.

Ciągnął się prawie od samego zamku do starego domu. Z brzegu widać było, że przebiega pod fundamentami.

— To jest trumna — Kim wskazała miejsce, z którego wystawała drewniana skrzynia. Wykop był w tym miejscu znacznie szerszy.

— Co za szczęśliwe zrządzenie losu — powiedział Edward. — To chyba ta część, gdzie jest głowa. I miałaś rację co do głębokości. To co najmniej dwa i pół metra, może więcej.

— Tylko tutaj, pod domem, ten wykop jest taki głęboki. Na polu jest znacznie płytszy. — Masz rację.

Edward zaczął się oddalać od domu.

Gdzie idziesz? Nie chcesz się przyjrzeć tablicy?

— Chcę się przyjrzeć samej trumnie, i to dokładnie — odparł Edward.

Wskoczył do rowu i ruszył z powrotem, zagłębiając się z każdym krokiem.

Kim przyglądała mu się z rosnącym niepokojem. Zaczęła żywić pewne obawy co do jego zamiarów.

— Jesteś pewien, że brzegi się nie obsuną? — spytała nerwowo.

Gdy stanęła przy samej krawędzi, na dno wykopu posypały się grudki ziemi i kamienie.

Edward nie odpowiedział. Pochylił się i oglądał uszkodzony róg trumny. Zdrapał trochę brudu na dłoń i roztarł w palcach.

— Zachęcające — orzekł. — Tu w dole powietrze jest suche jak pieprz i zaskakująco zimne. — Wetknął palec w szczelinę między wiekiem trumny a jej bokiem. Wieko przesunęło się z krótkim szczęknięciem.

— Boże drogi! — jęknęła Kim pod nosem.

— Przyniesiesz mi z samochodu latarkę? — zawołał Edward.

Zaglądał już w otwór.

Kim spełniła jego prośbę, choć nie podobało jej się to, co się tu działo. Nie miała ochoty jeszcze bardziej zakłócać spoczynku Elizabeth. Zbliżywszy się do krawędzi na tyle, na ile starczyło jej odwagi, zrzuciła Edwardowi latarkę.

Edward zaświecił do wnętrza trumny.

— Mamy szczęście — stwierdził. — Przez ten chłód i suchość ciało jest całkowicie zmumifikowane. Nawet całun się zachował.

— Wydaje mi się, że już dosyć się napatrzyliśmy — powiedziała Kim. Ale równie dobrze mogła mówić do ściany. Edward nie słuchał. Ku jej skrajnemu przerażeniu odłożył latarkę i wsadził rękę do trumny. — Edward! — krzyknęła. — Co ty robisz?

— Chcę tylko trochę wysunąć ciało — wyjaśnił.

Chwycił za głowę i pociągnął, ale bez skutku, zaparł się więc jedną nogą o brzeg wykopu i pociągnął mocniej. Ku swemu zdumieniu nagle poleciał do tyłu i wylądował pod przeciwległą ścianą, w pozycji siedzącej, z głową Elizabeth na kolanach. Towarzyszył mu niewielki obłoczek kurzu.

Kim zrobiło się słabo. Musiała odwrócić wzrok.

— O rany — powiedział Edward wstając. Przyjrzał się podstawie głowy. — Widocznie miała złamany kark. To dosyć zaskakujące, zważywszy, że w tamtych czasach nie tracono skazańców przez przerwanie rdzenia kręgowego, ale wieszano ich tak, żeby się powoli dusili.

Edward odłożył głowę na bok, przesunął wieko do poprzedniej pozycji i przybił je kamieniem. Następnie wziął głowę i wrócił do miejsca, gdzie mógł się wy dostać z wykopu.

— Mam nadzieję, że nie uważasz tego za zabawne — zaznaczyła Kim, gdy stanął u jej boku. Nadal nie patrzyła na jego zdobycz. — Życzę sobie, żebyś odłożył to na miejsce!

— Odłożę — obiecał Edward. — Chcę tylko pobrać maleńką próbkę. Wejźmy do środka i poszukajmy jakiegoś pudełka.

Kim, niezadowolona, ruszyła przodem. Zastanawiała się, jak to się dzieje, że stale pozwala się wplątywać w takie sytuacje. Edward wyczuł jej nastawienie i szybko odszukał odpowiedniej wielkości pudło po częściach hydraulicznych. Włożył do niego głowę i zaniósł do samochodu. Gdy wrócił do domu, oznajmił ochoczo:

— No dobrze, teraz zwiedzajmy.

— Masz możliwie najszybciej odnieść głowę na miejsce — podkreśliła jeszcze raz Kim.

— Oczywiście — zapewnił ją znowu Edward.

Chcąc zmienić temat wszedł do przybudówki i udawał, że podziwia zrab. Kim szła za nim. Wkrótce udało mu się odwrócić jej uwagę. Remont znacznie posunął się naprzód. Stwierdzili, że nawet podłoga w piwnicy była już gotowa do wylania.

— Dobrze, że wtedy wziąłem próbki — zauważył Edward. Gdy byli na piętrze i oglądali zaczątki małej łazienki, Kim usłyszała, że przed dom zajeżdża samochód. Wyjrzała przez okno i serce w niej zamarło. To był ojciec.

— Och, nie! — jęknęła.

Niepokój przemieszany z lękiem błyskawicznie zwilżył jej dłonie. Edward od razu wyczuł jej zdenerwowanie.

— Krępuje cię, że ja tu jestem? — spytał.

— Nie, na Boga! Chodzi mi o grób Elizabeth. Proszę, nie zdradz się, że mamy tę głowę. Nie chcę mu dawać najmniejszego pretekstu do wtrącania się w remont.

Zeszli na parter i stanęli przed domem. John z brzegu wykopu oglądał uważnie trumnę Elizabeth. Kim dokonała prezentacji. Był uprzejmy, ale nie dał się wciągnąć w rozmowę. Poprosił na stronę.

— Fatalnie się stało, że George Harris natrafił na tę trumnę — oznajmił. — Powiedziałem mu, że ma to zachować w tajemnicy i ufam, że ty zrobisz to samo. Nie chcę, żeby matka się dowiedziała. Wpadłaby w szal. Byłaby chora przez miesiąc. Po co miałabym o tym komukolwiek mówić? Szczerze mówiąc jestem zdziwiony,

że ona tu jest. Mówiono mi, że Elizabeth została pochowana we wspólnym grobie gdzieś na zachód od centrum Salem. A ten obcy facet, który z tobą przyjechał? On wie o grobie?

— Edward nie jest obcy. Owszem, wie o grobie. Wie też o Elizabeth.

— Umówiliśmy się przecież, że nie będziesz rozpowiadać o Elizabeth.

— To nie ja mu powiedziałam — odparła Kim. — To Stanton Lewis.

— Cholerna rodzinka twojej matki — burknął John pod nosem, po czym odwrócił się i podszedł do czekającego cierpliwie Edwarda. — Historia Elizabeth Stewart to informacja zastrzeżona — powiedział. — Mam nadzieję, że pan to uszanuje.

— Rozumiem — stwierdził Edward wymijająco. Zastanawia! się, jak by też John zareagował, gdyby wiedział o głowie w samochodzie.

Najwidoczniej usatysfakcjonowany, John skierował uwagę na dom. Za namową Kim raczył rzucić na niego okiem. Oględziny nie trwały długo. Wracając, przed odjazdem zawahał się. Spojrzał na Edwarda.

— Kim to dobre, rozumne dziecko. Jest bardzo ciepła i uczuciowa.

— I ja tak sądzę — odparł Edward.

John wsiadł do samochodu i odjechał. Kim patrzyła za nim, dopóki samochód nie zniknął za drzewami.

— On ma nieprawdopodobną zdolność wyprowadzania mnie z równowagi — wybuchnęła. — Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jakie to poniżające być wiecznie traktowaną jak nastolatka i nazywaną dzieckiem.

— Ale przynajmniej cię skomplementował.

— Akurat! To były komplementy pod własnym adresem. W typowy dla siebie sposób przypisuje sobie zasługę za to, jaka ja jestem. A przecież on nie miał z tym nic wspólnego. Nigdy nie poświęcał mi cienia uwagi. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że żeby być prawdziwym ojcem i mężem, trzeba mieć do zaoferowania coś więcej niż jedzenie i dach nad głową.

Edward otoczył ją ramieniem.

— Niepotrzebnie się tak denerwujesz. Teraz to już nic nie zmieni.

Kim nagłym ruchem zwróciła się ku niemu.

— Wczoraj w nocy przyszło mi coś do głowy. Nie miałbyś ochoty od pierwszego września zamieszkać ze mną w tym domu?

Edward niezdarnie szukał słów. Znowu się jąkał.

— To bardzo wspaniałomyślna propozycja — zdołał wreszcie powiedzieć.

— Uważam, że to świetny pomysł. Tak czy inaczej musisz sobie znaleźć mieszkanie, a tu miejsca jest aż nadto. Co ty na to?

— Dziękuję — wymamrotał Edward. — Sam nie wiem, co niani powiedzieć. Chyba powinniśmy jeszcze o tym porozmawiać.

— Porozmawiać? — zdziwiła się Kim.

Nie spodziewała się odrzucenia. Kwiaty od Edwarda nadal przychodziły codziennie.

— Obawiam się po prostu, że zaprosiłaś mnie pod wpływem chwili — wyjaśnił. — Że potem zmienisz zdanie, ale nie będziesz wiedziała, jak się wycofać.

— Czy naprawdę tylko dlatego się ociągasz? — Kim wspięła się na palce i uściaskała go. — W porządku. Możemy jeszcze porozmawiać. Ale ja nie zmienię zdania.

Później, kiedy już wyczerpali temat remontu, Kim spytała Edwarda, czy nie zechciałby poprzeglądać z nią w zamku trochę starych papierów. Wyjaśniła, że jego wczorajsze rozważania na temat przypuszczalnej natury dowodu użytego przeciwko Elizabeth dodały jej nowego zapału. Edward powiedział, że z przyjemnością będzie jej towarzyszył.

Gdy znaleźli się w zamku, Kim zaproponowała, żeby zamiast do piwnicy poszli na poddasze. Edward z początku był chętny, ale na poddaszu było potwornie gorąco, tak że nawet otwarcie okien niewiele dało, i szybko stracił zainteresowanie.

— Odnoszę wrażenie, że to cię nie bawi — zauważyła Kim. Edward wprawdzie wziął sobie jedną szufladę w pobliżu okna, ale zamiast ją przeszukiwać, patrzył na zewnątrz.

— Chyba po prostu jestem zbyt przejęty tymi alkaloidami. Chciałbym już być w pracowni i móc się nimi zająć.

— W takim razie wracaj do miasta i rób swoje. Ja mogę potem przyjechać pociągiem.

— Dobra myśl. Ale pociągiem pojedę ja.

Po krótkiej sprzeczce, którą wygrał Edward, ponieważ gdyby wziął samochód, Kim nie miałaby jak dostać się po południu na stację, wrócili do domu i ruszyli do pociągu. W połowie drogi Kim przypomniała sobie o głowie Elizabeth na tylnym siedzeniu.

— To żaden problem — stwierdził Edward. — Zabieram ją ze sobą.

— Pociągiem?

— Czemu nie? Jest przecież w pudełku.

— Ma wrócić migiem na swoje miejsce. Rów zostanie zasypyany jak tylko położą rury i przewody.

— Zrobię to błyskawicznie — zapewnił ją Edward. — Mam nadzieję, że będę miał z czego pobrać próbki. Jeśli nie, to może spróbowałbym z wątroba.

— Do trumny zajrzemy jeszcze tylko jeden jedyny raz, wyłącznie po to, żeby odłożyć głowę. Nie dosyć, że ojciec się tam kręci, to jeszcze najwyraźniej jest w kontakcie z tym przedsiębiorcą budowlanym.

Kim wysadziła Edwarda u stóp schodów prowadzących na stację. Edward wziął z tylnego siedzenia pudło po częściach hydraulicznych.

— Zjemy razem kolację? — spytał.

— Chyba nie — odparła Kim. — Muszę wrócić do siebie. Mam pranie, a jutro wcześniej wstaję do pracy.

— To może chociaż się zdzwonimy.

— Zgoda.

Jakkolwiek wielką przyjemność sprawiało Edwardowi przebywanie z Kim, cieszył się, że jest znowu w pracowni. Szczególnie uradował go widok Eleanor, której się nie spodziewał. Była w domu, wzięła prysznic i położyła się, ale spała tylko cztery, najwyżej pięć godzin. Jak powiedziała, była zbyt podekscytowana, żeby wytrzymać z dala od pracowni.

Od razu pokazała mu wyniki spektrometrii masowej. Było już pewne, że mają do czynienia z trzema nowymi alkaloidami. Po ich porannej rozmowie przez długi czas analizowała wyniki; nie pasowały do żadnego ze znanych związków.

— Mamy więcej przetrwalników? — spytał Edward.

— Trochę — odpowiedziała Eleanor. — Kevin Scranton powiedział, że przyśle więcej, ale jeszcze nie wie kiedy. Nie chciałam poświęcać tych, które mamy, bez porozumienia z tobą. Jak chcesz rozdzielić te alkaloidy? Za pomocą rozpuszczalników organicznych?

— Zastosujmy elektroforezę włośniczkową — zaproponował Edward. — Jeśli będzie trzeba, uciekniemy się do elektrokinetycznej chromatografii włośniczkowej.

— Mam zrobić nie opracowaną próbkę, tak jak do spektrometrii masowej?

— Nie. Wyekstrahujemy te alkaloidy wodą destylowaną i wytrącimy słabymi kwasami. Robiłem tak zawsze w laboratorium biologicznym i bardzo dobrze wychodziło. W ten sposób będziemy mieć czystsze próbki i ułatwioną pracę nad strukturą tych związków.

Eleanor ruszyła w kierunku swojego stołu, ale Edward przytrzymał ją za ramię.

— Zanim zaczniesz, chcę cię prosić, żebyś zrobiła coś jeszcze — rzekł.

Bez żadnych wstępów otworzył pudło i wyjął z mumifikowaną głowę. Eleanor wzdrygnęła się na ten upiorny widok.

— Mogłeś mnie uprzedzić.

— Mogłem — przyznał Edward ze śmiechem.

Po raz pierwszy przyjrzał się głowie dokładniej. Wyglądała dość niesamowicie. Skóra miała kolor ciemnobrązowy, prawie mahoniowy. Wyschnięta i obkurczona na kościach jarzmowych, obnażała zęby jakby w makabrycznym uśmiechu. Włosy też były suche i matowe jak włókno szklane.

— Co to jest? — spytała Eleanor. — Mumia egipska?

Edward opowiedział jej całą historię. Wyjaśnił też, że przyniósł głowę do pracowni po to, żeby zobaczyć, czy w jamie czaszkowej nie ma czegoś, z czego

dałoby się pobrać próbki.

— Niech zgadnę — rzekła Eleanor. — Chcesz zrobić spektrometrię masową.

— Otóż to. Gdybyśmy otrzymali wynik korespondujący z wynikiem badania tych alkaloidów, to mielibyśmy elegancki pod względem naukowym i niezbity dowód, że ta kobieta spożywała nasz nieznaną grzyb.

Eleanor pobiegła na wydział biologii pożyczyć narzędzia do sekcji. Edward zaś stawiał czoło studentom i asystentom, którzy już przyszli do pracy i nerwowo czekali na swoją kolej. Odpowiedział po kolei na wszystkie ich pytania i odesłał do swoich zajęć.

Akurat skończył, gdy wróciła Eleanor.

— Asystent z anatomii powiedział mi, że musimy zdjąć sklepienie czaszki — powiedziała, unosząc w górę piłę elektryczną.

Edward wziął się do dzieła. Naciął skalp i odsłonił czaszkę. Potem odciął sklepienie. Zajrzeli do wnętrza. Niewiele tego było. Mózg obkurczył się w zbitą grudę w tylnym dole czaszkowym.

Co o tym sądzisz? — Edward trącił ją czubkiem skalpela. Była twarda.

— Odetnij kawałek, a ja spróbuję to w czymś rozpuścić. Edward poszedł za jej radą.

Otrzymaną próbkę próbowali traktować różnymi rozpuszczalnikami. Nie wiedząc, co właściwie badają, użyli spektrometru. Za drugim razem wyszło. Kilka pików odpowiadało dokładnie pikom alkaloidów z nie opracowanego wyciągu, który Eleanor badała poprzedniego wieczoru.

— Czyż nauka nie jest wspaniała? — skomentował radośnie Edward.

— To rzeczywiście podniecające — zgodziła się Eleanor. Edward poszedł do swojego biurka i zadzwonił do Kim. Tak jak przewidywał, odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Po sygnale nagrał wiadomość, że w przypadku Elizabeth Stewart diabelskie moce znalazły swoje naukowe wytłumaczenie.

Odłożywszy słuchawkę, posuwistym krokiem wrócił do Eleanor. Był w wyśmienitym nastroju.

— Dobra, dość tej zabawy. Weźmy się do prawdziwej pracy. Zobaczmy, czy uda nam się rozdzielić te alkaloidy, żebyśmy w końcu mogli się zorientować, z czym mamy do czynienia.

— To nie do wytrzymania — powiedziała do siebie Kim.

Pchnęła szufladę i zamknęła ją biodrem. Była spocona, oblepiona kurzem i zniechęcona. Odwiózłszy Edwarda na stację, wróciła do zamku i przez cztery godziny prowadziła poszukiwania od skrzydła dla służby aż do gościnnego. Nie tylko nie znalazła nic istotnego, ale w ogóle nic z siedemnastego wieku.

— To nie będzie łatwe zadanie — powiedziała sobie jeszcze raz.

Omiotła wzrokiem nieprzeliczone szafki, kufry, pudła i komody ciągnące się

jak okiem sięgnąć w całej widocznej z jej miejsca części poddasza, aż do zakrętu w prawo. Przytłaczała ją sama ilość materiału. Było tego jeszcze więcej niż w piwnicy. I, podobnie jak w piwnicy, nie był uporządkowany ani pod względem tematycznym, ani chronologicznym. Częstokroć sąsiadowały ze sobą dokumenty, które dzielił dystans nawet stu lat, a ich tematyka wahała się od danych handlowych i sprawozdań do domowych przepisów; od urzędowych dokumentów po prywatną korespondencję. Jedyne przeglądając stronę po stronie można było mieć nadzieję, że się coś znajdzie.

W tej sytuacji Kim zaczęła pojmować, jakie miała niezwykle szczęście w ten poniedziałek, kiedy znalazła list Jamesa Flanagana do Ronalda Stewarta. Nabrała przez to fałszywego wyobrażenia, że jej śledztwo w sprawie Elizabeth będzie przyjemnym, wręcz łatwym przedsięwzięciem.

W końcu głód, zmęczenie i rozczarowanie wzięły górę nad pragnieniem poznania prawdy o „rozstrzygającym dowodzie” użytym przeciwko Elizabeth. Gwałtownie zachciało jej się wykąpać. Opuściła zamek i wyszła w letni popołudniowy skwar. Wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę powrotną do Bostonu.

ROZDZIAŁ 6

PONIEDZIAŁEK, 25 LIPCA 1994

Edward zamrugał powiekami i otworzył oczy po zaledwie czterech godzinach snu. Była piąta rano. Ilekroć pochłaniał go jakiś problem, miał dużo mniejsze zapotrzebowanie na sen niż normalnie. A od dawna nie pamiętał, żeby był tak podniecony jak teraz. Intuicja naukowca, która jeszcze nigdy go nie zawiodła, mówiła mu, że trafił na coś naprawdę wielkiego.

Wyskoczył z łóżka, na co Bufor zareagował spazmatycznym szczekaniem. Biedny pies pomyślał, że wydarzyła się jakaś katastrofa. Dopiero lekki klaps przywołał go do porządku.

Błyskawicznie odprawivszy poranne obrządki, w tym krótki spacer z Buforem, Edward pojechał do pracowni. Dochodziła właśnie siódma, gdy wszedł. Eleanor już była.

— Nie mogłam spać — przyznała. Jej długie jasne włosy, zwykle starannie uczesane, były w lekkim nieładzie.

— Ja też — odparł Edward.

W sobotę pracowali do pierwszej w nocy, a potem przez całą niedzielę. Wobec perspektywy bliskiego sukcesu Edward uprosił Kim o przełożenie spotkania zaplanowanego na wieczór. Gdy wytłumaczył jej, że cel jest w zasięgu ręki, Kim okazała zrozumienie.

Wreszcie tuż po północy z niedzieli na poniedziałek Edward i Eleanor doszlifowali metodę rozdziału. Trudności wynikały głównie z faktu, że dwa z tych alkaloidów miały wiele identycznych własności fizycznych. Teraz, w poniedziałek rano, potrzebowali już tylko więcej materiału i jakby w odpowiedzi na ich modły zadzwonił Kevin Scranton z wiadomością, że wysyła im kolejną partię przetrwalników.

— Kiedy materiał przyjdzie, wszystko ma być przygotowane — polecił Edward. — To będzie gdzieś około dziewiątej.

— Tak jest! — Eleanor trzasnęła obcasami i zasalutowała.

Edward usiłował trzepnąć ją po głowie, ale była od niego zwinniejsza.

Pracowali gorączkowo przez następną godzinę, po czym w pewnej chwili Eleanor trąciła Edwarda w ramię.

— Czy świadomie ignorujesz swoje owieczki? — spytała cicho, dając mu znak, żeby się obejrzał.

Edward wyprostował się i zobaczył, że za jego plecami studenci szwendają się bez celu, czekając, aż zwróci na nich uwagę. Zupełnie o nich zapomniał. Tymczasem do pracowni ściągało coraz więcej ludzi i tłumek rósł. Jak zwykle mieli do niego mnóstwo pytań i potrzebowali rad.

— Słuchajcie! — krzyknął Edward. — Dzisiaj musicie radzić sobie sami. Jestem zarżnięty. Mam niezwykle pilną pracę.

Wśród pomruków niezadowolenia tłumek niechętnie się rozproszył. Edward nawet nie zauważył ich reakcji. Natychmiast wrócił do pracy, a jego koncentracja była legendarna.

Po kilku minutach Eleanor znów trąciła go w ramię.

— Strasznie mi przykro, że ci się naprzykrzam, ale co z wykładem o dziewiątej?

— Cholera! Udało mi się o nim zapomnieć. Poszukaj Ralpa Cartera i powiedz mu, żeby tu przyszedł. — Ralph Carter był jednym z jego starszych asystentów.

Ralph zjawił się wkrótce. Był to chudy brodaty gość o dziwnie szerokiej, rumianej twarzy.

— Chciałbym, żebyś przejął moje wykłady z podstaw biochemii na letnim kursie — powiedział Edward.

— Na jak długo? — Ralph najwyraźniej nie pałał entuzjazmem.

— Dam ci znać.

Gdy Ralph wyszedł, Edward zwrócił się do Eleanor:

— Nie cierpię tego niby biernego oporu podszytego agresją. Pierwszy raz się zdarzyło, że proszę kogoś o zastępstwo w wykładach z biochemii.

— Po prostu nikt poza tobą nie czuje powołania, żeby uczyć na młodszych latach — tłumaczyła Eleanor.

Zgodnie z obietnicą tuż po dziewiątej przybył mały słoiczek przetrwalników. Edward odkręcił pokrywkę i ostrożnie, jakby to były grudki złota, wysypał ciemne, podobne do ryżu ziarenka na bibułę filtracyjną.

— Małe paskudztwa — stwierdziła Eleanor. — Całkiem jak mysie bobki.

— Według mnie wyglądają jak nasiona w żytnim chlebie. Z historycznego punktu widzenia to słuszniejsze porównanie.

— Jesteś gotów?

— Bierzmy się za to.

Tuż przed południem udało im się otrzymać po odrobinie z każdego alkaloidu. Produkty ich wytężonej pracy mieściły się na samym dnie małych, stożkowato

zakończonych próbek oznaczonych literami A, B i C. Z zewnątrz wyglądały identycznie, po prostu szczypta białego proszku.

— Co teraz? — Eleanor podniosła jedną z próbek do światła.

— Musimy sprawdzić, które z nich działają na ośrodkowy układ nerwowy. Wtedy skupimy się już tylko na tych.

— Na czym będziemy je testować? Myślę, że moglibyśmy wziąć preparaty zwojów nerwowych *Aplasia fasciata*. To na pewno pozwoli nam sprawdzić powinowactwo do tkanki nerwowej.

Edward potrząsnął głową.

— To nie wystarczy. Ja chcę wiedzieć, które są halucynogenne, i to szybko. Do tego potrzebny mi jest mózg człowieka.

— Nie możemy tego badać na ochotnikach. — W głosie Eleanor brzmiała konsternacja. — Byłoby to jaskrawym naruszeniem etyki.

— Masz rację. Ale ja nie miałem na myśli ochotników. Myślę, że ty i ja wystarczymy w zupełności.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę brać udział w tym eksperymencie — powiedziała ostrożnie Eleanor.

Dopiero teraz zaczęła pojmować zamiary Edwarda.

— Panie doktorze! — zawołał jeszcze jeden głos. Edward i Eleanor odwrócili się i zobaczyli Cindy, sekretarkę wydziału. — Przepraszam, że przeszkadzam, ale w sekretariacie jest pan Stanton Lewis i chciałby z panem rozmawiać.

— Powiedz mu, że jestem zajęty — odparł Edward. Jednak gdy tylko Cindy zawróciła w stronę sekretariatu, Edward zawołał ją z powrotem. — Albo nie. Przyślij go tutaj.

— Nie podoba mi się ten błysk w twoim oku — zauważyła Eleanor, gdy czekali na Stantoną.

— Jest najzupełniej niewinny — uśmiechnął się Edward. — Naturalnie gdyby pan Lewis chciał zostać głównym sponsorem naszego programu, nie będę się sprzeciwiał. Ale poważnie, chciałbym z nim porozmawiać o tym, co teraz robimy.

Stanton wpadł do pracowni ze swoimi zwykłymi wylewnymi powitaniem. Ucieszył się, zwłaszcza że zastał i Edwarda, i Eleanor.

— Dwoje moich faworytów — oświadczył. — Ale każde z was upodobała sobie inna część mojego mózgu.

Sam się roześmiał ze swojego, jak sądził, pieprznego dowcipu. Ale Eleanor wykazała się szybszym refleksem mówiąc, że nie wiedziała, iż zmienił orientację seksualną.

— Jak to? — Stanton autentycznie osłupiał.

— Cóż, po prostu wiem, że we mnie pociąga cię mój intelekt — wyjaśniła Eleanor. — W takim razie obszary rządzące instynktami zostają dla Edwarda.

Edward zarechotał. Jeszcze nigdy nie widział Stantoną, który zawsze miał na wszystko odpowiedź, zapędzonego w kozi róg. Stanton też się śmiał i zapewnił

Eleanor, że istotnie niezwykła błyskotliwość zawsze przyćmiewała w jego oczach wszystkie inne jej uroki.

W końcu odwrócił się do Edwarda.

— No dobrze. Dość tych żartów! Co z prospektem Genetrixu?

— Jeszcze nie miałem okazji mu się przyjrzeć — przyznał się Edward.

— Obiecałeś — zaatakował Stanton. — Mam powiedzieć mojej kuzynce, żeby się z tobą więcej nie umawiała, bo nie można ci ufać?

— Co to za kuzynka? — Eleanor dała Edwardowi lekkiego szturchańca w bok. Twarz Edwarda spąsowiała. Nie chciał mówić o Kim.

— Nie miałem czasu na żadne lektury — oświadczył Stantonowi zacinając się, co w pracowni nigdy mu się nie zdarza-

— Wynikło coś, co ciebie może szczególnie zainteresować.

— Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego — ostrzegł go Stanton. Poklepał go po plecach i powiedział, że co do Kim to tylko żartował. — Jakżebym mógł stać między wami, moje wy gołąbki. Słyszałem od ciotki, że staruszek Stewart zaskoczył was w Salem. Mam nadzieję, że nie na gorącym uczynku, ty łotrze.

Edward zakaszał nerwowo i podsunął Stantonowi krzesło. Szybko zmienił temat, przechodząc do historii odkrycia nowego grzyba i alkaloidów. Powiedział, że przynajmniej jeden z nich ma własności psychotropowe, a także opowiedział, skąd to wie. Wręczył mu nawet trzy próbówki z właśnie wyizolowanymi związkami.

— Niezła historia — skomentował Stanton. Odłożył próbówki na stół. — Ale dlaczego uważasz, że właśnie mnie powinno to szczególnie zainteresować? Ja jestem praktycznym facetem. Nie podniecają mnie ezoteryczne i egzotyczne kwestie tak jak was, akademików

— Jestem przekonany, że te alkaloidy mogą mieć zastosowanie praktyczne — oświadczył Edward. — Być może jesteśmy o krok od odkrycia nowej grupy leków psychotropowych, które z całą pewnością okażą się przydatne co najmniej do celów naukowych.

Stanton zauważalnie wyprostował się na krześle. Jego nonszalancja się ulotniła.

— Nowe leki? To rzeczywiście brzmi interesująco. Jakie są szanse, że znajdą zastosowanie kliniczne?

— Myślę, że ogromne. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jakie są możliwości współczesnej chemii w dziedzinie modyfikacji cząsteczek. W dodatku po tym psychodelicznym przeżyciu, kiedy skosztowałem wyciągu, czułem się dziwnie ożywiony, a umysł miałem niezwykle jasny. Przypuszczam, że ta substancja ma działanie nie tylko halucynogenne.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Stanton. Jego natura biznesmena sprawiła, że tętno mu przyśpieszyło. — To może być coś kolosalnego.

— To samo sobie pomyśleliśmy.

— Mówię o korzyściach ekonomicznych na naprawdę dużą skalę.

— Nam chodzi przede wszystkim o korzyści, które nowa grupa leków psychotropowych może przynieść nauce. Wszyscy oczekują przełomu w poznaniu, jak funkcjonuje mózg. Kto wie, może to będzie właśnie to? Trzeba byłoby wówczas wymyślić jakiś sposób finansowania większej produkcji. Będą się o nią ubiegać naukowcy całego świata.

— To bardzo pięknie. Cieszę się, że masz takie szczytne cele. Ale dlaczego nie mieć jednego i drugiego? Mógłbyś wreszcie naprawdę zbić forszę.

— Nie ciągnie mnie, żeby zostać milionerem. Myślałem, że już wiesz.

— Milionerem? — Stanton zarechotał szydyczko. — Jeśli ta nowa linia leków da się zastosować w depresji, lęku albo jakiejś ich kombinacji, możesz pomnożyć to przez tysiąc.

Edward już chciał mu przypomnieć, że mają inne systemy wartości, ale urwał w środku zdania. Wyraźnie się odprężył. Spytał Stanton, czy naprawdę miał na myśli miliard.

— Tak jest, miliard! — powtórzył Stanton. — Nie przesadzam. Poświadczenia z Librium, Valium, a teraz Prozakim dowodzą niezaspokojonego apetytu społeczeństwa na skuteczne klinicznie leki psychotropowe.

Edward sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego widokiem dziedzińca Szkoły Medycznej Uniwersytetu Harvarda. Gdy w końcu przemówił, jego głos brzmiał bezbarwnie.

— Twoim zdaniem, to znaczy z twojego doświadczenia: co trzeba zrobić, żeby móc czerpać korzyści z takiego odkrycia?

— Niewiele — odparł Stanton. — Wystarczy zarejestrować firmę i opatentować lek. Tylko tyle. Ale do tego czasu fundamentalne znaczenie ma zachowanie tajemnicy.

— Jak dotąd to jest tajemnica. — Edward wciąż sprawiał wrażenie roztargnionego. — Dopiero od kilku dni wiemy, że mamy do czynienia z czymś nowym. To znaczy wiemy ja i Eleanor. — Nie wspomniał o Kim, z obawy że znów zacznie się rozmowa na jej temat.

— Im mniej, tym lepiej — stwierdził Stanton. — No a ja mógłbym pójść trochę do przodu i zorganizować firmę, na wypadek gdyby to zaczynało wyglądać obiecująco.

Edward przetarł sobie powieki, a potem całą twarz. Odetchnął głęboko. Wyglądał, jakby ocknął się z transu.

— Zdaje się, że dzielimy skórę na niedźwiedziu. Zanim zdobędziemy jakieś wyobrażenie, na co natrafiliśmy, będziemy jeszcze mieli z Eleanor mnóstwo pracy.

— Jaki będzie następny etap? — zainteresował się Stanton.

— Cieszę się, że o to spytałeś. — Edward oderwał się od stołu i podszedł do oszklonej szafki. — Właśnie przed chwilą o tym rozmawialiśmy. Po pierwsze

musimy ustalić, który z tych związków ma działanie psychotropowe.

Wrócił do stołu z trzema kolbami, w każdej umieścił odrobinę jednego z trzech nowych alkaloidów, zalał litrem wody destylowanej i energicznie wstrząsnął.

— Jak chcesz to zrobić? — spytał znowu Stanton, choć na podstawie powieści Edwarda już się orientował.

Edward wyjął z szuflady trzy mililitrowe pipety.

— Czy ktoś miałby ochotę się przyłączyć?

Ani Eleanor, ani Stanton nie odezwali się słowem. — Ale z was zajęcze serca — powiedział Edward śmiejąc się. — Żartuję — dodał po chwili. — Chcę tylko, żebyście byli w pobliżu, tak na wszelki wypadek. To moja zabawa.

Stanton spojrzął na Eleanor.

— Odbiło mu czy jak?

Eleanor mierzyła Edwarda uważnym spojrzeniem. Wiedziała, że nie jest ryzykantem. I nie znała nikogo mądrzejszego od niego, zwłaszcza w tym, co dotyczyło biochemii.

— Ty jesteś zupełnie pewien, że to bezpieczne, prawda? — spytała.

— Nie bardziej niebezpieczne niż kilka sztachnięć haszu. W mililitrze tego roztworu znajduje się w najlepszym razie kilka milionowych grama. Poza tym ja już próbowałem nie oczyszczonego wyciągu bez żadnych negatywnych skutków. Właściwie to nawet było całkiem przyjemne. A to są już w miarę czyste substancje.

— Dobra! — zdecydowała się Eleanor. — Daj mi jedną pipetę.

— Na pewno? Nie ma żadnego przymusu. Ja chętnie wypróbuję wszystkie trzy.

— Na pewno. — Eleanor wzięła pipetę.

— No a ty, Stanton? — zagadnął Edward. — Masz szansę zrobić coś dla prawdziwej nauki. Poza tym, jeśli rzeczywiście chcesz, żebym przeczytał twój cholerny prospekt, to mógłbyś i ty oddać mi przysługę.

— Przypuszczam, że skoro wy dwoje kopnięci jesteście przekonani, że to niczym nie grozi, to nic mi się nie stanie, jak spróbuję — powiedział z ociąganiem Stanton. — Ale albo przeczytasz mój prospekt, albo będziesz miał przyjemność z moimi przyjaciółmi z mafii z North End.

Wziął pipetę.

— Niech każdy sam wybiera swoją truciznę — wskazał kolby Edward.

— Odwołaj to albo ja odpadam — ostrzegł go Stanton.

Edward zachichotał. Niepewność Stantoną ogromnie go bawiła. Zbyt często bywało między nimi odwrotnie.

Stanton pozwolił Eleanor wybierać pierwszej, po czym wziął jedną z dwóch pozostałych kolb.

— To mi uderzająco przypomina rosyjską ruletkę.

Eleanor się roześmiała. Powiedziała mu, że jest zbyt bystry, żeby mu to wyszło na dobre.

— Gdybym był naprawdę bystry, tobym się trzymał z od takich świrów jak wy — odparł.

— Panie przodem — rzekł Edward.

Eleanor napełniła pipetę i upuściła sobie na język mililitr płynu. Edward dał jej szklanekę wody do popicia.

Obaj mężczyźni pilnie się jej przyglądali. Nikt się nie odzywał. Minęło kilka minut. Wreszcie Eleanor wzruszyła ramionami.

— Nic — powiedziała. — Tyle tylko że mam nieco szybsze tętno.

— To ze strachu — powiedział Stanton.

— Ty następny — Edward zrobił ponagląjący gest. Stanton napełnił swoją pipetę.

— Do jakich poświęceń jestem zmuszony, żeby mieć cię w radzie naukowej. To woła o pomstę do nieba — poskarżył się.

Złożył na języku odrobinę płynu, a potem także wypił szklanekę wody.

— Gorzkie — oświadczył. — Ale poza tym nic nie czuję.

— Odczekaj jeszcze parę sekund, aż się przedostanie do krążenia — poradził Edward.

Napełnił swoją pipetę. Zaczynał wątpić, czy coś z tego będzie. Zastanawiał się, czy w tym nie oczyszczonym wyciągu nie mogło być jakichś innych rozpuszczalnych w wodzie związków, które wywołały u niego reakcję psychodeliczną.

— Trochę mi się kręci w głowie — odezwał się Stanton.

— Dobrze. — Wątpliwości Edwarda się rozwiały. Dobrze pamiętał, że zawroty głowy były u niego pierwszym objawem po zażyciu nie oczyszczonego wyciągu. — Coś jeszcze?

Stanton nagle zeszywniał i wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. Rzucił szybkie spojrzenia to tu, to tam, po całym pomieszczeniu.

— Co widzisz? — dopytywał się Edward.

— Kolory! Widzę poruszające się kolory.

Zaczął je opisywać, ale nagle sam sobie przerwał okrzykiem grozy. Zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo otrząpywać sobie ramiona.

— Co się dzieje?

— Jakież owady mnie gryzą — odparł Stanton.

Nadal próbował strzepnąć wyimaginowane szkodniki, aż nagle zaczął się dusić.

— A teraz? — spytał Edward.

— Dławi mnie w klatce piersiowej — zachrypiał Stanton. — Nie mogę przełknąć śliny.

Edward złapał go za ramię. Eleanor porwała za telefon i chciała dzwonić po pomoc, ale Edward ją powstrzymał. Stanton już się uspokoił. Zamknął oczy, a na

twarży rozlał mu się uśmiech. Edward zmusił go, żeby cofnął się o krok, i posadził go z powrotem na krześle.

Stanton odpowiadał na pytania z opóźnieniem i niechętnie. Powiedział, że jest zajęty i nie chce, by mu przeszkadzano. Spytany, co takiego robi, odparł: „Różne rzeczy”.

Po kilku dalszych minutach jego uśmiech zbladł. Jeszcze przez jakiś czas wyglądał jakby spał, po czym z wolna otworzył oczy.

Najpierw z wysiłkiem przełknął ślinę.

— W ustach mam pustynię Gobi. Muszę się czegoś napić. Edward nalał mu szklankę wody. Wypił ją duszkiem, a potem następną.

— Muszę powiedzieć, że to było urozmaicone kilka minut. Nawet dość zabawne.

— To było ponad dwadzieścia minut — poprawił go Edward.

— Poważnie?

— A jak się czujesz ogólnie?

— Cudownie spokojny.

— A jasność widzenia?

— O, właśnie! Czuję się tak, jakbym przypomniał sobie mnóstwo najróżniejszych rzeczy, i to, jak słusznie powiedziałeś, ze zdumiewającą jasnością.

— Ja się czułem tak samo. A to uczucie dławienia?

— Jakiego dławienia?

— Skarżyłeś się na dławienie w klatce piersiowej. I że gryzą cię jakieś owady.

— Niczego takiego nie pamiętam — odparł Stanton.

— Dobrze, nieważne. W każdym razie wiemy, że związek B jest bezsprzecznie halucynogeny. Sprawdźmy, co z ostatnim.

Edward wziął swoją dawkę. Oczekali kilka minut, tak jak z Eleanor. Nic się nie wydarzyło.

— Jeden na trzy całkowicie mi wystarczy — oznajmił Edward. — Teraz wiemy, na którym alkaloidzie mamy skupić wysiłki.

— Może powinniśmy sprzedawać to tak jak jest — zażartował Stanton. — W latach sześćdziesiątych to by się dopiero spodobało! Czuję się wspaniale, niesamowicie radośnie i lekko. Oczywiście to może być tylko ulga, że mam to już poza sobą. Muszę się wam przyznać, że się bałem.

— Ja też odczuwałem lekką euforię — powiedział Edward. — A skoro wystąpiła u nas obu, to może jest to jednak efekt działania alkaloidu. Tak czy inaczej, jestem dobrej myśli. Sądzę, że mamy w zasięgu ręki lek psychotropowy, który z jednej strony działa uspokajająco, a z drugiej poprawia pamięć.

— A to wrażenie jasności widzenia?

— Chcę wierzyć, że to wynik ogólnego wzbogacenia funkcji mózgu. W ten sposób lek mógłby mieć także działanie przeciwdepresyjne.

— Muzyka dla moich uszu — rzekł Stanton. — Powiedz mi jeszcze, jaki będzie wasz następny krok.

— Najpierw musimy się zająć chemią. To znaczy budową i własnościami fizycznymi tej substancji. Gdy już poznamy jego budowę, zaczniemy pracę nad syntezą, żebyśmy nie musieli polegać wyłącznie na pleśni. Potem przejdziemy do badań nad jego wpływem na funkcje fizjologiczne i toksycznością.

— Toksycznością? — Stanton zbladł.

— Wzięłeś minimalną dawkę — przypomniał mu Edward. — Nie masz się czym martwić.

— A jak zbadacie ten wpływ na funkcje fizjologiczne? — spytał Stanton.

— To będzie zadanie interdyscyplinarne. Pamiętaj, że wiele związków o działaniu fizjologicznym wyzwala jeden z neurotransmiterów. Na przykład LSD związany jest z serotoniną. Zaczniemy badania od pojedynczych neuronów, potem przejdziemy do homogenatu żywych komórek mózgowych po odwirowaniu i w końcu zajmiemy się całymi nienaruszonymi sieciami neuronów, jak na przykład zwoje nerwowe zwierząt niższych.

— Bez doświadczeń na zwierzętach?

— Z czasem dojdziemy i do tego. To będą głównie myszy i szczury. Może małpy. Ale to już zostanie prawie na koniec. Musimy też pracować na poziomie molekularnym. Określić miejsca wiązania i sposób przenoszenia informacji do komórki.

— Zapowiada się to na ładnych parę lat — powiedział Stanton.

— Mamy przed sobą mnóstwo pracy — zgodził się Edward. Uśmiechnął się do Eleanor, która potakująco skinęła głową. — Ale cholernie ekscytującej. To może być nasza życiowa szansa.

— No dobrze. Informuj mnie na bieżąco. — Stanton wstał i zrobił kilka ostrożnych kroków, żeby sprawdzić, czy utrzymuje równowagę. — Muszę przyznać, że naprawdę czuję się rewelacyjnie.

Doszedł tylko do drzwi i nagle zawrócił. Edward i Eleanor już zdążyli zabrać się do pracy.

— Pamiętaj, że obiecałeś przeczytać ten cholerny prospekt. W tej sprawie nie popuszczę, choćbyś był nie wiem jak zajęty.

— Przeczytam — odparł Edward. — Nie powiedziałem tylko kiedy.

Stanton przyłożył sobie do skroni dwa palce, jak lufę pistoletu, i udał, że strzela.

— Kim, telefon do ciebie — zawołała sekretarka oddziałowa.

— Spytaj, o co chodzi — odkrzyknęła Kim. Pomagała innej pielęgniarce przy pacjencie w szczególnie ciężkim stanie.

— Idź i spokojnie odbierz — powiedziała tamta. — Teraz już dam sobie radę, dzięki.

— Jesteś pewna?

Pielęgniarka skinęła głową.

Kim prześliznęła się przez środek oddziału intensywnej terapii omijając korek, który utworzyły łóżka wwożonych i wywożonych pacjentów. Cały dzień był taki. Podniosła słuchawkę spodziewając się, że to będzie laboratorium albo bank krwi. Dzwoniła i tu, i tam.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — odezwał się męski głos.

— Kto mówi? — spytała Kim.

— George Harris z przedsiębiorstwa budowlanego w Salem. Pani do mnie dzwoniła.

— Przepraszam. — Kim zupełnie zapomniała, że parę godzin wcześniej zostawiła mu wiadomość. — Nie poznałam pana.

— To ja przepraszam, że tak późno oddzwaniam. Nie było mnie w biurze. Czym mogę służyć?

— Chciałam zapytać, kiedy będą panowie zasypywać wykop. — To pytanie przyszło jej do głowy poprzedniego dnia i wzbudziło pewien niepokój. Co by to było, gdyby wykop został zasypany, zanim głowa Elizabeth wróci do trumny?

— Przypuszczalnie jutro rano — odpowiedział George.

— Już? — prawie krzyknęła Kim.

— Właśnie kładą rury. Coś nie w porządku?

— Nie — zaprzeczyła szybko. — Tak tylko chciałam wiedzieć. Jak idzie praca?

— Bez problemów — odparł George.

Kim szybko zakończyła rozmowę i rozłączyła się. Potem natychmiast zadzwoniła do Edwarda. Czekwała na połączenie ze wzrastającym zdenerwowaniem.

Dodzwonić się do Edwarda nie było łatwo. W pierwszej chwili sekretarka odmówiła nawet podjęcia próby odszukania go. Powiedziała, żeby zostawić wiadomość, a Edward oddzwoni. Ale Kim się uparła i w końcu dopięła swego.

— Cieszę się, że dzwonisz — powiedział Edward, gdy tylko wzięła słuchawkę. — Mam nowe dobre wiadomości. Nie tylko wyizolowaliśmy alkaloidy, ale zdołaliśmy już ustalić, który oddziałuje na psychikę.

— Gratuluje — powiedziała Kim. — Ale jest pewien problem. Musimy odwieźć głowę Elizabeth z powrotem do Salem.

— Możemy to zrobić w weekend.

— To za późno. Przed chwilą rozmawiałam z kierownikiem robót. Powiedział, że rano będą zasypywać rów.

— O rany! — jęknął Edward. — Teraz sprawy posuwają się w zawrotnym tempie. Za nic w świecie nie chciałbym tracić czasu. Nie mogliby poczekać z tym rowem do początku przyszłego tygodnia?

— Nie pytałam — odparła Kim. — I nie chcę pytać. Musiałabym mieć jakiś powód, a nie jestem w stanie podać żadnego, który nie kojarzyłby się z trumną. Kierownik budowy kontaktuje się z moim ojcem. Nie mogę dopuścić, żeby ojciec powziął jakiegokolwiek przypuszczenie, że grób został naruszony.

— A niech to szlag — rzucił Edward.

Zapadła krępująca cisza.

— Obiecałeś, że oddasz tę głowę piorunem — przerwała ją w końcu Kim.

— Chodzi tylko o to, że to fatalny moment. — I po krótkiej przerwie dodał:

— A może ty byś ją odwiozła?

— Nie wiem, czy potrafię. Nie chcę nawet na nią patrzeć, a co dopiero dotykać.

— Wcale nie musisz jej dotykać. Trzeba tylko przesunąć trochę wieko trumny i włożyć pudełko do środka. Nawet nie musisz go otwierać.

— Przecież obiecałeś — nalegała Kim.

— Błagam! Jakoś ci to wynagrodzę. Teraz jestem tak piekielnie zajęty. Zaczęliśmy badania nad budową tego związku.

— No dobrze — powiedziała Kim.

Kiedy ktoś bliski prosił ją o coś, było jej trudno odmówić. Nie miała nic przeciwko temu, żeby jechać do Salem. Wiedziała, że powinna jak najczęściej tam wpadać i nadzorować prace na miejscu. Może zdoła wsunąć pudełko do trumny. — Skąd mam to wziąć?

— Ja ci to maksymalnie ułatwię. Przyślę ci to pudełko przez gońca. Dostaniesz je przed końcem pracy. Może być?

— Będę ci wdzięczna.

— Zadzwoń do mnie, jak wrócisz. Będę tu siedział co najmniej do północy, a pewnie dłużej.

Kim wróciła do pracy, ale czuła się zatroskana. Zdenerwowanie wywołane wiadomością o rychłym zasypaniu rowu nie minęło. Znając siebie, mogła być pewna, że nie przejdzie jej to, dopóki nie odstawi głowy z powrotem do trumny.

Uwijając się między łózkami, od pacjenta do pacjenta, była coraz bardziej zła na siebie, że w ogóle pozwoliła Edwardowi wziąć tę głowę. Im więcej myślała o tym, że ma ją teraz odnieść, tym mniej jej się to podobało. Kiedy rozmawiała z Edwardem przez telefon, pomysł pozostawienia jej w pudełku wydawał jej się całkiem rozsądny, ale teraz zdała sobie sprawę, że nie pozwoli jej na to poczucie przyzwoitości. Czuła, że powinna starać się pozostawić grób takim, jaki był, zanim naruszono jego spokój. A to znaczyło, że musi się pozbyć pudełka i wziąć głowę w ręce. Perspektywa ta bynajmniej się jej nie uśmiechała.

Na szczęście nawał pracy stopniowo wyparł z jej świadomości myśli o Elizabeth. Trzeba się było zająć pacjentami i czas pędził jak szalony. Gdy biedziła się nad wyjątkowo opornym włknięciem, jej ramienia dotknęła sekretarka oddziałowa.

— Przyszła dla ciebie przesyłka. — Wskazała jej stojącego przy centrali gońca o nieco wystraszonej minie. — Musisz pokwitować odbiór.

Kim spojrzała na gońca. Otoczenie OIOM-u najwidoczniej go onieśmielało. Przycisnął do piersi druk pokwitowania. Tuż pod jego łokciem stało obwiązane sznurkiem tekturowe pudełko po papierze komputerowym. Kim w jednej chwili domyśliła się, co zawiera, i serce jej zatrzepotało.

— Na portierni kazano mu zostawić to w magazynie pocztowym — powiedziała sekretarka. — Ale on się uparł, że ma ci to doręczyć do rąk własnych.

— Dobrze, zajmę się tym — rzuciła Kim nerwowo.

Ruszyła do biurka. Sekretarka deptała jej po piętach. Ale ku jej przerażeniu fatalna sytuacja jeszcze się pogorszyła. Zza biurka, przy którym wypełniał historię choroby, wyrósł znieczulacz Kinnard. Nie widzieli się od czasu kłótni w majątku.

— Cóż my tu mamy? — zagadnął.

Kim wzięła pokwitowanie i pośpiesznie podpisała.

— To przesyłka kurierska — wyjaśniła sekretarka.

— To widzę — stwierdził Kinnard. — Widzę także, że pochodzi z pracowni doktora Edwarda Armstronga. Pytanie tylko, co może być w środku.

— Na pokwitowaniu nie było napisane — odparła sekretarka.

— Daj mi to — powiedziała ostrym tonem Kim.

Sięgnęła po pudełko, ale Kinnard się cofnął. Uśmiechał się złośliwie.

— To od jednego z licznych wielbicieli panny Stewart — kontynuował zwracając się do sekretarki. — Prawdopodobnie czekoladki. Sprytny pomysł z tym pudełkiem po papierze komputerowym.

— Pierwszy raz się zdarzyło, żeby ktoś z naszego personelu dostał przesyłkę kurierską — zauważyła sekretarka.

— Daj mi to pudełko — zażądała znowu Kim.

Twarz okryła jej się ognistą czerwienią na myśl, co by to było, gdyby teraz upadło i wytoczyła się z niego głowa Elizabeth.

Kinnard potrząsnął pudełkiem nasłuchując pilnie. Nawet przez odległość biurka Kim usłyszała, jak głowa głucho zabębniła o ścianki.

— To nie mogą być czekoladki, chyba że czekoladowa piłka — orzekł Kinnard, przybierając komicznie zakłopotaną minę. — Jak ci się wydaje? — Jeszcze raz potrząsnął pudełkiem tuż przy głowie sekretarki.

Udręczona Kim obeszła biurko i usiłowała pochwycić paczkę. Ale Kinnard uniósł ją nad głowę, tak że nie mogła dosięgnąć.

Z drugiej strony weszła za biurko Marsha Kingsley. Jak większość personelu widziała całą scenę, ale w przeciwieństwie do pozostałych przyszła koleżance z pomocą. Stała za Kinnardem i pociągnęła jego rękę w dół. Nie stawiał oporu. Marsha wzięła pudełko i podała je Kim.

Widząc jej zdenerwowanie, wyprowadziła ją do pokoju na zapleczu. Za plecami słyszały, jak Kinnard i sekretarka śmieją się.

— Niektórzy mają naprawdę niezdrowe poczucie humoru — skomentowała Marsha. — Że też mu nikt nie da kopa w tę irlandzką dupę.

— Dzięki za pomoc — powiedziała Kim.

Teraz, gdy miała już w rękach pudełko, poczuła się znacznie lepiej. Ale ręce wciąż jej drżały.

— Nie rozumiem, co go opętało — ciągnęła Marsha. — Co za chamstwo. Niczym sobie nie zasłużyłaś na takie traktowanie.

— Czuje się zraniony, bo wie, że spotykam się z Edwardem.

— Jeszcze go bronisz? — napadła na nią Marsha. — Kinnard jako nieszczęśliwy kochanek! Akurat! Mnie to nie bierze.

— Z kim on się teraz spotyka?

— Z tą nową blondyną z izby przyjęć.

— Cudownie! — rzuciła Kim ironicznie.

— Jego strata. Mówią, że ona jest prototypem bohaterek wszystkich dowcipów o głupocie kobiet.

— Ale ma też ciało, które trudno zignorować — stwierdziła posępnie Kim.

— A co to ciebie może obchodzić? — odparła Marsha.

Kim westchnęła.

— Masz rację. Jestem przygnębiona, bo nie cierpię kłótni i pretensji.

— Kinnard zapewnił ci ich chyba dość. Spójrz na Edwarda, jak zupełnie inaczej się do ciebie odnosi. On by cię nigdy nie zlekceważył.

— Masz rację — powtórzyła Kim.

Po pracy Kim zaniósła pudełko po papierze komputerowym do samochodu i włożyła do bagażnika. Chwilę dumiała, co ma teraz robić. Zanim wyplynał problem głowy Elizabeth, planowała odwiedzić siedzibę władz stanowych. Zastanawiała się, czy nie przełożyć tego na następny dzień. W końcu jednak uznała, że nie ma powodu, zwłaszcza że to, co miała do zrobienia w domu, i tak musi zrobić po wyjściu ekipy remontowej.

Zostawiła samochód w szpitalnym garażu i skierowała się w stronę złoconej kopuły Massachusetts State House. Po całym dniu spędzonym w zamkniętym pomieszczeniu spacer sprawił jej radość. Dzień był przyjemnie ciepły. W powietrzu czuło się lekką morską bryzę i zapach soli. Idąc wzdłuż bulwaru słuchała krzykliwych skarg mew.

W informacji dowiedziała się, jak trafić do archiwum. Doczekawszy się swojej kolejki, stanęła przed mocno zbudowanym urzędnikiem nazwiskiem William Mac Donald. Pokazała mu kopię petycji Ronalda i odmowy sędziego Hathorne'a.

— Bardzo ciekawe — stwierdził William. — Przepadam za takimi starociami. Gdzie pani to znalazła?

— W Sądzie Okręgowym Essex.

— A więc w czym mogę pomóc?

— W tym piśmie sędzia Hathorne proponuje, żeby Ronald Stewart zwrócił się do gubernatora, ponieważ dowód, który chciał odzyskać, został przekazany okręgowi Suffolk. Chciałabym się dowiedzieć, co odpowiedział mu gubernator. A tak naprawdę chodzi mi o ten dowód. Co to było. Nie wiadomo, dlaczego nie ma o tym żadnej wzmianki ani w petycji, ani w odpowiedzi sędziego.

— To będzie gubernator Phips — rzekł William. Uśmiechnął się — Mam lekkiego fioła na punkcie historii. Zobaczmy, czy mamy w komputerze Ronalda Stewarta.

William zaczął stukać w klawiaturę. Nie widząc ekranu, Kim śledziła wyraz jego twarzy. Ku jej zmartwieniu po każdej próbie kręcił głową.

— Nie ma Ronalda Stewarta — oświadczył na koniec. Ponownie przyjrzał się odmowie sędziego i poskrobał się w głowę. — Nie wiem, co jeszcze można zrobić. Kłopot polega na tym, że nie wszystkie siedemnastowieczne petycje się zachowały, a nawet te, które się zachowały, nie są należycie skatalogowane. Takich petycji są całe stosy. To były czasy walk i niezgody i ludzie ciągaliby się nawzajem po sądach tak samo jak dziś.

— A może data coś wniesie? Trzeci sierpnia tysiąc sześćset dziewięćdziesiąty drugi. Może pan to jakoś wykorzystać?

— Obawiam się, że nie. Przykro mi.

Kim podziękowała i wyszła. Była trochę zniechęcona. Znalazłszy tak łatwo petycję Ronalda w Salem, miała nadzieję, że w Bostonie odnajdzie dokument, który wyjaśni charakter dowodu winy Elizabeth.

Czemu Ronald Stewart nie mógł nazwać tego przekłętą dowodu po imieniu, dumiała Kim wędrując z powrotem. Raptem przyszło jej do głowy, że to mogło być z jego strony celowe. Może właśnie to przemilczenie samo w sobie stanowiło wskazówkę.

Kim westchnęła. Im dłużej myślała o tajemniczym dowodzie, tym bardziej ją intrygował. Zaczęła sobie nawet wyobrażać, że to w jakiś sposób potwierdza jej intuicyjne przeświadczenie, że Elizabeth próbuje się z nią skomunikować.

Dotarła do Cambridge Street i skręciła w stronę garażu szpitalnego. Niepowodzenie w siedzibie władz stanowych oznaczało, że jest skazana na dalsze przeszukiwanie nieprawdopodobnej sterty papierów w zamku, zadanie co najmniej deprymujące. Było jednak oczywiste, że jeśli ma się dowiedzieć o Elizabeth czegoś więcej, to stamtąd.

Wsiadła do samochodu i ruszyła na północ, do Salem. Ale to nie była miła przejażdżka. Przez wizytę w budynku władz stanowych trafiła teraz w punkt kulminacyjny godziny szczytu.

Tkwiąc w sznurze samochodów stłoczonych zderzak przy zderzaku myślała o blondynce, z którą spotyka się Kinnard. Wiedziała, że nie powinno jej to nic obchodzić, a jednak obchodziło. Tym bardziej była zadowolona, że zaproponowała

Edwardowi wspólne zamieszkanie. Nie tylko dlatego, że naprawdę się do niego przywiązała. Cieszyła się myślą o tym, jak to odbiorą Kinnard i jej ojciec.

Potem jednak przypomniała sobie o głowie w bagażniku. Im więcej myślała o zawodzie, jaki sprawił jej Edward tego popołudnia, tym bardziej była zaskoczona. Obiecał jej przecież, że weźmie całą operację na siebie, i doskonale wiedział, jak ona się brzydzi dotknąć głowy. To zachowanie stało w sprzeczności z jego dotychczasową opiekuńczością i, poza wszystkim innym, po prostu jej się nie spodobało.

— O co chodzi? — spytał gniewnie Edward. — Mam cię bez przerwy prowadzić za rączkę? — Mówił do Jaya Dawara, błyskotliwego doktoranta z Bangalory w Indiach. Jaya był na Harvardzie dopiero od pierwszego lipca i starał się zdobyć jakieś wskazówki do swojego doktoratu.

— Myślałem, że mógłby mi pan polecić jakieś nowe lektury — tłumaczył się Jaya.

— Mogę ci polecić całą bibliotekę — odparł Edward. — Jest trzydzieści metrów od ciebie. — Machnął ręką w kierunku Biblioteki Medycznej. — W życiu każdego człowieka nadchodzi moment, gdy trzeba przeciąć pępowinę. Zrób coś wreszcie samodzielnie.

Jaya pochylił głowę i wyszedł w milczeniu.

Edward znowu skierował uwagę na swoje maleńkie kryształki.

— Może ja wzięłabym na siebie większość pracy nad tym alkaloidem — zaproponowała z wahaniem w głosie Eleanor. — A ty byś mi zaglądał przez ramię i był moją gwiazdą przewodnią.

— I stracił całą frajdę? — rzucił Edward.

Obserwował pod mikroskopem, jak kryształki wytrącają się na powierzchni przesyconego roztworu na szkiełku podstawowym.

— Chodzi mi tylko o twoją pracę. Mnóstwo ludzi potrzebuje twojego nadzoru i pomocy. Słyszałam też, że studenci byli niezadowoleni, że nie miałeś wykładu.

— Ralph zna materiał. Nabierze doświadczenia w prowadzeniu wykładów.

— Tylko że Ralph nie lubi uczyć.

— Doceniam twoje dobre chęci — rzekł Edward — ale nie mogę pozwolić, żeby taka okazja przeszła mi koło nosa. Ten alkaloid to naprawdę coś; czuję to przez skórę. Jaką mam szansę, że drugi raz wpadnie mi w ręce cząsteczka warta miliard dolarów?

— Na razie nie mamy pojęcia, czy będzie warta złamany grosz. Na tym etapie to wyłącznie hipoteza.

— Im usilniej będziemy pracować, tym szybciej się dowiemy. Studenci na razie będą sobie musieli radzić bez maminej spódnicy. Kto wie, może im to dobrze

zrobi?

W miarę jak Kim zbliżała się do majątku, jej zdenerwowanie rosło. Nie mogła przestać myśleć o głowie Elizabeth w bagażniku. Im dłużej miała ją w swoim bezpośrednim otoczeniu, tym silniej ogarniały ją nieokreślone, ale bardzo niepokojące złe przecucia co do rozwoju wydarzeń. Znalezienie grobu Elizabeth tuż na początku remontu wywarło na niej wrażenie, jakby szaleństwo polowania na czarownice z 1692 roku rzuciło złowrogi cień na teraźniejszość.

Brama była otwarta na oścież i Kim zaniepokoiła się, że robotnicy jeszcze są. Gdy wyjechała spośród drzew, jej obawy się potwierdziły. Przed domem stały dwa samochody. To ją zmartwiło. Miała nadzieję, że do tej pory wszyscy już się zabiorą.

Zaparkowała tuż obok i wysunęła się zza kierownicy. Niemal w tej samej chwili w drzwiach pojawili się George Harris i Mark Stevens. W przeciwieństwie do niej wydawali się niezwykle zadowoleni, że ją widzą.

— Co za miła niespodzianka — powitał ją Mark. — Mieliśmy nadzieję złapać panią telefonicznie, ale o wiele lepiej będzie porozmawiać osobiście. Mamy mnóstwo pytań.

Jakieś pół godziny oprowadzali Kim po domu pokazując, co zostało zrobione. Nadspodziewanie szybki postęp prac wybitnie poprawił jej nastrój. Ucieszyła się, że Mark ma już próbki płytek do łazienek i kuchni. Zainteresowanie architekturą wewnątrz i wycucie koloru wydały owoce: podjęcie decyzji nie nastręczyło jej problemów. Zaimponowała Markowi i George'owi, a nawet sobie samej. Umiejętność podejmowania takich decyzji była dowodem, że mimo wszystko w miarę upływu lat zdołała wykształcić w sobie jaką taką pewność siebie. Kiedy zaczynała college, nie potrafiła się nawet zdecydować na kolor narzuty na łóżko.

Skończywszy naradę nad wnętrzem, wyszli na zewnątrz i przeszli się wokół budynku. Tam Kim powiedziała, że nowe okna w przybudówce chce mieć takie same jak w głównej części: małe z romboidalnymi szybkami.

— Trzeba je będzie zrobić na zamówienie — uprzedził George. — Będą znacznie droższe niż gotowe.

— Chcę takie — odparła Kim bez wahania.

Chciała także, żeby zreperowali stary dach, zamiast, jak proponowali, kłaść nowy. Mark zgodził się, że tak będzie dużo ładniej. Życzyła sobie nawet wymiany asfaltu w wozowni na łupek.

Okrażając budynek doszli wreszcie do wykopu. Kim zajrzała na dno, gdzie teraz biegły rury kanalizacyjne, wodociągowe, przewody elektryczne, kabel telefoniczny i telewizyjny. Z ulgą zauważyła, że trumna wciąż jeszcze jest widoczna.

— Co z tym rowem?

— Jutro będzie zakopany — odparł George.

Dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl o okropnej sytuacji, w jakiej by się znalazła, gdyby nie zadzwoniła dzisiaj do George'a.

— Czy uda się skończyć na pierwszego września? — spytała zmuszając się, by myśleć o czymś innym.

Mark pozwolił odpowiedzieć George'owi.

— Zakładając, że nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, powinniśmy dać radę. Te okna zamówię jutro. Nawet jeśli nie dostaniemy ich na czas, można na razie wstawić jakiegokolwiek inne.

W końcu obaj wsiedli do swoich samochodów i odjechali, a Kim poszła do kuchni po młotek z pazurem do wyciągania gwoździ. Z młotkiem w dłoni otworzyła bagażnik i wyjęła kartonowe pudełko.

Ruszyła wzdłuż wykopu, szukając miejsca, gdzie mogłaby zejść. Była potwornie zdenerwowana. Czuła się jak złodziej. Nieustannie nasłuchiwała odgłosów nadjeżdżających samochodów.

Gdy zeszała na dno i brnęła z powrotem do miejsca, gdzie znajdowała się trumna, jej udrękę zwiększyła jeszcze klaustrofobia. Z jej perspektywy ściany wykopu zdawały się piętrzyć wysoko i nachylać nad jej głową, jakby miały się za chwilę zamknąć, wzbudzając w niej uczucie paniki.

Drżącą ręką zaczęła manipulację przy trumnie. Wcisnęła pazur w szczelinę i uniosła wieko. Potem odwróciła się i spojrzała na pudełko.

W obliczu tej najmniej przyjemnej części zadania Kim jeszcze raz zaczęła deliberować, co ma teraz zrobić. Ale nie zastanawiała się długo: pośpiesznie odwiązała sznurek. Wprawdzie myśl o dotknięciu głowy była jej wstrętna, ale czuła, że musi zrobić wszystko co w jej mocy, żeby pozostawić grób w stanie jak najbardziej zbliżonym do pierwotnego.

Otworzyła pudełko i z ociąganiem zajrzała do środka. Głowa spoczywała twarzą do góry na pośłaniu z suchych, matowych włosów. Częściowo odsłonięte, wyschnięte, zapadnięte gałki oczne Elizabeth patrzyły wprost na nią. Przez krótką chwilę Kim na próżno usiłowała skojarzyć to makabryczne oblicze z uroczym portretem, który kazała odrestaurować i oprawić. Te obrazy stanowiły tak jaskrawy kontrast, że wprost trudno było uwierzyć, iż przedstawiają tę samą osobę.

Kim wstrzymała oddech i wyjęła głowę. Dotykając jej zadrżała, jakby dotknęła śmierci. Znów przyłapała się na rozmyślaniach o tym, co naprawdę zdarzyło się trzysta lat temu. Czym Elizabeth mogła sobie zasłużyć na tak okrutny los?

Ostrożnie, żeby nie zahaczyć o żadną rurę ani kabel, Kim odwróciła się i włożyła rękę do trumny. Delikatnie złożyła głowę na dnie. Jej dłoń natrafiła na sukno i jakieś inne, twarde przedmioty, ale nie próbowała zajrzeć, żeby się przekonać, co to jest. Pośpiesznie zamknęła wieko i przybiła młotkiem.

Porwała puste pudełko i sznurek i czym prędzej pomaszerowała z powrotem. Zaczęła się odpręzać dopiero wtedy, gdy śmieci spoczęły w bagażniku jej samo-

chodu. Odetchnęła głęboko. Nareszcie.

Jeszcze raz podeszła do wykopu i przyjrzała się trumnie, aby sprawdzić, czy nie zostawiła po sobie żadnych zdradzieckich śladów. Zobaczyła tylko odciski swoich stóp, ale uznała, że to nie problem.

Wsparła ręce na biodrach i przeniosła wzrok na cichy, spokojny dom. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w mrocznych czasach polowań na czarownice, gdy nieszczęsna Elizabeth nieświadomie żywiła się trującym, deformującym psychikę zbożem. Wiele dowiedziała się już z książek. „Opętanymi” były przeważnie młode kobiety, przypuszczalnie zatrute tą samą co Elizabeth toksyną, i to one pozywały „czarownice”.

Kim znów zwróciła oczy na trumnę. Miała zamęt w głowie.

Opętanych dziewcząt nie uznano za czarownice, tak jak Elizabeth. Jedynym wyjątkiem była Mary Warren, zarazem opętana i oskarżona o czary, lecz ona nie tylko nie została stracona, ale uwolniono ją z więzienia. Dlaczego z Elizabeth było inaczej? Dlaczego nie uznano jej po prostu za opętaną? Czy może dlatego że chociaż opętana, nie chciała nikogo oskarżyć? Czy rzeczywiście, jak sugerował ojciec, uprawiała magię?

Kim westchnęła i potrząsnęła głową. Nie znajdowała odpowiedzi. Wszystkie pytania zdawały się sprowadzać do tego jednego: czym był ów tajemniczy rozstrzygający dowód. Wzrok Kim powędrował do samotnego zamku: oczami duszy zobaczyła nieprzeliczone szafki, kufry i pudła.

Spojrzała na zegarek. Miała przed sobą jeszcze kilka godzin światła dziennego. Wiedzioną impulsem, wskoczyła do samochodu i pojechała do zamku. Tajemnica Elizabeth tak wypełniała jej myśli, że postanowiła poświęcić jeszcze trochę czasu na to zniechęcające zajęcie, jakim było przeszukiwanie papierów.

Pogwizdując, by dodać sobie animuszu, pchnęła drzwi do zamku. U stóp schodów zawahała się. Poddasze było z pewnością przyjemniejsze niż piwnica, ale jej ostatnie poszukiwania tamże okazały się zupełnie bezowocne. Przez pięć godzin wyczerpanej pracy nie znalazła nic z siedemnastego wieku.

Zmieniła kierunek. Weszła do jadalni i otworzyła ciężkie dębowe drzwi piwnicy. Pstryknęła włącznik światła i zeszła po granitowych stopniach. Idąc głównym korytarzem, zaglądała do kolejnych boksów. Ponieważ wiedziała już, że w papierach nie ma żadnego porządku, uznała, że konieczne będzie ułożenie sobie jakiegoś sensownego planu działania. Przyszło jej do głowy, żeby zacząć od najodleglejszego boksów i porządkować materiał według tematu i okresu, z którego pochodził.

Minąwszy jeden z boksów, Kim przystanąła i zawróciła, żeby zajrzeć do niego jeszcze raz. Baczynym wzrokiem zlustrowała meble. Stały tam, jak wszędzie, szafki, komody, kufry i pudła, ale było też coś innego. Na jednej z komódek leżała drewniana szkatułka, której widok wydał się Kim znajomy. Wyglądała identycznie jak szkatułka na Biblię w Domu Czarownicy, o której przewodniczka powie-

działa, że była nieodłączną częścią wyposażenia purytańskiego domu.

Kim podeszła do komody i przejechała palcami po wieku szkatułki, rysując podwójną linię w warstwie kurzu. Drewno nie było wypolerowane, ale mimo to zupełnie gładkie. Nie mogło być wątpliwości, że szkatułka jest stara. Kim ujęła ją w dłonie i uniosła wieko. Było przymocowane na zawiasach.

Wewnątrz, jakżeby inaczej, spoczywała zniszczona Biblia oprawna w grubą skórę. Kim wyjęła ją i zobaczyła, że pod spodem leżą jakieś koperty i kartki. Wyniosła Biblię na korytarz, do lepszego światła. Otworzyła na przedtule i spojrzała na datę. Wydrukowano ją w Londynie w roku 1635. Przekartkowała ją, w nadziei że znajdzie jeszcze jakieś papiery ukryte w środku, ale niczego takiego nie było.

Już miała ją odłożyć z powrotem do szkatułki, gdy nagle otworzyła jej się na okładce z tyłu. Na ostatniej stronie widniał napis: *Książka Ronalda Stewarta. 1663*. Przypominał piękne pochyłe pismo, które, jak już ustaliła, było pismem Ronalda. Domyśliła się, że podpisał ją jako mały chłopiec.

Odwróciła ostatnią kartkę i znalazła szereg czystych stron z nagłówkiem „Memorandum”. Na pierwszej tak zatytułowanej znowu zobaczyła pismo Ronalda. Zanotował tu wszystkie daty ślubów, narodzin i śmierci w rodzinie. Wodząc po stronie palcem wskazującym, Kim czytała każdą po kolei, aż doszła do dnia ślubu Ronalda z Rebeccą. Był to pierwszy października 1692, sobota.

Kim osłupiała. Znaczyło to, że Ronald zaledwie w dziesięć tygodni po śmierci Elizabeth poślubił jej siostrę! To wydało się jej o wiele za wcześnie. Znowu zastanowiło ją postępowanie Ronalda. Nie mogła się pozbyć wątpliwości, czy aby nie miał nic wspólnego z egzekucją. Taki pośpieszny ślub! Trudno jej było wyobrazić sobie, że miał jakąś inną przyczynę niż romans Ronalda z Rebeccą.

Zachęcona tym odkryciem, Kim wróciła do szkatułki i wyjęła koperty i luźne kartki. Gorliwie otwierała koperty, miała bowiem nadzieję, że znajdzie jakąś prywatną korespondencję, ale się rozczarowała. Wszystko dotyczyło interesów i pochodziło z lat 1810–1837.

Zabrała się za inne papiery. Przeglądała jedno po drugim; choć starsze, nie okazały się bardziej interesujące. Wreszcie jednak doszła do dokumentu złożonego na trzy części. Rozłożyła go. Nosił ślady woskowej pieczęci. Okazało się, że jest to akt własności dużej posiadłości ziemskiej zwanej Northfields.

Na drugiej jego stronie Kim znalazła mapę. Nietrudno było poznać, co przedstawia. Zaznaczono na niej tereny obecnie należące do majątku Stewartów, jak również te, które należały do nich kiedyś. Obecnie znajdował się na nich Country Club Kernwood i cmentarz Greenlawn. Obejmowała także Beverly, po drugiej stronie rzeki Danvers, która tu nosiła nazwę Wooleston. Od północnego zachodu — dzisiejsze miejscowości Peabody i Danvers, tu zwane wsią Salem.

Na kolejnej stronie Kim znalazła to, co najciekawsze. W miejscu podpisu kupującego widniało nazwisko Elizabeth Flanagan Stewart. Dokument nosił datę 13

lutego 1692.

Kim zadumała się nad faktem, że to nie Ronald, lecz Elizabeth kupiła grunt. Wydawało jej się to dziwne, mimo że pamiętała umowę przedmałżeńską, którą widziała w Sądzie Okręgowym Essex, a która dawała Elizabeth prawo zawierania transakcji we własnym imieniu. Ale dlaczego Elizabeth kupiła ziemię, i to tyle, ogromną posiadłość, która musiała kosztować fortunę?

Z tyłu do aktu notarialnego podczepiona była mniejsza kartka zapisana innym pismem. Kim rozpoznała podpis sędziego Jonathana Corwina, który zamieszkiwał niegdyś Dom Czarownicy.

Dokument ten był słabo czytelny. Kim podniosła go do światła i stwierdziła, że jest to odmowna decyzja sędziego Corwina w sprawie petycji niejakiego Thomasa Putnama o unieważnienie transakcji kupna Northfields na podstawie nielegalności podpisu Elizabeth.

W uzasadnieniu sędzia Corwin napisał: „O legalności podpisu na wyżej wymienionym kontrakcie stanowi umowa zawarta między Ronaldem Stewartem a Elizabeth Flanagan datowana 11 lutego roku 1681”.

— O mój Boże — szepnęła Kim.

Poczuła się, jakby przez dziurkę od klucza podejrziała siedemnasty wiek. Znała z lektur nazwisko Thomasa Putnama. Była to jedna z głównych postaci konfliktów, które szarpały wioską Salem, zanim ogarnęła ją gorączka polowania na czarownice. Wielu historyków było zdania, że to właśnie ich poczynania doprowadziły do całej afery. Żona i córka Thomasa Putnama jako opętane oskarżyły o czary wiele osób. Najwidoczniej pisząc swoją petycję Putnam nie był świadom istnienia umowy przedmałżeńskiej między Ronaldem a Elizabeth.

Kim powoli złożyła akt kupna i wyrok sędziego. Dowiedziała się czegoś, co mogło częściowo wyjaśniać historię Elizabeth. Thomas Putnam był, jak widać, bardzo niezadowolony, że Elizabeth kupiła tę ziemię, i zważywszy jego rolę w aferze z czarami, jego wrogość mogła tu odegrać dużą rolę. Niewykluczone, że to właśnie ściągnęło na Elizabeth jej tragiczny los.

Przez kilka chwil Kim rozważała możliwość, że dowód użyty przeciwko Elizabeth w jej procesie mógł mieć coś wspólnego z Thomasem Putnamem i kupnem Northfields. W końcu w świetle społecznie akceptowanej roli kobiety w czasach purytańskich taka transakcja dokonana właśnie przez kobietę musiała być czymś szokującym. Może dla otoczenia była jakimś babochłopem, a zatem czymś przeciwnym naturze. Ale mimo usilnych starań Kim nie mogła wymyślić nic więcej.

Położyła oba pisma na Biblii i przejrzała resztę papierów ze szkatułki. Ku swej radości znalazła jeszcze jeden dokument z siedemnastego wieku, ale kiedy go przeczytała, jej podniecenie przygasło. Był to kontrakt zawarty między Ronaldem Stewartem a Olafem Sagerholmem z Göteborga w Szwecji na budowę nowej szybkiej fregaty. Fregata miała mieć trzydzieści dziewięć metrów długości, dziesięć i pół metra szerokości i sześć metrów zanurzenia przy pełnym obciążeniu.

Kontrakt nosił datę 12 grudnia 1691.

Kim włożyła Biblię i dwa pierwsze dokumenty do szkatułki i zaniósła na konsolę u podstawy schodów prowadzących do jadalni. Postanowiła gromadzić w niej wszystkie, jakie tylko znajdzie, papiery związane z Elizabeth i Ronaldem. Następnie poszła do boksu, gdzie był list Jamesa Flanagana, i wzięła go, żeby dołożyć do tamtych.

Dokonawszy tyle, wróciła do pomieszczenia, gdzie odkryła szkatułkę, i zaczęła przeszukiwać komodę, na której stała. Po kilku godzinach pilnej pracy wyprostowała się i przeciągnęła. Nie znalazła niczego interesującego. Rzuciła okiem na zegarek i stwierdziła, że jest już prawie ósma, czas wracać do Bostonu.

Wspinając się powoli po schodach, uprzytomniła sobie, jaka jest zmęczona. Najpierw nabiegała się w pracy, a przeglądanie dokumentów, nawet jeśli nie wyczerpujące fizycznie, okazało się zajęciem nużącym.

Droga powrotna była o niebo łatwiejsza niż jazda do Salem. Aż do samego Bostonu ruch był niewielki. Ze Storrow Drive Kim pod wpływem impulsu zjechała na Fenway. Nagle przyszło jej do głowy, żeby zamiast dzwonić do Edwarda, wpaść do niego do pracowni. Ponieważ cała operacja złożenia głowy Elizabeth na swoim miejscu okazała się nieskomplikowana, czuła się trochę winna, że tak się tym denerwowała.

Przeszła przez portiernię Szkoły Medycznej okazując szpitalny identyfikator i weszła po schodach. Znała drogę, jako że była już kiedyś w pracowni razem z Edwardem, po którejś kolacji. W sekretariacie było ciemno, zapukała więc w matową szybę w drzwiach, które, jak wiedziała, prowadziły prosto do pracowni.

Nie było odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz, nieco głośniej Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte na zasuwę. Za trzecim razem zobaczyła przez szybę, że ktoś nadchodzi.

Drzwi otworzyły się i Kim stanęła oko w oko z urodziwą smukłą blondynką, której figura nawet pod obszernym fartuchem laboratoryjnym rzucała się w oczy.

— Tak? — rzuciła Eleanor niedbale.

Zlustrowała Kim od stóp do głów.

— Szukam doktora Edwarda Armstronga.

— W tej chwili nie przyjmuje interesantów. Sekretariat będzie czynny jutro rano. — Już chciała zamknąć drzwi.

— Sądzę, że ze mną zechce się zobaczyć — powiedziała Kim z wahaniem w głosie.

W rzeczywistości nie była tego tak zupełnie pewna i zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej było jednak zadzwonić.

— Doprawdy? O tej porze? — spytała Eleanor z wyższością. — Jak się pani nazywa? Jest pani studentką?

— Nie, nie jestem studentką. — Pytanie było dość bezsensowne, zważywszy że Kim ciągle miała na sobie mundurek pielęgniarski. — Nazywam się Kimberly

Stewart.

Eleanor nie odpowiedziała i po prostu zamknęła jej drzwi przed nosem. Kim czekała. Przystąpiła z nogi na nogę żalując, że w ogóle tu przyszła. Nagle drzwi otworzyły się znowu.

— Kim! — zawołał Edward. — Skąd się tu wzięłaś?

Kim wyjaśniła, że wolała przyjść niż zadzwonić. Przeprosiła, że być może zjawiała się nie w porę.

— Skądże znowu — zaprzeczył Edward. — Rzeczywiście jestem zajęty, ale to nic nie szkodzi. Właściwie jestem bardziej niż zajęty. Ale wejdź.

Cofnął się, żeby przepuścić ją przez próg. Kim weszła i poszła za Edwardem w stronę jego stanowiska pracy.

— Kto to jest ta kobieta, która otworzyła mi drzwi?

— Eleanor — odparł Edward przez ramię.

— Nie można powiedzieć, żeby była przesadnie uprzejma — zauważyła Kim, niepewna, czy w ogóle powinna o tym wspominać.

— Eleanor? — zdziwił się Edward. — Na pewno ci się zdawało. Zawsze bardzo łatwo nawiązuje kontakty. Jedyne mruki w pracowni to ja. Ale trzeba przyznać, że oboje jesteśmy trochę wykończeni. Tempo jest szalone. Pracujemy non stop od soboty rano. Właściwie Eleanor pracuje tak już od piątku wieczorem. Prawie nie śpimy.

Stanęli przy biurku Edwarda. Edward wziął z krzesła stos periodyków, cisnął je w kąt i zaprosił Kim, by usiadła. Sam usiadł na stołku.

Kim przyglądała się jego twarzy. Zdradzała oznaki nadmiernego pobudzenia, jakby wypił tuzin kaw. Żuł gumę; szczęka chodziła mu nerwowo tam i z powrotem. Pod chłodnymi niebieskimi oczami zarysowały się ciemne kręgi. Policzki i brodę pokrywał dwudniowy zarost.

— Skąd taka gorączka? — spytała.

— To ten nowy alkaloid. Już to i owo o nim wiemy, zapowiada się niesamowicie.

— Gratuluję. Ale dlaczego taki pośpiech? Macie coś zrobić na określony termin?

— Z podniecenia. Ten alkaloid może się okazać fantastycznym lekiem. Kомуś, kto nigdy nie zajmował się pracą naukową, trudno zrozumieć, co się dzieje z człowiekiem, kiedy odkryje coś w tym rodzaju. Człowiek doznaje prawdziwej euforii, a nasza powiększa się z każdą godziną. Jak na razie stwierdzamy w nim same zalety. To wręcz nieprawdopodobne.

— Możesz mi powiedzieć, co takiego stwierdziliście? Czy to sekret?

Edward pochylił się i zniżył głos. Kim rozejrzała się po pracowni, ale nie zobaczyła nikogo. Nawet Eleanor była niewidoczna.

— Wpadliśmy na trop związku, który wchłania się po przyjęciu doustnym, bariera krew-mózg nie stanowi dla niego żadnej przeszkody, działa na psychikę,

a to działanie jest tak silne, że ujawnia się już w dawkach rzędu mikrogramów.

— Myślisz, że to on był przyczyną opętania w tej historii z czarami? — spytała Kim.

Jej myśli ciągle zaprzętała Elizabeth.

— Bez wątplenia. To jest właśnie diabeł z Salem.

— Ale przecież ludzie, którzy jedli zanieczyszczony chleb, padli ofiarą zatrucia. Mieli koszmarnie napady, byli uważani za opętanych. Co może być ekscytującego w takiej substancji?

— To jest związek halucynogenny. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale według nas ma także inne właściwości. Mamy podstawy sądzić, że działa uspokajająco, energizująco, a nawet poprawia pamięć.

— Jak mogliście do tego dojść w tak krótkim czasie?

Edward zaśmiał się z zażenowaniem.

— Tak naprawdę to niczego jeszcze nie wiemy na pewno — przyznał. — Wielu badaczy mogłoby uznać, że nasze metody są nienaukowe. Na razie próbujemy uzyskać ogólne pojęcie o działaniu tego alkaloidu. Nie są to w żadnym razie doświadczenia wymagane w reżimie naukowym. Ale i tak wyniki są niezwykle obiecujące, po prostu rewolucyjne. Stwierdziliśmy na przykład, że u szczurów znosi stres skuteczniej niż imipramina, której działanie stanowi punkt odniesienia dla aktywności przeciwdepresyjnej.

— A więc sądzisz, że to może być środek przeciwdepresyjny o działaniu halucynogennym.

— Między innymi.

— A działania uboczne? — zagadnęła Kim.

Ciągle nie rozumiała, dlaczego Edward tak się tym ekscytuje. Edward roześmiał się.

— Halucynacjami u szczurów zaledwie się nie przejmowaliśmy. Ale poważnie, poza halucynacjami nie stwierdziliśmy niczego. Nafaszerowaliśmy kilka myszy stosunkowo dużymi dawkami i dalej były wesołe jak szczygiełki. Jeszcze większe dawki wpakowaliśmy w hodowlę komórek nerwowych i znów bez żadnych skutków ubocznych. Ani cienia toksyczności. Aż trudno uwierzyć.

Kim słuchała Edwarda, ale była coraz bardziej zawiedziona, że nawet nie zapytał o jej wyprawę do Salem i co się stało z głową Elizabeth. Wreszcie sama poruszyła ten temat, gdy w potoku jego wymowy nastąpiła chwilowa przerwa.

— To dobrze — stwierdził po prostu, gdy powiedziała mu, że głowa wróciła na swoje miejsce. — Cieszę się, że z tym już spokój.

Kim miała zamiar opowiedzieć mu o swoich uczuciach i przemyśleniach związanych z wydarzeniami tego dnia, ale właśnie wtedy w pole widzenia wtargnęła Eleanor i natychmiast zmonopolizowała uwagę Edwarda, pokazując mu jakiś wydruk komputerowy. W żaden sposób nie okazała, że w ogóle zauważyła obecność Kim, a i Edward nie przedstawił ich sobie. Kim przyglądała się, jak dyskutują

z ożywieniem, Edward najwyraźniej bardzo zadowolony z wyników. W końcu dał Eleanor parę wskazówek, które zakończył klepieniem w ramię, i ta zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

— O czym to mówiliśmy? — spytał Edward zwracając się znowu do Kim.

— Kolejne dobre nowiny? — zagadnęła nawiązując do w druku, który przyniosła Eleanor.

— Wspaniale. Zaczęliśmy analizować budowę tego związku i Eleanor właśnie udało się potwierdzić nasze wstępne przypuszczenia, że jest to cząsteczka tetracykliczna z licznymi łańcuchami bocznymi.

— Skąd, u licha, możecie to wiedzieć?

Wbrew sobie Kim musiała przyznać, że to jej zaimponowało.

— Naprawdę chcesz się dowiedzieć?

— Jeśli nie będziesz się wypuszczać na zbyt szerokie wody...

— Pierwszy krok to oznaczenie ciężaru cząsteczkowego za pomocą standardowej chromatografii — zaczął Edward. — To było łatwe. Potem rozłożyliśmy cząsteczkę na fragmenty, używając specjalnych substancji, które rozbijają określonego typu wiązania. W następnej kolejności staraliśmy się zidentyfikować przynajmniej niektóre z tych fragmentów metodami chromatografii, elektroforezy i spektrometrii masowej.

— Już się zgubiłam — przyznała Kim. — Znam te terminy ze słyszenia, ale właściwie nie wiem, co oznaczają.

— To nie takie skomplikowane. — Edward wstał. — Zrozumieć zasady samych procesów jest nawet dość łatwo. Tylko czasem trudno zinterpretować wyniki. Chodź, pokażę ci sprzęt.

Wziął ją za rękę i postawił na równe nogi.

Pełen entuzjazmu, włożył ją, oporną, po swoim laboratorium, demonstrując spektrometr masowy, wysoko sprawne urządzenie do chromatografii cieczowej, aparaturę do elektroforezy włośniczkowej. Przez cały ten czas wykladał jej, w jaki sposób posługują się nimi przy rozdziale i identyfikacji poszczególnych fragmentów cząsteczek. Kim zrozumiała z tego wszystkiego naprawdę dobrze tylko tyle, że Edward wyraźnie przepada za dydaktyką.

Otworzywszy boczne drzwi zachęcił ją, żeby zajrzała. Na środku pokoju stał duży cylindryczny obiekt wysokości około metra dwadzieścia i szerokości około sześćdziesięciu centymetrów. Niczym węże z głowy Meduzy wyrastały z niego kable i druciki.

— To NMR, nasz aparat do pomiaru rezonansu magnetycznego — oznajmił z dumą Edward. — W takich badaniach jak nasze narzędzie o podstawowym znaczeniu. Nie wystarczy wiedzieć, ile dana cząsteczka ma atomów węgla, wodoru, tlenu i azotu. Trzeba poznać jej budowę trójwymiarową. Właśnie dzięki temu urządzeniu możemy ją określić.

— Imponujące — powiedziała Kim. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

— Pozwól, że ci pokażę jeszcze jeden aparat — podjął Edward całkowicie nieświadom jej stanu ducha.

Podprowadził ją do kolejnych drzwi. Otworzył je i wskazał coś w środku.

Kim zajrzała. Dla niej była to beznadziejna platanina części elektronicznych, przewodów i lamp elektronopromieniowych.

— Ciekawe — rzekła.

— Wiesz, co to jest?

— Chyba nie za bardzo.

Nie miała ochoty pokazać Edwardowi, jak mało się orientuje w jego pracy.

— To detektor promieniowania rentgenowskiego — objaśnił Edward z takim samym odcieniem dumy, z jakim prezentował NMR. — Dzięki niemu możemy uzupełnić wiedzę zdobytą za pomocą NMR. W tym przypadku też się nim posłużymy, ponieważ nasz alkaloid bardzo łatwo krystalizuje w postaci soli.

— No cóż, widać, że rzeczywiście jesteś stworzony do takiej pracy.

— To ciężka praca, ale także nieprawdopodobnie ciekawa i satysfakcjonująca. W tej chwili wykorzystujemy cały nasz arsenał techniczny i bez przerwy napływają dane. Będziemy znali budowę tej cząsteczki w rekordowym czasie, zwłaszcza że mamy teraz nowe oprogramowanie, które pozwala nam używać wszystkich tych urządzeń.

— Powodzenia — powiedziała Kim. Wyjaśnienia Edwarda dały jej jedynie pobieżne pojęcie o temacie, ale z pewnością były próbką jego bezbrzeżnego entuzjazmu.

— I co tam jeszcze słyhać w Salem? — spytał nagle Edward. — Jak remont?

Pytanie to wprawiło ją w chwilowe zakłopotanie. Nie wierzyła, że przy tak ogromnym zaangażowaniu we własną pracę naprawdę interesuje go jej drobne przedsięwzięcie. Właściwie już zamiar przeprosić i pożegnać się.

— Remont idzie bardzo dobrze — powiedziała jednak. — będzie uroczy.

— Długo tam byłeś — zauważył Edward. — Czyżbyś zakopała się w archiwum rodzinnym Stewartów?

— Owszem, na parę godzin — przyznała Kim.

— Znalazłaś coś jeszcze na temat Elizabeth? Mnie też bardziej ona interesuje. Mam uczucie, jakbym był jej dłużnikiem. Gdyby nie ona, nigdy bym nie wpadł na ten alkaloid.

— Rzeczywiście dowiedziałam się czegoś.

I Kim opowiedziała, jak przed wyjazdem do Salem była w siedzibie władz stanowych i jak nie znalazła śladu petycji i żadnych wskazówek dotyczących tajemniczego dowodu. Potem powiedziała mu o akcie kupna Northfields z podpisem Elizabeth i jak to rozgniewało Thomasa Putnama.

— Możliwe, że to najważniejsza informacja, jaką do tej pory zdobyłaś — stwierdził Edward. — Na podstawie moich lektur mogę przypuścić, że Thomasa Putnama lepiej było sobie nie zrażać.

— Ja też miałam takie wrażenie. Jego córka, Ann, była jedną z pierwszych opętanych i wiele osób oskarżyła. Cały problem w tym, że nie potrafię w żaden sposób skojarzyć sporu z Thomasem Putnamem z rozstrzygającym dowodem.

— Może ci Putnamowie byli na tyle niegodziwi, żeby coś spreparować? — podsunął Edward.

— To jest myśl. Ale i tak nie wiemy, co to mogło być. Poza tym czy cokolwiek spreparowanego mogłoby mieć wagę dowodu rozstrzygającego? Mnie się jednak ciągle wydaje, że to musiało być coś, co Elizabeth zrobiła sama.

— Może i tak. Ale jedyna poszlaka, jaką masz, to petycja Ronalda, w której mówi on, że tę rzecz zabrano z jego majątku. Myślę, że to mogło być cokolwiek związanego w niewątpliwy sposób ze sztuką czarnoksiężką.

— Skoro już mówimy o Ronaldzie — dodała Kim. — Dowiedziałam się o nim czegoś, co ożywiło moje podejrzenia. Ożenił się ponownie zaledwie dziesięć tygodni po śmierci Elizabeth. To, mówiąc delikatnie, niezwykle krótki okres żałoby. Pomyślałam, że może on i Rebecca mieli wcześniej romans.

— Może — rzekł Edward bez przekonania. — Ale ja ciągle sądzę, że nie zdajesz sobie sprawy, jak trudne było życie w tamtych czasach. Ronald miał czworo dzieci i kwitnący interes. Myślę, że nie miał większego wyboru. Długa żałoba to był luksus, na który nie mógł sobie pozwolić.

Kim pokiwała głową, ale w głębi duszy nie była przekonana. Zarazem jednak przyszło jej do głowy, czy na tę podejrzliwość w stosunku do Ronalda nie miało przypadkiem wpływu postępowanie jej ojca.

Eleonor zjawiała się tak samo nagle jak za pierwszym razem i znów zaangażowała Edwarda w cichą a ożywioną dyskusję. Gdy odeszła, Kim też postanowiła się pożegnać.

— Chyba już pójdę — powiedziała.

— Odprowadzę cię do samochodu — zaproponował Edward.

Gdy szli po schodach, a potem przez dziedziniec, Kim zauważyła w zachowaniu Edwarda stopniową zmianę. Jak to przedtem bywało, zaczął zdradzać oznaki nerwowości. Wiedziała już z doświadczenia, że chciałby coś powiedzieć. Nie starała się go wypytywać. Przekonała się, że to nie pomaga.

W końcu, już przy samochodzie, przemówił:

— Dużo myślałem o twojej propozycji, żebyśmy zamieszkali razem w twoim domu. — Czubkiem buta bawił się kamykiem. Urwał. Kim czekała niecierpliwie, niepewna, co będzie dalej. Wreszcie wyrzucił z siebie: — Jeśli nie zmieniłaś jeszcze zdania, to chciałbym z tobą mieszkać.

— Oczywiście, że nie zmieniłam zdania — zapewniła go Kim z ulgą.

Oplotła go rękami i uściskała. Odpowiedział tym samym.

— W ten weekend możemy pojechać i zastanowić się nad umeblowaniem — ciągnął. — Może chciałabyś wykorzystać coś z mojego mieszkania.

— To będzie prawdziwa przyjemność.

Rozłączyli się odrobinę niezręcznie. Kim wsiadła do samochodu. Otworzyła okno od strony pasażera. Edward pochylił się.

— Przepraszam, że jestem teraz ciągle pochłonięty tym alkaloidem — powiedział.

— Rozumiem — odparła Kim. — Widzę, jak cię to fascynuje. Podziwiam twoje zaangażowanie.

Pożegnali się i Kim odjechała w stronę Beacon Hill w nastroju o wiele lepszym, niż była pół godziny temu.

ROZDZIAŁ 7

PIĄTEK, 29 LIPCA 1994

W miarę upływu dni Edward był coraz bardziej podniecony. Baza danych o nowym alkaloidzie rosła wykładniczo. Ani on, ani Eleanor nie sypiali więcej niż po cztery, pięć godzin. Ze względów praktycznych w ogóle nie wracali do swoich mieszkań, spędzając całą dobę w laboratorium, i pracowali tak ciężko jak jeszcze nigdy w życiu.

Edward upierał się, żeby robić wszystko samemu, toteż dublował pracę Eleanor, chcąc być na sto procent pewnym, że nie ma żadnych błędów. Kazał też Eleanor w ten sam sposób sprawdzać siebie.

Pochłonięty bez reszty nowym alkaloidem, nie miał już czasu na nic innego. Wbrew radom Eleanor i mimo rosnącego niezadowolenia studentów nie prowadził wykładów. Nie poświęcał też ani chwili swojej trzódce, tak że ich prace bez jego rad i nadzoru w większości utknęły.

Ale to go nie obchodziło. Niczym artysta w przyływie twórczego natchnienia był jak zahipnotyzowany swoim preparatem i całkowicie ignorował otoczenie. Ku jego wielkiej radości struktura nowego związku wyłaniała się atom po atomie z otchłani czasu, w której dotąd spoczywała.

W środę wczesnym rankiem, w wyniku brawurowego popisu z jakościowej chemii organicznej Edward do końca określił czteropierścieniową strukturę rdzenia swojego alkaloidu. Po południu miał już także wszystkie boczne łańcuchy: zarówno ich budowę, jak i miejsce wiązania z rdzeniem. Żartobliwie porównał jego cząsteczkę do jabłka, z którego wystają robaki.

To właśnie boczne łańcuchy fascynowały go szczególnie. Było ich pięć. Jeden, jak rdzeń, czteropierścieniowy, przypominał budową LSD. Inny składał się z dwóch pierścieni i także przypominał pewien lek — skopolaminę. Pozostałe trzy wykazywały podobieństwo do głównych neuroprzekazników mózgu: noradrenaliny, dopaminy i serotoniny.

W czwartek o świcie Edward i Eleanor przeżyli swoją chwilę triumfu, oglądając na monitorze komputera obraz całej cząsteczki w trójwymiarowej przestrzeni wirtualnej. Był to efekt pracy ich superkomputera oraz wielu godzin zażartych

dyskusji, w których każde z nich na przemian pełniło rolę adwokata diabła.

Jak zahipnotyzowani, milcząc wpatrywali się w obraz cząsteczki, którą superkomputer powoli obracał na ekranie. Jej barwy były niesamowite. Różne odcienie kobaltowego błękitu reprezentowały chmury elektronów, atomy węgla były czerwone, tlenu zielone, a azotu żółte.

Ułożywszy palce niczym wirtuoz, który zaraz zagra sonatę Beethovena na fortepianie Steinwaya, Edward zasiadł do klawiatury. Przywołał całą swoją wiedzę, doświadczenie i intuicję. Obraz cząsteczki na ekranie drgał i migał w ciągłym powolnym ruchu obrotowym. Edward manipulował cząsteczką, chcąc odszczepić dwa boczne łańcuchy: ten podobny do LSD i do skopolaminy. Instynkt mówił mu, że one są odpowiedzialne za działanie halucynogenne.

Ku jego radości udało mu się odszczepić prawie cały łańcuch LSD, nie licząc drobnego fragmentu zawierającego zaledwie dwa atomy węgla, nie zmieniając w istotny sposób ani trójwymiarowej struktury związku, ani rozkładu ładunków elektrycznych. Wiedział, że zmiana choć jednej z tych własności w istotny sposób wpłynęłaby na działanie preparatu.

Z łańcuchem skopolaminopodobnym było nieco gorzej. Udało się odłączyć część, większość musiała pozostać nietknięta. Gdy Edward próbował zrobić coś więcej, trójwymiarowy obraz zmieniał się drastycznie, jakby cząsteczka się związała.

Odszczepiwszy tyle, ile zdołał, wprowadził dane do swojego własnego komputera pracownianego. Obraz nie był już może tak imponujący, ale pod pewnymi względami nawet bardziej interesujący. Celem ich poszukiwań był teraz hipotetyczny lek, stworzony drogą komputerową z naturalnego związku.

Edward pragnął w ten sposób wyeliminować jego halucynogenne i parasympatykolityczne działania uboczne. Do tych ostatnich zaliczała się między innymi suchość w ustach, rozszerzenie źrenic oraz częściowa niepamięć, której doświadczyli zarówno on jak i Stanton.

Teraz przyszedł czas na jego najmocniejszą stronę: syntezę organiczną. W wyniku maratonu trwającego do późnych godzin nocnych we czwartek Edward opracował pomysłowy sposób wytwarzania hipotetycznego leku za pomocą standardowych, łatwo dostępnych reagentów. W piątek wczesnym rankiem miał go już całą fiolkę.

— Co o tym myślisz? — spytał Eleanor. Oboje wpatrywali się w fiolkę. Byli kompletnie wyczerpani, ale żadne nie miało najmniejszego zamiaru iść spać.

— Myślę, że to był prawdziwy popis wirtuozerii chemicznej — odpowiedziała szczerze Eleanor.

— Nie dopominałem się o komplementy. — Edward ziewnął. — Chodziło mi o to, co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić.

— W tym zespole ja reprezentuję głos rozsądku. Uważam, że trzeba zdobyć informacje o jego toksyczności.

— No to zrobmy to.

Edward dźwignął się i podał rękę Eleanor. Wrócili do pracy.

Uskrzydleni dotychczasowymi osiągnięciami, niecierpliwie łaknąc natychmiastowych wyników, zrezygnowali z normalnego protokołu naukowego. Podobnie jak w odniesieniu do naturalnego alkaloidu ominęli żmudne badania kontrolowane i skoncentrowali się na szybkim zbieraniu ogólnych danych o możliwych działaniach preparatu.

Najpierw traktowali różnymi stężeniami leku rozmaite rodzaje hodowli tkankowych, między innymi nerki i komórki nerwowe. Ku swemu zadowoleniu nie stwierdzili żadnych niepożądanych efektów, nawet przy stosunkowo dużych dawkach. Włożyli hodowle do inkubatora, aby od czasu do czasu do nich zaglądać.

Następnie przygotowali preparat zwoju *Aplasia fasciata*. W spontanicznie wyładowujących się komórkach nerwowych umieścili maleńkie elektrody. Podłączywszy je do wzmacniacza, za pośrednictwem lampy elektronopromieniowej uzyskali obraz czynności bioelektrycznej komórek. Do płynu, w którym komórki były zanurzone, stopniowo dodawali swój lek. Obserwując odpowiedź neuronów ustalili, że istotnie wykazuje on aktywność biologiczną, ale nie zakłóca ani nie osłabia spontanicznej czynności komórek. Przeciwnie, zdaje się ją stabilizować.

Z rosnącym podnieceniem, jako że wszystko, czego dotąd próbowali, dawało pozytywne rezultaty, Eleanor zaczęła podawać lek nowej grupie poddanych stresowi szczurów. Edward zaś dodał go do świeżego preparatu synaptosomu. Eleanor uzyskała wyniki jako pierwsza. Szybko się przekonała, że zmodyfikowany związek ma jeszcze silniejsze działanie uspokajające niż alkaloid w nie zmienionym stanie.

Edward musiał poczekać na rezultaty trochę dłużej. Stwierdził, że nowy lek ma wpływ na poziom wszystkich trzech neuroprzekaźników, ale nie jednakowy. Największy na poziom serotoniny, potem noradrenaliny, a najmniejszy na dopaminę. Natomiast zupełnym zaskoczeniem był fakt, że lek tworzył słabe wiązania kowalენტne z kwasem glutaminowym i gamma aminomasłowym, dwoma głównymi związkami hamującymi mózgu.

— To jest fantastyczne! — wykrzyknął Edward. Porwał ze swojego biurka papiery dokumentujące dotychczasowe odkrycia i wyrzucił je w górę jak wielkie konfetti. — Te dane wskazują, że mamy do czynienia z lekiem o gigantycznej sile działania. Założę się, że w takim samym stopniu jest antydepresantem co anksjolitykiem. Jeśli tak, to zrewolucjonizuje psychofarmakologię. To może być odkrycie na miarę penicyliny.

— Tylko że ciągle jeszcze zachodzi obawa, że jest halucynogeny.

— Nie sądzę. Bez tego łańcucha przypominającego LSD nie powinien. Ale zgadzam się z tobą, że musimy mieć pewność.

— Rzućmy okiem na hodowle tkankowe — zaproponowała Eleanor.

Wiedziała, że Edward będzie chciał spróbować leku. Nie było innego sposobu,

żeby stwierdzić, czy nadal wywołuje urojenia.

— Wszystko wskazuje na to, że nie ma ani śladu toksyczności — stwierdził radośnie Edward.

— Gdybym nie widziała na własne oczy, tobym nie uwierzyła — dodała Eleanor.

Wrócili do stanowiska Edwarda i sporządzili kilka roztworów o wzrastających stężeniach. Roztwór wyjściowy zawierał dawkę leku w przybliżeniu odpowiadającą ilości nie opracowanego alkaloidu, jaką swego czasu przyjął Stanton. Edward spróbował pierwszy, a gdy nic się nie wydarzyło, Eleanor też wypła. I znowu nic.

Zachęteni tym negatywnym wynikiem, stopniowo zwiększali dawki aż do pełnego miligrama. LSD daje efekt psychodeliczny przy dawce pięciu setnych miligrama.

— No i co? — spytał Edward, gdy minęło pół godziny.

— Jak na razie mogę powiedzieć, że nie ma efektu halucynogennego.

— Ale w ogóle efekt jest.

— Bez wątpienia. Określiłabym to jako stan spokojnego zadowolenia. Jakkolwiek by go nazwać, jest zdecydowanie przyjemny.

— Ja mam także uczucie, że umysł mi się wyostrzył. To na pewno skutek działania leku, bo dwadzieścia minut temu nie nadawałem się do niczego, a moja zdolność koncentracji była zerowa. Teraz jestem rześki, jakbym miał za sobą przespaną noc.

— A ja odnoszę wrażenie, jakby moja pamięć odległa zbudziła się ze snu. Nagle przypomniał mi się nasz domowy numer telefonu z czasów, gdy miałam sześć lat. To był ten rok, kiedy przeprowadziliśmy się na Zachodnie Wybrzeże.

— A co powiesz o zmysłach? Moje wybitnie się uwrażliwiły, zwłaszcza węch.

— Nie uświadamiałam sobie tego, dopóki o tym nie wspomniałeś. — Eleanor odrzuciła głowę w tył i wciągnęła powietrze w nozdrza. — Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że pracownię wypełnia taka kakofonia zapachów.

— Jest jeszcze coś, na co, jak sędzę, nie zwróciłbym uwagi, gdybym nie miał za sobą doświadczeń z Prozakiem — powiedział Edward. — Mianowicie wzrost asertywności. Czuję, że jestem zdolny wkroczyć w sam środek grupy ludzi i robić co mi się żywnie podoba. Tylko że Prozac musiałem brać przez trzy miesiące, żeby się tak czuć.

— Nie mogę powiedzieć, żebym miała jakieś tego typu odczucia. Ale trochę zaschło mi w ustach. Tobie też?

— Może odrobinę — przyznał Edward. Spojrzał prosto w ciemnoniebieskie oczy Eleanor. — Masz chyba lekko rozszerzone źrenice. To pewnie efekt działania łańcucha skopolaminopodobnego, którego nie udało nam się odszczepić w całości. Sprawdź, czy dobrze widzisz z bliska.

Eleanor podniosła butelkę z odczynnikami i przeczytała drobny nadruk na etykiecie.

— Bez zarzutu — powiedziała.
— Coś jeszcze? Jakieś problemy z oddechem, krążeniem?
— Wszystko w porządku.
— Przepraszam, czy mogę? — odezwał się jakiś głos.
Eleanor i Edward odwrócili się i ujrzeni doktorantkę z Paryża, Nadine Foch.
— Potrzebuję pomocy. NMR nie działa.
— Najlepiej będzie, jeśli powiesz o tym Ralphowi — podsunął Edward z ciepłym uśmiechem. — Chętnie bym ci pomógł, ale jestem w tej chwili zagoniony. Poza tym Ralph dużo lepiej zna się na tym urzędzeniu, szczególnie z technicznego punktu widzenia.
Nadine podziękowała i poszła poszukać Ralpa.
— Co za uprzejmość! — powiedziała Eleanor.
— Jestem w nastroju na uprzejmości. Poza tym ona jest wyjątkowo miła.
— Nie sądzisz, że to odpowiednia pora, żebyś wrócił do swoich normalnych zajęć? Odwaliliśmy ogromny kawał roboty.
— To tylko zapowiedź tego, co mamy przed sobą. Bardzo ładnie z twojej strony, że się troszczysz o moje wykłady i inne obowiązki, ale zapewniam cię, że wszystko to może kilka tygodni poczekać bez większej szkody dla kogokolwiek. Nie zamierzam sobie odmawiać nawet cząstki zabawy z tym nowym lekiem. Na razie chcę, żebyś się zajęła komputerowym modelowaniem cząsteczki. Spróbuj stworzyć rodzinę związków wywodzących się z naszego leku drogą modyfikacji bocznych łańcuchów.
Gdy Eleanor oddaliła się, by usiąść przy komputerze, Edward wrócił do biurka i wziął za telefon. Zadzwoił do starego przyjaciela, Stantona Lewisa.
— Masz dziś wolny wieczór? — spytał.
— Nie wiem wolnych wieczorów — odparł Stanton. — Ale o co chodzi? Przeczytałeś prospekt?
— Może byś zjadł kolację ze mną i z Kim? Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.
— Aha, ty stary łotrze! Czy to ma być zapowiedź sensacyjnego wydarzenia towarzyskiego?
— Wolałbym raczej wyjaśnić ci to osobiście — rzekł gładko Edward. — No to jak z tą kolacją? Ja stawiam!
— Widzę, że sprawa wygląda poważnie. Mam rezerwację w Anago Bistro na Main Street w Cambridge. Co prawda na dwie osoby, ale powiem, żeby zmienili na cztery. Na dwudziestą. Gdyby wynikły jakieś problemy, zadzwonię.
— Świetnie — powiedział Edward. Rozłączył się, zanim Stanton zdołał zadać jeszcze jakieś pytanie, i zadzwonił do Kim na intensywną terapię.
— Bardzo zajęta? — spytał, gdy podeszła do telefonu.
— Nawet nie pytaj.

— Umówiłem się na kolację ze Stantonem. i jego żoną — oznajmił z ożywieniem. — Na dwudziestą, o ile Stantonowi się nic nie odmieni. Przepraszam, że to wyszło tak zniechęcająco. Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść.

— To ty dzisiaj nie pracujesz? — spytała zaskoczona.

— Na wieczór biorę wolne.

— A co z jutrem? Jedziemy do Salem?

— Porozmawiamy — odparł Edward niezobowiązująco. — Więc jak z tą kolacją?

— Wolałabym być tylko z tobą.

— Jesteś kochana, że to mówisz. I ja też wolałabym być tylko z tobą. Ale muszę porozmawiać ze Stantonem i pomyślałem, że możemy z tego zrobić małe przyjęcie. Zdaję sobie sprawę, że w tym tygodniu nie dostarczałem ci zbyt wielu rozrywek.

— Mówisz takim pogodnym głosem. Czyżby dzisiaj wydarzyło się coś dobrego?

— I dzisiaj, i przedtem. Dlatego konieczne jest to spotkanie. Po kolacji możemy spędzić trochę czasu tylko we dwoje. Pójdziemy na spacer na Harvard Square, tak jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Co ty na to?

— Umowa stoi.

Kim i Edward zjawili się w restauracji pierwsi. Posadzono ich przy zacisznym stoliku w kącie przy oknie. Widać było stamtąd dobry kawałek Main Street z jej pizzeriami i hinduskimi knajpkami. Właśnie, dzwoniąc i wyjąc wniebogłosy, przejechała straż pożarna.

— Dałbym głowę, że oni jeżdżą na sygnale na kawę — zaśmiał się Edward patrząc za znikającym wozem. — Ciągłe ich słychać w całym mieście. Nie wierzę, że jest aż tyle pożarów.

Kim przyglądała mu się bacznie. Był w wyśmienitym humorze. Nigdy jeszcze nie widziała go takim rozmownym i dowcipnym. Choć wyglądał na zmęczonego, zachowywał się tak, jakby wypił kilka mocnych kaw. Zamówił nawet butelkę wina.

— Chyba mówiłeś mi kiedyś, że zawsze zostawiasz wybór wina Stantonowi — zauważyła.

Zanim Edward zdążył odpowiedzieć, Stanton właśnie się zjawiał. Zgodnie ze swoimi zwyczajami wkroczył do restauracji, jakby był jej właścicielem. Pocałował hostessę w rękę, co przyjęła z ledwo ukrywanym zniecierpliwieniem.

— No dobrze, dzieci — przemówił do Kim i Edwarda, podsuwając Candice krzesło. Stół był wąski i obie pary siedziały naprzeciwko siebie. — Co to za wielka nowina? Mam skoczyć po butelkę Dom Perignon?

Kim wyczekująco spojrzała na Edwarda.

— Zamówiłem już wino, myślę, że w sam raz.

— Ty zamówiłeś wino? — zdumiał się Stanton. — Ależ tutaj nie serwuje się Ripple'a. — Roześmiał się na całe gardło i usiadł.

— Zamówiłem białe włoskie — odparł Edward. — W gorący letni wieczór przyjemnie się napić schłodzonego wytrawnego wina.

Kim uniosła brwi. Nie знаła Edwarda od tej strony.

— No więc o co chodzi? — Stanton niecierpliwie oparł łokcie na stole i nachylił się do nich. — Bierzecie ślub?

Kim zaczerwieniła się. Nieco zakłopotana, próbowała zgadnąć, czy Edward powiedział Stantonowi o ich planach dotyczących wspólnego zamieszkania. Właściwie nie był to żaden sekret, ale rodzinę wolałaby zawiadomić sama.

— Byłbym doprawdy szczęśliwy — powiedział Edward śmiejąc się. — W istocie mam dobrą nowinę, choć nie aż tak dobrą.

Kim zamrugała oczami. Zaimponował jej, że tak zręcznie zareagował na nie stosowną uwagę Stanton.

Kelnerka przyniosła wino. Stanton odegrał całe przedstawienie sprawdzając etykietę, zanim pozwolił otworzyć butelkę.

— No, stary, jestem zaskoczony — pochwalił Edwarda. — Nie najgorszy wybór.

Nalano wina i Stanton już zabierał się do wznoszenia toastu, ale Edward go uciszył.

— Teraz moja kolej. — Wyciągnął kieliszek w stronę Stanton.

— Za najmądrzejszego inwestora świata — obwieścił.

— A już myślałem, że tego nie dostrzegasz — zaśmiał się Stanton. Wszyscy wypili.

— Mam do ciebie pytanie — zwrócił się do niego Edward. — Czy poważnie mówiłeś, że nowy, skuteczny lek psychotropowy może być wart miliard dolarów?

— Jak najbardziej. — Stanton od razu spoważniał. — Czy to jest powód naszego spotkania? Czyżbyś miał jakieś nowe informacje na temat leku, po którym miałem taki fajny odlot?

I Candice, i Kim zaczęły się dopytywać, o jakim odlociemowa. Gdy się dowiedziały, były przerażone.

— To wcale nie było takie złe — stwierdził Stanton. — Nawet mi się spodobało.

— Mam mnóstwo informacji — oświadczył Edward — a wszystkie dobre. Modyfikując budowę cząsteczki, pozbawiliśmy ją właściwości halucynogennych. Uważam, że stworzyliśmy nową generację leków typu Prozacu czy Xanaxu. Wygląda na to, że jest idealny. Nietoksyczny, skuteczny, doustny, ma mniej działań ubocznych, a prawdopodobnie szersze spektrum. Właściwie, dzięki swojej nie-spotykanej strukturze z bocznymi łańcuchami, które dają się łatwo modyfikować

lub wymieniać, ma niemal nieograniczone możliwości terapeutyczne w dziedzinie psychofarmakologii.

— Mów trochę konkretniej. Jakie według ciebie jest jego działanie?

— Uważamy, że ma on ogólnie pozytywny wpływ na nastrój. Jest środkiem przeciwdepresyjnym i anksjolitycznym, znosi niepokój. Poza tym wydaje się, że działa energizująco, likwiduje zmęczenie, wywołuje zadowolenie, wyostrza zmysły, rozjaśnia umysł i poprawia pamięć odległą.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Stanton. — Czy jest coś, czego nie robi? To zupełnie jak soma z *Nowego wspaniałego świata*.

— W tej analogii może coś być — stwierdził Edward.

— Jedno pytanie. — Stanton zniżył głos i pochylił się. — Czy i seks jest po nim lepszy?

Edward wzruszył ramionami.

— Całkiem możliwe. Skoro ogólnie biorąc uwrażliwia zmysły, to i seks powinno się po nim przeżywać bardziej intensywnie.

Stanton wyrzucił ręce w górę.

— Do diabła! Ta cząsteczka nie jest warta miliard; jest warta pięć miliardów!

— Mówisz poważnie?

— No, dorzucimy jeszcze miliard.

Rozmowę przerwała kelnerka. Złożyli zamówienie. Po jej odejściu Edward podjął:

— Nic jeszcze nie jest udowodnione. Nie ma doświadczeń kontrolowanych.

Ale widzę, że jesteś raczej pewny wyników?

— Zupełnie pewny.

— Kto o tym wie?

— Ja, moja najbliższa asystentka i siedzący przy tym stole.

— Masz jakieś wyobrażenie o mechanizmie działania?

— To na razie hipoteza. Wydaje mi się, że stabilizuje poziom głównych neuroprzekaźników mózgu i dzięki temu działa na wielu poziomach. Zarówno na pojedyncze komórki, jak i na całe sieci tak jak przez autokod albo przez hormony tropowe.

— Jak na niego natrafiłeś? — spytała Candice.

Edward streścił jej całą historię, wyjaśniając rolę, jaką odegrała w niej antenatka Kim, procesy czarownic i teoria, że oskarżycielki z Salem były zatrute przez halucynogeny grzyb.

— To właśnie pytanie Kim, czy tę teorię dałoby się udowodnić, skłoniło mnie do pobrania próbek — zakończył.

— Nie przypisuję sobie żadnej zasługi — wtrąciła Kim.

— Ale należy ci się — odparł Edward. — Tobie i Elizabeth.

— Ironia losu — skomentowała Candice. — Żeby znaleźć pożyteczny lek w piwnicznym brudzie.

— To nie jest takie niezwykle — stwierdził Edward. — W brudzie, jak mówisz, znaleziono już wiele ważnych leków, na przykład cefalosporyny czy cyklosporynę. Ironia losu polega na tym, że ten lek pochodzi od diabła.

— Nie mów tak — poprosiła Kim. — Dreszcz mnie przechodzi.

Edward zaśmiał się prowokująco. Pokazał jej figę i zdradził obecnym, że Kim miewa napady wiary w przesady.

— Prawdę mówiąc mnie też się to skojarzenie nie podoba — powiedział Stanton. — Wolałbym widzieć w naszym leku dar niebios.

— A mnie związek z historią czarownic w najmniejszym stopniu nie przeszkadza. Przeciwnie, nawet mi się podoba. Choć to odkrycie nie może zadośćuczynić śmierci dwudziestu ofiar, przynajmniej może nada ich cierpieniom jakiś sens.

— Dwudziestu jeden — poprawiła go Kim. Wyjaśniła pozostałym, że egzekucja Elizabeth została przemilczana przez historyków.

— A niech się kojarzy nawet z biblijnym potopem — oświadczył Stanton. — Jak na razie wygląda to na nadzwyczajne odkrycie. — Zwrócił się do Edwarda. — I co teraz zamierzasz?

— Właśnie w tej sprawie chciałem się z tobą zobaczyć. Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

— To, co ci powiedziałem. Powinniśmy utworzyć przedsiębiorstwo i opatentować lek oraz tyle jego pochodnych, ile tylko się da.

— Naprawdę uważasz, że z tego można wyciągnąć miliardy?

— Wiem co mówię. Znam się na tym.

— Więc zróbmy to. Załóżmy firmę i bierzmy się do tego.

Stanton chwilę wpatrywał się w jego twarz.

— Mam nadzieję, że mówisz poważnie.

— Jeszcze jak poważnie.

— W porządku, po pierwsze potrzebujemy nazw. — Stanton wyjął z kieszeni marynarki notes i długopis. — Nazwy dla leku i nazwy dla samej firmy. Może lek nazwiemy Soma, zgodnie z tradycją literacką?

— Jest już inny lek o tej nazwie — odparł Edward. — A może Omni, w nawiązaniu do jego szerokiego wachlarza zastosowań klinicznych?

— Tak, tylko że Omni nie brzmi jak nazwa leku — powiedział Stanton. — Bardziej jak nazwa przedsiębiorstwa. Moglibyśmy je tak nazwać: Omni Pharmaceuticals.

— Podoba mi się — orzekł Edward.

— Co powiesz na Ultra dla leku? Wydaje mi się, że to by nieźle wyglądało w reklamach.

— Tak, chyba dobrze.

Spojrzeli na kobiety w oczekiwaniu reakcji. Candice nie słuchała, więc Stanton musiał powtórzyć obie nazwy. Stwierdziła, że są dobre. Kim słuchała, ale nie

miała zdania; cała rozmowa ją zaskoczyła. W swoim nagłym i niespodziewanym zainteresowaniu biznesem Edward nie okazywał cienia zakłopotania.

— Ile forsy możesz zebrać? — spytał Stanton.

— A ile w twojej ocenie trzeba czasu, żeby móc wprowadzić ten lek na rynek?

— Obawiam się, że na to pytanie nie zdołam ci odpowiedzieć. Przecież nie mam nawet pewności, że w ogóle będzie się nadawał do wprowadzenia na rynek.

— To wiem. Chodzi mi tylko o oszacowanie z grubsza, jakie mamy perspektywy. Wiadomo, że przeciętnie od odkrycia potencjalnego leku do zatwierdzenia przez FDA i sprzedaży trzeba około dwunastu lat, a przybliżony koszt wynosi jakieś dwieście milionów dolarów.

— Nie potrzebuję dwunastu lat — odparł Edward. — I nie potrzebuję takich ogromnych sum, żeby to zrobić.

— To oczywiste, że im krótszy będzie czas pracy nad lekiem i im mniej wydamy pieniędzy, tym większa część majątku zostanie dla nas.

— Jasne — rzekł Edward. — Szczerze mówiąc nie mam szczególnej ochoty pozbywać się jakiegokolwiek części majątku.

— Jak sądzisz, ile forsy będziesz potrzebował?

— Muszę mieć do tego supernowoczesne laboratorium — Edward zaczął głośno myśleć.

— A czego brakuje temu, które już masz?

— Ono należy do Harvardu. Muszę trzymać Ultra z daleka od Harvardu z powodu umowy udziałowej, którą podpisałem, kiedy przechodziłem tam do pracy.

— Nie będziemy mieć z tego powodu jakichś kłopotów?

— Nie sądzę. Umowa dotyczy odkryć dokonanych w czasie służbowym i z wykorzystaniem służbowego sprzętu. Mogę argumentować, że Ultra odkryłem po godzinach, co jest w zasadzie prawdą, jakkolwiek początek zrobiłem oczywiście w czasie służbowym. Mniejsza o szczegóły, w każdym razie żadnych roszczeń się nie obawiam. Nie jestem własnością Harvardu.

— Wracając do czasu, jak sądzisz, o ile mógłbyś skrócić fazę przygotowań?

— Sporo. Jedną z najwspanialszych właściwości Ultra jest to, że wydaje się całkowicie nietoksyczny. Mam nadzieję, że już sam ten fakt radykalnie przyspieszy akceptację FDA, bo to właśnie szczegółowe badania nad toksycznością zajmują tak cholernie dużo czasu.

— A więc uważasz, że możemy liczyć na akceptację FDA o lata wcześniej niż zazwyczaj.

— Bez wątplenia. Jeśli odpada problem toksyczności, to można skrócić doświadczenia na zwierzętach, a część kliniczną skondensować, łącząc fazę drugą i trzecią według przyspieszonego trybu FDA.

— Przyspieszony tryb przewidziany jest dla leków, które mają być stosowane w stanach zagrożenia życia — wtrąciła Kim.

Dzięki pracy na intensywnej terapii wiedziała to i owo o testowaniu leków eksperymentalnych.

— Depresja jest chorobą na tyle poważną, że jeśli Ultra okaże się tak skuteczny w jej leczeniu, jak przypuszczam, to uzasadnienie się znajdzie.

— A Europa Zachodnia i Azja? Tam akceptacja FDA nie jest potrzebna, by lek wszedł na rynek — stwierdził Stanton.

— Słuszna uwaga — zgodził się Edward. — Stany Zjednoczone nie są jedynym rynkiem na świecie.

— Słuchaj więc — rzekł Stanton. — Mogę bez trudu zebrać cztery czy pięć milionów dolarów, uszczuplając jedynie drobny ułamek zysków do podziału, bo większość będzie pochodziła z moich rezerw. Pasuje?

— Fantastycznie — odparł Edward. — Kiedy możesz zacząć?

— Jutro. Zacznę ściągać pieniądze i zajmę się stroną prawną, zarówno organizacji przedsiębiorstwa jak i starań o patent.

— Nie wiesz czasem, czy można opatentować rdzeń cząsteczki? — spytał Edward. — Marzy mi się, żeby patent obejmował wszystkie preparaty stworzone na bazie tego leku.

— Nie wiem, ale mogę się dowiedzieć.

— A więc ty zajmiesz się stroną finansową i prawną, a ja organizacją laboratorium. Podstawowa kwestia to lokalizacja. Chciałbym znaleźć coś wygodnego, bo będę tam spędzał mnóstwo czasu.

— Cambridge jest niezłe — podsunął Stanton.

— Nie, to musi być z dala od Harvardu.

— W takim razie może okolica Kendall Square? Jest dość daleko od Harvardu, a zarazem blisko twojego mieszkania.

Edward odwrócił się do Kim. Ich oczy się spotkały. Kim odgadła, o czym myśli, i niedostrzegalnie dla Lewisów skinęła głową.

— Prawdę mówiąc właśnie w końcu sierpnia wyprowadzam się z Cambridge — oznajmił Edward. — Przenoszę się do Salem.

— Edward będzie mieszkał ze mną — wyjaśniła Kim świadoma, że ta nowina szybko dotrze do matki. — Remontuję stary dom w majątku rodzinnym.

— Cudownie — zachwyciła się Candice.

— Ty stary łotrze — Stanton wyciągnął rękę nad stołem i dał Edwardowi lekkiego kuksańca.

— Choć raz moje życie prywatne układa się równie dobrze jak zawodowe — powiedział Edward.

— No to ulokujmy naszą firmę gdzieś na North Shore — zaproponował Stanton. — Do diabła, tam koszty wynajmu powinny stanowić ułamek tego co w mieście.

— Podsunąłeś mi wspaniały pomysł, Stanton — przerwał Edward. Odwrócił się i spojrzał na Kim. — Co byś powiedziała, żeby wykorzystać ten przerobio-

ny na stajnie młyn w twoim majątku? To byłoby idealne laboratorium dla takiej pracy, przede wszystkim dzięki kompletnej jego izolacji.

— Nie wiem — zająknęła się Kim.

Ta propozycja kompletnie ją zaskoczyła.

— Mam na myśli, że Omni wynajmie ten budynek od ciebie i twojego brata.

— Edward coraz bardziej zapalał się do swojego Pomysłu. — Sama powiedziałaś, że ten majątek to kula u nogi. Jestem pewien, że legalny dochód z tej posiadłości bardzo się przyda.

— To niezła myśl. Koszty wynajmu można sobie odliczyć a więc mamy też mniejszy podatek. Naprawdę dobry pomysł — oświadczył Stanton.

— Co ty na to? — Edward ponownie zwrócił się do Kim.

— Muszę zapytać brata — odparła.

— Naturalnie. Kiedy? Im wcześniej, tym lepiej.

Kim spojrzała na zegarek i stwierdziła, że w Londynie jest około wpół do trzeciej nad ranem, czyli mniej więcej pora, gdy Brian zasiada do pracy.

— Mogę do niego zadzwonić w każdej chwili. Nawet teraz.

— To mi się podoba — pochwalił ją Stanton. — Grunt to zdecydowanie. — Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i popchnął w jej stronę. — Omni nawet zapłaci za telefon.

Kim wstała.

— Dokąd idziesz? — spytał Edward.

— Krępuję się rozmawiać z Brianem tak przy wszystkich.

— To zrozumiałe — zgodził się Stanton. — Idź do toalety.

— Wolę wyjść na zewnątrz — odparła Kim.

Gdy wyszła, Candice pogratulowała Edwardowi szybkich postępów ich znajomości.

— Dobrze się ze sobą czujemy — odparł Edward.

— Ilu ludzi będziesz potrzebował w laboratorium? — spytał Stanton. — Nic tak nie zżera kapitału jak niebotyczne pensje.

— Ograniczę tę liczbę do minimum. Potrzebny mi biolog do doświadczeń na zwierzętach, immunolog do badań komórkowych, specjalista od krytalografii, do modelowania cząsteczki, od rezonansu magnetycznego, farmakolog, plus ja i Eleanor.

— Chryste Panie! — wykrzyknął Stanton. — Co to ma być, do cholery, uniwersytet?

— Zapewniam cię, że to jest właśnie absolutne minimum przy tego rodzaju pracy — odparł Edward spokojnie.

— Po co Eleanor?

— Jest moją asystentką. Moim najbliższym współpracownikiem. Bez niej ten projekt nie ruszy.

— Kiedy zaczniesz zbierać ludzi?

— Jak tylko będziesz miał pieniądze. Potrzebujemy elity, a elita nie jest tania. Muszę ich czymś zwabić, żeby zechcieli zostawić swoje tak godne pożądanie etaty uniwersyteckie i posadki w prywatnych przedsiębiorstwach.

— Tego się właśnie obawiałem — powiedział Stanton. — Niejedna nowa firma biomedyczna wykrwawiła się na śmierć przez przesadnie szczodre pensje.

— Będę to miał na uwadze — obiecał Edward. — Kiedy mogę się spodziewać jakichś pieniędzy, żeby zaczynać?

— Na początku tygodnia będę miał milion.

Pojawiły się pierwsze potrawy. Ponieważ Candice i Stanton mieli gorące przekąski, Edward nalegał, żeby zaczynali. Oni jednak nie dotknęli widelców, dopóki nie wróciła Kim. Usiadła i oddała Stantonowi telefon.

— Mam dobre wiadomości — powiedziała. — Mój brat był zachwycony perspektywą wynajęcia starego młyna, postawił tylko warunek, że my nie płacimy za żadne modernizacje. To już będzie należało do Omni.

— Zupełnie zrozumiałe — stwierdził Edward.

Podniósł kieliszek, szykując się do następnego toastu. Musiał dać szturchańca Stantonowi, który na chwilę zatonął w myślach.

— Za Omni i za Ultra.

Wszyscy wypili.

— Oto mój biznesplan — oświadczył Stanton, jak tylko odstawił kieliszek. — Skapitalizujemy cztery i pół miliona dolarów i wycenimy kapitał akcyjny na dziesięć dolarów za udział. Z czterystu pięćdziesięciu tysięcy zatrzymamy po sto pięćdziesiąt tysięcy dla każdego, a sto pięćdziesiąt tysięcy zostawimy na przyszłe wydatki i na przyciągnięcie najlepszych ludzi, którym zaoferujemy udziały. Jeśli Ultra choć w przybliżeniu spełni nadzieje, jakie dziś przed nami odmalowałaś, to każda z tych akcji będzie w przyszłości na wagę złota.

— Piję za to — Edward znowu wznosił kieliszek.

Wszyscy tręcili się i wypili. Edward szczególnie rozkoszował się winem, które sam wybrał. Nigdy nie pił tak dobrego; przez chwilę, skupiony, upajał się jego waniliowym bukietem i lekko morelowym aromatem.

Po kolacji i wymianie pożegnań Kim i Edward wsiedli do jego samochodu na parking przy restauracji.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to może odłożylibyśmy ten spacer — zaproponował Edward.

— O!?! — Kim była nieco rozczarowana.

I zaskoczona. Cały wieczór okazał się jednym wielkim zaskoczeniem. Przede wszystkim nie spodziewała się, że Edward zechce gdzieś wyjść, a w dodatku jego dzisiejsze zachowanie było zupełnie nietypowe, już od chwili kiedy po nią przyszedł.

— Chciałbym załatwić parę telefonów — wyjaśnił.

— Jest po dziesiątej — przypomniała Kim. — Czy to nie trochę za późno na telefony?

— Nie na Zachodnim Wybrzeżu. W Uniwersytecie Kalifornijskim i Stanford jest parę osób, które chciałbym widzieć na liście personelu Omni.

— Widzę, że jesteś bardzo podekscytowany tym biznesem — zauważyła Kim.

— Jestem w siódmym niebie. Od samego początku, kiedy wpadliśmy na te trzy nieznanne alkaloidy, intuicja mówiła mi, że to będzie coś ważnego. Ale nie przypuszczałem, że na taką skalę.

— A nie martwisz się o tę umowę udziałową, którą podpisałeś z Harvardem? Słyszałam o przypadkach, kiedy z podobnych sytuacji wynikły poważne problemy. Zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, kiedy nauka i biznes niebezpiecznie się zbliżyły.

— Ten problem zostawię adwokatom — odparł Edward.

— No, nie wiem. — Kim nie była przekonana. — Czy sprawa dojdzie do adwokata, czy nie, może wpłynąć na twoją karierę naukową.

Wiedziała, jak ważną rzeczą była dla niego dotąd praca na uczelni, i niepokoiła się, że ten nagły zapal do robienia interesów przesłonił mu zdrowy rozsądek.

— Jest pewne ryzyko — przyznał Edward. — Ale jestem zdecydowany je podjąć. Taka okazja zdarza się raz w życiu. To szansa, żeby zostawić po sobie na tym świecie trwałe ślad, a przy okazji zarobić prawdziwe pieniądze.

— Przypominam sobie, jak mi mówiłeś, że nie jesteś zainteresowany zarabianiem milionów.

— Bo nie jestem. Ale nie mówiłem o miliardach. Nie zdawałem sobie sprawy, że stawka jest aż tak wysoka.

Kim zastanawiała się, jaka to różnica, ale nic nie odpowiedziała. Nie miała w tej chwili ochoty na roztrząsanie kwestii etycznych.

— Przepraszam, że bez porozumienia z tobą wyjechałem z tym pomysłem, żeby urządzić laboratorium w waszej stajni. Zwykle nie miewam takich nagłych wyskoków. To chyba podnieceni rozmową ze Stantonem tak na mnie podziałało.

— Przyjmuję twoje przeprosiny — odparła Kim. — Zresztą mojego brata to naprawdę zainteresowało. Pewnie ucieszył się, że pieniądze z wynajmu przyczynią się do złagodzenia ciężaru podatków za tę posiadłość. To są astronomiczne sumy.

— Stajnia ma też tę dobrą stronę, że jest w pewnej odległości od domu, więc laboratorium nie będzie nam przeszkadzać — dodał Edward.

Skręcili z Memoriał Drive i wjechali na ciche, mieszkalne uliczki na obrzeżu Cambridge. Edward zajechał na swój parking i zgasił silnik. Nagle uderzył się dłonią w czoło.

— O ja głupi — powiedział. — Trzeba było najpierw pojechać do ciebie po twoje rzeczy.

— Chcesz, żebym została na noc?

— Oczywiście. A ty nie?

— Byłeś ostatnio taki zajęty. Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

— Jeśli zostaniesz, to będzie nam dużo łatwiej wybrać się jutro do Salem.

Moglibyśmy wyruszyć wcześniej.

— Naprawdę chcesz jechać? Przedtem odniosłam wrażenie, że szkoda ci na to czasu.

— Chcę, skoro mamy tam ulokować Omni. — Edward zapalił i wycofał samochód. — Jedźmy wziąć dla ciebie jakieś ubranie na jutro. Oczywiście jeśli tylko chcesz zostać, a mam nadzieję, że chcesz. — W półmroku widać było jego szeroki uśmiech.

— Chyba tak — powiedziała Kim. Była jednak niepewna i niespokojna, sama nie wiedząc dlaczego.

ROZDZIAŁ 8

SOBOTA, 30 LIPCA 1994

Kim i Edward nie wyruszyli tak wcześnie, jak to sobie obiecywali wieczorem. Pół ranka Edward spędził na telefonowaniu. Najpierw zadzwonił do przedsiębiorcy budowlanego i architekta Kim w sprawie rozszerzenia zamówienia na prace przy urządzeniu laboratorium. Zgodzili się z entuzjazmem i zaproponowali spotkanie za parę godzin w majątku. Potem dzwonił do kolejnych producentów sprzętu laboratoryjnego i umawiał się z nimi na tę samą godzinę co z tamtymi.

Po krótkiej rozmowie ze Stantonem, tylko żeby się upewnić, że obiecane pieniądze będą, Edward zaczął wydzwaniać do różnych ludzi, których brał pod uwagę jako członków personelu Omni. Zanim wreszcie wsiedli do samochodu i ruszyli na północ, było już dobrze po dziesiątej.

Gdy Edward parkował przed stajnią w majątku Stewartów, czekał już tam na niego spory tłumek. Wszyscy zdążyli się ze sobą zapoznać, więc ta fatyga została mu oszczędzona. Machnął tylko na nich, żeby zgromadzili się przy zamkniętych na kłódkę przesuwanych drzwiach stajni.

Był to długi parterowy kamienny budynek z nielicznymi oknami umieszczonymi wysoko pod okapem. Ponieważ teren w tym miejscu ostro opadał ku rzece, od tyłu budowla miała dwie kondygnacje.

Kim wypróbowała kilka kluczy, zanim udało jej się znaleźć ten, który otworzył ciężką kłódkę. Rozsunięto drzwi i wszyscy weszli do wnętrza, które od frontu było parterem, a od tyłu pięterem.

Było to przestronne, nie podzielone pomieszczenie o łukowatym sklepieniu. Na tylnej ścianie znajdowały się liczne zasłonięte żaluzjami okienka. W jednym końcu piętrzyło się siano.

— Przynajmniej rozbiórka nie będzie skomplikowana — stwierdził George.

— Idealne — zachwycił się Edward. — Właśnie tak sobie wyobrażam laboratorium: wielka przestrzeń, w której wszyscy się widzą.

Na niższy poziom prowadziły dębowe, z grubsza tylko oheblowane schody pozbijane kołkami. Na dole zobaczyli długi korytarz z boksami po prawej i pomieszczeniami ze sprzętem po lewej stronie.

Kim snuła się za nimi i przysłuchiwała się planom raptownego przekształcenia tej szopy w supernowoczesne laboratorium biologiczno-farmakologiczne. Na dole miała się znaleźć zwierzętarnia dla małych, myszy, szczurów i królików doświadczalnych. Miały tam też być pomieszczenia z inkubatorami do hodowli tkankowych i bakteryjnych oraz urządzenia kontroli bezpieczeństwa. I wreszcie specjalnie izolowane pokoje do badań rezonansu magnetycznego i krystalograficznych.

Wielką wspólną przestrzeń na górze zajmie właściwe laboratorium oraz specjalnie chronione, klimatyzowane pomieszczenie dla wielkiego komputera. Każde stanowisko będzie miało własny terminal. Do zasilania wszystkich tych urządzeń elektronicznych zostanie stworzona potężna sieć elektryczna.

— No dobrze, to tyle — powiedział Edward, kiedy skończyli zwiedzanie. Odwrócił się do przedsiębiorcy budowlanego i architekta. — Widzą panowie jakieś problemy?

— Raczej nie — powiedział Mark. — Budynek jest solidny. Ale proponowałbym dorobić wejście i recepcję.

— Nie będziemy tu przyjmować wielu gości — odparł Edward. — Ale zgoda, rozumiem. Proszę to zaprojektować. Co jeszcze?

— Nie przypuszczam, żebyśmy mieli kłopoty ze zdobyciem zezwoleń — rzekł George.

— Pod warunkiem, że nie będziemy wspominać o zwierzętach — zastrzegł Mark. — Radzę w ogóle nie poruszać tego tematu. To mogłoby spowodować problemy, z których niełatwo byłoby się wyplątać.

— Będę niezmiernie rad mogąc zostawić takie kwestie ludziom doświadczonym — stwierdził Edward. — Ja chcę po prostu wprowadzić w życie ten projekt i chętnie skorzystam z panów umiejętności. A żeby przyspieszyć ukończenie prac, jestem skłonny dorzucić dziesięć procent premii za czas, materiały i robociznę.

Na twarzach Marka i George'a pojawiły się entuzjastyczne gorliwe uśmiechy.

— Kiedy możemy zacząć? — spytał Edward.

— Natychmiast — odpowiedzieli chórem.

— Mam nadzieję, że mój skromny projekt nie ucierpi na tym nowszym i większym — włączyła się po raz pierwszy Kim.

— O to proszę się nie martwić — uspokoił ją George. — Jeśli to w ogóle będzie miało jakiś wpływ, to korzystny. Ściągniemy tu dużą ekipę, fachowców wszystkich specjalności. Jeśli do jakiejś drobnej robótki w pani domu okaże się potrzebny hydraulik albo elektryk, to będziemy go mieli pod ręką.

Gdy Edward, George, Mark i najrozmaitsi przedstawiciele firm dostarczających sprzęt medyczny zasiedli do pracy nad szczegółami projektu, Kim wyszła na zewnątrz. Zmrużyła oczy przed zamglonym, lecz palącym południowym słońcem. Wiedziała, że przy planowaniu laboratorium na nic się nie zda, więc pieszo powędrowała do starego domu sprawdzić, jak idzie remont.

Zbliżając się do budynku zauważyła, że wykop już zasypano. Zobaczyła także, że robotnicy zostawili płytę nagrobną Elizabeth na powierzchni ziemi, w miejscu znalezienia grobu. Położyli ją płasko, tak jak była zakopana.

Kim weszła do domu. Przez kontrast ze stajnią wydał jej się mały, ale praca szła dobrze, szczególnie w kuchni i w obu łazienkach. Po raz pierwszy mogła sobie naprawdę wyobrazić, jak będą wyglądać wnętrza po wykończeniu.

Obeszła cały dom i wróciła do stajni, ale nic nie wskazywało na to, że zaimprowizowana konferencja ma się ku końcowi. Kim przerwała tylko na krótką chwilę, żeby powiedzieć Edwardowi, że będzie w zamku. Życzył jej dobrej zabawy i natychmiast wrócił do jakiejś kwestii związanej z rezonansem magnetycznym.

Wejście z jaskrawego słońca do mrocznego, zasłoniętego ciężkimi draperiami wnętrza zamku było jak wkroczenie w inny świat. Kim przystanęła i nasłuchiwała jęków i skrzypienia dręczonego upałem domostwa. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że w zamku nie słychać ptaków, które na dworze były tak głośne, zwłaszcza mewy.

Po krótkim namyśle ruszyła schodami na górę. Mimo ostatniego sukcesu, jakim było znalezienie siedemnastowiecznych dokumentów w piwnicy, postanowiła dać jeszcze jedną szansę poddaszu, szczególnie że było tam o wiele przyjemniej.

Gdy weszła, przede wszystkim pootwieriała mansardowe okna, aby wpuścić powiew świeżego powietrza znad rzeki. Otworzywszy ostatnie zauważyła, że za nim ciągną się regały pełne oprawnych w płótno ksiąg.

Wzięła jedną i spojrzała na grzbiet. Białym atramentem na czarnym tle wypisane były odręcznym pismem słowa *Czarownica Mórz*. Ciekawa jej treści, Kim otworzyła księgę. Widząc notatki opatrzone kolejnymi datami, po których następował szczegółowy opis pogody, w pierwszej chwili pomyślała, że to czyjś dziennik. Ale zaraz zorientowała się, że nie jest to dziennik prywatny, tylko okrętowy.

Zajrzała na początek i przekonała się, że dziennik obejmuje lata od 1791 do 1802. Odłożyła księgę i przyjrzała się grzbietom pozostałych, odczytując napisy. Tytuł *Czarownica Mórz* nosiło łącznie siedem. Sprawdziła wszystkie. Najstarsza dotyczyła lat 1737 do 1749.

Wiedziona ciekawością, czy nie znajdzie jakiejś siedemnastowiecznej, Kim zaczęła oglądać inne regały. Tuż przy oknie zauważyła księgę ze skórzanym grzbietem bez napisu. Zdjęła ją z półki.

Na pierwszy rzut oka wyglądała na starą, tak samo jak Biblia, którą Kim znalazła w piwnicy. Otworzyła na stronie tytułowej. Był to dziennik okrętowy brygu o nazwie *Śmiałek* z lat od 1679 do 1703. Ostrożnie przewracała zabytkowe karty, przelatując rok po roku, aż dotarła do 1692.

Pierwsza notatka nosiła datę 24 stycznia. Zgodnie z opisem był to dzień zimny, ale widoczność była dobra i wiał silny zachodni wiatr. Dalej była mowa o tym, że statek wraz z odpływem wyruszył do Liverpoolu z ładunkiem oleju wielorybiego,

drewna, futer, potażu, suszonego dorsza i makreli oraz własnymi zapasami.

Nagle Kim zrobiła głęboki wdech; jej oczy napotkały znajome nazwisko. W następnym zdaniu zapisano, że statek wiezie dostojnego gościa, pana Ronalda Stewarta, właściciela. Gorączkowo czytała dalej. Dziennik wyjaśniał, że Ronald udawał się do Szwecji, aby nadzorować budowę i objąć w posiadanie nowy statek, który miał się nazywać *Duch Morza*.

Kim szybko przeleciała kolejne notatki dotyczące tego rejsu. Nazwisko Ronalda powtórzyło się dopiero wtedy, gdy po pomyślnie zakończonym rejsie zszedł ze statku w Liverpoolu.

Podniecona, Kim zamknęła księgę i zeszła do piwnicy. Otworzyła szkatułkę z Biblią, wyjęła akt kupna, który znalazła za poprzednią bytnością, i sprawdziła daty. Miała rację! Podpis Elizabeth na akcie wziął się stąd, że Ronald w tym czasie przebywał na morzu.

Rozwiązanie nawet takiej małej zagadki związanej z osobą Elizabeth napędziło Kim uczuciem satysfakcji. Odłożyła dokument z powrotem do szkatułki i już miała dołożyć dziennik okrętowy do swojej skromnej kolekcji, gdy nagle zza tylnej jego okładki wysunęły się związane cienką wstążką trzy koperty.

Drżącymi palcami podniosła pakiecik. Koperta leżąca na wierzchu była zaadresowana do Ronalda Stewarta. Gdy odwiązała wstążkę, stwierdziła, że pozostałe też. Coraz bardziej podekscytowana, otwierała koperty i wyjmowała zawartość. Były to trzy listy, opatrzone datami 23 października, 29 października i 11 listopada 1692.

Pierwszy był od Samuela Sewalla:

23 października 1692

Boston

Mój drogi przyjacielu,

Pojmuję stan twojego ducha, choć w Bogu pokładam nadzieję, że twoje niedawne małżeństwo przyniesie ci ukojenie. Pojmuję też twoje pragnienie, by ukryć świadectwo nieszczęsnego przymierza twojej nieboszczki żony z księciem ciemności, lecz z życzliwości dla ciebie muszę ci odradzić zwracanie się do Jego Wysokości Gubernatora z petycją o warunkowe zdjęcie sekwestru z rozstrzygającego dowodu, na podstawie którego rzeczoną skazano. W tym celu doradzam ci zwrócić się z błaganem do Wielebnego Cottona Mathera, w którego piwnicy ujrzałeś piekielny owoc postępków twojej żony. Jest mi bowiem wiadomym, że Wielebnemu Matherowi na jego własną prośbę

powierzono stałą urzędową pieczę nad owym dowodem.

Pozostaję z przyjaźnią

Samuel Sewall

Zawiedziona, że kolejna wzmianka o tajemniczym dowodzie znów nic nie wyjaśnia, Kim zajęła się drugim listem. Ten był od Cottona Mathera.

Sobota, 29 października 1692

Boston

Czcigodny Panie,

Otrzymałem twój list, w którym przypominasz mi, iż jesteśmy towarzyszami z Kolegium Harvarda. Ze wzmianki tej czerpię nadzieję, że darzysz tę dostojną instytucję miłością, a zatem że będziesz skłonny umysłem i sercem przyjąć mój i mojego czcigodnego ojca osąd co do tego, gdzie powinno znaleźć swoje miejsce dzieło Elizabeth. Przypominasz sobie zapewne, jak goszcząc cię w lipcu w moim domu wyrażałem troskę, iż zacnymi mieszkańcami Salem łąco może owładnąć duch niespokojny i buntowniczy, a to za przyczyną obecności szatana, której niepodważalnym świadectwem są uczynki Elizabeth i ich piekielny owoc. Nieszczęśliwie się stało, że moja żarliwa troska pozostała bez echa i mimo moich nalegań o krytyczny sąd i najdalej posuniętą ostrożność w ocenie świadectwa duchów oraz pomimo skwapliwych starań naszych czcigodnych sędziów sławnych z mądrości, sprawiedliwości i dobroci, mogło zostać splamione dobre imię niewinnych osób. Doskonale pojmuję twoje szlachetne pragnienie, by oszczędzić rodzinie dalszych upokorzeń, lecz wierzę w to głęboko, iż dowód Elizabeth powinno się zachować dla wsparcia przyszłych pokoleń w odwiecznej walce z siłami zła, jako nieoceniony przykład dowodu koniecznego, by obiektywnie stwierdzić, że istotnie doszło do paktu z diabłem, a nie jest to zwykłe omamienie. W tym względzie długo naradzałem się z moim ojcem, dobrym Wielebnym Increase'em Matherem, który obecnie zasłużenie piastuje zaszczytny urząd rektora Kolegium Harvarda. Natchnieni tym samym duchem

zdecydowaliśmy wspólnie, że wzmiankowany dowód należy zatrzymać w uczelni, by tam służył nauce i wywierał budujący wpływ na przyszłe pokolenia, które muszą wzrastać w czujności, by przeciwstawić się szatańskim zamiarom w oddanym Bogu Nowym Świecie.

Twój sługa w imię Boga

Cotton Mather

Kim niedokładnie może zrozumiała wszystkie szczegóły listu, ale sedno było jasne. Coraz bardziej poirytowana, że nadal nic nie wiadomo o tajemniczym dowodzie, zajęła się ostatnim listem. Rzuciwszy okiem na podpis przekonała się, że jego autorem był Increase Mather.

11 listopada 1692
Cambridge

Czcigodny Panie,

Całym sercem pojmuję twoje pragnienie, by rzeczony dowód znalazł się w twoim wyłącznym posiadaniu, jednakże wiem od adiunktów, Williama Brattle'a i Johna Leveretta, że został on przyjęty przez studentów z żarliwym zaciekawieniem i wzbudził wielce pożyteczną i obiektywną debatę, skutkiem czego powzięliśmy przekonanie, iż Bożą jest wolą, by ten spadek po Elizabeth pozostał w Kolegium Harvarda i przyczynił się istotnie do ustanowienia obiektywnych kryteriów prawa eklezjastycznego w odniesieniu do czarostwa i innych przeklętych przejawów działalności diabła. Błagam cię, byś zechciał zrozumieć wagę tego dowodu i zgodził się w swym sercu, iż w rzeczy samej powinien on pozostać w naszych zbiorach. Gdy znakomici członkowie korporacji Harvarda zechcą utworzyć szkołę prawa, wówczas zostanie on przekazany tejże.

Pozostaję twoim sługą

Increase Mather

— Cholera! — zaklęła Kim przeczytawszy trzeci list. To wprost nie do wiary, żeby natrafić na tyle wzmianek o dowodzie Elizabeth i nadal nie wiedzieć, co to było. W nadziei że coś przeoczyła, przeczytała wszystkie listy jeszcze raz. Dziwne słownictwo i składnia cokolwiek utrudniały lekturę, ale gdy kończyła drugi, była już pewna, że nic jej nie umknęło.

Natchniona ich treścią, spróbowała wyobrazić sobie, co mogło stanowić ten niepodważalny dowód. Na podstawie swoich świeżych studiów nad sprawą czarownic z Salem nabierała coraz głębszego przekonania, że musiało to być coś w rodzaju książki. W czasach polowań na czarownice często mówiono o diabelskiej księdze. Domniemane czarownice zawierały pakt z diabłem właśnie przez wpis w diabelskiej księdze.

Kim jeszcze raz przejrzała listy. Zwróciła uwagę, że w jednym z nich dowód określono jako „dzieło Elizabeth”. Może Elizabeth sama zrobiła książkę w ozdobnej skórzanej oprawie? Kim zaśmiała się sama z siebie. Zdawała sobie sprawę, że ponosi ją fantazja, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

Zajrzała do listu Increase’a Mathera i odnotowała, że dowód wzbudził „pożyteczną i obiektywną debatę” wśród studentów. Wydało jej się, że to sformułowanie przemawia za hipotezą, iż dowód mógł być książką, a w dodatku sugeruje, że ważna jest jego zawartość, nie zaś wygląd.

Ale za chwilę przyszło jej na myśl, że mogła to być również lalka. W tym tygodniu czytała, że lalka z wbitymi w nią szpilkami posłużyła za dowód w procesie Bridget Bishop, pierwszej osoby powieszonej w rezultacie tragicznych wydarzeń w Salem.

Kim westchnęła. Wiedziała, że te chaotyczne rozważania a niczego nie prowadzą. W końcu dowodem mogło być cokolwiek, czemu przypisywano magiczną moc. Zamiast pograżać się w jałowych spekulacjach, powinna się trzymać faktów, które ma w ręku. A z tych trzech listów dowiedziała się o bardzo ważnym fakcie, mianowicie że dowód, cokolwiek to było, został w 1692 roku przekazany Uniwersytetowi Harvarda. Kim zaczęła się zastanawiać, jakie są szanse znalezienia tam teraz jakiejś wzmianki na ten temat i czy jej nie wyśmieją, jeśli się z tym do nich zwróci.

— Ach, tu jesteś! — zawołał Edward ze szczytu schodów. — Szczęście dopisało?

— Wyobraź sobie, że tak — odkrzyknęła Kim. — Chodź tutaj i rzuć okiem. Edward zszedł po schodach i wziął od niej listy.

— Mój Boże — zdumiał się, gdy zobaczył podpisy. — Trzej najślawniejsi purytanie! Co za znalezisko!

— Przeczytaj je. Są bardzo ciekawe, ale dla mnie osobiście denerwujące.

Edward oparł się o komodę, żeby przybliżyć się do ściennego lichtarza. Przeczytał listy w tej samej kolejności co Kim.

— Coś fantastycznego — powiedział, gdy skończył. — Strasznie mi się podoba to słownictwo i składnia. Widać, że w tamtych czasach retoryka była jednym z głównych przedmiotów nauczania. Niektórych słów nawet nie rozumiem. Nie wiem na przykład, co znaczy prawo eklezjastyczne.

— Chyba teologiczne — odparła Kim. — Ja nie miałam kłopotów z poszczególnymi słowami. Najtrudniej było mi nie pogubić się w tych zdaniach, które ciągną się niemal bez końca.

— Masz szczęście, że nie napisano ich po łacinie. W tamtych czasach, żeby się dostać do Harvardu, trzeba było biegle czytać i pisać po łacinie. A propos Harvardu, założę się, że te listy bardzo by ich zainteresowały, zwłaszcza ten od Increase'a Mathera.

— No właśnie — powiedziała Kim. — Zastanawiałam się, czy nie iść na Harvard i nie spróbować się dowiedzieć o dowód Elizabeth. Ale obawiałam się, że mnie wyśmieją. Może mogłabym zaproponować transakcję wymienną.

— Nikt cię nie wyśmiej — zapewnił ją Edward. — Jestem pewien, że w Bibliotece Widenera znajdzie się ktoś, kogo ta historia zainteresuje. Na pewno też nie pogardzą takim darem. Może nawet będą chcieli je od ciebie odkupić.

— Czy lektura nie nasunęła ci jakichś pomysłów, czym mógł być ten dowód?

— Raczej nie. Rozumiem, co miałaś na myśli mówiąc, że są denerwujące. To aż śmieszne, że tyle razy wspominają o tym dowodzie, a nigdzie nie powiedzą, co to było.

— Myślałam, że list Increase'a Mathera przemawia za hipotezą, że to mogła być książka. Szczególnie ten fragment, gdzie mówi o debacie wśród studentów.

— Może.

— Zaczekaj — rzekła nagle Kim. — Jeszcze jedna rzecz przyszła mi do głowy. Jakoś dotąd o tym nie pomyślałam. Dlaczego Ronald tak bardzo chciał ten dowód odzyskać? Czy to o czymś nie świadczy?

Edward wzruszył ramionami.

— Po prostu chciał oszczędzić bliskim następnych upokorzeń. Gdy jedna osoba była oskarżona o czary, to zwykle cała rodzina na tym cierpiała.

— A jeśli on go obciążał? Jeśli Ronald miał coś wspólnego z oskarżeniem i skazaniem Elizabeth? Wtedy może chciał go odzyskać, żeby móc go zniszczyć.

— Prrr, stój! — Edward odsunął się od niej, jakby w obawie, że go najedzie. — Niepotrzebnie doszukujesz się sensacji, wyobraźnia cię ponosi.

— W dziesięć tygodni po śmierci Elizabeth Ronald poślubił jej siostrę — oświadczyła Kim zajądło.

— Zdaje się, że o czymś zapominasz. Moje doświadczenia na szczątkach Elizabeth wskazują, że była ona najprawdopodobniej przewlekle zatruta tym grzybem, który odkryliśmy. Należy przypuszczać, że miała regularne odloty, bez żad-

nego udziału Ronalda. Co więcej, jeśli on jadł ten sam chleb, to mogło się z nim dzieć to samo. Uważam, że ten dowód to musiało być coś, co zrobiła Elizabeth pod wpływem halucynogennego działania grzyba. Tak jak mówiliśmy, to mogła być książka, obraz, lalka, cokolwiek związanego z magią.

— Może i masz rację — ustąpiła Kim. Wzięła od niego listy i włożyła je do szkatułki na Biblię. Rozejrzała się po piwnicy z jej pełnymi papierów sprzętami. — No dobrze, czas do rysownicy. A jeśli chodzi o dowód, to muszę po prostu dalej szukać i nie tracić nadziei, że gdzieś znajdę wyjaśnienie.

— Ja już skończyłem narady — oznajmił Edward. — Sprawa laboratorium posuwa się naprzód gładko. Muszę ci pogratulować tego kierownika budowy. Zacznie jeszcze dzisiaj, od wykopu. Powiedział, że nie widzi żadnych problemów, o ile nie znajdzie następnych grobów! Zdaje się, że Elizabeth trochę go wystraszyła. Kapitalny gość.

— Chcesz wracać do Bostonu?

— Chciałbym — przyznał. — Skoro Omni tak szybko staje się rzeczywistością, przydałoby się porozmawiać z różnymi ludźmi. Ale mogę pojechać pociągiem, tak jak ostatnio. Jeśli ty chcesz zostać i popracować nad swoim projektem, to zostań.

— No dobrze, skoro nie masz nic przeciwko temu — powiedziała Kim. Znalezienie tych listów na nowo pobudziło jej zapał.

ROZDZIAŁ 9

PIĄTEK, 12 SIERPANIA 1994

Początek sierpnia był upalny, mglisty i duszny. Przez cały lipiec prawie nie było deszczu i teraz susza trwała już nieprzerwanie, aż trawa na Boston Common, przed domem, w którym mieszkała Kim, zbrązowiała.

W pracy sierpień był trochę lżejszy. Kinnard zaczął dwumiesięczny staż w szpitalu w Salem, więc Kim nie denerwowała się przynajmniej, widząc go codziennie na intensywnej terapii. Udało jej się też wywalczyć w kadrach urlop na cały wrzesień. Była to suma nie wykorzystanych wcześniej urlopów wypoczynkowych i trochę bezpłatnego. Dyrekcja nie była zachwycona, ale zgodziła się, w obawie że Kim odejdzie.

Na początku miesiąca miała też sporo czasu dla siebie, bo Edward był ciągle w rozjazdach. Latał po całym kraju z sekretną misją rekrutacyjną na rzecz Omni Pharmaceuticals. Ale nie zapominał o niej. Mimo nawału zajęć dzwonił codziennie około dziesiątej, zanim poszła spać. Kwiaty też nadal przychodziły codziennie, choć na skromniejszą skalę; zwykle była to jedna róża, co Kim podobało się o wiele bardziej, jako mniej krępujące.

Nie miała kłopotów ze znalezieniem sobie zajęcia. Wieczorami nadal czytała wszystko co się dało o czarownicach z Salem i kulturze czasów purytańskich. Codziennie też bez względu na okoliczności odwiedzała majątek. Prace postępowały w oszałamiającym tempie. Ekipa zatrudniona przy laboratorium była znacznie liczniejsza, ale remont domu nie ucierpiał. Prace stolarskie były już na ukończeniu i zaczynało się malowanie.

Dla Kim najzabawniejsze w tej całej budowie było to, że dzięki niej szalenie zaimponowała ojcu. Nie zdradziła mu, że nie był to jej pomysł i że jej udział w tej części projektu jest żaden.

Za każdą bytnością Kim spędzała przynajmniej trochę czasu w zamku, mozolnie przedzierając się przez sterty zakurzonych dokumentów i książek. Rezultaty nie były zachęcające. Odkrycie tych trzech listów dodało jej otuchy, ale następne bite dwadzieścia sześć godzin poszukiwań nie przyniosło nic o porównywalnej wartości. Wobec tego w czwartek jedenastego sierpnia postanowiła pójść śladem,

który miała w ręku. Wzięła ze sobą list Increase'a Mathera i zebrała się na odwagę, żeby zwrócić się do Harvardu.

Dwunastego sierpnia wyszedłszy z pracy Kim udała się na róg ulic Charles i Cambridge i zeszła po schodach do kolejki. Po niepowodzeniu w archiwum stanowym, które, jak teraz wiedziała, było nieuniknione, jako że Ronald nigdy nie złożył petycji do gubernatora, nie miała wielkiej nadziei, że na Harvardzie znajdzie dowód winy Elizabeth. Nie tylko uważała, że nikłe są szanse, by uniwersytet przechowywał jeszcze tego rodzaju materiały, ale w dodatku była przekonana, że potraktują ją tam jak stukniętą. Kto zdrowy na umyśle poszukiwałby nie zidentyfikowanego obiektu sprzed trzystu lat, którego charakteru nie zdradza żadna z nielicznych wzmianek, jakich się doszukała?

Zanim przyjechał pociąg, Kim kilkakrotnie omal nie zawróciła, ale za każdym razem powstrzymywała ją myśl, że to jedyny ślad, jakim dysponuje. Czuła się zmuszona iść za nim bez względu na to, z jaką spotka się reakcją.

Wyszła z metra na gwarny i ruchliwy jak zwykle Harvard Square. Ale gdy przeszła przez Massachusetts Avenue i weszła na teren kampusu, hałas i tłum znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wędrując po spokojnych, ocienionych drzewami alejkach, wśród porośniętych bluszczem czerwonych ceglanych murów, zastanawiała się, jak wyglądał kampus w siedemnastym wieku, kiedy studiował tu Ronald Stewart. Żaden z budynków, które mijala, nie wyglądał na aż tak stary.

Mając w pamięci uwagę Edwarda na temat Biblioteki Widenera, Kim postanowiła zacząć od niej. Wspięła się po szerokich schodach między imponującymi kolumnami. Była zdenerwowana i stale musiała sobie dodawać odwagi. Zwróciła się do informacji z mętną prośbą o skierowanie jej do kogoś, kto zajmuje się bardzo starymi przedmiotami. Wskazano jej gabinet Mary Custland.

Mary Custland była energiczną kobietą około trzydziestki elegancką w swoim granatowym kostiumie, białej bluzce i kolorowej apaszcze. Zdecydowanie nie pasowała do wyobrażenia Kim o typowej bibliotekarce. Nosila tytuł kustosza Zbioru Rzadkich Ksiąg i Manuskryptów. Ku wielkiej uldze Kim okazała się pełna uroku i ciepła, i natychmiast zapytała, w czym może jej pomóc.

Kim wyciągnęła list, podała go Mary i napomknęła, że ona właśnie jest potomkinią adresata. Zaczęła tłumaczyć, o co jej chodzi, ale Mary jej przerwała.

— Przepraszam — powiedziała osłupiała. — Przecież to jest list Increase'a Mathera! — Mówiąc to, nabożnie ujęła kartkę za sam brzeżek.

— Właśnie o tym mówię — wyjaśniła Kim.

— Pozwoli pani, że poproszę tu Katherine Sturburg — rzekła Mary.

Ostrożnie odłożyła list na biurko i wzięła telefon. Czekać na połączenie wytłumaczyła Kim, że Katherine specjalizuje się w siedemnastym wieku, a szczególnie interesuje ją Increase Mather.

Skończywszy rozmowę, Mary spytała Kim, skąd ma ten list. Kim znowu za-

częła opowiadać, ale wtedy właśnie weszła Katherine. Była znacznie starsza, siwa, nosiła okulary, które stale zjeżdżały jej na czubek nosa. Mary przedstawiła jej siebie, po czym pokazała jej list.

Katherine zaledwie czubkiem palca przysunęła go do siebie, tak aby móc przeczytać. Widząc to, Kim natychmiast się zawstydziała, że sama traktowała go tak nonszalancko.

— Co o tym myślisz? — spytała Mary, gdy Katherine skończyła czytać.

— Bez wątplenia autentyk — odparła Katherine. — Widać to i po piśmie, i po składni. To fascynujące. Wspomina o Williamie Brattle'u i Johnie Leveretcie. Ale co to za dowód, o którym tu mowa?

— O to właśnie chodzi — powiedziała Kim. — W tej sprawie przyszedłam. Chciałam się czegoś dowiedzieć o mojej antenatce, Elizabeth Stewart, i cała rzecz zdaje się sprowadzać do rozwiązania tej zagadki. Miałam nadzieję, że może Harvard zdoła mi pomóc, skoro ten dowód, cokolwiek to było, znalazł się tutaj.

— Jaki to ma związek z czarami? — spytała Mary.

Kim wyjaśniła, że Elizabeth była jedną z ofiar polowania na czarownice w Salem i ten dowód — cokolwiek to było — posłużył do jej skazania.

— Powinam była się domyślić na podstawie daty — stwierdziła Katherine.

— Increase Mather określa go jako „spadek po Elizabeth” — zauważyła Mary. — To dziwne sformułowanie. W moim przekonaniu to by wskazywało, że chodzi o coś, co Elizabeth albo zrobiła, albo zdobyła za cenę znacznego wysiłku bądź majątku.

Kim skinęła głową. Powiedziała o swoich przypuszczeniach, że może to być książka lub inny dokument pisany, choć przyznała, że równie dobrze cokolwiek innego, co ludzie w tamtych czasach kojarzyli z czarami i magią.

— Na przykład lalka — podsunęła Mary.

— O tym też myślałam — przytaknęła Kim.

Bibliotekarki zaczęły się naradzać, jak najlepiej zacząć poszukiwania wśród ogromnych zasobów Harvardu. Po krótkiej dyskusji Mary zasiadła do komputera i wystukała nazwisko ELIZABETH STEWART.

Przez chwilę nie było reakcji. Pokój zamarł w bezruchu, jeśli nie liczyć kursora mrugającego na pustym ekranie, gdy komputer przeszukiwał swoją ogromną pulę informacji. Kilka razy monitor ożywił się i wyświetlił listę, wzbudzając w Kim nadzieję. Ale za każdym razem krótkotrwała. Wszystkie wymienione osoby o nazwisku Elizabeth Stewart pochodziły z dziewiętnastego i dwudziestego wieku i nie były w żaden sposób związane z rodziną Kim.

Następnie Mary spróbowała z RONALDEM STEWARTEM, ale wynik był taki sam. Żadnych danych z siedemnastego wieku. Przedmiotem kolejnej próby był INCREASE MATHER. Ogromne bogactwo materiału, ale żadnych związków ze Stewartami.

— To mnie nie dziwi — podsumowała Kim. — Zbyt wiele sobie po tej wizycie nie obiecywałam. Mam nadzieję, że nie sprawiłam dużego kłopotu.

— Przeciwnie — odparła Katherine. — Cieszę się, że pokazała nam pani ten list. Gdyby pani nie miała nic przeciwko temu, chciałabym go skopiować do naszych zbiorów.

— Oczywiście, bardzo proszę. A nawet, gdy tylko skończę swoją minikrucjatę, z przyjemnością ofiaruję go bibliotece.

— Byłby to bardzo szlachetny gest — powiedziała Mary.

— Ponieważ ja zajmuję się szczególnie Increase'em Matherem, chętnie przeszukam swoje akta pod kątem Elizabeth Stewart — obiecała Katherine. — Czymkolwiek była ta rzecz, musi być o niej jakaś wzmianka, skoro list Mathera potwierdza, że została ofiarowana Harvardowi. W kwestii świadectwa duchów w procesach czarownic w Salem toczyła się zażarta dyskusja i mamy na te temat mnóstwo materiałów. Mam wrażenie, że to właśnie o niej wspomina Mather w tym liście. Więc jest jeszcze szansa, że uda mi się coś znaleźć.

— Będę wdzięczna za każdą próbę — odparła Kim. Podała jej swój telefon do pracy i domowy.

Bibliotekarki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, po czym odezwała się Mary.

— Nie chcę przesądzać sprawy, ale muszę panią uprzedzić, że szansę na znalezienie samego dowodu, bez względu na to, co to było, są minimalne. Dwudziestego czwartego stycznia tysiąc siedemset sześćdziesiątego czwartego roku na Harvardzie zdarzyła się wielka tragedia. Old Harvard Hall w tym czasie zajmował Sąd Najwyższy, ponieważ w Bostonie panowała ospa. Niestety od ognia, który ktoś zostawił w bibliotece w zimną śnieżną noc, zaczął się pożar, który strawił budynek i jego bezcenną zawartość. Spłonęły wszystkie portrety rektorów i fundatorów uczelni, jak również większość zbiorów bibliotecznych liczących pięć tysięcy tomów. Wiem na ten temat sporo, bo była to największa katastrofa w dziejach biblioteki. Ofiarą padły nie tylko książki; była także kolekcja wypchanych zwierząt i ptaków i najciekawsza ze wszystkiego kolekcja zwana magazynem osobliwości.

— Sądząc po nazwie mogła zawierać przedmioty związane z magią — zauważyła Kim.

— Bez wątplenia — przytaknęła Mary. — Jest bardzo prawdopodobne, że to, czego pani szuka, znajdowało się w tej tajemniczej kolekcji. Ale nie wiadomo, czy kiedykolwiek się tego dowiemy. Katalog też uległ zniszczeniu.

— Ale to nie znaczy, że nie znajdę na ten temat żadnej informacji — zapewniła Katherine. — Dam z siebie wszystko.

Kim schodziła po schodach biblioteki powtarzając sobie, że nie oczekiwała sukcesu, więc nie powinna być rozczarowana. W każdym razie nikt się z niej nie śmiał, a bibliotekarki autentycznie zainteresowały się listem. Wierzyła, że postarają się znaleźć jakieś informacje o jej przodkach.

Wróciła metrem na Charles Street i zabrała samochód ze szpitalnego garażu. Miała zamiar pojechać do domu i przebrać się, ale wyprawa na Harvard zajęła jej więcej czasu, niż się spodziewała. Toteż pojechała prosto na lotnisko, po Edwarda, który miał wrócić z Zachodniego Wybrzeża.

Przyleciał zgodnie z rozkładem, a ponieważ nie miał bagażu, poszli prosto na parking.

— Wszystko idzie świetnie, nie może być lepiej — oświadczył Edward. Był w szampańskim humorze. — Tylko jedna osoba z tych, które chciałem pozyskać dla Omni, odmówiła współpracy. Pozostali wręcz szaleli z zachwytu. Wszyscy uważają, że Ultra będzie lekiem stulecia.

— Co im powiedziałaś?

— Prawie nic, dopóki się nie zdecydowali. Ani mi się śni ryzykować. Ale nawet mając bardzo ogólne informacje, byli tak chętni, że nie musiałem wcale poświęcać zbyt dużo z zysków. Jak dotąd oddałem tylko czterdzieści tysięcy nie zainwestowanych udziałów.

Kim nie wiedziała, co to znaczy, i nie zapytała. Doszli do samochodu. Edward włożył swoje reklamówki do bagażnika. Wsiadli i wyjechali z garażu.

— Jak budowa? — spytał Edward.

— Dobrze — odparła Kim bez entuzjazmu.

— Czy mi się wydaje, czy jesteś trochę przygnębiona?

— Może. Zebrałam się dziś na odwagę i poszłam na Harvard w sprawie dowodu Elizabeth.

— Nie powiesz mi chyba, że byli dla ciebie nieprzyjemni?

— Nie, bardzo uczynni. Problem polega na tym, że nie mieli dla mnie żadnych pocieszających informacji. W roku tysiąc siedemset sześćdziesiątym czwartym na Harvardzie wybuchł wielki pożar, w którym spłonęła biblioteka i pewna kolekcja, którą nazywano magazynem osobliwości. Na domiar złego spalił się także katalog, więc nawet nie wiadomo, co zawierała. Obawiam się, że dowód Elizabeth najzupełniej dosłownie poszedł z dymem.

— To znaczy, że nie pozostaje ci nic innego jak dalej przetrząsać magazyn w zamku.

— Na to wygląda. Tyle że trochę straciłam zapal.

— No jak to? Sądziłem, że znalezienie tych listów obu Matherów i Sewalla ogromnie cię pobudziło do działania.

— Pobudziło. Ale wrażenie zaczęło blednąć. Od tego czasu spędziłam prawie trzydzieści godzin na szukaniu i nie znalazłam jednej jedynej karteczki z siedemnastego wieku.

— Mówiłem ci, że to nie będzie łatwe — przypomniał jej Edward.

Kim nie odpowiedziała. „A nie mówiłem” było ostatnią rzeczą jaką w tym momencie miała ochotę usłyszeć.

W domu Edward, zanim jeszcze zdjął kurtkę, już telefonował do Stantona. Kim słuchała piąte przez dziesiąte jego relacji z udanej misji rekrutacyjnej.

— I z tej strony dobre wieści — oznajmił odłożywszy słuchawkę. — Stanton włożył już do kasy Omni prawie całe cztery i pół miliona i zaczął formalności patentowe. Idzie jak po maśle.

— Cieszę się — odparła Kim. Uśmiechnęła się, ale równocześnie westchnęła.

ROZDZIAŁ 10

PIĄTEK, 26 SIERPNIĄ 1994

Ostatnie dni sierpnia mijały jak z bicza trząśł. Prace w majątku postępowały w szaleńczym tempie, zwłaszcza w laboratorium, gdzie Edward spędzał teraz większość czasu. Codziennie przybywały nowe elementy wyposażenia, powodując za każdym razem masę zamieszania przy wyładowywaniu, ustawianiu, instalowaniu i w miarę potrzeb konstruowaniu osłon.

Edward był jak wulkan aktywności. Zajmował się dosłownie wszystkim. W jednej chwili architekt, w następnej inżynier elektronik, a na koniec kierownik budowy, sam jeden kierował akcją przy narodzinach laboratorium. Poświęcał mu mnóstwo czasu i w rezultacie coraz bardziej zaniedbywał swoje obowiązki na Harvardzie.

Wreszcie konflikt między jego powołaniem naukowca a pracą nauczyciela akademickiego wyszedł na jaw wskutek postępków jednego z jego doktorantów. Miał on śmiałość poskarżyć się władzom uczelni, że Edward jest ostatnio nieuchwytny. Gdy ów się o tym dowiedział, wpadł w furję i niezwłocznie zwolnił odważnego studenta.

Ale nie był to koniec afery. Student, nie mniej rozwścieczony, znowu odwołał się do władz. Zwrócono się do Edwarda, ale on odmówił przeprosin i przyjęcia zwolnionego studenta z powrotem. W rezultacie jego stosunki z administracją w coraz większym stopniu przepajała żółć.

Na domiar złego harwardzkie Biuro Licencji dowiedziało się skądś o zaangażowaniu Edwarda w Omni. Dotarła też do nich niepokojąca wieść o wniosku patentowym na nową cząsteczkę. Biuro Licencji żądając wyjaśnień zasypało Edwarda lawiną pism, które on pozwolił sobie zignorować.

Uczelnia znalazła się w trudnej sytuacji. Nie chciała stracić Edwarda, jednej z najjaśniejszych gwiazd współczesnej biochemii. Z drugiej jednak strony jej władze nie mogły spokojnie patrzeć jak i tak niedobra sytuacja jeszcze się pogarsza. Była już kwestia zasad i precedensów.

Całe to napięcie zaczęło dawać się Edwardowi we znaki, szczególnie w połączeniu ze stresami i emocjami związanymi z Omni, perspektywami Ultra i co-

dziennymi problemami na placu budowy.

Kim miała tego świadomość i starała się jak mogła ulżyć nieco Edwardowi. Większość wieczorów spędzała teraz w jego mieszkaniu i bez pytania przejęła domowe obowiązki: gotowanie obiadów, karmienie psa, a nawet sprzątanie i pranie.

Niestety Edward jakby nie doceniał jej wysiłków. Gdy Kim zaczęła regularnie u niego nocować, kwiaty przestały przychodzić. Uznała to za rozsądne, ale brakowało jej troskliwości, jaką symbolizowały.

Wychodząc z pracy dwudziestego szóstego sierpnia, zastanawiała się nad sytuacją. Dodatkowo komplikował ją fakt, że ona i Edward do tej pory nie poczynili żadnych planów co do przeprowadzki, choć już za pięć dni mieli opuścić swoje mieszkania. Kim obawiała się poruszyć ten temat; czekała na jakiś dzień, kiedy Edward będzie mniej zdenerwowany. Niestety, takich dni nie było.

Zatrzymała się przy sklepie spożywczym i zrobiła zakupy na kolację. Wybrała rzeczy, co do których była pewna, że Edward je lubi. Kupiła nawet butelkę wina.

Gdy dotarła do jego mieszkania, zaczęła od pozbierania leżących w nieładzie magazynów i gazet. Potem nakarmiła psa i przygotowała kolację na siódmą, ponieważ Edward zapowiedział, że o tej porze wróci.

Siódma przyszła i przeszła. Kim wyłączyła ogrzewanie pod ryżem. O wpół do ósmej przykryła sałatkę folią i włożyła do lodówki. W końcu o ósmej pojawił się Edward.

— Niech to wszystko szlag! — rzucił, zamykając drzwi kopniakiem. — Cofam wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem dobrego o tym twoim kierowniku budowy. Cóż to za palant! O mało go nie wałnąłem. Obiecał, że dziś na pewno przyjdą elektrycy, i nie przyszli.

Kim powiedziała mu, co jest na kolację. Odburknął coś i poszedł umyć ręce. Zaczęła, podgrzewać ryż w kuchence mikrofalowej.

— Cholerne laboratorium mogłoby już dawno działać, gdyby te tępe pały zdołały skoordynować swoje poczynania! — krzyknął Edward z łazienki.

Kim nałala wina do kieliszków. Zaniósła je do sypialni i podała jeden Edwardowi, gdy tylko wychynął z łazienki. Wziął go i zaczął saczyć wino.

— Nie chcę nic więcej, tylko móc ruszyć z badaniami kontrolowanymi — podjął. — Tymczasem wszyscy jakby się sprzysięgli, żeby mi rzucać kłody pod nogi.

— Może to nie jest najlepszy moment — zaczęła Kim z wahaniem — ale ostatnio nie ma dobrych. Pierwszy za progiem, a my nic jeszcze nie postanowiliśmy w sprawie przeprowadzki. Od dawna zbieram się, żeby o tym z tobą porozmawiać.

Edward eksplodował. W napadzie niepohamowanej furii roztrzaskał kieliszek o kominek rycząc:

— Tego mi tylko brakowało, żebyś i ty ciosała mi kołki na głowie!

Pochylił się nad nią z rozszerzonymi źrenicami i nabrzmiętymi żyłami na skroniach. Mięśnie zaciśniętych szczęk drgały; na przemian zaciskał, to znów rozluźniał pięści.

— Przepraszam — wybąkała Kim.

Przez chwilę bała się poruszyć. Nie znała Edwarda z tej strony. Był potężnie zbudowanym mężczyzną i wiedziała, jak jest silny. Nietrudno było zgadnąć, co mógłby jej zrobić, gdyby zechciał.

Gdy tylko odzyskała władzę nad sobą, zerwała się i wybiegła z pokoju. Najpierw poszła do kuchni i zaczęła się gorączkowo krzątać. Ale gdy minął pierwszy wstrząs, postanowiła opuścić ten dom. Odwróciła się od kuchenki i ruszyła do salonu, a stamtąd do wyjścia, ale nagle się zatrzymała. W drzwiach stał Edward. Ku jej uldze jego twarz była całkowicie odmieniona. Miejsce wściekłości zajęło zmieszanie, a nawet smutek.

— Przepraszam — zaczął. Zacinał się tak bardzo, że słowa z trudem wydobywały mu się z ust. — Nie wiem, co mnie opętało. Domyślam się, że to przez te wszystkie napięcia, choć wiem, że to żadne usprawiedliwienie. Strasznie mi wstyd. Przebacz mi.

Kim natychmiast rozbroiła jego szczerłość. Podeszła do niego; zatonęli w uścisku. Potem wrócili do salonu i usiedli na kanapie.

— Ostatnie dni były dla mnie okropnie wyczerpujące — mówił Edward. — Harvard doprowadza mnie do szału, a ja za wszelką cenę chcę mieć spokój, by móc się zająć Ultra. Eleanor pracuje nad nim na ile jest w stanie sama i wyniki są doskonałe. Ale za nic w świecie nie chciałbym wyładowywać się na tobie.

— Ja też byłam ostatnio wykończona — przyznała Kim. — Zawsze denerwowałam się przeprowadzkami. A w dodatku zdaje się, że ta historia z Elizabeth stała się dla mnie prawie obsesją.

— Nie można powiedzieć, żebym ja ci w czymkolwiek pomagał. Za to też cię przepraszam. Umówmy się, że będziemy dla siebie troskliwsi.

— Doskonała myśl — odparła Kim.

— Sam powinienem być poruszyć temat przeprowadzki. Przecież to nie tylko twój problem. Kiedy chcesz to zrobić?

— Musimy zwolnić nasze mieszkania pierwszego września.

— To może trzydziestego pierwszego?

ŚRODA, 31 SIERPANIA 1994

Dzień przeprowadzki był nerwowy już od pierwszych godzin rannych. Wóz meblowy zajechał przed dom Kim o wpół do ósmej i najpierw zabrano jej rzeczy. Potem pojechał do Cambridge, po dobytek Edwarda. Załadowano wszystko do ostatniego krzesła. Wóz był pełen.

Kim i Edward pojechali do majątku własnymi samochodami, wraz ze swoimi ulubieńcami. Gdy przybyli na miejsce, Sheba i Bufor spotkali się po raz pierwszy w życiu. Jako że byli mniej więcej tych samych rozmiarów, konfrontacja przebiegła w atmosferze sztywnej rezerwy. Od tej pory nie zwracali na siebie uwagi.

Gdy robotnicy zaczęli wносить rzeczy do domku, Edward zaskoczył Kim propozycją, by zajęli osobne sypialnie.

— Dlaczego? — zdumiała się.

— Bo ostatnio nie jestem sobą — tłumaczył. — Przez to wszystko nie sypiam dobrze. Mając osobną sypialnię mógłbym włączyć światło i poczytać sobie dla uspokojenia.

— Mnie by to nie przeszkadzało — przekonywała Kim.

— No a przez tych kilka ostatnich nocy we własnym mieszkaniu nie spało ci się lepiej?

— Nie.

— Cóż, w takim razie pod tym względem się różnimy. Ja spałem zdecydowanie lepiej. Świadomość, że ci nie przeszkadzam, pozwoliła mi się odprężyć. Zresztą to tylko tymczasowe rozwiązanie. Jak tylko laboratorium się otworzy i sprawy się unormują, to napięcie minie. Wtedy zamieszkamy razem. Na pewno to rozumiesz, prawda?

— Chyba tak — bąknęła Kim, starając się nie okazać rozczarowania.

Rozładowywanie poszło znacznie szybciej niż załadowanie i wkrótce dom był zagrożony aż po dach pudłami i poustawianymi na chybił trafił meblami. Robotnicy pozbierali swoje narzędzia, Kim podpisała dokumenty i patrzyła, jak odjeżdżają.

Zaledwie wóz transportowy zniknął z pola widzenia, pomiędzy drzew wyłonił się mercedes i szybko zdążył w ich kierunku. Kim poznała go. To był samochód Stanton. Zanim poszła otworzyć drzwi, zawołała do Edwarda, że ma gościa.

— Gdzie Edward? — spytał Stanton za całe powitanie.

— Na górze. — Kim machnęła ręką za siebie.

Stanton minął ją w progu i krzyknął do Edwarda, żeby zszedł. Stał w holu z rękami na biodrach, nerwowo postukując prawą stopą. Był wyraźnie zdenerwowany.

Kim weszła za nim. Wiedząc, jak krucha jest teraz równowaga psychiczna Edwarda, obawiała się, że Stanton może doprowadzić do awantury. Nigdy nie liczył się z cudzymi uczuciami.

— Chodź tu, Edward! — krzyknął znowu Stanton. — Musimy porozmawiać.

Edward ukazał się na podeście schodów. Szedł powoli.

— Co się stało? — spytał.

— Och, nic wielkiego — odparł sarkastycznie Stanton. — Tylko że twoje tempo spożycia naszego kapitału przekracza wszelkie granice. To twoje laboratorium

pochłania astronomiczne sumy. Co ty tam robisz, wysadzasz klopy diamentami?

— O co ci konkretnie chodzi? — spytał ostrożnie Edward.

— O wszystko. Chyba musiałeś pracować dla Pentagonu, bo zamawiasz wyłącznie rzeczy najdroższe z możliwych.

— Badania najwyższej jakości można przeprowadzać tylko na sprzęcie najwyższej jakości. Kiedy rozmawialiśmy o utworzeniu Omni, postawiłem sprawę jasno. Chyba nie sądzisz, że takie rzeczy można kupić na wyprzedazy?

Kim obserwowała, jak skaczą sobie do oczu. Im dłużej się kłócili, tym mniejsze były jej obawy. Edward był zły, ale nie tracił panowania nad sobą.

— W porządku — rzekł Stanton. — Zostawmy na razie w spokoju koszty laboratorium. Chcę natomiast, żebyś mi przedstawił, jakie mamy perspektywy czasowe na akceptację Ultra przez FDA. Muszę wiedzieć, kiedy pieniądze zaczną napływać, zamiast wypływać.

Edward, poirytowany, rozłożył ręce.

— Jeszcze nawet nie otworzyliśmy drzwi laboratorium, a ty już mówisz o terminie zakończenia badań. O FDA mówiliśmy w restauracji, zanim zdecydowaliśmy się założyć firmę. Czyżbyś zapomniał?

— Posłuchaj, mądralo — odpalił Stanton. — Cały ciężar tej operacji spoczywa na moich barkach. I niestety zadanie nie należy do najłatwiejszych, zważywszy na tempo, w jakim przejeżdżasz nasz kapitał. — Odwrócił się do Kim, która stała pod ścianą. — Kim — poprosił — wytłumacz temu upartemu kretynowi, że dla nowo powstałej firmy odpowiedzialność finansowa jest podstawowym warunkiem istnienia.

— Jej w to nie wciągaj! — warknął Edward.

Stanton widocznie wyczuł, że posunął się za daleko, bo natychmiast zmienił ton na pojednawczy.

— Tylko spokojnie — powiedział unosząc dłonie gestem prośby. — Zrozum, że moje pytanie nie jest pozbawione sensu. Muszę mieć jakiś orientacyjny plan prac, które zamierzasz prowadzić w tym swoim wyłożonym złotymi kafelkami laboratorium, bo inaczej nie będę w stanie przewidzieć i pokryć naszych potrzeb finansowych.

Edward głośno wypuścił powietrze, kilka razy głęboko odetchnął i wyraźnie się odprężył.

— Pytać o plan prac to całkiem co innego niż wpadać tu jak po ogień i żądać, żebym podał datę, kiedy uzyskamy akceptację FDA.

— Przepraszam, że zachowałem się tak mało dyplomatycznie — rzekł Stanton. — A więc jaki jest twój plan szturmu?

— Na początek musimy się dowiedzieć o Ultra wszystkiego co się da. Musimy uzupełnić nasze wiadomości o jego właściwościach chemicznych, takich jak rozpuszczalność w różnych rozpuszczalnikach czy reakcje z innymi związkami. Potem zaczniemy kontrolowane doświadczenia biologiczne, aby poznać

metabolizm, drogę wydalania i toksyczność. Badania toksykologiczne musimy przeprowadzić zarówno *in vitro*, jak i *in vivo*, na pojedynczych komórkach, grupach komórek i na całych organizmach żywych. Zaczniemy od wirusów, potem bakterie i wreszcie zwierzęta wyższe. Musimy określić warunki doświadczeń. Na poziomie molekularnym musimy zidentyfikować miejsca i mechanizm wiązania. Musimy przetestować ten związek w różnych temperaturach i pH. Wszystko to musimy zrobić, zanim wystąpimy do FDA o próbne zastosowanie nowego leku. Bez tego nie można zacząć prób klinicznych.

— Wielki Boże! — jęknął Stanton. — Niedobrze mi na samą myśl o tym. Toż to dziesiątki lat pracy.

— Dziesiątki nie — odparł Edward. — Ale lata, tak. Przecież ci mówiłem. Mówiłem ci, że przeciętny czas wprowadzania nowego leku wynosi mniej więcej dwanaście lat, ale ja jestem w stanie znacznie ten czas skrócić.

— Sześć? — spytał Stanton.

— Nie mogę niczego obiecywać, dopóki nie zaczniemy pracy i nie zbierzemy trochę więcej danych. Na razie mogę powiedzieć, że będzie to więcej niż trzy lata, a mniej niż dwanaście.

— Jest jakaś szansa, żeby to były trzy lata? — spytał Stanton z nadzieją w głosie.

— To byłby cud — przyznał Edward. — Ale zupełnie niemożliwe to nie jest. I weź pod uwagę jeszcze jedno. To gwałtowne topnienie kapitału spowodowała budowa laboratorium. Teraz, kiedy laboratorium jest już prawie gotowe, wydatki zdecydowanie się zmniejszą.

— Chciałbym móc na to liczyć — odparł Stanton. — Ale nie mogę. Wkrótce zaczniemy płacić gigantyczne pensje, które obiecałeś swojemu zespołowi.

— Hej, musiałem dać dobre pensje, żeby przyciągnąć najlepszych ludzi. Wołałem obiecać raczej to niż większy udział w zyskach. Nie chciałem oddawać zbyt dużo majątku.

— Nie będzie żadnego majątku, jeśli zbankrutujemy.

— Wierz mi, jesteśmy do przodu. Większość firm farmaceutycznych i biotechnologicznych powstaje nie mając na horyzoncie żadnego konkretnego leku. My go mamy.

— Wiem o tym. Ale mam pietra. Jeszcze nigdy nie inwestowałem całej swojej forsy w jedno przedsięwzięcie i nie patrzyłem, jak błyskawicznie się rozchodzi.

— To mądra inwestycja — zapewnił go Edward. — Obaj będziemy miliardarami. Jestem pewien, że Ultra jest wart aż tyle. Chodź, pokażę ci laboratorium. To cię przekona.

Poszli w stronę laboratorium. Kim odetchnęła z ulgą. Stanton położył nawet Edwardowi rękę na ramieniu.

Gdy wyszli, zlustrowała pokój. O dziwo, jej myśli nie krążyły wokół nieprzyzwoitego bałaganu spowodowanego przeprowadzką. W nagłej ciszy doznała

szczególnie intensywnego wrażenia obecności Elizabeth; z ogromną siłą wróciło uczucie, że ona usiłuje się z nią porozumieć. Ale choć Kim koncentrowała się ze wszystkich sił, nie docierały do niej żadne słowa. Niemniej jednak zyskała w tej chwili przeświadczenie, że Elizabeth istnieje w samym jądrze jej osobowości. A ten dom, który odtąd miał być domem Kim, w pewnym sensie nadal należy do Elizabeth.

Myśli te odrobinę ją niepokoiły. Zaczęła dopatrywać się w posłaniu Elizabeth nuty udręki i przynaglenia.

Ignorując zadania, zdawałoby się, bezwzględnie pilniejsze, Kim pośpiesznie odpakowała odnowiony portret Elizabeth i powiesiła go nad kominkiem. Na odmalowanej ścianie nie było już po nim śladu. Kim musiała zgadywać, na jakiej to było wysokości. Odczuwała gwałtowną potrzebę, by zawiesić obraz dokładnie tak, jak wisiał trzysta lat temu.

Odeszła parę kroków i przyjrzała się swojemu dziełu. Portret sprawiał teraz tak realistyczne wrażenie, że doznała wstrząsu. W lepszym oświetleniu wydawał jej się dość prymitywny. Teraz, w domu, w przygasającym świetle późnego popołudnia, efekt był całkiem odmienny. Zielone oczy Elizabeth przeszywały cienie przenikliwym blaskiem. Kilka minut Kim stała na środku pokoju jak zahipnotyzowana, patrząc w obraz jakby w lustro. Spoglądając w twarz Elizabeth, doznawała jeszcze silniejszego uczucia, że jej antenatka usiłuje porozumieć się z nią ponad przepaścią wieków. Kim znów wyteżyła uwagę, by usłyszeć słowa, ale dotarła do niej tylko cisza.

Pod wpływem mistycznej siły płynącej z portretu Kim znów udała się do zamku. Mimo że miała tyle rzeczy do rozpakowania i mimo tylu rozpaczliwie bezowocnych godzin grzebania w papierach odczuła nagłą nieprzewyciężoną potrzebę, żeby tam wrócić. Portret Elizabeth ożywił w niej motywację, żeby dowiedzieć się możliwie najwięcej o jego tajemniczej bohaterce.

Jakby wiedziona nadnaturalną mocą Kim wspięła się na schody i poszła na poddasze. Gdy znalazła się na miejscu, nie wahała się, co robić, ani nie traciła czasu na otwieranie okien. Pomaszerowała prosto do czegoś, co wyglądało jak stary kufer podróżny. Podniosła wieko i zobaczyła, jak wszędzie, pełno kartek, kopert i kilka rejestrów.

Pierwsza księga zawierała inwentarz statków. Nosiła datę 1862. Tuż pod nią Kim znalazła większy, niestarannie obwiązany notatnik z przyczepionym do niego listem. Kim przełknęła ślinę. Był adresowany do Ronalda Stewarta.

Sięgnęła do kufra i wyciągnęła notes. Odwiązawszy sznurek otworzyła kopertę i wyjęła z niej list. Mając w pamięci, jak ostrożnie archiwistki z Harvardu obchodziły się z listem Mathera, próbowała postępować tak samo. Wiekowy papier z trudem dawał się rozłożyć. Ten list był krótki. Kim spojrzała na datę i jej

podniecenie opadło. Pochodził z osiemnastego wieku.

16 kwietnia 1726

Boston

Drogi ojcze,

W odpowiedzi na twoje zapytanie donoszę ci, że wedle mego osądu w najlepszym interesie całej rodziny oraz firmy leży, by zaniechać przenoszenia grobu matki na rodzinny cmentarz, jako że wymagane zezwolenie wywołałoby wielkie poruszenie w mieście Salem i ożywiło pamięć o sprawie, którą udało ci się utajnić kosztem tak wielkiego wysiłku i przemyślności.

Twój kochający syn

Jonathan

Kim ostrożnie złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Trzydzieści cztery lata po sprawie czarów Ronald i jego syn wciąż martwili się o dobre imię rodziny, mimo publicznej skruchy i żałoby ogłoszonej przez rząd kolonii.

Z kolei zajęła się rozsypującym się notatnikiem. Otworzyła okładkę, która została jej w ręce. Na chwilę zamarło w niej serce. Na pierwszej kartce widniał napis: *Książka Elizabeth Flanagan, grudzień 1678.*

Kim ostrożnie przejrzała kilka kartek i ku swojej najwyższej radości przekonała się, że jest to dziennik Elizabeth! Fakt, że zapiski były krótkie i nieregularne, nie umniejszył jej podniecenia.

Pochwyciła notatnik w obie dłonie, w obawie że się całkiem rozpadnie, i podbiegła do okna, do lepszego światła. Zaczęła od tyłu. Najpierw natrafiła na sporą liczbę pustych kartek. Odszukawszy ostatni zapis, stwierdziła, że pamiętnik urywa się wcześniej, niżby sobie życzyła. Ostatnia notatka opatrzona była datą 26 lutego 1692.

Mróz i mróz bez końca. Dziś znowu śnieg. Rzekę Wooleston pokrył gruby lód, tak że suchą nogą można przejść na drugi brzeg. Dręczy mnie wielka rozpacz. Duszę moją trawi choroba, która objawia

się okrutnymi napadami z konwulsjami, podobnymi tym, jak powiadają Sarah i Jonathan, które na moich oczach miała biedna Rebecca, Mary i Joanna i jakiego doznała Ann Putnam w czasie swoich odwiedzin.

Czym obraziłam Boga Wszechmogącego, że zesłał na swoją wierną służebnicę takie cierpienia? Nie pamiętam tych napadów, lecz przed nimi widzę kolory, które teraz mnie przerażają, i słyszę dziwne dźwięki, jakby nie z tego świata, i słabo mi, jakbym miała omdleć. Nagle wracają mi zdrowe zmysły i widzę, że leżę na podłodze, że zmagalam się z czymś niewidzialnym i mamrotałam niezrozumiale, tak przynajmniej mówią dzieci moje, Sarah i Jonathan, które, Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, są wciąż zdrowe. Jakże żałuję, że Ronald jest na morzu, nie tu. Moja udręka zaczęła się z kupnem Northfields i pożałowania godnym sporem z rodziną Thomasa Putnama. Doktor Griggs też zachodzi w głowę. Dał mi na przeczyszczenie, ale na próżno. Zima taka bezlitosna i tyle pracy. Lękam się o biednego Hioba, który niczemu nie jest winien, i lękam się, że Pan zechce zabrać mnie do siebie, choć moja praca jeszcze nie skończona. Staralam się pracować na tej ziemi w Jego imię i pomagać gminie wypiekając chleb żytni, aby powiększyć nasze zapasy przetrzebione przez niełaskawą pogodę i nieurodzaj, a także zachęcałam braci i siostry, by przyjmowali do swoich ognisk i do rodziny uchodźców z Północy ocalałych z najazdów indiańskich, tak jak to ja uczyniłam z Rebecca Sheaff i Mary Roots. Nauczyłam starsze dzieci wyrabiać lalki dla złagodzenia rozpaczy sierot, których ufnością obdarował nas Pan. Modłę się o rychły powrót Ronalda, by pomógł nam w naszej straszliwej udręce, zanim siły żywotne ze mnie ujdą.

Kim zamknęła oczy i odetchnęła ciężko. Była do głębi poruszona. Teraz czuła się naprawdę tak, jakby Elizabeth do niej przemówiła. Przez jej mękę przebijała siła i charakter jej osobowości: kochającej, współczującej, szlachetnej, stanowczej i odważnej. Te właśnie cechy pragnęła mieć Kim.

Otworzyła oczy i jeszcze raz przeczytała niektóre fragmenty notatki. Wróciła do tego, w którym mowa była o lalkach, i znów zastanowiła się, czy dowodem, który przesądził o jej losie, nie była raczej lalka niż książka.

W obawie, by niczego nie przeoczyć, Kim na nowo przeczytała całą notatkę od początku do końca. Wrażenie zrobiła na niej zwłaszcza tragiczna ironia losu: wszak to szlachetność Elizabeth zapewne spowodowała rozpowszechnienie się trującego grzyba. Może ten nie zidentyfikowany dowód jakoś wskazywał na jej odpowiedzialność.

Kim chwilę gapiła się w okno, rozważając tę nową koncepcję. Ale nie przychodziło jej do głowy, w jaki sposób rola Elizabeth mogłaby zostać odkryta. W tamtych czasach nie było możliwe, by skojarzyć napady z grzybem.

Kim znów zajrzała do pamiętnika. Ostrożnie przewracała kartki i przeglądała inne zapiski. Były przeważnie krótkie: kilka zdań o każdym dniu i zwięzła wzmianka o pogodzie.

Kim zamknęła dziennik i otworzyła go z kolei na początku. Pierwsza notatka nosiła datę 5 grudnia 1678. Pismo było jakby większe, bardziej rozchwiane niż czternaście lat później. Dowiedziała się z niej tylko, że dzień był zimny i padał śnieg oraz że Elizabeth miała wówczas lat trzynaście.

Kim zamknęła książkę. Chciała chwilę podelektować się tym przeżyciem. Przycisnęła ją do piersi jak najcenniejszy skarb, po czym wróciła do domu. Wzięła sobie krzesło i usiadła na samym środku saloniku. Tu, w obliczu portretu Elizabeth, zaczęła na chybił trafił przeglądać kartki. Pod datą 7 stycznia 1682 znalazła dłuższy zapis.

Elizabeth pisała, że jak na tę porę roku dzień był ciepły, choć pochmurny. Potem rzeczowo odnotowała, że tego dnia została poślubiona Ronaldowi Stewartowi. Po tym zwięzłym zdaniu następował długi opis pięknego powozu, którym jechała z miasta. Dalej zwierzała się ze swojej radości i zdumienia, że przyszło jej mieszkać w tak pięknym domu.

Kim uśmiechnęła się. Z dość wyczerpującego opisu pokoi i ich urządzenia domyśliła się, że ta radosna reakcja Elizabeth dotyczyła tego samego domu, do którego ona wprowadza się teraz. Co za cudowny zbieg okoliczności, że właśnie tego dnia znalazła ów pamiętnik, który sprawił, że trzystuletnia odległość, która je dzieliła, nagle gwałtownie się skurczyła.

Kim szybko obliczyła, że w dniu swojego ślubu Elizabeth miała zaledwie siedemnaście lat. Spróbowała sobie wyobrazić, co by było, gdyby to ona wyszła za mąż w tym wieku, zwłaszcza w świetle problemów, jakie miała w pierwszych latach college'u.

Z dalszych ustępów dziennika Kim dowiedziała się, że zaledwie kilka miesięcy później Elizabeth zaszła w ciążę. Westchnęła. Cóż robiłaby z dzieckiem w tym wieku? Sama myśl ją przerażała, a jednak Elizabeth najwidoczniej radziła sobie nad podziw dobrze. Ta kwestia uprzytomniła Kim, że w tamtych czasach antykoncepcja nie istniała, co jeszcze zmniejszało możliwości Elizabeth kierowania swoim losem.

Zajrzała teraz do zapisków poprzedzających ślub z Ronaldem. Zatrzymała się przy stosunkowo długiej notatce datowanej 10 października 1680. Elizabeth zanotowała, że w ten ciepły, słoneczny dzień jej ojciec powrócił do domu z miasta Salem z ofertą małżeństwa. Elizabeth pisała:

Najprzód uczułam wielkie zmieszanie propozycją tak dziwną, jako że nic nie wiem o tym wielmożnym panu, lecz ojciec go wychwala. Ojciec mówi, że pan ten zauważył mnie, gdy odwiedzał naszą okolicę dla zakupu drzewa na omasztowanie swoich statków. Mój ojciec mówi też, że do mnie należy decyzja, ale że powinnam wiedzieć, iż ów pan w swej łaskawości zaofiarował się osadzić całą naszą rodzinę w mieście Salem, a wtedy ojciec mógłby pracować w jego kompanii, a moja droga siostra Rebecca chodzić do szkoły.

Kilka stron dalej Elizabeth pisała:

Powiedziałam ojcu, że przyjmę oświadczenia. Jak mogę postąpić inaczej? Jest to szczęśliwym zrzędzeniem Opatrzności dla nas, którzyśmy tyle lat żyli na nieurodzajnej ziemi Andover w ciągłej bojaźni przed napaścią czerwonej dziczy. Nasi sąsiedzi ze wszystkich stron ciężko ucierpieli i wielu zginęło lub zostało pojmanych w okrutną niewolę. Próbowałam to wyjaśnić Williamowi Patersonowi, ale on nie rozumie i lękam się, że źle o mnie myśli.

Kim przerwała lekturę i podniosła oczy na portret. Była do głębi poruszona. Miała przed sobą wyznania zaledwie siedemnastoletniej, a tak bardzo niesamolubnej dziewczyny, która zdecydowała się poświęcić pierwszą miłość i przyjąć nieznany los dla dobra swojej rodziny. Kim westchnęła i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy to ona zrobiła ostatnio coś absolutnie bezinteresownego.

Wróciwszy do pamiętnika, odszukała zapis pierwszego spotkania Elizabeth z Ronaldem Stewartem. Znalazła go pod datą 22 października 1680, dnia, w którym świeciło słońce i opadały liście.

Dziś w naszej świetlicy ujrzałam po raz pierwszy pana Ronalda Stewarta, który zaofiarował się pojąć mnie za żonę. Jest starszy, niż przypuszczałam, i ma już jedną córkę, z żony, która umarła na ospę. Wydaje się być człowiekiem dobrym, silnym duchem i ciałem, aczkolwiek nieco popędliwym, co okazał, gdy usłyszał, że Polkowie, nasi sąsiedzi z północy, padli ofiarą napaści dwie noce wstecz. Nalegał stanowczo, byśmy szybciej posuwali naprzód nasze plany.

W obliczu tych informacji co do przyczyny śmierci pierwszej żony Ronalda Kim zrobiło się wstyd swoich wcześniejszych podejrzeń. Przeglądając kolejne kartki dziennika, aż do roku 1690, dowiedziała się więcej o strachu przed ospą i najazdami Indian. Elizabeth pisała, że ospa szaleje w Bostonie, a ataki czerwonoskórych zdarzają się już dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Salem.

Kim, zdjęta grozą, potrząsnęła głową. Ta lektura przypomniała jej komentarz Edwarda o tym, że w siedemnastym wieku życie ludzkie wisiało na cienkiej nici. Teraz widziała, jak musiało być trudne i stresujące.

Nagle zelektryzowało ją trzaśnięcie drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła Edwarda i Stantoną, którzy wrócili z obchodu po prawie gotowym laboratorium. Edward niósł pod pachą plany.

— Nic tu się nie zmieniło, odkąd wyszliśmy — zauważył tonem dezaprobaty. Rozglądał się za jakimś miejscem, gdzie mógłby położyć swoje papiery. — Czym ty się zajmowałaś, Kim?

— Miałam niebywałe szczęście — oznajmiła podniecona. Odsunęła krzesło i podała Edwardowi notatnik. — Znalazłam pamiętnik Elizabeth!

— Tu? — zdziwił się Edward.

— Nie, w zamku — odparła Kim.

— Sądziłem, że zanim zakopiesz się w papierach, powinniśmy coś zrobić w kierunku uporządkowania domu. Masz cały miesiąc, żeby się tym zajmować.

— Tu jest coś, co nawet tobie wyda się fascynujące — powiedziała Kim, puszczając jego uwagę mimo uszu.

Ostrożnie otworzyła notatnik w miejscu, gdzie zapiski się kończyły. Podała go Edwardowi i wskazała ustęp, który ma przeczytać.

Edward położył swoje plany na stoliku karcianym, przy którym siedziała Kim. W miarę czytania z jego twarzy stopniowo znikła a jej miejsce zajęło żywe zainteresowanie.

— Masz rację — przytaknął skwapliwie.

Podał notatnik Stantonowi. Kim ostrzegła ich, żeby obchodzili się z nim ostrożnie.

— To byłby wspaniały wstęp do artykułu, który chcę napisać dla *Science* albo *Nature* na temat naukowego wyjaśnienia rzekomego opętania w Salem — powiedział Edward. — Po prostu idealny. Ona wręcz sama pisze o pieczeniu chleba z żyta. A te opisy halucynacji to strzał w dziesiątkę. Ten fragment pamiętnika plus wyniki spektrografii masowej jej mózgu zamykają sprawę. Wyjątkowo eleganckie.

— Nie ma mowy o żadnych artykułach, dopóki sytuacja z patentem się nie wyklaruje — oznajmił Stanton. — Nie będziemy ryzykować tylko dlatego, że ty

masz ochotę zabawić swoich kolegów ze świata nauki.

— Oczywiście, że nie teraz — odparł Edward. — Za kogo ty mnie masz, za ekonomicznego analfabeta?

— Ty to powiedziałaś, nie ja — podsumował Stanton.

Kim zabrała mu pamiętnik i wskazała Edwardowi fragment, w którym Elizabeth pisała, jak uczyła dzieci robić lalki. Spytała, czy nie wydaje mu się znaczący.

— Masz na myśli ewentualny związek z brakującym dowodem?

Skinęła głową.

— Trudno powiedzieć. Może i jest to trochę podejrzane... Ale wiesz co, jestem głodny jak wilk. A ty, Stanton? Miałbyś ochotę coś zjeść?

— Zawsze mam ochotę coś zjeść — odpowiedział Stanton.

— No to co, Kim? — spytał Edward. — Nie upitrasilałabyś nam czegoś? Stanton i ja mamy jeszcze mnóstwo roboty.

— Nie jestem specjalnie przygotowana do podejmowania gości — powiedziała Kim. Nie odważyła się nawet jeszcze zajrzeć do kuchni.

To zamów coś z dostawą — podsunął Edward. Zaczął rozkładać swoje plany. — Nie jesteśmy wybredni.

— Mów za siebie — zaproponował Stanton.

— Chyba mogłabym zrobić spaghetti — stwierdziła Kim, przepowiedziawszy sobie w myślach, co jej będzie potrzebne. Jedyne pomieszczeniem, w którym panował jaki taki porządek, była jadalnia; czyli dawna kuchnia sprzed remontu. Stół, krzesła i bufet były na miejscu.

— Spaghetti będzie idealne — oświadczył Edward. Kazał Stantonowi przytrzymać plan i przycisnąć rogi książkami.

Kim z westchnieniem ulgi wsunęła się między czyściutkie, szeleszczące przescieradła. Po raz pierwszy kładzie się spać w nowym domu. Pracowała nieprzerwanie, od chwili gdy zaczęła robić spaghetti, do momentu gdy pół godziny temu weszła pod prysznic. Naturalnie było jeszcze dużo do zrobienia, ale dom był z grubsza uporządkowany. Po wyjściu Stanton'a Edward pracował na równi z nią.

Kim wzięła z nocnego stolika pamiętnik Elizabeth. Miała szczerzy zamiar czytać go w łóżku, ale gdy się położyła, do jej świadomości zaczęły docierać odgłosy nocy. Dominowała zdumiewająco głośna symfonia nocnych owadów i żab, mieszkańców pobliskich lasów, moczarów i pól. Stary dom skrzypiał łagodnie, wypromieniowując ciepło, które zgromadził w ciągu dnia. Wreszcie przez kwatery okien przenikały subtelne westchnienia podmuchu wiatru znad rzeki Danvers.

Myśli Kim powoli przycichły, ale uprzytomniła sobie, że nieokreślony niepokój, który poczuła, gdy po południu przekroczyła próg domu, nadal jej towarzyszy. Był tylko zepchnięty na dalszy plan przez jej nieustającą gorączkową aktywność. Kim zdawała sobie sprawę, że na jej niewyraźne samopoczucie składa się kilka przyczyn, lecz jedna była oczywista; zaskakujące życzenie Edwarda, żeby sypiali osobno. Wprawdzie teraz rozumiała jego motywy lepiej niż wtedy, gdy

problem wypłynął, lecz mimo wszystko była zmartwiona i rozczarowana.

Odłożyła pamiętnik Elizabeth i wygramoliła się z łóżka. Sheba, która zdążyła już głęboko zasnąć, rzuciła jej wściekle spojrzenie. Kim wsunęła stopy w kapcie i przeszła do sypialni Edwarda. Światło jeszcze się paliło, drzwi były lekko uchylone. Kim pchnęła je; powitało ją głębokie warczenie Bufora. Zaciśnęła zęby; ten wstrętny kundel zaczął ją denerwować.

— Stało się coś? — spytał Edward. Leżał w łóżku w otoczeniu rozpostartych ze wszystkich stron planów laboratorium.

— Tylko tyle, że tęsknię za tobą. Jesteś przekonany co do tego pomysłu, żebyśmy spali oddzielnie? Czuję się samotna i mówiąc oględnie, nie jest to zbyt romantyczne.

Edward przywołał ją gestem. Uprzątnął plany z łóżka i poklepał jego krawędź, zachęcając ją w ten sposób, żeby usiadła.

— Przepraszam — rzekł. — To wszystko moja wina. Przyjmuję na siebie całkowitą odpowiedzialność. Ale nadal uważam, że to w tej chwili najlepsze rozwiązanie. Jestem jak struna, która zaraz pęknie. Jak zauważyłaś, o mało nie wybuchnąłem przy Stantonie.

Kim skinęła głową, lecz nie podniosła jej. Nadal pilnie obserwowała swoje dłonie splecione na kolanach. Edward ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz.

— W porządku? — spytał.

Znów skinęła głową. Usiłowała stłumić uczucia. To pewnie przemęczenie.

— Mamy za sobą pracowity dzień — powiedział znów Edward.

— Chyba też jestem trochę zdenerwowana — przyznała Kim.

— Czym?

— Sama dokładnie nie wiem. Odnoszę wrażenie, że to ma coś wspólnego z losem, jaki spotkał Elizabeth, i z tym, że był to przecież jej dom. Nie mogę przestać myśleć o tym, że część moich genów pochodzi od niej. W jakiś sposób czuję jej obecność.

— Jesteś wyczerpana. Zmęczona wyobraźnia płata zwariowane figle. Poza tym to miejsce jest dla ciebie nowe, a to zawsze trochę denerwujące. Mamy w końcu swoje przyzwyczajenia.

— Na pewno tak jest, w części. Ale to nie wszystko.

— No no, tylko mnie nie próbuj zamącić w głowie. — Edward zachichotał. — Chyba nie wierzysz w duchy?

— Nigdy nie wierzyłam, ale teraz już nie jestem taka pewna.

— Żartujesz.

Kim roześmiała się z jego nagłego zaniepokojenia.

— Oczywiście, że żartuję. Nie wierzę w duchy, ale zaczynam zmieniać zdanie na temat zjawisk nadprzyrodzonych. Gdy pomyślę, w jaki sposób znalazłam pamiętnik Elizabeth, dreszcz mnie oblatuje. Powiesiłam jej portret i nagle poczu-

łam, że po prostu muszę iść do zamku. A gdy już tam byłam, wcale nie musiałam szukać. Leżał w pierwszym kufrze, jaki otworzyłam.

Edward też się roześmiał.

— Ludzie doznają wrażenia, że obcują ze światem nadprzyrodzonym, gdy tylko znajdują się w Salem. Wszystko przez te stare bzdury o czarownicach. Ale jeśli chcesz wierzyć, że to jakaś magiczna siła zawiodła cię do zamku, w porządku. Tylko nie każ mi się pod tym podpisywać.

— A jak inaczej mogę to wyjaśnić? — spytała Kim zapalczywie. — Do dzisiejszego dnia ponad trzydzieści godzin spędziłam na szukaniu bez żadnych rezultatów. Nie tylko nie znalazłam pamiętnika, ale w ogóle nic z siedemnastego wieku. Dlaczego dziś zajrzałam akurat do tego kufra?

— Dobrze, dobrze — powiedział Edward ugodowo. — Nie zamierzam cię przekonywać. Uspokój się. Jestem po twojej stronie.

— Przepraszam. Nie chciałam się tak zaperzać. Przyszłam tylko po to, żeby ci powiedzieć, że tęsknię za tobą.

Po długim pocałunku na dobranoc Kim zostawiła Edwarda z jego planami i wyszła. Zamknąwszy za sobą drzwi, stanęła skąpana w świetle księżyca sączącym się przez okno małej łazienki. Ze swojego miejsca widziała czarną masywną bryłę zamku na tle nocnego nieba. Wzdrygnęła się; sceneria przypominała dekoracje do klasycznych filmów o Draculi, które przerażały ją, gdy była nastolatką.

Zeszła po ciemnych ciasnych schodach, które zakręcały o całe sto osiemdziesiąt stopni, i pożeglowała przez morze pustych pudeł wypełniających hol. Weszła do salonu i spojrzała na portret Elizabeth. Nawet w ciemności jej zielone oczy jarzyły się jakby wewnętrznym płomieniem.

— Co chcesz mi powiedzieć? — szepnęła Kim do obrazu.

W tej samej chwili wróciło nieodparte wrażenie, że Elizabeth rzeczywiście chce jej coś przekazać, a równocześnie pojawiła się świadomość, że cokolwiek to jest, w pamiętniku tego nie znajdzie. Pamiętnik jest tylko przynętą, zachętą do dalszych wysiłków.

Nagle kątem oka zarejestrowała jakiś ruch; stłumiony krzyk wybiegł jej na wargi, a serce na moment zamarło. Odruchowo podniosła rękę, żeby się bronić, ale szybko je opuściła. To tylko Sheba wskoczyła na stół do kart.

Kim też na chwilę oparła się o stół. Drugą rękę przyłożyła do serca. Wstyd jej było, że aż tak się przerażyła. Ale to wskazywało, w jak wielkim żyje napięciu.

ROZDZIAŁ 11

PIERWSZA POŁOWA WRZEŚNIA 1994

Laboratorium było gotowe, zaopatrzone we wszystkie potrzebne odczynniki. Miało ruszyć na początku pierwszego pełnego tygodnia września. Kim się cieszyła. Choć przez cały ten miesiąc nie pracowała i mogła o każdej porze kwitować niezliczone dostawy, to jednak była bardzo zadowolona, że została zwolniona z tego obowiązku. Zastąpiła ją Eleanor Youngman.

Eleanor była pierwszą osobą oficjalnie zatrudnioną w laboratorium. Po złożeniu rezygnacji na Harvardzie prawie dwa tygodnie zajęło jej uporządkowanie i przekazanie rozpoczętych prac oraz przeprowadzka do Salem.

Jej stosunki z Kim poprawiły się, choć nie radykalnie. Obie odnosiły się do siebie życzliwie, ale oficjalnie. Kim czuła, że Eleanor żywi do niej niechęć zrodzoną z zazdrości. Już przy ich pierwszym spotkaniu intuicja powiedziała jej, że w atencji Eleanor dla Edwarda kryje się nie wypowiedziana tęsknota za bardziej osobistą więzią. Była zdumiona, że Edward tego nie dostrzega. Był to dla niej kolejny powód do zmartwienia, zważywszy na historię erotycznych związków jej ojca z tak zwanymi asystentkami.

Następnymi współpracownikami, którzy przybyli do laboratorium, były zwierzęta doświadczalne. Przyjechały w środku tygodnia i w środku nocy. Edward i Eleanor nadzorowali rozładunek nie oznakowanych ciężarówek i rozlokowanie menażerii w przeznaczonych dla niej klatkach. Kim wolała obserwować to przez okno. Niewiele widziała, ale była z tego raczej zadowolona. Doświadczenia na zwierzętach budziły w niej niepokój, choć rozumiała ich konieczność.

Za radą Harrisa i Stevensa Edward przyjął politykę, że im mniej wiadomo w okolicy o tym, co się dzieje w laboratorium, tym lepiej. Nie życzył sobie żadnych pikiet obrońców praw zwierząt. Sprzyjała mu w tym naturalna izolacja majątku otoczonego gęstym lasem, no i wysokie ogrodzenie.

Pod koniec pierwszego tygodnia września zaczęli zjeżdżać następni badacze. Z pomocą Edwarda i Eleanor powynajmowali pokoje w prywatnych kwaterach, których nie brakowało w Salem i jego okolicach. Jeden z punktów kontraktu zastrzegł, że pracownicy mają przyjechać sami. Tymczasowo pozostawili więc ro-

dziny, oszczędzając im w ten sposób stresującej świadomości, że pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zachętą była im perspektywa, że w rezultacie wszyscy zostaną milionerami.

Pierwszym obcym przybyszem był Curt Neuman. Późnym rankiem, gdy Kim była jeszcze w domu i właśnie przygotowywała się do wyprawy do zamku, dobiegł ją stłumiony warkot motocykla. Podeszła do okna i ujrzała, że motocykl ów podejżdża pod drzwi frontowe. Mężczyzna mniej więcej w jej wieku zsiadł i podniósł daszek hełmu. Z tyłu pojazdu przytroczona była walizka.

— Czym mogę służyć? — zawołała Kim z okna. Sądziła, że jest to kolejny dostawca, który przegapił skręt do laboratorium.

— Dziękuję pani — przemówił przepraszającym tonem, z lekkim niemieckim akcentem. — Czy mogłaby mi pani wskazać drogę do laboratorium Omni?

— To pewnie doktor Neuman — domyśliła się głośno Kim. — Chwileczkę. Zaraz do pana zejść.

Edward mówiąc jej, że oczekuje dziś Curta, wspomniął o akcencie. Nie spodziewała się jednak, że sławny naukowiec przyjedzie na motorze.

Szybko pozamykała leżące na stoliku do kart książki z próbkami tkanin i pobierała gazety z kilku dni porozkładane na kanapie. W holu przelotnie sprawdziła w lustrze, jak wygląda, i otworzyła.

Curt zdjął hełm i piastował go w rękach jak średniowieczny rycerz. Nie patrzył jednak na Kim. Spoglądał w stronę laboratorium. Edward musiał widocznie usłyszeć motocykl, bo oto jego samochód już toczył się po wiejskiej drodze w kierunku domu. Zahamował, wyskoczył i objął Curta, jakby byli braćmi, którzy spotkali się po długiej rozłące.

Od razu zaczęli rozmawiać o motorze Curta, czerwonym metalizowanym BMW. Po chwili Edward uprzytomnił sobie, że Kim stoi w drzwiach. Przedstawił ich sobie.

Kim uściśnęła dłoń nowo przybyłego. Był potężnym mężczyzną, o jakieś pięć centymetrów wyższym od Edwarda. Miał jasne włosy i oczy błękitne jak niebo.

— Curt pochodzi z Monachium — powiedział Edward. — Pracował w Stanfordzie i na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wielu ludzi, w tej liczbie ja, uważa, że w swojej dziedzinie, interakcji leków, jest on najbardziej utalentowanym biologiem w kraju.

— Dość, Edwardzie — zdołał powiedzieć Curt.

Twarz mu pokraśniała.

— Miałem szczęście, że udało mi się ukraść go Merckowi — ciągnął Edward. — A tak bardzo chcieli go zatrzymać, że zaproponowali mi własne laboratorium.

Kim przyglądała się ze współczuciem, jak biedny Curt skręcał się słuchając panegiryku Edwarda. Przypomniła sobie, jak oni sami reagowali na podobne peany Stantona tego wieczoru, kiedy się poznali. Mimo swego przytłaczającego wzrostu, urody modela i sławnej inteligencji Curt wydawał się zaskakująco

nieśmiały. Unikał kontaktu wzrokowego z Kim.

— Starczy tego ple-ple — powiedział wreszcie Edward. — Chodź, Curt! Jedź za mną na tej swojej piekielnej maszynie; chcę, żebyś zobaczył laboratorium.

Kim chwilę spoglądała, jak odjeżdżają, po czym weszła do domu chcąc skończyć to, co miała zrobić przed wyprawą do zamku.

Tego samego dnia trochę później, gdy Kim i Edward kończyli lekki lunch, przyjechał drugi naukowiec spoza Bostonu. Edward usłyszał samochód, wstał od stołu i wyszedł przed dom. Po chwili wrócił z wysokim, szczupłym, ale muskularnym, śniadym mężczyzną. I ten był przystojny. Kim przypominał raczej zawodowego narciarza niż naukowca.

Edward przedstawił ich sobie. Przybysz nazywał się François Leroux. Ku zdziwieniu Kim podniósł jej dłoń do ust, jakby chciał ją pocałować, ale nie zrobił tego. Poczowała jedynie lekką pieśczętę jego oddechu na skórze.

Podobnie jak przy przywitaniu Curta Edward zaprezentował Kim zwięzłą, ale wysoce pochlebłą charakterystykę osiągnięć François. Jednak w przeciwieństwie do Curta, François nie miał trudności z wysłuchiowaniem komplementów. Gdy Edward wychwalał, utkwiał w Kim spojrzenie przeszywających ciemnych oczu, przyprowadzając ją o dreszcz.

— Trzeba jasno powiedzieć, że François jest geniuszem — mówił Edward. — Jest biofizykiem, pochodzi z Lyonu we Francji. Pracował na uniwersytecie w Chicago. Spomiędzy swoich kolegów wyróżnia się tym, że opanował krystalografię zarówno NMR jak i rentgenowską. Zdołał połączyć dwie metody, które zazwyczaj uważane są za konkurencyjne.

Kim zauważyła lekki uśmieszek, jaki ukazał się na twarzy François w tym punkcie przemowy Edwarda. Skłonił głowę w kierunku Kim, jakby chcąc podkreślić, że zasługuje na wszystkie te pochwały, a nawet większe. Kim odwróciła wzrok. Odniosła wrażenie, że François jest zbyt przemądrzały i pewny siebie.

— Dzięki niemu zyskamy dużo czasu w badaniach nad Ultra — kontynuował Edward. — Mamy szczęście, że jest z nami. Strata Francji to nasz zysk.

Po chwili Edward i jego zaprowadził do laboratorium. Chciał, żeby jak najszybciej zobaczył aparaturę i poznał Curta. Kim obserwowała przez okno, jak wsiadają do samochodu. Nie mogła się nadziwić, jakim cudem ludzie o tak krańcowo różnych osobowościach lądują w niemal identycznej pracy.

Ostatnia dwójka trzonu Omni przyjechała w sobotę, 10 września, pociągiem z Bostonu. Edward i Kim pojechali na stację jako komitet powitalny. Gdy pociąg się zatrzymał, stali na peronie.

Edward zauważył ich pierwszy i zaczął do nich machać. Nowo przybyli ruszyli w ich kierunku, a Kim zapytała żartem, czy atrakcyjność fizyczna była jednym z warunków zatrudnienia w Omni.

— Nie chwytam, o co ci chodzi — odparł Edward.

— Wszyscy twoi ludzie są bardzo urodziwi.

— Zupełnie tego nie zauważyłem.

Gdy obie pary stanęły naprzeciwko siebie, Edward dokonał prezentacji. Kim poznała Glorię Herrera i Davida Hirsha. Uścisnęli sobie dłonie.

Gloria, tak samo jak Eleanor, nie pasowała do stereotypowego wyobrażenia Kim o wyglądzie kobiety naukowca. Ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Pod względem kolorytu, a także sposobu bycia były swoim przeciwieństwem. Eleanor była jasna. Gloria miała oliwkową cerę i włosy prawie tak czarne jak Kim, a oczy ciemne i przenikliwe jak oczy François. Także jej ciepło i prostolinijność stały w sprzeczności z chłodną rezerwą Eleanor.

David Hirsh przypominał Kim François. Tak jak on wysoki i smukły, miał w sobie jakąś śmiałość sportowca, poza tym był ciemny, choć o jaśniejszej niż tamten cerze. Równie jak on światowy, był jednak sympatyczniejszy, bo nie tak pewny siebie, a przy tym miał widoczne poczucie humoru i miły uśmiech.

Po drodze ze stacji Edward znów szczegółowo i ceremonialnie opisywał sukcesy Glorii i Davida. Zarówno Gloria jak i David zapewnili Kim, że przesadza, i natychmiast skierowali rozmowę na jego temat. Z tego wszystkiego Kim zrozumiała tylko tyle, że Gloria jest farmakologiem, a David immunologiem.

W majątku wysadzili Kim przed domem. Gdy samochód odjeżdżał do laboratorium, nadal dobiegały z niego śmiechy. Kim była rada ze względu na Edwarda. Miała przekonanie, że Gloria i David przyczynią się do stworzenia w laboratorium dobrej atmosfery.

Następnego dnia, 11 września, Edward i pozostała piątka badaczy urządzili małą uroczystość, na którą Kim też została zaproszona. Otworzyli szampana, stuknęli się szklaneczkami i wzniesli toast za Ultra. Parę minut później rzucili się do szaleńczej pracy.

Przez kilka następnych dni Kim często odwiedzała laboratorium, by dodawać im otuchy, a także by się przekonać, czy nie rodzą się jakieś problemy, w rozwikłaniu których mogłaby pomóc. Widziała swoją rolę jako coś pośredniego między rolą gospodyni a hostessy. Gdzieś w środku tygodnia wydatnie zmniejszyła częstotliwość wizyt. Pod koniec tygodnia zjawiała się bardzo rzadko, bo za każdym razem dawano jej odczuć, że przeszkadza.

Edward jej nie pomagał. W piątek powiedział jej wyraźnie, że wolałby, żeby nie przychodziła za często, jako że jej wizyty rozpraszają ich zbiorowe skupienie. Kim nie poczuła się urażona. Wiedziała, pod jaką presją pracują.

Poza tym miała dość własnych zajęć. Gładko przystosowała się do mieszkania w domu i znajdowała w tym wiele radości. Nadal zdarzało jej się doznawać uczucia, że Elizabeth jest obok niej, ale nie tak niepokojąco intensywnego jak ubiegłej nocy. Oddając się swojej pasji projektowania wnętrz, Kim zgromadziła mnóstwo książek na temat pokrycia podłóg i ścian, zasłon i mebli kolonialnych. Naznosiła próbki i porozrzuciła w różnych miejscach po domu, żeby zobaczyć, jak się gdzie prezentują. Dla ukoronowania dzieła całymi godzinami myszkowała

po okolicznych sklepach z antykami, polując na takie właśnie meble „z epoki”.

Zaangażowała też sporo swojego czasu w zamek. Szukała to na poddaszu, to w piwnicy. Odkrycie pamiętnika niebywale ją podnieciło. Przewyciężyło też zniechęcenie poprzednich bezowocnych godzin.

Na samym początku września, podczas swojej pierwszej od czasu znalezienia pamiętnika wyprawy do zamku, Kim natrafiła na nowy ważny list. Był nawet w tym samym kufrze podróżnym, zaadresowany do Ronalda Stewarta, a podpisany przez Jonathana Corwina, sędziego, który kiedyś zamieszkiwał obecny Dom Czarownicy.

20 lipca 1692
Miasto Salem

Drogi Ronaldzie,

Względy ostrożności nakazują mi zwrócić ci uwagę, że widziano cię, jak zabierałeś ciało Elizabeth z miejsca pochówku na Wzgórzu Straceń. Widział cię Roger Simmons, i on także widział syna gospodyni Nurse, jak czynił to samo z ciałem swojej matki. Błagam cię, mój przyjacielu, byś nie pysznił się tym postępkami w tych czasach tak burzliwych, jeśli nie chcesz ściągnąć na głowę swoją i swojej rodziny jeszcze więcej nieszczęść, gdyż wielu mniema, iż wydobywanie szczątków zmarłych jest dziełem diabelskim. I ja też nigdy w ludzkiej przytomności słowa nie powiem o tym grobie, z tego powodu, ażeby nie ściągnąć na ciebie niesłusznego oskarżenia. Mówiłem z rzeczonym Rogerem Simmonsem i poprzysiągł przede mną, że o twoim czynie nie powie nikomu, prócz sędziego, jeśli zostanie wezwany do złożenia zeznań. Bóg z tobą.

Twój sługa i przyjaciel

Jonathan Corwin

Po znalezieniu listu Corwina nastąpiły dwa tygodnie daremnych poszukiwań, które nie przyniosły nic, co byłoby związane z Ronaldem lub Elizabeth. Ale to nie zmniejszyło zapału Kim. Nadal spędzała mnóstwo czasu w zamku. Zorientowawszy się, że prawie wszystkie dokumenty zgromadzone na poddaszu i w piwnicy

mają wartość historyczną, postanowiła je uporządkować, a nie tylko szukać materiałów z siedemnastego wieku.

I tu, i tam wydzieliła miejsce na gromadzenie papierów z poszczególnych okresów obejmujących kolejne półwiecza. Od razu dzieliła je też według tematyki: oddzielnie związane z interesami, oddzielnie z polityką i oddzielnie dotyczące spraw osobistych.

Było to gigantyczne zadanie, ale dawało jej satysfakcję, mimo że dokumentów dotyczących jej przodków z siedemnastego wieku nie przybywało.

W ten sposób pierwsza połowa września upłynęła jej przyjemnie, po części na urządzaniu domu, a po części na porządkowaniu archiwów zamkowych. Praktycznie nie bywała w laboratorium i rzadko tylko widywała kogokolwiek z pracowników. Nieczęsto widywała też Edwarda, który wracał coraz późniejszą nocą i coraz wcześniej rano wychodził.

ROZDZIAŁ 12

PONIEDZIAŁEK, 19 WRZEŚNIA 1994

Był przepiękny jesienny dzień. Jaskrawe słońce tak grzało, że temperatura przekroczyła dwadzieścia pięć stopni. Kim zachwyciała się barwami drzew, które w niżej położonych, podmokłych częściach lasu zaczynały już mienić się jesiennym bogactwem. Pola wokół zamku pokrywał gęsty dywan złotej różgi.

Kim nie widziała się z Edwardem. Obudziła się o siódmej, ale on wstał wcześniej i poszedł do laboratorium bez śniadania. Wiedziała, bo w zlewie nie było brudnych naczyń. Kilka dni temu Edward powiedział, że zaczęli jadać wspólnie w laboratorium, żeby zaoszczędzić trochę czasu. Mówił, że robią niebywałe postępy.

Kim spędziła rano w domu, na projektowaniu wnętrza. Po tygodniu wahań podjęła w końcu decyzję co do materiału na kapy, baldachimy i zasłony w obu sypialniach na piętrze. Wybór był trudny, ale gdy go wreszcie dokonała, odczuła wyraźną ulgę. Zadzwoiła do znajomej w centrali usług wnętrzarskich w Bostonie i podała numer próbki i swoje zamówienie.

Po sympatycznym lunchu złożonym z sałatki i mrożonej herbaty Kim udała się do zamku na swoje popołudniowe szperanie i porządkowanie. W siedzibie rodowej znów stanęła przed dylematem, czy spędzić resztę dnia w piwnicy czy na poddaszu. Poddasze wygrało ze względu na piękne słońce. Będzie jeszcze wiele ponurych, deszczowych dni, kiedy i piwnica wyda jej się przyjemna.

Przeszła przez całe poddasze aż do najodleglejszego kąta nad skrzydłem dla służby i zabrała się do pracy nad rządkiem czarnych szafek kartotecznych. Wzięła ze sobą tekturowe pudła, które zostały po przeprowadzce — przyjechały w nich książki Edwarda — i segregowała papiery w taki sam sposób jak w ubiegłym tygodniu. Były to przeważnie dokumenty z początków dziewiętnastego wieku związane z biznesem.

Kim nabrała już biegłości w czytaniu rękopisów i wystarczyło jej rzucić okiem na stronę tytułową, jeśli takowa była, albo na pierwszy akapit, żeby umieścić dany dokument w odpowiednim pudełku. Późnym popołudniem porządkowała ostatnią szafkę. W przedostatniej szufladzie, wśród umów spedycyjnych, znalazła list za-

adresowany do Ronalda Stewarta.

Od tak dawna nie znalazła niczego podobnego, że na chwilę osłupiała. Wpatrywała się w list, jakby nie wierzyła własnym oczom. Wreszcie sięgnęła do szuflady i wyjęła go. Trzymała papier samymi opuszkami palców, tak jak Mary Custland list Mathera. Gdy spojrzała na podpis, jej nadzieje wzrosły. To był kolejny list Samuela Sewalla.

8 stycznia 1697

Boston

Mój drogi przyjacielu,

Jak ci z pewnością wiadomo Jego Wysokość Gubernator, Rada i Zgromadzenie oraz Sąd Najwyższy kolonii Jego Królewskiej Wysokości w prowincji Massachusetts zarządzili i ogłosili czwartek czternastego stycznia dniem postu i pokuty za wszelkie grzechy przeciwko niewinnym ludziom, do których popchnął gminę Salem szatan i jego zausznicy. Tak samo i ja mając świadomość, że jako sędzia Wyższego Sądu Karnego jestem współwinnym owym zbrodniom, pragnę wyznać publicznie swoją winę i skruczę i uczynię to w Starym Kościele Południowym. Jednakże nie wiem, co rzec tobie, mój przyjacielu, by ulżyć twemu brzemieniu. Nie mam wątpliwości, iż Elizabeth była związana z siłami zła, lecz czy była ofiarą czy współniczką, tego nie wiem i nie mnie o tym wyrokować w świetle moich karygodnych błędów. Co do twego zapytania o akta sądowe Wyższego Sądu Karnego, a w szczególności te dotyczące procesu Elizabeth, mogę zaświadczyć, iż znajdują się one w posiadaniu wielebnego Cottona Mathera, który poprzysiął mi, że nie wpadną nigdy w niepowołane ręce, jako że ktoś mógłby się nimi posłużyć, by rzucić cień na dobre imię sędziów i urzędników, którzy wykonywali swoją pracę w najlepszej wierze, jakkolwiek nieraz zblądzili. Domniemywam, choć nie śmiałem zapytać ani nie chcę tego czynić, że wielebny Mather zamierza rzeczony akta spalić. Jeśli chcesz poznać moją opinię o propozycji, jaką ci przedłożył sędzia Jonathan Corwin, że wszystkie akta sprawy Elizabeth wraz z wniesionym przeciwko niej oskarżeniem, nakazem aresztowania i protokołami przesłuchań, odda tobie, to sądzę, że powinieneś je wziąć i pozbyć się ich w taki sam sposób, by przyszłe pokolenia twojej rodziny nie ucierpiały, co zapewne mogłoby się zdarzyć, gdyby wyszło na jaw, że uczynki Elizabeth ściągnęły na Salem

tę tragedię.

Twój przyjaciel w imię Chrystusa

Samuel Sewall

— Chryste Panie! Przepadłaś jak kamień w wodę!

Kim podniosła wzrok znad listu Sewalla i zobaczyła, że stoi nad nią Edward. Była częściowo ukryta za jedną z czarnych szafek.

— Coś się stało? — spytała nerwowo.

— Owszem — odparł. — Szukam cię od pół godziny. Domyśliłem się, że jesteś w zamku, przyszedłem tu, na poddasze i wołałem. Ponieważ nie odpowiadałaś, zszedłem na dół i przeszukałem piwnicę. Tam też cię nie było, więc wróciłem tutaj. To już po prostu śmieszne. Jeśli masz zamiar spędzać tu całe dni, to załóż sobie telefon.

Kim zerwała się na równe nogi.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie słyszałam cię.

— No, to chyba oczywiste. Słuchaj, jest pewien problem. Stanton znowu się biesi o forszę i właśnie jest w drodze do Salem. Cholernie nam szkoda czasu na dyskusje z nim, szczególnie w laboratorium, gdzie będzie się zaraz domagał szczegółowych wyjaśnień, co kto robi. Na domiar złego z przepracowania wszyscy jesteśmy na skraju wytrzymałości nerwowej. Ciągłe się ścinamy o idiotyczne rzeczy, na przykład kto ma najwięcej miejsca i kto ma najbliżej do zakichanej chłodnicy. Czuję się jak zastępcza matka kupy zasmarkanych harcerzyków. Tak czy owak krótko mówiąc, chciałbym, żeby spotkanie odbyło się w domu. Wszystkim nam dobrze zrobi zmiana otoczenia. Żeby oszczędzić na czasie moglibyśmy od razu coś zjeść. Nie upichciłabyś jakiejś kolacji?

W pierwszej chwili Kim myślała, że Edward żartuje, ale kiedy zdała sobie sprawę, że mówi poważnie, rzuciła okiem na zegarek.

— Jest już po piątej — przypomniała.

— Byłoby wpół do piątej, gdybyś się tak skutecznie nie ukryła.

— Nie mogę przygotować kolacji dla ośmiu osób w tak krótkim czasie.

— A dlaczego? Przecież to nie ma być uczta, na rany Boga. Jak dla mnie może być pizza na telefon. I tak cały czas to jemy. Cokolwiek, aby tylko napełnić im brzuchy. Proszę cię, Kim. Potrzebuję twojej pomocy. Jestem bliski szaleństwa.

— No dobrze — przystała Kim wbrew sobie. Widziała, że Edward jest bardzo zdenerwowany. — Jestem w stanie wystąpić z czymś lepszym niż pizza, ale raj dla podniebienia to to nie będzie.

Pozbierała swoje rzeczy, w tym list Sewalla i poszła za Edwardem w stronę schodów.

Gdy schodzili, podała mu list i próbowała wytłumaczyć, co to jest. Edward od razu go jej oddał.

— Nie mam teraz czasu na Samuela Sewalla.

— Ale to ważny list. Wyjaśnia, w jaki sposób Ronald mógł wymazać imię Elizabeth z kronik historycznych. Nie zrobił tego sam. Pomagał mu Jonathan Corwin i Cotton Mather.

— Przeczytam go później — odparł Edward.

— Jest w nim pewien ustęp, który powinien cię zainteresować — ciągnęła Kim.

Doszli do półpiętra. Edward przystanął pod oknem z barwionego szkła. W żółtawym świetle wydawał się szczególnie blady. Kim pomyślała, że wygląda, jakby był chory.

— Dobrze — rzucił niecierpliwie. — Pokaż mi ten ustęp, który według ciebie powinien mnie zainteresować.

Kim podała mu list i wskazała ostatnie zdanie, w którym Sewall mówił, że uczynki Elizabeth sprowadziły tragedię na Salem. Edward przeczytał i spojrzał na Kim.

— Więc? — spytał. — To już wiemy.

— My wiemy — przytaknęła Kim. — Ale czy oni wiedzieli? To znaczy chodzi mi o to, czy wiedzieli o grzybie.

Edward jeszcze raz przyjrzał się listowi i przeczytał ostatnie zdanie.

— Nie — powiedział, gdy skończył. — Z naukowego punktu widzenia to zupełnie niemożliwe. Nie mieli ani możliwości technicznych, ani poznawczych.

— Więc jak rozumieć to zdanie? Na początku listu Sewall przyznał, że popełnił błędy w innych sprawach o czary, ale nie w sprawie Elizabeth. Oni wszyscy wiedzieli coś, czego my nie wiemy.

— A więc wracamy do tajemniczego dowodu. — Edward oddał jej list. — Owszem, to ciekawe, ale dla mnie nieprzydatne i naprawdę nie mam teraz czasu na takie rzeczy.

Zeszli na sam dół.

— Przykro mi, że jestem tak mało komunikatywny — powiedział Edward. — Jakby dla ukoronowania wszystkich moich problemów Stanton okazuje się kolosalnym palantem, prawie takim samym jak ci z Harvardu. Miotając się między nim a tamtymi, czasem mam ochotę się powiesić.

— Czy naprawdę warto się tak męczyć?

Edward przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

— Oczywiście — odparł rozdrażniony. — Nauka wymaga poświęceń. Wiadomo.

— Mnie to wygląda raczej na biznes niż na naukę — zauważyła Kim. Edward nie odpowiedział.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, poszedł prosto do swojego samochodu.

— Będziemy punkt w pół do ósmej — zawołał przez ramię, zanim zasiadł za kierownicą. Uruchomił silnik i pędem ruszył w kierunku laboratorium, rozpryskując wokół kurz i piach.

Kim wsiadła do swojego samochodu i zabębniła palcami o kierownicę. Dumiała, co zrobić na tę kolację. Teraz, kiedy Edward już pojechał, była na siebie zła i rozczarowana swoją uległością wobec tych nieoczekiwanych i niedorzecznych żądań.

Znała u siebie te zachowania i bardzo ich nie lubiła. Po dziecinnemu starała się uległością załagodzić wszelkie zadrażnienia. Tak samo postępowała wiele lat temu w stosunku do ojca. Ale zauważyć, że postępuje źle, a zacząć postępować inaczej, to dwie zupełnie różne sprawy. Tak jak niegdyś ojca, starała się zadowolić Edwarda, ponieważ pragnęła i potrzebowała jego uznania. Ale, tłumaczyła sobie Kim, Edward przeżywa trudne chwile i także potrzebuje jej.

Uruchomiła samochód i pojechała do miasta, na zakupy. Po drodze nadal rozmyślała nad swoją sytuacją. Naprawdę nie chciała stracić Edwarda, ale w ostatnich tygodniach im bardziej się starała i im więcej okazywała mu zrozumienia, tym większe stawały się jego wymagania.

Mając tak mało czasu, Kim zdecydowała się na proste menu: stek z grilla, sałatka i gorące bułeczki. Do picia albo wino stołowe, albo piwo. Na deser kupiła owoce i lody. Za piętnaście siódma miała już przygotowane mięso, sałatkę i bułeczki. Rozpaliła nawet ogień na grillu.

Pomknęła do łazienki i wzięła szybki prysznic. Właśnie nakrywała do stołu, kiedy przed domem zatrzymał się mercedes Stantona.

— Witaj, kuzynko — rzekł Stanton wchodząc w drzwi. Cmoknął Kim w policzek.

Kim przywitała się z nim i spytała, czy napije się wina. Stanton przytaknął i podążył za nią do kuchni.

— Czy to jedyne wino, jakie masz? — spytał lekceważąco widząc, jak Kim odkręca nakrętkę.

— Obawiam się, że tak.

— W takim razie chyba wolę piwo.

Gdy Kim kontynuowała przygotowania do kolacji, Stanton usadowił się na stoliku i obserwował jej pracę. Nie zaproponował, że jej pomoże, ale Kim to nie przeszkadzało. Wszystko szło zgodnie z planem.

— Widzę, że zaprzyjaźniłaś się z Buforem — zauważył Stanton. Pies Edwarda płatał się jej pod nogami. — Podziwiam cię. To wstrętne bydlę.

— Ja z Buforem? — rzuciła Kim cynicznie. — Chyba żartujesz. Nie bój się, nie przyszedł tu do mnie, tylko do steków. Zwykle jest z Edwardem w laboratorium.

Sprawdziła temperaturę w kuchence i włożyła bułeczki.

— Jak ci się tu mieszka? — spytał Stanton.

— Dobrze — odpowiedziała. Po czym westchnęła. — W każdym razie poważnie. Niestety sytuacja w laboratorium zdominowała wszystko. Przez to całe napięcie Edward jest u kresu wytrzymałości nerwowej.

— Wiem coś o tym — skomentował Stanton.

— Harvard strasznie mu się daje we znaki — stwierdziła Kim. Celowo nie dodała, że i Stanton też.

— Ostrzegałem go na początku, że z Harvardem będą problemy. Wiem z własnego doświadczenia, że oni na pewno nie będą skłonni przymknąć oka na jego poczynania. W każdym razie nie wtedy, kiedy zwietrzyli potencjalny zysk. Uniwersytety ostatnio bardzo się uwrażliwiły na takie rzeczy, zwłaszcza Harvard.

— Bardzo bym nie chciała, żeby zrujnował swoją karierę naukową. Zanim zaczęła się ta sprawa z Ultra, uczelnia była jego największą miłością.

Zaczęła przyprawiać sałatkę.

Stanton wodził za nią wzrokiem i milczał, dopóki nie złowił jej spojrzenia.

— No i jak wam się układa, dzieci? — spytał. — Nie chcę być wścibski, ale pracując z nim nad tym projektem stwierdziłem, że Edward nie jest najłatwiejszą osobą pod słońcem.

— Ostatnio było różnie. Trochę denerwująco — przyznała Kim. — Przeprowadzka nie poszła tak gładko, jak się spodziewałam, ale nie wzięłam pod uwagę Ultra ani Omni. Jak już mówiłam, Edward miał ostatnio mnóstwo problemów.

— Nie on jeden — mruknął Stanton.

W tej chwili drzwi się otworzyły i Edward ze swoim zespołem wmaszerowali do środka. Kim wyszła im naprzeciw z powitaniem, chcąc stworzyć miłą atmosferę, ale nie było to łatwe. Wszyscy byli rozdrażnieni, nawet Gloria i David. Wyglądało na to, że nikt z nich nie chciał przyjść na kolację do domu. Edward musiał wydać im polecenie.

Najprzykrzejsza była reakcja Eleanor. Kiedy dowiedziała się, co jest do jedzenia, tonem niezadowolenia oświadczyła, że nie jada czerwonego mięsa.

— A co jadasz? — spytał Edward.

— Rybę albo drób — odparła.

Edward spojrzął na Kim, unosząc brwi jakby z zapytaniem: co z tym fantem zrobimy?

— Postaram się o rybę — powiedziała Kim. Wzięła kluczyki i wyszła do samochodu. Eleanor zachowała się wyjątkowo niegrzecznie, ale Kim była właściwie zadowolona, że ma pretekst, by wyjść na kilka minut. Atmosfera była przygniatąca.

Pojechała na pobliski targ, gdzie sprzedawano świeże ryby. Kupiła kilka filetów z łososia, na wypadek gdyby ktoś jeszcze wołał rybę. W drodze powrotnej zastanawiała się z drżeniem serca, co zastanie po powrocie.

Gdy weszła, spotkała ją jednak przyjemna niespodzianka. Nastroje się poprawiły. W dalszym ciągu trudno byłoby nazwać to spotkanie radosnym, ale napięcie zelżało. Pod jej nieobecność otwarto wino i piwo i wypito je z większym smakiem, niż się spodziewała. Była zadowolona, że kupiła aż tyle.

Wszyscy siedzieli przy stole w salonie. Ze ściany spoglądała na nich sportretowana Elizabeth. Kim skinęła głową tym, którzy spojrzeli na nią, gdy wchodziła, i udała się prosto do kuchni. Umyła rybę i ułożyła obok mięsa.

Z kieliszkiem wina w ręce wróciła do salonu. Gdy była w kuchni, Stanton rozdał wszystkim kartki i stanął przed kominkiem, tuż pod portretem.

— Macie przed sobą obliczenie, z którego wynika, kiedy przy obecnym tempie wydatków skończą nam się pieniądze — mówił. — Jak widać, sytuacja nie jest dobra. Muszę więc mieć wyobrażenie, kiedy każde z was osiągnie jakiś znaczący postęp, aby znaleźć najlepszy sposób zgromadzenia większego kapitału. Są trzy możliwości: wypuścić akcje na giełdę, co według mnie nic nie da, to znaczy w każdym razie nam nic nie da, dopóki nie będziemy mieli czegoś do sprzedania. . .

— Ależ mamy — przerwał mu Edward. — Mamy najbardziej obiecujący lek od czasu odkrycia antybiotyków, i to dzięki tej damie. — Podniósł butelkę z piwem w kierunku portretu Elizabeth. — Wypijmy zdrowie kobiety, która może jeszcze zostać najsławniejszą czarownicą z Salem.

Wszyscy z wyjątkiem Kim wzniesli swoje napitki. Nawet Stanton wziął piwo z gzymsu nad kominkiem, gdzie je przed chwilą odstawił. Wypili z zapałem.

Kim poczuła, że wszystko się w niej skręca. Niemal oczekiwała, że twarz na portrecie zmieni wyraz. Komentarz Edwarda wydał jej się lekceważący i w złym guście. Pomyślała, co też mogłaby czuć Elizabeth, gdyby mogła widzieć, jak w jej własnym domu ci utalentowani ludzie uganiają się za materialnymi korzyściami z odkrycia, któremu początek dało jej nieszczęście i przedwczesna śmierć.

— Nie zaprzeczam, że mamy potencjalny produkt — podjął Stanton odstawwszy piwo. — To wiemy wszyscy. Ale nie mamy niczego, z czym w tej chwili dałoby się wejść na rynek. Wierzcie mi, obecny klimat ekonomiczny nie sprzyja wypuszczaniu takich akcji na giełdę. Jedyne, co nam pozostaje, to sprzedaż poza ofertą publiczną, co ma ten plus, że pozwala zachować kontrolę. Ostatnie wyjście, to poszukać jeszcze nowych współników. Oczywiście to rozwiązanie wymagałoby od nas poświęcenia największej liczby akcji, a tym samym zysków do podziału. Musielibyśmy jeszcze rozdrobnić to, co mamy w tej chwili.

Wśród badaczy podniósł się szmerek niezadowolenia.

— Nie chcę się pozbywać akcji — odparł Edward. — Będą miały zbyt wielką wartość, gdy Ultra wejdzie na rynek. Nie możemy po prostu pożyczyć tych

pieniędzy?

— Nie mamy zabezpieczenia takiej pożyczki — wyjaśnił Stanton. — Pożyczenie takiej sumy, jakiej my potrzebujemy, bez zabezpieczenia oznacza, że będzie to pożyczka lichwiarska, ponieważ nie będzie pochodziła z normalnych źródeł. Wówczas ludzie, z którymi trzeba będzie współpracować, nie dopuszczą, żebyśmy się schronili pod skrzydła jakiejś dużej firmy w sytuacji, gdyby coś nie wypaliło. Rozumiesz, o co mi chodzi, Edwardzie?

— Mniej więcej — odparł Edward. — Ale mimo wszystko sprawdź i tę możliwość. Spenetrujmy każdą ścieżkę, która pozwoliłaby uniknąć uszczuplenia przyszłych zysków. Nie rezygnujmy tak łatwo. Ultra to pewniak.

— Czy dziś jesteś tego pewien tak samo jak wtedy, gdy zakładaliśmy firmę? — spytał Stanton.

— Nawet bardziej. Z każdym dniem bardziej. Wszystko idzie świetnie i jeśli tak będzie dalej, będziemy mogli złożyć wniosek o zgodę na wprowadzenie Ultra do badań klinicznych w ciągu sześciu do ośmiu miesięcy. Zazwyczaj potrzeba na to około trzech i pół roku. Przyznasz, że jest różnica.

— Im szybciej będziecie posuwać się naprzód, tym lepsza będzie nasza sytuacja finansowa — rzekł Stanton. — Byłoby jeszcze lepiej, gdybyście mogli trochę przyspieszyć.

Eleanor zaśmiała się krótko, ironicznie.

— Pracujemy na maksymalnych obrotach — powiedział François.

— To prawda — dodał Curt. — Nikt z nas nie sypia więcej niż sześć godzin na dobę.

— Nie zrobiłem jeszcze tylko jednej rzeczy — oznajmił Edward. — Nie skontaktowałem się ze swoimi znajomymi z FDA. Chciałbym, żeby przynajmniej wzięli pod uwagę kandydaturę Ultra do przyspieszonej procedury. Wtedy zostałby wypróbowany u pacjentów z ciężką depresją, AIDS i może z zaawansowanymi nowotworami.

— Wszystko co chcesz, byle oszczędzić trochę czasu — stwierdził Stanton. — Będę to powtarzał w nieskończoność.

— Sądzę, że rozumiemy w czym rzecz — odpowiedział Edward.

— Wiecie już coś więcej na temat mechanizmu działania Ultra?

— Właśnie dziś rano oznaczyliśmy w mózgach szczurów poziomy enzymu, który metabolizuje Ultra — zabrała głos Gloria.

— Czy to mnie miało rzucić na kolana? — spytał Stanton sarkastycznie.

— Powinno — odparł Edward. — Jeśli tylko pamiętasz cokolwiek z tych czterech lat, które zmarnowałeś w szkole medycznej.

— To silny argument na korzyść hipotezy, że Ultra występuje w mózgu w sposób naturalny, a przynajmniej jest bardzo podobny do jakiegoś naturalnego związku. Inny argument to stabilność wiązania Ultra z błonami komórkowymi. Wydaje

się, że przypomina to związek między narkotykami typu morfiny a własnymi endorfinami wytwarzanymi przez mózg.

— Innymi słowy — oznajmił Edward — Ultra jest naturalnym hormonem mózgu.

— Ale nie we wszystkich strukturach mózgu osiąga taki sam poziom — dodała Gloria. — Wstępna emisyjna tomografia pozytronowa wykazuje, że Ultra gromadzi się głównie w pniu, śródmózgowiu i układzie limbicznym.

— Ach, układ limbiczny — ucieszył się Stanton. Oczy mu zabłyśły. — Pamiętam. To jest ten obszar mózgu, który odpowiada za zwierzęcą stronę naszej natury i pierwotne instynkty: gniew, głód, popęd seksualny. Widzisz, Edwardzie, mój pobyt w szkole medycznej nie był jednak kompletną stratą czasu.

— Powiedz, Glorio, jaki jest naszym zdaniem mechanizm działania Ultra — Edward zignorował uwagę Stantoną.

— Uważamy, że Ultra jest buforem stabilizującym poziom neuroprzekazników mózgowych. Podobnie jak bufor osocza utrzymują pH krwi.

— Innymi słowy — uzupełnił Edward — Ultra, czy też naturalny związek, o ile różni się czymś od Ultra, stabilizuje emocje. Przynajmniej taka była jego funkcja pierwotna: by nie dopuścić do przedłużania się uczuć ekstremalnych, wywołanych przez dramatyczne wydarzenia, jak na przykład napotkanie we własnej jaskini tygrysa szablozębnego. Czy to był strach, czy wściekłość, czy jeszcze coś innego, Ultra buforował neuroprzekazniki i szybko przywracał zwierzęciu lub pierwotnej istocie ludzkiej równowagę emocjonalną.

— Dlaczego mówisz, że to była funkcja pierwotna? — Stanton.

— Nasze badania wskazują, że w miarę ewolucji mózgu ludzkiego ta funkcja również ewoluowała. Sądzymy, że teraz nie ogranicza się do stabilizowania emocji, ale w większym stopniu uczestniczy w ich świadomej kontroli.

Stantonowi znów zabłyśły oczy.

— Zaczekaj — przerwał, jakby chcąc lepiej zrozumieć. — Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli pacjent z depresją dostanie Ultra, to wystarczy, żeby zechciał nie być w depresji?

— To jest nasza aktualna hipoteza. Naturalna substancja występuje w mózgu w ilościach śladowych, ale odgrywa fundamentalną rolę w modulowaniu uczuć i nastroju.

— Boże! — wykrzyknął Stanton. — Ultra może się okazać lekiem stulecia!

— Dlatego też pracujemy non stop — odparł Edward.

— Co teraz robicie?

— Wszystko. Badamy tę cząsteczkę ze wszystkich możliwych stron. Wiemy już, że wiąże się ze swoistym receptorem, a więc chcemy poznać strukturę białka wiążącego, lub białek, bo podejrzewamy, że Ultra zależnie od okoliczności wykorzystuje różne łańcuchy boczne.

— Jak sądzisz, kiedy możemy zacząć marketing w Stanach i w Japonii?

— O tym będę miał jakieś pojęcie, kiedy zaczniemy próby kliniczne. A nie zaczniemy prób, dopóki nie otrzymamy zgody FDA.

— Musimy to jakoś przyspieszyć! To idiotyzm! Mamy w ręku cząsteczkę wartą miliardy dolarów, a grozi nam bankructwo.

— Zaczekaj — przerwał mu Edward. Oczy wszystkich zwróciły się na niego. — Mam pomysł. Wiem już, w jaki sposób możemy zyskać na czasie. Sam zacznę brać Ultra.

Przez kilka minut ciszę w pokoju mąciło tylko tykanie zegara na kominku i ochryple krzyki mew nad rzeką.

— Czy to rozsądne posunięcie? — spytał Stanton.

— Doskonałe — odparł Edward. Coraz bardziej zapalał się do swojego pomysłu. — Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Przy takich wynikach badań na toksyczność mogę brać Ultra bez cienia obawy.

— To prawda, że nie stwierdziliśmy śladu toksyczności — potwierdziła Gloria.

— Hodowle tkankowe po prostu kwitną — dodał David. — Zwłaszcza komórek nerwowych.

— Nie wydaje mi się, żeby branie eksperymentalnego leku było dobrym pomysłem — odezwała się Kim po raz pierwszy ze swojego miejsca przy drzwiach. Edward zgromił ją gniewnym spojrzeniem.

— Ja uważam, że to fantastyczny pomysł.

— W jaki sposób to nam pozwoli zyskać na czasie? — spytał Stanton.

— To jasne, zanim jeszcze zaczniemy próby kliniczne, będziemy znali wszystkie wyniki. Pomyśl, jak to uprości układanie protokołów klinicznych.

— Ja też wezmę — odezwała się Gloria.

— I ja — przyłączyła się Eleanor.

Jedno po drugim wszyscy badacze zgodzili się, że pomysł jest bajeczny, i zgłosili chęć uczestnictwa w eksperymencie.

— Każdy może brać inną dawkę — zaproponowała Gloria. — A sześć osób to dość, żeby różnice w wynikach badań były statystycznie znamienne.

— Dawki możemy dobierać metodą podwójnie ślepią — dodał François. — Tak, że nie będziemy wiedzieli, kto jest na najwyższej, a kto na najniższej.

— Czy prawo nie zabrania stosowania nie zarejestrowanych leków? — spytała Kim.

— Jakie prawo? — roześmiał się Edward. — Prawo komisji kontroli? Dla Omni to my jesteśmy komisją kontroli i jak dotąd nie wydaliśmy żadnych ustaw.

Wszyscy zawtórowali mu śmiechem.

— Myślę, że istnieją w tym względzie jakieś państwowe prawa albo wytyczne — upierała się Kim.

— Owszem, są wytyczne Narodowego Instytutu Zdrowia — wyjaśnił Stanton.

— Ale one obowiązują instytucje, które otrzymują od niego dotacje. My z rządowych funduszy nie korzystamy.

— Ale musi być jakieś prawo, które zakazuje eksperymentowania z lekiem na ludziach przed ukończeniem prób ze zwierzętami — powiedziała Kim. — Przecież zwykła intuicja mówi, że to nierozsądne i niebezpieczne. A ta tragedia z Thalidomidem? To was nie zastanawia?

— Nie ma żadnego porównania z tamtym niefortunnym przypadkiem — odpowiedział Edward. — Thalidomid w żadnym razie nie mógł być uznany za związek naturalny i w ogóle był o wiele bardziej toksyczny. Ale nikt cię nie prosi, żebyś ty też brała Ultra, Kim. Możesz być grupą kontrolną.

Wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. Kim zaczerwieniła się, speszona, i wycofała się do kuchni. Była zdumiona, jak diametralnie zmieniła się atmosfera zebrania. Początkowa sztywność i napięcie ustąpiły szampańskiemu humorowi. Miała niemiłe wrażenie, że przepracowanie zespołu w połączeniu z wygórowanymi oczekiwaniami zaowocowało zbiorową histerią.

Zaczęła wyjmować bułeczki z kuchenki. Z salonu dobiegały ją śmiechy i głośne, gorączkowe rozmowy na temat budowy ośrodka naukowego za te miliardy, których spodziewali się w niedalekiej przyszłości.

Gdy przekładała bułeczki do koszyka na pieczywo, wyczuła, że za jej plecami ktoś wszedł do kuchni.

— Może ci w czymś pomóc — zaproponował François. Kim odwróciła się i spojrzała najpierw na niego, potem dookoła, po kuchni. Chciała w ten sposób stworzyć wrażenie, jakby się zastanawiała, czy jest coś do zrobienia. W rzeczywistości drażnił ją tupet tego człowieka, a w dodatku nie opuściła ją jeszcze konsternacja po incydencie w salonie.

— Chyba wszystko już zrobione — odpowiedziała. — Ale dziękuję za dobre chęci.

— Czy mogę sobie dolać wina? — Mówiąc to, już obejmował dłonią szyjkę butelki.

— Oczywiście.

— Kiedy w pracy zrobi się troszkę spokojniej, chętnie zwiedziłbym okolicę — powiedział napełniając kieliszek. — Może pokazałabyś mi parę zakątków. Słyszałem, że Marblehead jest urocze.

Kim rzuciła mu jeszcze jedno szybkie spojrzenie. Tak jak się obawiała, wpatrywał się w nią uporczywie. Kiedy napotkał jej wzrok, uśmiechnął się nieszczerze. Ta niezręczna próba flirtu nie sprawiła jej przyjemności. Zadała sobie pytanie, co powiedział mu o niej Edward.

— Może do tego czasu przyjedzie już tu twoja rodzina — odparła.

— Może.

Gdy Kim skończyła już codzienne wieczorne zabiegi, zanim się położyła, celowo zostawiła drzwi półotwarte, aby móc widzieć łazienkę. Miała zamiar czuwać, aż Edward wróci z laboratorium, żeby z nim porozmawiać. Tyle tylko, że nie wiedziała, o której to mogłoby być.

Usadowiwszy się wygodnie oparta o poduszki, wzięła z nocnego stolika pamiętnik Elizabeth i otworzyła w miejscu, gdzie skończyła czytać. Pamiętnik nie spełnił jej oczekiwań, właściwie z wyjątkiem ostatniego fragmentu rozczarował ją. Elizabeth pisała głównie o pogodzie i codziennych wydarzeniach, nie zaś o swoich myślach, co dla Kim byłoby dużo ciekawsze.

Wbrew postanowieniu, że będzie czuwać, około północy zasnęła przy włączonym świetle. Następną rzeczą, która przedarła się do jej świadomości, był dźwięk spuszczonej wody. Otworzywszy oczy zobaczyła, że Edward jest w łazience.

Potarła nabrzmiałe snem powieki i z niejakim trudem skupiła wzrok na zegarku. Było po pierwszej. Z wysiłkiem wygramoliła się z łóżka, włożyła szlafrok i kapcie. Nieco bardziej rozbudzona podreptała do łazienki. Edward właśnie szorował zęby.

Kim usiadła z podkulonymi kolanami na zamkniętym sedesie Edward rzucił jej pytające spojrzenie, ale nie odezwał się, dopóki nie skończył myć zębów.

— Czemu, u licha, nie śpisz o tej porze? — spytał wreszcie. W jego głosie brzmiała jednak troska, nie irytacja.

— Chciałam z tobą porozmawiać — odpowiedziała Kim. — Chciałam zapytać, czy naprawdę zamierzasz brać Ultra.

— Jasne że tak. Wszyscy zaczynamy od rana. Opracowaliśmy system, w którym nikt nie wie, jaką ma dawkę i jaką mają inni. To był projekt François.

— Naprawdę uważasz, że to rozsądne?

— To najlepszy pomysł, na jaki wpadłem od lat. Z całą pewnością przyśpieszy proces oceny leku. Stanton nareszcie się ode mnie odzepi.

— A ryzyko?

— Ryzyko rzecz jasna jest. Ryzyko jest zawsze, lecz jestem przekonany, że to dopuszczalne ryzyko. Ultra nie jest toksyczny. Wiemy to na pewno.

— Bardzo się denerwuję.

— Więc pozwól, że uspokoję cię co do jednej ważnej sprawy. Nie jestem męczennikiem! Tak naprawdę to jestem tchórzem. Nie robiłbym tego, gdyby to nie było absolutnie bezpieczne, ani też nie pozwoliłbym innym. Poza tym, patrząc z perspektywy historycznej, jestem w dobrym towarzystwie. W historii nauk medycznych wielu sławnych ludzi eksperymentowało najpierw na sobie.

Kim z powątpiewaniem uniosła brwi. Nie była przekonana.

— Będziesz musiała po prostu mi zaufać. — Edward energicznie umył twarz i zaczął się wycierać.

— Mam jeszcze jedno pytanie. Co powiedziałaś swojemu zespołowi na mój temat?

Edward opuścił ręcznik i spojrzał na Kim.

— O co ci chodzi? Dlaczego miałbym im coś mówić na twój temat?

— To znaczy o charakterze naszego związku.

— Nie pamiętam dokładnie. — Edward wzruszył ramionami. — Chyba powiedziałem, że jesteś moją przyjaciółką.

— To znaczy twoją koleżanką czy twoją dziewczyną?

— Co to jest? — spytał Edward ze złością. — Nie zwierzałem im się z żadnych tajemnic, jeśli o to ci chodzi. Nigdy z nikim nie wdawałem się w dotyczące nas intymne szczegóły. A czemu zawdzięczam to przesłuchanie trzeciego stopnia o pierwszej nad ranem?

— Jeśli odniosłeś wrażenie, że cię przesłuchuję, to przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru. Byłam po prostu ciekawa, co im powiedziałaś, bo przypuszczam, że oni mówili ci o swoich rodzinach, a my przecież nie jesteśmy małżeństwem.

Już miała mu powiedzieć o zachowaniu François, ale ugryzła się w język. Przez to zmęczenie i zaabsorbowanie Ultra Edward zrobił się bardzo wybuchowy. Poza tym nie chciała wywoływać między nimi żadnych animozji, zwłaszcza że nie miała stuprocentowej pewności, jakie były intencje François.

Wstała.

— Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam — powiedziała. — Wiem, jak jesteś zmęczony. Dobranoc.

Wyszła z łazienki i skierowała się do swojej sypialni.

— Zaczekaj — zawołał za nią Edward. Wyłonił się z łazienki. — Znowu się zagalopowałam. Przepraszam. Zamiast się ciebie czepiać, powinienem był ci podziękować. Naprawdę jestem ci szalenie wdzięczny za tę kolację. Była wspaniała i w ogóle; sukces pod każdym względem. Wszyscy bardzo potrzebowaliśmy takiego przerywnika.

— Miło mi, że to mówisz. Staralam się jak mogłam. Wydaje mi się, że rozumiem, w jakim napięciu żyjecie.

— No, teraz, kiedy Stanton został czasowo zmiękczone, powinno być lepiej — odparł Edward. — Mogę się skupić na Ultra i Harvardzie.

ROZDZIAŁ 13

TRZECIA DEKADA WRZEŚNIA 1994

Uznanie Edwarda natchnęło Kim nadzieją, że od tej chwili zaczną się między nimi lepiej układać. Ale stało się inaczej. Przez cały tydzień, począwszy od tego wieczoru, było źle. A właściwie wcale się nie widywali. Edward przychodził późną nocą, kiedy ona już spała, i wychodził, zanim się obudziła. Nie zrobił żadnego ruchu, żeby nawiązać z nią jakikolwiek kontakt, choć zostawiała mu liczne kartki.

Nawet Bufor zrobił się jeszcze bardziej wredny niż zwykle. We środę wieczorem pojawił się niespodziewanie, gdy Kim właśnie szykowała sobie obiad. Zachowywał się, jakby był głodny, więc napełniła miskę i wyciągnęła ją w jego stronę z zamiarem postawienia jej na podłodze. Bufor zareagował obnażeniem kłów i wściekłym warczeniem. Kim wyrzuciła jedzenie do śmieci.

Nie mając żadnej styczności z pracownikami laboratorium, Kim czuła się teraz znacznie bardziej niż na początku miesiąca odsunięta od tego, co się dzieje w majątku. Zaczęła jej wręcz doskwierać samotność. Ku swemu zdziwieniu cieszyła się, że wkrótce wraca do pracy. W sierpniu, gdy brała urlop, sądziła, że powrót będzie trudny.

W czwartek Kim uprzytomniła sobie, że zdradza objawy depresji. Przestraszyła się. Miała już depresję na drugim roku college'u i to przeżycie pozostawiło po sobie jeszcze bolesną bliznę. W obawie by jej stan się nie pogorszył, zadzwoniła do Alice McMurray, terapeutki ze swojego szpitala, z którą spotykała się kilka lat temu. Alice uprzejmie zgodziła się poświęcić jej pół godziny ze swojej przerwy na lunch następnego dnia.

W piątek rano czuła się nieco lepiej. Domyśliła się, że to planowany wyjazd do miasta zdołał ją ożywić. Ponieważ na urlopie była pozbawiona prawa do parkingu szpitalnego, postanowiła jechać pociągiem.

Zajechała do Bostonu tuż po jedenastej. Miała jeszcze dużo czasu, poszła więc pieszo. Był ładny dzień, na przemian pochmurny, to znów słoneczny. Tu liście na drzewach jeszcze nie zaczęły zmieniać barw.

Przyjemnie było zobaczyć stare kąty szpitala, zwłaszcza że spotkała paru znajomych, którzy pozartowali sobie z nią na temat jej opalenizny. Gabinet Alice

znajdował się w budynku administracji szpitalnej. Kim weszła. Przy biurku w sekretariacie nie było nikogo.

Niemal natychmiast otworzyły się drzwi wewnętrzne i wyjrzała z nich Alice.

— Cześć. Wchodź — powiedziała. — Wszyscy poszli na lunch.

Gabinet był prosty, ale wygodny. Na środku pokoju na orientalnym dywanie stał stolik do kawy, a wokół cztery krzesła. Przy oknie duża palma. Na ścianach widniały portrety przodków. Na ścianach reprodukcje impresjonistów i kilka oprawionych dyplomów.

Alice była pulchną kobietą, która zdawała się promieniować empatią. Kim wiedziała od niej samej, że przez całe życie walczy z nadwagą. Może dzięki temu była jeszcze lepszą terapeutką, wrażliwszą na problemy innych.

— Co cię do mnie sprowadza? — spytała, gdy już się usadowiły.

Kim zagłębiła się w wyjaśnienia dotyczące jej obecnej sytuacji życiowej. Starała się być uczciwa i nie ukrywała rozczarowania, że sprawy nie układają się po jej myśli. Opowiadając przyłapała się na tym, że przedstawia sytuację tak, jakby sobie przypisywała winę. Alice też to zauważyła.

— Jednym słowem stara śpiewka — stwierdziła rzeczowo. Potem zadała kilka pytań na temat osobowości Edwarda i jego stosunków z innymi ludźmi.

Kim scharakteryzowała Edwarda i, nie bez pomocy Alice, uprzytomniła sobie, że mówiąc stara się go bronić.

— Nie wydaje ci się, że jest jakieś podobieństwo między twoimi stosunkami z ojcem a związkiem z Edwardem? — spytała Alice.

Kim zastanawiała się chwilę, po czym przyznała, że jej zachowanie na przykład w sprawie kolacji wskazuje na pewne analogie.

— Dla mnie na pierwszy rzut oka to coś bardzo podobnego — stwierdziła Alice. — Pamiętam, że w taki sam sposób opisywałaś swoje wysiłki, żeby zadowolić ojca. Obaj panowie zdają się bardziej zainteresowani swoim harmonogramem zajęć zawodowych niż życiem prywatnym.

— U Edwarda to sprawa przejściowa — oświadczyła Kim.

— Jesteś pewna?

Kim zawahała się chwilę, zanim odpowiedziała:

— Chyba nigdy nie można być do końca pewnym, co myśli druga osoba.

— Otóż to. Kto wie, może Edward się zmienił. Jednak tak czy inaczej, wygląda na to, że potrzebuje z twojej strony wsparcia w sferze stosunków międzyludzkich i że je otrzymuje. W tym akurat nie ma nic złego, tyle tylko że odnoszę wrażenie, iż twoje potrzeby nie są aktualnie zaspokajane.

— Mówiąc najogólniej, rzeczywiście — przyznała Kim.

— Musisz się zastanowić, co będzie dobre dla ciebie, i postąpić zgodnie ze swoimi przemyśleniami. Wiem, że to się łatwo mówi. Pewnie czujesz, że twoja wiara w siebie jest śmiertelnie zagrożona samą myślą o możliwości utraty jego miłości. Ale mimo wszystko pomyśl nad tym.

— Chcesz przez to powiedzieć, że nie powinnam być z Edwardem?
— Absolutnie nie. Nie mnie o tym rozstrzygać. Tylko ty możesz to wiedzieć. Ale tak jak mówiłyśmy sobie dawniej, myślę, że powinnaś poważnie się zastanowić nad problemem współzależnienia.

— Uważasz, że to jest problem współzależnienia?

— Chciałabym po prostu, żebyś w swoich przemyśleniach uwzględniła i tę kwestię. Wiesz, że ludzie, którzy doznali urazu w dzieciństwie, mają tendencję do odtwarzania sytuacji w swoim własnym życiu rodzinnym.

— Przecież ja nie doznałam żadnego urazu.

— Nie w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Ale nie miałaś dobrych stosunków z ojcem. Uraz może mieć różne postacie. Różnica pozycji, siły między rodzicem a dzieckiem jest kolosalna.

— Rozumiem.

Alice pochyliła się ku niej i położyła jej ręce na kolanach. Uśmiechała się ciepło.

— Wydaje mi się, że jest parę rzeczy, o których powinniśmy pomówić. Niestety, pół godziny już minęło. Żałuję, że nie mogę ci poświęcić więcej czasu, ale tak znienacka to wszystko, czym mogłam ci służyć. Mam nadzieję, że przynajmniej zdołałam cię namówić, żebyś pomyślała o sobie.

Kim podniosła się. Spojrzała na zegarek i zdumiała się, jak czas szybko leci. Podziękowała Alice wylewnie.

— Jak tam z twoim niepokojem? Mogłabym ci dać kilka opakowań Xanaxu.

Kim potrząsnęła głową.

— Dziękuję, ale nie trzeba. Poza tym mam jeszcze kilka z dawnych lat.

— Jeśli będziesz chciała się umówić na normalną wizytę, to zadzwoń.

Kim zapewniła ją, że na przyszłość będzie dzwoniła wcześniej, i wyszła. Po drodze do stacji zastanawiała się nad tym krótkim spotkaniem. Właśnie zaczynała dochodzić do sedna, kiedy się skończyło. Niemniej Alice dała jej do myślenia, a tego właśnie Kim oczekiwała.

W drodze powrotnej do Salem wyglądała przez okno i obiecywała sobie, że porozmawia z Edwardem. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Takie wystąpienia zawsze sprawiały jej ogromną trudność. Poza tym w swoim obecnym stanie napięcia Edward zupełnie nie był w nastroju do rozstrzygania kwestii emocjonalnych, jak na przykład czy w tej sytuacji powinni być razem. Ale wiedziała, że musi odbyć tę rozmowę, zanim stosunki między nimi całkiem się popsują.

Zajechała na miejsce i spojrzała na budynek laboratorium. Żałowała, że nie ma dość asertywności, żeby iść prosto tam i zażądać natychmiastowej rozmowy z Edwardem. Ale wiedziała, że to nierealne. Zdawała sobie sprawę, że nie wystarczy nawet, żeby pojawił się po południu w domu. Musiałby w jakiś sposób dać jej do zrozumienia, że jest gotów rozmawiać. Westchnęła z rezygnacją. Musi jednak zaczekać na Edwarda.

Ale nie miała okazji zobaczyć go do końca dnia w piątek ani nawet w sobotę. Napotykała jedynie ślady, które świadczyły, że pojawiał się gdzieś po północy i wychodził przed wschodem słońca. Świadomość, że musi odbyć tę rozmowę, wisiała nad nią jak wielka czarna chmura. Niepokój narastał.

Niedzielę spędziła na poddaszu w zamku, na porządkowaniu dokumentów. To zajęcie na kilka godzin oderwało jej myśli od niefortunnej sytuacji osobistej. Za piętnaście pierwsza żołądek dał jej znać, że upłynęło już sporo czasu od porannej kawy i talerza płatków zbożowych z zimnym mlekiem.

Wydostawszy się ze stęchłego wnętrza, Kim zatrzymała się na fałszywym moście i pozwoliła oczom upajać się pięknem jesiennej scenarii. Drzewa nabrały już pięknych kolorów, choć daleko im jeszcze było do intensywności pełnej jesieni. Wysoko na niebie krążyło leniwie kilka mew, unoszonych przez prądy powietrzne.

Oczy Kim błędziły po horyzoncie i zatrzymały się na pewnym punkcie na drodze. Tuż za linią drzew dojrzała samochód.

Zdziwiona, że ktoś zaparkował w takim miejscu, ruszyła na przełaj w jego kierunku. Zaszła go ostrożnie z boku. Ku jej zaskoczeniu w środku siedział Kinnard Monihan.

Gdy ją zauważył, wyskoczył z samochodu. Przydarzyło mu się coś, czego Kim jeszcze nigdy u niego nie widziała: zacerwienił się.

— Przepraszam — powiedział nieśmiało. — Nie myśl, że szpieguję cię jak jakiś podglądacz. Właśnie zbierałem się na odwagę, żeby podjechać.

— I czemu nie podjechałeś?

— Chyba dlatego, że przy ostatnich naszych spotkaniach zachowałem się jak gnojek.

— To już było tak dawno.

Tak, mnie też się wydaje, że bardzo dawno. W każdym razie mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Ani trochę.

— W przyszłym tygodniu kończę staż w Salem. Te dwa miesiące minęły jak z bicza strzelił. Za tydzień od jutra wracam do naszego szpitala.

— Ja też — odparła Kim. Wyjaśniła, że wzięła sobie na wrzesień wolne.

— Zajeżdżałem tu od czasu do czasu — przyznał Kinnard. — Ale wydawało mi się, że byłoby niewłaściwe, gdybym tak po prostu przyszedł, a twojego telefonu nie ma w książce.

— Ja też nieraz myślałam, jak ci idzie staż, kiedy przejeżdżałam koło szpitala.

— Czy renowacja się udała?

— Możesz sam ocenić. Jeśli tylko chcesz,

— Bardzo bym chciał. Wsiadaj, podwiozę cię.

Podjechali pod dom i zaparkowali. Kim oprowadziła Kinnard. Sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego i był pełen uznania.

— Najbardziej podoba mi się to, że jest wygodny, a zarazem zachował swój styl — powiedział.

Byli na piętrze. Kim pokazywała Kinnardowi małą łazienkę i tłumaczyła, jak im się udało zmieścić ją tam bez uszczerbku dla historycznego charakteru domu. Wyjrzawszy przez okno, ku swemu przerażeniu zobaczyła, że środkiem pola idzie Edward z Buforem.

Natychmiast ogarnęła ją panika. Nie miała pojęcia, jak Edward zareaguje na obecność Kinnarda, zwłaszcza jeśli zważyć, jak był ostatnio kłótlivy, a także to, że nie widzieli się od poniedziałku.

— Może lepiej zejdźmy na dół — powiedziała nerwowo.

— Coś nie tak? — spytał Kinnard.

Kim nie odpowiedziała. W duchu besztła się za to, że nie wzięła pod uwagę możliwości pojawienia się Edwarda. Rozmyślała, dlaczego ciągle pakuje się w takie sytuacje.

— Edward idzie — powiedziała w końcu, zapraszając go gestem, by wszedł do salonu.

— A czy to jakiś problem? — spytał Kinnard. Był wyraźnie zmieszany.

Kim spróbowała się uśmiechnąć.

— Nie, oczywiście że nie — odpowiedziała, ale jej głos nie zabrzmiał przekonująco. Żołądek miała ściśnięty.

Drzwi wejściowe otworzyły się i Edward wszedł. Bufor skierował się do kuchni, w nadziei że ktoś mógł niechcący upuścić na podłogę jakieś jedzenie.

— Ach, tu jesteś — rzekł Edward, gdy zauważył Kim.

— Mamy gościa — oznajmiła. Dłonie miała zaciśnięte.

— O? — zdziwił się Edward. Wszedł do salonu.

Kim przedstawiła ich sobie. Kinnard podszedł z wyciągniętą ręką, ale Edward się nie poruszył. Myślał.

— Oczywiście! — Strzelił palcami. Z entuzjazmem pochwyił dłoń Kinnarda. — Pamiętam cię. Pracowałeś u mnie. To ty jesteś tym gościem, który odszedł robić specjalizację z chirurgii.

— Znakomita pamięć — odparł Kinnard.

— Do licha, pamiętam nawet temat twojej pracy — dorzucił Edward. Pokrótce przypomniał temat, nad którym Kinnard pracował przez rok.

— To doprawdy upokarzające, że pamiętasz go lepiej ode — stwierdził Kinnard.

— Napijesz się piwa? Mamy schłodzonego Sama Adamsa.

Kinnard nerwowo spoglądał to na Kim, to na Edwarda.

— Lepiej już pójdę.

— Ależ dlaczego — zaprotestował Edward. — Zostań, jeśli tylko możesz. Jestem przekonany, że Kim brakuje towarzystwa. Ja muszę wracać do pracy. Przyszedłem tylko, żeby ją o coś zapytać. Kim była tak samo zdumiona jak Kinnard.

Edward zachowywał się zupełnie inaczej, niż się obawiała. Nie był jak zwykle rozdrażniony, nie urządzał sceny, przeciwnie, demonstrował wyśmienity humor.

— Nie wiem, jak to najlepiej sformułować — zwrócił się do niej — ale chciałbym, żeby zespół mógł spać w zamku. Byłoby to dla nas tysiąc razy wygodniejsze, ponieważ wiele doświadczeń wymaga zbierania danych przez całą dobę. Zamek stoi pusty, a jest w nim tyle umeblowanych pokoi, że to po prostu śmieszne, żeby oni wynajmowali mieszkania kawał drogi stąd. No i Omni zapłaci.

— No, nie wiem. . . — wybąkała Kim.

— Dajże spokój, Kim. Przecież to tylko tymczasowe rozwiązanie. Lada chwila zjadą rodziny i pokupują domy.

— Ale w zamku jest tyle rodzinnych pamiątek. . .

— To żaden problem. Przecież znasz tych ludzi. Nie będą niczego ruszać. Posłuchaj, masz moje słowo honoru, że nie będzie najmniejszych trudności. Jeśli coś takiego wyniknie, to wszyscy pójdą precz.

— Muszę się nad tym zastanowić — powiedziała Kim.

— Nad czym tu się zastanawiać? — nalegał Edward. — Oni są dla mnie jak rodzina. Śpią tylko od pierwszej do piątej, tak jak ja. Nawet nie będziesz wiedziała, że tam są. Nie będziesz ich ani widzieć, ani słyszeć. Mogą zająć skrzydła dla gości i dla służby. — Edward mrugnął do Kim i dodał: — Lepiej rozdzielić panie i panów; nie chcę ponosić odpowiedzialności za żadne domowe niesnaski.

— Myślisz, że wystarczą im pomieszczenia dla służby i dla gości? — spytała Kim.

Wobec tak bezpośredniego, przyjacielskiego i stanowczego zachowania Edwarda niezwykle trudno jej było stawiać opór.

— Będą zachwyceni! Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo będą ci wdzięczni. Dziękuję, moja najmilsza! Jesteś aniołem.

Edward ucałował Kim w czoło i uściskał.

— Kinnard! — dorzucił puściwszy ją. — Nie zapominaj o nas teraz, kiedy już wiesz, gdzie nas szukać. Kim potrzebuje towarzystwa. Jak na złość ja w najbliższej przyszłości będę trochę zajęty.

Wydał przeraźliwy gwizd, od którego Kim aż się skuliła. Bufor truchcikiem wybiegł z kuchni.

— Do zobaczenia, dzieci. — Edward pomachał im ręką. Sekundę później usłyszeli trzaśnięcie drzwi.

Przez dłuższą chwilę Kim i Kinnard tylko spoglądali na siebie.

— To znaczy, że się zgodziłam czy jak? — wypowiedziała swoją wątpliwość Kim.

— Nie miałaś zbyt wiele czasu na zastanowienie — przyznał Kinnard.

Kim podeszła do okna i popatrzyła, jak Edward i Bufor idą przez pole. Edward rzucił psu patyk.

— Jest o wiele sympatyczniejszy niż wtedy, kiedy u niego pracowałem — stwierdził Kinnard. — Masz na niego bardzo dobry wpływ. Przedtem zawsze był taki sztywny i poważny. Co tu dużo mówić, nudny jak flaki z olejem.

— Teraz żyje w ogromnym napięciu — powiedziała Kim.

Ciągle wyglądała przez okno. Edward i Bufor najwyraźniej pysznie się bawili rzucaniem i aportowaniem.

— Nigdy bym nie powiedział, sądząc po jego zachowaniu — odparł Kinnard.

Kim odwróciła się do niego. Potrząsnęła głową i nerwowo potarła czoło.

— No i w co ja się znowu wpakowałam? Nie bardzo mi się podoba, że ludzie Edwarda mają mieszkać w zamku.

— Ilu ich jest?

— Pięcioro.

— Czy zamek jest pusty?

— Nikt w nim nie mieszka, jeśli o to ci chodzi. Ale z pewnością nie jest pusty. Chcesz go zobaczyć?

— Jasne — ucieszył się Kinnard.

Pięć minut później stał pośrodku wielkiego salonu, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

— Teraz rozumiem twoje obawy. To jest jak muzeum. Co za niesamowite meble! I nigdy jeszcze nie widziałem takich sutych draperii.

— Pochodzą z lat dwudziestych. Podobno zużyto na nie prawie tysiąc metrów tkaniny.

— O rany, to znaczy kilometr! — rzekł Kinnard osłupiały.

— Ja i mój brat odziedziczyliśmy to po dziadku — wyjaśniła Kim. — Nie mamy zielonego pojęcia, co z tym zrobić. Mimo wszystko jednak nie wiem, co brat albo ojciec powiedzą na pięcioro obcych lokatorów.

— Zobaczmy, gdzie mogliby mieszkać — zaproponował Kinnard.

Przeszli się po obu skrzydłach. W każdym były cztery sypialnie, każde też miało osobną klatkę schodową i wyjście na zewnątrz.

— W tym układzie nie musieliby wcale przechodzić przez główną część — zauważył Kinnard.

— Słusznie — przytaknęła Kim. Stali w jednej z sypialni w skrzydle dla służby. — Może nie będzie tak źle. Mężczyźni mogą mieszkać w tym skrzydle, a kobiety w gościnnym.

Kinnard wetknął głowę do przyległej łazienki.

— Ajajaj — powiedział. — Chodź no tu, Kim!

— Co się stało? — Kim dołączyła do niego. Kinnard wskazał toaletę.

— Nie ma wody w spłuczce. — Odwrócił się do umywalki i odkręcił kran. Nic nie popłynęło. — To coś dla hydraulika.

Sprawdzili inne łazienki w tym skrzydle. Nigdzie nie było wody. Przeszli do skrzydła gościnnego. Stwierdzili, że problem, na czymkolwiek polegał, ograniczał

się do skrzydła dla służby.

— Będę musiała wezwać hydraulika — powiedziała Kim.

— To może być jakaś banalna sprawa, na przykład zakręcony dopływ.

Opuścili skrzydło gościnne i jeszcze raz przeszli się po głównej części domu.

— Muzealnicy z Peabody-Essex oszaleliby z zachwytu — stwierdził Kinnard.

— Na pewno chcieliby położyć łapę na zawartości poddasza i piwnicy — odparła Kim. — Są pełne papierów, listów i innych dokumentów, z których część pochodzi sprzed trzystu lat.

— Muszę to zobaczyć. Nie masz nic przeciwko temu?

— Ależ skąd.

Zmieniili kierunek i weszli na schody prowadzące na poddasze. Kim otworzyła drzwi i zrobiła zapraszający gest.

— Witaj w archiwum Stewartów.

Kinnard wędrował środkiem i rozglądał się po stosach papierów. Potrząsnął głową. Był wstrząśnięty.

— W dzieciństwie zbierałem znaczki. Ileż to razy marzyłem, żeby znaleźć coś takiego. Kto wie, na co tu możesz natrafić.

— W piwnicy jest tego drugie tyle — powiedziała Kim. Zachwył Kinnarda sprawił jej przyjemność.

— Mógłbym tu siedzieć cały miesiąc.

— Ja właśnie to robiłam. Szukałam jakichś wzmianek o jednej z moich antenek, Elizabeth Stewart, która padła ofiarą polowania na czarownice w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim.

— Nie żartuj! Ależ to fascynująca historia! Pamiętasz, że w college'u moim głównym przedmiotem była historia Ameryki?

— Zapomniałam — przyznała Kim.

— Podczas tego stażu w Salem zwiedziłem wszystkie miejsca związane z czarownicami. Przyjechała do mnie z wizytą mama i obeszlśmy je razem.

— Dlaczego nie wzięłaś tej blondynki z izby przyjęć? — wyrwało się Kim, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi.

— Nie mogłem. Zatęskniła za domem i wróciła do swojego Columbus w Ohio. A co z tobą? Wygląda na to, że twój związek z doktorem Armstrongiem kwitnie.

— Mieliśmy swoje wzloty i upadki — odparła wymijająco Kim.

— Powiedz mi coś bliższego o twojej antenatce i polowaniu na czarownice.

— Została oskarżona o czary i stracona.

— Dlaczego nigdy dotąd mi o tym nie mówiłaś?

— Byłam w zмовie milczenia — odparła Kim śmiejąc się. — A mówiąc poważnie, matka zobowiązała mnie, żebym z nikim o tym nie rozmawiała. Ale to się zmieniło. Dokopanie się do prawdy stało się dla mnie czymś w rodzaju świętej sprawy.

— No i co, powiodło ci się?
— Częściowo. Ale materiału jest mnóstwo i zajęło mi to więcej czasu, niż przypuszczałam.

Kinnard położył dłoń na uchwycie jednej z szuflad i spojrzał na Kim.

— Można?

— Ależ proszę bardzo.

Podobnie jak inne szuflady na poddaszu była wypełniona najrozmaitszymi kartkami, kopertami i notesami. Kinnard chwilę szperał, ale nie znalazł żadnych znaczków. W końcu wziął jedną z kopert i wysunął list.

— Nic dziwnego że nie ma znaczków — powiedział. — Znaczkę została wyznaleziona w końcu dziewiętnastego wieku. Ten list pochodzi z roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego ósmego!

Kim wyjęła mu z ręki kopertę. Była zaadresowana do Ronalda.

— A niech cię, ty cholerny szczęściarzu! To ja żyły sobie wypruwam, żeby znaleźć coś takiego, a ty po prostu wchodzisz i jak gdyby nigdy nic wyciągasz go z szuflady.

— Cieszę się, że mogłem się przydać.

Kinnard podał jej list.

Kim odczytała go na głos:

12 października 1698
Cambridge

Najdroższy ojcze,

Jestem ci głęboko wdzięczny za dziesięć szylingów, jako że byłem w okrutnej potrzebie w czasie tych trudnych dni, kiedy to trzeba było przywyknąć do życia w kolegium. Uniżenie proszę, byś przyjął do wiadomości moje sprawozdanie z przedsięwzięcia, o którym tak wiele rozmawialiśmy, zanim ukończyłem szkołę. Po długich i gorliwych poszukiwaniach udało mi się ustalić, że dowód przeciwko mojej drogiej nieboszczce matce przechowywany jest na pokojach jednego z naszych szacownych adiunktów, który znalazł upodobanie w jego straszliwej naturze. W pewien niepokój wprowadził mnie fakt, iż jest on wystawiony na widok publiczny, ale w ostatni wtorek podczas południowego posiłku, gdy wszyscy udali się do jadalni, zdołałem dostać się do wzmiankowanych pokojów i, tak jak mi przykazałeś, zmieniłem imię na wymyślone, Rachel Bingham. W tymże samym celu dostałem się do katalogu biblioteki Harvard Hall. Mam nadzieję, drogi

ojcze, że odnajdziesz pewną pociechę w tym, iż nazwisko Stewartów zostało uwolnione od tak przygnębiającej niesławy. Co się zaś tyczy moich studiów, to mogę z zadowoleniem powiedzieć, że moje wystąpienia przyjmowane są dobrze. Moi współmieszkańcy to krzepcy i miłego usposobienia młodzieńcy. Jeśli pominąć zwyczaj wysługiwania się starszym studentom, o czym na szczęście mnie uprzedziłeś, jestem kontent i mam się dobrze.

Twój kochający syn

Jonathan

— A niech to wszyscy diabli — rzuciła Kim, gdy skończyła czytać.

— O co chodzi?

— O ten dowód. — Kim pokazała w liście odpowiednie miejsce. — Mowa jest o dowodzie, który posłużył do skazania Elizabeth. W aktach sądowych określony został jako rozstrzygający dowód, to znaczy, że świadczył o jej winie w sposób niepodważalny. Znalazłam kilka innych wzmianek na jego temat, ale nigdzie nie napisano, co to było. Wyjaśnienie tej sprawy stało się głównym celem mojej krucjaty.

— Masz jakieś wyobrażenie, co to mogło być?

— Zapewne coś związanego z magią. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że książka albo lalka.

— Ja zaś sądząc po tym liście powiedziałabym, że raczej lalka. Nie wiem, co by to musiała być za książka, żeby można ją było nazwać „straszliwą”. Literatura grozy powstała dopiero w dziewiętnastym wieku.

— Może to była książka z receptami na jakieś czarodziejskie napoje, w skład których wchodziły jakieś organy ciała — rozważała Kim.

— To mi nie przyszło do głowy.

— W swoim dzienniku Elizabeth wspomina o robieniu lalek. I lalki spowodowały skazanie Bridget Bishop. Myślę, że lalka mogła być „straszliwa”, jeśli przedstawiała postać zniekształconą albo o podkreślonych czy wręcz wyolbrzymionych cechach płciowych. Zdaje się, że w świetle moralności purytańskiej wiele rzeczy związanych z seksem było postrzegane jako „straszliwe”.

— Powszechne przekonanie, że purytanie mieli obsesję na punkcie seksu, jest poniekąd nieporozumieniem — odparł Kinnard. — Ja ze swoich kursów historycznych pamiętam, że zasadniczo uważali oni grzechy związane z seksem przedmałżeńskim i ogólnie rozwiązłością za mniejsze niż na przykład kłamstwo albo interesowność, ponieważ w ich oczach te ostatnie naruszały świętość paktów.

— To znaczy, że od czasów Elizabeth wszystko przewróciło się do góry nogami — zachichotała cynicznie Kim. — To, co purytanie uważali za ohydne grzechy, jest w dzisiejszym społeczeństwie akceptowane, a nawet pochwalane. Wystarczy posłuchać sprawozdania z posiedzenia rządu.

— A więc masz nadzieję rozwikłać tajemnicę przeszukując te wszystkie papiery? — Kinnard zatoczył ręką krąg wokół siebie.

— Te i te w piwnicy — uzupełniła Kim, — Poszłam nawet z jednym z nich, listem Increase'a Mathera, na Harvard, ponieważ była w nim mowa o tym, że ten dowód został włączony do zbiorów Harvardu. Ale nie miałam szczęścia. Archiwistki nie znalazły żadnej wzmianki o Elizabeth Stewart, która żyła w siedemnastym wieku.

— Biorąc pod uwagę list Jonathana, należało szukać „Rachel Bingham”.

— Tak, teraz wiem. Ale to by i tak nic nie zmieniło. Zimą tysiąc siedemset sześćdziesiątego czwartego roku wielki pożar strawił Harvard Hall i jego bibliotekę. Spłonęły nie tylko książki, ale również coś, co nazywano magazynem osobliwości, jak również wszystkie katalogi i indeksy. Niestety nie wiadomo nawet dokładnie, co zginęło. Obawiam się, że Harvard nie na wiele mi się przyda.

— Współczuję — rzekł Kinnard.

— Dzięki.

— Masz jeszcze szansę w postaci tych papierów.

— To moja jedyna nadzieja — powiedziała Kim. Pokazała mu, jak segreguje materiał w porządku chronologicznym i tematycznym. Zaprowadziła go nawet w miejsce, w którym pracowała tego ranka.

— Nieliche zadanie — stwierdził Kinnard. Zerknął na zegarek. — Niestety muszę lecieć. Po południu mam obchód u swoich pacjentów.

Kim odprowadziła go do samochodu. zaproponował, że podwiezie ją do domu, ale podziękowała. Wyjaśniła, że ma zamiar spędzić jeszcze kilka godzin na poddaszu. Chciała zwłaszcza przeszukać szufladę, w której on tak łatwo znalazł list Jonathana.

— Może nie powinienem o to pytać — powiedział Kinnard. Stał przy otwartych drzwiach samochodu. — Ale co tu robią Edward i ten jego zespół naukowców?

— Masz rację, nie powinieneś pytać. O szczegółach nie mogę ci powiedzieć, bo przyrzekłam zachować sekret. Ale nie jest tajemnicą, że pracują nad nowym lekiem. Edward założył laboratorium w starych stajniach.

— Niegłupi pomysł. To bajeczne miejsce na laboratorium naukowe.

Wsiadał już do samochodu, kiedy zatrzymała go z kolei Kim.

— Chcę cię o coś zapytać. Czy prawo zabrania naukowcom przyjmowania leków eksperymentalnych, zanim jeszcze zostały poddane próbom klinicznym?

— Przepisy FDA zabraniają podawania ich ochotnikom. Ale jeśli biorą je sami naukowcy, to chyba jest to poza ich jurysdykcją. Nie wyobrażam sobie jed-

nak, żeby mogli coś takiego usankcjonować. Przypuszczam, że robiliby trudności z wydaniem zezwolenia na wprowadzenie takiego leku do badań klinicznych.

— Fatalnie — zmartwiła się Kim. — Miałam nadzieję, że to jest wyraźnie zakazane.

— Chyba nie trzeba być genialnym naukowcem, żeby się domyślić, dlaczego cię to interesuje.

— Ja niczego nie powiedziałam. I będę ci wdzięczna, jeśli ty też będziesz milczał.

— Komu miałbym powiedzieć? — zadał jej retoryczne pytanie. Zawahał się chwilę, po czym spytał jeszcze: — Czy oni wszyscy biorą ten lek?

— Naprawdę nie chcę o tym mówić.

— Jeśli wszyscy, to powstaje specyficzny problem etyczny. Kwestia swego rodzaju przymusu w stosunku do niższych rangą członków zespołu.

— Nie sądzę, żeby w grę wchodził jakikolwiek przymus. Raczej zbiorowa histeria, ale nikt tam nikogo do niczego nie zmusza.

— Tak czy owak branie nie przebadanego leku to niezbyt mądre posunięcie. Jest ogromne ryzyko nieprzewidywanych działań ubocznych. Przecież właśnie stąd się wzięły te wszystkie przepisy.

— Miło mi było znowu cię zobaczyć — powiedziała Kim zmieniając temat. — Cieszę się, że możemy pozostać przyjaciółmi.

— Sam bym tego lepiej nie ujął — uśmiechnął się Kinnard.

Ruszył, a Kim pomachała mu ręką. Pomachała jeszcze raz, gdy jego samochód zniknął za drzewami. Żałowała, że odjechał. Jego niespodziewana wizyta przyniosła jej tak potrzebne wytchnienie.

Wróciła do zamku i wspięła się na poddasze. Wciąż radowała się miłym nastrojem, w jaki wprawiły ją odwiedziny Kinnarda, i nagle przypomniała sobie o zdumiewającym zachowaniu Edwarda. Pamiętała przecież, że gdy zaczęli się spotykać, Edward reagował na samo imię Kinnarda atakami zazdrości. Tym bardziej zaskakująca była jego dzisiejsza reakcja. Skłoniło to Kim do zastanowienia, czy kiedy następnym razem będą sami, ma się liczyć ze spóźnioną awanturą.

Pod wieczór Kim dojrzała do zaprzestania poszukiwań. Wyprostowała się i rozciągnęła zbolące mięśnie. Ku swemu zmartwieniu nie znalazła żadnego interesującego ją materiału ani w szufladzie, ani w szafce, ani nawet w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, z którego Kinnard wyciągnął list Jonathana. Tym bardziej imponujące wydało jej się jego znalezisko.

Opuściła zamek i ruszyła przez pola w kierunku domu. Słońce stało już nisko na zachodnim niebie. Jesień w pełni, niedługo nadejdzie zima. Wracając zastanawiała się leniwie, co zje na obiad.

Była już prawie na miejscu, kiedy dobiegły ją z oddali ożywione głosy. Od-

wróciwszy się zobaczyła, że Edward i jego zespół wychynęli ze swojego odosobnienia w laboratorium.

Kim, zaintrygowana, stanęła i patrzyła, jak cała grupa się zbliża. Nawet z tej odległości łatwo było poznać, że wygłupiają się i dokazują jak uczniowie na przerwie. Słyszała śmiechy i okrzyki. Mężczyźni, oprócz Edwarda, rzucali do siebie piłkę.

W pierwszej chwili Kim przyszło do głowy, że dokonali jakiegoś epokowego odkrycia. Im bliżej byli, tym większej nabierała pewności. Nigdy nie widziała ich w tak dobrych humorach. Ale gdy byli już na tyle blisko, że dało się rozróżnić słowa, Edward wyprowadził ją z błędu.

— Zobacz, coś zrobiła z moim zespołem! — zawołał do Kim. — Właśnie powiedziałem im o twojej propozycji, żeby zamieszkali w zamku, a oni zwariowali z radości.

Cała grupa zbliżywszy się wzniosła trzykrotny okrzyk: „Hiphip, hurra!” i zakończyła głośnym śmiechem.

Kim mimowolnie odpowiedziała uśmiechem. Ich radość była zaraźliwa. Byli jak studenci na rajdzie turystycznym.

— Są do głębi wzruszeni twoją gościnnością — wyjaśnił Edward. — Doceniają uprzejmość, jaką im wyświadczasz. Curt już nawet przespał kilka nocy na podłodze laboratorium.

— Fajnie jesteś ubrana — powiedział Curt do Kim.

Kim spojrzała na swoją skórzaną kamizelkę i džinsy. Doprawdy nic szczególnego.

— Dziękuję — powiedziała.

— Jeśli chodzi o umeblowanie zamku, to możesz być zupełnie spokojna — podkreślił François. — Doskonale rozumiemy, że to dziedzictwo rodowe, i będziemy je traktować z najwyższym szacunkiem.

Eleanor podeszła do niej i całkiem nieoczekiwanie ją uściskała.

— Twoja bezinteresowna pomoc naszej sprawie jest naprawdę wzruszająca. — Potrząsnęła jej dłonią. — Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Kim skinęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była zażenowana, że miała jakiegokolwiek obiekcje.

— A propos — wtrącił Curt pochylając się przed Kim. — Już kilka razy miałem cię zapytać, czy nie przeszkadza ci hałas mojego motocykla. Jeśli tak, to chętnie będę parkował poza majątkiem.

— Nie zwróciłam uwagi na żaden hałas — odparła Kim.

— Kim! — zawołał Edward, podchodząc do niej z drugiej strony. — Oni chcieli cię prosić, żebyś, jeśli masz teraz czas, zabrała ich do zamku i pokazała, w których pokojach mogą spać.

— Naturalnie, może być teraz — zgodziła się.

— Doskonale.

Zawróciła i poprowadziła rozbawioną grupę w kierunku zamku. David i Gloria uparli się, żeby dorównać jej kroku, i szli razem z nią. Zadawali jej mnóstwo pytań o zamek, na przykład kiedy został zbudowany i czy Kim kiedykolwiek w nim mieszkała.

Stare domostwo wywołało wiele ochów i achów, szczególnie wielki salon i ozdobiona heraldycznymi flagami jadalnia.

Kim najpierw pokazała im skrzydło gościnne i zaproponowała, żeby zajęły je kobiety. Eleanor i Gloria były bardzo zadowolone i zajęły sąsiednie sypialnie na piętrze.

— Jeśli jedna zaśpi, to druga będzie mogła ją obudzić — powiedziała Eleanor.

Kim pokazała wszystkim osobne wejścia i klatki schodowe.

— Wspaniale — stwierdził François. — Nie będziemy musieli w ogóle wchodzić do głównej części domu.

Przeszli do skrzydła dla służby. Kim powiedziała im o awarii, ale zapewniła, że rano zadzwoni do hydraulika. Pokazała łazienkę w głównej części domu, z której mogą tymczasem korzystać.

Mężczyźni bez najmniejszych problemów podzielili się pokojami, mimo że nie wszystkie były jednakowo wygodne. Ich wzajemna uprzejmość zrobiła na Kim miłe wrażenie.

— Możemy także zainstalować tu telefon — zaproponowała.

— Nie zawracaj sobie głowy — rzekł David. — Doceniamy twoją propozycję, ale to zbyteczne. Będziemy tu tylko spać, a nie śpimy znowu tak dużo. Możemy używać telefonu w laboratorium.

Po skończonym obchodzie wyszli wszyscy przez drzwi w skrzydle dla służby i przeszli przed drzwi frontowe. Przedyskutowali kwestię kluczy. Stało na tym, że na razie drzwi w skrzydłach nie będą zamykane. Kim w najbliższym czasie miała klucze dorobić.

Po kolejnej rundzie żarliwych uścisków dłoni, obejmowania i podziękowań badacze udali się do swoich dotychczasowych kwater, by zabrać rzeczy. Kim i Edward powędrowali do domu.

Edward był w znakomitym humorze i co chwila na nowo dziękował Kim za wielkoduszność.

— Dzięki tobie atmosfera w laboratorium całkiem się zmieniła- mówił. — Sama widziałaś, że byli uszczęśliwieni. A przecież umysł umysłem, lecz nastrój też jest niezwykle ważny. Jestem pewien, że taki nastrój znajdzie swoje odzwierciedlenie w pracy. A więc to jest twój pozytywny wkład.

— Cieszę się, że mogłam być pomocna — odparła Kim. Miała coraz większe poczucie winy, że z początku była temu przeciwna

Doszli do domu. Ku zaskoczeniu Kim Edward wszedł razem z nią. Myślała, że od razu wróci do laboratorium.

— To miłe ze strony tego chłopaka, Monihana, że do nas zajrzał — zauważył.

Kim szeroko otworzyła usta. Musiała to sobie uświadomić, żeby je zamknąć.

— Wiesz co, napiłbym się piwa — powiedział Edward. — A ty? Kim pokręciła głową. Na chwilę odebrało jej mowę. Poszła za nim do kuchni, po drodze zbierając całą odwagę, żeby pomówić z nim o ich związku. W tak dobrym humorze nie widziała go od dawna.

Podszedł do lodówki. Kim usiadła na stołku. Miała właśnie poruszyć ten temat, gdy Edward, zdjawszy kapsel z butelki, znowu ją zaszokował.

— Chcę cię przeprosić za to, że przez ostatni miesiąc był ze mnie taki borsuk. — Pociągnął piwa, czknął i przeprosił. — Myślę o tym od paru dni. Wiem, że byłem trudny, niedelikatny i czepliwy. Nie chcę się usprawiedliwiać czy wykręcać od odpowiedzialności, ale ta straszna presja kompletnie mnie wykończyła. Stanton, Harvard, zespół, ja sam. Mimo to nie powinienem był dopuścić, żeby takie sprawy stanęły między nami. Jeszcze raz proszę, żebyś mi wybaczyła.

Wyznanie Edwarda zupełnie zbiło ją z tropu. Absolutnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

— Wiem, że jest ci przykro — dodał Edward. — I jeśli nie chcesz, to nie musisz mi teraz nic mówić. Nietrudno sobie wyobrazić, że możesz mieć do mnie urazę.

— Ależ ja chcę o tym mówić. Czekałam na okazję już od piątku, kiedy byłam w Bostonie i widziałam się z terapeutką, do której kiedyś chodziłam.

— Uważam, że to bardzo dobre posunięcie.

— To spotkanie sprawiło, że wiele myślałam o naszych wzajemnych stosunkach. — Kim przyjrzała się swoim dłoniom. Zaczęłam się zastanawiać, czy to dla nas naprawdę dobrze, że mieszkamy ze sobą.

Edward odstawił piwo i ujął jej ręce w swoje.

— Rozumiem twoje uczucia. W świetle mojego zachowania w ostatnich czasach są całkowicie usprawiedliwione. Ale widzę swoje błędy i myślę, że potrafię je naprawić.

Kim chciała coś powiedzieć, ale Edward jej przerwał.

— Proszę cię tylko o to, żeby zachować status quo jeszcze przez kilka tygodni, to znaczy ty w swoim pokoju, ja w swoim. Jeśli pod koniec tego próbnego okresu dojdiesz do wniosku, że nie powinniśmy być razem, przeniosę się do innych, do zamku.

Kim rozważała jego słowa. Jego skrucza i zrozumienie zrobiły na niej wrażenie. Propozycja wydawała się rozsądna.

— Dobrze — przystała w końcu.

— Cudownie! — Edward wyciągnął ręce i zamknął ją w długim uścisku.

Kim trochę się wzbraniała. Trudno jej było tak szybko zmieniać nastawienie uczuciowe.

— Uczcijmy to — zaproponował Edward. — Jedźmy na kolację, tylko we dwoje.

— Wiem, że nie możesz się odrywać od pracy — odparła Kim. — Ale doceniam ofertę.

— Nonsens! Chcę się oderwać! Chodźmy jeszcze raz do tej knajpki, w której byliśmy podczas jednej z naszych pierwszych wycieczek w te strony. Pamiętasz tę rybę?

Kim skinęła głową. Edward wysączył piwo.

Gdy wyjeżdżali z majątku, Kim rzuciła okiem na zamek i przyszli jej na myśl inni naukowcy. Zrobiła jakąś uwagę na temat ich radosnego nastroju.

— Nie może być lepszy — odpowiedział Edward. — W laboratorium wszystko idzie dobrze, no i nie będą musieli dojeżdżać.

— Zaczęliście brać Ultra?

— Jasne. Wszyscy zaczęliśmy we wtorek.

Kim rozważała, czy nie powiedzieć Edwardowi o opinii Kinnarda, ale zawahała się. Wiedziała, że Edward byłby bardzo niezadowolony, że rozmawiała z kimś o ich przedsięwzięciu.

— Już zdążyliśmy się dowiedzieć czegoś ciekawego — ciągnął Edward. — Stężenie Ultra w tkankach nie może odgrywać decydującej roli, ponieważ wszyscy doświadczyliśmy podobnie dobroczynnego jego działania, mimo że jesteśmy na bardzo różnych dawkach.

— Czy ta euforia u ciebie i u pozostałych nie ma czegoś wspólnego z lekiem?

— Na pewno ma. Jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. W ciągu dwudziestu czterech godzin od pierwszej dawki wszyscy poczuliśmy się odprężeni, skoncentrowani, pewni siebie i... — Edward szukał właściwego słowa — zadowoleni. Cóż za kontrast ze zdenerwowaniem, zmęczeniem i kłótnością sprzed Ultra.

— A objawy uboczne?

— Jedynym objawem ubocznym, który wystąpił u wszystkich była początkowa suchość w ustach. Dwoje z nas miało niewielkie zaparcie. Ja jeden miałem kłopoty z widzeniem z bliska, ale trwało to tylko dobę, a zresztą miałem już kiedyś takie problemy i bez Ultra, zwłaszcza kiedy byłem zmęczony.

— Skoro teraz wiecie już tak dużo, to może powinniście przestać go brać — zasugerowała Kim.

— Ja tak nie uważam. Mamy przecież znakomite rezultaty. Przyniosłem nawet kilka sztuk dla ciebie, na wypadek gdybyś chciała spróbować.

Edward sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął probówkę wypełnioną kapsułkami. Wyciągnął ją w stronę Kim. Skuliła się i cofnęła.

— Nie, dziękuję.

— Na miłość boską, przynajmniej weź pojemnik.

Niechętnie Kim pozwoliła włożyć sobie probówkę w dłoń.

— Pomyśl tylko — powiedział Edward. — Pamiętasz, jak już dawno temu rozmawialiśmy o tym uczuciu społecznego nieprzystosowania? No więc z Ultra niczego takiego byś nie czuła. Biorę to niecały tydzień, a już ujawniło się moje

prawdziwe ja. Stałem się człowiekiem, jakim zawsze chciałem być. Uważam, że powinnaś spróbować. Co masz do stracenia?

— Po prostu nie odpowiada mi koncepcja korygowania cech osobowości za pomocą farmaceutyków. Osobowość powinna się kształtować pod wpływem doświadczeń, nie chemii.

— Zdaje się, że już o tym rozmawialiśmy — roześmiał się Edward. — Mam inne zdanie, może dlatego że jestem chemikiem. Zrobisz jak zechcesz, ale gwarantuję ci, że byłabyś o wiele bardziej asertywna, gdybyś spróbowała. To zresztą nie wszystko. Jesteśmy zdania, że Ultra poprawia pamięć odległą, znosi zmęczenie i niepokój. Dziś rano miałem dobry przykład. Zadzwonili do mnie z Harvardu z informacją, że wnoszą przeciwko mnie pozew do sądu. To mnie rozwścieczyło, ale furia trwała zaledwie kilka minut. Dzięki Ultra zamiast tłuc pięściami w ściany byłem zdolny racjonalnie analizować sytuację i podjąć stosowne decyzje.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony z rezultatów. Ale ja mimo wszystko nie chcę go brać. — Próbowała oddać pojemnik Edwardowi. Lecz on odsunął jej rękę.

— Zatrzymaj to — powiedział. — Chcę tylko, żebyś się nad tym poważnie zastanowiła. Jedna kapsułka dziennie, a nie uwierzysz, kim się staniesz.

Widząc, że Edward się uparł, Kim wrzuciła próbkę do torebki.

Gdy znaleźli się w restauracji, Kim poszła do toalety i stojąc przed lustrem kątem oka zauważyła w torebce tę próbkę. Wyjęła ją i zdjęła wieczko. Ujęła jedną błękitną kapsułkę w dwa palce i obejrzała ją dokładnie. Aż trudno było uwierzyć, że jest w stanie zdziałać to wszystko, o czym zapewniał ją Edward.

Spojrzała w lustro. Musiała przyznać, że bardzo chciałaby być bardziej asertywna, mniej lękliwa. Przyznała też, że myśl o tym, jak łatwo mogłaby się uporać ze swoim niezbyt nasilonym, ale dręczącym ją nieustannie niepokojem, jest kusząca. Znów spojrzała na kapsułkę. Potrząsnęła głową. Chwilę się wahała, ale wrzuciwszy ją z powrotem do pojemnika powiedziała sobie, że dla niej leki nie są rozwiązaniem.

Wracając do sali przypomniawszy sobie jeszcze, że szybkie i łatwe rozwiązania zawsze wydawały jej się podejrzone. Przez lata doświadczeń wyrobiła sobie opinię, że najlepszym sposobem radzenia sobie z problemami jest staroświecka metoda introspekcji, z nieodłącznym bólem i wysiłkiem.

Później, w nocy, gdy wygodnie wyciągnięta czytała w łóżku, usłyszała, jak trzasnęły drzwi wejściowe. Podskoczyła. Rzuciła okiem na zegarek i zobaczyła, że nie ma jeszcze jedenastej.

— Edward? — zawołała zdenerwowana.

— To tylko ja — odpowiedział Edward, przeskakując po dwa stopnie. Wetknął głowę do jej sypialni. — Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem.

— Tak wcześniej? Dobrze się czujesz?

— Nie mógłbym się czuć lepiej. Mam mnóstwo energii, co mnie o tyle dziwi, że od piątej jestem na nogach.

Wszedł do łazienki i zaczął szorować zęby. Jednocześnie opowiadał niewyraźnie, ale z ożywieniem o różnych zabawnych incydentach, które zdarzyły się tego wieczoru w laboratorium. Naukowcy jak dzieci płatali sobie nieszkodliwe figle. Słuchając Edwarda Kim uprzytomniła sobie, jak bardzo odbiega nastrojem od wszystkich innych mieszkańców majątku. spektakularnego zwrotu w zachowaniu Edwarda była spięta, nie wiedzieć czym zdenerwowana i w dalszym ciągu przygnębiona.

Gdy Edward skończył się myć, wszedł do jej pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Bufor zjawił się za nim i ku niezadowoleniu Sheby próbował także wskoczyć.

— Ty nie, łobuzie. — Edward podniósł psa i ułożył go sobie na kolanach.

— Idziesz już spać?

— Owszem, idę. Z powodu pewnego doświadczenia jutro zamiast jak zwykle o piątej muszę wstać o wpół do czwartej. Tutaj w Salem nie mam asystentów, żeby robili za mnie brudną robotę.

— Mało śpisz.

— Wystarczająco — odparł Edward. I raptownie zmieniając temat, spytał: — Ile pieniędzy odziedziczyłaś razem z tym majątkiem?

Kim zamrugła oczami. Edward zdumiewał ją teraz, ilekroć otworzył usta. Tak niestosowne pytanie zupełnie do niego nie pasowało.

— Nie musisz mówić, jeśli nie masz ochoty — dodał widząc jej wahanie. — Pytam dlatego, że chciałbym ci zarezerwować jakąś część akcji Omni. Nie chciałem już nic więcej sprzedawać, ale z tobą to całkiem inna sprawa. Gdybyś była zainteresowana, ta inwestycja zwróciłaby ci się tysiącrotnie.

— Mój portfel jest w całości zainwestowany — zdołała wykrztusić Kim.

Edward zdjął Bufora z kolan i uniośł ręce.

— Nie zrozum mnie źle. Nie bawię się w akwizytora. Chcę ci tylko wyświadczyć przysługę, w zamian za to, co zrobiłaś dla Omni zgadzając się na budowę laboratorium na swoim terenie.

— Jestem ci bardzo wdzięczna za tę propozycję.

— Nawet jeśli nie zdecydujesz się zainwestować, dostaniesz ode mnie część udziałów w prezencie. — Edward przez kódrę poklepał ją po nodze i wstał. — Muszę już iść. Przyda mi się parę godzin solidnego snu. Powiadam ci, odkąd zacząłem brać Ultra, śpię tak twardo, że cztery godziny to dla mnie aż nadto. Nie wiedziałem, że spanie może być tak satysfakcjonujące.

Sprężystym krokiem wyszedł do łazienki i zaczął na nowo myć zęby.

— Nie przesadzasz czasem? — zawołała do niego Kim.

Edward na powrót wetknął głowę do jej sypialni.

— Co masz na myśli? — spytał z ustami pełnymi pasty.

— Myłeś już zęby — wyjaśniła.

Spojrzał na szczotkę, jakby ją za to obwiniął. Potem potrząsnął głową i zaśmiał się.

— Przysłowiowy roztargniony profesor — powiedział. Wrócił do łazienki, żeby wypłukać usta.

Kim spojrzała na Bufora, który został z nią i usadowił się przed nocnym stolikiem. Żarliwie błagał o biskwity, które przyniosła sobie z kuchni.

— Ten twój pies zachowuje się, jakby był okropnie głodny — krzyknęła Kim do Edwarda, który był już w swojej sypialni. — Dawałeś mu dzisiaj jeść?

Edward ukazał się w drzwiach.

— Słowo honoru, nie pamiętam — rzekł i natychmiast znów zniknął.

Z westchnieniem rezygnacji Kim wstała, owinęła się szlafrokiem i zeszła do kuchni. Bufor szedł z nosem przy jej kostkach, jakby rozumiał, o czym była mowa. Wyjęła karmę i wyłożyła do miski uczciwą porcję. Bufor mało nie wyskoczył ze skóry z podniecenia. Warczał i szczekał na przemian. Było oczywiste, że nie jadł, może nawet dłużej niż jeden dzień.

Aby uniknąć pogryzienia, Kim zamknęła go w łazience i postawiła jedzenie na podłodze. Gdy otworzyła drzwi, Bufor przemknął koło niej jak biała błyskawica i zaczął zreć w takim tempie, że sprawiał wrażenie, jakby się dławił.

Kim weszła na górę. U Edwarda jeszcze paliło się światło. Chciała mu powiedzieć o Buforze, więc wsadziła głowę do jego pokoju, ale zobaczyła, że śpi głęboko. Widocznie położył się i zasnął, zanim zdążył zgasić światło.

Kim podeszła do łóżka. Zastanowił ją jego chrapliwy oddech. To, że śpi aż tak głęboko, nie dziwiło jej, zważywszy na rodzaj jego pracy. Musiał być naprawdę wyczerpany. Kim wyłączyła światło i wróciła do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 14

PONIEDZIAŁEK, 26 WRZEŚNIA 1994

Kim otworzyła w końcu oczy i zdumiała się widząc, że jest już prawie dziewiąta. Od miesiąca nie zdarzyło jej się wstać tak późno. Wygramoliła się z łóżka i zajrzała do pokoju Edwarda, ale widać było, że wyszedł już dawno. W pokoju panował ład i porządek. Edward miał chwalebny zwyczaj siania łóżka z samego rana.

Nim poszła do łazienki, zatelefonowała do hydraulika, Alberta Bruera, tego, który pracował zarówno przy remoncie domu jak i przy laboratorium. Nagrała wiadomość na automatyczną sekretarkę.

Albert oddzwonił w pół godziny i zanim Kim skończyła śniadanie, już pukał do drzwi. Podjechali do zamku jego furgonetką.

— Chyba wiem, w czym problem — powiedział Albert. — To samo było jeszcze za życia pani dziadka. To rury. Są z lanego żelaza i niektóre zardzewiały.

Albert zabrał Kim po kolei do każdej łazienki w skrzydle dla służby, zdjął płyty osłaniające rury i pokazał jej, jak są zardzewiałe.

— Może pan to naprawić? — spytała.

— Jasne. Ale to wymaga trochę pracy. Mnie i mojemu chłopakowi może to zająć około tygodnia.

— Proszę to zrobić. Mam tutaj gości.

— W takim razie mogę doprowadzić wodę do łazienki na drugim piętrze. Te rury wyglądają nieźle. Pewnie tam nikt nie mieszkał.

Po odjeździe hydraulika Kim wybrała się do laboratorium, powiedzieć panom o łazience na drugim piętrze. Od dawna już tam nie była i wcale nie miała ochoty. Ci ludzie nigdy nie dali jej odczuć, że jest mile widziana.

— Kim! — zawołał David z ożywieniem. On pierwszy zobaczył, jak wchodzi przez drzwi prowadzące do laboratorium właściwego z na razie pustej przyszłej recepcji. — Co za miła niespodzianka.

Krzyknął do pozostałych, że przyszła ich gospodyni. Wszyscy, Edward też, porzucili swoje zajęcia i zbiegli się, żeby ją powitać.

Kim poczuła, że się czerwieni. Nie lubiła być w centrum zainteresowania.

— Mamy świeżutkie pączki i kawę — powiedziała Eleanor. — Poczęstujesz się?

Kim podziękowała, tłumacząc się, że przed chwilą jadła śniadanie. Przeprosiła, że zawraca im głowę, i szybko poinformowała panów o sytuacji z łazienką.

Ucieszyli się i zapewnili ją, że łazienka na drugim piętrze w zupełności ich zadowala. Próbowali ją wręcz namówić, żeby nie zawracała sobie głowy żadnymi naprawami.

— Nie chcę tego tak zostawiać — odparła Kim. — Wolę, żeby wszystko działało jak należy.

Chciała wyjść, ale nie puścili jej. Uparli się, żeby jej pokazać, co robią.

Pierwszy był David. Zaprowadził ją do swojego stanowiska pracy i kazał jej oglądać pod mikroskopem preparat zwoju brzuszno mięczaka zwanego *Aplasia fasciata*. Potem pokazał jej wydruki, które przedstawiały, w jaki sposób Ultra wpływa na spontaniczne wyładowania określonych neuronów w tym zwoju. Zanim Kim zdołała się zorientować, co właściwie ogląda, David wyjął jej wydruki z rąk i poprowadził ją do cieplarki z hodowlami tkankowymi. Tam wyjaśnił jej, jak ocenia się hodowle pod kątem poszukiwania oznak toksyczności.

Następnie przyszła kolej na Głorię i Curta. Zabrali Kim na dół, do zwierzętami. Pokazali jej pożałowania godne stworzenia: zestresowane szczury i małpy, doprowadzone do stanu skrajnego niepokoju. Potem pokazali takie same zwierzęta leczone Ultra i imipraminą.

Kim starała się udawać zainteresowanie, ale doświadczenia na zwierzętach budziły w niej niechęć.

Potem François wziął ją do specjalnie chronionego pomieszczenia, gdzie znajdowała się aparatura do pomiaru jądrowego rezonansu magnetycznego. Próbował jej wytłumaczyć, w jaki sposób stara się określić strukturę białka wiążącego dla Ultra. Niestety Kim niewiele z tego rozumiała. Kiwała więc tylko głową i uśmiechała się, ilekroć zrobił przerwę.

Z kolei Eleanor zaprowadziła ją z powrotem na górę, do swojego komputera. Wygłosiła do niej długi wykład na temat modelowania cząsteczki i o tym, jak stara się stworzyć leki, które byłyby pochodnymi podstawowej struktury Ultra i które zachowałyby niektóre jego cechy biologiczne.

Prowadzana tak to tu, to tam po laboratorium zauważyła że naukowcy Edwar- da zrobili się nie tylko przyjaźni w stosunku do niej, ale także cierpliwi i sympatyczni dla siebie nawzajem. Choć wszyscy chcieli koniecznie zrobić jej przyjemność, wszyscy też bez żadnych oznak niezadowolenia czekali na swoją kolejkę.

— To niezmiernie ciekawe — powiedziała, gdy Eleanor skończyła miniwykład. Zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi. — Bardzo dziękuję, że poświęciliście tyle swojego cennego czasu, żeby mnie oprowadzić.

— Zaczekaj! — zawołał François.

Podbiegł do swojego biurka, złapał teczkę z fotografiami i wrócił. Zdyszany,

pokazał jej Kim pytając, jak jej się podobają. Były to jaskrawo kolorowe tomogramy emisji pozytronowej.

— Uważam, że są. . . — Kim szukała jakiegoś określenia, które nie zabrzmiałoby głupio. W końcu powiedziała: — wstrząsające.

— Prawda? — ucieszył się François i przekrzywiwszy głowę, przyglądał im się pod nieco innym kątem. — To przypomina nowoczesne malarstwo.

— Co one właściwie przedstawiają? — spytała. Wolałaby już iść, ale wszyscy na nią patrzyli; czuła się wręcz zobowiązana zadać pytanie.

— Te kolory odpowiadają różnym stężeniom znakowanego radioaktywnie Ultra. Czerwień oznacza najwyższe stężenie. Widać wyraźnie, że ten lek gromadzi się przede wszystkim w górnej części pnia mózgu, w śródmózgowiu i układzie limbicznym.

— Pamiętam, że Stanton w czasie kolacji mówił coś o układzie limbicznym.

— Owszem, mówił. Układ limbiczny, czyli węchomózgowie to ta bardziej prymitywna, gadzia część mózgu, która steruje czynnościami autonomicznego układu nerwowego oraz nastrojem, emocjami, zmysłami, w tym węchem.

— I seksem — dodał David.

— Dlaczego powiedziałaś „gadzia”? — spytała Kim.

To słowo budziło w niej nieprzyjemne skojarzenia. Nigdy nie lubiła węży.

— Tak się określa te części mózgu, bo są podobne do mózgu gada — wyjaśnił François. — To oczywiście uproszczenie, ale nie pozbawione sensu. Jakkolwiek mózg ludzki jest produktem ewolucji mózgu jakiegoś bardzo odległego, wspólnego z gadami przodka. To nie jest tak, że mamy mózg gada przykryty dwiema półkulami. Wszyscy się roześmiali. Kim też. Ich nastrój był zaraźliwy.

— W tym, co dotyczy podstawowych instynktów — zabrał głos Edward — my, ludzie, nie różnimy się wiele od gadów. Różnica polega na tym, że nasze instynkty są maskowane przez naleciałości społeczno-cywilizacyjne. Inaczej mówiąc oznacza to, że półkule mózgowe mają własny układ sterowania modyfikujący zachowania gadzie.

Kim zerknęła na zegarek.

— Naprawdę muszę już iść. Chcę złapać pociąg do Bostonu. Ta wymówka pozwoliła jej się wymknąć ze szponów naukowców, ale wszyscy zachęcali, żeby ich częściej odwiedzała. Edward wyszedł razem z nią.

— Naprawdę wybierasz się do Bostonu? — spytał.

— Tak — odparła Kim. — Wczoraj postanowiłam, że jeszcze raz pójdę na Harvard. Znalazłam inny list, który zawiera wzmiankę o dowodzie Elizabeth. Zyskałam kolejny trop.

— To świetnie — rzekł Edward. — Baw się dobrze. — Pocałował ją i wrócił do laboratorium. Nie zapytał, co to za list.

Kim powędrowała z powrotem do domu, dziwnie oszołomiona wylewnością naukowców. Może to z nią jest coś nie tak? Nie podobało jej się, że trzymali ją

na dystans, ale kiedy zrobili się towarzyscy, też nie czuje się z nimi dobrze. Czy naprawdę nie sposób jej dogodzić?

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym silniejszego nabierała przekonania, że taką jej reakcję spowodowało nie tyle samo ich zachowanie co jego nagłe ujednolicenie. Kiedy ich poznała, odniosła wrażenie, że każdy z nich, ze swoimi kaprysami i dziwactwami, jest niepowtarzalną indywidualnością. Teraz te indywidualności mieszały się, tworząc nową, sympatyczną, choć odrobinę bezbarwną całość.

Przebrała się na wyjazd do Bostonu, ale nadal nie mogła przestać rozmyślać nad tym, co się tu dzieje. Drażył ją niepokój — ten sam niepokój, który popchnął ją do wizyty u Alice.

Wstąpiła jeszcze do salonu, żeby wziąć sweter, i zatrzymała się przed portretem Elizabeth. Spojrzała w jej twarz, kobiecą, a zarazem przepojoną siłą. Na tym obliczu nie było śladu niepokoju, Czy też Elizabeth kiedykolwiek czuła się tak jak ona pozbawiona wpływu na swoje życie?

Kim wsiadła do samochodu i ruszyła na stację, niezdolna wymazać Elizabeth z pamięci. Nagle przyszło jej do głowy, że mimo przepaści czasowej między jej światem a światem Elizabeth istnieją uderzające podobieństwa. Elizabeth żyła w ciągłym zagrożeniu napaścią Indian, Kim natomiast musiała się liczyć z wszechobecną przestępczością. Wtedy śmiertelne żniwo zbierała tajemnicza i przerażająca ospa; dziś jest AIDS. W czasach Elizabeth społeczeństwo zaczęło się wyłamywać spod władzy purytanów, nastąpił nieokiełznany wybuch materializmu; obecnie przeminął porządek ustanowiony przez zimną wojnę, zrodziły się najrozmaitsze odmiany nacjonalizmu i fundamentalizm religijny. Pozycja kobiety była wówczas trudna do określenia; i w tej sferze zachodziły zmiany. To samo teraz.

— Im bardziej świat się zmienia, tym bardziej pozostaje niezmienny — powiedziała Kim na głos.

Zastanawiała się, czy wszystkie te podobieństwa nie mają nic wspólnego z hipotezą, w którą naprawdę zaczęła wierzyć: że Elizabeth usiłuje się z nią porozumieć ponad wiekami. Wzdrygnęła się. Czy los chował dla niej w zanadrzu taki sam koniec, jaki spotkał Elizabeth? Czy właśnie to chce jej powiedzieć? Czy to ostrzeżenie?

Coraz bardziej niespokojna, Kim zrobiła wysiłek, aby odpędzić obsesyjne myśli. Udało jej się na pewien czas; dopóki nie wsiadła do pociągu. Wtedy zaczęły osaczać ją z powrotem.

— Na miłość boską! — powiedziała głośno.

Kobieta, która siedziała obok niej, obrzuciła ją podejrzliwym wzrokiem.

Kim odwróciła twarz do okna. Skarciła się za nadmiernie wybujałą wyobraźnię. W końcu różnice między jej życiem a życiem Elizabeth były o wiele większe niż jakiegokolwiek podobieństwa, szczególnie co się tyczy możliwości decydowa-

nia o swoim losie. Elizabeth miała nań bardzo niewielki wpływ. We wczesnej młodości została, co tu dużo mówić, przymuszona do małżeństwa dla interesu, a o antykoncepcji nawet jej się nie śniło. W przeciwieństwie do niej Kim mogła poślubić kogo chciała i mogła sama decydować o swojej płodności.

Ten wywód uspokoił ją aż do North Station w Bostonie. Potem jednak zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest tak wolna, jak chciała wierzyć. Przypomniała sobie niektóre swoje ważne decyzje życiowe; na przykład to, że została pielęgniarką zamiast próbować kariery artystycznej lub w sztuce użytkowej. Także to, że żyje z mężczyzną w układzie, który zaczyna wykazywać niepokojące podobieństwo do jej stosunków z ojcem. Na domiar złego zabrnęła w sytuację, w której ma, bynajmniej nie z własnej inicjatywy, w swoim majątku laboratorium naukowe, a w zabytkowej siedzibie rodowej pięćdziesięciu lokatorów.

Pociąg stanął. Zatopiona w myślach, Kim poszła do metra. Wiedziała, w czym problem. Niemal słyszała głos Alice, który mówił, że to kwestia jej osobowości. Za mało ma szacunku dla samej siebie, jest zbyt uległa, myśli tylko o potrzebach innych, a nie zwraca uwagi na własne. Wszystkie te czynniki zjednoczyły się, aby stale ograniczać jej wolność.

Ironia losu, pomyślała Kim. Asertywność i stanowczość Elizabeth w dzisiejszych czasach byłyby jak znalazł, podczas gdy w tamtej epoce bez wątpienia przyczyniły się do jej przedwczesnej śmierci. Z drugiej strony Kim ze swoją obowiązkowością i uległością funkcjonowałyby świetnie w siedemnastym wieku, a nie najlepiej teraz. Na nowo umocniona w postanowieniu, że rozwikła zagadkę Elizabeth, Kim wsiadła do metra i pojechała na Harvard Square. Po kwadransie była znowu w gabinecie Mary Custland w Bibliotece Widenera i czekała, aż Mary skończy czytać list Jonathana.

— Pani dom musi być prawdziwym skarbcem pamiątek — zauważyła Mary odrywając wzrok od kartki. — Ten list jest bezcennym znaleziskiem.

Natychmiast zadzwoniła po Katherine Sturburg i dała go jej przeczytania.

— Coś fantastycznego — oświadczyła Katherine, gdy skończyła.

Wyjaśniły Kim, że materiałów z tego okresu historii Harvardu jest niezwykle mało, i spytały, czy mogą list skopiować. Kim wyraziła zgodę.

— A więc teraz musimy znaleźć jakieś informacje o „Rachel Bingham” — stwierdziła Mary siadając przed komputerem.

— W tym moja nadzieja — powiedziała Kim. Mary wpisała nazwisko. Kim i Katherine zaglądały jej przez ramię. Kim przyłapała się na tym, że trzyma kciuki. Na monitorze pojawiły się dwie osoby o nazwisku Rachel Bingham, ale obie z dziewiętnastego wieku; nie mogły też mieć żadnych powiązań z Elizabeth. Mary spróbowała jeszcze kilku sztuczek, ale nadaremnie.

— Strasznie mi przykro — powiedziała Mary. — Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że nawet jeśli znajdziemy jakąś wzmiankę, nadal pozostaje zasadniczy problem w postaci tego pożaru z tysiąc siedemset sześćdziesiątego czwartego.

— Rozumiem — odpowiedziała Kim. — Właściwie nie spodziewałam się, że naprawdę coś znajdziemy, ale jak już mówiłam czuję się zobowiązana iść za każdym nowym śladem.

— Ja w każdym razie na pewno przeszukam swoje źródła pod kątem tego nowego nazwiska — obiecała Katherine.

Kim podziękowała obu i wyszła. Pojechała metrem z powrotem na North Station. Na pociąg do Salem musiała trochę poczekać. Stojąc na peronie poprzysięgła sobie, że zdwoi wysiłki, aby w najbliższych dniach uporządkować ten nieprawdopodobny galimatias papierów w zamku. Gdy wróci do pracy, nie będzie miała zbyt wielu możliwości, żeby się tym zająć, chyba że w wolne dni.

Znalazszy się z powrotem w majątku miała zamiar udać się od razu do zamku, ale gdy wyjechała pomiędzy drzew, zobaczyła, że przed domem stoi policyjny samochód z rejestracją Salem. Zaintrygowana, skierowała się ku niemu.

Zbliżając się, dostrzegła pośrodku łąki, około pięćdziesięciu metrów od domu, Edwarda i Eleanor pogrążonych w rozmowie z policjantami. Eleanor trzymała Edwardowi rękę na ramieniu.

Kim zaparkowała obok samochodu policyjnego i wysiadła. Tamci na środku pola albo nie usłyszeli, że nadjeżdża, albo byli zbyt zaabsorbowani, żeby zwrócić na nią uwagę.

Coraz bardziej zaciekawiona, Kim ruszyła w ich kierunku. Gdy znalazła się bliżej, zobaczyła, że w trawie leży coś, co widocznie przykuło ich uwagę.

Ujrawszy, co to takiego, Kim gwałtownie wciągnęła powietrze. To był Bufor. Biedny pies nie żył. Najokropniejsze było to, że z jego tylnych nóg zostały jedynie odsłonięte, zakrwawione kości.

Kim rzuciła Edwardowi współczujące spojrzenie. Powitał ją z opanowaniem. Widocznie zdążył się już otrząsnąć z pierwszego szoku. Na policzkach miał ślady zaschniętych łez. Psisko było wredne, ale Edward był do niego naprawdę przywiązany.

— Te kości powinien obejrzeć lekarz sądowy — mówił właśnie. — Może udałoby się zidentyfikować ślady zębów i ustalić, jakie zwierzę to zrobiło.

— Nie wiem, jak zakład medycyny sądowej zareagowałby na propozycję sekcji zdechłego psa — odparł jeden z policjantów, nazwiskiem Bill Selvey.

— Ale powiedział pan, że w ostatnich dniach było już kilka podobnych epizodów — zauważył Edward. — Chyba do was należy ustalenie, co to za zwierzę. Ja uważam, że to może być albo inny pies, albo szop.

Racjonalne zachowanie Edwarda w obliczu takiej straty imponowało Kim. Panował nad sobą na tyle, że jeszcze był w stanie prowadzić techniczną dyskusję na temat śladów zębów na kościach.

— Kiedy widział pan psa po raz ostatni? — spytał Billy.

— W nocy — odpowiedział Edward. — Zazwyczaj spał ze mną, ale może wypuściłem go na dwór. Teraz nie pamiętam. Czasem zostawał na dworze na całą

noc. Nigdy nie przypuszczałem, że to może stanowić jakiś problem. Majątek jest przecież bardzo duży, a pies nikomu nie przeszkadzał.

— Około wpół do dwunastej dałam mu jeść — wtrąciła Kim. — Zostawiłam go w kuchni nad miską.

— Wypuściłaś go? — spytał Edward.

— Nie, przecież mówię, że zostawiłam go w kuchni.

— No, w każdym razie rano go już nie widziałem. Nie sądziłem, że coś się stało. Myślałem, że pojawi się w laboratorium.

— Macie takie drzwi z klapką, żeby zwierzę mogło przejść? — spytał Billy.

Kim i Edward jednocześnie zaprzeczyli.

— Nikt nie słyszał niczego niezwykłego?

— Spałem jak zabity — odparł Edward. — Mam bardzo mocny sen, zwłaszcza ostatnio.

— Ja też niczego nie słyszałam — dodała Kim.

— Jest hipoteza, że sprawcą wszystkich tych incydentów może być wściekłe zwierzę — odezwał się drugi policjant, Harry Connors. — Macie jeszcze inne zwierzęta domowe?

— Ja mam kota — powiedziała Kim.

— Radzilibyśmy w najbliższych dniach trzymać go na smyczy — stwierdził Billy.

Policjanci złożyli notesy i długopisy, pożegnali się i skierowali do swojego pojazdu.

— A co ze zwłokami? — zawołał za nimi Edward. — Nie chcecie ich zabrać na sekcję?

Policjanci spojrzeli jeden na drugiego w nadziei, że to ten drugi odpowie. W końcu Billy odrzyknął, że ich zdaniem najlepiej będzie je zostawić.

Edward pomachał im dobrodusznie.

— Dałem im ogromny napiwek, a oni co? — skomentował. — Po prostu odjeżdżają.

— No, muszę wracać do pracy — po raz pierwszy przemówiła Eleanor. Spojrzała na Kim. — Pamiętaj, że obiecałaś niedługo znowu odwiedzić nas w laboratorium.

— Przyjdę — zapewniła Kim.

Była zdumiona, że Eleanor cokolwiek to obchodzi, ale ta sprawiała wrażenie, że mówi szczerze.

Eleanor poszła do laboratorium.

Edward stał nad Buforem. Kim odwróciła oczy. Od tego przerażającego widoku żołądek jej się przewracał.

— Bardzo ci współczuję — położyła Edwardowi dłoń na ramieniu.

— Miał dobre życie — odparł pogodnie Edward. — Chyba jednak odetnę te tylne łapy i wyślę je znajomemu patologowi z uczelni. Może on nam powie,

jakiego zwierzęcia mamy szukać.

Słyszając o tych planach, Kim przełknęła ślinę. Wszystkiego by się spodziewała, ale nie tego, że zechce jeszcze bardziej okaleczyć zwłoki biednego psa.

— Mam w samochodzie szmatę — powiedział Edward. — Pójdę po nią.

Niepewna, co ma z sobą robić, Kim pozostała przy Buforze. Była wstrząśnięta jego okrutnym końcem. Edward najwidoczniej nie. Gdy wrócił ze starym ręcznikiem i zawinął Bufora, poszła razem z nim do laboratorium. W drodze wpadła na pewną niepokojącą myśl. Zatrzymała Edwarda, żeby się nią z nim podzielić.

— Słuchaj, coś mi przyszło do głowy. A może śmierć i okaleczenie Bufora ma coś wspólnego z czarną magią?

Edward przyglądał jej się chwilę, a potem odrzucił głowę do tyłu, dosłownie wyjąc ze śmiechu. Opanował się dopiero po kilku minutach. Kim też zaczęła się śmiać, zawstydzona, że coś takiego powiedziała.

— Nie, poczekaj — zaprotestowała. — Doskonale pamiętam, że czytałam coś na temat czarnej magii i ofiar zwierzęcych.

— Uważam, że twoja melodramatyczna wyobraźnia jest szalenie komiczna — zdołał wypowiedzieć Edward wśród nowych ataków śmiechu.

Gdy wreszcie odzyskał powagę, przeprosił, że się z niej nabija, i podziękował za zabawny przerywnik.

— Powiedz, naprawdę myślisz, że po trzystu latach diabeł postanowił powrócić do Salem i że ja i Omni jesteśmy obiektem czyjejś sztuki czarnoksięskiej?

— To po prostu zwykłe skojarzenie. Nie zastanawiałam się nad tym głębiej. Nie chciałam powiedzieć, że w to wierzę, raczej że ktoś może w to wierzyć.

Edward złożył szczątki Bufora na ziemię i przytulił Kim.

— Chyba za dużo czasu spędzasz w zamku wśród starych papierzyków. Gdy tylko sprawy Omni się ułożą, musimy wyjechać na urlop. Gdzieś, gdzie jest gorąco i można poleżeć na słońcu. Co ty na to?

— Byłoby fajnie — odparła, choć zastanawiała się, jaki właściwie termin Edward miał na myśli.

Nie miała ochoty przyglądać się, jak sekcjonuje Bufora, więc została pod laboratorium. Po kilku minutach wyszedł z łopatą i zawiniątkiem. Wykopał płytki grób nie opodal wejścia. Pochowawszy Bufora powiedział Kim, żeby chwilę zaczekała, bo o czymś jeszcze zapomniał. Na chwilę zniknął z powrotem w laboratorium.

Wyłonił się z butelką odczynnika chemicznego. Zamaszystym gestem ułożył ją na mogiłce.

— Co to jest? — spytała Kim.

— To bufor chemiczny o nazwie TRIS — odparł Edward. — Bufor dla Bufora. Zaczął się śmiać podobnie, jak po wzmiance Kim na temat czarnej magii.

— Jestem zdumiona, że tak dobrze znosisz to nieszczęście.

— To na pewno ma związek z Ultra. — Edward jeszcze ciągle chichotał ze swojego żartu. — Kiedy się dowiedziałem, co się stało, w pierwszej chwili by-

łem zdruzgotany. Bufor był dla mnie jak członek rodziny. Ale ten straszny smutek szybko minął. To znaczy, ciągle jest mi przykro, ale nie czuję już tej okropnej pustki. Potrafię sobie racjonalnie wytłumaczyć, że śmierć jest naturalnym dopełnieniem życia. W sumie Buforowi jak na psa żyło się naprawdę dobrze, a usposobienia nie miał najłatwiejszego.

— Był ci bardzo wierny — powiedziała Kim. Nie chciała zdradzać swoich prawdziwych uczuć w stosunku do psa.

— To jeszcze jeden argument za tym, żebyś i ty wypróbowała Ultra. Gwarantuję, że to by cię uspokoiło. Kto wie, może zyskałabyś taką jasność myśli, że łatwiej by ci szło dociekanie prawdy o Elizabeth?

— Sądzę, że to mogę osiągnąć tylko za pomocą wytrwałej pracy — odparła Kim.

Edward ucałował ją przelotnie, wylewnie podziękował za wsparcie moralne i wrócił do laboratorium. Kim odwróciła się i poszła w stronę zamku. Ale nie uszła daleko. Zaczęła się martwić o Shebę — Nagle przypomniała sobie, że w nocy, po nakarmieniu Bufora, wypuściła ją na dwór i rano już jej nie widziała.

Zawróciła do domu. Szła coraz szybciej. Śmierć Bufora jeszcze pogorszyła jej samopoczucie. Nie mogła sobie wprost wyobrazić co by to było, gdyby Shebę spotkał taki los.

Gdy tylko przeszła przez próg, od razu zaczęła nawoływać Pośpiesznie pokonała schody i wpadła do sypialni. Ku swojej uldze zobaczyła kotkę zwiniętą w puszysty kłębek na środku łóżka. Kim rzuciła się do niej z pieszczotami. Sheba obdarzyła ją jedynie pogardliwym spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że przeszkadza.

Kilka minut głąskała kota, po czym podeszła do sekretarzyka. Drżącymi palcami ujęła pojemnik z Ultra, który odłożyła tam ubiegłej nocy. Jeszcze raz wyjęła jedną niebieską kapsułkę i zaczęła ją oglądać. Tak bardzo łaknęła ulgi. Naradzała się sama ze sobą, czy nie wypróbować leku chociaż przez jedną dobę, nie zobaczyć, jaki byłby efekt. Zachowanie Edwarda w obliczu straty Bufora było doprawdy podziwu godnym świadectwem jego możliwości. Posunęła się nawet do tego, żeby nalać sobie wody do szklanki.

Ale nie wzięła kapsułki. Zaczęła się natomiast zastanawiać, czy reakcja Edwarda nie była przesadnie wyważona. Zarówno wiedza, jak i intuicja mówiły jej, że pewna dawka żalu jest niezbędna w życiu emocjonalnym człowieka. Przyszło jej do głowy, że blokowanie naturalnego uczucia smutku może mieć w przyszłości swoją cenę.

Z tą myślą odłożyła kapsułkę z powrotem do fiołki i zaryzykowała wizytę w laboratorium. W obawie przed następnymi nie kończącymi się pokazami dosłownie skradała się przez budynek.

Na szczęście na górze byli tylko Edward i David, i to w przeciwnych końcach ogromnego pomieszczenia. Kim mogła więc zaskoczyć Edwarda bez wiedzy po-

zostałych. Zobaczywszy ją, chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go kładąc palec na ustach. Ujęła go za rękę i wyprowadziła na zewnątrz.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi laboratorium, Edward spytał śmiejąc się:

— Co cię, u licha, napadło?

— Chciałam tylko z tobą porozmawiać — wyjaśniła Kim. — Przyszła mi do głowy pewna refleksja, którą mógłbyś może wykorzystać opracowując protokół kliniczny dla Ultra.

Opowiedziała Edwardowi o swoich rozważaniach na temat smutku i zaznaczyła, że to samo dotyczy niepokoju i melancholii. Stwierdziła, że jej zdaniem uczucia te, jakkolwiek bolesne, w umiarkowanych dawkach odgrywają pozytywną rolę jako motor ludzkiego rozwoju, zmian i twórczości. Zamknęła swój wywód następującą konkluzją:

— Obawiam się po prostu, że przyjmowanie leku takiego jak Ultra, który łagodzi te stany emocjonalne, może mieć ukryte konsekwencje i spowodować poważne, a nieprzewidziane skutki uboczne.

Edward uśmiechnął się i powoli pokiwał głową.

— Doceniam twoją troskę — rzekł. — To interesująca opinia, ale ja jej nie podzielam. Widzisz, ona wywodzi się z fałszywego założenia, że umysł, duch jest czymś mistycznie oddzielnym od ciała materialnego. Ta stara hipoteza została obalona przez najnowsze doświadczenia, które dowiodły, że duch i ciało są jednością, także w sferze nastroju i emocji. Emocje mają podłoże biologiczne, czego dowodzi fakt, że wpływają na nie takie leki jak Prozac, który modyfikuje poziom neuroprzekaźników. To zrewolucjonizowało poglądy na temat funkcjonowania mózgu.

— Dla mnie takie myślenie jest dehumanizujące — zaprotestowała Kim.

— Spójrzmy na to z innej strony. Co z bólem? Czy uważasz, że powinno się stosować leki przeciwbólowe?

— Ból to co innego — odparła Kim. Zorientowała się, jaką pułapkę filozoficzną na nią zastawił.

— Ja tak nie uważam. Ból jest także zjawiskiem biologicznym. Skoro zarówno ból fizyczny jak i ból psychiczny mają takie same korzenie biologiczne, powinny być również tak samo leczone, konkretnie starannie opracowanymi preparatami nacelowanymi jedynie na te struktury mózgu, które są za nie odpowiedzialne.

Kim była zawiedziona. Miała ochotę spytać Edwarda, jak wyglądałby świat, gdyby Mozart albo Beethoven byli na lekach przeciwłękowych albo przeciwdepresyjnych. Ale nie powiedziała nic. Wiedziała, że to nie ma sensu. Edward nie był w stanie wykroczyć poza punkt widzenia naukowca.

Uściskał ją wylewnie i jeszcze raz podkreślił, że w pełni docenia jej zainteresowanie. Potem poklepał ją po głowie.

— Jeśli chcesz, możemy jeszcze kiedyś o tym porozmawiać. Ale teraz muszę już wracać do pracy.

Kim przeprosiła i zawróciła do domu.

ROZDZIAŁ 15

CZWARTEK, 29 WRZEŚNIA, 1994

W ciągu następnych dni Kim kilkakrotnie przy różnych okazjach odczuwała pokusę, żeby wypróbować Ultra. Narastający niepokój zaczął powodować trudności ze snem. Ale ilekroć była o krok od wzięcia leku, cofała się.

Starła się za to wykorzystać ten niepokój jako czynnik motywujący. Codziennie spędzała ponad dziesięć godzin na pracy w zamku. Porzucała ją dopiero, kiedy zmęczony wzrok nie był w stanie odcyfrować ręcznego pisma. Jak na złość jej zwiększone wysiłki nie przynosiły żadnych rezultatów. Marzyła już, żeby znaleźć cokolwiek z siedemnastego wieku, nawet bez związku z Elizabeth, po prostu na zachętę.

Obecność hydraulików okazała się raczej sympatyczną rozrywką niż przeszkodą. Gdy Kim robiła sobie przerwę, miała przynajmniej z kim pogadać. Przez pewien czas przyglądała się nawet ich pracy. Szczególnie intrygowała ją lampa lutownicza, którą lutowali miedziane rury.

Jedyną oznaką, że naukowcy istotnie nocowali w zamku, był brud naniesiony od drzwi wejściowych i rozwleczony po obu skrzydłach. Chociaż należało się spodziewać, że trochę się nabrudzi, to jednak takie ilości zdaniem Kim świadczyły o zdumiewającym nieposzanowaniu.

Tymczasem Edward w dalszym ciągu objawiał wyśmienity nastrój, energię, stanowczość i troskliwość. W geście, który przypominał Kim ich pierwsze dni, przysłał jej nawet wielki bukiet kwiatów z bilecikiem tej treści: *Z miłością i wdzięcznością.*

Jedynie w czwartek rano, kiedy Kim wybierała się do zamku. Edward wściekły wpadł do domu i trzasnął notesem o blat stolika obok telefonu. Natychmiast poczuła przypływ zdenerwowania.

— Czy coś się stało?

— Tak, stało się, do cholery! Musiałem przybiec aż tutaj, żeby móc zadzwonić. Kiedy dzwonię z laboratorium, wszystkie gumowe uszy podsłuchują moją rozmowę. To mnie doprowadza do szału.

— To czemu nie zadzwonisz z tego miejsca, gdzie ma być recepcja? Tam jest

zupełnie pusto.

— Stamtąd też mnie podsłuchują.

— Przez ściany?

— Muszę zadzwonić do tego przekłętego przewodniczącego harwardzkiego Biura Licencji — poskarżył się Edward ignorując jej uwagę. — Ten gnój uparł się, żeby mnie zniszczyć.

Otworzył notes i zaczął szukać numeru.

— A nie sądzisz, że on po prostu wykonuje swoje obowiązki? — spytała Kim.

— Uważasz, że zawieszenie mnie to jego obowiązek? — ryknął Edward. — To się nie mieści w głowie! Nigdy bym nie podejrzewał, że ten nędzny bezmózgi biurokrata odważy się zrobić taki numer.

Kim serce zaczęło walić jak młotem. Ton Edwarda przywiódł jej na myśl incydent z rozbiciem kieliszka w jego mieszkaniu. Bała się cokolwiek jeszcze powiedzieć.

— A zresztą — odezwał się nagle Edward najzupełniej spokojnym głosem. Uśmiechnął się. — Takie jest życie. Raz na wozie, raz pod wozem.

Usiadł i zaczął wykręcać numer.

Kim pozwoliła sobie odetchnąć swobodniej, ale nie spuszczała z niego wzroku. Słuchała jego grzecznej rozmowy z człowiekiem, na którym przed chwilą wieszał psy. Kiedy skończył, oświadczył, że facet okazał się mimo wszystko bardzo rozsądny.

— A przy okazji, skoro tu jestem — dodał — skoczę na górę i pozbieram rzeczy do prania. Już wczoraj mnie przecież prosiłaś.

Edward wszedł na schody.

— Ależ ty już pozbierałaś rzeczy do prania — powiedziała Kim. — Musiałeś to zrobić rano, bo znalazłam je, kiedy wstałam.

Edward zatrzymał się i zamrugał, jakby w oszołomieniu.

— Naprawdę? — spytał. — No cóż, tym lepiej. Powinienem już wrócić do laboratorium.

— Edward? — zawołała Kim, zanim przeszedł przez drzwi frontowe. — Czy ty się dobrze czujesz? Ostatnio często zapominasz o różnych drobiazgach.

Edward roześmiał się.

— Rzeczywiście — przyznał. — Zrobiłem się odrobinę zapominalski. Ale nigdy nie czułem się lepiej. Jestem po prostu zaabsorbowany pracą. Ale widać już światło w tunelu. Będziemy bogaczami. I ty też. Rozmawiałem ze Stantonem. Zgodził się odstąpić ci udziały. A więc i ty znajdziesz się na liście wielkiej wypłaty.

— To miło, że o mnie pomyślałeś — odparła Kim.

Podeszła do okna i przyglądała się Edwardowi, gdy wracał do laboratorium. Zastanawiała się nad jego zachowaniem. Był teraz w stosunku do niej generalnie sympatyczniejszy, ale zarazem nieobliczalny.

Wiedziona impulsem, chwyciła kluczyki od samochodu i pojechała do miasta. Musiała porozmawiać z kimś, kto znał się na takich sprawach, i to z kimś, czyją opinię sobie ceniła. Szczęśliwie Kinnard był jeszcze w Salem. Poprosiła w informacji szpitalnej, żeby go odszukano.

Pół godziny później spotkali się w barku. Kinnard miał na sobie strój chirurgiczny. Ona piastowała w dłoni filiżankę z herbatą.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam ci za bardzo — zaczęła, gdy usiadł naprzeciw niej.

— Cieszę się, że cię widzę.

— Chcę cię o coś zapytać. Czy efektem działania leku psychotropowego może być pogorszenie pamięci?

— Jak najbardziej. Ale muszę dodać, że na pamięć krótkotrwałą wpływa wiele czynników. To bardzo mało specyficzny objaw. Czy mam rację sądząc, że Edward ma z tym problemy?

— Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

— Przecież już ci mówiłem. Czy Edward i jego zespół ciągle biorą ten lek?

Kim skinęła głową.

— Powariowali — stwierdził Kinnard. — Najwyraźniej szukają guza. Zauważyłaś jakieś inne efekty?

Kim zaśmiała się niewesoło.

— Nie uwierzyłybyś. Wszyscy zareagowali w sposób niezwykle spektakularny. Zanim zaczęli go brać, stale się kłócili i obrażali. Teraz mają wspaniałe humory. Są radosni, zadowoleni. Pracują w tym samym gorączkowym tempie, ale sprawiają wrażenie, z świetnie się bawią.

— To chyba dobry efekt.

— W pewnym sensie — przyznała Kim. — Ale kiedy człowiek chwilę przebywa w ich towarzystwie, zaczyna wyczuwać coś dziwnego. Wszyscy wydają się zbyt podobni do siebie i mimo swojej wesołości i energii jacyś nudni.

— To przypomina *Nowy wschodzi świat* — zachichotał Kinnard.

— Nie śmieję się — odparła Kim. — Ja też o tym pomyślałam. Ale to raczej kwestia filozoficzna. Nie chcę tego w tej chwili roztrząsać. Natomiast martwi mnie zapominalstwo Edwarda w różnych codziennych drobiazgach. Nie wiem, czy u pozostałych też się to ujawniło.

— I co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem. Miałam nadzieję, że ty albo definitywnie potwierdzisz słuszność moich obaw, albo je rozwiejesz. A widzę, że nie zanoszę się ani na jedno, ani na drugie.

— Na sto procent nie mogę tego zrobić — przyznał Kinnard. — Ale powiem ci coś, nad czym radziłbym ci się zastanowić. Nastawienie szalenie wpływa na percepcję. Dlatego w badaniach naukowych stosuje się metodę podwójnie ślepej próby. Istnieje możliwość, że ponieważ spodziewasz się po leku Edwarda działań

ubocznych, to je dostrzegasz. Wiem, że Edward jest niezwykle inteligentny, i po prostu nie mieści mi się w głowie, że mógłby podejmować jakieś nieuzasadnione ryzyko.

— Może i masz rację. W każdym razie prawdą jest, że w tej chwili sama nie wiem, co widzę. Może to wszystko zrodziło się tylko w mojej głowie. Ale nie, nie przypuszczam.

Kinnard zerknął na zegar ścienny i przeprosił, że musi się pożegnać.

— Przykro mi, że cię tak odstawiam. Ale jeślibyś chciała porozmawiać, będę tu jeszcze przez kilka dni. A jeśli nie tu, to spotkamy się na OIOM-ie w Bostonie.

Na pożegnanie Kinnard uściskał jej dłoń. Odpowiedziała uściskiem i podziękowała, że jej wysłuchał.

Wróciwszy do majątku, Kim udała się prosto do zamku. Zamieniła kilka słów z hydraulikami, którzy powiedzieli, że zrobili już bardzo dużo, ale do skończenia pracy potrzebują jeszcze jakichś trzech dni. Zaproponowali też, że sprawdzą rury w skrzydle dla gości. Kim powiedziała, żeby robili, co uznają za stosowne. Nim zeszła do piwnicy, sprawdziła oba boczne wejścia. Na widok wejścia do skrzydła dla służby wezbrało w niej oburzenie. Mało tego, że schody były powalane ziemią, to jeszcze zaśmiecone liśćmi i patykami. W kącie przy drzwiach wałał się pusty pojemnik po chińskim daniu na wynos.

Klnąc pod nosem, Kim wzięła ze schowka wiadro i szczotkę i posprzątała schody. Były zabrudzone aż do pierwszego podestu.

Potem poszła do głównego wejścia, wzięła sprzed progu wycieraczkę i zaniósła ją pod drzwi do skrzydła dla służby. Rozważała, czy nie zostawić kartki, ale uznała, że wycieraczka powinna stanowić czytelne przesłanie.

W końcu zanurzyła się w czeluść piwnicy i przystąpiła do pracy. Wprawdzie nie znalazła żadnych dokumentów nawet zbliżonych do tamtych czasów, ale skupienie pozwoliło jej oderwać myśli od codziennych trosk. Powoli zaczęła się odprężyć.

O pierwszej zrobiła sobie przerwę. Wróciła do domu i wypuściła Shebę na dwór, a sama zjadła lunch. Przed powrotem do zamku upewniła się, że kot jest bezpiecznie zamknięty w domu. W zamku pogawędziła z hydraulikami. Chwilę przyglądała się, jak Albert wprawnie plombuje rury swoją lutownicą. W końcu wróciła do pracy, tym razem na poddaszu.

Właśnie zaczęła ją ogarniać zniechęcenie, gdy znalazła całą paczkę papierów z interesującego ją okresu. Niezwykle podniecona, zaniósła je do okna.

Nie zaskoczyło jej, że większość z nich dotyczyła interesów. Na kilku rozpoznała charakterystyczne pismo Ronalda. Nagle wstrzymała dech. Spomiędzy dokumentów celnych i listów przewozowych wyciągnęła coś, co wyglądało na prywatną korespondencję. Był to list zaadresowany do Ronalda, a podpisany przez

Thomasa Goodmana.

17 sierpnia 1692
Miasto Salem

Wielmożny Panie,

Wiele nikczemności wydarzyło się ostatnimi czasy w naszym bogobojnym mieście. Ciężka to dla mnie zgryzota, że nieświadomie mogłem się do tego przyczynić. Całym sercem boleję nad tym, iż ty, Panie, źle myślisz o mnie i o tym, w jaki sposób wypełniałem swoje obowiązki wobec naszej gminy, i dlatego odmawiasz widzenia się ze mną w sprawach dla nas obu istotnych. Prawdą jest, iż w dobrej wierze i w imię Boga świadczyłem przeciwko twojej nieboszczce żonie tak na śledztwie, jak i na procesie. Tak jak mnie o to prosiłeś, odwiedzałem czasami twój dom, aby w razie potrzeby zaofiarować pomoc. Fatalnego dnia znalazłem drzwi rozwarte na oścież, choć srogi ziąb panował na dworze, a stół zastawiony strawą, jak gdyby przerwany został posiłek, lecz wiele przedmiotów leżało porozrzucanych, a część potłuczonych, na podłodze zaś zobaczyłem kropelki krwi. Sądząc w pierwszej chwili, że to napad Indian, przeraziłem się o los twojej rodziny. Ale na górze odnalazłem wystraszone dzieci, zarówno naturalne, jak i przygarnięte dziewczeczki. One to rzekły mi, iż twoja małżonka jedząc popadła w stan opętania i, do siebie niepodobna, uciekła do zagrody dla bydła. Z drżeniem i bojaźnią udałem się tam i wołałem w ciemności jej imię. Wypadła na mnie jak szalona i wielce mnie przeraziła. Krew była na jej rękach i sukni i widziałem owoc jej uczynków. Choć sam wielce niespokojny, i ryzykując własne bezpieczeństwo, zdołałem ją uspokoić, a także twój inwentarz, spłoszony, lecz cały i zdrowy. Że taka jest prawda, przysięgam na Boga.

Twój przyjaciel i sąsiad

Thomas Goodman

— Biedni ludzie — szepnęła Kim. Ten list jak nic do tej pory pozwolił jej odczuć, jak straszne ludzkie przeżycia wiązały się ze sprawą rzekomych czarownic.

Współczuła wszystkim, którzy byli w nią uwikłani. Wyczytała w liście niepewność i konsternację Thomasa, który musiał wybierać między przyjaźnią a tym, co uważał za prawdę. I serce jej się wyrywało do nieszczęsnej Elizabeth, pozbawionej przez grzyb władz umysłowych do tego stopnia, że stała się niebezpieczna dla własnych dzieci. Nietrudno zrozumieć, że siedemnastowieczna wyobraźnia natychmiast przypisała podobne przerażające i niezrozumiałe zachowania czarom.

Pogrążona w tych pełnych współczucia refleksjach, Kim nagle zdała sobie sprawę, że list zawiera nową, niepokojącą treść w postaci wzmianki o krwi i sugestii, że doszło do użycia przemocy. Kim nawet nie chciała się zastanawiać, co mogła zrobić Elizabeth w zagrodzie dla bydła, ale musiała przyznać przed sobą, że to może być bardzo ważne.

Jeszcze raz rzuciła okiem na list. Na nowo odczytała fragment, w którym Thomas pisał, że inwentarz był cały i zdrow, pomimo obecności krwi. Wydało jej się to dziwne, chyba że Elizabeth zrobiła coś sobie. Na myśl o samookaleczeniu Kim aż się wzdrygnęła. Za tą możliwością przemawiałaby także wzmianka o kropelkach krwi na podłodze domu. Z drugiej strony w tym samym zdaniu mowa była o potłuczonych przedmiotach, co wskazywało, że krew mogła pochodzić z nieumyślnego zranienia.

Kim westchnęła. Miała zamęt w głowie, ale jedno było dla niej jasne. Działanie tego grzyba w jakiś sposób wiązało się z agresją. Pomyślała, że jest to coś, o czym Edward i pozostali powinni się niezwłocznie dowiedzieć. Z listem w garści Kim pośpiesznie opuściła zamek i prawie pobiegła do laboratorium. Wpadła tam bez tchu. Czekala ją niespodzianka: trafiła w sam środek fety.

Wszyscy powitali ją niezwykle wesoło i zaraz pociągnęli do jednego ze stołów, na którym stała otwarta butelka szampana. Kim usiłowała odmówić, ale nie chcieli nawet o tym słyszeć. Wręczono jej pełną zlewkę trunku. I znowu poczuła się jak na szalonej studenckiej imprezie.

Po chwili udało jej się przedrzeć do Edwarda. Spytała go, co się tu dzieje.

— Eleanor, Gloria i François dokonali właśnie wielkiego wyczynu — wyjaśnił. — Zdołali całkowicie określić strukturę jednego z białek wiążących Ultra. To wielki krok naprzód. To nam pozwoli w razie potrzeby zmodyfikować cząsteczkę Ultra albo opracować inne leki, które wiązałyby się w taki sam sposób.

— Bardzo się cieszę — odparła Kim. — Ale przyszłam tu po to, żeby ci pokazać coś, co moim zdaniem powinieneś zobaczyć.

Podawała mu list. Edward szybko przebiegł go wzrokiem. Potem podniósł głowę, spojrzął na Kim i mrugnął.

— Gratulacje. To najlepsze, co do tej pory znalazłaś. — Odwrócił się do grupy i zawołał: — Słuchajcie, dzieci. Kim znalazła najlepszy dowód, że Elizabeth była ofiarą zatrucia. Nadaje się do artykułu wstępnego w *Science*.

Naukowcy zgromadzili się wokół nich. Edward podał im list i kazał wszystkim przeczytać.

— Genialne — stwierdziła Eleanor podając list Davidowi. — Jest nawet wyraźnie zaznaczone, że to się stało przy jedzeniu. To idealna ilustracja szybkości działania tego alkaloidu. Pewnie zjadła tylko kawałek chleba.

— Całe szczęście, że wyeliminowałeś ten łańcuch, który jest odpowiedzialny za działanie halucynogenne — dodał David. — Nie chciałbym się ocknąć w oborze wśród krów.

Wszyscy się roześmieli. Oprócz Kim. Patrzyła na Edwarda, a gdy ten przestał się śmiać, spytała, czy nie niepokoí go sugestia, że ten związek wywołuje agresję.

Edward jeszcze raz wziął list i przeczytał go, tym razem uważniej.

— Wiesz co, masz rację — powiedział do Kim, gdy skończył. — Chyba jednak nie powinienem pisać tego artykułu. Może nam to narobić niepotrzebnych kłopotów. Kilka lat temu przez dyskusje w programach telewizyjnych rozeszły się niefortunne pogłoski, że Prozac wywołuje agresję. W końcu statystyki tego nie potwierdziły, ale przez dłuższy czas to był problem. Nie chcę, żeby coś podobnego wydarzyło się z Ultra.

— Jeśli oryginalny alkaloid miał takie działanie, to zapewne z powodu owego bocznego łańcucha, który wywołuje halucynacje — zauważyła Gloria. — Mógłbyś o tym napisać w swoim artykule.

— Po co ryzykować? Nie chcę dawać żadnym wściekłym dziennikarzynom ani kasha. Lepiej nie budzić licha.

— A może powinniście włączyć zagadnienie agresji do protokołu badań klinicznych — podsunęła Kim. — Wtedy, jeśli sprawa w ogóle wypłynie, będziecie z góry mieli dane.

— A wiesz, że to cholernie dobry pomysł — odparła Gloria.

Kilka minut życzliwie dyskutowali nad sugestią Kim. Ośmielona tym, że ktoś zechciał jej wysłuchać, zaproponowała, żeby włączyć również epizody świadczące o pogorszeniu pamięci. Jako przykład podała ostatnie wybryki Edwarda.

Edward śmiał się dobrodusznie razem ze wszystkimi.

— No i co z tego, że myję zęby po dwa razy? — bronił się, wywołując jeszcze większą wesołość.

— Uważam, że to dobry pomysł — powiedział Curt. — David zrobił się tak samo zapominalski. Jako jego najbliższy sąsiad w zamku miałem okazję to zauważyć.

— I kto to mówi! — zachichotał David.

Opowiedział wszystkim, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru. Curt zadzwonił do swojej dziewczyny dwa razy, ponieważ zapomniał, że już do niej telefonował.

— Założę się, że na niej zrobiło to dobre wrażenie — skomentowała Gloria.

Curt żartobliwie walnął Davida w plecy.

— Zauważyłeś to tylko dlatego, że sam dzień wcześniej zapomniałeś, że już dzwoniłeś do żony.

Przyglądając się, jak Curt i David mowią się w zabawie, Kim zwróciła uwagę, że palce i całe dłonie Curta pokrywają skaleczenia i zadrapania. Zareagowała odruchowo jak typowa pielęgniarka. Zaofiarowała się, że rzuci na nie okiem.

— Dziękuję, ale to tylko tak źle wygląda — odparł Curt. — Wcale tego nie czuję.

— Czyżbyś spadł ze swojego motoru?

Curt roześmiał się.

— Mam nadzieję, że nie. Nie pamiętam, skąd mi się to wzięło.

— To chyba ta robota. — David pokazał swoje ręce, może nie w aż tak złym, ale podobnym stanie. — Wygląd naszych rąk dowodzi, że istotnie wypruwamy sobie żyły.

— To wszystko przez dziewiętnastogodzinny dzień pracy — wtrącił François. — Aż dziw, że jeszcze w ogóle funkcjonujemy, i to całkiem nieźle.

— Jestem przekonana, że Ultra powoduje zaburzenia pamięci krótkotrwałej — wróciła do tematu Kim. — Wygląda na to, że wszyscy je macie.

— Ja nie — zaprzeczyła Gloria.

— Ja też nie — dodała Eleanor. — Przeciwnie, odkąd biorę Ultra, mam umysł jaśniejszy, a pamięć wyraźnie lepszą.

— To samo ze mną — przytaknęła Gloria. — Myślę, że François ma rację. Jesteśmy po prostu przepracowani.

— Czekaj no, Gloria — powiedziała Eleanor. — A jednak ty też zrobiłaś się roztargniona. Pamiętasz, jak przedwczoraj rano zostawiłaś szlafrok w łazience i po chwili dostałaś szału, bo nie wisiał na drzwiach w sypialni?

— Wcale nie dostałam szału — zaprzeczyła Gloria bez urazy. — Zresztą to co innego. Zanim zaczęłam brać Ultra, też nigdy nie wiedziałam, gdzie jest mój szlafrok.

— Nieważne — rzekł Edward. — Kim ma rację. Zaburzenia pamięci krótkotrwałej mogą mieć związek z Ultra i musimy to włączyć do protokołu. Ale nie jest to coś, co powinno nam spędzać sen z powiek. Nawet jeśli się potwierdzi, to w świetle niezwykle pozytywnego działania Ultra na funkcje umysłowe w ogóle stanowi z pewnością dopuszczalne ryzyko.

— Zgadzam się — zawtórowała Gloria. — Kiedy Einstein formułował teorię względności, też zapominał o drobnych sprawach dnia codziennego. Mózg dokonuje oceny, co jest warte zachowania. To, ile razy dziennie człowiek myje zęby, nie jest aż tak ważne.

Naraz uwagę obecnych skupił odgłos otwierania drzwi wejściowych. W laboratorium rzadko bywali goście. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na wejście z recepcji. Po chwili stanął w nich Stanton.

Z ust naukowców wyrwał się spontaniczny potrójny wiwat. Stanton stanął jak wryty.

— Co się tu dzieje, u licha? Nie pracujecie dziś?

Eleanor od razu wręczyła mu zlewkę z szampanem.

— Mały toast — Edward podniósł swojego drinka. — Wypijmy za twoją upierdliwość, która zmusiła nas, żebyśmy zaczęli brać Ultra. Codziennie czerpiemy z tej decyzji nowe korzyści.

Wśród chichotów wszyscy nie wyłączając Stantona spełnili toast.

— To był prawdziwy ubaw — ciągnął Edward. — Pobieraliśmy sobie nawzajem krew i zbieraliśmy mocz do badań.

— Wszyscy oprócz François — dodała Gloria chcąc się podrażnić z Francuzem. — On przeważnie zapomina.

— Mieliśmy z tym mały problem — przyznał Edward. — Ale rozwiązaliśmy go w ten sposób, że przytwierdziliśmy deskę do sedesu i przyczepiliśmy napis: MOCZ STOP.

Wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. Gloria i David musieli odstawić swoje drinki, żeby nie wylać szampana.

— Widzę, że naprawdę świetnie się bawicie — skomentował Stanton.

— Mamy powody do radości. — Edward opowiedział Stantonowi o odkryciu struktury białka wiążącego. Zazaczył, że to osiągnięcie stało się możliwe częściowo dzięki Ultra, jako że lek wyostrzył ich intelekt.

— To naprawdę wspaniała wiadomość! — wykrzyknął Stanton.

Pogratulował też osobiście Glorii, Eleanor i François. Każdemu uścisnął dłoń. Potem poprosił Edwarda o chwilę rozmowy.

Kim skorzystała z wizyty Stantona i pożegnała się. Cieszyła się, że poszła do laboratorium; miała uczucie, że podsuwając im pomysł włączenia do badań klinicznych kwestii agresji i zaburzeń pamięci, zdołała dokonać czegoś ważnego.

Ruszyła z powrotem do zamku. Chciała dołożyć list Thomasa Goodmana do innych pamiętek dotyczących Elizabeth. Zbliżając się do budynku zauważyła, że spomiędzy drzew wyłonił się samochód policyjny. Kierowca z pewnością też ją zobaczył, bo natychmiast zawrócił pojazd i skierował się w jej stronę.

Kim stanęła i czekała. Samochód podjechał i wysiedli z niego ci sami dwaj policjanci, którzy byli już poprzednio w sprawie psa.

Billy dotknął daszka. Wymienili powitania.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

— Czy coś się stało? — spytała Kim.

— Chcieliśmy się dowiedzieć, czy od czasu śmierci psa mieli Państwo jeszcze jakieś kłopoty — wyjaśnił Billy. — W okolicy zanotowaliśmy nagły wzrost aktów wandalizmu, jakby Halloween Przyszło z miesięcznym wyprzedzeniem.

— Halloween w Salem to duża impreza — dodał Harry. — My, stróżę porządku, wyjątkowo tego święta nie cierpimy.

— Jakiego rodzaju akty wandalizmu? — spytała Kim.

— Te same bzdury co zawsze — rzekł Billy. — Poprzewracane śmietniki, śmieci rozsypane. Zniknęło też parę zwierząt domowych. Znaleźliśmy zwłoki po

drugiej stronie drogi, na cmentarzu Greenlawn.

— Ciągle istnieje podejrzenie, że w okolicy grasuje jakieś wściekłe zwierzę — powiedział Harry. — Radzę pani trzymać kota w domu, zwłaszcza że posiadłość nie jest mała i pełno tu lasów.

— Sądzimy, że miejscowe dzieciaki, że tak powiem, podłączyły się do zabawy i rozrabiają na konto zwierzaka. Za dużo tego trochę jak na jednego czworonoga. Ile śmietników może wywalić szop nawet przez całą noc? — prychnął Billy.

— Dziękuję, że się panowie pofatygowali, żeby mnie ostrzec — powiedziała Kim. — Od czasu tego wypadku z psem nic się nie zdarzyło. Niemniej dopilnuję, żeby kot siedział w domu.

— Gdyby państwo mieli jakieś kłopoty, proszę do nas zadzwonić. Wolelibyśmy ukrećić sprawie łeb od razu, zanim urośnie do poważnych rozmiarów.

Kim chwilę patrzyła za odjeżdżającym samochodem i już miała wejść do zamku, gdy usłyszała, że woła ją Stanton. Odwróciwszy się, zobaczyła, że nadchodzi od strony laboratorium.

— Co tu robi policja, u diabła? — spytał, gdy tylko znalazł się w zasięgu głosu.

Kim powiedziała mu o podejrzeniu, że w pobliżu grasuje wściekłe zwierzę.

— Ciągle coś — rzekł Stanton. — Słuchaj, chcę z tobą porozmawiać o Edwar-dzie. Masz chwilkę?

— Dobrze — odparła Kim zachodząc w głowę, o co mu może chodzić. — Gdzie chcesz rozmawiać?

— Może być tutaj. Od czego by tu zacząć! — wpatrzył się w przestrzeń, po czym spojrzał jej w oczy. — Edward zadziwia mnie ostatnio, podobnie jak pozostali. Ile razy wpadam do laboratorium, czuję się jak raróg. Kilka tygodni temu atmosfera była jak w rodzinnym grobowcu. Dzisiaj znowu śmieją się jak głupi do sera. Pomyślałby kto, że to piknik, tylko że oni pracują tak samo ciężko, a może nawet ciężej niż przedtem. Są tak piekielnie inteligentni i błyskotliwi, że trudno nadażyć za ich dowcipami. Szczerze mówiąc czuję się przy nich jak przygłup. — Stanton zaśmiał się sarkastycznie. — Edward zrobił się taki bezpośredni i przebojowy, że przypomina mi mnie!

Kim zasłoniła usta dłonią, ale nie zdołała pohamować śmiechu z tego przejawu samokrytycznej przenikliwości Stanton.

— To nie jest śmieszne — poskarżył się Stanton, choć sam też się śmiał. — Tylko czekać, jak zachce mu się samemu zostać inwestorem. Raptem wciągnął go biznes i niestety nasze postawy w tej kwestii bardzo się różnią. Aktualnie nie możemy dojść do porozumienia co do tego, jak powiększyć kapitał. Zaczyna doktor robić się tak chciwy, że nie zgadza się poświęcić żadnego udziału. W mgnieniu oka z ascetycznego i pełnego poświęcenia naukowca przedzierzgnął się w nienasyconego kapitalistę.

— Dlaczego mi to mówisz? — spytała Kim. — Ja nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z Omni.

— Miałem nadzieję, że mogłabyś porozmawiać z Edwardem. Ja naprawdę uważam, że nic, ale to nic nie uzasadnia pożyczania brudnych pieniędzy za pośrednictwem zagranicznych banków. Żałuję, że w ogóle wspomniałem o takiej możliwości. Ryzyko jest po prostu za duże, i nie mówię tylko o ryzyku finansowym. Mówię o ryzyku utraty życia lub zdrowia. Nie warto. Chodzi mi o to, by finansową stronę tego przedsięwzięcia zostawić mnie, tak jak stronę naukową Edwardowi.

— Czy nie odniosłeś wrażenia, że Edward ma kłopoty z pamięcią?

— Skąd! Jest ostry jak brzytwa. Po prostu w sprawach finansowych jest zupełnie zielony.

— Zrobił się roztargniony. Dotyczy to różnych drobiazgów życia codziennego. I inni też przyznali, że mają takie same kłopoty z pamięcią.

— Ja nie zauważyłem, żeby był roztargniony. Ale wydało mi się, że zdradza objawy lekkiej paranoi. Na przykład uparł się rozmawiać na dworze, żeby nas nie podsłuchano.

— Kto miałby was podsłuchiwać?

Stanton wzruszył ramionami.

— Domyślam się, że pozostali członkowie zespołu. Nie powiedział konkretnie, a ja nie pytałem.

— Dziś rano przyszedł z laboratorium do domu specjalnie po to, żeby nikt nie podsłuchiwał jego rozmowy telefonicznej. Obawiał się skorzystać z telefonu w recepcji, bo uważał, że ktoś mógłby go usłyszeć przez ścianę.

— To już zdecydowanie objawy paranoi. Ale na jego obronę muszę powiedzieć, że to ja wbiłem mu w głowę konieczność zachowania tajemnicy.

— Zaczynam się martwić, Stanton.

— Nie mów tak. Przyszedłem do ciebie, żebyś mnie uspokoiła a nie żebyś potwierdziła moje obawy.

— Boję się, że zaburzenia pamięci i zachowania paranoidalne są ubocznymi działaniami Ultra.

— Nie chcę nawet o tym słyszeć.

Stanton zakrył sobie uszy dłońmi.

— Nie powinni brać leku na tym etapie, dobrze o tym wiesz. Uważam, że powinieneś im to wyperswadować.

— Ja? Powiedziałem ci przecież przed chwilą, że ja jestem od finansów. Nie wtrącam się do spraw naukowych, szczególnie że biorąc ten lek, jak twierdzą, będą w stanie przyspieszyć jego ocenę. Poza tym ten stan psychiczny i roztargnienie są najprawdopodobniej spowodowane ciężką pracą. Edward wie, co robi. Boże, on jest przecież gwiazdą w swojej dziedzinie.

— Zawrzyjmy umowę. Jeśli spróbujesz przekonać Edwarda, żeby przestał brać lek, to ja spróbuję go przekonać, żeby pozostawił finanse tobie.

Stanton zrobił minę, jakby ktoś wbił mu nóż w plecy.

— To po prostu śmieszne. Muszę negocjować z własną kuzynką.

— Uważam, że to sprawiedliwy układ. Ja pomogę tobie, a ty mnie.

— Niczego nie obiecuję.

— Ja też niczego nie obiecuję.

— Kiedy z nim porozmawiasz?

— Dziś wieczorem. A ty?

— Chyba zawrócę i porozmawiam z nim od razu.

— Umowa stoi?

— Na to wygląda — powiedział Stanton z ociąganiem. Podali sobie ręce.

Kim patrzyła za nim, gdy szedł z powrotem do laboratorium. Ciężki chód kontrastował ze zwykłą sprężystością jego kroku. Ramiona zwiesił, jakby dźwigał w obu rękach ciężkie walizki. Mimo woli Kim zrobiło się go żal. Wiedziała, że jest bardzo zmartwiony. Sęk w tym, że pogwałciwszy jedną ze swoich kardynalnych zasad, wpakował wszystkie pieniądze w Omni.

Kim powędrowała na poddasze i podeszła do jednego z okien wychodzących na laboratorium. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Stanton przechodził przez próg. Nie robiła sobie wielkich nadziei, że uda mu się namówić Edwarda, by przestał brać Ultra, ale przynajmniej będzie mogła sobie powiedzieć, że próbowała.

Tej nocy Kim zapała się, żeby nie zasnąć, dopóki Edward nie wróci z laboratorium. Zjawił się tuż po pierwszej. Czytała, gdy usłyszała najpierw trzaśnięcie frontowych drzwi, a potem kroki Edwarda na starych schodach.

— Mój Boże — powiedział wtykając głowę do jej sypialni. — Cóż to musi być za książka, że do tej pory nie pozwoliła ci zasnąć!

— Nie chce mi się spać — odparła Kim. — Wejdz.

— Ja jestem wykończony. — Edward wszedł do pokoju i ziewając, z roz-targnieniem głaskał Shebę. — Nie mogę się doczekać, żeby wskoczyć do łóżka. Napada mnie to jak w zegarku tuż po północy. Niesamowite, jak błyskawicznie zasypiam, gdy tylko poczuję zmęczenie. Muszę uważać, nawet kiedy siadam. A jeśli się położę, to koniec.

— Zauważyłam. W niedzielę nawet nie zgasiłeś światła.

— Chyba powinienem się na ciebie pogniewać — powiedział Edward. Uśmiechał się. — Ale nie mogę. Wiem, że chodzi ci tylko o moje dobro.

— Może byś mi wyjaśnił, co masz na myśli?

— Niby to nie wiesz — przekomarzał się Edward. — Mówię o nagłym zainteresowaniu Stantona moim samopoczuciem. Jak tylko otworzył usta, wiedziałem, kto za tym stoi. Litość dla bliźnich nie jest w jego stylu.

— Czy powiedział ci o naszej umowie?

— Jakiej umowie?

— Że spróbuje cię namówić, żebyś przestał brać Ultra, jeśli ja postaram się przekonać cię, żebyś zostawił finanse Omni jemu.

— *Et tu, Brute...* — zażartował Edward. — Ciekawa sytuacja. Dwie najbliższe mi osoby spiskują za moimi plecami.

— Jak sam powiedziałeś, mamy na uwadze jedynie twoje dobro.

— Myślę, że potrafię sam zdecydować o tym, co jest dla mnie dobre — stwierdził Edward przyjaznym tonem.

— Zmieniłeś się. Stanton zauważył, że zrobiłeś się zupełnie jak on.

Edward roześmiał się serdecznie.

— Świetne! — powiedział. — Zawsze chciałem być taki przebojowy jak Stanton. Szkoda, że mój ojciec nie żyje. Może wreszcie byłby ze mnie zadowolony.

— To nie jest temat do żartów.

— Wcale nie żartuję. Podobam się sobie śmiały i swobodny, a nie wiecznie wstydlivy i bojaźliwy.

— Ale przecież przyjmowanie nie przebadanego leku jest niebezpieczne. Poza tym czy naprawdę sądzisz, że jest rzeczą etyczną zmieniać sobie charakter za pomocą substancji chemicznej, a nie w oparciu o doświadczenia życiowe? Ja uważam, że to jest sztuczne i kłamliwe.

Edward usiadł obok niej.

— Jeśli zasnę, zadzwoń po pomoc drogową, żeby mnie odholowała do łóżka — zachichotał. Potem nastąpiło kolejne szerokie ziewnięcie. Otwarte usta przysłonił dłonią. — Posłuchaj, moja najdroższa. Ultra nie jest „lekiem nie przebadanym”. Nie jest tylko przebadany do końca. Ale jest nietoksyczny, i to najważniejsze. Mam zamiar brać go w dalszym ciągu, chyba że, w co wątpię, ujawni się jakieś poważne działanie uboczne. A co do drugiej kwestii to dla mnie jest jasne, że doświadczenia życiowe mogą wzmocnić niepożądane cechy charakteru, w moim przypadku nieśmiałość, i uczynić z nich coś w rodzaju pancerza. Kiedyś do pewnego stopnia Prozac, a teraz w znacznie większym stopniu Ultra wyzwoliły moje prawdziwe ja, człowieka, którego osobowość pod wpływem wielu niefortunnych doświadczeń została pokryta maską niezręczności i nieumiejętności współżycia z ludźmi. Ta osobowość, którą widzisz teraz, nie jest tworem Ultra i nie jest fałszywa. Teraz po prostu mogła się ujawnić, wyrwać się z pajęczyny wyuczonych reakcji neuronalnych, które nazwałem „siecią nieudacznika”.

Edward zachichotał i uspokajającym gestem poklepał przez kołdrę nogę Kim.

— Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Wierz mi. Mam tylko jeden problem: jak długo będę musiał brać Ultra, zanim moje obecne ja utrwali się na tyle, że po odstawieniu leku nie stanę się znowu dawnym nieśmiałym niezdarą.

— Przedstawiasz swoje postępowanie tak, jakby to był szczyt rozsądku.

— Bo jest. Wiem, jakim chcę być człowiekiem. I, do diabła, prawdopodobnie byłbym nim od początku, gdyby mój ojciec nie był taką cholerną piłą.

— A zaburzenia pamięci, a mania prześladowcza?

— Jaka znowu mania prześladowcza?

Kim przypomniła mu, jak tego ranka przyszedł do domu, żeby zatelefonować, i że musiał wyjść na dwór, chcąc porozmawiać ze Stantonem.

— To nie żadna mania prześladowcza — odparł Edward z oburzeniem. — Te tam typy zrobiły z laboratorium najgorsze plotkarskie gniazdo, jakie kiedykolwiek widziałem. Staram się tylko chronić swoją prywatność.

— Stanton i ja uważamy, że to ma wszelkie cechy paranoi.

— A ja was zapewniam, że nie ma. — Edward uśmiechnął się. Nagła irytacja, którą okazał w obliczu zarzutu manii prześladowczej, zdążyła już zniknąć. — Zapominalstwo zgoda, ale to drugie nie.

— A nie mógłbyś teraz przerwać i zacząć znowu na etapie prób klinicznych?

— Ciężko cię przekonać. A ja jak na złość jestem wyprany z energii. Oczy mi się same zamykają. Przepraszam. Wrócimy do tego jutro, jeśli oczywiście chcesz powtarzać wszystko od początku. Ale teraz muszę się położyć.

Edward pochylił się, cmoknął Kim w policzek i chwiejnym krokiem wyszedł. Słyszała, jak krząta się po swojej sypialni, ale zaledwie kilka minut. Potem dobiegł ją już tylko ciężki oddech kogoś głęboko uśpionego.

Zdumiona tym tempem, Kim wstała z łóżka, otuliła się szlafrokiem i wyszła zajrzeć do jego pokoju. Na podłodze wałały się w nieładzie ubrania. Edward leżał na łóżku w samych slipach, z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami. Tak samo jak w niedzielę lampka przy łóżku była zapalona.

Kim podeszła i wyłączyła ją. Chrapał strasznie głośno. Dziwne, że nigdy jej to nie zbudziło, gdy jeszcze spali razem.

Wróciła do siebie, zgasiała światło i starała się zasnąć. Ale nie mogła. Nie była w stanie się wyłączyć. Słyszała Edwarda, jakby leżał tuż obok.

Po półgodzinnych wysiłkach Kim znowu wstała i poszła do łazienki. Odszukała starą fiołkę Xanaxu, którą przechowywała od lat, i wyjęła jedną różową owalną tabletkę. Nie miała ochoty podpierać się lekiem, ale czuła, że w tej chwili bez niego nie ma mowy o spaniu.

Wyszła z łazienki i zamknęła najpierw drzwi do sypialni Edwarda, potem swoje. Wśliznęła się do łóżka. Nadal słyszała chrapanie, ale przynajmniej stłumione. Po piętnastu minutach poczuła, że spływa na nią upragnione ukojenie. Wreszcie i ona zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 16

PIĄTEK, 30 WRZEŚNIA 1994

Tuż przed trzecią nad ranem na ciemnych ulicach Salem nie było żadnego ruchu. Dave Halpern czuł się jak pan świata. Od północy krążył bez celu swoim czerwonym chevy camaro rocznik osiemdziesiąt dziewięć. Był już dwa razy w Marblehead, dotarł nawet do Danvers i objechał Beverly.

Dave miał siedemnaście lat. Był w trzeciej klasie liceum w Salem. Samochód zawdzięczał pracy po lekcjach w pobliskim McDonalddie oraz pokaźnej pożyczce. Był aktualnie największą miłością jego życia. Dawał mu upajające poczucie wolności i nieograniczonej władzy. Podobało mu się także wrażenie, jakie robił na jego znajomych, szczególnie na Christinie McElroy. Christina chodziła do drugiej klasy. Fantastyczne ciało!

Dave sprawdził słabo oświetlony zegar pośrodku deski rozdzielczej. Nadszedł czas. Skręcił w Dearborn, gdzie mieszkała Christina, wygasił światła i silnik. Zwolnił i bezgłośnie przystanął pod baldachimem rozłożystego klonu.

Nie musiał czekać długo. Christina po chwili wynurzyła się z żywopłotu okalającego dom, podbiegła do samochodu i wskoczyła. W przyćmionym świetle błyskały białka jej oczu i zęby. Drżała z podniecenia.

Wsunęła się na siedzenie tak, że jej ciasno opięte dżinsem udo przywarło do uda Dave'a.

Dave nie odezwał się. Starał się stwarzać wrażenie, jakby takie nocne randki były dla niego chlebem powszednim. Wyciągnął tylko rękę i włączył silnik. Ale dłoń mu drżała i kluczyki zabrzęczały. W obawie że się zdradza, rzucił ukradkowe spojrzenie na Christinę. Złowił jej uśmiech i zmartwił się, że uzna go za frajera.

Za rogiem ulicy włączył światła. Z mroku wyłoniły się poruszane wiatrem liście i głębokie cienie.

— Miałaś jakieś trudności? — spytał, skupiony na drodze.

— Betka. Nie mogę pojąć, czego się tak bałam. Moi starzy są kompletnie nieprzytomni. Zamiast gramolić się przez okno mogłam śmiało wyjść frontowymi drzwiami.

Jechali ulicą wśród pogrążonych w ciemności domów.

— Gdzie jedziemy? — spytała nonszalancko Christina.

— Zobaczysz — odparł Dave. — Za chwilę będziemy na miejscu.

Przejeżdżali właśnie obok mrocznego rozległego cmentarza Greenlawn. Przytulona do Dave'a, Christina spoglądała przez jego ramię na sterczące jak gigantyczne ściernisko nagrobki.

Dave zwolnił. Christina nagle się wyprostowała.

— W żadnym wypadku nie tam — oświadczyła buntowniczo.

Teraz Dave odsłonił w uśmiechu białe zęby.

— A dlaczego nie?

W chwili gdy wypowiadał te słowa, gwałtownie skręcił w lewo. Samochód podskoczył na kamiennym progu i wjechał na cmentarz. Dave szybko wygasił przednie światła i zwolnił do prędkości odpowiadającej niezbyt szybkiemu truchtowi. Spomiędzy liści ledwo było widać drogę.

— O Boże! — powiedziała Christina, obracając głowę na wszystkie strony i omiatając otoczenie szeroko otwartymi oczami. Mające w ciemnościach nagrobki sprawiały niesamowite wrażenie. Od czasu do czasu ich wypolerowane powierzchnie rzucały nagle błyski bladego światła.

Christina odruchowo przywarła mocniej do Dave'a. Jedną ręką ścisnęła go za wewnętrzną stronę uda. Na twarz Dave'a wypłynął błogi grymas.

Zatrzymali się nad cichym nieruchomym stawem okolonym przez wierzby płaczące. Dave wyłączył silnik i zablokował drzwi.

— Nigdy nie dość ostrożności — oświadczył.

— Może otworzymy okna — powiedziała Christina. — Inaczej za chwilę będzie tu jak w łaźni.

Dave przystał na tę propozycję, jakkolwiek wyraził nadzieję, że nie będzie komarów.

Nastąpiła chwila niezręcznego wahania. Dwoje nastolatków mierzyło się wzrokiem. Wreszcie Dave powoli pochylił się ku Christinie i pocałowali się delikatnie. Kontakt fizyczny natychmiast wzniecił płomień namiętności. Spletli się w szaleńczym, pożądliwym uścisku. Niewprawnie odkrywali sekrety swoich ciał, podczas gdy szyby zachodziły parą.

Mimo burzy młodzieńczych hormonów zarówno Christina jak i Dave w pewnej chwili wyczuli jakieś poruszenie samochodu, które nie miało nic wspólnego z ich ruchami. Oderwali się od siebie i spojrzeli przez zamgloną przednią szybę. To, co zobaczyli, przeraziło ich śmiertelnie. W ciemności nocy rzucało się na nich jakieś białe widmo. Nieziemski ten stwór, kimkolwiek był, całym ciałem ze straszliwym impetem wskoczył na maskę samochodu, po czym stoczył się z boku od strony pasażera.

— Co do cholery? — wrzasnął Dave, gorączkowo walcząc ze spodniami, które ulokowały się w połowie jego ud.

Christina piszcząc usiłowała uchylić się przed brudną ręką, która wdarła się przez opuszczoną szybę i wyrwała jej garść włosów.

— Kurwa mać! — ryknął Dave.

Dał spokój spodniom i zaciekle bronił się przed inną ręką, która znalazła się w środku od jego strony, zatopiła mu paznokcie w szyi i oderwała kawałek koszulki. Po jego karku potoczyły się cieniutkie strużki krwi.

W skrajnym przerażeniu Dave uruchomił camaro. Gwałtownym szarpnięciem wrzucił wsteczny bieg. Podskoczyli na kamieniach. Christina zawyła rąbnąwszy głową w sufit. Samochód huknął o nagrobek, który pękł u podstawy i zwałił się na ziemię.

Dave wcisnął gaz do dechy. Potężny silnik rzucił ich naprzód. Gdy on zmagał się z kierownicą, Christina odbiła się od drzwi i upadła mu na kolana. Odepchnął ją w samą porę, aby wyminąć następny marmurowy pomnik.

Dave trzepnął włącznik świateł. Wzięli ostry zakręt i wyjechali na wijącą się przez cmentarz drogę. Christina oprzytomniała na tyle, że zaczęła płakać.

— Kto to był, do cholery? — krzyknął Dave.

— To były dwie osoby — wykrztusiła Christina przez łzy.

Wydostali się na ulicę. Dave zawrócił do miasta, pozostawivszy na jezdni ślad gumy. Spazmatyczny płacz Christiny przeszedł w kwilenie od czasu do czasu przerywane szlochem. Skręciła w swoją stronę lusterko wsteczne i badała szkody, jakie poniosły jej włosy.

— Kompletnie zniszczona fryzura — jęknęła.

Dave poprawił lusterko i spojrzął w nie, aby się upewnić, czy nikt ich nie ściga. Dłonią wytarł szyję i z niedowierzaniem spojrzął na krew.

— Psiakrew, co to były za przebrania? — spytał gniewnie.

— Czy to ważne? — załkała Christina.

— Jakież białe szaty, jak duchy czy co?

— Nie powinniśmy byli tam jechać! — krzyknęła. — Od razu wiedziałam.

— Zamknij się! Guzik wiedziałas.

— Właśnie że wiedziałam, tylko ty nie słuchałeś.

— Gówna prawda — odparł Dave.

— Musieli być pomyleni.

— Bardzo możliwe. Może uciekli ze szpitala stanowego Danvers. Ale jak się stamtąd dostali taki kawał drogi aż na cmentarz?

Christina zasłoniła sobie usta i wymamrotała:

— Niedobrze mi.

Dave wcisnął hamulec i podjechał do krawężnika. Christina otworzyła drzwi i zwymiotowała na ulicę. David bezgłośnie podziękował Bogu, że wszystko poszło poza samochód.

Christina z trudem wydzwignęła się do pozycji siedzącej. Oparła głowę o zagłówki i zamknęła oczy.

— Chcę do domu — powiedziała zbolalym głosem.

— Za chwilę będziemy na miejscu — powiedział Dave ruszając. Czuł kwaśną woń wymiocin i bardzo się bał, że jego wspaniały samochód ucierpiał.

— Nikt nie może się o tym dowiedzieć — oświadczyła Christina. — Jeśli moi rodzice się zorientują, będę miała szlaban na pół roku.

— Dobra.

— Obiecujesz?

— Jasne, nie ma sprawy.

Wjeżdżając na ulicę, gdzie mieszkała Christina, Dave wygasił światła. Zatrzymał się o kilka posesji od jej domu. Miał nadzieję, że ona nie oczekuje pożegnającego pocałunku. Ucieszył się, gdy wysiadła natychmiast.

— Obiecałeś — przypomniała.

— Nie martw się — odparł Dave.

Patrzył, jak biegnie przez trawnik i znika w tym samym miejscu W żywoptocie, z którego się wynurzyła.

Pod pobliską latarnią Dave wysiadł, żeby obejrzeć samochód. Tylny zderzak wyszczerbił się wskutek kolizji z nagrobkiem, ale szkoda nie była duża. Przeszedł na drugą stronę i podejrzliwie wciągnął powietrze w nozdrza. Ulżyło mu, gdy nie poczuł wymiocin. Zamknął drzwi i zaszedł wóz od przodu. Dopiero teraz zauważył, że szlag trafił wycieraczkę z przedniej szyby od strony pasażera.

Dave zacisnął zęby i zaklął pod nosem. Co za noc! Na domiar złego niczego właściwie nie uzyskał. Wsiadając do samochodu zastanawiał się, czy zdoła o tej porze dobudzić George'a, swojego najlepszego przyjaciela. Nie mógł się doczekać, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. To było coś niesamowicie dziwnego, zupełnie jak stary film grozy. Dave był nawet w pewnym sensie zadowolony z powodu tej złamanej wycieraczki. Gdyby nie to, George na pewno by mu nie uwierzył.

Po Xanaksie, który wzięła około wpół do drugiej nad ranem, Kim spała znacznie dłużej niż zwykle i gdy wstała, czuła się z lekka otepiała. Nie lubiła tego, ale uważała, że jak za trochę porządnego snu to niewielka cena.

Pierwszą część dnia zajęło jej szykowanie mundurka do pracy, którą miała zacząć już od poniedziałku. Ku swemu zaskoczeniu bardzo się cieszyła z powrotu do szpitala. I to nie tylko dlatego, że coraz bardziej gryzła się tym, co się działo w laboratorium i wokół niego. Samotne i monotonne życie, jakie pędziła w Salem, męczyło ją, zwłaszcza w ostatnich dwóch tygodniach, odkąd skończyła urządzenie domu.

Głównym elementem obu tych problemów był Edward, mimo korzystnych zmian, jakie w nim zaszły pod wpływem Ultra. Ich wspólne życie zupełnie nie przypominało tego, czego oczekiwała. Co prawda teraz, kiedy się nad tym za-

stanawiała, zdawała sobie sprawę, że zaproponowała mu, by z nią zamieszkał, pod wpływem impulsu, do końca nie wiedząc, czego właściwie oczekuje. Ale z pewnością spodziewała się więcej go widywać i w ogóle mieć z nim więcej wspólnego. Z pewnością też nie spodziewała się, że będzie się musiała martwić eksperymentalnym lekiem. Wszystko to razem stawiało ją w ośmieszającej sytuacji.

Skończywszy z mundurkiem, Kim powędrowała do zamku. Od razu natknęła się na Alberta, który rozwiał jej nadzieje, że dziś zakończy prace hydrauliczne. Miał jeszcze zbyt dużo do zrobienia w skrzydle gościnnym. Powiedział, że zajmie mu to jeszcze góra dwa dni, i spytał, czy nie mógłby przez weekend zostawić w zamku narzędzi. Kim odparła, że może zostawić, co tylko chce.

Zeszła po schodach w skrzydle dla służby i obejrzała wejście. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu znów było nabrudzone. Wyjrzała na zewnątrz i stwierdziła, że wycieraczka jest w stanie nietkniętym, tak jakby ją celowo omijano.

Kim znowu wzięła się za szczotkę. Była na siebie zła, że nie poruszyła tego problemu podczas wczorajszej wizyty w laboratorium.

Przebiegła dziedziniec i sprawdziła wejście do skrzydła gościnnego. Tam było co prawda mniej śmieci, ale nie mniej brudno, a pod pewnymi względami może nawet bardziej. Schody pokrywał tu dywan. Żeby go oczyścić, musiała ściągnąć z części dla służby stary odkurzacz. Gdy skończyła, poprzysięgła sobie, że tym razem powie naukowcom, co o tym myśli.

Pochowała przybory do sprzątnięcia i chwilę rozważała, czy ma iść do laboratorium. Ale postanowiła to odłożyć. Na początku miesiąca, o ironio, nie chciała tam chodzić, ponieważ czuła, że jest nieproszonym gościem. Teraz nie miała na to ochoty dlatego, że tamci byli zbyt przyjacielscy.

W końcu poszła na poddasze i rzuciła się w wir pracy. List Thomasa Goodmana na nowo rozniecił jej zapał. Godziny mijały szybko i zanim się zorientowała, przyszła pora na lunch.

Po drodze do domu spoglądała w stronę laboratorium i zastanawiała się, czy jednak nie wstąpić, ale znowu zrezygnowała. Wiedziała, że takie odwiekanie nie ma sensu, a jednak nie mogła się przemóc. Przyszło jej do głowy, że mogłaby poprosić Edwarda, żeby on porozmawiał z kolegami.

Po lunchu wróciła na poddasze i spędziła tam całe popołudnie. Z czasów, które były przedmiotem jej zainteresowania, znalazła tylko jedną rzecz, a mianowicie świadectwo Jonathana Stewarta z college'u. Wynikało z niego, że Jonathan był studentem raczej przeciętnym. Jak to określił jeden z jego nauczycieli akademickich, którego oceny odznaczały się nieco większą barwnością sformułowań, Jonathan przejawiał „więcej upodobania w pływaniu w Fresh Pond czy ślizganiu się po Charles River, w zależności od pory roku, niż w logice, retoryce i etyce”.

Tego wieczoru, gdy Kim siedziała na dworze delektując się rybą z grilla i sałatą z różnymi dodatkami, zobaczyła, że w stronę laboratorium zmierza sa-

mochód z dostawą pizzy. Nie mogła zrozumieć, jak Edward i jego zespół mogą egzystować żywiąc się tylko takimi zapychaczami. Dwa razy dziennie przywożono im jakieś barowe jedzenie; pizzę, smażone kurczaki albo chińszczyznę na wynos. Na początku miesiąca Kim zaproponowała Edwardowi, że będzie gotować obiady także dla niego, ale on odmówił tłumacząc, że czuje się w obowiązku jeść ze wszystkimi.

Z jednej strony Kim imponowało ich poświęcenie, z drugiej nie mogła się oprzeć wrażeniu, że są nadgorliwi, a nawet troszkę pomyleni.

Okolo jedenastej Kim wzięła Shebę na spacer. Stała na werandzie, patrząc, jak kot brodzi w trawie. Tylko na moment rzuciła okiem na laboratorium i stwierdziła, że z okien nadal syczy się światło. Ciekawa była, jak długo wytrzymają swój wariacki tryb życia.

Uznawszy, że Sheba zażyła już dość świeżego powietrza, zaniósła ją z powrotem do domu. Kocica nie była zachwycona, ale po tym, co Kim usłyszała od policji, nawet mowy nie było, żeby pozwoliła zwierzakowi wałęsać się po dworze.

Przygotowała się do spania. Godzinkę poczytała, ale podobnie jak poprzedniej nocy nie była w stanie się zrelaksować. Leżenie jeszcze potęgowało jej niepokój. Wstała, poszła do łazienki i wzięła następną tabletkę Xanaxu. Bynajmniej nie była z tego zadowolona, ale wytłumaczyła sobie, że w tej chwili potrzebuje odrobiny wytchnienia i że skończy z tym, gdy wróci do pracy.

ROZDZIAŁ 17

SOBOTA, 1 PAŹDZIERNIKA 1994

Kim wyływała z głębi nieświadomości, w którą wciągnął ją Xanax. I znów zdziwiła się, że spała tak długo. Była już prawie dziewiąta.

Wzięła prysznic, ubrała się i zabrała Shebę na spacer. Było jej przykro, że tak drastycznie ograniczyła swobodę, do jakiej kotka była przyzwyczajona, toteż nie niecierpliwiła się i pozwalała jej iść gdzie chce. Sheba postanowiła obejść dom. Kim szła za nią.

Zawędrowała tak na zaplecze domu i nagle stanęła jak wryta. Ze złością wzięła się pod boki i wydała okrzyk irytacji. Stwierdziła bowiem, że teraz ona stała się obiektem niszczycielskiej pasji wandalów czy też zwierzęcia, przed którymi ostrzegała ją policja. Oba pojemniki na śmieci były przewrócone do góry dnem, a ich zawartość rozsypana dookoła.

Przez chwilę przestała zwracać uwagę na Shebę i podniosła plastikowe pojemniki. Przy okazji odkryła, że ich górne krawędzie są pouszkadzane, prawdopodobnie dlatego, że ktoś siłą zdzierał z nich pokrywy.

— Skaranie boskie! — powiedziała gniewnie Kim taszcząc pojemniki na miejsce.

Przyjrząwszy się im dokładniej, stwierdziła, że będzie musiała kupić nowe, ponieważ tych nie da się już szczelnie zamknąć.

Pochwyciła Shebę akurat, gdy ta zamierzała wyruszyć do lasu, i zaniósła ją do domu. Miała w pamięci prośbę policjantów, aby ich zawiadomić w razie jakichkolwiek problemów, zadzwoniła więc na posterunek. Ku jej zdziwieniu powiedziano jej, że zaraz kogoś przyślą.

Kim włożyła rękawice do prac ogrodniczych i przez pół godziny zbierała śmieci. Na razie wrzuciła je z powrotem do zniszczonych pojemników. Właśnie kończyła, gdy zajechał wóz policyjny.

Tym razem zjawił się jeden policjant, mniej więcej w wieku Kim. Nazywał się Tom Malick. Był bardzo poważny i zażądał pokazania „miejsca przestępstwa”. Kim uważała, że robi więcej szumu, niż sprawa na to zasługuje, ale zaprowadziła go na tył domu i pokazała pojemniki. Wyjaśniła, że właśnie skończyła sprzątać.

— Lepiej by pani zrobiła zostawiając wszystko tak, jak było, do mojego przyjazdu.

— Przepraszam — odparła Kim, aczkolwiek nie rozumiała, co by mu to dało.

— Sytuacja odpowiada schematowi, który obserwujemy od pewnego czasu w okolicy — rzekł Tom.

Kucnął obok pojemników i dokładnie je obejrzał. Potem przyjrzał się pokrywom.

Kim obserwowała go z odrobiną zniecierpliwienia.

Wstał.

— To dzieło zwierzęcia albo zwierząt. To nie dzieciaki. Znaki na pokrywach to według mnie ślady zębów. Chce pani zobaczyć?

— Owszem — odparła Kim.

Tom uniósł jedną pokrywę i wskazał jej rząd równoległych wgnieceń.

— Chyba powinna pani kupić coś odporniejszego.

— Miałam taki zamiar. Zobaczę, co jest w sprzedaży.

— To będzie pani chyba musiała jechać aż do Burlington. W mieście jest na te rzeczy duży popyt.

— Z tego, co pan mówi, wynika, że to już nie są żarty.

— Może mi pani wierzyć, że nie są. W mieście wrze. Oglądała pani poranne wiadomości?

— Nie, nie oglądałam.

— Do wczorajszej nocy w całej tej aferze jedynymi ofiarami śmiertelnymi były psy i koty. Dziś rano znaleziono pierwsze zwłoki ludzkie.

— To straszne. — Kim na chwilę zapało dech. — Kto to jest?

— Włóczęga, dość dobrze znany w mieście, John Mullins. Został znaleziony niedaleko stąd, w pobliżu mostu Kernwood. Najbardziej makabryczne jest to, że zwłoki są częściowo zjedzone.

Kim zaschło w ustach i stanął jej przed oczami koszmarny obraz leżącego w trawie Bufora.

— Faktem jest, że John miał nieprzyzwoicie wysoki poziom alkoholu we krwi — ciągnął Tom. — Mógł już nie żyć, kiedy to zwierzę się do niego dobrało, ale to się okaże po sekcji. Ciało zostało wysłane do Bostonu. Może na podstawie badania śladów zębów na kościach uda się ustalić, z jakim zwierzęciem mamy do czynienia.

— Potworne. — Kim aż się wzdrygnęła. — Nie zdawałam sobie sprawy, że to coś tak poważnego.

— Z początku myśleliśmy, że to szop. Ale biorąc pod uwagę rozmiary zniszczeń i to, że ofiarą padł człowiek, sądzymy, że to musi być większe zwierzę, na przykład niedźwiedź. Nie jest to niemożliwe. Populacja niedźwiedzi w New Hampshire ostatnio wyraźnie wzrosła. Ale cokolwiek to jest, wszyscy ci, którzy żyją z czarownic, są zachwyceni. Oczywiście mówią, że to diabeł, i inne takie

bdzury, żeby ludzie myśleli, że jest znowu tysiąc sześćset dziewięćdziesiąty drugi. Niestety całkiem nieźle im to wychodzi. Mają ruch w interesie. My też.

Udzieliwszy Kim jeszcze jednego poważnego ostrzeżenia, żeby była ostrożna, jako że w lesie na jej terenie niedźwiedź mógłby bez trudu znaleźć schronienie, Tom odjechał.

Kim nie pojechała do Burlington. Wróciła do domu i zadzwoniła do sklepu przemysłowego w Salem, w którym robiła większość zakupów. Wbrew ponurym przepowiedniom Toma zapewniono ją, że znajdzie u nich pełny wybór najrozmaitszych pojemników na śmieci, jako że właśnie wczoraj mieli dostawę towaru.

Zadowolona z pretekstu, żeby pojechać do miasta, Kim szybko coś zjadła i zaraz wyruszyła. Pojechała prosto do sklepu. Sprzedawca powiedział, że mądrze zrobiła przyjeżdżając bez zwłoki. Od ich rozmowy przez telefon minęła zaledwie godzina, a już sprzedali dużą część nowego transportu.

— To zwierzę naprawdę daje się we znaki — zauważyła Kim.

— Żeby pani wiedziała. To samo zaczęło się w Beverly. Wszyscy mówią tylko o tym, co to może być. Są nawet zakłady, gdyby pani chciała coś postawić. Dla nas to znakomicie. Nie tylko sprzedajemy tonami pojemniki na śmieci, ale amunicja i broń idą w naszym dziale sportowym jak woda.

Stojąc przy kasie Kim słyszała, jak inni klienci rozmawiają na ten sam temat. W powietrzu wisało prawie namacalne napięcie.

Wyszła ze sklepu z niemiłym uczuciem, że jeśli teraz, gdy ofiarą padł człowiek, w mieście wybuchnie histeria, mogą łatwo ucierpieć niewinni. Zadrżała na myśl o zapaleńcach, którzy z palcem na cynglu będą czatować za firankami, czekając tylko, aż ktoś dotknie ich śmietnika. Jeśli zważyć, że najprawdopodobniej są w to zamieszane i dzieci, łatwo może dojść do tragedii.

W domu Kim przesyłała śmieci z uszkodzonych pojemników do nowych, których pokrywy zabezpieczał skomplikowany zawór. Stare postawiła za szopą. Przeznaczyła je na liście. W trakcie tych zajęć wdychała za miastem, nostalgicznie wspominając, jak nieskomplikowane było tam jej życie. Musiała się wystrzegać mętów, ale nie niedźwiedzi.

Gdy problem śmieci został rozwiązany, Kim ruszyła przez pole do laboratorium. Nie ciągnęło jej tam, ale nowe okoliczności sprawiły, że nie mogła tego dłużej odkładać.

Zanim weszła do środka, sprawdziła i tamtejszy śmietnik. Stały tu dwa masywne metalowe kontenery, które podnieść mogła jedynie ciężarówka do wywozu śmieci. Pokrywy też były niezwykle ciężkie. Kim ledwo udało się je uchylić. Zajrzawszy do środka przekonała się dowodnie, że śmieci z laboratorium nie były ruszone.

Przed drzwiami przystanęła. Próbowwała wymyślić jakiś pretekst, na wypadek gdyby sympatyczni badacze nie chcieli jej wypuścić. Nie przyszło jej do głowy nic poza lunchem. Uzbroiła się w odwagę, by poruszyć temat nieporządku w zamku.

W laboratorium znów czekało ją zaskoczenie. Ostatnim razem trafiła na święto, teraz na jakieś zaimprovizowane zebranie, i to na pewno na ważny temat. Radosna atmosfera zabawy, do której już przywykła, ustąpiła miejsca posępnej, niemal pogrzebowej powadze.

— Strasznie przepraszam, jeśli wam przeszkodziłam — zaczęła.

— Nic nie szkodzi — odparł Edward. — Przychodzisz w jakiejś konkretnej sprawie?

Kim powiedziała im o śmieciach i o wizycie policjanta. Spytała, czy ktoś nie widział albo nie słyszał w nocy czegoś szczególnego.

Spojrzeli po sobie wyczekująco, po czym w milczeniu pokręcili głowami.

— Śpię tak mocno — odezwał się wreszcie Curt — że nie usłyszałbym trzęsienia ziemi.

— Jeśli się trzęsie, to od twojego chrapania — zażartował David. — Ale masz rację. Ja też śpię bardzo głęboko.

Kim rozejrzała się po twarzach obecnych. Odniosła wrażenie, że ponury nastrój, jaki panował tu, kiedy weszła, już powoli się rozprasza. Opowiedziała o koncepcji policji, że winowajcą jest wściekłe zwierzę, być może niedźwiedź, i że dzieci wykorzystują sytuację do zabawy. Opisała im także panujące w mieście podniecenie graniczące z histerią.

— Tylko w Salem ta sprawa mogła nabrać aż takich wymiarów — powiedział Edward ze śmiechem. — To miasto nigdy się do końca nie wyleczy z tysięcy sześćset dziewięćdziesiątego drugiego.

— Część tych obaw jest jednak usprawiedliwiona. Problem nabrał nowej wagi. Dziś rano niedaleko stąd znaleziono objedzone zwłoki człowieka.

Gloria zbielała.

— Co za makabra!

— Czy ustalono, co było przyczyną zgonu tego człowieka? — spytał Edward.

— No, nie — przyznała Kim. — Ciało przesłano do Bostonu na sekcję. Nie wiadomo, czy nie był już martwy, zanim zwierzę zaatakowało.

— W takim razie spełniłoby tylko funkcję czyściciela — zauważył Edward.

— Racja — rzekła Kim. — Ale mimo wszystko uważałam, że muszę was ostrzec. Wiem, że wychodzicie stąd późną nocą. Może na razie, choć do zamku jest tak blisko; powinniście jeździć. Niezależnie od wszystkiego rozglądajcie się za wściekłym zwierzęciem i ewentualnie za młodymi ludźmi.

— Dzięki za ostrzeżenie — powiedział Edward.

— I jeszcze jedno. — Kim zmusiła się, żeby poruszyć ten temat. — Problem zamku. W obu skrzydłach przy drzwiach było bardzo nabrudzone. Chciałam was prosić, żebyście przed wejściem wycierali buty.

— Strasznie przepraszamy — rzekł François. — Kiedy tam docieramy, jest już ciemno, a kiedy wychodzimy rano, jest jeszcze ciemno. Będziemy musieli bardziej uważać.

— To na pewno wystarczy. No cóż, to tyle. Jeszcze raz przepraszam, że wam przeszkodziłam.

— Drobiazg. — Edward odprowadził ją do drzwi. — Ty też bądź ostrożna. I pilnuj Sheby.

Odprowadziwszy Kim, Edward wrócił do grupy. Spojrzał w każdą twarz po kolei. Wszystkie były zasepione.

— Zwłoki człowieka całkowicie zmieniają postać rzeczy — odezwała się Gloria.

— Racja — dodała Eleanor.

Zapadła cisza. Każdy starał się przeanalizować sytuację. W końcu przemówił David:

— Spójrzmy prawdzie w oczy; wygląda na to, że to my możemy być odpowiedzialni za niektóre niepokojące zjawiska w tej okolicy.

— Nadal uważam, że to absurd — powiedział Edward. — Nie wytrzymuje racjonalnej krytyki.

— Wiec jak wytłumaczysz wygląd mojej koszulki? — spytał Curt. Wyciągnął ją z szuflady, do której ją wepchnął, gdy zaskoczyła ich Kim. Była podarta i poplamiona. — Zrobiłem analizę jednej z tych plam. To krew.

— Twoja krew — uzupełnił Edward.

— Owszem. Ale jak to się stało? Ja niczego nie pamiętam.

— Trudno też wytłumaczyć skaleczenia i siniaki, z którymi budzimy się rano — dorzucił François. — A w moim pokoju na podłodze były porozwłóczone patyki i zwiędłe liście.

— To widocznie lunatyzm albo coś w tym rodzaju — stwierdził David. — Choć jasne, że przykro się do tego przyznać.

— Ja w każdym razie nie jestem lunatykiem — oświadczył Edward. Obrzucił pozostałych gniewnym spojrzeniem. — Nie jestem przekonany, czy to nie jakieś głupie żarty. Ostatnio świetnie się tu bawiliście.

— To nie są żarty — odparł Curt składając zniszczoną koszulkę.

— U żadnego ze zwierząt doświadczalnych nie zaobserwowaliśmy nawet cienia możliwości takiej reakcji, jaką sugerujesz — rzucił Edward wojowniczym tonem. — Z naukowego punktu widzenia to niemożliwe. Musiałaby być jakaś korelacja. Dlatego właśnie robi się doświadczenia na zwierzętach.

— Jestem tego samego zdania — włączyła się Eleanor. — Ja niczego w swoim pokoju nie znalazłam. Nie mam też żadnych skaleczeń ani siniaków.

— No dobrze, ale ja przecież nie mam urojeń. Te skaleczenia są prawdziwe. — David wyciągnął przed siebie ręce, żeby każdy mógł je obejrzeć. — Jak słusznie zauważył Curt, to nie żarty.

— Ja wprawdzie nie mam skaleczeń, ale budzę się z brudnymi rękami — przyznała Gloria. — A o moich paznokciach lepiej nie mówić. Kompletnie połamane.

— Coś tu jest nie w porządku, nawet jeśli nie ujawniło się u zwierząt — upierał się David. — Rozumiem, że nikt nie chce nazwać po imieniu tego, co nasuwa się w sposób oczywisty, ale ja to powiem! To musi być Ultra.

Szczęki Edwarda zwały się mocniej, a dłonie zacisnęły w pięści.

— Przez kilka dni sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać — ciągnął David. — Ale jest oczywiste, że chodziłem gdzieś po nocy i niczego nie pamiętam. Nie wiem, co robiłem, tyle tylko, że rano budzę się brudny jak nieboskie stworzenie. A wiercie mi, że nigdy w życiu nic podobnego mi się nie zdarzyło.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to nie zwierzę powoduje to całe zamieszanie w okolicy? — spytała z lękiem Gloria.

— Och, dajcie spokój — fuknął Edward. — Wyobraźnia was ponosi.

— Chcę powiedzieć tylko tyle, że wychodziłem w nocy i nie wiem, co robiłem — odparł David.

Fala strachu targnęła wszystkimi obecnymi, gdy zaczęli zdawać sobie sprawę z sytuacji. Ale szybko okazało się, że są podzieleni. Edward i Eleanor obawiali się o przyszłość przedsięwzięcia, pozostali — o swoją.

— Musimy spojrzeć na to racjonalnie — rzekł Edward.

— Bez wątpienia — przytaknął David.

— Jak dotąd lek był doskonały. Wszyscy zareagowaliśmy na niego znakomicie. Mamy podstawy, żeby przypuszczać, że jest to związek naturalny albo bliska pochodna naturalnego związku obecnego w mózgu. Małpy nie wykazały tendencji do somnambulizmu. A ja osobiście świetnie się czuję na Ultra.

Wszyscy żywo przytaknęli.

— Co więcej, uważam, że to właśnie dzięki Ultra potrafimy myśleć racjonalnie w tych okolicznościach — dodał Edward.

— Chyba masz rację — powiedziała Gloria. — Jeszcze przed chwilą byłam pólżywa ze zmartwienia i wstępu, a teraz już czuję się o wiele spokojniejsza.

— Właśnie o to chodzi — ucieszył się Edward. — Ten lek jest fenomenalny.

— Mimo wszystko problem pozostaje — podjął David. — Jeśli zjawisko lunatyzmu istotnie ma miejsce i jeśli wywołuje je lek, to widzę tylko jedno wytłumaczenie: jest to działanie uboczne, którego nie mogliśmy przewidzieć. W naszych mózgach musi dokonywać się jakiś nieznan proces.

— Pokażę wam swoje tomogramy emisji pozytronowej — odezwał się nagle François.

Poszedł do swojego stanowiska i zaraz wrócił. Rozłożył wokół tomogramy mózgu małpy, która otrzymywała znakowany radioaktywnie Ultra.

— Chciałbym wam pokazać coś, co stwierdziłem dziś rano. Nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad tym zjawiskiem i pewnie nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie to, że komputer wychwycił je w postaci cyfrowej. Przyjrzyjcie

się dobrze. Stężenie Ultra w tyłomózgowiu, śródmózgowiu i układzie limbicznym wzrasta powoli począwszy od pierwszej dawki. Potem, od pewnego poziomu, wzrasta bardzo znacznie. Czyli że nie ma stałego pułapu nasycenia. Wszyscy pochylili się nad tomogramami.

— Może ten poziom odpowiada górnej granicy wydolności układu enzymatycznego, który metabolizuje. Ultra — podsunęła Gloria.

— Przypuszczam, że masz rację — rzekł François.

— To znaczy, że powinniśmy sprawdzić, jakie kto z nas przyjmował dawki — podsumowała Gloria.

Wszyscy spojrzeli na Edwarda.

— To chyba rozsądny pomysł.

Edward podszedł do swojego biurka i wyjął małą, zamkniętą na klucz kasetkę. Zawierała ona kartę, na której odnotowane były poszczególne dawki.

Dowiedzieli się z niej, że najwyższą dawkę przyjmował Curt, drugi w kolejności był David. Na drugim końcu skali, z najniższą dawką, znalazła się Eleanor, a za nią Edward.

Po długiej rzeczowej dyskusji sformułowali swoją interpretację wydarzeń. Doszli do wniosku, że gdy stężenie Ultra osiąga pewien poziom, dochodzi do stopniowej blokady fizjologicznych wahań poziomu serotoniny, które normalnie istnieją w czasie snu. To skutkuje zmianami rytmu snu.

Gloria wysunęła koncepcję, że gdy stężenie wzrasta dalej, może właśnie gdy wzrośnie do tego punktu, w którym obserwuje się ostre wznoszenie się krzywej w górę, Ultra zaczyna blokować połączenia niższych, gadzich, jak je nazywali, ośrodków mózgu z półkulami mózgowymi. Snem, podobnie jak innymi funkcjami autonomicznymi, sterują właśnie niższe ośrodki, te, w których kumuluje się Ultra.

Wszyscy na chwilę zamilkli i w skupieniu rozważali jej hipotezę. Choć burza już przycichła, pomysł wydawał się mocno bulwersujący.

— Załóżmy, że masz rację — odezwał się David. — W takim razie co by się stało, gdyby ktoś się obudził w czasie trwania blokady?

— Byłoby tak, jakby cofnął się o parę szczebli na drabinie ewolucji — odpowiedział mu Curt. — Funkcjonowałyby kierowany jedynie przez niższe ośrodki. Zachowywałyby się jak mięsożerny gad!

To szokujące stwierdzenie i jego koszmarnie implikacje znów odebrało wszystkim mowę.

— Czekaćcie no — powiedział w końcu Edward, starając się pocieszyć tak samo ich jak siebie. — Wyciągamy pochopne wnioski, które wcale nie muszą mieć pokrycia w faktach. To wszystko przypuszczenia. Musimy pamiętać, że nie zaobserwowaliśmy żadnych takich objawów u małp, które, jak chyba wszyscy się zgadzamy, posiadają półkule mózgowie, choć mniejsze niż ludzie, a przynajmniej większość ludzi.

Wszyscy prócz Glorii się uśmiechnęli.

— Nawet jeśli Ultra wywołuje jakieś skutki uboczne — przypomniał — to musimy wziąć pod uwagę, jak wiele ma dobrych stron. Jak pozytywnie wpłynął na nasze emocje, możliwości umysłowe, zmysły, a nawet pamięć długotrwałą. Może po prostu braliśmy go za dużo i powinniśmy zmniejszyć dawki. Na przykład do poziomu Eleanor, skoro ona doświadczyła tylko pozytywnych skutków.

— Nie zamierzam niczego zmniejszać — oświadczyła wojowniczo Gloria. — W tej sekundzie przestaję go brać w ogóle. Przeraza mnie sama myśl o choćby cieniu możliwości, że w moim ciele czai się jakaś prymitywna istota, o której nic nie wiem, a która w nocy zaczyna żyć własnym życiem.

— Bardzo obrazowo powiedziane — skomentował Edward. — Oczywiście, że możesz w każdej chwili przestać brać Ultra. Nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. Wszyscy to wiecie. Każdy może sam zdecydować, czy będzie dalej brał czy nie. Moja propozycja jest taka. Dla wszelkiego bezpieczeństwa podzielmy dawkę Eleanor przez dwa i niech to będzie nasza górna granica, a kolejne dawki zmniejszajmy dalej po jednej setnej miligramu.

— Wydaje mi się to rozsądnym i bezpiecznym rozwiązaniem — rzekł David.

— Mnie też — dodał Curt.

— I mnie — dorzucił François.

— Ja nie biorę w ogóle — powtórzyła Gloria.

— Nie ma problemu — odparł Edward.

— Nie będziesz na mnie zły?

— W żadnym razie.

— Mogę wam służyć jako grupa kontrolna. Poza tym będę mogła w nocy obserwować innych.

— Doskonały pomysł — powiedział Edward.

— Mam propozycję — odezwał się François. — Może byśmy zaczęli brać Ultra radioaktywnie znakowany, tak żebym mógł śledzić i rejestrować jego kumulację w naszych mózgach. Ostatecznie doszlibyśmy do dawki, przy której jego stężenie utrzymywałoby się na stałym poziomie, ale już nie rosło.

— To mi się podoba — stwierdziła Gloria.

— Jeszcze jedno — dodał Edward. — Mam nadzieję, że wam, zawodowcom, nie trzeba przypominać o konieczności zachowania treści naszej dyskusji w tajemnicy, nawet przed rodzinami.

— To się rozumie samo przez się — odpowiedział David. — Nikt nie chce przecież narażać przyszłości Ultra. Możemy mieć różne przelotne trudności, ale to i tak będzie lek stulecia.

Kim miała zamiar spędzić trochę czasu w zamku, ale gdy dotarła do domu, okazało się, że jest już pora na lunch. Właśnie się posilała, kiedy zadzwonił telefon. Ku jej zdziwieniu dzwoniła Katherine Sturburg, archiwistka z Harvardu, ta,

która szczególnie interesowała się Increase'em Matherem.

— Mam dla pani nowiny, które mogą się okazać interesujące — oświadczyła.

— Znalazłam wzmiankę o Rachel Bingham.

— To cudownie — ucieszyła się Kim. — Straciłam już nadzieję, że Harvard zdoła mi pomóc.

— Robimy co w naszej mocy.

— Jak się pani udało to znaleźć?

— To właśnie jest najlepsze. Przeczytałam jeszcze raz ten list Increase'a Mathera, który pozwoliła nam pani skopiować. Wspominał w nim o szkole prawa. Wobec tego poszukałam w bazie danych biblioteki Szkoły Prawa i jej nazwisko po prostu wyskoczyło jak diabeł z pudełka. Dlaczego nie było go w naszej głównej bazie danych, nie mam pojęcia. Ale naprawdę dobra nowina to ta, że dzieło Elizabeth prawdopodobnie przetrwało pożar.

— Myślałam, że wszystko się spaliło.

— Prawie wszystko. Na szczęście dla nas około dwustu książek z biblioteki liczącej pięć tysięcy tomów ocalało, ponieważ były poza księgozbiorem. A zatem widocznie ktoś wypożyczył książkę, której pani szuka. W każdym razie z tego, co ja znalazłam, wynika, że w roku tysiąc osiemset osiemnastym, a więc w rok po założeniu Szkoły Prawa, została tam przesłana z głównej biblioteki Harvard Hall.

— Czy znalazła pani też samą książkę?

— Niestety, nie miałam czasu jej szukać. Poza tym lepiej będzie, jeśli pani osobiście się tym zajmie. Radziłabym, żeby pani zadzwoniła do Helen Arnold. To właśnie archiwistka ze Szkoły Prawa. Ja też do niej zadzwonię w poniedziałek rano i uprzedzę ją, że pani się do niej zgłosi.

— Pojadę tam zaraz po pracy — powiedziała Kim z zapałem. — Kończę o trzeciej.

— To na pewno będzie dobra pora. Uprzedzę Helen — powtórzyła Katherine.

Kim podziękowała i rozłączyły się.

Czuła się, jakby przypięto jej skrzydła. Porzuciła już wszelką nadzieję, że książka Elizabeth przetrwała historyczny pożar w Harvardzie. Nagle przyszło jej do głowy, że przecież wcale nie wie, skąd Katherine ma pewność, że to książka. Czyżby dowiedziała się o tym z tej wzmianki?

Wróciła do telefonu i próbowała do niej zadzwonić. Ale już jej nie zastała. Sekretarka powiedziała, że Katherine wyszła na jakiś służbowy lunch i będzie w biurze dopiero w poniedziałek.

Kim odłożyła słuchawkę. Była zawiedziona, ale nie martwiła się długo. Świadomość, że w poniedziałek w końcu dowie się, czym był dowód przeciwko Elizabeth, napawała ją wielką radością. Książka nie książka, to nie ma znaczenia.

Mimo to Kim poszła do zamku i z tym większym entuzjazmem zaatakowała skład papierów.

Gdzieś w środku popołudnia przerwała pracę, by spróbować oszacować, ile jeszcze czasu może jej zająć porządkowanie tego materiału. Policzywszy wszystkie pozostałe pudła i kufry i założywszy, że mniej więcej tyle samo ich znajduje się w piwnicy, oceniła, że gdyby pracowała osiem godzin dziennie, potrzebowałyby na to jeszcze tygodnia.

Ten fakt trochę zepsuł jej humor. Po powrocie do pracy nie tak łatwo będzie znaleźć czas. Już miała dać sobie spokój na resztę popołudnia, gdy nagle zadziwiła samą siebie. Zrobiła to samo co Kinnard. Otworzyła pierwszą lepszą szufladę i wyciągnęła z niej list zaadresowany do Ronalda!

Usiadła na kufrze przy oknie i wyjęła list z koperty. Ten także był od Samuela Sewalla. Spojrzawszy na datę zorientowała się, że musiał zostać wysłany tuż przed straceniem Elizabeth.

17 lipca, 1692
Boston

Drogi Przyjacielu,

Wracam właśnie z kolacji u wielce czcigodnego Wielebnego Cottona Mathera. Wiele mówiliśmy o pożałowania godnej niedoli twojej małżonki i bardzo niepokoiimy się o ciebie i dzieci. Wielebny Mather z właściwą sobie szlachetnością zaofiarował się przyjąć twą opętaną żonę pod swój dach, aby ją wyleczyć, tak jak przedtem opętaną córkę Goodwinów, jeśli tylko Elizabeth pokaja się i przyzna publicznie, iż zawarła pakt z księciem ciemności. Wielebny Mather żywi mocne przeświadczenie, iż wyznanie Elizabeth jako naocznego świadka szatańskich poczynań dostarczyłoby argumentów i dowodów, których wagi w zbożnym dziele walki ze złem nie można przecenić. W przeciwnym razie Wielebny Mather nie może przeciwstawić się wykonaniu wyroku sądu i nie uczyni tego. Miej na względzie, iż nie ma czasu do stracenia. Wielebny Mather pragnie dopomóc i wierzy, iż twoja żona może powiedzieć nam wszystko o sprawach niewidzialnego świata, który zagroził naszemu krajowi. Niech Bóg błogosławi tobie i twoim staraniom. Pozostaję z przyjaźnią.

Twój

Samuel Sewall

Kilka minut Kim patrzyła przez okno. Rano niebo było błękitne i czyste, ale teraz od zachodu nadciągały ciemne chmury. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała stary dom otoczony brzoźami, których liście nabrały już jasnożółtej barwy. Widok tego domostwa i treść listu przeniosły Kim trzysta lat wstecz. Ogarnięta skrajną paniką, jakby fizycznie odczuła okrutną nieuchronność egzekucji Elizabeth. Choć w liście nie było o tym mowy, odniosła wrażenie, że stanowi on odpowiedź na list Ronalda, desperacką próbę ocalenia żony.

Oczy Kim wypełniły łzy. Trudno było sobie wyobrazić, w jakiej musiał być rozpacz. Poczła się winna z powodu swoich początkowych podejrzeń wobec niego.

Wreszcie wstała. Włożyła list z powrotem do koperty i zaniósła do piwnicy, aby schować go wśród innych znalezisk w szkatułce na Biblię. Następnie opuściła zamek i ruszyła w kierunku domu.

W połowie drogi zwolniła kroku. Rzuciła okiem na laboratorium i stanęła. Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze czwartej. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy, że byłoby z jej strony miłym gestem, gdyby urozmaiciła nieco dietę naukowców. Gdy zajrzała do nich rano, wydali jej się przygnębieni. Pomyślała sobie, że może zaszkodziła im pizza. Mogłaby bez trudu powtórzyć kolację złożoną z ryby i steków, jak przed prawie dwoma tygodniami.

Z tą myślą zmieniła kierunek i udała się do laboratorium. Mijając przysłą recepcję odczuła lekki niepokój. Nigdy nie była pewna, czego ma się po nich spodziewać. Wchodząc do pracowni, puściła drzwi, które zaraz zamknęły się za nią z trzaskiem. Nikt się nie zerwał, żeby ją powitać.

Skierowała się do stanowiska Edwarda. Minęła Davida, który przywitał się uprzejmie, ale bez poprzedniej wylewności. Powiedziała dzień dobry Glorii, która też natychmiast skupiła się z powrotem na pracy.

Kim szła dalej, ale jej czujność wzrosła. David i Gloria od samego początku zachowywali się wobec niej najbardziej normalnie, ale i po nich było widać, że znów się coś zmieniło.

Edward był tak zatopiony w pracy, że Kim musiała dwa razy poklepać go po ramieniu, żeby zwrócić na siebie uwagę. Spostrzegła, że robi nowe kapsułki Ultra.

— Coś się stało? — spytał.

Uśmiechał się. Odniosła wrażenie, że jest w dość dobrym nastroju.

— Chciałam wam coś zaproponować. Co byście powiedzieli na powtórkę kolacji sprzed dwóch tygodni? Chętnie pojedę do miasta i kupię coś do jedzenia.

— To uroczo z twojej strony — odparł Edward. — Ale nie dzisiaj. Strasznie się śpieszymy. Zamówimy pizzę.

— Obiecuję, że to wam nie zajmie dużo czasu.

— Powiedziałem nie! — syknął Edward przez zaciśnięte zęby, aż Kim cofnęła się o krok. Ale natychmiast odzyskał panowanie nad sobą i znów się uśmiechnął. — Pizza całkowicie nam wystarczy.

— Skoro tak wolisz... — powiedziała Kim trochę zakłopotana, trochę wystraszona. Edward zdawał się przez chwilę balansować na krawędzi wytrzymałości nerwowej. — Dobrze się czujesz? — spytała niepewnie.

— Tak! — burknął, ale zaraz znów się uśmiechnął. — Jesteśmy trochę zajęci. Mieliśmy drobny kłopot, ale już wszystko w porządku.

Kim odstąpiła jeszcze parę kroków.

— No dobrze — powiedziała. — Gdybyście zmienili zdanie w ciągu najbliższej godziny, mogłabym jeszcze pojechać do miasta. Jestem w domu, zadzwonicie w razie czego.

— Jesteśmy naprawdę zbyt zajęci — odparł Edward. — Zjedz bez nas, ale dzięki za propozycję. Powiem wszystkim, że o nas pomyślałaś.

Gdy wychodziła, nikt nie zwrócił na nią uwagi, nawet nie podniósł wzroku znad swojej pracy. Znalazłszy się znów na dworze, westchnęła i pokręciła głową. Zdumiewające, jak łatwo zmieniała się atmosfera w laboratorium. Zastanawiała się, jak ci ludzie w ogóle mogą ze sobą wytrzymać. Dochodziła do wniosku, że osobowość naukowca jest jej całkiem obca.

Po kolacji było jeszcze dość jasno, żeby wrócić do zamku, ale Kim jakoś nie mogła się do tego zmusić. Zaległa przed telewizorem. Miała nadzieję, że jakiś program zajmie ją na tyle, by przestała myśleć o swoich stosunkach z Edwardem i innymi pracownikami laboratorium, ale nie mogła przejść nad tym do porządku. Była coraz bardziej niespokojna.

Próbowała czytać, lecz nie była w stanie się skupić. Przyłapała się na tym, że marzy, żeby już był poniedziałek i żeby mogła iść za śladem, który prowadził do harwardzkiej Szkoły Prawa. Wieczór się włókł, a ona była coraz bardziej zdenerwowana. Jej myśli powędrowały do Kinnarda. Zastanawiała się, z kim teraz jest i co robi. A także czy wspomina ją czasem.

Mimo że w końcu wzięła Xanax, by uspokoić burzę myśli, Kim nagle zerwała się ze snu. W sypialni panowała atramentowa ciemność. Rzut oka na zegarek przekonał ją, że spała bardzo krótko. Opadła z powrotem na poduszkę i wsłuchiwała się w nocne odgłosy domu, próbując zgadnąć, co mogło ją tak gwałtownie obudzić.

Po chwili usłyszała kilka głuchych odgłosów dobiegających zza domu. Brzmiało to tak, jakby jej nowe gumowane pojemniki na śmieci grzmotnęły o drewnianą ścianę. Na myśl o czarnym niedźwiedziu lub wściekłym szopie, który usiłuje dostać się do śmietnika, gdzie wszakże spoczywały skóra i kości kurczaka, Kim zeszywniała.

Zapaliła nocną lampkę i wstała. Włożyła szlafrok i kapcie. Poklepała Shebę,

rada, że trzyma ją w domu.

Usłyszawszy jeszcze jeden głuchy łomot, przebiegła korytarzyk i wpadła do sypialni Edwarda. Zapaliła światło. Łóżko Edwarda było puste. Pomyślała, że pewnie jeszcze pracuje, i przestraszyła się, że będzie wracał teraz, w tych ciemnościach. Wróciła do siebie i zadzwoniła do laboratorium. Odczekawszy dziesięć dzwonek, dała spokój.

Wzięła latarkę, którą zawsze trzymała na nocnym stoliku, i zeszła po schodach. Miała zamiar zaświecić przez okno kuchenne na podwórko, gdzie stały pojemniki na śmieci, w nadziei że wystraszy nieznane zwierzę.

Gdy jednak pokonała zakręt schodów i spojrzała w hol, zamarła. Zobaczyła coś, od czego krew ścięła jej się w żyłach. Drzwi frontowe były otwarte na oścież.

W pierwszej chwili nie była zdolna się poruszyć. Paraliżowała ją przerażająca myśl, że to coś, cokolwiek to jest, weszło do domu i właśnie skrada się ku niej w ciemnościach.

Nasłuchiwała pilnie, ale usłyszała jedynie ostatnie w tym sezonie trio żab. Chłodny wilgotny podmuch wpadł przez otwarte drzwi i owinał się wokół jej gołych nóg. Na dworze padał drobny deszcz.

Dom trwał w martwej ciszy, która wzbudziła w Kim nadzieję, że zwierzę jednak nie dostało się do środka. Zaczęła schodzić pomału, po jednym stopniu. Za każdym krokiem przystawała i nasłuchiwała, czy nie usłyszy jakiegoś odgłosu, który zdradziłby obecność intruza. Ale w domu panował spokój.

Kim dotarła do otwartych drzwi i chwyciła za klamkę. Rozejrzała się jeszcze po mrocznej jadalni i salonie i zaczęła powoli przyciągać drzwi do siebie. Bała się zrobić szybszy ruch, żeby nie sprowokować ataku. Kiedy były już prawie zamknięte, rzuciła okiem na zewnątrz i widok zaparł jej dech w piersiach.

Na środku brukowanego chodnika, dobre kilka metrów od domu siedziała Sheba. Całkowicie ignorując mżawkę, spokojnie lizała sobie łapkę i pocierała nią czubek głowy.

W pierwszej chwili Kim nie wierzyła własnym oczom, jako że dopiero co widziała kota na swoim łóżku. Najwidoczniej Sheba wyczuła, że drzwi są otwarte, i kiedy Kim weszła do sypialni Edwarda, skorzystała z okazji i wymknęła się na dwór.

Kim parę razy głęboko odetchnęła, aby otrząsnąć się z chemicznego otępienia, które zasnuło jej umysł. Śmiertelnie się bała tego, co mogło czyhać w mroku, wołała więc nie wołać kota, który prawdopodobnie i tak by ją zignorował.

Widząc, że nie ma wyboru, Kim wysunęła się przez próg. Szybko zlustrowała najbliższe otoczenie, podbiegła do kota i chwyciła go na rękę. Odwróciła się — i w tej sekundzie zobaczyła, że frontowe drzwi się zamykają.

Ze stłumionym okrzykiem „Nie!” rzuciła się do wejścia, ale nie zdążyła. Zamknęły się z hukiem, któremu towarzyszył ostry, metaliczny szczęk zatraskującego się zamka. Bezskutecznie szarpnęła za klamkę. Jak należało się spodziewać,

drzwi były zaryglowane. Napała na nie ramieniem, ale to też nic nie dało.

Zgarbiona pod jesiennym deszczem, Kim powoli odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z mrokiem nocy. Drżąc z zimna i strachu rozmyślała nad swoim rozpaczliwym położeniem. Była w szlafroku i piżamie, poza domem w deszczową noc. Jedną ręką trzymała niezadowolonego kota, drugą latarkę, niezbyt przydatną w obliczu niebezpieczeństwa ze strony nieznanego nocnego stwora ukrytego gdzieś w zaroślach.

Sheba wyrywała się gwałtownie i zanosila głośne skargi. Kim psyknęła na nią. Odeszła od drzwi i przyjrzała się oknom, ale wszystkie były pozamykane. Odwróciła się i starała się z oddali wypatrzeć laboratorium, ale i tam już światła wygasły. Wreszcie przeniosła wzrok na zamek. Był wprawdzie dalej, ale przynajmniej wiedziała, że boczne drzwi nie są zamykane.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk, jakby coś dużego szło po żwirze z prawej strony domu. Wiedziała, że nie może zostać na miejscu. Pobiegła w przeciwnym kierunku. Okrążyła dom z lewej strony, byle dalej od niedźwiedzia czy czegoś, co szturmowało jej nowe pojemniki na śmieci.

W desperacji szarpnęła drzwi do kuchni. Były zamknięte, tak jak być powinny. Zaatakowała je kilka razy ramieniem, ale na próżno. Jedyńm efektem jej poczynań było rozpaczliwe miauczenie kota.

Odwróciła się od domu i wypatrzyła szopę. Przytuliła kota mocniej do piersi i trzymając latarkę jak maczugę, pobiegła najszybciej jak mogła w swoich kapiach bez pięt. Dotarłszy do szopy zdjęła haczyk z drzwi, otworzyła i zagłębiła się w jeszcze głębszą ciemność.

Zamknęła za sobą drzwi. Tuż po ich prawej stronie było malutkie brudne okienko, które dawało jaki taki widok na podwórko z tyłu domu. Jedyne oświetlenie stanowiły plama światła w oknie jej sypialni i świetlista obwódka nisko skłębionej pokrywy chmur.

Wyglądając przez okienko zobaczyła, że zza rogu domu, z tej samej strony, z której przyszła, wyłania się niezgrabna postać. To nie było zwierzę, lecz człowiek, ale jego zachowanie było niezwykle. Przystawał i wietrzył zupełnie jak zwierzę. Złękła się, widząc, że zwrócił się w jej kierunku. Zdawało jej się, że patrzy na szopę. W ciemności nie widziała jego rysów, jedynie mroczną sylwetkę.

Lęk przeszedł w panikę, gdy dziwny ten osobnik zaczął skradać się powolnym, ciężkim krokiem, ciągle wietrząc, jakby szedł za tropem. Kim wstrzymała oddech i modliła się, żeby kotka była cicho. Gdy był już blisko szopy, roztrącając narzędzia i rowery, wbiła się w najciemniejszy kącik.

Słyszała jego kroki na żwirze. Zbliżyły się i umilkły. Nastąpiła śmiertelna cisza. Kim ledwo oddychała.

Nagle drzwi zostały brutalnie otwarte na całą szerokość. Straciwszy panowanie nad sobą, Kim wrzasnęła. Sheba zawtórowała swoim kocim wrzaskiem i wyrwała jej się z rąk. Mężczyzna także krzyknął.

Kim oburącz ścisnęła latarkę i zapaliła ją, kierując strumień światła prosto w twarz nieznanego. Ten zasłonił się rękami przed nagłą jasnością.

Kim zamknęła usta w zdumieniu i uldze. Poznała Edwarda!

— Dzięki Bogu! — wyrzekła, opuszczając latarkę. Wygramoliła się ze swojej kryjówki między rowerami, kosiarką i starymi pojemnikami na śmieci i rzuciła się Edwardowi na szyję. Snop światła z latarki tańczył po pobliskich drzewach. Edward stał bez ruchu. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę — powiedziała odchylając się, żeby spojrzeć w jego ciemne oczodoły. — Nigdy w życiu się tak nie bałam.

Edward nie odpowiedział.

— Edward? — Kim przechyliła głowę chcąc go lepiej widzieć. — Dobrze się czujesz?

Edward głośno wypuścił powietrze.

— Dobrze — przemówił wreszcie. Był wyraźnie zły. — Ale nie mogę powiedzieć, żebym ci był wdzięczny. Co, u diabła, robisz w środku nocy w szopie w samym szlafroku? Ze strachu mało nie postradałem zmysłów.

Kim zaczęła wylewnie przeproszać. Teraz pojęła, jak bardzo musiała go przerazić. Płacząc się w słowach wyjaśniała, co się stało. Gdy skończyła, zobaczyła, że Edward się uśmiecha.

— To nie jest śmieszne! — obruszyła się.

Ale teraz, gdy już była bezpieczna, też się uśmiechnęła.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę ryzykowałeś życie dla tej starej leniwej kocicy. Chodźmy! Nie stójmy w tym deszczu.

Kim wróciła do szopy i za pomocą latarki zlokalizowała Shebę. Kotka schowała się w odległym kącie, za narzędziami ogrodniczymi. Kim wypłoszyła ją na otwartą przestrzeń i wzięła na ręce. Potem oboje z Edwardem weszli do domu.

— Przemarzałam do szpiku kości. Napiłabym się czegoś gorącego, na przykład herbaty ziołowej. A ty?

— Ja dziękuję, ale posiedzę z tobą chwilę.

Kim nastawiła wodę. Gdy czekali, aż się zagotuje, Edward opowiedział, jak to było z jego strony.

— Miałem zamiar pracować całą noc, ale około wpół do drugiej musiałem skapitulować. Mój organizm tak się przyzwyczył, że idę spać około pierwszej, że oczy same mi się zamykały. Jakimś cudem zdołałem jeszcze wrócić do domu nie kładąc się w trawie. Kiedy dotarłem, otworzyłem drzwi i uprzytomniłem sobie, że taszczę całą torbę kartonów po pizzy, które miałem zamiar wyrzucić na śmietnik przy laboratorium. Więc obszedłem dom, żeby wrzucić je do naszego śmietnika. Zdaje się, że zostawiłem otwarte drzwi, czego nie powinienem był robić, chociażby ze względu na komary. W każdym razie nie mogłem zdjąć tych przeklętych pokryw i im dłużej próbowałem, tym bardziej byłem wściekły. Nawet walnąłem je parę razy.

— To nowe pojemniki — wyjaśniła Kim.

— No cóż, mam tylko nadzieję, że jest do nich instrukcja.

— W świetle dziennym bardzo łatwo je otworzyć.

— W końcu dałem za wygraną — ciągnął Edward. — Kiedy wróciłem do wejścia, drzwi były zamknięte. Poza tym wydawało mi się, że czuję twoją wodę kolońską. Odkąd jestem na Ultra, moje zmysły wyraźnie się wyostrzyły. Poszedłem za zapachem znowu naokoło domu i trafiłem do szopy.

Kim naląła sobie do kubka gorącego naparu ziołowego.

— Na pewno nie chcesz?

— Nie mogę. Ledwo siedzę. Muszę iść spać. Czuję się, jakbym ważył z pięć ton, a większość tego ciężaru przypadała na powieki.

Edward zsunął się ze stołka i zachwiał. Kim wyciągnęła ręce i w samą porę pomogła mu utrzymać pozycję pionową.

— Nic, nic — powiedział. — Kiedy jestem taki zmęczony, zasypiam po prostu w sekundę.

Kim nasłuchiwała, jak wędruje po schodach. Odstawiła miód i pudełko z herbatą, wzięła kubek i podążyła za nim na górę. Na szczycie schodów zajrzała do jego pokoju. Spał w ubraniu.

Kim weszła i z niemałym trudem ściągnęła mu spodnie i koszulę, po czym przykryła go. Zgasiła światło. Zazdrościła mu, że tak błyskawicznie zasypia. Gdybyż to ona tak mogła.

ROZDZIAŁ 18

NIEDZIELA, 2 PAŹDZIERNIKA 1994

W mglistym świetle przedświt Edward i pozostali spotkali się w połowie drogi między domem a zamkiem i brodząc w mokrej trawie ruszyli do laboratorium. Byli w posepnych nastrojach. Na miejscu zaczęli od porannej kawy.

Edward był wyraźnie bardziej zaszokowany niż cała reszta, a i tak miał już znacznie lepszy nastrój niż pół godziny temu, kiedy się przebudził. Gdy wstał z łóżka, zaszokował go widok resztek kurczaka najwyraźniej wyciągniętych ze śmietnika. Były powalane fusami po kawie. Potem stwierdził, że paznokcie ma brudne, jakby rył ziemię rękami. Spojrzawszy w lustro w łazience, zobaczył, że twarz i podkoszulek też ma koszmarnie brudne.

Wszyscy przynieśli sobie kawę do tej części laboratorium, gdzie zwykle odbywali narady. Pierwszy zabrał głos François.

— Mimo że wziąłem o ponad połowę niniejszą dawkę, chodziłem po nocy — stwierdził ponuro. — Gdy się obudziłem, byłem brudny jak nigdy. Chyba czołgałem się w błocie. Musiałem uprać pościel! I spójrzcie na moje ręce! — Wyciągnął je przed siebie, prezentując niezliczone skaleczenia i zadrapania. — Pizama była w takim stanie, że musiałem ją wyrzucić.

— Ja też wychodziłem — przyznał Curt.

— Obawiam się, że ja też — dodał David.

— Jak myślicie, jakie jest prawdopodobieństwo, że wypuszczamy się poza tę posiadłość? — spytał François.

— Nie mamy jak się przekonać — rzekł David. — Ale to cholernie denerwująca myśl. A jeśli mieliśmy coś wspólnego z tym włóczęgą?

— Nawet o tym nie wspominaj — rzuciła Gloria. — Tego w ogóle nie bierzemy pod uwagę.

— Możemy mieć lada chwila kłopoty z policją albo z miejscowymi — podjął François. — Jeśli w mieście tak wrze, jak mówiła Kim, niech no tylko ktoś z nas wyjdzie za płot, a konfrontacja gotowa.

— To rzeczywiście problem — przyznał David. — I nie możemy przewidzieć, jak byśmy w takiej sytuacji zareagowali.

— Jeśli naszym zachowaniem sterują mózgi na poziomie gada, to myślę, że łatwo można to sobie wyobrazić — rzekł Curt. — Przemówiłby instynkt samozachowawczy. Bez wątpienia doszłoby do walki. Uważam, że nie ma się co oszukiwać. Bylibyśmy bardzo agresywni.

— Czas z tym skończyć — powiedział François.

— No, ja w każdym razie na pewno nie wychodziłam — odezwała się Eleanor. — Więc to musi mieć związek z dawką.

— Słusznie — przytaknął Edward. — Zmniejszmy je więc jeszcze o połowę. To będzie najwyżej jedna czwarta początkowej dawki Eleanor.

— Obawiam się, że to może nie wystarczyć — wtrąciła Gloria. Wszyscy się na nią obejrzeni. — Ja wczoraj już nie wzięłam Ultra, a niestety i tak wychodziłam. Miałam zamiar czuwać, żeby pilnować innych, ale w żaden sposób nie byłam w stanie zwalczyć senności.

— Ja także odkąd jestem na Ultra, zasypiam błyskawicznie — rzekł Curt. — Myślałem, że to z powodu zmęczenia całodzienną pracą. Ale może to też wpływ leku.

Wszyscy zgodzili się z Curtem i dodali, że rano budzą się z uczuciem, jakby mieli za sobą szczególnie długi i mocny sen.

— Czuję się naprawdę wypoczęty — oznajmił François — co jest o tyle dziwne, że niewątpliwie w nocy biegałem po deszczu.

Kilka minut w ciszy rozważali implikacje odkrycia Glorii, że chociaż przestała brać Ultra, nadal wędruje po nocy. W końcu milczenie przerwał Edward.

— Wszystkie badania wykazują, że Ultra jest w miarę szybko metabolizowany, w każdym razie na pewno szybciej niż Prozac. Przykład Glorii wskazuje, że jego stężenie w niższych partiach mózgu jest nadal nadprogowe. Może powinniśmy jeszcze zmniejszyć nasze dawki, dajmy na to nawet do setnych części.

François jeszcze raz wyciągnął przed siebie ręce i zademonstrował wszystkim obecnym.

— Mnie te skaleczenia mówią bardzo dużo. Nie chcę więcej ryzykować. Jest oczywiste, że włączę się po okolicy pozbawiony świadomości swoich uczynków. Nie chcę zostać zastrzelony albo przejechany, ponieważ zachowuję się jak zwierzę. Odstawiam Ultra.

— Ja myślę tak samo — oświadczył David.

— Zwykły rozsądek nakazuje tak postąpić — dodał Curt.

— W porządku — rzekł niechętnie Edward. — W tym, co mówicie, jest dużo racji. Byłoby rzeczą niewybaczalną ryzykować własne lub cudze bezpieczeństwo. Owszem, wszyscy chcieliśmy kiedyś uchodzić za bestie, ale to było w czasach szkolnych. Sądzę, że wyrosliśmy z tej potrzeby.

Dowcip został skwitowany uśmiechem.

— Odstawmy lek i przeanalizujmy sytuację za kilka dni — zaproponował

Edward ugodowo. — Kiedy organizm wyeliminuje go całkowicie, możemy rozważyć, czy zacząć od nowa na znacznie mniejszych dawkach.

— Ja nie zamierzam go brać, dopóki nie dopracujemy się modelu efektu somnambulizmu na zwierzętach — oświadczyła Gloria. — Uważam, że zanim zaczniemy rozważać jakiegokolwiek zastosowanie u człowieka, lek musi być w pełni przebadany.

— Szanujemy twoje zdanie — odparł Edward. — Jak zawsze podkreślałem, przyjmowanie leku jest w pełni dobrowolne. Chciałbym wam też przypomnieć, że na początku chciałem brać go sam.

— Jakie środki bezpieczeństwa powinniśmy przedsięwziąć? — rzucił pytanie François.

— Może podłączalibyśmy się na noc do EEG — podsunęła Gloria. — Moglibyśmy zaprogramować komputer, żeby nas budził, jeśli zmieni się fizjologiczny rytm snu.

— Doskonały pomysł — stwierdził Edward. — W poniedziałek zamówię sprzęt.

— A dziś? — spytał François. Wszyscy się zamyślili.

— Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do żadnych ekscesów rzekł Edward. — W końcu Gloria była na drugiej co do wielkości dawce i w stosunku do masy ciała stężenie leku w jej organizmie mogło być relatywnie wyższe. Myślę, że wszyscy powinniśmy sprawdzić sobie poziom w surowicy i porównać z poziomem Glorii. Jeśli będzie niższy niż u niej, to chyba wszystko będzie w porządku. Prawdopodobnie jedyną osobą, która przedstawia sobą rzeczywiste zagrożenie, jest Curt.

— Piękne dzięki — zaśmiał się tamten w odpowiedzi. — Może po prostu od razu zamknijcie mnie w klatce dla małp.

— Niezła myśl — podchwycił David.

Curt żartobliwie trzepnął go po głowie.

— Moglibyśmy spać na zmianę — zaproponował François. — Obserwowalibyśmy się nawzajem.

— To bardzo dobry pomysł — powiedział Edward. — Jeśli do tego zbadamy sobie dziś poziom Ultra w surowicy, będziemy mieli korelację z ewentualnymi przypadkami somnambulizmu.

— Wiecie co, to wszystko może się jeszcze obrócić na naszą korzyść — zauważyła Gloria. — Odstawiając Ultra stwarzamy sobie doskonałą okazję prześledzenia poziomów we krwi i w moczu i porównania ich z efektami psychicznymi. Wszyscy musimy zwracać uwagę na ewentualne objawy depresji, w razie gdyby odstawienie Ultra wywołało zjawisko odbicia. Wprawdzie zwierzęta nie wykazywały żadnych oznak zespołu abstynencyjnego, ale trzeba się upewnić.

— Tak, możemy jeszcze na tym skorzystać — zgodził się Edward. — Tymczasem mamy potwornie dużo pracy. No i rozumie się samo przez się, że wszystko,

o czym rozmawialiśmy, musi pozostać pilnie strzeżoną tajemnicą, aż do czasu kiedy rozpoznamy problem i rozwiążemy go.

Kim spojrzała na zegarek i zamrugła powiekami. Nie wierzyła własnym oczom. Była prawie dziesiąta. Tak późno nie zdarzało jej się wstawać od czasu college'u.

Usiadła na brzegu łóżka i nagle przypomniała sobie przerażające zdarzenie w szopie. Naprawdę była pólżywa ze strachu. Po tym wszystkim miała taką goniwą myśl, że zupełnie nie mogła zasnąć. Walczyła przez dwie godziny, po czym poddała się i wzięła jeszcze połówkę Xanaxu. W końcu jakoś zdołała się uspokoić, ale wtedy znowu zaczęła rozmyślać nad listem Thomasa Goodmana, w którym opisywał ucieczkę Elizabeth do szopy, bez wątpienia pod wpływem trującego grzyba. Kolejny dziwny zbieg okoliczności: ona w panice schroniła się w tej samej szopie.

Wzięła prysznic, ubrała się i zjadła śniadanie. Miała nadzieję, że po tym wszystkim wróci do formy. Ale jej zabiegi odniosły tylko częściowy skutek. Po zwiększonej dawce leku była wciąż otępiąta. Ciągle też czuła się zdenerwowana. Przykry incydent w nocy w połączeniu z dręczącym ją od dawna niepokojem to było za wiele, żeby lek mógł pomóc. Potrzebowała czegoś innego. Porządkowanie starych dokumentów w zamku też nie było właściwym remedium. Pragnęła towarzystwa i tęskniła za miastem, gdzie miała go dużo i w zasięgu ręki.

Usiadła przy telefonie i zaczęła wydzwaniać do znajomych w Bostonie. Niestety nie miała szczęścia. Odpowiadały jej wyłącznie automatyczne sekretarki. Kilka razy nawet się nagrała, ale nie było co liczyć na odpowiedź przed wieczorem. Jej znajomi prowadzili aktywne życie, a w jesienną niedzielę w Bostonie było co robić.

Gnana desperacką potrzebą wyrwania się z majątku, zadzwoniła do Kinnarda. Gdy czekała na połączenie, prawie miała nadzieję, że go nie zastanie; nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Ale trafił chciał, że odebrał po drugim dzwonku.

Wymienili uprzejmości. Kim była zdenerwowana, co bezskutecznie starała się ukryć

— Dobrze się czujesz? — spytał po chwili Kinnard. — Masz jakiś dziwny głos.

Kim na próżno szukała w myślach, co by tu powiedzieć. Była zmieszana, zawstydzona i nieoczekiwanie wzruszona.

— To milczenie jest bardzo wymowne — powiedział Kinnard. — Czy mogę ci jakoś pomóc? Coś się stało?

Odetchnęła głęboko, usiłując się opanować.

— Tak, możesz mi pomóc — przemówiła w końcu. — Muszę odpocząć od Salem. Dzwoniłam do kilku koleżanek, ale żadnej nie ma w domu. Bardzo bym

chciała pojechać do miasta i przenocować, bo jutro rano wracam do pracy.

— Przenocuj u mnie — podchwycił Kinnard. — Usunę z gościnnego pokoju rower do ćwiczeń i osiemdziesiąt tysięcy numerów *New England Journal of Medicine* i jest twój. Poza tym mam wolny dzień. Moglibyśmy się trochę rozerwać.

— Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?

— Będę grzeczny, jeśli to cię niepokoi — przyrzekł Kinnard żartobliwie.

Kim przemknęło przez myśl, że może powinna się raczej martwić, czy ona będzie grzeczna.

— No — zachęcał Kinnard. — Odetchniesz, jeśli choć na dzień wyrwiesz się z prowincji.

— Dobrze! — rzuciła Kim z nagłą determinacją.

— Świetnie! Kiedy przyjedziesz?

— Może być za godzinę?

— A więc do zobaczenia za godzinę.

Kim odłożyła słuchawkę. Nie była pewna, czy wie co robi, ale miała przeczucie, że robi dobrze. Wstała, weszła na górę i spakowała rzeczy, także mundurek pielęgniarski. W kuchni zostawiła większą porcję jedzenia dla Sheby i zmieniła żwirek w kuwecie.

Włożywszy bagaż do samochodu, pojechała do laboratorium. Tuż przed budynkiem zatrzymała się na chwilę, żeby się zastanowić, czy mówić Edwardowi, że zatrzyma się u Kinnarda. Postanowiła, że sama nie poruszy tego tematu, ale jeśli on spyta, to powie mu.

Atmosfera w laboratorium była jeszcze bardziej gęsta niż ostatnim razem. Wszyscy byli zatopieni w pracy i choć okazali, że zauważyli jej obecność, to jednak tylko pro forma.

Kim nie czuła się dotknięta. Wręcz się ucieszyła. Tylko tego jej brakowało, żeby miała teraz wysłuchiwać wykładów o jakichś niepojętych eksperymentach!

Zastała Edwarda przy drukarce. Komputer wypluwał długie szeregi danych. Edward uśmiechnął się przelotnie, ale już po chwili jego uwaga skupiła się na tym, co wychodziło z drukarki.

— Jadę na cały dzień do Bostonu — powiedziała różnym głosem Kim.

— Dobrze — odparł.

— Zostaję też na noc. Jeśli chcesz, mogę ci podać numer, pod którym będę.

— Nie trzeba. Jeśli coś wyniknie, zadzwoń do mnie. Będę jak zwykle tutaj.

Kim pożegnała się i ruszyła do drzwi. Edward zawołał ją. Stała.

— Naprawdę mi przykro, że tak to wygląda. Szkoda, że jesteśmy ciągle tacy zapracowani. Ale mamy akurat coś bardzo pilnego.

— Rozumiem — odpowiedziała.

Spojrzała mu w twarz. Był w niej rys niepewności, jakiego od dłuższego czasu u niego nie widziała.

Pośpiesznie opuściła laboratorium i wsiadła do samochodu. Po drodze nie przestawała rozmyślać o zachowaniu Edwarda. Jakby spod maski wyjrzało jego dawne oblicze; oblicze, które przy pierwszym spotkaniu wydało jej się tak pociągające.

Wkrótce zaczęła się odprężać, a im dalej była na południe, tym lepiej się czuła. Pogoda też miała w tym swój udział. Był ciepły, skąpany w jaskrawym słońcu, przejrzysty dzień babiego lata. Drzewa barwiły się oszałamiającym jesiennym listowiem. Błękitne niebo wyglądało jak rajski ocean.

W niedzielę nietrudno było zaparkować, toteż Kim szybko znalazła miejsce w pobliżu mieszkania Kinnarda na Revere Street. Zadzwoiła do drzwi mocno zdenerwowana, ale szybko poczuła się swobodnie. Kinnard pomógł jej wnieść rzeczy do pokoju gościnnego, którego wygląd zaświadczał o jego intensywnych pracach porządkowych.

Następnie zabrał ją na ożywczy spacer po mieście. Na kilka bez troskich godzin zapomniała o Omni, Ultra i Elizabeth. Zaczęli na North End od lunchu we włoskiej restauracji, uwieńczonego kawą we włoskiej kafejce.

Potem wstąpili do Filene's Basement pomyszkować trochę w ciuchach w poszukiwaniu okazji. Oboje byli doświadczonymi szperaczami. Kim spotkała miłą niespodziankę; udało jej się znaleźć znakomitą spódnicę z oryginalną metką Saks Fifth Avenue.

Po zakupach włóczyli się po Boston Gardens, ciesząc oczy jesiennymi liśćmi i kwiatami. Usiedli na ławce i obserwowali łódki prześlizgujące się po tafli jeziora.

— Może nie powinienem tego mówić — odezwał się Kinnard — ale wyglądasz na zmęczoną.

— Nic dziwnego. Nie wysypiam się. Życie w Salem niezbyt przypomina sielankę.

— Chciałabyś mi o czymś opowiedzieć?

— Nie w tej chwili. Jest wiele rzeczy, nad którymi muszę się zastanowić.

— Cieszę się, że przyjechałaś.

— Chciałabym postawić sprawę jasno: śpię w pokoju gościnnym, bez dyskusji.

— Hej, uspokój się. — Kinnard uniósł ręce w geście obrony. — Doskonale rozumiem. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Przepraszam. Pewnie wydaję ci się okropnie przewrażliwiona. A naprawdę od wielu tygodni nie czułam się tak zrelaksowana. — Ujęła dłoń Kinnarda i uścisnęła. — Dziękuję, że jesteś.

Wyszedszy z parku, przeszli się po Newbury Street i pooglądali wystawy. Potem pozwolili sobie na jedną z najulubieńszych rozrywek Kim. Weszli do księgarni Waterstone'a i długo wertowali książki. Kim kupiła sobie kieszonkowe wydanie powieści Dicka Francisa, a Kinnard przewodnik po Sycylii. Powiedział, że zawsze marzył, by ją zwiedzić.

Późnym popołudniem zaszli do hinduskiej restauracji i zjedli przepyszną kolację. Jedynym jej minusem było to, że restauracja nie miała uprawnień do sprzedaży alkoholu. Zgodzili się, że pikantne i aromatyczne potrawy kuchni hinduskiej jeszcze lepiej smakowałyby z zimnym piwem.

Z restauracji wrócili na Beacon Hill. Już na kanapie Kinnarda wypili po kieliszku białego wina. Wkrótce Kim ogarnęła senność.

Położyła się wcześniej. Białym świtem musiała przecież wstać do pracy. Zanurzony się w świeżo upraną pościel Kinnarda, niemal natychmiast zapadła w głęboki, krzepiący sen. Nie potrzebowała Xanaxu.

ROZDZIAŁ 19

PONIEDZIAŁEK, 3 PAŹDZIERNIKA 1994

Kim prawie już zapomniała, jak wygląda normalny dzień na intensywnej terapii. Po miesięcznym urlopie brakowało jej potrzebnej kondycji, zarówno psychicznej jak i fizycznej. Ale gdy dzień pracy zbliżał się ku końcowi, musiała przyznać, że sprawia jej przyjemność i intensywność, i odpowiedzialność tej pracy i że daje jej satysfakcję niesienie pomocy ludziom w tak wielkiej potrzebie, nie mówiąc już o radości płynącej z koleżeńskiej solidarności w wypełnianiu wspólnych zadań.

Kinnard pojawiał się kilka razy w ciągu dnia z pacjentami po operacjach. Kim starała się być wtedy pod ręką i pomagać. Podziękowała mu jeszcze raz za najlepiej przespaną noc od wielu tygodni. Kinnard zaś zapewnił ją, że zawsze jest mile widziana, nawet jeszcze tej samej nocy, z tym że on ma dyżur, więc spędzi ją w szpitalu.

Miała ochotę zostać. Cieszyła się Bostonem i z nostalgią wspominała czasy, gdy tu mieszkała. Ale wiedziała, że musi wrócić do majątku. Nie robiła sobie żadnych złudzeń, że Edward będzie miał dla niej czas, czuła się jednak zobowiązana tam być.

Zaraz po zakończeniu pracy udała się na róg Charles i Cambridge Street i złapała metro na Harvard Square. O tej porze kolejka jeździła co godzina, więc nie minęło dwadzieścia minut, a już szła Massachusetts Avenue na północ, prosto do harwardzkiej Szkoły Prawa.

Kim zwolniła kroku. Uprzytomniła sobie, że jest cała spocona. Dzień był znów gorący, ale nie tak krystaliczny jak poprzedni. Nie było nawet śladu wiatru. Nad miastem wisiał baldachim mglistych, parnych chmur, raczej jak w lecie niż w jesieni. Spiker prognoz meteorologicznych straszył gwałtownymi burzami.

Od studenta dowiedziała się, jak dojść do Szkoły Prawa. Znalazła ją bez trudu. W klimatyzowanym wnętrzu odczuła natychmiastową ulgę.

Dzięki kolejnemu pytaniu trafiła do gabinetu Helen Arnold. Kim przedstawiła się sekretarce, a ta poprosiła, by zaczekała. Ale ledwo zdążyła usiąść, w drzwiach pojawiła się wysoka, smukła, uderzającej urody ciemnoskóra kobieta i gestem

zaprosiła ją do środka.

— Jestem Helen Arnold. Mam dla pani dobre wiadomości — powiedziała entuzjastycznie.

Jej wygląd zaskoczył Kim. Czegoś takiego nie spodziewała się w bibliotece Szkoły Prawa. Włosy miała zaplecione w najmisterniejsze z misternych warkoczyki, a na sobie luźną jaskrawo kolorową jedwabną szmizjerkę, przepasaną w tali złotym łańcuchem.

— Rozmawiałam dziś rano, i to mówiąc szczerze dość wcześnie, z panią Sturburg, która zresztą jest nadzwyczajną kobietą, i powiedziała mi, że interesuje panią pamiątka po Rachel Bingham.

Helen wyrzucała słowa z prędkością karabinu maszynowego, a Kim tylko kiwała głową.

— Czy pani ją znalazła? — spytała, gdy tylko tamta przerwała.

— Tak i nie. — Helen uśmiechnęła się przyjaźnie. — Najpierw dobra nowina: potwierdziła się wiara Katherine Sturburg, że ta pamiątka przetrwała pożar z tyśiąc siedemset sześćdziesiątego czwartego. Jestem tego najzupełniej pewna. Proszę słuchać uważnie. Była widocznie stale przechowywana w prywatnym apartamencie jednego z nauczycieli akademickich, który mieszkał poza Old Harvard Hall. No co, czy nie dobra nowina?

— Cieszę się — odparła Kim. — To znaczy jestem zachwycona, że nie uległa zniszczeniu. Ale pani właściwie nie odpowiedziała na moje pytanie, to znaczy, czy pani ją znalazła. Co to znaczy tak i nie?

— To znaczy po prostu, że chociaż nie znalazłam samej książki, znalazłam informację, że została ona rzeczywiście przesłana tutaj, do Szkoły Prawa, z przeznaczeniem dla biblioteki. Dowiedziałam się też, że była jakaś niejasność, jakaś trudność w zaklasyfikowaniu jej, choć jak wynika z listu Increase'a Mathera, który pani znalazła, miała niewątpliwie coś wspólnego z prawem eklezjastycznym. Nawiasem mówiąc uważam, że ten list to fantastyczne odkrycie. Jeśli dobrze rozumiałam, zamierza pani ofiarować go Harvardowi. To bardzo szlachetnie z pani strony.

— To najmniejsze, co mogę zrobić, żeby wynagrodzić państwu wszystkie kłopoty, jakie spowodowałam. Ale co z tą pracą Rachel Bingham? Czy ktoś w ogóle wie, gdzie ona może być?

— Owszem. Pogrzebawszy jeszcze trochę dowiedziałam się, że w tyśiąc osiemset dwudziestym piątym została przeniesiona z biblioteki Szkoły Prawa do Szkoły Teologii, wkrótce po zbudowaniu jej siedziby. Nie wiem, dlaczego ją przeniesiono, może miało to coś wspólnego z problemami klasyfikacyjnymi tu, w naszej bibliotece.

— Święty Boże! — zawołała Kim. — Ileż ta książka się napodróżowała!

— Tuż przed południem pozwoliłam sobie zadzwonić do koleżanki, która zajmuje się tym co ja tutaj w bibliotece Szkoły Teologii. Mam nadzieję, że pani nie

ma mi tego za złe.

— Oczywiście że nie — zapewniła ją Kim. Przeciwnie, była jej wdzięczna za inicjatywę.

— Ta pani nazywa się Gertrudę Havermeyer. Jest trochę obcesowa, ale w gruncie rzeczy ma dobre serce. Obiecała, że się tym zajmie.

Helen wzięła kartkę i zapisała na niej nazwisko i telefon Gertrudę. Potem na małym planie kampusu harwardzkiego zaznaczyła gmach wydziału teologii.

Kilka minut później Kim szła przez kampus. Minęła pracownię wydziału fizyki, okrążyła muzeum i doszła do Divinity Avenue. Stamtąd miała już tylko parę kroków do placówki Gertrudę Havermeyer.

— A więc to pani zawdzięczam stracone popołudnie — powitała ją Gertrudę, gdy się przedstawiła.

Stała przed biurkiem w wojowniczej postawie z rękami opartymi na biodrach. Jak uprzedzała Helen Arnold, Gertrudę zademonstrowała ostre, bezkompromisowe usposobienie. Co prawda jej wojowniczość nie harmonizowała z wyglądem. Była drobna, siwowłosa. Przypatrywała się Kim przez cylindryczne szkła w drucianej oprawie.

— Przykro mi, że sprawiłam pani kłopot — powiedziała Kim przepraszająco.

— Od telefonu Helen Arnold nie miałam nawet minuty na własną pracę — oświadczyła gniewnie Gertrudę. — To mi zajęło ładnych parę godzin.

— Mam nadzieję, że przynajmniej pani wysiłki nie poszły na marne.

— Istotnie, znalazłam kwit w rejestrze z tamtych czasów. A zatem Helen miała rację. Dzieło Rachel Bingham zostało wysłane ze Szkoły Prawa i trafiło tu, do Szkoły Teologii. Ale jak na złość nie mogłam znaleźć o nim żadnej wzmianki ani w komputerze, ani w starym katalogu, ani nawet w najstarszym katalogu, który jeszcze przechowujemy w podziemiach.

Kim upadła na duchu.

— Przepraszam, że naraziłam panią na tyle daremного trudu.

— No, ale nie poprzestałam na tym — odparła Gertrudę. — To nie ja. Jak ja się do czegoś biorę, nie rezygnuję łatwo. Więc przejrzałam jeszcze raz wszystkie ręcznie pisane karty z czasów założenia biblioteki. To było denerwujące zajęcie, ale rzeczywiście znalazłam wzmiankę na ten temat, chyba głównie dzięki szczęściu, no może jeszcze dzięki uporowi. Niech zginę marnie, ale nie mam pojęcia, czemu tej pozycji nie ma w głównym katalogu.

Nadzieje Kim odżyły. Wędrówka tropem Elizabeth była jak emocjonalna kolejka górską.

— Czy ta praca tu jest?

— Wielkie nieba, skąd! — odparła oburzona Gertrudę. — Gdyby była, to byłaby też w komputerze. Tu nie ma prawa być żadnego nieporządku. Nie. Z mojego dochodzenia wynika, że była tu niecały rok i w tysiąc osiemset dwudziestym szóstym została przesłana do Szkoły Medycznej. Wygląda na to, że nikt nie wiedział,

co z tym zrobić. Wszystko to jest bardzo tajemnicze. Nie było nawet żadnej wskazówki, do jakiej kategorii zbiorów ten obiekt się zalicza.

— Och, na litość boską — odezwała się Kim z rezygnacją. — Tego już naprawdę za wiele. Szukanie tej książki czy czegoś tam zakrawa na ponury dowcip.

— Uszy do góry! — słowa Gertrudę zabrzmiały jak rozkaz. — Zadałam sobie dla pani wiele trudu. Dzwoniłam nawet do Johna Moldaviana, który opiekuje się rzadkimi księgami i rękopisami. Opowiedziałam mu całą historię i obiecał, że się tym zajmie.

Podziękowawszy Gertrudę, Kim wróciła na Harvard Square i znów wsiadła do metra do Bostonu.

Ponieważ była godzina szczytu, musiała na siłę wepchnąć się do wagonu. Oczywiście miejsc siedzących nie było, stała całą drogę. Gdy kolejka trzęsła się na moście Longfellowa, Kim zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie zaniechać śledztwa w sprawie Elizabeth. To była pogoń za mirażem. Zawsze gdy wydawało się, że jest tuż-tuż, trop okazywał się fałszywy.

W szpitalnym garażu wsiadła do samochodu i pomyślała o tłoku, jaki niewątpliwie będzie panował na drodze do Salem. O tej porze sam przejazd przez Leverett Circle zajmie jej około pół godziny.

Zmieniwszy zamiary, zawróciła samochód w przeciwnym kierunku i pojechała do Biblioteki Medycznej. Stwierdziła, że woli już iść za śladem Gertrudę niż tkwić w korku.

John Moldavian wydał jej się stworzony do pracy w bibliotece. Był to spokojny, łagodny mężczyzna, którego miłość do książek uwidaczniała się już na pierwszy rzut oka w czułym i troskliwym sposobie obchodzenia się z nimi.

Kim przedstawiła się i powołała na Gertrudę. John zareagował momentalnie. Zaczął przetrząsać swoje zabałaganione biurko.

— Mam tu coś dla pani. Gdzie ja to, u diabła, położyłem?

Kim przyglądała mu się, gdy przewalał papiery. Miał pociągłą twarz, w której zauważało się przede wszystkim okulary w ciemnych grubych oprawkach oraz cienki wąsik o linii prawie idealnej, jakby był narysowany.

— Czy ta praca Rachel Bingham jest tutaj, w bibliotece? — odważyła się spytać.

— Nie, już nie — odparł John. W tej chwili twarz mu się rozjaśniła. — O, jest! — Podniósł pojedynczą kartkę papieru.

Kim cicho westchnęła. To tyle, jeśli chodzi o trop Gertrudę, pomyślała.

— Sprawdziłem dane z tysiąc osiemset dwudziestego szóstego — powiedział John. — I natrafiłem na pewną informację o przedmiocie, którego pani szuka.

— Pozwoli pan, że zgadnę. Został przesłany gdzie indziej.

John wpatrywał się w Kim nad kartką, którą ciągle trzymał w ręku.

— Skąd pani wie?

Kim roześmiała się niewesoło.

— To się jakoś dziwnie powtarza. Dokąd więc powędrował?

— Na wydział anatomii. Oczywiście dzisiaj nazywa się to wydziałem biologii komórki.

Kim z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Na miłość boską, dlaczego tam? — rzuciła retoryczne pytanie.

— Nie mam pojęcia. To, co znalazłem, było dość dziwne. Jakby napisana odręcznie i w pośpiechu kartka, która chyba była dołączona do jakiejś książki, rękopisu albo rysunku. Zrobiłem dla pani kopię. — Podał jej kartkę.

Kim wzięła. Trudno ją było odcyfrować. Musiała odwrócić się twarzą do okna, dla lepszego oświetlenia. *Osobliwość zrobiona przez Rachel Bingham w 1692*, przeczytała. Słowo „osobliwość” przypomniało jej to, co Mary Custland mówiła o „magazynie osobliwości”, który spłonął w pożarze w 1764. Mary sugerowała, że dzieło Rachel Bingham mogło być częścią tej kolekcji. Kim wróciła myślą do listu Jonathana do ojca. Należało przypuszczać, że ma przed sobą pismo Jonathana. Oczami duszy zobaczyła zdenerwowanego Jonathana Stewarta, jak pośpiesznie bazgrze podpis na kartce, chcąc jak najszybciej wymknąć się z pokoju nauczyciela, gdzie zakradł się, by zmienić nazwisko Elizabeth Stewart na Rachel Bingham. Gdyby został przyłapany, najprawdopodobniej musiałby opuścić uczelnię.

— Dzwoniłem tam — przerwał John jej rozmyślenia. — Skierowano mnie do dżentelmena nazwiskiem Carl Nebolsine, który jest głównym kustoszem Muzeum Anatomicznego imienia Warrena. Zadzwoniłem do niego. Powiedział, że jeśli chcę zobaczyć eksponat, mam przyjść do budynku administracji.

— To znaczy, że on tam jest? — spytała Kim z niedowierzaniem.

— Widocznie — odparł John. — Muzeum Anatomiczne mieści się na czwartym piętrze budynku A, naprzeciw wejścia do biblioteki. Chciałaby pani tam pójść?

— Ależ oczywiście! — wykrzyknęła Kim. Tętno jej przyspieszyło na samą myśl, że może w końcu znalazła dowód użyty przeciwko Elizabeth.

John podniósł słuchawkę telefonu.

— Sprawdźmy, czy pan Nebolsine jeszcze jest. Niedawno był, ale przypuszczam, że ma więcej niż jedno takie zajęcie. Zdaje się, że opiekuje się wieloma małymi muzeami i kolekcjami rozsianymi po Harvardzie.

Przeprowadził szybką rozmowę, w trakcie której pokazał Kim znak zwycięstwa. Odłożywszy słuchawkę powiedział:

— Ma pani szczęście. Jeszcze jest. Jeśli pójdzie pani zaraz znajdzie go pani w muzeum.

— Pędzę — powiedziała Kim.

Podziękowała Johnowi i szybko udała się do budynku A. Był to neoklasycywny gmach z masywnym frontonem wspartym na doryckich kolumnach. Tuż za drzwiami zatrzymał ją strażnik, ale machnęła mu przed nosem szpitalnym identyfikatorem.

Wysiadła na czwartym piętrze. Muzeum, niezbyt imponujące, składało się z upchniętych wzdłuż lewej ściany szeregu oszklonych szafek. Zawierały one typową kolekcję prymitywnych narzędzi chirurgicznych, na widok których nawet stoik by się wzdrygnął, starych fotografii i preparatów anatomopatologicznych. Było wśród nich sporo czaszek, w tym jedna z dziurą w lewym oczodole oraz w górnej partii czoła.

— Dość interesujący przypadek — przemówił jakiś głos. Kim obejrzała się i zobaczyła mężczyznę o wiele młodszego, niżby się spodziewała na stanowisku kustosa muzeum. — Zapewne pani Kimberly Stewart? Nazywam się Carl Nebolsine.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Widzi pani ten pręt? — spytał Carl, wskazując długi stalowy przedmiot. — To ubijak. Używano go do upychania ładunków wybuchowych w wydrążonym do tego celu tunelu. Pewnego dnia, jakieś sto lat temu, ten pręt przeszedł przez głowę tego oto człowieka. — Carl machnął ręką w stronę czaszki. — Najciekawsze jest to, że ów człowiek to przeżył.

— Wyzdrowiał?

— Ponoć jego usposobienie nigdy już nie było tak pogodne jak przed wypadkiem, ale trudno się dziwić.

Kim zlustrowała inne eksponaty. W odległym końcu wypatrzyła książki.

— Rozumiem, że interesuje panią eksponat Rachel Bingham — rzekł Carl.

— Czy jest tutaj?

— Nie.

Kim wpatrywała się w niego, jakby go źle usłyszała.

— Jest na dole, w magazynie. Rzadko kto chce go oglądać, a nie mamy dość miejsca, żeby wystawiać wszystko. Chciałaby pani go zobaczyć?

— Bardzo — odparła Kim z ulgą.

Zjechali windą do podziemi i ruszyli labiryntem korytarzy, którego Kim wolałaby nigdy nie zwiedzać samotnie. Carl otworzył ciężkie stalowe drzwi. Wetknął rękę do pomieszczenia i zapalił światło; kilka nagich żarówek.

Pomieszczenie wypełniały zakurzone staroświeckie gabloty.

— Przepraszam za ten nieporządek — powiedział Carl. — Bardzo tu brudno. Nieczęsto ktoś do nas przychodzi.

Kim kluczyła za nim między gablotami. Zaglądała do każdej. Były w nich kości, książki, narzędzia i słoje z preparatami. Carl stanął. Kim znalazła się tuż za nim. Odstąpił dwa kroki i wskazał jej gablotę naprzeciw.

Kim cofnęła się ze zgrozy i obrzydzenia. Była kompletnie nie przygotowana na coś podobnego. W dużym szklanym słoju wypełnionym podbarwioną na brązowo formaliną tkwił ściśnięty cztero-, najwyżej pięciomiesięczny potwornie zniekształcony płód ludzki.

Nie bacząc na reakcję Kim, Carl otworzył gablotę. Włożył rękę do środka i przesunął ciężkie naczynie w przód, wprawiając zawartość poruszonego słoja w groteskowy taniec. Strzępy tkanki spływały w dół niczym płatki śniegu zimowego pejzażu zamkniętego w szklanej kuli.

Kim przycisnęła dłoń do ust i osłupiała patrzyła na bezmózgi płód o płasko sklepionej czaszce. Rozszczep podniebienia sprawiał, że usta zlewały się z nosem. I tak straszliwa twarz była dodatkowo zniekształcona wskutek spłaszczenia przez szklaną ścianę słoja. Tuż za wielkimi żabimi oczami głowa była zupełnie płaska, obficie zarośnięta smolście czarnymi włosami. Masywna żuchwa proporcjami zupełnie nie pasowała do reszty twarzy. Krępe kończyny górne kończyły się łopatowatymi dłońmi o krótkich, częściowo pozrastanych palcach. Przypominały trochę kopyta. Z krzyża wyrastał długi rybi ogon.

— Mam to wyjąć, żeby pani mogła obejrzeć w lepszym świetle? — spytał Carl.

— Nie! — rzuciła Kim nieco za ostro.

Już spokojniejszym tonem wyjaśniła, że widzi eksponat wystarczająco dobrze.

Doskonale rozumiała, jak siedemnastowieczny umysł mógł interpretować taką koszmarną deformację. To nieszczęsne stworzenie musiało zostać uznane za wcielenie diabła. Zresztą wizerunki diabła na drzeworytach z tamtej epoki, które miała okazję oglądać, były bardzo podobne.

— Może przynajmniej obróć słoje, żeby pani mogła obejrzeć go ze wszystkich stron? — spytał znowu Carl.

— Dziękuję, nie trzeba — odparła Kim cofając się odruchowo. Teraz było dla niej jasne, czemu Szkoła Prawa ani Szkoła Teologii nie wiedziały, co z tym zrobić. Przypomniała sobie kartkę, którą John Moldavian pokazał jej w Bibliotece Medycznej. *Osobliwość zrobiona przez Rachel Bingham w 1692*. Źle odczytała. Tam było napisane „zrodzona”, a nie „zrobiona”!

Przyszedł jej także na myśl fragment dziennika Elizabeth, w którym ta użalała się nad „niewinnym Hiobem”. To nie była aluzja biblijna. Elizabeth wiedziała, że jest w ciąży i nazwała swoje nie narodzone dziecko Hiobem. Jakże tragicznie a propos!

Kim podziękowała Carlowi i, oszołomiona, powlokła się do samochodu. Po drodze ciągle rozmyślała o podwójnej tragedii Elizabeth, która zaszła w ciążę nieświadoma zatrucia grzybem zanieczyszczającym jej zapasy żyta. W tamtych czasach z pewnością nikt nie wątpił, że Elizabeth miała stosunki z diabłem, skoro wydała na świat takiego potwora. Tym bardziej że „opętanie” miało początek pod jej dachem i stamtąd rozprzestrzeniło się na inne domy; te, do których dzieci przynosiły chleb z jej gospodarstwa. Energia i stanowczość Elizabeth, jej niewczesny spór z rodziną Putnamów, jej nagły awans społeczny, wszystko to pogarszało sytuację.

Kim wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Dla niej było już zupełnie jasne,

dlaczego Elizabeth uznano za czarownicę i dlaczego została skazana.

Jechała jak w transie. Rozumiała także, czemu Elizabeth nie chciała dla ratowania życia przyznać się do winy, jak nalegał Ronald. Wiedziała, że nie jest czarownicą, ale jej wiara we własną niewinność musiała zostać mocno podkopana, skoro wszyscy byli przeciwko niej: przyjaciele, sędziowie, nawet duchowni. Mąż był daleko; nie miała żadnego oparcia. Całkowicie osamotniona, myślała pewnie, że zawiniła jakimś naruszeniem woli boskiej. Bo jakże inaczej wytłumaczyć to, że wydała na świat takiego demona? Może nawet uważała, że zasłużyła na swój los.

Na Storrow Drive Kim ugrzęzła w korku. Posuwała się teraz naprzód centymetr po centymetrze. Upał nie zelżał; właściwie był jeszcze dokuczliwszy. Kim czuła narastający strach, że zostanie uwięziona w samochodzie nie wiedząc na jak długo.

W końcu udało jej się wydostać przez wąskie gardło świateł sygnalizacyjnych Leverett Circle. Wyrwawszy się na wolność z miejskich okowów, skierowała się na północ. Doznała przy tym jakby objawienia; odzyskanie wolności fizycznej nabrało w jej oczach wymiaru symbolu. W jej umyśle powstawała koncepcja, że osobiste zetknięcie się ze zrodzonym przez Elizabeth potworem i wywołany tym wstrząs pozwolił jej wreszcie zrozumieć treść przesłania, które, jak uważała, Elizabeth chciała jej przekazać ponad wiekami: ona, Kim, musi uwierzyć w siebie. Nie wolno jej tracić tej wiary pod wpływem cudzych przekonań, jak to się stało z nieszczęsną Elizabeth. Nie może pozwolić, żeby o jej życiu decydowali inni, nawet największe autorytety. Elizabeth nie miała wyboru, ale ona ma.

Myśli Kim galopowały. Przypomniła sobie godziny żmudnych dyskusji o jej niskiej samoocenie oraz teorii Alice McMurray na temat jej źródeł. Emocjonalna izolacja ojca, daremne wysiłki Kim, żeby go zadowolić, bierność matki wobec jego romansów. Wszystko to nagle wydało jej się trywialne. Te dyskusje nigdy nie zdołały dotrzeć do samego dna jej duszy tak jak dzisiejszy szok odkrycia głębi tragedii Elizabeth.

Teraz wszystko wydawało jej się jasne. Czy jej niska samoocena wynikała ze szczególnych układów rodzinnych, czy z wrodzonej nieśmiałości, czy z połączenia tych czynników, to nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest to, że Kim dopuściła do sytuacji, w której jej własne interesy i skłonności nie miały wpływu na bieg jej życia. Wybór zawodu był tego dobrym przykładem. Podobnie jej obecne położenie osobiste.

Musiała gwałtownie zahamować. Ku jej zdziwieniu i zmartwieniu na zwykle nie zatłoczonej szosie zrobił się korek. Znowu jechała zrywami, a upał wdzierał się przez otwarte okno. Nad zachodnim horyzontem piętrzyły się wielkie burzowe chmury.

Posuwając się mozolnie naprzód, Kim podjęła decyzję. Musi zmienić swoje życie. Najpierw pozwoliła, by rządził nią ojciec, choć nie wiązało ich nic wartego

wzmianki. Teraz z kolei pozwala, by to samo robił Edward. Edward niby z nią żył, ale tylko pozornie. W rzeczywistości wykorzystywał ją i nic nie dawał w zamian. Laboratorium Omni nie powinno znajdować się na jej ziemi, a naukowcy nie powinni mieszkać w rodzinnym domu Stewartów.

Gdy korek się rozluźnił i Kim mogła przyśpieszyć, obiecała sobie, że to się skończy. Postanowiła porozmawiać z Edwardem, gdy tylko znajdzie się z powrotem w majątku.

Była świadoma swojej słabości w obliczu takich konfrontacji oraz swojej skłonności do odwlekania trudnych spraw. Dlatego też było dla niej bardzo ważne, żeby przeprowadzić tę rozmowę jak najszybciej. Zwłaszcza gdy okazało się, że Ultra może być związkami teratogennym, to znaczy powodować powstawanie wad u rozwijającego się płodu. Kim wiedziała, że ta informacja ma zasadnicze znaczenie dla badań nad eksperymentalnym lekiem, i to nie tylko ze względu na kobiety w ciąży, ale także dlatego że wiele substancji teratogennych zwiększa również zagrożenie nowotworem.

Gdy Kim wjechała na teren swojego majątku, była już prawie siódma. Burzowe chmury na zachodzie sprawiały, że było ciemniej niż normalnie o tej porze. Z daleka widziała, że w laboratorium palą się światła.

Zaparkowała, ale nie wysiadła od razu. Wbrew swoim postanowieniom rozważała, czy wchodzić czy nie. Nagle znalazło się mnóstwo powodów, żeby to odłożyć. Ale nie poddała się. Otworzyła drzwi i wysiadła.

— Zrobisz to, nawet gdybyś miała zapłacić życiem — powiedziała do siebie.

Wygładziła zagniecenia na mundurku, przyczesła włosy i weszła do laboratorium.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi pracowni, wyczuła, że atmosfera uległa kolejnej zmianie. Była pewna, że David i Gloria, a chyba także Eleanor widzieli, jak wchodziła, ale niczym tego nie okazali. Odwrócili się i udawali, że jej nie widzą. Nie było śmiechów, a nawet żadnych rozmów. W powietrzu wisiało niemal namacalne napięcie.

Zdenerwowanie Kim wzrosło, ale zmusiła się, by poszukać Edwarda. Znalazła go w ciemnym kącie przy komputerze. Bładozielony monitor rzucał na jego twarz niesamowite światło.

Kim zbliżyła się i stanęła u jego boku. Nie chciała mu przeszkadzać. Gdy przyglądała się, jak jego palce przebiegają po klawiaturze, jakby grał na keyboardzie, zauważyła, że między jednym uderzeniem a drugim drżą. Słyszała też, że oddycha szybko, szybciej niż ona.

Minuty się wlokły. Edward nie zwracał na nią uwagi.

— Edwardzie, proszę cię — rzekła w końcu Kim. Głos jej się łamał. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Później — odparł Edward.

Nadal na nią nie patrzył.

— To bardzo ważne, żebyśmy porozmawiali teraz — powiedziała z wahaniem w głosie.

Nagle Edward przeraził ją, zrywając się na równe nogi. Na skutek tego ruchu jego ergonomiczne krzesło na kółkach odjechało pod przeciwległą ścianę i trzasnęło o szafkę. Przybliżył swoją twarz do twarzy Kim, tak że widziała czerwoną pajęczynkę naczyń na białkach jego oczu, które zdawały się wychodzić z orbit.

— Powiedziałem później! — powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Wbił w Kim palące spojrzenie, jakby wyzywał ją, żeby spróbowała się sprzeciwić.

Kim odskoczyła i wpadła na stół laboratoryjny. Niezręcznie szukając oparcia, straciła zlewkę. Roztrzaskała się na podłodze, szarpiąc jej i tak już napięte jak struna nerwy.

Zamarła. Zależniona, obserwowała Edwarda. Znów zachowywał się tak, jakby nie panował nad sobą, jak wtedy gdy rzucił kieliszkiem w swoim mieszkaniu w Cambridge. Przyszło jej do głowy, że w laboratorium zaszło coś doniosłego, co wywołało ostry rozdźwięk. Cokolwiek się stało, najwyraźniej wszyscy byli u kresu wytrzymałości, szczególnie Edward.

Pierwszą reakcją Kim było współczucie. Wiedziała przecież, jak ciężko pracuje. Ale zaraz się pohamowała. Dzięki nowo zdobytej samowiedzy potrafiła dostrzec, że takie myśli oznaczają powrót w stare koleiny. Była zdecydowana zrobić użytek z przesłania Elizabeth. Choć raz w życiu musi myśleć o sobie i bronić swoich interesów.

Była jednak realistką. Wiedziała, że nic jej nie przyjdzie z prowokowania Edwarda w niewłaściwym momencie. Jego zachowanie wskazywało aż nadto jasno, że nie jest teraz w nastroju do dyskusji o ich związku.

— Przepraszam, że ci przeszkodziłam — przemówiła, gdy stwierdziła, że odzyskał w jakimś stopniu panowanie nad sobą. — Widzę, że pora nie jest odpowiednia. Będę w domu. Naprawdę chcę porozmawiać, więc kiedy ty też będziesz gotów, przyjdź.

Pod jego groźnym wzrokiem ruszyła ku wyjściu. Uszła zaledwie parę kroków, stanęła i jeszcze się odwróciła.

— Dowiedziałam się dziś o czymś, co jednak musisz wiedzieć. Mam powody podejrzewać, że Ultra jest teratogeny.

— Będziemy go testować na ciężarnych myszach i szczurzykach — odparł Edward posępnie. — Ale w tej chwili mamy inny palący problem.

Na jego lewej skroni Kim zauważyła otarcie. Potem zobaczyła, że i ręce ma podrapane, tak jak przedtem Curt. Odruchowo postąpiła ku niemu.

— Skaleczyłeś się — powiedziała.

Wyciągnęła rękę chcąc zbadać ranę na głowie.

— To drobiazg — odparł Edward i szorstko odtrącił jej dłoń.

Odwrócił się, zabrał swoje krzesło i znów zatopił się w pracy.

Kim, roztrzęsiona, wyszła z laboratorium. Nigdy nie była w stanie przewidzieć jego nastroju ani zachowania. Na dworze zobaczyła, że tymczasem zrobiło się znacznie ciemniej. Nie było czym oddychać. Liście na drzewach zwisały bezwładnie. Kilka ptaków przemknęło przez groźne niebo w poszukiwaniu schronienia.

Kim pośpieszyła do samochodu. Rzuciwszy okiem na złowieszcze chmury, teraz całkiem bliskie, dostrzegła, jak przez moment zalśniła w nich pajęczyna błyskawicy. Nie słychać było grzmotu. Na krótkim odcinku drogi do domu musiała już włączyć światła.

Po przyjeździe natychmiast skierowała się do salonu. Stała przed portretem Elizabeth i przyjrzała jej się z jeszcze większym współczuciem, podziwem i wdzięcznością. Gdy tak chwilę patrzyła w jej silną, a jednak kobiecą twarz i świetliste zielone oczy, zaczęła się powoli uspokajać. Obraz umocnił ją w postanowieniu. Mimo niepowodzenia w laboratorium wiedziała, że już się nie cofnie. Zaczeka na Edwarda, ale rozmówi się z nim z całą pewnością.

Oderwała wzrok od obrazu i przeszła się po domu; wspólnym domu jej i Elizabeth. Choć czuła się tu tak samotna, był to przecież uroczy, romantyczny dom i nie mogła się oprzeć refleksji, jak by jej tu było z Kinnardem.

Przystanąła w jadalni, gdzie za czasów Elizabeth była kuchnia. Ten stół prawie nie był używany. Co tu dużo mówić, wrzesień okazał się wielkim niewypałem. Kim była na siebie wściekła, że pozwoliła się powlec w ogonie farmakologicznej kruczaty Edwarda.

W nagłym wybuchu gniewu posunęła się o krok dalej. Po raz pierwszy przyznała się przed sobą, że brzydzi ją chciwość Edwarda i cała jego nowa osobowość wykreowana przez Ultra. W jej systemie wartości nie było miejsca na sztucznienie, pod wpływem leku osiągnięte samopoznanie ani na sztuczną asertywność, ani sztuczny dobry nastrój. Wszystko to jedno wielkie kłamstwo. Dla niej kosmetyka psychofarmakologiczna była czymś wstrętnym.

Skoro już dopuściła do głosu swoje prawdziwe uczucia wobec Edwarda, zwróciła się na nowo ku rozmyślaniam o Kinnardzie. Uświadomiła sobie, że duża część odpowiedzialności za ich ostatnie problemy spoczywa na niej. Równie ostro jak wybuchła przeciw zachłanności Edwarda, zwymyślała się za to, że dopuściła, by lęk przed odrzuceniem zniekształcił jej sposób patrzenia na chłopięce rozrywki Kinnarda.

Westchnęła. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Zarazem jednak w głębi duszy uciszona. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie czuła tego niejasnego uporczywego niepokoju, który tak ją udreńczył. Zdawała sobie sprawę, że jej życie jest w rozsypce, ale była zdecydowana to zmienić i miała uczucie, że wie, co ma zmienić.

Zamknęła się w łazience i wzięła długą gorącą kąpiel. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz pozwoliła sobie na taki luksus. Potem włożyła luźny dres i zrobiła sobie

kolację.

Podeszła do okna w salonie i wyjrzała w stronę laboratorium. Ciekawa była, co myśli Edward i kiedy go zobaczy.

Oderwała wzrok od laboratorium i spojrzała na ciemne sylwetki drzew. Stały całkowicie nieruchomo, jakby zatopione w szkle; nadal nie było śladu wiatru. Burza, która zdawała się nieunikniona, gdy przyjechała do domu, zaczęła się na zachodzie. Ale nagle Kim zauważyła strzałę błyskawicy. Tym razem spłynęła na ziemię i dał się słyszeć daleki pomruk grzmotu.

Odwróciła się od okna i jeszcze raz rzuciła okiem na portret Elizabeth nad kominkiem. Pomyślała o makabrycznym, zdeformowanym płodzie w słoju z formaliną. Wzdrygnęła się. Nic dziwnego, że w czasach Elizabeth ludzie wierzyli w czary, magię i uroki. Nie znano wówczas innego wyjaśnienia dla tak przerażających zjawisk.

Podeszła do portretu i zaczęła analizować rysy Elizabeth. O stanowczości mówiła linia szczęki, zarys ust i śmiałe spojrzenie. Kim zastanawiała się, czy ta jej cecha zależała od temperamentu czy wychowania, czy była wrodzona czy wyćwiczona, czy to natura czy kultura.

Kim zadumała się nad własną nowo zrodzoną asertywnością, którą, jak sądziła, zawdzięcza Elizabeth, i nad tym, czy będzie w stanie w niej wytrwać. Zrobiła dobry początek idąc dziś do laboratorium. Jednego była pewna: dawniej by się na to nie zdobyła.

Później zaczęła rozmyślać nad możliwością zmiany zawodu; zadawała sobie pytanie, czy starczy jej odwagi. W jej sytuacji rodzinnej nie mogła się tłumaczyć względami finansowymi. Była to mglista, ale nęcąca możliwość, szczególnie myśl, żeby zająć się czymś związanym ze sztuką.

Ciężka praca nad porządkowaniem dokumentów zgromadzonych na przestrzeni trzystu lat przyniosła dość nieoczekiwane konsekwencje. Kim uprzytomniła sobie, jak niewielki był wkład jej rodziny w życie społeczne. Niegustowny zamek, a w nim kolekcja papierów; oto dwie główne składowe dziedzictwa Stewartów. Ich ród nie wydał ani jednego malarza, muzyka czy pisarza. Mieli tyle pieniędzy, a nie stworzyli ani jednej galerii, sali koncertowej czy biblioteki. Właściwie nie przyczynili się w żaden sposób do rozwoju kultury, chyba żeby biznes uznać za swoistą kulturę.

Około dziewiątej Kim była już kompletnie wyczerpana. Pół godziny temu nawiedziła ją myśl, czy nie wrócić do laboratorium, ale szybko ją odrzuciła. Gdyby Edward chciał z nią rozmawiać, przyszedłby do domu. Napisała więc do niego kartkę i przykleiła do lustra w łazience: *Wstanę o piątej, proponuję porozmawiać wtedy.* Tylko tyle.

Po krótkiej przechadzce z kotem Kim wskoczyła do łóżka. Nie próbowała nawet czytać ani też przez myśl jej nie przeszło, żeby sięgać po środki nasenne. Po kilku minutach spała jak kamień.

ROZDZIAŁ 20

WTOREK, 4 PAŹDZIERNIKA 1994

Donośny huk pioruna w mgnieniu oka wyrwał Kim z głębi snu. Raptem uprzytomniła sobie, że siedzi wyprostowana na łóżku, a dom trzęsie się cały od ogłuszającego grzmotu. Sheba zareagowała na ten kataklizm dając nura pod łóżko.

Po kilku minutach od grzmotu zerwał się porywisty wiatr i lunął deszcz. Zdać by się mogło, że burza czała się tak długo, by uderzyć z tym większą furią. Ogromne jak grad krople waliły w dach tuż nad głową Kim. Słyszała też, jak deszcz tłucze w otwarte okno od strony zachodniej.

Zerwała się i pośpieszyła, żeby je zamknąć. Deszcz wpadał z wiatrem do pokoju. Właśnie gdy miała zaryglować okno, błyskawica uderzyła w piorunochron na jednej z wieżyczek zamku i zalała cały teren niebieskawym światłem.

W tej krótkiej chwili, gdy cały obszar między domem a zamkiem był oświetlony, Kim zauważyła coś zdumiewającego. Przez pole biegła widmowa, skąpo odziana postać. I choć Kim nie była tego zupełnie pewna, bo uловиła jej widok tylko przez moment, wydało jej się, że to Eleanor.

Kim wzdygnęła się, gdy tuż po błysku pioruna rozległ się następny grzmot. Dzwoniło jej w uszach. Wyteżęła wzrok, żeby dostrzec coś w tych ciemnościach. W strugach deszczu nie widziała jednak nic. Czekwała na kolejną błyskawicę, ale nie nadchodziła.

Kim pobiegła do pokoju Edwarda. Była przekonana, że jej się nie przywidziało. Ktoś jest na dworze. Czy to Eleanor czy nie, nieważne. Nikt nie powinien błąkać się w taką burzę, zwłaszcza teraz, gdy istnieje dodatkowe zagrożenie ze strony dzikiego zwierzęcia, które grasuje w okolicy.

Musi powiedzieć Edwardowi. Kim zdumiało, że drzwi jego sypialni są zamknięte. Zawsze zostawiał je otwarte. Zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc zapukała głośniej. Nadal nie było reakcji, spojrzała więc na zamek w starych drzwiach. W dziurce tkwił klucz. To znaczy, że nie mogą być zamknięte od tamtej strony. Otworzyła.

Z miejsca, gdzie stała, słyszała donośne chrapanie Edwarda. Zawołała go parę razy, coraz głośniej, ale ani drgnął.

Kolejna błyskawica zaala pokój światłem. Kim szybko rzuciła okiem na Edwarda wyciągniętego na wznak, z rozrzuconymi rękami i nogami. Był w białej. Z jednej nogi nie zdjął do końca spodni: wywrócone na lewą stronę, zwisały niedbale z brzegu łóżka.

Kim zadrżała w oczekiwaniu grzmotu i nie pomyliła się. Zupełnie, jakby burza koncentrowała się głównie na majątku.

Zapaliła światło w korytarzyku i podbiegła do łóżka. Jeszcze raz zawołała Edwarda. Gdy to nie poskutkowało, lekko nim potrząsnęła. Edward nie tylko się nie zbudził, ale jego regularny oddech ani na chwilę nie wypadł z rytmu. Kim szarpnęła go energicznie, a gdy i to nie dało rezultatu, zaczęła się naprawdę martwić. Całkiem jakby zapadł w śpiączkę.

Kim zapaliła lampkę nocną i podkręciła na maksymalną jasność. Edward wyglądał jak ucieleśnienie spokoju. Twarz miał odprężoną, usta otwarte. Kim chwyciła go za ramiona i jeszcze raz mocno potrząsnęła, głośno wykrzykując jego imię.

Dopiero wtedy zmienił się rytm jego oddechów. Potem zamrugał oczami.

— Edward, śpisz? — zawołała Kim.

Znow nim szarpnęła, ale jemu głowa opadała na boki jak szmacianej lalce.

Wydawał się oszołomiony i zdezorientowany, dopóki nie dostrzegł Kim. Ciągle jeszcze trzymała go za ramiona.

Wtem zauważyła, że źrenice Edwarda nagle się rozszerzyły; jak kotu, który pręży się do skoku. Potem z kolei zwężyły się, wyglądały jak maleńkie szpileczki, a jego górna warga uniosła się jak u warczącej bestii. Dotąd gładka twarz Edwarda skurczyła się w wyrazie czystej wściekłości.

Prerażona tą straszliwą nieoczekiwaną metamorfozą, Kim puściła jego ramiona i cofnęła się. Była zdumiona, że wpadł w aż taką furję tylko dlatego, że go obudziła. Edward wydał gardłowy dźwięk zbliżony do warczenia i usiadł. Wlepił w nią nieruchome oczy.

Kim rzuciła się do drzwi. Wiedziała, że Edward zerwał się, żeby ją gonić. Słyszała, jak upadł na podłogę; pewnie zaplątał się w spodnie, których do końca nie zdjął. Zatrzasnęła za sobą drzwi jego sypialni i przekręciła klucz w zamku.

Pędem zbiegła po schodach i pognęła do kuchni do telefonu. Wiedziała, że z Edwardem stało się coś strasznego. To nie była po prostu złość, że go obudziła. Chyba stracił rozum.

Zadzwoiła pod dziewięćset jedenaście, ale gdy czekała na połączenie, dobiegł ją trzask wyłamywanego zamka, a potem huknięcie otwartych drzwi o ścianę. Niemal w tej samej chwili usłyszała Edwarda; warcząc głucho, stanął na szczycie schodów, po czym zaczął schodzić.

Półżywa ze strachu, Kim rzuciła słuchawkę i popędziła do tylnych drzwi. Przekraczając próg obejrzała się jeszcze. Edward wpadł na stół w jadalni i w pośpiechu po prostu odrzucił go z drogi. Był kompletnie szalony.

Kim szarpnięciem otworzyła drzwi i wypadła na dwór, pod zacinający płachtami deszcz. Myślała tylko o tym, gdzie znaleźć pomoc. Najbliższym źródłem był zamek. Obiegła dom i ruszyła na przełaj przez pole. Biegła najszybciej jak mogła w wilgotnej ciemności.

Straszliwa błyskawica zdawała się przełamywać niebo na pół. Oświetliła cały zalany ulewą teren i na chwilę obrysowała jasnością sylwetkę zamku. Niemal natychmiast od jego posępnej fasady odbił się grzmot. Kim nie zwolniła. Ucieszyła się widząc, że niektóre okna w skrzydle dla służby są jeszcze oświetlone.

Dotarła do wysypanego żwirem placu. Tu musiała zwolnić. Do tej pory w panice nawet nie poczuła, że biegnie boso. Ale zetknięcie z drobnymi kamykami uzmysłowiło jej to boleśnie. Teraz posuwała się czymś w rodzaju marszobiegu. Kierowała się do bocznego wejścia, ale gdy zbliżyła się do atrapy mostu zwodzonego, zauważyła, że wejście frontowe jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności otwarte na oścież.

Ciężko dysząc wpadła do środka. Przebiegła przez ciemny hol do wielkiego salonu, gdzie przez wysokie południowe okno sączyła się słaba poświata. Były to światła pobliskiego miasta odbite od nisko sklepionej pokrywy chmur.

Kim planowała przejść przez jadalnię do kuchni, a stamtąd do skrzydła dla służby, ale nie dotarła daleko, gdy nagle zderzyła się z Eleanor. Mokra koszula nocna z białej koronki oblepiała ją niczym druga skóra.

Kim stanęła jak wryta, na chwilę sparaliżowana strachem. Wiedziała teraz, że miała rację: to ją widziała, jak biegła przez pole. Kim już miała ją ostrzec przed Edwardem, ale gdy w półmroku zobaczyła jej twarz, słowa uwięzły jej w gardle. Miała ten sam niewymownie przerażający wyraz co twarz Edwarda, kiedy go obudziła. Co gorsza, usta Eleanor były umazane krwią, jakby przed chwilą jadła surowe mięso.

Zderzenie z Eleanor kosztowało Kim utratę przewagi nad Edwardem. Wpadł do pomieszczenia, spazmatycznie łowiąc powietrze. Zawahał się. W półmroku mierzył Kim dzikim spojrzeniem. Mokre włosy oblepiały jego czaszkę. Miał na sobie tylko bawełnianą koszulkę i spodenki gimnastyczne, jedno i drugie uwalane błotem.

Kim odwróciła się do niego. Zmiana, jaka w nim zaszła, jeszcze raz zaparła jej dech w piersiach. Rysy były niby te same, a jednak zupełnie inne, zniekształcone przez zwierzęcą wściekłość.

Ruszył ku niej, ale nagle znów się zatrzymał, spostrzegłszy swoją współpracowniczkę. Chwilowo przestał zwracać uwagę na Kim i zaczął podkradać się do Eleanor. Gdy dzieliła ich już tylko odległość ramienia, ostrożnie podniósł głowę, odrzucił ją nieco do tyłu i zaczął węszyć. Eleanor zrobiła to samo. Powoli krążyli wokół siebie.

Kim wstrząsnął dreszcz. Miała wrażenie, że wszystko to dzieje się w koszmarnym śnie, że ma przed oczyma dwie dzikie bestie, które spotkały się w dżungli

i badają, które jest łowcą, a które ofiarą.

Korzystając z ich zaabsorbowania sobą. Kim zaczęła się powoli wycofywać. Gdy zobaczyła, że ma wolną drogę do jadalni, zerwała się do biegu. Gwałtowny ruch zaalarmował tamtych dwoje. Jakby gnani pierwotnym instynktem drapieżnika rzucili się w pościg.

Przebiegając jadalnię Kim chwyciła od stołu kilka krzeseł i rzuciła za siebie, w nadziei że przeszkodzi swoim prześladowcom. Dało to lepszy skutek, niż przypuszczała. Nieoczekiwana przeszkoda zupełnie ich zaskoczyła i, jakby nie umieli zareagować na zmianę warunków, wpadli prosto na nie. Z ohydny, nieludzkim wrzaskiem runęli na podłogę. Ale ta pułapka nie zatrzymała ich na długo. Gdy Kim przekraczała próg skrzydła dla służby, rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że oboje są znów na nogach i niepomni siniaków prą naprzód, odrzucając krzesła z drogi.

Nie zwalnając biegu, Kim zaczęła wzywać pomocy. Dopadła schodów. Ciągłe krzyząc pognąła na piętro. Bez wahania pchnęła drzwi do pokoju, który, jak wiedziała, zajmował François. Leżał w łóżku i spał przy zapalonym świetle.

Kim podbiegła do łóżka wołając go po imieniu. Potrząsnęła nim gorączkowo, ale się nie obudził. Kim krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem i znów chciała nim szarpnąć, gdy nagle zamarła. Mimo skrajnej paniki skojarzyła, że i Edwarda tak trudno było dobudzić.

Cofnęła się. François z wolna otworzył oczy. Jego twarz, tak samo jak twarz Edwarda, uległa upiornej przemianie. Oczy mu się zwężyły, a górna warga skurczyła się, obnażając zęby. Z jego gardła wydobył się nieludzki ryk. W sekundę przeistoczył się w bezrozumną, rozszalałą bestię.

Kim obróciła się gwałtownie, chcąc uciec z pokoju, ale w tej chwili Edward i Eleanor pojawili się w drzwiach blokując wyjście. Bez chwili wahania skręciła przez drzwi przejściowe do należącego do apartamentu małego saloniku i stamtąd wydostała się na korytarz. Dopadła klatki schodowej, wbiegła na następne piętro i wpadła do innego zamieszkanego pokoju.

Zatrzymała się w progu, przytrzymując otwarte drzwi. Na podłodze siedzieli prawie nagi Curt i David, cali w błocie. Z włosów ściekała im woda. Najwyraźniej przed chwilą wrócili z dworu. Przed nimi leżał rozszarpany kot. Twarze ich, podobnie jak twarz Eleanor, były uwalane krwią.

Kim zatrzęsnęła drzwi. Usłyszała kroki tamtych na schodach. Obróciwszy się, otworzyła inne drzwi, do głównej części zamku. Dobrze, że znała teren.

Przebiegła całą amfiladę. Jako że okna wychodziły na południe, było tu trochę światła, tak samo jak w wielkim salonie. Dzięki temu udawało jej się omijać stoliki, krzesła i sofę. Ale pędząc na złamanie karku pośliznęła się na dywaniku i huknęła w drzwi prowadzące do skrzydła gościnnego. Chwilę zmagiła się z klamką; udało się! Korytarz był pograżony w ciemnościach, ale Kim wiedziała, że nie ma tu mebli, i pobiegła na oślep.

Nagły ból uprzytomnił jej, że wpadła na niespodziewaną przeszkodę. Jakiś stół wbił się jej w brzuch. Straciła równowagę i upadła przy akompaniamencie ogłuszającego łoskotu. Chwilę trwała bez ruchu, zastanawiając się, czy odniosła ciężkie obrażenia. Brzuch ją rwał, a prawe kolano zdrętwiało. Poczuła, że coś ścieka jej po ramieniu; domyśliła się, że to krew.

Wyciągnęła rękę i próbowała namacać coś wokół siebie w tych ciemnościach. Nagle uświadomiła sobie, o co się przewróciła. To był stół warsztatowy i narzędzia hydraulików. Przenieśli swój sprzęt do skrzydła dla gości, by z kolei tutaj sprawdzić i naprawić zużyte rury.

Kim nasłuchiwała. Z oddali dochodziły ją odgłosy otwierania i zatraskiwania drzwi w przeciwnym skrzydle. Dźwięki te świadczyły, że owe istoty — Kim nie mogła się przemóc, by w obecnym stanie nazywać ich ludźmi — poszukiwały jej na chybił trafił. Nie poszli za nią jedyną drogą, która z punktu widzenia logiki wchodziła w grę. Oznaczało to, że nie posługują się inteligencją. Kim wytłumaczyła sobie, że ich mózgi funkcjonują tylko w ograniczonym stopniu i że ich zachowaniem rządzą przede wszystkim instynkty i odruchy.

Podniosła się. Odrętwienie kolana ustąpiło miejsca ostremu bólowi. Pomacała je. Już zaczęło puchnąć.

Jej oczy przyzwyczyły się trochę do ciemności. Rozróżniała kształty stołu i niektórych narzędzi. Wypatrzyła rurę i uzbroiła się w nią, ale odrzuciła, gdy się zorientowała, że jest plastikowa. Zamiast niej wzięła młotek. Po chwili porzuciła i to na rzecz acetylenowej lutownicy i zapalarki. Jeśli te stworzenia, które na nią polują, kierują się zwierzęcymi instynktami, powinny bać się ognia.

Z lutownicą w ręku Kim jak tylko mogła najszybciej ruszyła do klatki schodowej. Przechyliła się przez balustradę i spojrzała w dół. Piętro niżej światło na korytarzu było zapalone. Kim słuchała. Wszystkie odgłosy zdawały się pochodzić z drugiej części domu.

Zaczęła schodzić, ale nie zaszła daleko. Po kilku zaledwie krokach na parterze, dwa piętra niżej, dostrzegła Glorię. Chodziła nerwowo tam i z powrotem jak kot u wejścia do nory. Niestety Gloria też zauważyła Kim. Wydała pisk i zaczęła wspinać się po schodach.

Kim zmieniła kierunek. Co sił w nogach popędziła z powrotem. Tym razem ominęła sprzęt hydraulików. Wpadła znów do głównej części domu i utykając dotarła do głównej klatki schodowej. Z tyłu dobiegł ją łoskot, a potem wycie. Zapewne Gloria wpadła na stół z narzędziami.

Kim zaczęła schodzić po schodach. Żeby nie być widziana z dołu, przywarła do ściany. Dotarwszy do podestu, posuwała się bardzo powoli. W jej polu widzenia znajdowały się stopniowo coraz większe fragmenty wielkiego salonu. Z ulgą stwierdziła, że nie ma w nim nikogo.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i zaczęła schodzić z ostatniej kondygnacji. Znalazszy się na parterze, z wysiłkiem pokuśtykała do frontowego holu. Ale parę

metrów od celu stanęła. Zdjęta najwyższą grozą zobaczyła Eleanor, jak czujnie przechadza się tam i z powrotem przy głównym wejściu. Jej chód przypominał kocie ruchy Glorii u stóp klatki schodowej w gościnnym skrzydle. W przeciwieństwie do Glorii ona nie zauważyła Kim.

Kim szybko przemknęła w bok, żeby zejść jej z pola widzenia. I właśnie wtedy usłyszała, że ktoś schodzi po schodach i zbliża się do podestu.

Nie miała zbyt wiele czasu na rozważania. Powłócząc nogą, gorączkowo zawróciła i wśliznęła się do schowka ukrytego pod schodami. Najciszej jak mogła zamknęła za sobą drzwi i zasunęła zasuwę. W tej samej chwili usłyszała kroki tuż nad głową.

Starła się zapanować nad zdyszczanym oddechem. Kroki słyhać było coraz niżej, aż wreszcie rozplynęły się na grubym, włochatym orientalnym dywanie na podłodze salonu.

Była przerażona. Teraz, gdy miała chwilę czasu, by się zastanowić, dotarła do niej cała groza jej położenia. Kolano ją bolało. Była kompletnie mokra i zziębnięta. Targały nią gwałtowne dreszcze.

Rozmyślając nad wydarzeniami ostatnich kilku dni, Kim zadawała sobie pytanie, czy stan zezwierzęcenia, w jakim znajdował się obecnie Edward i jego współpracownicy, nawiedzał ich każdej nocy. Jeśli tak i jeśli oni się tego domyślali, zmiana atmosfery w laboratorium miałyby swoje wytłumaczenie. Kim ze zgrozą uprzytomniła sobie, że jest wysoce prawdopodobne, iż to oni byli sprawcami rozlicznych wyczynów przypisywanych wściekłemu zwierzęciu lub młodocianym wandalom.

Kim zadygotała ze wstrętu. Było rzeczą najzupełniej oczywistą, że właściwą przyczyną wszystkich tych problemów jest Ultra. Wskutek brania tego leku naukowcy „zwarowali”, tak jak ci, którzy w roku 1692 zostali dotknięci opętaniem.

Te spekulacje przyniosły jej pewną nadzieję. Jeśli jest tak, jak myśli, to rano muszą powracać do poprzedniej postaci, zupełnie jak w gotyckim horrorze. Trzeba by tylko do tego czasu wytrwać w ukryciu.

Pochyliła się i położyła lutownicę i zapalarkę na podłodze. Namacała w ciemnościach ręczniki i wzięła jeden, by się nim wytrzeć. Jej koszula ociekała wodą. Zarzuciła sobie ręcznik na ramiona, pragnąc się choć trochę ogrzać. Obejmując się rękami, usiłowała powstrzymać drżenie ciała. Aby zmniejszyć obciążenie spuchniętego kolana, usiadła na znajdującym się w schowku starym sedesie, bezgłośnie opuściwszy przedtem klapę deski.

Minął pewien czas. Wydawało się, że w zamku zapadła cisza. Lecz nagle Kim aż podskoczyła na dźwięk roztrzaskującego się szkła. Miała nadzieję, że naukowcy zaprzestali już poszukiwań, ale najwidoczniej nie. Znów usłyszała odgłosy otwierania drzwi i szafek.

Kilka minut później zelektryzowały ją kolejne odgłosy kroków na schodach tuż nad jej głową. Ktokolwiek to był, schodził powoli i często się zatrzymywał.

Kim wstała. Co chwila wstrząsał nią gwałtowny dygot, pod wpływem którego deska sedesowa wydawała klekoczący dźwięk. Kim bała się, że zdradzi ją, gdy prześladowcy będą w pobliżu.

Stopniowo do jej świadomości dotarł inny dźwięk, który słyszała już od dobrej chwili, ale nie potrafiła od razu go zidentyfikować. Gdy w końcu zrozumiała, co to jest, zadrżała jeszcze gwałtowniej. Ktoś węszył, podobnie jak Edward przedwczo-raj w nocy przy szopie. Przypomniała sobie, jak jej mówił, że jednym z efektów działania leku jest wyostrenie węchu. Zaszło jej w ustach. Jeśli Edward zdołał tamtej nocy wywęszyć delikatną smużkę wody kolońskiej, to może i teraz ją zwęszy.

Ze wszystkich sił starała się zapanować nad drżeniem. Tymczasem ktoś zszedł z pozostałych stopni i zatrzymawszy się na chwilę, skrzył i stanął pod drzwiami schowka.

Węszenie stało się jeszcze głośniejsze. Po chwili ktoś potrząsnął klamką. Kim wstrzymała oddech.

Minuty płynęły nieznośnie powoli. Sądząc po odgłosach nadchodzili pozostali; wkrótce po drugiej stronie drzwi zebrała się cała grupa.

Któreś kilkakrotnie walnęło w nie pięścią. Kim wzdrygnęła się. Trzymały ledwo ledwo. Były to drzwi kasetonowe, a każdy kaseton zrobiony był z cienkiej sklejki. Kim wiedziała, że nie przetrzymają zbiorowego ataku.

Panika wróciła z całą gwałtownością. Kim szybko kucnęła i w ciemnościach zaczęła szukać lutownicy. Gdy nie natrafiła na nią od razu, jej tętno ruszyło jak oszalałe. Gorączkowo wodziła dłońmi po coraz większym łuku. Wreszcie ulga. Palce dotknęły metalowego przedmiotu. Tuż obok leżała zapalarka.

Gdy się wyprostowała podnosząc oba narzędzia, łomot do drzwi powtórzył się. Gwałtowność i szybkość uderzeń wskazywały, że atakowała je niejedna osoba.

Drżącymi palcami Kim spróbowała uruchomić zapalarkę. Gdy ją nacisnęła, w ciemności mignęła iskierka. Przełożyła lutownicę do prawej ręki i poruszyła pokręteł. Rozległ się stłumiony syk. Trzymając swoją broń na odległość wyprostowanej ręki, przycisnęła zapalarkę. Z lutownicy buchnął płomień.

Akurat gdy Kim udało się zapalić lutownicę, drzwi pod naporem uporczywych ciosów zaczęły pękać. Po pierwszej wyrwie reszta poszła już szybko. Znad błękitnego płomienia Kim ze zgrozą patrzyła, jak przez szczeliny w kasetonach sięgają po nią okrwawione ręce. Po chwili z drzwi zostały tylko drzazgi.

Naukowcy sprawiali wrażenie oszalałych z głodu dzikich bestii, które poczuły jedzenie. Próbowali dostać się do pomieszczenia wszyscy naraz. W płataninie rąk i nóg blokowali się tylko nawzajem.

Kim wycelowała w nich lutownicę. Lampa wydawała chrapliwy szum i oświetlała ich naznaczone wściekłością twarze. Najbliżej Kim byli Edward i Curt. Skierowała lutownicę w ich stronę i ujrzała, że w miejsce wściekłości pojawia się

u nich strach.

Cofnęli się w przerażeniu, obezwładnieni atawistycznym lękiem przed ogniem. Nie odrywali błyszczących oczu od niebieskawego płomienia wydobywającego się z końcówki lutownicy.

Podniesiona na duchu ich reakcją, Kim zrobiła krok do wyjścia. Naukowcy cofnęli się. Trzymając ich pod ogniem lutownicy, niepewnie posuwała się naprzód. Cała grupa przemieściła się do wielkiego salonu, pod jeden z ciężkich zyrandoli.

Cofnąwszy się jeszcze parę kroków, naukowcy zaczęli się rozchodzić na boki. Kim wolałaby rzecz jasna mieć ich w skupionej grupie albo wręcz zmusić do ucieczki, ale nie była w stanie zrealizować swoich życzeń. Mogła ich tylko odstraszać. Przesuwała się powoli, ale ciągle w stronę głównego holu, tymczasem oni ją okrążyli. Musiała teraz kręcić się z lutownicą wokół własnej osi, aby utrzymać ich na dystans.

W miarę osuwania się z ogniem istoty te nie przejawiały początkowego panicznego lęku, szczególnie że płomień zmieniał swoje położenie. Gdy Kim dotarła do środka salonu, znacznie się już ośmielili, zwłaszcza Edward.

W chwili gdy Kim wycelowała lutownicę w kogoś innego, Edward rzucił się do przodu i złapał ją za koszulę. Kim błyskawicznie zwróciła płomień ku niemu, opalając mu grzbiet dłoni. Zaskowyczał nieludzko i puścił ją.

Następny zaryzykował Curt. Kim przejechała mu płomieniem przed twarzą, tak blisko, że zajęły się końce włosów. Zawył z bólu i przycisnął dłonie do czoła.

Przy jednym z obrotów Kim zauważyła, że od holu dzieli ją jeszcze tylko kilka metrów, ale ciągłe piruety nie pozostały bez wpływu na jej poczucie równowagi. Zaczęło jej się kręcić w głowie. Starła się temu zapobiec, zmieniając po każdym obrocie kierunek ruchu, ale manewr ten nie utrzymywał naukowców w bezpiecznej odległości tak skutecznie.

Gdy Kim zmieniała kierunek, Glorii udało się podejść i chwycić ją za rękę. Kim wyrwała jej się, ale przy tym nagłym ruchu straciła i tak niepewną już równowagę i upadła. Ręką, w której trzymała lutownicę, z obezwładniającą siłą uderzyła o brzeg stołu. Dłoń wypuściła lampę, która odbiła się od stołu, pod ostrym kątem spadła na marmurową posadzkę i potoczyła się po gładkiej powierzchni, aż rąbnęła w przeciwną ścianę w miejscu, gdzie z sufitu spływały ciężkie adamaszkowe draperie.

Oślaniając zranioną rękę zdrową, Kim zdołała usiąść. Ze wszystkich stron okrążyły ją gotowe zabijać oszalałe istoty. Z chóralnym skowytym rzuciły się na nią wszystkie naraz, jak drapieżne zwierzęta na rannego, skazanego na zgubę jelenia, gryząc i drapiąc.

Kim wrzasnęła i zaczęła się gorączkowo bronić. Wtem ogólne szaleństwo przerwał głośny huczący dźwięk i nagły jaskrawy, gorący błysk. Skorzystała z pauzy, żeby się wyswobodzić. Oparta plecami o kanapę spojrzała na swoich

prześladowców. Oślupiali, wpatrywali się gdzieś poza nią, a od ich twarzy odbijało się złociste światło.

Kim odwróciła się i zobaczyła ścianę ognia rozrastającą się w kolejnych wybuchach. To draperie zajęły się od płomienia z lutownicy i płonęły, jakby były nasączone benzyną.

Oszalałe istoty zareagowały na to piekielne widowisko chóralnym wyciem. W ich rozszerzonych oczach malowała się trwoga. Pierwszy zerwał się do ucieczki Edward, za nim inni. Ale nie pobiegli do wyjścia. W panice rzucili się na schody.

— Nie, nie! — krzyczała Kim do uciekających.

Na próżno. Nie tylko jej nie zrozumieli, ale nawet nie usłyszeli. Huk szalejącego pożaru pochłonał dźwięk, jak czarna dziura pochłania materię.

Kim zdrową ręką zasłoniła się przed piekącym żarem. Dźwignęła się na nogi i kuśtykając pośpieszyła do wyjścia. W środku coraz trudniej było oddychać: ogień błyskawicznie pożerał tlen.

Potężna detonacja znów powaliła ją na posadzkę. Uraziwszy się w zranioną rękę, krzyknęła z bólu. Domyśliła się, że to wybuchł zbiornik lutownicy. Chcąc jak najszybciej opuścić budynek, wygramoliła się z trudem i znów chwiejnie ruszyła naprzód.

Wydostała się na porywisty wiatr i zacinający deszcz. Ręka i kolano bolały nieznośnie: za każdym krokiem zagryzała wargi. Utykając, lecz nie zatrzymując się, dotarła aż do końca żwirowanego dziedzińca przed zamkiem. Tam odwróciła się i osłoniwszy twarz przed żarem spojrzała. Stara budowla płonęła jak ognisko. Płomienie wystrzelały już z mansardowych okien poddasza.

Nagła błyskawica jeszcze bardziej rozjaśniła upiorną scenę. Po tym, co wycierpiała tej nocy, Kim wydało się, że widzi przed sobą piekło. Ze zgrozą i wstrętem potrząsnęła głową. Zaprawdę diabeł powrócił do Salem!

EPILOG

SOBOTA, 5 LISTOPADA 1994

— Dokąd chcesz jechać najpierw? — zwrócił się Kinnard do Kim.

Wjechali właśnie przez bramę na teren majątku Stewartów.

— Sama nie wiem — odparła Kim. Siedziała na miejscu obok kierowcy. Prawą ręką podtrzymywała lewą, w gipsie.

— Musisz się zdecydować. Zaraz za tymi drzewami dojeżdżamy do rozwidlenia.

Kim wiedziała, że Kinnard ma rację. Przez bezlistny las już widać było pole. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Błede jesienne słońce przeświecające przez drzewa igrało na jego twarzy i rozświetlało ciemne oczy. Cały czas opiekował się nią nadzwyczajnie i była mu wdzięczna, że zgodził się pojechać z nią teraz. Od fatalnej nocy minął miesiąc. Wracła tu po raz pierwszy.

— No więc? — przypomniał Kinnard.

Zaczął zwalniać.

— To może najpierw do zamku. A właściwie do jego ruin.

Kinnard skręcił. Przed nimi zamajaczyły wypalone kikuty. Kamienne mury i komin — to wszystko, co zostało.

Kinnard podjechał do mostu zwodzonego, który prowadził do pustego, poczerniałego wejścia. Wyłączył silnik.

— Wygląda to gorzej, niż się spodziewałem — stwierdził zlustrowawszy widok przez okno. Spojrzał na Kim. Wyczuwał jej zdenerwowanie. — Słuchaj, nie musisz tego oglądać, jeśli nie chcesz.

— Chcę. W końcu kiedyś muszę się z tym uporać. Otworzyła drzwi i wysiadła. Kinnard także. Razem błądzili wokół ruin. Nie próbowali wejść do środka. W obrębie murów wszystko obróciło się w popiół, z wyjątkiem kilku szerniałych belek, które nie wypaliły się do reszty.

— Aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógł stąd ująć z życiem. Tak szybko to płonęło — powiedziała Kim.

— Dwoje z sześciorga to nienadzwyczajny wynik. Poza tym oni też nie są jeszcze wolni od wszelkich zagrożeń.

— Dramat w dramacie. Jak z tą biedną Elizabeth i jej nieszczęsnym, kalekim nie donoszonym płodem.

Weszli na pagórek, skąd roztaczał się widok na całe pogorzelisko. Kinnard z niesmakiem pokręcił głową.

— Finał godny całej tej koszmarnej historii — zauważył. — Nic dziwnego, że władze nie bardzo się kwapiły wziąć ją za dobrą monetę, dopóki nie okazało się, że użębienie jednej z ofiar idealnie pasuje do śladów na kościach martwego włóczęgi. Przynajmniej masz satysfakcję. Na początku nie wierzyli ani jednemu twojemu słowu.

— Mam wrażenie, że tak naprawdę uwierzyli mi dopiero wtedy, kiedy Edward i Gloria doznali kolejnego przeobrażenia w szpitalu na oddziale oparzeń. To przesądziło sprawę, nie ślady zębów. Obserwatorzy zaświadczyli, że atak nastąpił we śnie i że ani Edward, ani Gloria niczego z tego nie zapamiętali. To były dwa kluczowe elementy, dzięki którym mi uwierzyli.

— Ja wierzyłem ci od razu.

— To prawda. Muszę ci oddać sprawiedliwość za to i za wiele innych rzeczy.

— Co prawda wiedziałem, że oni brali ten nie testowany lek.

— Ale ja od początku mówiłam o tym prokuratorowi okręgowemu. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

Kinnard obejrzał się na niesamowitą ruinę.

— Taki stary dom musiał się strasznie szybko palić.

— Ogień szerzył się tak gwałtownie, że wyglądało to niemal jak jedna eksplozja.

Kinnard jeszcze raz potrząsnął głową, tym razem z mieszaniną radości i grozy.

— Prawdziwy cud, że się wydostałaś. To musiało być potworne.

— Sam pożar to jeszcze nic. To te inne rzeczy były koszmarne. Nie potrafię ci wprost powiedzieć, jakie to uczucie zobaczyć ludzi, których się zna, przeobrażonych w zwierzęta. Ale dla mnie wynikała z tego jedna ważna rzecz. Raz na zawsze potwierdziło się, że wszelkie sztuczki farmakologiczne, czy to sterydy w sporcie, czy korekcja charakteru za pomocą leków psychotropowych, to faustowski pakt.

— To fakt znany medycynie od lat. Ryzyko jest zawsze, nawet przy antybiotykach.

— Mam nadzieję, że ludzie będą o tym pamiętać, kiedy odczuwają pokusę, żeby brać leki na to, co uważają za wady, na przykład nieśmiałość. Takie leki się pojawiają; nie da się zatrzymać badań, które do tego zmierzają. I nie wątpię, że będą używane do takich celów. Wystarczy się przyjrzeć, jak szerokie i jak często wątpliwe jest zastosowanie niektórych nowszych antydepresantów, odkąd tylko weszły na rynek.

— Problem polega na tym, że nasza kultura na wszystko proponuje pigułkę.

— I dlatego właśnie na pewno będą się zdarzać następne takie historie jak ta, którą ja przeżyłam. Przy obecnym popycie na leki psychotropowe to nieuchronne.

— Jeśli coś takiego ma się jeszcze zdarzyć, to jestem pewien, że cały czaro-
dziejski biznes Salem modli się, żeby zdarzyło się tutaj — zaśmiał się Kinnard.
— Dzięki twojej przygodzie mają niesamowity ruch w interesie.

Kim podniosła z ziemi patyk i pogrzebała nim w rumowisku. Wszystkie me-
talowe przedmioty pod wpływem gorąca uległy całkowitemu odkształceniu i cał-
kowitemu zniszczeniu.

— Ten dom i jego zawartość stanowiły materialne dziedzictwo dwunastu po-
koleń Stewartów — powiedziała. — Wszystko przepadło.

— Współczuję — rzekł Kinnard. — To musi być dla ciebie bardzo przykre.

— Nie tak bardzo. Poza kilkoma meblami większość z tego nie miała żadnej
wartości. Nie było ani jednego przyzwoitego obrazu oprócz portretu Elizabeth,
a ten ocalał. Naprawdę żałuję listów i innych dokumentów, które jej dotyczyły.
Pozostały mi tylko kopie dwóch z nich zrobione na Harvardzie. To jedyna ocalała
poszlaka, że Elizabeth naprawdę miała swój udział w sprawie czarownic z Salem.
Za mało, żeby przekonać historyków.

Stali jeszcze chwilę wpatrzeni w popioły. Wreszcie Kinnard zaproponował,
żeby ruszyli. Kim skinęła głową. Wrócili do samochodu i pojechali do laborato-
rium.

Kim otworzyła drzwi. Przeszli przez pomieszczenie, gdzie miała się znajdo-
wać recepcja, i przez wewnętrzne drzwi. Kinnard stanął jak wryty. W środku było
zupełnie pusto.

— Gdzie sprzęt? Myślałem, że tu jest laboratorium.

— Było. Powiedziałam Stantonowi, że ma natychmiast zniknąć. Że jeśli nie,
to oddam wszystko na cele dobroczynne.

Kinnard podbiegł kawałek, kozłując niewidzialną piłką i wrzucając ją do nie-
widzialnego kosza. Echo jego obcasów odbijało się od pustych ścian.

— Możesz tu zawsze urządzić salę gimnastyczną.

— Wolałabym pracownię.

— Mówisz poważnie?

— Tak, chyba tak.

Opuściwszy byłe laboratorium, pojechali do starego domu. Kinnard odetchnął
z ulgą, gdy zobaczył, że nie został ogołocony tak jak tamten budynek.

— Szkoda byłoby zmarnować to wszystko — powiedział. — Zrobiłaś z tego
urocze mieszkanie.

— Tak, jest fajne — przyznała Kim.

Weszli do salonu. Kinnard obszedł go dookoła i wszystko dokładnie obejrzał.

— Jak sądzisz, czy jeszcze kiedyś zechcesz tu zamieszkać? — spytał.

— Myślę, że tak. Kiedyś. A ty? Mógłbyś w ogóle mieszkać w takim miejscu?

— Oczywiście. Po stażu w tutejszym szpitalu proponowano mi etat, nad któ-
rym się poważnie zastanawiam. Mieszkanie tutaj byłoby idealne. Tyle tylko, że
chyba czułbym się odrobinę samotnie.

Kim spojrzała mu w twarz. Prowokacyjnie uniósł brwi.

— Czy to ma być propozycja? — zagadnęła.

— Może — odparł wymijająco. Kim zastanawiała się chwilę.

— Może byśmy się przekonali, co do siebie czujemy po sezonie narciarskim? Kinnard zachichotał.

— Podoba mi się, że nabrałaś poczucia humoru — powiedział. — Potrafisz teraz żartować nawet z rzeczy, które są dla ciebie ważne. Naprawdę się zmieniłaś.

— Mam nadzieję. Już dawno trzeba było. — Wskazała portret Elizabeth. — To moja antenatka sprawiła, że to zrozumiałam, i natchnęła mnie odwagą. Nie jest łatwo przełamać stare schematy. Mam nadzieję, że moja nowa osobowość jest trwała, no i że ty będziesz mógł z nią żyć.

— Jak na razie szalenie mi się podoba — oświadczył. — Teraz, kiedy jesteśmy razem, nie czuję się już, jakbym stąpał po szkłe. To znaczy, nie muszę się stale zastanawiać, co ty czujesz.

— To bardzo dziwne, a zarazem wspaniałe, że z tak straszliwej historii mogło wyniknąć coś dobrego. A najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że wreszcie znalazłam odwagę, żeby powiedzieć mojemu ojcu, co o nim myślę.

— Co w tym śmiesznego? Wydaje mi się, że to bardzo pasuje do twojej świeżo nabytej umiejętności ujawniania, co masz na sercu.

— Śmieszne jest nie to, że to zrobiłam, tylko co z tego wynikło. W tydzień po naszej rozmowie, która, przynajmniej z jego strony, wypadła wyjątkowo niesympatycznie, zadzwonił do mnie i teraz wszystko wskazuje na to, że to początek naprawdę satysfakcjonującej więzi.

— To cudownie — powiedział Kinnard. — Zupełnie jak z nami.

— Tak — zgodziła się Kim. — Zupełnie jak z nami. Zarzuciła mu zdrową rękę na szyję i uściskała go. Odwzajemnił jej się z żarliwością.

PIĄTEK, 19 MAJA 1995

Kim przystanąła, by przyjrzeć się fasadzie nowego budynku z cegły. Nad wejściem wmurowana była długa biała marmurowa tablica z wypukłym napisem OMNI PHARMACEUTICALS. Sama nie wiedziała, co w świetle niedawnych wydarzeń ma myśleć o tym, że firma nadal działa. Rozumiała jednak, że Stanton nie może pozwolić jej po prostu umrzeć, skoro zaangażował w nią wszystkie pieniądze.

Kim otworzyła drzwi i weszła. Podała swoje nazwisko recepcjonistce. Po kilku minutach pojawiła się sympatyczna kobieta ubrana z klasyczną elegancją i odprowadziła ją do drzwi jednego z laboratoriów firmy.

— Czy po zakończeniu wizyty trafi pani do wyjścia? — spytała.

Kim zapewniła ją, że tak, i podziękowała, a po chwili nacisnęła klamkę.

Z opisu Stantona wiedziała, czego ma oczekiwać. Drzwi, które właśnie mi-
nęła, nie prowadziły do właściwej pracowni, lecz do przedsionka. Od pracowni
dzieliła go ściana, od wysokości biurka aż do sufitu oszklona. Przed nią stało
kilka krzeseł. Pod taflą szkła znajdowało się okienko rozmównicy i zaopatrzone
w mosiężne klamki drzwi, które przypominały bankomat.

Za szkłem znajdowało się supernowoczesne laboratorium biomedyczne, które
niesamowicie przypominało laboratorium w majątku Stewartów.

Zgodnie z instrukcjami Stantona Kim usiadła na krześle i nacisnęła czerwony
guzik na konsoli rozmównicy. We wnętrzu laboratorium dwie osoby oderwały się
od stołu, przy którym siedziały zatopione w pracy. Na widok Kim ruszyły w jej
kierunku.

Kim doznała nagłego przypływu współczucia. Gdyby nie wiedziała kim są,
nigdy by ich nie rozpoznała. To byli Edward i Gloria, oboje straszliwie zniekształ-
ceni przez oparzenia. Prawie nie mieli włosów. Oboje czekały też dalsze operacje
plastyczne. Poruszali się sztywno. Dłońmi częściowo pozbawionymi placów po-
pychali przed sobą przenośne stojaki z kroplówkami.

Mówili ochryplym szeptem. Podziękowali Kim, że przyszła, i wyrazili żal, że
nie mogą oprowadzić jej po laboratorium zaprojektowanym specjalnie pod kątem
ich kalectwa.

Po chwili przerwy w rozmowie Kim spytała, jak ich zdrowie.

— Nie najgorzej, jeśli zważyć, co przeszliśmy — odparł Edward. — Naszym
największym problemem jest to, że ciągle jeszcze mamy napady „opętania”, mi-
mo że Ultra został już całkowicie wyeliminowany z naszej tkanki mózgowej.

— Czy nadal dochodzi do nich we śnie?

— Nie. Teraz zdarzają się w różnych momentach, jak napady padaczkowe,
bez żadnych sygnałów ostrzegawczych. Na szczęście trwają krótko, najwyżej pół
godziny, i mijają nawet bez leków.

— Tak mi przykro — powiedziała Kim. Zmagająca się z narastającym gdzieś
we wnętrzu jej duszy smutkiem. Miała przed sobą ludzi, których życie leżało
w gruzach.

— To nam jest przykro — odparł Edward.

— To nasza własna wina — dodała Gloria. — Powinniśmy byli mieć dość
rozumu, żeby nie próbować leku przed ukończeniem badań toksyczności.

— Nie wiem tylko, czy to by coś zmieniło — zauważył Edward. — Do dziś
u żadnego zwierzęcia nie wykryto żadnych objawów ubocznych, które by przy-
pominały ludzkie. Właściwie to biorąc ten lek, prawdopodobnie ocaliliśmy dużą
liczbę ochotników przed takimi cierpieniami, jakie stały się naszym udziałem.

— Ale były też inne objawy uboczne — zauważyła Kim.

— To prawda — przyznał Edward. — Powinienem był zwrócić większą uwa-
gę na utratę pamięci długotrwałej. To był znaczący fakt. W ten sposób objawiała
się zdolność leku do blokowania sieci neuronalnej.

— Czy późniejsze badania pozwoliły wyjaśnić przyczyny waszego obecnego stanu? — spytała Kim.

— Na podstawie danych, które zebraliśmy obserwując się nawzajem w trakcie ataków, zdołaliśmy określić hipotetyczny mechanizm tego zjawiska — powiedziała Gloria. — Ultra kumuluje się do momentu, w którym blokuje kontrolę korową nad układem limbicznym i innymi niższymi ośrodkami mózgu.

— Ale dlaczego nadal macie te ataki, choć lek został już wydalony z organizmu?

— Oto jest pytanie! — odparł Edward. — Właśnie tego staramy się dowiedzieć. Przypuszczamy, że działa tu ten sam mechanizm, który sprawia, że niektórzy ludzie używający środków halucynogennych miewają retrospektywne urojenia także wtedy, gdy nie są pod działaniem tych substancji. Badamy ten problem. Może gdy dojdziemy do sedna, uda nam się znaleźć jakiś sposób, żeby to zlikwidować.

— Przez pewien czas Dilantin chronił nas przed atakami — podjęła Gloria. — Potem rozwinęła się tolerancja i teraz już nie działa. Ale fakt, że choć przez krótki czas coś było skuteczne, zachęcił nas do dalszych poszukiwań.

— Jestem zaskoczona, że Omni nadal istnieje — powiedziała Kim chcąc zmienić temat.

— My też — przytaknął Edward. — Zaskoczeni i szczęśliwi. Gdyby nie to, nie mielibyśmy tego laboratorium. Stanton nie dał za wygraną i jego upór się opłacił. Jak się okazało, inny alkaloid z tego grzyba ma na tyle obiecujące właściwości przeciwdepresyjne, że Stantonowi udało się zebrać fundusze.

— Mam nadzieję, że przynajmniej dalsieście sobie spokój z Ultra.

— Ależ skąd! To następny wielki cel naszych badań: ustalić, który fragment cząsteczki Ultra jest odpowiedzialny za ten blok mózgowy, który nazwaliśmy zjawiskiem pana Hyde a.

— Rozumiem — odparła Kim.

Chciała życzyć im powodzenia, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Nie potrafiła przejść do porządku nad tym wszystkim, czego Ultra narobił do tej pory.

Zaczęła się żegnać i już miała obiecać, że wkrótce znowu ich odwiedzi, gdy zauważyła, że oczy Edwarda zachodzą mgłą.

W następnej chwili cała jego twarz uległa raptownej przemianie, zupełnie jak tamtej fatalnej nocy, kiedy go obudziła. Nagle ogarnął go nieopanowany szal wściekłości.

Bez żadnej przyczyny i bez ostrzeżenia rzucił się na Kim i zderzył się z grubą szklaną przegrodą.

Kim w popłochu odskoczyła. Gloria zareagowała błyskawicznie, puszczając kroplówkę Edwarda z maksymalną prędkością.

Przez krótką chwilę Edward zakrzywionymi palcami daremnie drapał w szybę. Potem jego twarz zobojętniała, a oczy uciekły mu w tył głowy. Jak balon,

z którego uszło powietrze, powoli osunął się na podłogę. Gloria wprawnie go ubezpieczała.

— Przepraszam cię — powiedziała do Kim, delikatnie ułożywszy jego głowę. — Mam nadzieję, że cię zbytnio nie przestraszył.

— Nie, w porządku — zdołała wybąkać Kim, ale serce waliło jej jak młotem i cała drżała. Ostrożnie podeszła do szyby i spojrzała na Edwarda, który leżał na podłodze. — Nic mu nie będzie?

— Nie martw się. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Teraz rozumiesz, dlaczego musimy chodzić z kroplówkami. Eksperymentujemy z różnymi lekami uspokajającymi. Cieszę się, że ten podziałał tak szybko.

— A co będzie, jeśli oboje równocześnie dostaniecie ataku? — Kim próbowała zebrać rozbiegane myśli.

— Zastanawialiśmy się nad tym — przyznała Gloria. — Niestety nie zdołaliśmy wymyślić żadnego niezawodnego zabezpieczenia. Jak na razie to się nie zdarzyło. Chyba nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić.

— Podziwiam wasz hart ducha.

— Cóż nam pozostaje?

Kim pożegnała się i wyszła. Była roztrzęsiona. Gdy stała w windzie, nogi się pod nią ugiwały. Bała się, że ta krótka wizyta spowoduje nawrót koszmarnych snów, które dręczyły ją po tamtej straszliwej nocy.

Na dworze, w ciepłym wiosennym słońcu poczuła się lepiej, już samo to, że się stamtąd wydostała, pomogło, nie mogła jednak wyrzucić z pamięci obrazu Edwarda wściekle atakującego szybę więzienia, na które sam się skazał.

Gdy dotarła do samochodu, odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na siedzibę Omni. Myślała o tym, jakie specyfiki firma jeszcze wyda na świat. Wzdrygnęła się. Poprzysięgła sobie, że co o leków — wszelkiego rodzaju leków — będzie jeszcze ostrożniejsza niż dotąd!

Otworzyła drzwi i wsiadła, ale nie od razu zapaliła silnik. Przed oczami miała ciągle twarz Edwarda, gdy zaszła w nim ta upiorna zmiana. Czegoś takiego nie da się zapomnieć.

Wyjechawszy wreszcie z parkingu, Kim zrobiła coś, co zdziwiło ją samą. Zamiast, jak planowała, wracać od razu do Bostonu, pod wpływem impulsu skierowała się na północ. Przykre przeżycie w Omni obudziło w niej nieprzezwyciężoną chęć powrotu do majątku, gdzie nie była jeszcze od czasu krótkiej wizyty z Kinardem.

Ruch był niewielki, toteż po półgodzinie Kim otwierała już kłódkę u bramy wjazdowej. Pojechała prosto do starego domu. Gdy wysiadła, poczuła nagle dziwną ulgę, jakby po wyczerpującej podróży znalazła się wreszcie u siebie.

Chwilę pomajstrowała przy zamku i weszła. Stanąwszy w przyćmionym świetle salonu, spojrzała na portret Elizabeth. Intensywna zieleń oczu i stanowczy rys podbródka były jej znajome, ale odkryła jeszcze coś, czego jakoś wcześniej

nie zauważyła. Elizabeth jakby się uśmiechała.

Kim zamrugała powiekami i przyjrzała jej się jeszcze raz. Uśmiech nie zniknął. Zupełnie jakby Elizabeth radowała się, że po tylu latach z jej straszliwej męki wynikło coś dobrego; że została raz na zawsze oczyszczona.

Zdumiona tym zjawiskiem, Kim podeszła do obrazu bliżej i z uznaniem przyjrzała się światłocieniom, którymi malarz podkreślił kąciki ust portretowanej. Sama się uśmiechnęła, gdy uprzytomniła sobie, że doszukuje się w wizerunku Elizabeth odbicia własnych refleksji.

Odwróciła się i rozejrzała po wnętrzu, które roztaczało się przed Elizabeth z jej miejsca nad kominkiem. W tejże chwili Kim podjęła decyzję, że znów tu zamieszka. Uraz emocjonalny wywołany wydarzeniami owej koszmarnej nocy zbladł i stracił na ostrości. Pragnęła wrócić do tego domu i żyć wśród cieni przeszłości. Jeszcze raz uzmysłowiła sobie, że ma teraz tyle samo lat, ile miała Elizabeth, gdy szła na spotkanie swej niezasłużonej śmierci, i poprzysięgła sobie, że odtąd będzie żyć dla siebie i dla niej. Tylko tak mogła się wyplącić za dar samopoznania, który od niej otrzymała.